PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK CZTERNASTY. — TOM LIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1897.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1897.

E r r a t a:

Na str. 16, w wierszu 8 od dołu, zamiast: „świeckich“, ma być: „światłych“.
„ „ 15, „ 5 „ „ „Bal-Kopen“, „ „Bal-Kapan“.

ZAŁOŻENIE MISYI KS. ZMARTWYCHWSTAŃCÓW

W ADRYANOPOLU.

I.

W dzień Nowego Roku 1860 pisał ks. Jełowicki z Paryża do ks. Kajsiewicza: „Donoszę, iż wczoraj przybyła depesza telegraficzna do księcia Czartoryskiego z Konstantynopola, że Unia Bułgarska z Rzymem ogłoszona. Należy się to najwięcej Polakom i księciu Czartoryskiemu, który nawet grubemi pieniędzmi ruch ten zapomagał, i przyrzekł księży, gdyby być mieli z tego powodu którzy pozbawieni dochodów, utrzymywać. Niech o tem wie Ojciec święty. Niech i o tem wie (ale to ma być tajemnicą), że kiedy w Wigilię Bożego Narodzenia cisnął książe cesarza, aby Bułgarom podał rękę, ten odpowiedział: Nie mogę, bo nie chcę być przykrym Rosyi, która jedna okazuje mi swą przyjaźń, i rozbiła w Warszawie koalicyę przeciwko mnie. Jednak kazał sobie złożyć i przysłać wszystkie papiery tyczące się tej sprawy. Może więc teraz, gdy rzecz dokonana, przyjmie ją w opiekę swoją. Tymczasem starać się będziemy o fundusze z Propagation de la Foi. Niechże i Propaganda czynnie się tem zajmie, i poszle księży dobrego ducha dla kierunku Rytu unickiego i t. d. Tak więc na ten Nowy Rok Ojciec święty ma dwie pociechy: krzyż na Pekinie i w Bułgaryi, więc i Rzym nie zginie". — Ks. Kajsiewicz odpisuje ks. Jełowickiemu: „Sprawa bułgarska pięknym jest wieńcem pod koniec życia księcia; piękny

przed ludźmi, a co więcej, przed Bogiem. Idę dziś do kardynała Barnabò, prefekta Propagandy; osobno Ojcu św. doniosę. Poproszę kardynała, by kazał wraz ks. Mosiewiczowi się wyświęcić i zaraz z ks. Malczyńskim, z którym mieli jechać do Kroacyi, wysłał do Bułgaryi. Oto wszystko, co stąd wysłać można".

Francya rzeczywiście wzięła pod swą opiekę Unię bułgarską, a w rok potem, dnia 21 stycznia 1861 r. papież przyjął uroczyście Bułgarów na łono Kościoła i sam wyświęcił (14 kwietnia) pierwszego dla nich arcybiskupa ks. Sokolskiego. Aliści w trzy miesiące niespełna potem tenże arcybiskup Sokolski znalazł się w Rosyi! Czy uwieziony czy dobrowolnie tam się udał? różne były domysły. Oto co współcześnie pisze Waleryan Kalinka z Paryża do ks. Kajsiewicza (2 lipca): „Pisałem przed trzema dniami pocztą donosząc o fatalnem odstępstwie arcybiskupa Sokolskiego. Dziś, gdyśmy nowe listy przez Wiedeń otrzymali, piszę znowu nie czekając sobotniego kuryera. Co w tych pismach ważniejszego, znajdzie Ojciec w dołączonem francuskiem tłumaczeniu. Niema już wątpliwości, że Sokolski zdradził haniebnie; wszakże byćby mogło, że i wiadomość *la Patrie* o jego przyjeździe do Filipopolis jest prawdziwą. Moskale najprawdopodobniej sami go zawieźli. — Wiadomo, że dwaj pierwsi biskupi bułgarscy, którzy wyłączyli się z greckiego Kościoła, Hilarion i Axfentios, przejść mieli na Unię. Zatrzymał ich Łabanow, przyrzekając, że wyrobi u Porty osobny patryarchat bułgarski, od stambulskiego niezależny. Patryarchą miał być Hilarion. Tymczasem rząd turecki dalekim się okazywał od zadośćuczynienia żądaniom Łabanowa, a Bułgarzy, choć bez biskupów, postanowili dokonać aktu Unii, i wreszcie po jej ogłoszeniu, Sokolski pojechał do Rzymu. Około tego czasu zamianowany został w Stambule nowy patryarcha. Zawezwał do posłuszeństwa Hilariona i Axfentiosa, a gdy go odmówili, wyklął ich wraz z tymi, co Unię przyjęli. Rząd turecki niechętnem okiem patrzał na tych kandydatów do patryarchatu bułgarskiego, o którym wiedział doskonale, żeby to była tylko jedna gałęź petersburskiego synodu. Więc na żądanie patryarchy Hilariona i Axfentiosa uwięził, wsadził na statek i wywiózł do Azyi. Nie po-

wiodła się sztuczka Moskalom, ale, jak mniemam, tej samej teraz próbują. Widocznie nie dlatego zabrali ze Stambułu Sokolskiego, aby go zamknąć u Czerńców, ale, by ubezpieczywszy od Turków, ogłosić go na prowincyi patryarchą. Jeśli taki jest plan Moskali, to skorzystali i z tego, cośmy wraz z Lazarystami przygotowali i co papież uświęcił; obrócili na swą korzyść i błędy rządu francuskiego i pośpiech Porty w uznaniu naczelnika Unii. A tak wielokrotną opatrzonego sankcyą, tem łatwiej im przyjdzie stawić Sokolskiego jako patryarchę. Podchlebi to miłości własnej Bułgarów, utrudni decyzyę rządu tureckiego, który, choćby chciał, nie tak już łatwo będzie mógł pozbyć się tej moskiewskiej kreatury. Unia, jak widzi Ojciec, jest bardzo zagrożona. Snać Bóg na nią dopuszcza próby, aby ją oczyścić z tych, których same tylko ziemskie pobudki do Kościoła popchnęły. Być także może, że większość jako tako wykształconych Bułgarów, spostrzeże się na tej moskiewskiej komedyi i przy Unii i jej przewodnikach pozostać zechce — byleby było przy czem pozostać. Należy więc użyć wszystkich sił, aby to dzieło ratować". — Apostazya Sokolskiego wychodzi teraz na jaw — donoszą później z Konstantynopola po dokładniejszych wiadomościach. — Starzec ten zmęczony był ciągłemi wymaganiami nowonawróconych Bułgarów. Powiadają, że niekiedy musiał się uciekać do swego pastorału, aby odganiać natrętnych. Prosty i nieokrzesany dał się uwieść i wpadł w zasadzki moskiewskie. Poddano mu myśl, aby stanął na czele Bułgarów, którzy bez unii z Rzymem chcą mieć swego patryarchę, a których wówczas siedziba była w Wielkiej Tyrnowie. Ambasador moskiewski ofiarował na jego usługi statek swój, który zawsze stoi w porcie Carogrodzkim, aby go przewieźć do Warny, skąd dwa dni tylko drogi do Tyrnowy. Starzec wsiadł tedy na statek w nadziei wylądowania w Warnie — zawieziono go do Odessy". „Ks. Mosiewicz czeka na ks. Malczyńskiego, a tymczasem Sokolski przeszedł do Moskali — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Koźmiana — a księża uniccy całą siłą do tegoż dążą. Bodaj czy się nie sprzykrzą Kościołowi te unie, czy się nie sprawdzi proroctwo św. Brygity, że tylko jeden obrządek bę-

dzie w kościele katolickim". — Kalinka jednak nie traci nadziei, a tylko przemyśliwa jakby ratować Unię. Oto list jego (5 września 1861) do ks. Kajsiewicza: „Z Ostendy, dokąd raczej dla odpoczynku i spotkania się z naszymi jak dla kuracyi udałem się, piszę dzisiaj do kochanego Ojca. Bardziej może, niż po inne lata, to miasto przepełnione Polakami. Kiedym opowiadał obecny stan i niebezpieczeństwa Unii bułgarskiej, odpowiedziano mi, że dyecezya chełmska ma dość sił, aby Bułgarom i w funduszach i, co ważniejsza, w ludziach dopomódz. Jest myśl rozłożenia na dekanaty stałego podatku, któryby zasilał podnoszącą się w Bułgaryi Unię; jest nadto zamiar, wybrania pomiędzy alumnami chełmskimi kilku bystrzejszych i najgorliwszych, a zdaje się nawet, że pomiędzy Bazylianami chełmskimi znaleźliby się ludzie zdolni do misyi bułgarskiej: oczywiście, że i tych nie chcielibyśmy na Wschód wyprawiać bez pośrednictwa z Rzymu. Obecny przy tych rozmowach Kazimierz Chłapowski, mniema, że niektórzy seminarzyści poznańscy gotowi byliby udać się do Bułgaryi, gdyby im papież pozwolił przejść na obrządek unicki. — Przyznaję, że mi się ta myśl wielce uśmiecha, aby z owej biednej, tak bardzo uciśnionej chełmskiej dyecezyi wyjść mieli misyonarze bułgarscy, i aby stamtąd także przybyły środki pieniężne. Byłby to w mojem rozumieniu najlepszy dla Chełmu środek ubezpieczenia się od schyzmy, a dla Bułgaryi najdzielniejsza pomoc. Rzecz rozpoczęta przez świeckich byłaby przez duchownych skończona emigrantów, a Polska, za ten naród bułgarski do wspólnej przywrócony owczarni, miałaby prawo spodziewać się od Boga nagrody". Z Chełmu nikt nie przybył, ale Poznańskie było pierwsze, które coś dla Unii bułgarskiej uczyniło. Dnia 20 marca 1862 r. założyło się tam Bractwo św. Józafata dla niesienia jej pomocy.

II.

Ks. Zmartwychwstańcy zbyt byli nieliczni, zbyt ubodzy, aby mogli myśleć o objęciu Misyi bułgarskiej. Pan Bóg sam ich do tego dzieła użył sposobem, który ks. Kajsiewicz w liście

swym do ks. Koźmiana tak opisuje (d. 1 lipca 1862): „Wiedziałeś już przez ks. Chwaliszewskiego o zamierzonej mojej podróży do Turcyi, a założeniu tam następnie naszego domu. Nie pisałem dotąd, bo dopóki Ojciec św. interpelowany przezemnie nie odpowiedział, że mu miło, że jadę, i nie dał swego błogosławieństwa, nie byłem pewny swego wyjazdu. Otóż zacznę *ab ovo*. — Jak wiesz miałem wrócić do Vichy i Ostendy; w tym celu zostawiłem część moich książek i bielizny w Paryżu, i wziąłem bilet i napowrót na statek. Na statku powiada mi ks. d'Alzon [1], czybyśmy nie mogli założyć misyi dla Bułgarów wspólnemi siłami: „Śmierć matki i siostry potroiła mój majątek osobisty; mógłbym na ten cel poświęcić 400.000 fr. i zarazem parę księży. Wam łatwiej języka bułgarskiego się nauczyć". Odpowiedziałem mu, że od lat kilkunastu o tem myślałem, żebym bardzo rad co uczynił, i że pomyślimy i pomówimy. Wrócił wtenczas z dawną myślą zlania się w jedno dwóch naszych Zgromadzenek. Na tom odparł, że muszę wprzódy porozumieć się z braćmi, mianowicie radnymi. Potem dostał choroby morskiej i dalszej rozmowy nie było. Przybywszy do Rzymu spotkał się z mgr. Talbot i Howard, wielkimi gorliwcami ruchu na Wschodzie; ci mu wyrobili posłuchanie osobne u Ojca św. — Przedstawił Ojcu św. swój projekt, dodając, że zapewne wespół z nami pracować będzie, i otrzymał uroczyste błogosławieństwo. Ojciec św. chce po prostu założenia seminaryum dla Greków i Bułgarów, i to na znaczne rozmiary. Kiedy kardynał Barnabò przedstawiał, że obecność Polaków ściągnie uwagę Rosyi i że fundusz niedostateczny, Ojciec św. odpowiedział: „przecież Polacy nie idą bić się z Moskalami, a fundusz na początek starczy", i skończył mówiąc: *voglio che queste seminario si faccia*. Kardynał święcie się poddał mówiąc, że choćby Ojcu św. co się przyśniło, toby to uważał za wolę bożą, bo Bóg z nim jest, i jemu się udaje to, co nam się nieroztropnem zdaje, jak zwołanie biskupów i t. p. Wszakże kardynał trzyma się dotychczas biernie. Były następnie narady

[1] Ks. d'Alzon, założyciel zgromadzenia Augustynianów od Wniebowzięcia. Sprawa jego świętości ma być wniesiona do Kongregacyi Rytów.

i zgodzono się, że trzeba, aby kto pojechał i obejrzał, a lepiej dwóch. A że ks. d'Alzon nie może tam być aż w zimie, więc wypadło, że ja pojadę. Co do miejsca i ks. Hassun, prymas ormiański, najzdolniejszy tam człowiek, i ks. Brunoni, delegat apostolski w Konstantynopolu, i Propaganda i Ojciec św. są w tem, aby zacząć w Adryanopolu. Wszakże im więcej Bułgaryą poznam, tem lepiej; więc być może, że dotrę aż do Bukaresztu. Pojmujesz, że ta misya nam pośrednio przyszła, że pieniądze ks. d'Alzon zdecydowały Ojca św., iż póki tu był, występował on na pierwszym planie (co jednak po jego odjeździe coraz się bardziej zmienia). Jeżeli unia między zgromadzeniami nastąpi, trudności niema. Ale czy nastąpi? Ja przed laty, jakkolwiek szczerze jej pragnąłem, uszanowałem jednak zdanie O. Józefa Hubego, że przypuszczając nowe żywioły, moglibyśmy wywołać nową fermentacyę wewnętrzną, która się u nas już kończyła. I dzisiaj, choć już położenie trudniejsze, wszakże wyrzec się gotów reguły Augustyańskiej i stroju swego, gotów przyjąć naszą nazwę, oddaje nam całe wychowanie młodzieży, żąda wspólnego przejrzenia naszej reguły. O dwa punkta tylko kwestyonuje tj. chce, by przełożony główny był dożywotnim i by mianował przełożonych podrzędnych [1]. Jest to rzeczywiście wlanie się z jego strony do naszego zgromadzenia... Ks. Piotr ma pojechać w końcu sierpnia na ich kapitułę do Nimes, aby wysłuchać ich ostatecznych ustępstw, a podług tego potem się zdecydujemy. Otóż jeżeli nie nastąpi porozumienie się między nami, nie wiem czy nam będzie dogodnie na ich funduszach zakładać seminaryum. W takim razie radziłbym im zająć się Grekami i Rumunami, mybyśmy zaczęli dla Bułgarów licząc głównie na pomoc Bractwa św. Józafata. Z komitetu paryskiego nie radbym żądał pomocy, szczególniej z początku, bo wskutek niezgrabnego działania agentów księcia Rzym jest zrażony i Ojciec św. powiedział ks. d'Alzon: ‚Jeżeli później Czartoryski da pieniędzy, to bierzcie; ale musicie sami założyć'. Odpisz mi do Carogrodu, na

[1] Te dwa punkta ks. Zmartwychwstańcy z czasem sami wprowadzili u siebie.

jaką pomoc moglibyśmy od was liczyć. Ja sądzę, że to byłaby najkorzystniejsza jałmużna polska dla Bułgarów. Zaczniemy od szkółki elementarnej, obok misyi w niedziele i święta. Naczelnikiem misyi ma być O. Kaczanowski. Jedzie z postanowieniem już niewrócenia stamtąd. Ks. Mosiewicz z wiedzą Propagandy ma pracować z nami, ks. Bejnarowicz z Litwy wrócił z intencyą przybycia do O. Kaczanowskiego. Sądzę, że i Malczyński i Ławrysiewicz we współce z nami pracować będą. Resztę P. Bóg opatrzy".

Przed samym odjazdem na Wschód pisał ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego (5 lipca 1862): „Jutro tedy, da Pan Bóg, puszczam się na wielkie morze pracy na nowem polu. Horyzont tak się rozszerza w miarę, jak się wpatruję w tę stronę, tyle tu się spodziewają po naszej pracy, że mi i serce rośnie i strach zdejmuje, by nie pokpić. W sile Zmartwychwstania Pańskiego nadzieja. Módlmy się, módlmy. Otwierają się oczy w Rzymie; już o starowiercach myślą. Czas nasz przyszedł. P. Jezus każe odbić od brzegu i na środek morza się puścić. *Ascendamus et pugnabimus.* Wiozę pierścienie i krzyże archimandryckie ks. Arabadziskiemu i Malczyńskiemu[1] i prześliczne ornaty od Polek. Poważnie zaczynam mój wyjazd; zobaczymy jaki będzie ciąg i koniec. Będziesz miał w początku września Ojca Piotra u siebie. Chce być w Ostendzie, Poznaniu i Krakowie *chauffer l'affaire Bulgare;* szukać ludzi i pieniędzy. Kiedy ks. Piotr się rozgrzał, to widzisz, że gorąco".

Ks. d'Alzon wciągnąwszy ks. Kajsiewicza do Misyi bułgarskiej, dodawał odwagi, zachęcał i z całą bezinteresownością i po bratersku, nawet gdyby do unii między zgromadzeniami nie przyszło, chciał wspólnie pracować. Oto jego list do ks. Kajsiewicza, który tu w przekładzie dajemy:

Nimes, 30 lipca 1862.

Najprzewielebniejszy i najdroższy Ojcze!

Niech się Ojciec wcale nie kłopocze trudnościami, jakie mogą powstać w dziele przyszłego naszego zjednoczenia. Jeśli

[1] Po wywiezieniu ks. Sokolskiego zarządzający Unią bułgarską. Pierwszy Bułgar łacinnik, drugi Rusin z Chełma, obecnie biskup w Albanii.

P. Bóg tego zjednoczenia nie zechce, tyle dobrego przynajmniej będzie z tego projektu, jakim Ci przedłożył, żeś mógł Ojcze poznać, ile Was kocham, i Ciebie i Twoich. Jeśli nawet osobno będziemy pracowali, Wy nad Bułgarami, my nad Grekami i Rumunami, będziemy mieli mnóstwo okazyi, w których sobie wzajemnie pomagać będziemy. Niech Ojciec tylko dobrze to weźmie na uwagę, że wy, jako Słowianie, możecie wiele zdziałać, ale zarazem, i dlatego właśnie, żeście Słowianie, jesteście wystawieni na wiele prześladowań ze strony Rosyi, której wpływ coraz większy może się stać kiedyś niebezpiecznym dla Waszych następców na Wschodzie. My przeciwnie, nie rachując nawet na pomoc Francyi, mamy nadzieję, że dzieło francuskie będzie miało zawsze tam swoje znaczenie, dlatego właśnie, że nas z konieczności będzie popierał rząd francuski, który może być rewolucyjnym we Francyi, ale na Wschodzie znaczy coś tylko przez katolicyzm. To położenie nasze, warto, byś rozważył.

Czy Ci mówiłem, Ojcze, że O. Gagarin zaproponował mi pośrednio, by z nim wspólnie założyć kolegium na Wschodzie? Odmówiłem dla wielu przyczyn, między innemi i dlatego, żem się dowiedział, że to ma być w prowincyach poddanych księciu Kuża; otóż sekretarz księcia, obecnie w Paryżu, powiedział moim że, jak tylkoby się dowiedziano, że jest rosyjskiego pochodzenia, zarazby go stamtąd wydalono. Upewniają nas także, że znając trochę po włosku i łacinie, można się rozmówić w Mołdawii i na Wołoszczyznie. Jeśliby tedy nasze dwa Zgromadzenia nie miały się połączyć, zostawię Wam Monastyr, Adryanopol, a głównie Filipopol, gdzie według informacyj bardzo szczegółowych, jakie słyszałem, jest wiele do robienia i gdzie Bułgarzy mają przewagę. Wasbym prosił, byście nam zostawili Bukareszt i Konstantynopol.

W Bukareszcie trzebaby pobyć rok, dwa lata, zanimby się mogło cokolwiek zrobić, ale misyonarz katolicki, któryby się prowadził przez pewien czas wzorowo, w końcu dorobiłby się ogromnego wpływu. Mam zapewnioną pomoc w tym kraju z wielu bardzo stron i dlatego prosiłbym Was, byście mi pozwolili głównie o tem mieście myśleć. Co do Konstantynopola, nawet wtedy,

gdybyśmy się nie połączyli, myślę, że tam będzie miejsce dla wszystkich.

Proszę podziękować księdzu Bové za jego tak serdeczne wezwanie; myślę, że jak na teraz, niepodobna mi kogo jeszcze posłać, ale później to się zrobi. Proszę mi także Bułgara już nie przysyłać, bo, jeśli się połączymy, Wasi zakonnicy będą najlepszymi naszymi nauczycielami; jeśli zaś się nie połączymy, rzecz naturalna, że Wam pozostawimy apostolstwo wśród Słowian naddunajskich.

Do zobaczenia, najdroższy Ojcze. Zostaję z najgłębszem przywiązaniem

D'Alzon.

Do unii między zgromadzeniami nie przyszło. W r. 1853 rozbiła się ona o opór ks. Hubego. Fermentacya, o której pisze ks. Kajsiewicz, jakoby u nas się kończyła, niestety, trwała aż po rok 1890. Właściwą przyczynę oporu ks. Hubego podaje ks. Kajsiewicz w swoim pamiętniku: „Kwestya połączenia się z ks. d'Alzon, za którą była większość członków rady, mocno go zraziła. Może dojrzał w tem rodzaj nieufności przeciwko jego przełożeństwu. Jakkolwiek większość w końcu ustąpiła, ceniąc nadewszystko pokój wewnętrzny, wszakże ostygnięcie się zwiększyło". W roku 1862 unia nie doszła z przyczyny ks. Jełowickiego. Uważał on Zgromadzenie Zmartwychwstania P. jako czysto polskie, niechętnie zawsze widział, kiedy doń cudzoziemcy wstępowali, przerażała go więc tem bardziej możebność, że zostanie wybrany przełożonym głównym Francuz, bo z dwóch Zgromadzeń równa liczba członków miała wspólnego wybrać generała. „Sam obiór Francuza przełożonego mógłby się wydać Polakom, powiadał, jako wcielenie się nasze do Zgromadzenia francuskiego". Jak we wszelkich robotach polskich, *veto* jednego zniweczyło wszystko. To też kiedy w liście wyżej podanym do słów ks. Kajsiewicza „Jeżeli nie nastąpi porozumienie", ks. Jełowicki dopisał „pewno, że nie nastąpi", ks. Koźmian mógł już z góry wiedzieć, że unii nie będzie. Bądź co bądź ks. d'Alzon wielką oddał ks. Zmartwychwstańcom przysługę, gdyż z akcyi

polskiej w Konstantynopolu nie byli w Rzymie zadowoleni, i najprawdopodobniej bez interwencyi ks. d'Alzona, Polaków do misyi bułgarskiej nie przypuszczonoby, bojąc się zajść politycznych. Oto co pisze ks. Kaczanowski do ks. Jełowickiego dnia 12 lipca 1862: „Już to i w Paryżu i z Kalinką nawet często mówiliśmy, że chociaż w znacznej części ów kierunek Bułgarów do Unii pochodzi przez prace Polaków, jednakże w tej rzeczy trzeba nam nie występować naprzód, aby dzieło boże nie popsuć, nie spóźnić kruczkami politycznemi. W Paryżu już O. przełożony utyskiwał, iż zanadto w tej sprawie Polacy występują na wierzch. Lecz jak się zebrali biskupi do Rzymu, i Brunoni i Hassun, oddając wielkie pochwały charakterowi osobistemu N., obadwa żalili się na jego *zelus non secundum prudentiam*, i że zakrawa na to, iżby chciał Kościołowi swe zdanie nakładać. O tem kardynała Barnabò uwiadomili, a za N. samego wszyscy Polacy są odpowiedzialni, tak że i na nas ta opinia przeszła i trzeba było mostu ks. d'Alzona, aby o nas do tej misyi pomyślano. Tu mówią, że niestosowne rozdawanie pieniędzy przez N. bardzo zachwiało prawdziwy postęp nawrócenia się Bułgarów. O wszystkiem tem postępowaniu Polaków Ojciec św. wiedział. Powtarzam tedy, iż trzeba było opatrznego mostu ks. d'Alzona, który ofiarując się z nami w tej misyi pracować, wprowadził na to, iż pomyślano o nas. O tem potrzebowałeś wiedzieć nim przystąpię do opisu audyencyi Ojca przełożonego u Ojca św. Ze zwykłą swą łaskawością Ojciec św. zwrócił się do naszego przełożonego pytając, coby żądał. Na to nasz Ojciec powiedział, iż chciałby wiedzieć od Niego samego, czy to jest Jego życzeniem, aby się zajął tą misyą? — Ojciec św. z naciskiem powiedział, że tak, i zaraz dodał, iż nie można się niczego spodziewać po tamtobylcach, chyba, że się wychowa nowe pokolenie kapłanów, gdyż tym, którzy nawet wracają do Unii, wierzyć nie można i poprzyczepiał im epitety zepsutych, chciwych, symoniaków i t. d. Ojciec nasz dodał, że teraz jadąc nie jedzie na stałe, ale aby rozpoznać stan rzeczy, że dopiero później wyśle kolonię misyonarzy, którzy tymczasem tu, w Rzymie, poduczą się języka i rytu. Ojciec św. rzekł: ‚Wiem o tem; już mi mówił kardynał' i sam

zaczął mówić, że lepiej może, aby się osadzić gdzieindziej, jak w Stambule, bo Stambuł jest zbiegowiskiem różnych parć na siebie i przewagi, jaką chciałyby mieć narodowości, i wtenczas dodał z naciskiem: *Scordate voi che siete polacco.* Ojciec przełożony znając cały stan rzeczy ani nawet śmiał pytać o wytłumaczenie tego wyrzeczenia, lecz odpowiedział, iż chce wprost pracować dla Kościoła bożego. Na tem skończyła się audyencya".

Wiadomość, że ks. Zmartwychwstańcy na Wschód jadą, nikogo pewno tak nie rozradowała, jak ks. Kalinkę. Pisze też zaraz do ks. Kajsiewicza: „Kiedym z listu ks. Lescoeura wyczytał, że Ojciec kochany ze znaczną częścią swej kongregacyi wyjeżdżasz na Wschód i w swoje ręce obejmujesz sprawę Unii bułgarskiej, zawołałem: *Digitus Dei est hic* i pomyślałem, że modlitwy Bractwa św. Józafata wysłuchane zostały; wysłuchane też zostały i moje, acz mizerne prośby, aby Bóg wzbudził dla Bułgaryi potężnych apostołów. Od półtora roku pracuję dla tej sprawy, a choć niekiedy udało się coś zrobić, niemniej przecież w duszy zostawała wątpliwość, czy te wszystkie wysilenia i ofiary nie rozbiją się o twardą skorupę małowierności Bułgarów; czy kiedy my tutaj szukamy dla tego ludu przyjaciół, obrońców i dobrodziejów, on raz jeszcze nędzną rachubą uniesiony, nie odstąpi od wiary św. i na liche nie puści się kombinacye. I troska ta była tem dolegliwsza, żem nie widział na Wschodzie nikogo, coby swą modlitwą i trudem chciał okupić i naprawić długą niewolą zadawnione zepsucie. Dziś Ty, Ojcze kochany, jedziesz na Wschód i na swe barki bierzesz ten krzyż ciężki. Jedź, modlitwy nasze i błogosławieństwa towarzyszyć Ci będą. Grono tułaczów tę sprawę bożą zaczęło, mdłemi rękoma przygotowując Pańską winnicę; słuszna, że ją teraz od nas przyjmujesz, boć nie ma w emigracyi rąk godniejszych, którymbyśmy przekazać mogli tę najzacniejszą ze wszystkich pracę naszą. Mój Ojcze kochany, jeślim pracował dotąd dla Bułgarów mało mając nadziei, aby z tej pracy korzyść wypadła, i widząc jasno, jak niedostatecznymi są na tem polu dzisiejsi robotnicy, toć pewno nie teraz w pracy ustanę, kiedy już część moich nadziei uważam na ziszczoną. Chciejże mnie i nas tu kilku poczytać za Twych wier-

nych pomocników i ufać, że w czemkolwiek tu od nas zażądasz usługi, to za jeden z pierwszych przyjmiemy dla siebie obowiązek". W sierpniu wydrukował Kalinka do Polaków odezwę, wzywającą do wspierania misyi ks. Zmartwychwstańców. „Wyjazd ks. Kajsiewicza na Wschód — mówiła ta odezwa — objęcie misyi bułgarskiej ks. Zmartwychwstańców z rozkazu Ojca św. wkłada obecnie na Polaków nader ważne i naglące obowiązki. Polska powinna wziąć na siebie ciężar ich utrzymania. Na nią spłynie chwała i zasługa z ich pracy apostolskiej w Bułgaryi; jak na nią spadłaby niesława, gdyby ta misya brakiem materyalnej pomocy wstrzymaną być musiała". Odezwa ta rozesłaną nie była, gdyż występowała przeciwko misyonarzom innych narodowości; a ks. Kajsiewicz z Carogrodu Kalinkę przestrzegał (9 września 1862 r.): „Porta nie chciała uznać patryarchatu osobnego dla Bułgarów *niezawisymych*, tylko kazała wybierać między *fanarem* tj. Grekami, albo Galatą tj. unitami. Targi Bułgarów z Grekami nie udały się. Cieszą ich Moskale, mówiąc: lada dzień odbierzemy Turkom Bułgaryę, to będziecie mieli hierarchię niezależną. Do powodów, dla których Unia nie idzie, dodam i ten, że Moskale grożą, iż unitów, jak przyjdą, pozabijają, a Grecy gadają, że unici będą musieli dawać rekruta papieżowi, że studnie schyzmatycy zamykają przed unitami, którzy nadto nie mają się gdzie chrzcić, żenić i grzebać. Niech to wszystko piszą dla ogłoszenia rejterady; ale, na miły Bóg, niech nie drukują, że Unia się rozwija, boć dla dostania pieniędzy kłamać się nie godzi"

Po powrocie ze Wschodu, „wskutek przedstawienia, przez samegoż Ojca św. zażądanego, — pisze ks. Kaczanowski (9 grudnia 1862) — jakie zrobił nasz Ojciec o misyi bułgarskiej, Ojciec święty naznaczył dzień dzisiejszy po *Ave Maria* (tj. po zachodzie słońca) na naradę u Niego samego w Watykanie, na której ma być sekretarz propagandy, msgr Simeoni, na którą naradę wezwany jest i nasz Ojciec. Ma przedstawić ks. Beregowicza, unitę, który, że nie chciał przejść na schyzmę, 9 lat był po więzieniach lub po klasztorach schyzmatyckich, później wreszcie lat cztery przebył we Lwowie, gdzie na nieszczęście widząc duchowieństwo unickie, chylące się ku schyzmie, a dowiedziawszy się o mi-

syi dla Bułgarów, przybył, aby ostatki swych dni jej poświęcić. Rokiem jak raz starszy odemnie. Owóż teraz aż dwóch przeszło sześćdziesięcioletnich ma się tam udać. Ta poważna liczba lat może nieco zastraszy Ojca św.“ Narada u Ojca św. wypadła szczęśliwie: „Byłem u Ojca św. z ks. Beregowiczem — pisze nieco później ks. Kajsiewicz - Bardzo łaskawie przyjął, ciesząc się z jego animuszu na naszą misyę; „suchy i twardy jak sztokfisz“, powiedział. A gdy na zapytanie, ile kijów dostał od Moskali, odpowiedział: ‚Już to przeszło, więc się zapomniało‘, Ojciec św. wyciągnął ku niemu ramiona, wołając miłośnie: ‚Poczciwy mój stary‘. Dał nam obu medale. Co do nas, zgodził się, że nie będziemy razem z ks. d'Alzon pracowali. Uspokoił się, jak skoro się zapewnił, że ks. d'Alzon dlatego się nie cofnie, i że fundusz jego dla misyi bułgarskiej stracony nie będzie“. Nakoniec w 10 dni potem, ks. Kaczanowski donosi już ks. Jełowickiemu o urzędowem poruczeniu misyi ks. Zmartwychwstańcom: „W tej chwili (23 grudnia) przybył mgr Simeoni, aby uwiadomić, iż Ojciec św. przyjął projekt, podany przez Ojca naszego, założenia szkoły misyjnej dla Bułgarów w Adryanopolu i takowy zakład nam powierza. Już tedy los rzucony jest. Mam wyjechać! Modlitwom jak najpokorniej się polecam i O. Aleksandra i przez Ciebie wszystkich Polaków“.

Tymczasem przyszli towarzysze ks. Kaczanowskiego, księża uniccy, wygnani z Chełma usunęli się. Ks. Beregowicz i ks. Mosiewicz cofnęli się już dawniej, a teraz oto, co pisze ks. Kajsiewicz o ks. Ławrysiewiczu: „Odsyłam list ks. Ławrysiewicza. Znałem już jego usposobienie i wiedziałem, że stale tam pozostać nigdy nie myślił. Ja liczę też tylko na nowe pokolenie, które wychować trzeba. Ks. Ławrysiewicz przez to, co pisywał w *Czasie*, odejmie do reszty Polakom ochotę pomagania naszej misyi. O. Kaczanowski jedzie swoją drogą. Bóg, który na suchotnicy zbudował siostry [1], na starcu zbuduje misyę bułgarską“. „Trzeba prosić Pana Boga — odpisuje ks. Jełowicki — o dar czy-

[1] Mowa tu o założeniu Sióstr Niepokalanego Poczęcia przez Józefę Karską, która w Rzymie umarła na suchoty.

nienia cudów dla O. Kaczanowskiego, bez czego misya jego z nim razem szczeźnie, to jest skończy się na niczem. Sam jeden i starzec. I to samo już jest cudem, że się tak puszcza".

Tak więc ks. Kaczanowski sam z jednym braciszkiem puścił się w połowie kwietnia 1863 r. na misyę. Kiedy ks. Kajsiewicz przed ich odjazdem przedstawił ich Ojcu św., Pius IX. rzekł: „Wysyłasz starca i dziecko. Słabe są wasze początki".

III.

Jak zapatrywano się na Unię bułgarską w Konstantynopolu w czasie, kiedy ks. Kaczanowski udawał się na Wschód, malują nam listy ks. arcybiskupa Brunoniego, wikaryusza apostolskiego w Konstantynopolu, ks. Testy, jego oficyała i ks. Malczyńskiego, pisane do ks. Kajsiewicza. „Nie trzeba się łudzić — pisze ks. arcybiskup Brunoni — rzecz jest nader ciężka. Przykład jeden da Ci Ojcze poznać usposobienie tych, co się nawracają i czego mamy się po nich spodziewać. Kiedy biskup Doroteusz zgłosił się do mnie z chęcią przystąpienia do Unii, oświadczyłem mu, że nawrócenie powinno być szczere, z pobudek wiary, a nie dla innych jakichś powodów, i że powinien wyrzec się schyzmy, uznać papieża. Na to odpowiedział: ‚I Turkiem gotów jestem zostać, niech mi tylko zapewnią patryarchat'. Proszę udzielić tego szczegółu kardynałowi, aby mu dać wyobrażenie o naszych Bułgarach". Ks. Testa donosi ze swej strony: „Unia nie robi postępu. Schyzmatycy podwajają napady, a na nieszczęście ministrowie tureccy są nam bardziej nieprzyjaźni, jak kiedy. Powiadano mi *(relata refero)*, że Aali Pasza miał rzec: ‚Bądź co bądź, kiedy mamy do roboty z Bułgarami katolikami, mamy do czynienia z papieżem, który jest naszym nieprzyjacielem; kiedy zaś chodzi o Bułgarów zależnych od patryarchy greckiego, mamy do czynienia z patryarchą, który jest naszym poddanym i od którego mniej więcej wszystko możemy otrzymać bez trudności'". „Doświadczenie smutne — pisze ks. Malczyński — zawodzi ciągle nadzieje powzięte i przekonywa, jak daleko jesteśmy od ich spełnienia i na jak liczne niepowodzenia interesowanie się dobrych katolików narażonem zostanie. Odstępstwa ciągłe Bułgaryi

od Unii, jakkolwiek pozornej, ich wyraźny wstręt do katolicyzmu, zła wiara i t. d. potwierdzają to przekonanie, że oni używają tylko Unii jako środka w swoich widokach uwolnienia się od jarzma greckiego i utworzenia niezależnej hierarchii. W tych czasach biskup Doroteusz z namówionym drugim koadjutorem z Adryanopola, udając chęć połączenia się, przybyli tutaj, aby załatwić swoje pretensyonalne wymagania, a gdy się im nie udało oszukać nas, przeszli zaraz do Greków i podjęli się, za zapłatą naturalnie, zniszczyć Unię w Adryanopolu, do czego ma im posłużyć Kurukafa, znany nikczemnik, a płatny dotąd przez nasz komitet. Przeciwko ks. Arabadziskiemu powstała cała ludność unicka, domagając się, aby złożył swój urząd naczelnika i objawiła się za Doroteuszem. Ucichło to na chwilę, ale nowych intryg spodziewać się można. Dziennik niby unicki *(Bułgaria)* umieścił artykuł niektórych unitów, wymierzony głównie przeciwko ks. Arabadziskiemu, Polakom i Jezuitom pełen kalumnij. Cankof[1], redaktor intryguje, aby swego teścia, popa Stancia wynieść na biskupa; Kurukafa za pięciu młodych Bułgarów, gotujących się za pieniądze Polaków do kolegium greckiego w Rzymie, których uwiódł i oddał w ręce schyzmy, dostał 4000 piastrów i nowe ubranie. Oto są ci, którzy przysięgali przedemną na wierność Unii".

Ks. Kajsiewicz, w raporcie swoim do papieża, nie tak czarno zapatruje się na Unię bułgarską. „Ostatnia wojna wschodnia — pisze w nim — powrót do domów wielu Bułgarów, którzy służyli w oddziale polskim, pobyt wśród Bułgarów dawnych oficerów polskich, zasada narodowości podniesiona przez cesarza Napoleona, wszystko to razem zwróciło myśli Bułgarów ku Zachodowi. Kilku biskupów greckich ale z pochodzenia bułgarskiego, popchnięci przez inteligencyę narodową zebrali się w pewnego rodzaju synod w monasterze Bal-Kopen i zażądali od patryarchy pewnej autonomii słowiańskiej. Patryarcha przedstawił rządowi

[1] Cankof, wychowany po katolicku przez Lazarystów, stał na czele Unii, woził do Rzymu Sokolskiego. Dzisiaj jest sławnym przywódcą partyi rosyjskiej w Bułgaryi.

objaw ten jako sztukę rosyjską i potrafił biskupów owych wysłać na wygnanie. Wtedy Bułgarzy widząc, że się niczego od Greków spodziewać nie mogą, zgłosili się do pułkownika Jordana, zostającego w służbie tureckiej a zarazem będącego agentem głównym księcia Czartoryskiego, oświadczając, że chcą się połączyć z Kościołem rzymskim, i prosili księcia, aby im wyrobił u cesarza francuskiego opiekę i pomoc. Jest tedy rzeczą oczywistą, że krok ten Bułgarów nie miał innej pobudki jak chęć uwolnienia się od Greków. Cóż tedy dziwnego, że kiedy Francya nie brała ich w opiekę jak trzeba, kiedy Rosya użyła wszelkich środków, aby unię zniszczyć, a Anglia obiecała im Kościół niezależny, cóż dziwnego, że unia upadła i zostało kilka parafij, kilku kapłanów i garstka wiernych — słabych, biednych i nieokrzesanych. Prześladowanie przeciwko Bułgarom katolikom było zbyt wielkie, aby mogli wytrwać: 1) Po wsiach i po miastach schyzmatycy nie dopuszczają ich do wspólnych studni, tak że ich pozbawili wody. 2) Zerwali z nimi kontrakty, domagają się natychmiastowego zwrotu pożyczek, oddalają od służby. 3) Daleko bogatsi od katolików przekupują władze tureckie i tysiącznemi sposobami tu ich dręczą, zamykają nawet po więzieniach; 4) pozbawieni są kościołów, cmentarzy i t. p., bo te są w rękach schyzmatyków. Czyż można się tedy dziwić, że lud ciemny nie może wytrwać w tych próbach; czyż można się dziwić, że lud ten, którego od dzieciństwa uczono nienawiści do papiestwa i katolicyzmu, któremu następnie emisaryusze świeccy nie wytłumaczyli znaczenia unii, owszem uczyli, że przechodząc na unię, nic nie zmieniają — że lud ten, powiadam, niema siły ani odwagi cierpieć za sprawę, której nie rozumie. Gdybyż miał przynajmniej kapłanów gorliwych i świeckich! Ale na nieszczęście: *sicuti populus ita et sacerdos*, jeśli nie gorzej". Ks. Kajsiewicz tak kończy swoje sprawozdanie: „Wszystkie te trudności, nie stanowią jeszcze n i e p o d o b i e ń s t w a takiego, jakie widzą kapłani katoliccy na Wschodzie. Trudno przypuścić, żeby Pan Bóg był wzbudził tyle troskliwości w sercu Waszej Świątobliwości i w sercu tylu dobrych katolików dla tych biednych Bułgarów, i żeby z tego nic dla chwały Jego i dla zbawienia ich

nie wynikło. Lud bułgarski choć zepsuty długą niewolą i głęboką ciemnotą, ma jednak dobre przymioty. Jest trzeźwy, spokojny i pracowity; wychowany po chrześcijańsku mógłby się stać bardzo dobrym".

Z tą też nadzieją jechał ks. Kaczanowski na Wschód; ale naturalnie w tych, co uważali Unię bułgarską za nieudałą i bez przyszłości, nie mógł znaleźć życzliwego poparcia. Przybywszy do Konstantynopola, pisze dnia 25 kwietnia 1863: „Udałem się wprost do Dominikanów, gdzie odźwiernego Bośniaka, kucharza Albańczyka, przeora Genueńczyka, zakrystyana Rzymianina i ogrodnika Hiszpana znalazłem tychże samych, których zostawiłem przed sześciu laty. Szczęściem, mają miejsce do pomieszczenia nas obu, i takowe nam ofiarowano. Chciałem był zmówić Mszę św., lecz mi odmówił przeor, bo trzeba było pozwolenia arcybiskupa. Ojcieć znasz położenie, wiesz odległości. Zmęczony nieco podróżą musiałem się pozbawić tej pociechy duchownej. Oczyściwszy się nieco, po kawie poszedłem do arcybiskupa. W drodze spotkał mnie Jordan, i poznawszy przywitał. Właśnie szedł do arcybiskupa, aby go zaprosić do siebie na jutro na obiad, gdyż ma być tam, aby pobłogosławić kościółek, który wykończony ma od jutra być otwartym. Przytem też i mnie zaprosił. U arcybiskupa dowiedziałem się o następnych sprawach: Ks. Arabadziski nie cofnął swej dymisyi. Ks. Malczyński otrzymał rozkaz przybycia z Adryanopola i ks. arcybiskup spodziewa się go za 4 lub 5 dni. Z powodu mojej niewprawy do rytu, stanęło na tem, że do przyjazdu ks. Malczyńskiego wcale się nie zniosę z Bułgarami. Ks. Testa jest zdania, że w Stambule nie warto otwierać szkoły, gdyż ludność bułgarska w stolicy nie jest stałą i dzieci Bułgarów niema; przeto trzeba będzie trzymać się pierwszej myśli i do Adryanopola ruszyć". — 4 maja donosi ks. Kaczanowski: „Jam dotychczas nic nie zrobił, chociaż prawie codziennie u ks. arcybiskupa bywam. Jedną z przyczyn tego opóźnienia, chociaż nie głównych, jest to, iż ks. arcybiskup nie otrzymał o mnie od Propagandy urzędowego uwiadomienia. Pokazałem mój dyplom na misyonarza Apostolskiego, przypomniałem mu i stosunki z Ojcem listowne i nasze

w Rzymie rozmowy: wszystko to, mówił, są rzeczy dobre, lecz powinniby urzędownie mnie uwiadomić o twem wysłaniu". Pokazało się w końcu, że ks. Kaczanowskiego w Carogrodzie nie chcą. „Z wczorajszej sesyi u arcybiskupa — pisze 7 maja — wyniosłem smutne przekonanie, że my tu niepotrzebnieśmy przybyli. Nie będziemy mieć poparcia od arcybiskupa, a nawet funduszów, gdyż owe ze szkół d'Orient za jego tylko asygnacyą mają być wypłacane. On nam jej nie da, a lubo wprost mi tego nie powiedział, wyraźnie do tego odnosił, gdy mówił: „kiedy ks. d'Alzon z własnych swych pieniędzy chciał robić wydatki, które ja uważałem za niestosowne, wstrzymywałem go, ażby się pierwiej rozpatrzył" i na tem uciął mowę; może nie chciał mnie przy innych dwóch upokarzać lub zawstydzać. Teraz tedy zachodzi pytanie, co my tu mamy robić? Arcybiskup po prostu radził wracać i to jak najprędzej. Oto jest, com wczoraj wyniósł od arcybiskupa. Według tego, com zrozumiał, najkorzystniej dla religii jest zakładanie szkół, lecz nie lada jakich, ale kompletnych kolegialnych nauk. Jam powiedział, że właśnie to myślę zrobić. On na to „gdzie twoje *personalium?*" — „Będę się starał tymczasem skompletować z miejscowych". — On z pewnem oburzeniem mi odpowiedział: „Myśliszże, żebyśmy czekali aż tu przybędziesz, i gdyby można było z miejscowych coś zrobić, nie starali się zrobić? Kto chce szkołę wyższą tu zakładać, powinien koniecznie z sobą przyprowadzić wszystkich nauczycieli. Pokornego kapłana tu uważają za lękającego się i jest wystawiony na wszelkiego rodzaju dokuczania, pobożnego zaś za hypokrytę. Wszystko tu powinno się okazywać z zewnętrzną pompą, aby mogło pewnego rodzaju uszanowanie ściągnąć i koniecznie być europejskie, a najlepiej francuskie. I tak w założeniu szkoły potrzeba, aby skład profesorów był liczny, aby mieli narzędzia i te drobiazgi, na które nawet nie zważają na Zachodzie, a które rozstawione zręcznie oczy tylko mogą łudzić tych nieuków i przez to wielkie wyobrażenie zrodzić o umiejętności tych nauczycieli, którzy są z temi rzeczami obeznani. Początek powinien być pompatyczny". Jeśli nie tymi wyrazami, tę myśl wyłożył. Na uwagę moją, iż zdaje mi się, że tu powinno chodzić głów-

nie na początek o założenie szkółek dla dzieci, odpowiedział, że na to wystarczają owi nauczyciele parafialni. Uczą czytać i nieco pisać, i nie kosztują jak 200 do 300 piastrów miesięcznie (45 do 68 fr.), „a gdyby kapłan miał się tem zajmować jeszcze w twoim wieku, byłoby to zgorszeniem". — Arcybiskup spodziewał się, że będziemy mogli natychmiast otworzyć szkołę, z której będą wychodzić klerycy uzdatnieni. Kiedym powiedział, że właśnie to jest naszym zamiarem, zawsze odpowiadał: „gdzież są ludzie do nauczania?" — Pójdę znowu do arcybiskupa, aby się z nim sam na sam rozmówić. Po rozmowie dzisiejszej napiszę. Gdybyś Ojciec po tym moim drugim liście uważał za potrzebne nas odwołać, proszę zatelegrafować; koszt telegrafu będzie mniejszy jak zostawanie tutaj przez kilka dni". — Jakoż nazajutrz pisze: „Odnosząc drugi mój list do arcybiskupa mówiłem z nim sam na sam. Powiedziałem mu, że jeśli sądzi, że teraz do Bułgaryi nie byłoby po co jeździć, ja zostaję na jego rozkazy, gdzie chce niechaj mnie pośle, i niech użyje jak mu się będzie zdawało najlepiej, lecz niech mnie bezczynnym nie trzyma. Odpowiedział, że zapewne znajdzie się zatrudnienie, ale myśli czekać do przyszłego kuryera, gdyż ma nieochybną nadzieję, że po raporcie, jaki ks. d'Alzon złoży kardynałowi w Propagandzie odbierze rozporządzenie tak co do nas, jako też co do czynności Misyi bułgarskiej, której — mówił — w Rzymie nie rozumieją, i „że to było opatrznem, że ks. d'Alzon tu się dość długo zatrzymał, aby się sam naocznie przekonał i prawie ręką dotknął trudności, z jakiemi tu my walczyć musimy".

Ks. Kajsiewicz mocno zgromił ks. Kaczanowskiego, że się daje tak łatwo zrażać, że „grzeszy pokorą". Kazał mu jechać do Adryanopola jak tylko będzie mógł i otwierać misyę. Papież tak chciał; nikt niema prawa wstrzymywać". Ks. Kaczanowski odpowiada dnia 10 czerwca: „Z końcem bieżącego miesiąca myślę wyjechać do Adryanopola. Jakkolwiek słusznie Ojciec łaskawy wyrzuca mi, że się nie przejąłem myślami raportu Ojca, i że wprost w wykonanie onych nie wprowadzam, to jedynie stąd pochodzi, że wszyscy tu ciągle mi w uszy kładą, iż Ojciec kochany raczej swe dobre chęci dla Bułgarów widział będąc tutaj,

jak istotny ich stan, i że chociaż niezawodnie jedynie przez wychowanie przyzwoite duchowieństwa miejscowego odrodzenie się tej części owczarni Chrystusowej może nastąpić, to znowu z drugiej strony, aby zachęcić, pociągnąć, a nawet pewne zaufanie zyskać cudzoziemcowi między tymi biedakami, trzeba ich na lep języka francuskiego brać. Lecz Ojciec kochany tego nie uważa za stosowne, puszczę się więc z samym bułgarskim i słowiańskim językiem. Zawczasu zapowiadam, iż chcę robić, i mam nadzieję, że mi Bóg dozwoli zrobić, tak jak mi Ojciec rozkażesz".

Tymczasem sprawy unickie wciąż się wikłały i zatrzymywały też ks. Kaczanowskiego w Carogrodzie. „Kościół bułgarski zamknięty i arcybiskupi obadwa (mgr. Brunoni i mgr. Hassun, patryarcha ormiański) postanowili nie otwierać go, aż Bułgarzy przyjmą ks. Malczyńskiego za swego naczelnika. Przed rozstrzygnięciem tej kwestyi stąd nie myślę się ruszyć" — pisze 10 czerwca. „Naczelnicy bułgarscy w Carogrodzie — donosi w tydzień potem — opierają się przełożeństwu ks. Malczyńskiego nad nimi, chcą mieć rodaka, i powiadają, że jeśli już koniecznie musi być innoplemiennik naszym naczelnikiem, czemuż nam nie dadzą przynajmniej Francuza, nie zaś Polaka. Ks. Testa bardzo im dobrze na to odpowiedział, że nie innoplemiennika, ale prawdziwego Bułgara im dają, który sprawę bułgarską wziął do serca i jest prawdziwie teraz Bułgarem. Kiedy mu Cankow powiedział: to nie będzie się katolikiem, kiedy nie przejdzie się w posłuszeństwo ks. Malczyńskiemu? On mu odrzekł: Nie będzie się katolikiem nie słuchając rozporządzeń Ojca św.; bo to sam Ojciec św. przeznacza go wam na naczelnika. — Sprawa dotąd w zawieszeniu. Podali jakiś memoryał do arcybiskupa. Treści jego nie wiem, lecz mówił mi ks. Malczyński, iż arcybiskup wielce się rozgniewał na żądania ich, i takowy memoryał miał im zwrócić, stojąc najmocniej przy tem, iż chce bezwarunkowego posłuszeństwa". „Sprawa bułgarska w Carogrodzie bardzo źle stoi — pisze znowu ks. Kaczanowski. — Przyczyną tego stanu rzeczy są intrygi Cankowa, który chciałby koniecznie naczelnikiem społeczności bułgarsko-katolickiej zrobić swego teścia, popa

Stancio. Cankow nie szczędził był ks. Arabadziskiemu wszelkiego rodzaju przykrości, dokuczań, obmów, widocznie w celu aby ks. Arabadziskiego zniechęcić. Dokazał swego bardzo łatwo. Ale kiedy ten zrezygnował, a Cankow zobaczył, że nie jego teść, ale ks. Malczyński miał być postawionym na miejscu ks. Arabadziskiego, odtąd wszelkich intryg używa, aby ks. Malczyńskiego usunął. Aby go nie mieć, podali prośbę do Porty, iżby ich przyjęła do kancelaryi łacińskiej rajasów. Ten wybieg, jak się zdaje, doradzonym został przez Moskwę, aby tym sposobem reszcie Bułgarów pokazać, że Unia prowadzi wkońcu do łaciny. Tak przynajmniej i arcybiskup i w Porcie, a nawet między świeckimi, zajmującymi się sprawą bułgarską, ten krok jest uważanym. Czy Cankow jest istotnie agentem moskiewskim, tego nie wiadomo. Między innemi Cankow głosi, że cała ta sprawa dlatego tak jest postawiona, aby Słowian południowych poddać pod zarząd Polaków. A chociaż nawet między swymi nie używa dobrego imienia, jednakże że najzdatniejszy między nimi, jest słuchany. Kiedy więc i projekt przyjęcia ich do kancelaryi łacińskiej rajasów spełzł na niczem, wtenczas Cankow wystosował memoryał, pod który zbierał podpisy, aby, skoro między Bułgarami nawróconymi niema żadnego, któryby mógł być postawionym na czele, proszą o Francuza, byleby nie Polaka. Na tem rzecz teraz stoi. Potrzebowałem to wszystko Ojcu wypisać, abyś zrozumiał, dlaczego arcybiskup sądzi, bym się na teraz wstrzymał od przyjmowania obrządku greckiego; ‚bo — powiada— Bułgarzy zawsze będą wiedzieli, iż jesteś Polak i że zmieniłeś obrządek, a Cankow zarazby ten krok użył za dowód, żeś to zrobił dlatego tylko, abyś łatwiej Bułgarów pod zarząd Polaków podciągnął'. Przyznam się, że mi się uśmiecha zostać w obrządku łacińskim; ale z drugiej strony coś mię w sumieniu ostrzega, że takie postępowanie nie byłoby zgodnem z myślą Ojca św. Uspokajam się, że nie odrzucam myśli przejścia na obrządek grecki, a tylko odkładam na później. Zresztą oddaję to zupełnie pod decyzyę Ojca kochanego, bo nie śmiem w tem na sobie polegać". — Po jakimś czasie pisze ks. Kaczanowski: „Porta jest gotową przyjąć ks. Malczyńskiego, byleby nie było opozycyi Buł-

garów, a wolałaby, żeby samiż Bułgarzy oń u niej prosili. Stanęło tedy na oficyalnem widzeniu się z ministrem, iż rzeczy mają pozostać w zawieszeniu. Tymczasem w arcybiskupstwie toczy się formalny proces. Z tego procesu pokazuje się dotąd, iż nawet ci, co podpisywali memoryał, nie wiedzieli, co podpisują, a wszyscy zeznają, iż im Cankow ów memoryał do podpisywania podawał".

W jakich ciężkich udręczeniach był ks. Kaczanowski w Konstantynopolu, pokazuje list jego pisany 2 lipca. Przeciwności go nie złamały; ale tęsknota za krajem, za swymi, o mało go nie zabiła. „Bardzo i bardzo Ojcu kochanemu dziękuję — pisze do ks. Kajsiewicza — za tak miłosierne połajanie, tylko szczerze powiadam, iż nie jest dosyć mocne, i zapewne po odczytaniu tego, co się dzieje teraz w mej duszy, otrzymam mocniejsze uderzenie ostrogi i gorętszej też modlitwy, abym się mógł z upadku podźwignąć. Wyznać muszę jak jest, abyś Ojciec kochany całą okropność mego teraźniejszego położenia zrozumiał. Owóż za przybyciem zająłem się gorliwie zrozumieniem mego tu położenia. Jak mnie przyjął arcybiskup, powtarzać nie będę. Toż samo zimno znalazłem i w innych. Wszędzie i zawsze toż samo powtarzano mi, że dla bułgarskiej Unii koniecznie za podstawę wziąć potrzeba francuski język w obuczaniu. Niechętnie patrzano też na zamiar mój przyjęcia obrządku bułgarskiego, stąd i lekcye obrządku są i bardzo rzadkie i zupełnie od niechcenia mi dawane, pomimo mego ciągłego nalegania. Póki, że tak rzekę, byłem w walce z przeciwnikami, nie brakło mi na odwadze. Zawsze im odpowiadałem, że mnie nie na tu przysłano, abym zakładał szkołę francuską dla Bułgarów. Ale pokazuje się, że ta odwaga pochodziła raczej z własnego zarozumienia, a nie z pokory i ufności w Bogu. To smutne odkrycie zrobiłem przypadkiem. Będąc raz u ks. Malczyńskiego, zobaczyłem powieść Korzeniowskiego „Emeryt". Prosiłem, aby mi pozwolił ją przebiedz. Nie odmówił. Jednym pędem przeczytałem, a skutek z tego taki, iż szatan użył tego czytania dla obudzenia we mnie choroby — kraju. Rady sobie teraz dać nie mogę. Ilekroć wspomnę tylko o kraju, łzy z wielkim bolem serca cisną mi się do

oczu. Oto i w tej chwili płaczę. Takie ogromne ciśnięcie w sercu, taka niechęć do zajęcia się tem, co powinienem, iż sobie rady dać nie mogę, do wszystkiego zmuszać się muszę. Wszystko mi niemiłe — jeść nawet nie mogę, tylkobym płakał i płakał. Dzisiaj miałem Mszę św. za Zgromadzenie, i może słuchający zbudowani byli z mej pobożności, bom cały czas prawie płakał; a jam płakał wcale nie z pobożności, ale z tego, iż mi te myśli o Polsce ciągle po głowie chodziły w czasie Mszy św. Czy to jest przesłannikiem śmierci blizkiej, czy aby mnie odepchnąć od miejsca, gdzie mnie posłuszeństwo posyła? Czy z tym bolem mam walczyć długo? nie wiem; ale to wiem na pewno, że jeśli się Bóg nie zmiłuje nademną i nie zniszczy we mnie tego usposobienia, albo umrę, albo ucieknę. Proszę Boga o pierwsze". — Ks. Kaczanowski ani umarł ani uciekł. Na jego liście dopisał ks. Semenenko: „W następnym liście pisze O. Karol, że to usposobienie zupełnie mu przeszło, i tylko została pamięć dla upokorzenia". Owszem, we dwa tygodnie potem, już z Adryanopola, dokąd teligą tak rozbity przyjechał, że go z wozu wywleczono i zaraz do łóżka położono, pisze tryumfalnie: „Rubikon przebyłem! od wczoraj jestem już na miejscu przyszłych mych zapasów, bez języka, bez żadnej pomocy zewnętrznej. Teraz mam wielką nadzieję, że Bóg chce mi sam pomagać, kiedy mi tak usuwa wszelką pomoc, na którą po ludzku licząc, zdawało się, że mogłem rachować".

I Pan Bóg pomógł — rzecz stanęła. — Do ks. Jełowickiego jednak i z Adryanopola pisze ks. Kaczanowski: „Och, Boże! cóż się to tam dzieje w naszej biednej Polsce! Jeślibyś miał jakie nowiny z kraju, chciej się niemi ze mną podzielić, gdyż tu jestem zupełnie jak na wygnaniu, a i pod ubiorem popa bułgarskiego jeszcze tli Polak, powstaniec z 1830 roku!"

Ks. Paweł Smolikowski.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

(Dokończenie).

Smutnoby było, gdyby nie miało wystarczyć i to nietylko na suche ziemniaki. Inaczej musiałoby może znowu społeczeństwo po niewielu latach pomyśleć o wybudowaniu już nietylko drugiego ale trzeciego, czwartego olbrzymiego domu dla dziewczyn, które zeszły z drogi cnoty w znacznej części z lekkomyślności, ale też w pewnej części i z rzeczywistej biedy, aż spostrzegłszy wreszcie w jaką przepaść wpadły, pragną z dala od dotychczasowych pokus nawrócić na opuszczone ścieżki obowiązku i cnoty. Biednych takich istot będzie zawsze, niestety! dość i zanadto; dom pokuty w Łagiewnikach, niezmiernie ważny i pożyteczny, nie prędko bodaj opustoszeje, ale jeżeli koniecznem dbać o instytucye, które po upadku leczą, to niemniej chyba koniecznem otaczać troskliwą opieką zakłady, które przed upadkiem chronią.

Dom pokuty w Łagiewnikach zostający pod prawdziwie macierzyńską, serdeczną a jednocześnie rozumną i energiczną opieką Matek Miłosierdzia, chroni w swych murach przeszło sto pokutnic wszelkiego wieku, wszelkiego stanu. Są młodziutkie, prawie jeszcze dzieci, ale które już zakosztowały gorzkiego chleba grzechu, albo były w najbliższem niebezpieczeństwie, że go zakosztują; są starsze, złamane wiekiem, cierpieniem, które przeszły w życiu przez ciężkie burze, zanim dostały się do spo-

kojnej tej przystani. Matki znają i kochają wszystkie swe „dzieci“, jak je z zasady nazywają; wiedzą, że jedną z najgłówniejszych przyczyn dawniejszych ich nieszczęść był brak pracy, a brak ten płynął głównie z tego, że pracować nie umiały; dlatego łagiewnicki klasztor jest w ścisłem i najlepszem słowa tego znaczeniu, domem pracy. Jedne stoją przy introligatorskich maszynach, inne z igłą się porają, jeszcze inne, zdrowsze i silniejsze pracują w ogrodzie, rzną, sadzą, kopią. Pracę przegradza modlitwa. Dziewczyna opuszczająca klasztor umie modlić się i pracować, a tem samem ma w ręku broń wystarczającą w walce przeciw pchającej ku złemu nędzy, w walce przeciw innym, dybiącym na nią pokusom.

Różne bole i biedy. Chrześcijańskie miłosierdzie znajduje na każdą z nich odpowiednie lekarstwa, tworzy nowe, do nowych potrzeb zastosowane instytucye, związki, stowarzyszenia; wzmacnia i reformuje dawne. To niejako regularna armia miłosierdzia; obok niej na partyzantkę uciera się z nędzą paru panów, kilka zwłaszcza pań. Nazwiska ich znane i czczone w całym Krakowie, powiedziećby można w całej Galicyi; znane zwłaszcza przez nędzarzy, którzy całemi gromadami oblegają ich bramy a biurka zasypują stosami próśb. O jednej tylko rodzinie zaręczano mi, że rocznie rozdaje na dobre cele, przeważnie na ubogich, czwartą część swego dochodu tj. około 25.000 złr.; pewna pani przeznaczała podobno przez szereg lat na cel 1.000 złr. miesięcznie, a sądząc po ilości zgłaszających się do niej ubogich i hojnych datkach, z którymi regularnie odchodzili, cyfra ta musiała bywać raz po raz przekraczaną. Inne panie, panienki, które nie rozrządzają podobnymi środkami, wynagradzają to osobistem zetknięciem się i zajęciem najbiedniejszymi; kilka z nich nie wahało się wchodzić do najbrudniejszych izdebek, zwabiać do siebie słowem, podarunkiem, kryjące się po kątach, na pół dzikie dziewczęta, myć, czesać je, karmić, a nakarmiwszy, uczyć pacierza i najważniejszych zasad wiary. Cześć takiemu miłosierdziu, cześć tym co je spełniają, cześć i tym, co nietylko małodusznie się niem nie gorszą, ale rozu-

mieją jego chrześcijańską wzniosłość i stosownie do danych okoliczności starają się je ułatwiać, popierać, a jeśli w czem byłaby potrzeba, kierować.

Obok katolickiego miłosierdzia płynie miłosierdzie żydowskie korytem mniej znanem, ale bądź co bądź ciekawem, a nieraz — powiedzmy z góry i bez ogródek — i wartkim i głębokim. Żydowskie stowarzyszenia dobroczynne w Krakowie, szpitale, ochronki dla dzieci, przytułki dla starców, warteby były osobnego, szerszego studyum i silnie jestem przekonany, że ktoby się podjął bliżej zbadać te nieznane dla nas krainy, a następnie nakreślił dokładniejszy, szczegółowy ich obraz, nie małoby się wogóle przysłużył sprawie miłosierdzia. Imponuje liczba stowarzyszeń, imponuje liczba ich członków, imponuje praktyczny zmysł, którym jak w handlu, tak i w zawiadywaniu i w rozdzielaniu miłosiernych funduszów niejednokrotnie nas przewyższają [1].

---

[1] Z końcem roku 1895 istniały w Krakowie następujące — w ściślejszem lub szerszem tego słowa znaczeniu — miłosierne stowarzyszenia żydowskie:

Stowarzyszenie „Bikur-Chaulim“ (Opieka nad chorymi) wspiera biednych chorych Izraelitów, za nich się modli i grzebie umarłych wedle izraelickich obrządków. Istnieje od czasów niepamiętnych. Liczy członków 930.

Stowarzyszenie „Izraelitów postępowych“, prócz innych celów odnoszących się do kultu, wspiera chorych członków i biedną izraelską młodzież. Liczy członków 150.

„Cheore Tylem“ (Związek psalmowy) wspiera chorych członków i ma na oku przyczynianie się do kształcenia chorych Izraelitów. Liczy członków 148.

„Chewra-Kadischa“ stara się o ceremonialne grzebanie zmarłych Izraelitów. Liczy członków 275.

„Nosse-Hamitah“ niesie członkom pomoc w biedzie i chorobie; stara się o przenoszenie trupów z domu na cmentarz na noszach. Członków 170. Drugie takież samo, pod tem samem nazwiskiem zawiązane stowarzyszenie w Podgórzu. Członków 65.

„Tiferes Izrael“ utrzymuje dom modlitwy, wspiera i pielęgnuje chorych członków. Liczy członków 70.

„Izraela Mejzelesa“ dom modlitwy, wspiera i pociesza członków. Zwyczajnych członków 50, honorowych 10.

„Rabi Arona Chasidema“ dom modlitwy wspiera chorych i biednych. Członków 50.

Jeden z krakowskich urzędników, który miał sposobność z blizka się zetknąć z licznemi żydowskiemi stowarzyszeniami i instytucyami, stawia je bez ceremonii, choć do filosemitów wcale a wcale się nie zalicza, jako przykład, pod niejednym względem, godny naśladowania:

„Niemiło mi to powiedzieć, ale mówię, bo prawda: Żydzi o wiele sprytniej i praktyczniej umieją każdą organizacyę obmyśleć, przeprowadzić, niż my. U nas hałasy, komitety, komiteciki; każdy pan zajmujący się czy tem czy tamtem stowarzyszeniem, święcie przekonany, że wyłącznie zawiść ludzka nie zrobiła go prezesem; każda pani pozuje na małą księżnę Marcelinę. U Żydów zawiązują się i rosną stowarzyszenia cicho, bez blagi, bez dziennikarsko-paplarskiej reklamy. I oni oczywiście

---

„Chaima Halberstamma" dom modlitwy. Wspiera chorych. Członków 46.

„Schomr Umonim". (Towarzystwo wzajemnej pomocy izraelickich rękodzielników). Członków zwyczajnych 200, honorowych 20.

„Gmiles Chsudim" (Izraelickie towarzystwo dobroczynności) udziela zwrotnych zapomóg od 5 do 250 złr. biednym rękodzielnikom, przemysłowcom i kupcom. Członków zwyczajnych 212, nadzwyczajnych 53.

„Ahawas Rajem" (Stowarzyszenie dobrych dążności) udziela zwrotnych zapomóg; bierze udział w pogrzebie zmarłego członka i pociesza jego rodzinę. Członków 45.

„Bene Amuna" (Stowarzyszenie modlitwy i dobroczynności) utrzymuje wspólny dom modlitwy i bibliotekę hebrajską, udziela chorym członkom wsparcia, udziela w razie potrzeby pożyczek na 4%. Członków 60.

„Bes Hamedrasch Chaduschim" (Stowarzyszenie modlitwy i dobroczynności). Członków zwyczajnych 70, honorowych 20.

„Malbisch Erumim" (Towarzystwo dobroczynności starozakonnych) dostarcza biednym mężczyznom odzieży i rzemieni liturgicznych. Członków 450.

„Hachnasos Ihalah" (Stowarzyszenie dla rozdzielania jałmużny) rozdziela zapomogi biednym zaręczonym Żydówkom. Członków 285.

Stowarzyszenie izraelickie „Pań dobroczynnych" w Podgórzu, wspiera biednych Izraelitów i zaopatruje ich w opał. Należy 250 pań.

„Hipe Zedukuh" (Stowarzyszenie izraelickie dla rozdzielania jałmużny) wspiera biednych Żydów wstydzących się żebrać i dostarcza im w zimie opału. Członków 28.

Izraelickie stowarzyszenie pań dla wspierania biednych położnic Należy 400 pań.

Izraelickie stowarzyszenie kobiet dla wspierania wdów izraelickich. Należy 133 kobiet.

nie są wolni od ludzkich przywar; ale jakoś te próżnostki, ambicyjki, zawiści mniej na jaw występują i mniej szkodzą".

Być może; za to gdy Żydzi opowiadają chrześcijanom o miłosiernych swych stowarzyszeniach, zdawałoby się jakby wynagrodzić sobie chcieli owe zbyt długie tłumienie próżności; drażniąca, czasem aż obrażająca chełpliwość raz po raz na pierwszy plan się wypycha. Lecz to już raczej rzecz smaku i wychowania; przypatrzywszy się naocznie zachwalanym instytucyom, wyznać trzeba, że bądź co bądź, i choć własne owe pochwały źle z góry usposobią, niejednego można się z nich nauczyć, niejedno zasługuje na szczere uznanie.

Wejdźmy np. za uprzejmym a dość wpływowym przewo-

Stowarzyszenie ku wsparciu uczniów szkół ludowych wyznania mojżeszowego, rozdaje zapomogi, stara się o udzielanie bezpłatnych lekcyj ubogim uczniom, wypożycza książki. Członków zwyczajnych 130, honorowych 2.

„Menachem Abelim" (Stowarzyszenie dla pocieszania i wspierania biednych zasmuconych Izraelitów), odwiedza, pociesza i wspiera biednych, którzy po śmierci krewnych powinni przez dni siedm w domu żałobę obchodzić. Członków 400.

„Hisaharu bibne aniim" (Opiekujcie się synami ubogich) umieszcza biednych chłopców u rzemieślników, w handlach, fabrykach lub innych zakładach; stara się dla nich o odpowiednie utrzymanie, wychowanie i wykształcenie. Członków zwyczajnych 268, honorowy 1.

Stowarzyszenie „Kuchni rytualnej" dla Izraelitów zostających w szpitalach publicznych, dostarcza chorym Żydom pożywienia zdrowego i przyrządzonego według rytualnych przepisów. Członków 50.

Stowarzyszenie izraelickie przeciw zubożeniu i żebractwu. Członków 60.

Stowarzyszenie ku wspieraniu biednych i chorych subjektów handlowych wyznania mojżeszowego. Członków 150.

Stowarzyszenie ku zaopatrywaniu ubogich uczennic wyznania mojżeszowego w odzież i obuwie. Członków 201.

Galicyjskie izraelickie stowarzyszenie dobroczynności, wspomaga Izraelitów z Galicyi i W. Księstwa Krakowskiego, chcących emigrować do Palestyny. Członków 45.

Krakowska filia związku „Sion" austryackich stowarzyszeń dla kolonizacyi Syryi i Palestyny, dopomaga biednym Żydom bez zajęcia, pragnącym wywędrować do Palestyny. Członków 110.

Pomoc szkolna w Krakowie, zaopatruje biedne uczennice wyznania mojżeszowego w książki i przybory szkolne. Członków zwyczajnych 120, honorowych 10.

dnikiem, aby wszystkie bramy wszystkich żydowskich zakładów stały przed nim otworem, do „domu sierót“ na Dietlowskiej ulicy. Plan zwiedzenia ochronki, jak wogóle plan całej tej wycieczki, powstał w ostatniej chwili; więc mowy być nie może o jakichś poprzednich ostrzeżeniach, przygotowaniach. Tem bardziej też w oko wpada niezwykła w tej mierze, nawet w bardzo wzorowych zakładach, czystość i porządek w salach przeznaczonych do nauki, w kuchni, przedewszystkiem w sypialniach. Dzieci jest około 50, w wieku od pięciu do trzynastu lat. Nieco starsze uczęszczają do miejskiej szkoły; w domu uczą się osobno języka hebrajskiego, po ukończeniu szkoły zarząd ochronki wynajduje swym wychowankom miejsce w sklepie lub warsztacie i przez lat parę roztacza tam jeszcze nad niemi swą opiekę. Do zarządu

---

„Asifas Skenim“ (Izraelickie towarzystwo opieki dla starców i kalek). Członków zwyczajnych 650, honorowych 2.

Stowarzyszenie Pań dla wychowania biednych sierot żydowskich. Członków 500.

„Binai-Brith“ (Solidarność) ma na celu umysłowe i moralne kształcenie się, udzielanie pomocy radą i czynem, udzielanie opieki w razie choroby. Członków 150.

„Ause Chail“ wspiera biednych wysłużonych żołnierzy wyznania mojżeszowego. Członków zwyczajnych 120, wspierających 63.

„Ause Chail“ w Podgórzu. Członków 132.

„Noz Tamid“ utrzymuje w synagodze wieczne światło i udziela członkom zapomóg. Członków 60.

Drugie podobne z tymże samym celem stowarzyszenie. Członków 90.

Trzecie takież stowarzyszenie powstało w ostatnich miesiącach.

„Schijr“ (Czas poświęcony kazaniom) ma na celu wygłaszanie kazań każdego wieczora i specyalnie każdej soboty, udzielanie zapomóg, zapalanie światła w rocznicę śmierci członków. Liczy 105 członków.

„Bach“ związek dobroczynny, udziela wsparcia i urządza wspólne modlitwy. Członków 45.

„Scheeires Benei Eminu“, utrzymuje dom modlitwy dla członków i udziela zapomóg. Członków 78.

„Kweitem“ (Czas) stara się o kazania, urządza modlitwy za spokój dusz zmarłych członków, udziela zapomóg. Członków 80.

Dla dokładności tego obrazu należałoby jeszcze przytoczyć, jakimi funduszami stowarzyszenia te rozporządzają i jakie mniej więcej rocznie rozdają zapomogi. Niestety! zebrać w tej mierze jakkolwiek dokładne daty przedstawia w praktyce tak wielkie trudności, że piszący wolał z góry z dat tych zrezygnować, niż podać wręcz niedokładne, a może czasem i wprost fałszywe.

należy pewna liczba pań żydowskich; delegatkami ich w samejże ochronce są dwie kobiety: matka i córka, które wzięły na siebie cały ciężar właściwego rządzenia i obsługiwania ochronki. Matka bardzo słabo i z trudnością mówi po polsku; córka wyraża się zupełnie poprawnie i wogóle na każdym kroku znać na niej, że należy do młodszej, wypolerowanej w polskiej szkole generacyi. Czy i jak podołać mogą wziętemu na swe barki zadaniu, to już ich sekret, tem większy, że córka trudni się w dodatku krawieczyzną. Czy wewnętrzny porządek do zewnętrznego się dostraja; czy i jak obie te panie zwracają i zwrócić są w stanie uwagę na moralność, na wykształcenie serca i sumienia swych pupilów? Pytanie nasuwające się mimowoli, ciekawe, a na które jedynie opiekuńczy komitet daćby mógł jasną odpowiedź, gdyby oczywiście uznał za stosowniejsze i pożyteczniejsze nie przejść nad niemi do porządku dziennego.

Przytułek dla biednych izraelickich starców mieści się tymczasowo w szczupłem ubogiem zabudowaniu i daje schronienie i pożywienie około 30 starcom płci obojej. Stosownie do statutu najmłodsi liczyć muszą przynajmniej lat 60. Utrzymanie jest skromne, ale wystarczające: rano ciepła zupa z bułką; w południe mleko, kawa, kawałeczek mięsa; wieczorem kawa. Wśród starców, którzy znajdowali się w przytułku, za moich w nim odwiedzin, widziałem byłych rzemieślników, portyerów, drobnych kupców, nauczycieli. Żebranina w mieście zakazana im jest bardzo surowo „pod rygorem natychmiastowego wydalenia i odebrania sukien zakładowych“. Niezadługo stanąć ma wspaniały, obszerny budynek, w którym znaczniejsza liczba biednych żydowskich starców znajdzie umieszczenie i możliwe wygody. Będą piękne mury, będą pieniężne zasoby i chleb codzienny i suknia ciepła; nie będzie tego, co nadaje właściwą cechę tego rodzaju katolickim zakładom i przemienia je dla opuszczonych biedaków jakby w drugi, może właściwie w pierwszy prawdziwie dom rodzinny, nie będzie — Sióstr Miłosierdzia.

Brak ten jeszcze dotkliwiej daje się czuć w żydowskim szpitalu na Kazimierzu. „Chcemy, aby u nas było po europejsku“, mówi zarządca szpitala, i znać to pragnienie i staranie się. Dość

czysto, niezbyt niewygodnie, ale jakoś pusto, zimno, a wciąż wątpliwość się nasuwa: Czy też wszyscy ci płatni dozorcy, dozorczynie mają miłosierdzie i wyrozumiałość dla nieszczęśliwych chorych? Dzisiejszy szpital nie wystarcza zresztą potrzebom. Żydowska gmina nosi się z myślą zbudowania osobnego szpitala dla chorych zakaźnych, a oprócz niego pragnęłaby wystawić szpitalik dla dzieci. Tylko przyklasnąć należy tym pięknym zamiarom i wyrazić w imieniu katolików przekonanie, że magistrat, wbrew pewnym obawom krążącym w żydowskich kołach, nie omieszka w miarę potrzeby i wedle możności przyjść im z pomocą.

Oto w pobieżnem streszczeniu odpowiedź na pytanie: Co robi się dziś w Krakowie, aby nędzę, wszystkiemi porami się cisnącą, jeśli nie zupełnie usunąć, to zredukować ją do możliwie minimalnych rozmiarów; co robi się urzędowo, i nie urzędowo, w społeczeństwie katolickiem i społeczeństwie żydowskiem. Czy to już wszystko, co zrobićby można i trzeba; czy nawet tymi samymi środkami, które dziś miłosierdzie krakowskie ma do rozporządzenia, nie możnaby zrobić o wiele więcej i lepiej?

XI.

Co dziś najpilniejsze?

Od dawna, niechybnie od tak dawna, jak sięga pamięć najstarszych mieszkańców Krakowa, sypią się, niby z rogu obfitości, plany, planiki zreformowania, zorganizowania publicznej i prywatnej krakowskiej dobroczynności. Przerzucając z wolna stare roczniki *Czasu*, spotykamy się raz po raz z tym tematem; każdy świeżo powstały organ, choć pobieżnie o niego zaczepia; pokazują się, przynajmniej raz na parę lat, osobno i wyłącznie poświęcone mu broszury; przeróżne korporacye, stowarzyszenia, rady, miejskiej Rady bynajmniej nie wyjmując, postanawiają peryodycznie dokładniej nad nim się zastanowić, wyrażają przekonanie, że ostatnia pora na seryo z piekącą tą kwestyą się rozprawić. To samo zdanie, w silniejszych jeszcze zazwyczaj słowach wyrażają w poufnych rozmowach wszyscy żywiej zaj-

mujący się krakowskim pauperyzmem, dokładniej i bliżej znający krakowską dobroczynność.

„Sprawa ubogich — pisał hr. Dębicki przed przeszło szesnastu latami[1] — stoi dziś na porządku dziennym; jest, że tak powiemy, aktualnością obecnej chwili... Rzecz słuszna, że kiedy podwaja się ofiarność w mieście, a nędza nie ustaje, obudziła się także troska o należyte pokierowanie miłosierdziem publicznem. Od dawna zajmowano się zbadaniem przyczyn pauperyzmu, a myśl zjednoczenia działań różnych instytucyj nie jest nową. Poruszał ją przed laty senator Hoszowski; podjął ją później badawczy i płodny w inicyatywie umysł d-ra Dietla, a przeprowadzenie jej, jak wielu innych projektów, stało się spuścizną jego następcy d-ra Zyblikiewicza...“

Nieszczęściem i Zyblikiewiczowi nie starczyło czasu do przeprowadzenia zamierzonej organizacyi. Odtąd w Wiśle niemało upłynęło wody, ale sprawa pożądanej reformy, która już już zdawała się blizką urzeczywistnienia, nie posunęła się ani o krok naprzód, przestała nawet w tym stopniu co dawniej, zajmować umysły. A przecież, jak dawniej, tak dziś wszyscy się godzą, że to sprawa pierwszorzędnej wagi, że jakaś reforma, mniejsza na razie o to, w jakich rozmiarach i w jakim kierunku, konieczna, niezbędna.

„Rozumiem — powtarza niemal że temi samemi słowami kilku specyalistów w sprawie krakowskiego miłosierdzia — pojmuję, że myśl zupełnej centralizacyi wszystkich miłosiernych naszych instytucyj nie może liczyć na powodzenie, a kto wie, czy z niejednego względu nie byłaby szkodliwą. Ale jeżeli już nie centralizacya, nie jeden wspólny zarząd, na który ze względu na swe statuty i autonomię, największa część stowarzyszeń prawdopodobnieby się nie zgodziła; czyż nie może być między niemi wzajemnego porozumienia, ciągłej, pewnemi stałemi przepisami określonej komunikacyi? Temu ani statuta, ani autonomia nie staną na przeszkodzie...“

---

[1] „Słowo o biednych i o dobroczynności w Krakowie“. W Krakowie 1880. Str. 3.

„Ja np. — wyjaśnia bliżej swą myśl pewien czcigodny kapłan — mam osobną książkę, w której zapisuję sobie każdego ubogiego, co się do mnie zgłasza, i któremu udzielam zapomogi. Książka ta oddała mi już niesłychane usługi, wykryła niejednego oszusta, niejednego, który poszedł na chleb żebraczy, nie z potrzeby, lecz z lenistwa. Czyż nie możnaby utrzymać tego rodzaju ewidencyi ubogich, zwłaszcza wspieranych przez różne stowarzyszenia, aby zdrowi, leniuchy nie zabierali innym chleba; aby nawet rzeczywiście ubodzy otrzymali wsparcie w miarę potrzeby a nie stosownie do mniejszej lub większej zręczności, żywszej lub mniej żywej obrazowości w przedstawieniu swych potrzeb?“

Takie wzajemne porozumiewanie się miłosiernych stowarzyszeń i instytucyj istnieje już zaprowadzone na szeroką skalę w wielu np. niemieckich miastach a nawet prowincyach; istnieje i bardzo piękne owoce przynosi w takiem mieście jak Paryż; czemuż to, co możliwem jest w olbrzymim Paryżu, nie mogłoby się dać przeprowadzić w Krakowie? — Inne pytanie, kto i w jaki sposób miałby to porozumienie w życie wprowadzić, kto i jak kierować tą niemałą i nielekką machiną?

Kto? — Czy Rada miejska? — Dają się słyszeć takie głosy z poważnych ust i z całym naciskiem wypowiedziane; ale o wiele powszechniejsze i silniejsze głosy wręcz myśli tej się sprzeciwiają. Byłoby to pewnego rodzaju upaństwowieniem miłosierdzia, które dotąd nigdzie mu jeszcze na dobre nie wyszło; byłoby oddaniem spraw nieraz niesłychanie delikatnej natury, wymagających obustronnego najgłębszego zaufania, w ręce urzędników płatnych, obarczonych tysiącznymi innymi ciężarami, i co do których choćby wszyscy byli idealnej uczciwości, sumienności i pracowitości, żądać niepodobna, aby wszyscy zarówno mogli się dostroić do poruczonego sobie arcytrudnego zadania.

A jeśli nie Rada miejska, nie komisya z jej łona wydelegowana, bo tu identycznie te same racye w grę by wchodziły, to kto?

Któż inny — odzywa się z różnych stron ta sama odpo-

wiedź — jak nie sameż zarządy miłosiernych stowarzyszeń i instytucyj; ich prezesi, starsi, dyrektorzy? Niema z pewnością między nimi ani jednego, któryby nie był za takiem porozumieniem się wszystkich stowarzyszeń; chodzi o to, aby wszyscy zebrawszy się na wspólną naradę, wytknęli ogólne linie, na podstawie których przyjśćby mogło do skutku i pierwsze porozumienie i następne ciągłe porozumiewanie się. Może wynikiem tych narad byłoby założenie centralnego biura, w którem znajdowałaby się księga z nazwiskami ubogich wspieranych przez poszczególne stowarzyszenia; w którem każdy zasięgnąćby mógł odnośnych informacyj o osobach żądających pomocy; ubodzy znowu, w gwałtowniejszych zwłaszcza wypadkach, znaleźćby mogli obfitsze, do potrzeb swych zastosowane wsparcie. Może powstałaby osobna stała komisya, złożona z delegatów różnych stowarzyszeń, której zadaniem byłoby sprowadzanie ich czynności do pożądanej harmonii; zwracanie ich działalności w tę stronę, w której w danej chwili największa bieda materyalna lub moralna? Może wśród i wskutek narad wydobyłaby się na wierzch inna, praktyczniejsza myśl. Tak czy inaczej, żadne ze skonfederowanych stowarzyszeń nie uroniłoby ani jednej kropelki z przysługujących sobie praw, z swej autonomii; przybyłoby im wprawdzie i to w pierwszych miesiącach, zanimby nowa maszyna nie zaczęła należycie funkcyonować, trochę pracy, trochę zachodu, ale wynagrodziłoby im to stokrotnie przeświadczenie, że podejmowane trudy i wydawane fundusze posuwają się po możliwie najwłaściwszych torach. Więc czemużby nie spróbować; czemuż raz wreszcie nie przystąpić do praktycznego wykonania tego, o czem tak dawno na wszystkie tony się głosi, co już pochłonęło tyle stosów zadrukowanego papieru?

Pewnego rodzaju koncentracya, doprowadzenie do wzajemnego porozumienia się wszystkich przynajmniej katolickich stowarzyszeń i instytucyj miłosiernych w Krakowie, to pierwszy i najgłówniejszy punkt, którego załatwienie gwałtownie jest potrzebne. Inne zmiany, reformy, udoskonalenia wypłynęłyby następnie same z tego źródła.

Ci skarżą się, że miłosierdzie publiczne nie zwraca dość

uwagi na głód i potrzeby dzieci; tamci podnoszą potrzebę domów pracy, wskazują na setki szwaczek przymierających z głodu; inni malują piękne obrazy stawianych za granicą gospód dla wędrujących rzemieślników i pytają: Czemuśmy dotąd o takich gospodach nie pomyśleli? — jeszcze inni kładą główny nacisk na znaczne jałmużny, tonące w niepowołanych rękach, niedość przezornie rozdzielane; żalą się: nie ci najhojniej są wspierani, którzy najbardziej wsparcia potrzebują, ale ci, którzy najsprytniej umieją litość obudzić.

Wszystkie te i wiele innych postulatów i żalów, przychodzą uzbrojone od stóp do głów argumentami, zaczerpniętymi z arsenału i teoryi i praktyki; wszystkie istotnie, zupełnie nawet na zimno rzeczy biorąc, nie są bez racyj i to poważnych racyj. I to pewne, że ani wszystkim od razu nie można zadość uczynić; ani nie byłoby dobrem — a raczej mniej eufonicznie się wyrażając — nie jest dobrem, że i najszlachetniejsze usiłowania na tej drodze, podejmowane są bez wytkniętego z góry planu, i tak często zależne więcej od chwilowego wrażenia, niż od rzeczywistej potrzeby. Gdyby istniał tylekrotnie projektowany centralny komitet krakowskich dzieł miłosierdzia, mógłby, co najmniej, autentycznie informować szlachetnych fundatorów, dobroczyńców i zwracać kolejno dobre ich chęci tam właśnie, gdzie najcięższa ich bieda; tam, gdzie w długim szeregu miłosiernych instytucyj, najdotkliwsza luka.

Powtórzmy raz jeszcze, jako pewnego rodzaju ostateczny rezultat tych, nieco przydługich, dla niejednego może przykrych, nużących studyów, bo na nędzę i to czarną nędzę, patrzeć bądź co bądź nieprzyjemnie; powtórzmy: Jeżeli chcemy, aby piękny, potężny, lecz trochę samopas błąkający się strumień krakowskiego miłosierdzia stawił potężniejszą niż dotąd zaporę nędzy i bolesnym jej skutkom; jeżeli pragniemy, aby tyle zdziałał, ile zdziałać jest w stanie, musimy, wbrew wszelkim niezaprzeczalnym trudnościom i przeszkodom przystąpić do gruntownego uregulowania go. Niech krakowskie zwłaszcza pisma i dzienniki zapomną tu przynajmniej, że różnych stronnictw są organami; niech wciąż zgodnie aż do skutku myśl tę rozdmuchują i nie

pozwalają zagasnąć wydobytej raz z popiołów iskrze. Niech „Czytelnia katolicka“, w której spotykają się wybitniejsi członkowie wszystkich wybitniejszych katolickich stowarzyszeń, postara się o dokładniejsze przedyskutowanie tej sprawy, może o wypracowanie szczegółowego programu! Niech prezesowie starszych i poważniejszych instytucyj zwołają kolegów na wspólną konferencyę i zastanowią się z nimi, jakie wzajemne porozumienie i w jakich granicach dałoby się przeprowadzić...

Tyle ofiar społeczeństwo łoży z czasu, z pieniędzy na ołtarzu miłosierdzia; czyż zawahaćby się można przed złożeniem drobnej jeszcze asekuracyjnej niejako wkładki, dającej zapewnienie, że ofiary te nietylko nie pójdą na marne, ale użyte zostaną na najwłaściwszej drodze, na to, co najpilniejsze, co najważniejsze?!

Ks. Jan Badeni.

SĄDOWNICTWO NA ŻMUDZI.

(Dokończenie).

II.

Izba sądowa wileńska, do której należy wyższa władza sądowa w gubernii kowieńskiej, składa się z prezesa głównego, prezesów departamentów, sędziów i prokuratora wraz z jego pomocnikami. Od samego początku aż do listopada r. 1895 prezesem był aż nadto dobrze znany p. Stodolskij; jest to gorliwy rusyfikator oraz nie mniej gorliwy obrońca władzy, która wedle niego mylić się nie może, ale człowiek uczciwy, rozumny, prawnik dobry, dbały o godność i niezależność sądownictwa, a bałwochwalczo przestrzegający form i ceremonij porządku sądowego. Nie cieszył się on ani szacunkiem, ani uznaniem wśród ogółu przeważnie z powodu swych poglądów na treść i znaczenie władzy; poglądów, które często wyrażały się w wyrokach sądowych, wydawanych pod jego naciskiem. Zachowanie się Stodolskiego w sprawie krożańskiej było dla wszystkich miłą niespodzianką; za to jedno przebaczono mu chętnie wykroczenia poprzednie i pożegnano z szacunkiem i uznaniem. Warto tu nadmienić, że pomimo wszelkich nalegań ze strony Kochanowa i Orżewskiego nie dopuścił on zakazu języka polskiego w sądach. Prezesem po nim został p. Karnowicz, były prokurator. Nic szczególnego o nim powiedzieć jeszcze nie można, bo się

niczem nie wyróżnił, ale jako prokurator poskramiał bardzo skutecznie zbytnią gorliwość żandarmeryi i policyi, wymagając zawsze dowodów, nim wydawał rozkaz zrobienia rewizyi politycznej. Prezesowie departamentów niczem szczególnem nie wyróżniają się; pośród sędziów słyną z rozumu, uczciwości i wielkiej znajomości prawa pp. Kobeko i Jewreinow. Prokuratorem Izby sądowej jest p. Szczerbaczow. Prokurator Izby sądowej z wielu względów posiada znaczenie bardzo poważne; wedle prawa kieruje on dochodzeniami administracyjnemi w sprawach politycznych. Ani jedna rewizya polityczna nie może być dokonaną przez żandarmów, chyba na mocy jego rozkazu, oraz z udziałem przedstawiciela prokuratoryi i świadków; ponieważ takie rozkazy wydawane są tylko na pewnych podstawach, przeto rewizye polityczne zdarzają się bardzo rzadko, zresztą kraj jest spokojny. Warto dodać, że prokuratorya nigdy nie zgodziła się na to, aby w rozpowszechnianiu druków zakazanych litewskich widzieć przestępstwo polityczne. Rozumie się, udział w dochodzeniach administracyjnych w sprawach politycznych prokurator Izby sądowej zleca albo swym pomocnikom, albo podprokuratorom sądu okręgowego.

Sąd okręgowy mieści się w Kownie; jego jurysdykcya rozciąga się na całą gubernię. Składa się on z prezesa, trzech wiceprezesów i 13 sędziów. Przy sądzie istnieje urzędowy tłumacz przysięgły. Prokuratorem jest p. Uljanin, człowiek uczciwości nieskazitelnej, ludzki, rozumny i bardzo dobry, ale zbyt ociężały; choć ta ostatnia okoliczność w naszych stosunkach bywa niekiedy korzystną. Z powodu pilnego przestrzegania prawa obowiązującego prowadzi on zaciętą walkę z administracyą, której uznaniem nie cieszy się. Jego osobistym nieprzyjacielem był p. Klingenberg, gubernator, z którym miewał bardzo ostre utarczki; nagrody zwykle omijają go, ale człowiek ten mało dba o to. Znanem jest bardzo dobrze zachowanie się p. Uljanina w sprawie krożańskiej; cieszy się on ogólnem uznaniem i szacunkiem, chociaż jest z przekonań rusyfikatorem radykalnym. Podprokuratorów jest 11; oprócz obowiązków ogólnych, siedmiu z nich

stawia swe wnioski w sprawach karnych, toczących się w tyluż zjazdach sędziów pokoju; mają też polecony nadzór nad więzieniami i t. d. Do prokuratoryi należy dozór nad dochodzeniami sądowemi w sprawach karnych; sędziowie śledczy w zasadzie są od niej niezależni, ale faktycznie dzieje się inaczej, bo niema ani jednego sędziego śledczego, są zaś tylko urzędnicy sądowi, spełniający obowiązek sędziów śledczych, co podaje ich w zależność od władzy sądowej. Sędziowie śledczy wogóle nie cieszą się ani uznaniem, ani szacunkiem; wśród nich można spotkać sporo ludzi, prowadzących na swoją rękę politykę rusyfikacyjną. Dość często można słyszeć o rozmaitych wykroczeniach i nadużyciach; niektórym nawet opinia publiczna zarzuca łapownictwo, co wszakże ściśle udowodnionem jeszcze nie zostało. Pomijam brak znajomości życia, warunków miejcowych i języka, oraz dość często prawa, bo tę posadę zajmują aplikanci sądowi zaraz po ukończeniu aplikacyi; jest to pierwsza posada, którą może otrzymać t. zw. starszy aplikant sądowy. Rozumie się, że sąd posiada własną kancelaryę oraz kilku aplikantów, którzy po ukończeniu studyów prawnych sposobią się do karyery sądowniczej. Dla egzekucyi wyroków w sprawach cywilnych oraz utrzymania porządku w czasie posiedzeń publicznych istnieją t. zw. komornicy sądowi, którzy muszą składać kaucyę. W każdem mieście powiatowem mieszka jeden taki komornik.

W pewnej zależności od sądu, a bardzo ścisłym związku z nim pozostaje notaryat. Notaryusz starszy, do którego należy oblatowanie aktów wszelkich, mieszka w Kownie, inni zaś notaryusze w miastach powiatowych i miasteczkach ważniejszych; jest ich 18. Wszyscy oni składają kaucye, których wysokość zależy od warunków miejscowych. Określa ją w każdym wypadku poszczególnym minister sprawiedliwości wedle norm przepisanych prawem.

Wprowadzenie jawności rozpraw sądowych wznowiło u nas adwokaturę, nieznaną już od roku 1840. Wedle prawa adwokaci dzielą się na adwokatów przysięgłych (mecenasów) i ich pomocników. By zostać adwokatem trzeba ukończyć studya prawne lub złożyć egzamin odpowiedni przed osobną komisyą

przy jakiejkolwiek wszechnicy rosyjskiej i odbyć pięcioletnią praktykę adwokacką. Czasowo jednak wolno byłym urzędnikom sądowym, chociażby i nie prawnikom z wykształcenia, zajmować się adwokaturą. Adwokaci przysięgli każdego okręgu sądowego stanowią korporacyę osobną, posiadającą samorząd, do której można być przyjętym tylko na mocy uchwały t. zw. rady adwokatów przysięgłych; wszakże okręg sądowy wileński nie posiada jej. Czynności tej rady, przynajmniej niektóre, załatwia Izba sądowa, ale ta okoliczność, uniemożliwiając pilne przestrzeganie podstaw etyki profesyonalnej, niewątpliwie obniża poziom adwokatury krajowej. Dość tu przytoczyć, że w Kownie dotąd pozostaje adwokatem pewien Rosyanin, pomimo swego postępowania, nielicującego nietylko z etyką profesyonalną, ale nawet z ogólno-ludzką. Jest to współpracownik *Moskowskich Wiedomostiej* i innych organów „patryotycznych", prowadzących walkę zaciętą z prawdą; z tego powodu toleruje go poniekąd sąd, nie chcąc wywoływać wielkiego hałasu na „ucisk adwokatury rosyjskiej"! Drugiemu mecenasowi, także Rosyaninowi z pochodzenia, sądownie wzbronioną została praktyka na rok. Był też mecenasem jeden Niemiec, człowiek uczciwy i rozumny; wybrano go na burmistrza w Kownie. Reszta mecenasów to Polacy; wśród nich wyróżnia się gruntowną znajomością prawa i uczciwością p. Bociarski. W powiecie nowo-aleksandrowskim mieszka mecenas p. Łapin, w Poniewieżu zaś p. Ludkiewicz. Wogóle z pośród 16 mecenasów jest 12 Polaków, 3 Rosyan i 1 Niemiec. Jeżeli dotąd niema wśród nich ani jednego Żyda, zawdzięczamy tę okoliczność temu, że od lat kilku minister sprawiedliwości ani jednego pomocnika adwokackiego, wyznania Mojżeszowego, nie mianował mecenasem. Za to wśród pomocników adwokatów przysięgłych Żydzi stanowią znaczną większość, a mianowicie z 23 pomocników adwokackich jest 14 Żydów i 9 Polaków. Wogóle Żydzi pomocnicy adwokaccy cieszą się opinią bardzo nieszczególną... z powodu zbyt częstych wykroczeń przeciwko etyce profesyonalnej. Wszyscy oni (z wyjątkiem jednego) należą do t. zw. *ruskich jewrejew*, dla nas i dla ogółu starozakonnych tak wstrętnych! Oprócz adwokatów rzeczywistych, jeśli

można się tak wyrazić, istnieją jeszcze t. zw. obrońcy prywatni, którzy mogą prowadzić sprawy nawet w sądach ogólnych, złożywszy egzamin odpowiedni oraz pewne opłaty. Przy sądzie okręgowym kowieńskim mamy ich 6, mianowicie: 4 Polaków, byłych urzędników dawnych sądów, 1 Żyda i 1 Rosyanina. Są też obrońcy prywatni przy sądach pokoju; winni oni złożyć egzamin, opłacić corocznie 40 r. i przedstawić świadectwo dobrego prowadzenia się, które wydają urzędy stanowe. Prezes zjazdu ma prawo w każdej chwili pozbawić ich prawa praktyki obrończej. Obrońców prywatnych w styczniu z. r. było 79, a mianowicie: Polaków 27, Żydów 49 i Rosyan 3. Nie cieszą się oni wogóle dobrą opinią, zwłaszcza Żydzi; naturalnie — są wyjątki.

Sądownictwo niższe należy do sądów pokoju, instytucyi zapożyczonej z Anglii. Są to sądy ściśle miejscowe, w zasadzie autonomiczne, nad któremi w zakresie administracyjnym rozciąga swój nadzór Izba sądowa wileńska. Wyroki ich podlegają rozpatrzeniu w drodze kasacyjnej przez sąd najwyższy (kasacyjne departamenty senatu). Sądy pokoju spoczywają w ręku sędziów osobnych, zwanych sędziami pokoju. Są oni mianowani przez ministra sprawiedliwości, a zupełnie niezależni od administracyi miejscowej. Sędzia pokoju może nawet rozstrzygać wszelkie sprawy na mocy skarg ustnych i na każdem miejscu, byle tylko miał na sobie oznakę swej godności (łańcuch złoty z medalem, na którym istnieje napis stosowny). Sądzi on wszelkie sprawy publicznie i ustnie, wydaje zaś wyrok na mocy materyału faktycznego, otrzymanego na posiedzeniu sądowem. Tylko bardzo nieliczne sprawy, obrażające przyzwoitość publiczną, należy rozstrzygać z wykluczeniem jawności. Wyroki ostateczne zapadać mogą w sprawach cywilnych, w których t. zw. wysokość powództwa nie przenosi 30 r., oraz karnych, jeżeli kara nie przekracza 3 dni aresztu policyjnego lub 15 rubli grzywny; na wszelkie inne wyroki można zanosić skargi apelacyjne do zjazdu. Zjazd składa się z sędziego, członka stałego, wszystkich sędziów pokoju oraz tych z pośród sędziów honorowych, których zawezwie prezes; prezesa mianuje z pośród sędziów minister sprawiedliwości na lat 3. Sędziowie honorowi *(poczotnyje mirowyje*

sudyj) są mianowani przez ministra sprawiedliwości z pośród mieszkańców miejscowych. Mogą oni uczestniczyć w posiedzeniach zjazdu i sądu okręgowego, jeżeli ich zaproszą, oraz rozstrzygać wszelkie sprawy cywilne w charakterze sędziów polubownych; to ostatnie prawo przysługuje też rzeczywistym sędziom pokoju. Każdy powiat posiada swój osobny zjazd sędziów pokoju, bo stanowi u nas osobny okręg sądowy. Jego posiedzenia odbywają się zwykle raz w miesiąc w mieście powiatowem i trwają dni kilka. Posiedzenia są zawsze publiczne i jawne z nader nielicznemi wyjątkami. Świadkowie zeznania swoje stwierdzają przysięgą (u sędziów pokoju zobowiązaniem się na piśmie stwierdzenia zeznań przysięgą); w niektórych sprawach ważniejszych podprokurator stawia swe wnioski w zakresie wymiaru kary, lecz nie oskarża. Wyroki są ostateczne; zanosić na nie można tylko skargi kasacyjne. Do zjazdu też należą skargi incydentalne na poszczególnych sędziów. Każdy zjazd posiada własną kancelaryę, składającą się z sekretarza i jego pomocnika; ma on też kilku komorników sądowych, utrzymujących porządek w czasie posiedzeń publicznych i egzekwujących wyroki, zapadłe w sprawach cywilnych.

Sędziowie pokoju nie cieszą się uznaniem ludności miejscowej; stale a słusznie zarzucają im nieznajomość stosunków miejscowych, stronniczość narodowościową i społeczną w wyrokowaniu, politykowanie na własną rękę, lekceważenie publiczności i jej uczuć, brak znajomości prawa oraz dość często łapownictwo, najrozmaiciej upozorowane. Faktem jest, iż nadużycia rozmaitego rodzaju dzieją się dość często, co dosadnie stwierdziły postanowienia prezesa Izby sądowej, wileńskiej oraz procesa sądowe. Bywało, że taki sędzia odznaczał się nietylko niepospolitem zdzierstwem, ale wprost defraudacyą i kradzieżą. Zdarzało się również, że nie dozwalał z zasady zeznawać świadkom ani po polsku ani po litewsku, rozkazując w tych razach zapisywać do protokółu, że świadkowie odmówili złożenia zeznań. Nawet świadkom nieumiejącym ani słowa po rosyjsku, kazano w tym języku składać przysięgę przed sądem, bo duchownych nieprawosławnych usunięto od jej przyjmowania.

Pozostaje mi teraz skreślić słów parę o narodowości i stopniu wykształcenia urzędników sądowych. W Izbie sądowej wileńskiej jeden tylko sędzia jest Niemcem; w kowieńskim sądzie okręgowym mamy 15 Rosyan i 2 Niemców; kancelarya tego sądu składa się z 10 Rosyan, 7 Polaków i 2 Niemców; komornicy sądowi są wszyscy Rosyanami. Wśród notaryuszów mamy 14 Rosyan, 1 Polaka (wątpliwego, raczej Litwina, wyznania protestanckiego) i 3 Niemców. Prokuratorya (13 urzędników) składa się tylko z Rosyan. Sędziowie śledczy są prawie wyłącznie Rosyanami; z 33 osób mamy tylko 2 Niemców i 1 Łotysza. W sądach pokoju stosunek narodowościowy jest następny: Sędziów rzeczywistych 31 Rosyan i 3 Niemców, honorowych 16 Rosyan, 11 Polaków i 2 Niemców; sekretarzy i ich pomocników 8 Rosyan i 6 Polaków; komorników 12 Rosyan i 5 Polaków. O wykształceniu sądowników niejakie pojęcie dają fakty następne: Wszyscy członkowie Izby sądowej, prokuratoryi i kancelaryi są prawnikami skończonymi. Gorzej nieco stoi sprawa z wykształceniem osób, wchodzących do składu sądu okręgowego w Kownie; z pośród 17 sędziów 15 ukończyło studya prawne, 1 filologiczne, oraz 1 t. zw. kurs nauk w pułku szlacheckim (niższa szkoła wojskowa z czasów Mikołaja); wszyscy sędziowie śledczy i podprokuratorowie oraz prokurator są prawnikami fachowymi. Wśród 18 notaryuszów mamy prawnika, filologa i lekarza, z pozostałej reszty tylko dwóch ukończyło szkoły średnie, inni zaś niższe lub żadnych. Kancelarya sądowa posiada 13 prawników i 8 wychowańców szkół średnich. Z pośród 11 komorników sądowych tylko dwóch ukończyło szkoły średnie i 6 niższe; reszta nigdzie się nie uczyła.

O wiele niższym jest poziom wykształcenia sędziów pokoju. Mamy wśród nich 22 prawników fachowych, 7 b. gimnazyalistów, oraz 3 b. wojskowych; w dodatku jest sędzia, który nie uczył się w szkole żadnej. Warto jednak nadmienić, że sędziowie nie-prawnicy mianowani zostali już bardzo dawno i w obecnej chwili wyczekują tylko terminu emerytury. Od wielu lat minister mianuje tylko wyłącznie prawników na te posady. *Census* majątkowy posiada tylko p. Rittner, sędzia po-

koju w powiecie wiłkomierskim. Z pośród t. zw. sędziów honorowych tylko 2—3 Rosyan posiada mienie nieruchome, Polacy i Niemcy zaś wszyscy. Z pośród Polaków prawie wszyscy otrzymali wykształcenie prawnicze. Zdarzało się, że sędzia honorowy Polak spełniał czasowo obowiązki sędziego rzeczywistego; bywa też, że dla dopełnienia kompletu wzywają ich na posiedzenia sądu okręgowego w czasie kadencyj powiatowych.

III.

Wedle przepisów prawa Izba sądowa wileńska w miarę potrzeby deleguje osobne wydziały do miast powiatowych dla rozstrząsania spraw karnych. Każdy taki wydział składa się z przewodniczącego, 2 sędziów, podprokuratora i kilku urzędników sądowych. Takie sesye po staremu zowią kadencyami: są one publiczne i odbywają się zwykle raz, dwa razy do roku, w miarę potrzeby. Na nich rozstrzygają się sprawy, wyjęte z pod kompetencyi sądów przysięgłych, oraz niektóre inne. Jeżeli przestępstwo ma pociągnąć ograniczenie praw cywilnych oskarżonych, to w posiedzeniach sądowych muszą uczestniczyć t. zw. przedstawiciele stanów: szlacheckiego, marszałek gubernialny lub powiatowy — miejskiego, burmistrz miasta, w którem sąd odbywa swe posiedzenia — włościańskiego, wójt gminy (starszyna), mianowany przez administracyę. Wogóle w ostatnich czasach jurysdykcya Izby sądowej znacznie wzrosła, ale represya karna nie spotęgowała się, bo w wielu wypadkach sąd koronny z przedstawicielami stanów okazał się pobłażliwszy niż sądy przysięgłych; to ostatnie zwłaszcza stosuje się do oporu władzom i zakłócenia porządku publicznego, których podstawą są zatargi agrarne. Dwie prawie jednakowe sprawy podobne sądzono w Poniewieżu: pierwszą sądziły sądy przysięgłych, drugą zaś Izba sądowa z udziałem przedstawicieli stanów, z powodu oporu z bronią w ręku. W pierwszym wypadku chłopi dzierżawcy, uznając siebie za „wolnych ludzi“, oparli się eksmisyi sądowej, poturbowali urzędników i policyę, a nawet zniszczyli zabudowania dworskie. W drugim zaś dzierżawca dużego folwarku Gostany, uznając siebie za czynszownika wieczystego, zwołał chło-

pów i Żydów na obronę, rozpędził sąd, który zjawił się na eksmisyę, poturbował policyę i czeladź dworską właściciela. Gdy urzędnik sądowy przeczytał wyrok po rosyjsku oraz w przekładzie na języki polski i litewski i rozkazał wyważyć wrota, bo ich nie otwierano, wówczas rozległ się krzyk: *Ratawok mana weikas!* (ratujcie moje dzieci!) W tej chwili posypały się kamienie i cegły, a nawet rozległ się wystrzał; tłum z kołami w ręku rzucił się na policyantów i czeladź dworską. Wywiązała się zacięta bijatyka, w której chłopi zwyciężyli i ścigali kilka wiorst policyantów. Komornik sądowy uszedł szczęśliwie, ale komisarz policyjny dostał się w ręce kobiet, które go ciężko poturbowały i znieważyły; zabitych nie było, ale ranionych okazało się około 60 osób. Nazajutrz władze sądowe na czele batalionu piechoty dokonały aresztowań. Na posiedzeniu sądowem okazało się, że sprawcą całej tej awantury był dzierżawca, niejaki Misiewicz, a wyróżnił się odwagą wójt gminy smilgowskiej, przebrany za kobietę. Tych tylko dwóch skazano na rok więzienia, resztę zaś oskarżonych, w ilości 137 osób, skazano na terminy krótsze. O wiele surowszym okazał się sąd przysięgłych; kilkunastu chłopów skazano do rot aresztanckich, a kilku nawet na osiedlenie na Sybir. Wogóle w sprawach podobnych Izba sądowa wydaje wyroki miłościwe i łaskawe, szykanując zwykle bez żadnego miłosierdzia policyę. Tak np. niedawno w Poniewieżu przewodniczący pytał z ironią komisarza policyjnego, w jaki sposób 3 baby mogły poturbować jego wraz z 5 policyantami? Skończyło się uniewinnieniem oskarżonych. Warto nadmienić, że prawie połowa spraw o opór i nieposłuszeństwo władzy kończy się zwykle w ten sposób.

Izba sądowa rozstrzyga też sprawy o rozmaite nadużycia i malwersacye, popełnione w Towarzystwach kredytowych, bankach i t. d. Z tych najgłośniejszą była sprawa P. P., byłego marszałka szlachty powiatu poniewieskiego, oskarżonego o przywłaszczenie 112.000 rubli z Towarzystwa kredytowo-zaliczkowego w Grużach. Skazano go na osiedlenie na Sybir z pozbawieniem praw. Do kompetencyi tej izby należą też sprawy o nadużyciach urzędników i sądowników; kilku sędziów pokoju ska-

zała już ona na kary rozmaite. Dodam, że Izba sądowa jest instancyą apelacyjną dla tych wszystkich spraw, które sąd okręgowy rozstrzyga bez udziału przysięgłych. Kadencye sądu okręgowego odbywają się zwykle 4 razy w rok, co kwartał; najprzód rozstrzygają się sprawy bez udziału przysięgłych. Z pośród nich uprzednio wyróżniały się sprawy o utrzymywanie szkół potajemnych i wogóle o nauczanie zakazane oraz rozpowszechnianie litewskich druków zakazanych. W tych sprawach poglądy sądu a administracyi wzajemnie prawie sprzeciwiały się; w utrzymywaniu potajemnej szkoły litewskiej sąd upatrywał tylko nieznaczne przekroczenie przepisów administracyjnych, bo nigdy nie chciał uznać, by nauczanie dzieci po polsku lub po litewsku było przestępstwem; wedle jego zdania okoliczności łagodziły nawet znacznie to wykroczenie drobne. W tem tkwi źródło wyroków takich, jak następujące: P. B. utrzymywała szkołę potajemną; wykryto ją, sporządzono protokół, a sprawę przekazano sądowi. Sąd skazał oskarżoną na 50 kop. grzywny, a komisarza policyjnego, który wykrył tę szkołę, za niestawiennictwo na 25 r. kary; dowody rzeczowe kazał zwrócić właścicielce. — Przełożony gminy mahometańskiej w Widzach uczył dzieci języka Alkoranu nie mając pozwolenia. Pociągnięto go do odpowiedzialności sądowej. Sąd okręgowy skazał szlachcica Romana Jakubowskiego, zamożnego właściciela ziemskiego, przełożonego gminy mahometańskiej w Widzach, na 1 rubla grzywny!—Wogóle nie było przykładu, bodaj, by sąd skazał kogobądź za tę winę na karę, przenoszącą rubla. To samo da się powiedzieć o rozpowszechnianiu zakazanych druków litewskich. Były to przeważnie elementarze, modlitewniki, dziełka treści religijnej, gospodarczej, przyrodniczej, opowiadania, powiastki i t. d., wogóle takie, których treść była zupełnie cenzuralną, ale były one drukowane czcionkami łacińskiemi, któremi Murawiew w r. 1865 zabronił posługiwać się w drukach litewskich. Wszakże t. zw. rozporządzenia Murawiewowskie sankcyi prawnej nie posiadają, przeto sądy uznają je dla siebie za nieobowiązujące. Wychodząc z tego założenia, karały one tylko za przywiezienie książek dozwolonych z zagranicy bez zawiadomienia o tem komory celnej. Wedle prawa *maximum* kary za

to wykroczenie wynosi 50 kop. grzywny od każdego egzemplarza. Skazywano więc winnych zwykle na bardzo małe grzywny, które też sądy zastępowały aresztem policyjnym. Sprawy te od lat kilku ustały już zapełnie, bo administracya nie przekazuje ich sądom; prawo z roku 1892 usunęło z pod ich kompetencyi wszystkie sprawy o nauczanie zakazane, przekazując je administracyi.

Dziś najliczniejszą kategoryę spraw, sądzonych bez przysięgłych, stanowią sprawy o pożycie nieślubne, uwiedzenie i złamanie wiary małżeńskiej; wynoszą one około 25%. W r. z. spraw o pożycie nieślubne toczyło się 274, o uwiedzenie 58, o złamanie wiary małżeńskiej 27, czyli razem 359. Prawo rosyjskie wprawdzie nie zezwala na poszukiwanie ojcostwa, ale 993 art. kodeksu karnego karze pożycie nieślubne karą kościelną, wkładając na mężczyznę obowiązek utrzymania matki i dziecka. Kara ta jest dla nieprawosławnych dobrowolną, bo żadna władza świecka nie może egzekwować wyroków konsystorzów nieprawosławnych, w razie zaś możności sądy zwykle szczodrze zabezpieczają matkę z dzieckiem. Rozumie się, że ta droga stała się powszechnie znaną, bo sądy ludowe skazują w takich razach tylko na odszkodowanie strat, spowodowanych chorobą. Naturalnie, w tych sprawach sądy muszą wyrokować z nadzwyczajną ostrożnością: z 274 spraw podobnych, roztrząsanych w roku zeszłym, w 216 wypadkach zapadły wyroki uniewinniające. Jeszcze ostrożniej zachowują się sądy w kwestyi uwiedzenia, bo niektóre wypadki uwiedzenia pociągają ciężkie kary kryminalne i podlegają kompetencyi przysięgłych, którzy w takich sprawach zachowują się nader ostrożnie. Dziś już sądy przysięgłych straciły swój urok, ale przed niewielu laty jeszcze zjeżdżano się na nie tłumnie, zwłaszcza jeśli sprawa posiadała znaczenie ogólniejsze. Długi czas przysięgli sumienne zjawiali się na kadencye sądowe, lecz potem powoli zaczęto uchylać się od tego obowiązku, tłumacząc się ograniczeniem kompetencyi sądów przysięgłych. Faktycznie jednak to tłumaczenie jest pozornem; główne przyczyny to koszta dość znaczne oraz niechęć. Ta ostatnia okoliczność wyjaśnia uchylanie się syste-

matyczne baronów niemieckich od tego obowiązku. Zawsze stanowiąc nieznaczną mniejszość, czują się oni nieswojsko wśród szlachty polskiej i chłopów litewskich, tem bardziej, że często nie rozumieją rozprawy, prowadzonej zwykle po polsku lub po litewsku; to samo da się powiedzieć o przysięgłych z pośród Rosyan. Wogóle przysięgli z pośród ludności miejscowej stanowią zawsze i wszędzie większość olbrzymią. Żydzi, acz wedle prawa mogą spełniać ten obowiązek, od lat kilku są systematycznie usuwani; tylko wyjątkowo można spotkać nazwisko żydowskie na liście przysięgłych. Na każdą kadencyę sądową wzywa się na mocy wylosowania, którego rezultaty ogłaszają się w *Wiadomościach gubernialnych* raz na rok; naznacza się 30 przysięgłych; każdy musi stawić się lub usprawiedliwić swoją nieobecność przyczynami, wskazanemi przez prawo, jeżeli nie chce zapłacić kary, dochodzącej do 100 rubli. Obecni składają przysięgę, każdy wedle swego wyznania; wolno wszakże składać przysięgę na ręce prezesa, a to w razie nieobecności duchownych lub odmowy. Warto nadmienić, iż nie można wzbronić nieprawosławnym chrześcijanom składać przysięgę na rękę księdza katolickiego, chociaż sądy zwykle zżymają się na to, proponując złożenie jej przed duchownym prawosławnym. Zdarzył się też przykład następny: pewien właściciel ziemski odmówił złożenia przysięgi, motywując ten krok przekonaniami religijnemi; po pięciugodzinnej naradzie sąd dopuścił go do pełnienia obowiązków przysięgłego, zastępując przysięgę uroczystą obietnicą, ustanowioną w prawie dla osób, nieuznających przysięgi religijnej. Dziś przysięgli składają tylko raz jeden przysięgę na całą kadencyę, nie zaś, jak uprzednio, przed każdą sprawą. Zatem prezes wylosowuje 12 przysięgłych rzeczywistych, orzekających kwestyę winy i 2 t. zw. zapasowych; przysięgli rzeczywiści wybierają z pośród siebie przewodniczącego, który musi koniecznie umieć czytać i pisać po rosyjsku. Zwykle bywają nimi obywatele ziemscy, przedstawiciele inteligencyi i t. d., ale zawsze swoi, miejscowi. Znaczną większość wśród przysięgłych stanowią zwykle chłopi bogatsi, posiadający niejakie wykształcenie. Idą oni zazwyczaj za wskazówkami inteligencyi, tylko wyjątkowo

złoty kołnierz podprokuratora wywiera na nich wpływ pewien. Wszakże trudno w pewnych razach zwrócić ich uwagę na okoliczności łagodzące lub nawet znoszące winę; to też wedle ich zdania sam fakt spełnienia winy już przesądza o odpowiedzialności. Wiedzą o tem dobrze adwokaci, to też korzystając z prawa usunięcia 3 przysięgłych, starają się zawsze w sprawach delikatnych, a drażliwych usunąć chłopów.

Wogóle dla naszych przysięgłych istnieją pewne kategorye czynów występnych, które zawsze bywają surowo potępiane, nawet bez uwzględnienia okoliczności łagodzących; są to przeważnie przestępstwa przeciwko prawu własności. Można być z góry zawsze pewnym, że ani jeden koniokrad, ani jeden złodziej nie uzyska werdyktu uniewinniającego. Inaczej natomiast dzieje się w sprawach innych; tam przysięgli są często bardzo wyrozumiali i pobłażliwi. Zdarza się nawet, że anormalność dzisiejszych warunków społecznych wywołuje po prostu bezkarność pewnych czynów występnych, tak obrażających nasze poczucia ludzkie. Konieczność samoobrony prowadzi do tego, że przysięgli systematycznie uniewinniają wieśniaków, oskarżanych o samowolne a nieludzkie rozprawy ze złodziejami, zwłaszcza koni; zabijają ich często na miejscu; pastwiąc się w sposób okropny. Przed paru laty złodzieje zdarli skórę z 3 koni, należących do włościan na N. N.; chłopi ich złowili, zabić nie chcieli, ale każdemu zdarli po 2 pasy skóry z pleców i piersi; przysięgli ich uniewinnili. Uniewinniono też chłopów, którzy zaprzęgli 3 złodziejów jak konie do wozu i przyjechali na nich do urzędu gminnego, oddając ich w ręce sprawiedliwości. Nie mniej smutnym jest fakt, że dzieciobójstwa uchodzą prawie zawsze bezkarnie; dzieciobójczynie bywają systematycznie uniewinniane, bo kary wyznaczone za to przestępstwo przysięgli uznają za zbyt surowe i nieodpowiednie winie. Jeżeli pominiemy te strony ujemne, wywołane brakiem bezpieczeństwa publicznego oraz ułomnościami kodeksu karnego, to okaże się, że 10-letnie doświadczenie stwierdziło najzupełniej ten fakt, że w naszem społeczeństwie sądy przysięgłych mogą działać zupełnie prawidłowo a z wielką korzyścią dla ogółu. Warto nadmienić, że dotąd

wcale nie słychać skarg ani na stronniczość, ani na przekupstwo przysięgłych. Ludność obdarza zupełnem zaufaniem te sądy. Pomiędzy sądem a przysięgłymi, o ile wiem, zdarzył się tylko jeden zatarg mały, zakończony przeproszeniem przysięgłych przez prezesa.

Wogóle działalność sądów nowych przyniosła skutki dodatnie; przedewszystkiem znacznie się wzmogło bezpieczeństwo publiczne, zmniejszyła się liczba kradzieży, zwłaszcza koni i t. d. Sądy prowadzą uporczywą, acz dotąd bezskuteczną walkę z pieniactwem oraz z krzywoprzysięstwem i fałszywemi denuncyacyami. Krzywoprzysięstwo rozwielmożniło się do takiego stopnia, że przeciętnie połowa świadków zeznaje pod przysięgą fałszywie; często zdarza się słyszeć, jak prokurator głośno twierdzi: „Oczywiście, świadkowie zełgali!“ W każdym mieście można wynająć świadków fałszywych, których miejscem pobytu są zwykle szynki i karczmy; są ludzie, którzy z tego żyją. Niema ani jednej kadencyi sądów przysięgłych, któraby obeszła się bez kilku spraw o krzywoprzysięstwo i fałszywe denuncyacye. Nie znają dla krzywoprzysięzców i denuncyantów miłosierdzia ani przysięgli, ani sąd; wszakże surowa represya karna pomaga bardzo mało.

W ciągu 10 lat sąd okręgowy rozstrzygał przeciętnie po 1066 spraw karnych i 2952 cywilnych; te przeciętne znacznie przewyższają liczby spraw karnych i cywilnych 1643, które przypuszczano przy wprowadzeniu reformy sądowej.

Na zakończeniu słów kilka o więzieniach. Mamy ich 8: w Kownie, Wiłkomierzu, Nowo-Aleksandrowsku, Poniewieżu, Szawlach, Telszach, Rosieniach i Tawrogach. W dniu 1 stycznia 1894 roku było uwięzionych 1007 mężczyzn i 185 kobiet, oskarżanych o przestępstwa kryminalne. Tylko więzienie w Poniewieżu odpowiada w zupełności wymaganiom; więzienia w Szawlach i Kownie są jako tako znośnemi, pozostałe zaś znajdują się w stanie opłakanym. W więzieniach: kowieńskiem, szawelskiem, poniewieskiem, telszewskiem i rosieńskiem istnieją kaplice katolickie, w których od czasu do czasu, zależnie od gorliwości proboszczów miejscowych, odbywa się nabożeństwo.

Oprócz więzień zwykłych istnieją t. zw. aresztа dla osób skazanych przez sądy pokoju; takich aresztów mamy 10. Na ich utrzymanie wydaje się corocznie z opłat ziemskich 14.911 r.; zawiadują nimi prezesowie zjazdów sędziów pokoju.

A teraz jeszcze jedno pytanie: czy występność wzrasta? Brak dokładnych wiadomości statystycznych uniemożliwia odpowiedź ścisłą, wszakże rozluźnienie się obyczajności, oraz to głębokie przeobrażenie się w układzie społecznym, niekoniecznie zgodne z postępem uspołecznienia, każą przypuszczać z bardzo wielkiem prawdopodobieństwem odpowiedź twierdzącą. Niewątpliwie pewna warstwa włościańska, która wyróżniczkowała się z ogólnej, szarej, bezbarwnej masy chłopskiej, pomimo wszelkich przeszkód zrobiła znaczne postępy na drodze uspołecznienia i umoralnienia, natomiast zaś inna, niższa, bodaj czy nie cofnęła się wstecz bodaj czy nie dziczeje.

Jan Syrokomla.

Z RUCHU O SZKOŁĘ WYZNANIOWĄ.

Liberalizm wiedeński upada; jeszcze nie dogorywa, ale już schodzi ze stanowiska, na którem przez długie lata rozstrzygał o wyniku obrad w poselskiej izbie austryackiej. O przyczynach jego upadku różni różnie sądzą. Jedni myślą, że ustępuje z pola, ponieważ nie posiadał w sobie dość sił żywotnych, aby podołać obowiązkom naczelnego stronnictwa; inni mniemają, że schodzi z widowni, ponieważ nie szanował praw narodowości, zamieszkałych w państwie rakuskiem. Tę drugą przyczynę wysuwają naprzód ci przedewszystkiem, którzy jeszcze wierzą (szczerze czy pozornie) w wartość liberalnych haseł i chcieliby je ratować przed zarzutem, że się już przeżyły, dowiódłszy braku wszelkich sił żywotnych. Tak właśnie sądzi między innemi organ krakowskiego liberalizmu, tego szczególnego liberalizmu o zasadach postępowo-zachowawczych, który z chlubą raz po raz powtarza: jesteśmy katolikami! a do obowiązków swoich zalicza napaści na Kościół w osobie jego dostojników.

Możnaby ze słów krakowskiego liberalizmu wyciągnąć wniosek, że np. rząd w Budapeszcie popiera narodową pracę zakarpackich Słowian, Niemców i Rumunów, skoro nie upada, ale rośnie w potęgę; albo, że Luegęr dzielnie staje w obronie praw narodowości, zamieszkałych w państwie rakuskiem, kiedy wstępnym bojem wkracza na stanowisko dawniej zajęte przez lewicę. Oba wnioski, nieszczęściem dalekie od prawdy, mogłyby przedstawi-

cielom ducha wolnomyślnego w Krakowie odkryć, co błędnego tkwi w ich poglądzie.

Więc chyba inna przyczyna sprawia, że epoka panowania wolnomyślnych haseł ma się już ku końcowi; hasła te po prostu zawiodły. Lat temu trzydzieści głoszono ludom monarchii, że nie nadejdą dla nich czasy pomyślne, póki w społeczeństwie panuje duch wiary, trzymający na uwięzi myśl każdą. Więc niech ludy skruszą te pęta, niech wolna myśl przeniknie wszystko, od szkolnych podręczników aż do księgi ustaw, niech owieje rozumy i rozwiąże ręce; przedewszystkiem niech zacznie pracować nad umysłami młodzieży w duchu prawdziwego postępu wyzwolona, wolnomyślna szkoła, a wtedy... przyjdą złote czasy, o jakich dawni wieszcze śpiewali.

I przyszedł czas, nie ze złotej przędzy snuty, ale splamiony grubą warstwą coraz więcej mnożących się zbrodni i przestępstw, popełnianych codzień przewrotniej, już przez nieletnią młodzież szkolną. Świeży zeszyt *Revue des deux mondes* straszne składa świadectwo wychowawczym zakładom bezwyznaniowym; niepomiernie wzrastająca liczba występnych niedorostków ohydnie urąga zapowiedziom i wróżbom złotej doby, o której śpiewał duch wolnomyślny. Więc też ludom otwarły się oczy i na całej linii poczyna się chrześcijańska reakcya. Liberalizm jednak nie daje za wygraną. Widzi on, że na razie będzie musiał ustąpić z naczelnego stanowiska, że utraci wpływ na rządy, że ujrzy może w popiołach księgi ustaw wolnomyślnych, a kto wie, czy nie zapłacze nawet nad zwaliskami całej budowli, na którą nie szczędził wydatków i nie żałował trudów; chce więc ratować przynajmniej podwaliny tej budowli, tj. liberalne ustawodawstwo szkolne. Przewiduje, że walka z budzącym się z długiej martwoty chrześcijańskim duchem nie będzie łatwą, więc się skupia, wywiesza na swych sztandarach ponętne dla dzisiejszego wieku hasła, urządza wiece, wydaje odezwy i szuka porozumienia z współwyznawcami liberalnych zasad w postronnych krajach, dalszych i bliższych.

Czuć już w powietrzu wiszącą burzę; walka się zaczyna na dobre. Pierwsze strzały padły w Niemczech, gdzie wolnomyślny związek przed kilku miesiącami rozrzucał alarmującą

odezwę pod nagłówkiem: „Czego my wolnomyślni chcemy?“ i odpowiadał szeroko pisanem słowem: „Oświaty!“

Ta odezwa jest tak charakterystyczną, że zasługuje, aby ją przytoczyć w głównych ustępach:

... „My wolnomyślni chcemy w duchowej dziedzinie podjąć walkę przeciw przesądowi i nieuctwu, przeciw ogłupianiu i... wyznaniowej niewyrozumiałości, przeciw uciskowi, wywieranemu na swobodę myśli i wolność sumienia. Chcemy, żeby umiejętność i jej przedstawiciele używali wszelkiej swobody i ogłaszali wyniki swoich prac bez żadnej troski o zasady wyznań religijnych; chcemy, żeby zdobycze postępowej wiedzy w zakresie przyrodoznawstwa dochodziły także do umysłów naszych dzieci, i żeby państwowe szkoły ludowe nie podawały żadnej nauki sprzecznej z wypadkami, stwierdzonemi przez umiejętność [1]. Żądamy szkoły całkowicie odłączonej od Kościoła, to znaczy bezwyznaniowej szkoły, któraby była zupełnie zdolna spełnić swoje główne posłannictwo, mianowicie wychowywała młodzież na samodzielnych myślicieli i nauczyła działać niezależnie. Tylko tak prowadzony naród zdoła utrzymać należne stanowisko w współzawodnictwie narodów i wypełnić obowiązki, nakładane przez ducha czasu. Chcemy podstaw obyczajowych, opartych nie na bojaźni kary albo nadziei nagrody w jakimś innym, wymarzonym świecie, ale wysnutych z powszechnej miłości człowieka..., która puszcza korzenie w zasadzie, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki, wszechprzyrody, i każdy posiada wrodzone prawo do szczęścia i uciech tego świata. Tylko taką podstawę obyczajową nazwiemy szlachetną, która dąży do dobra dla niego samego. Odrzucamy wszelki nacisk i przymus, wywierany na kogokolwiek i na jakiekolwiek społeczeństwo w imieniu religij-

[1] Zbyt niestety wiadomo, ile to razy stawia się jako „wypadki stwierdzone przez umiejętność“, niczem nieuzasadnione hypotezy; ile razy tendencyjne mrzonki pewnych uczonych podaje się jako zdobycze nauki, wtedy zwłaszcza, kiedy można zaczepić Kościół lub Objawienie. Cały szereg takich „stwierdzonych wypadków“ wywrócił za dni naszych, nie kto inny, tylko właśnie postęp sumienny i bezstronna nauka.

nych poglądów; zarówno potępiamy wszelkie zapory stawiane rodzicom w ich prawie, według którego mają swobodę wychowywać dzieci, jak chcą[1], i zapory stawiane tym, którzy na mocy ustaw chcą wystąpić z Kościoła. Zwolenników naszych zasad liczymy na setki tysięcy i na miliony, ale jeżeli z tem mnóstwem porównamy liczbę otwartych wolnomyślicieli, to widzimy, niestety, że ledwo szczupła garstka naszych zwolenników jawnie wyznaje swoje zasady i usiłuje je przeprowadzić w czyn".

Tej odezwie trudno chyba zarzucić że ciemna; hasła oświaty wolnomyślnie pojętej brzmią tutaj śmiało; odezwa zrywa zupełnie z Bogiem, i prze ku otwartej wojnie z Kościołem. Ta otwartość jest bardzo cenną, bo nie zawsze liberalizm tak jasno przemawiał; były czasy, gdzie taił on swe antyreligijne przekonania, nawet chciał uchodzić za gotowego do pewnych porozumień i chętnego do wspólnej pracy z Kościołem; były czasy, gdzie mówił: „jesteśmy katolikami, ale nie ultramontanami; czcimy Kościół, ale gardzimy fanatyzmem". — Dziś zagrał ostrzejszą, namiętną pobudkę, głosząc, że kto wyznaje zasady wolnomyślne, ten nie może być w zgodzie z religią i całym nadprzyrodzonym porządkiem: są to dwa światy przeciwne, które się pogodzić nie dadzą.

Jakie wrażenie wywołała ta odezwa w Niemczech, zwłaszcza w Bawaryi — o tem rozpisywać się nie będziemy. W Austryi hasła jej znalazły oddźwięk przedewszystkiem w Wiedniu, wśród młodych sił nauczycielskich. Od kilku miesięcy powstają oni coraz gwałtowniej przeciw „wstecznym zapędom" zwolenników wyznaniowej szkoły, jużto piórem, jużto żywem słowem na zgromadzeniach i burzliwych wiecach. Szczególniej 7 stycznia b. r. rzucili Kościołowi pogróżkę, że jego zasadom potrafią dać należyty odpór i nie pozwolą sobie wydrzeć żadnej zdobyczy wolnomyślnego ustawodawstwa szkolnego. Prócz tego wiecu, przy różnych innych, mniej ostrych występach zawsze

[1] Zapomnieli autorowie odezwy, że to zdanie można przeciwko nim obrócić, bo właśnie liberalna bezwyznaniowa szkoła przymusowa gwałci prawo katolickich rodziców wychowywania dzieci, jak chcą, tj. po katolicku.

rzucali rękawicę zwolennikom katolickich zasad o szkole. Ci rękawicę podnieśli: 22 stycznia urządzili zebranie, na które nadciągnęła spora gromadka nauczycieli wolnomyślnych, chcąc je zamącić i zerwać. Hałaśliwe okrzyki i dzikie zachowanie się tych panów było jednym dowodem więcej, jak silnie są podrażnieni katolicką akcyą i jak się jej... boją. W słowach obelżywych szli coraz dalej; już nie wiele brakło, żeby przewodniczący rozwiązał zgromadzenie. Szczęściem, chrześcijańscy mowcy potrafili zażegnać burzę; najwrzaskliwsi krzykacze musieli opuścić salę i przebieg dalszych obrad przeszedł spokojnie. Obecni na sali książę Lichtenstein, prof. Schlesinger, posłowie Steiner, Schneider i Oberndorfer, wielu radnych i przedstawicieli różnych dzielnic dalszych, oklaskami przyjęli wnioski mowców o koniecznej zmianie szkolnego ustawodawstwa, szczególniej dziękowano za mowę posła d-ra Gessmanna.

Za wzorem stolicy poszły inne austryackie miasta i kraje: katolicy, zwłaszcza w zachodnich stronach monarchii, wysuwają coraz śmielej sprawę szkoły wyznaniowej na porządek dzienny; wolnomyślne zaś głosy przestrzegają rozpaczliwie przed niebezpieczeństwem, jakiem grozić może nowy skład Izby. Tak przerażeni Rzymianie wołali: *Hannibal ante portas!*

Z jakich arsenałów i jakiego kalibru dział nie wytacza w tej walce liberalizm, trudno doprawdy powiedzieć. Dla przykładu dość wspomnieć, że celem zwalczenia wyznaniowej szkoły ucieka się (rzecz nie do uwierzenia) aż do hygieny. W piśmie słoweńskiem: *Učitelski Tovariš* niejaki Iwan Borstnik wypowiedział następujące poglądy:

„Dziecko samo z siebie wrażliwe łatwo ulega postrachom, a jeżeli tę uczuciową władzę jego nadmiernie rozwijamy, jeżeli np. straszliwie przedstawiamy śmierć, piekło i inne k u g l a r s t w a podobne, czyż komu dziwno, że tyle histeryi i newrastenyi spotyka się na świecie? Źle działoby się z obyczajami dobremi, gdybyśmy ich w dziecku pielęgnować nie mogli innemi środkami i gdybyśmy okupywać je mieli utratą zdrowia. Przy takiem rodzaju działalności rozstrojowej można wprawdzie wszczepić łatwowierność i przez to d o g o d z i ć p e w n y m k o ł o m,

ale przecież nie powinniśmy dopuszczać, aby kto w podobnych zamiarach n a d u ż y w a ł szkoły, której posłannictwem jest zaostrzyć rozum, nie zamącić. To wszystko i wogóle wszelkie rozpalanie wyobraźni nie odpowiada ludzkiej przyrodzie, tak samo, jak wszelkie wymienione wyżej kary i groźby tworzą jedynie źródło lękliwości, uczucia nazbyt często doznawanego nietylko w dziecinnych latach, ale nawet w wieku dojrzałym, który czuje boleśnie zgubne skutki tchórzostwa! Wątłe jestestwo, wystraszone i spłoszone traci równowagę w swoich czynnościach duchowych; w jego umysłowym stanie już nie dojrzymy nic stałego, wszystko tam wiotkie i chwiejne. Każda niedorzeczność znajduje wiarę, i to nawet tem prędzej, im sprzeczniejsza z rozumem; skutkiem tej ciągłej trwogi marzyć nie można o postępie i rozwoju umysłowym; strach napełnia myśli przesądami i c u d a m i, a przy tem wszystkiem wycieńcza zdrowie, bo dusza zawsze naprężona gorączkowo trapi swoje władze, i mózg nie wypoczywa nawet we śnie z zabójczego wysiłku, a w dzień doznaje halucynacyj, jakie widzieć przywykliśmy w domu obłąkanych. To wystarczy, żebyśmy usunęli ze szkoły wszelkie na nic nieprzydatne drażnienia psychiczne, i żeby ścisły nadzór czuwał nad m i s t y k a m i z a w o d o w y m i, nim ich zupełnie ustawodawstwo nie wykreśli z szkolnego planu".

Namiętny ten wylew nienawiści ku Kościołowi i jego objawionej nauce, kończy Borstnik wstrętną nad wszelki wyraz wycieczką przeciw pensyonatom klasztornym, w której między innemi ośmielił się wypowiedzieć zdanie, że panny, wychowywane po niektórych klasztorach „tworzą ze siebie znakomite okazy... ulicznic umysłowych, gotowych poddać się każdemu".

Tu już komentarzy nie potrzeba! Słowa tego rodzaju same piętnują należycie i autora, który je napisał, i redakcyę pisma, która miała odwagę je wydrukować. Mogą one oburzać do żywego, nie powinny przecież przerażać nikogo, kto walczy o szkołę wyznaniową, bo świadczą dowodnie, że katolicka sprawa zaczyna wchodzić na tory może najlepsze, kiedy tak gwałtownie zaślepia i wyprowadza z równowagi przeciwników.

Sam nawet *Učitelski Tovařiš* doszedł widać do przekonania,

że postępowy rycerz „hygienicznej szkoły liberalnej“ Borstnik w napaści na wychowanie katolickie poszedł nieco może za daleko; postanowił tedy naprawić błąd zbyt gwałtownego współpracownika i cofnąć nieco kroku. Przywdział więc szatę umiarkowania i wyciągnął rękę do katolików, mówiąc z przyjaznym uśmiechem na ustach: „Czego chcecie od nas? Jesteśmy katolikami tak dobrze jak i wy! Pragniemy tylko postępu i wolności!“

Za pole do pojednawczych popisów obrał sobie sprawę czwartego wiecu katolików austryackich, odbytego w Solnogrodzie. Usiłuje wmówić w czytelników, że chrześcijański charakter uchwał wiecu wcale nie zasługuje na przyganę — przecież słoweńscy nauczyciele sami ducha chrześcijańskiego w szkole pielęgnują. Oni tylko uważają za obowiązek przestrzedz rząd przed zgubnymi następstwami, do jakich gotowi doprowadzić zacietrzewieni uczestnicy wiecu przez swe nierozważne uchwały.

W całej tej wycieczce przeciw salzburskiemu wiecowi uderza takie niezrozumienie rzeczy, taka gmatwanina pojęć i taki chaos sprzeczności, że nie od rzeczy będzie przytoczyć główny ustęp tego charakterystycznego dokumentu. Oto co pisze *Učitelski Tovariš:*

„Czwarty wiec austryackich katolików, wniósł, ma się rozumieć, na porządek dzienny, także sprawę szkolnictwa. Nowożytna szkoła została zasądzona, o ile tylko to było możliwe, na zagładę. Co dotyczy szkół średnich, żądał wiec, żeby nauka religii należała do przedmiotów obowiązkowych przy egzaminie dojrzałości, dalej, żeby w komisyi zasiadał biskupi delegat, któryby o wszystkich przedmiotach sądził równem prawem z innymi członkami komisyi, żeby nakoniec do egzaminu dojrzałości nie byli dopuszczani uczniowie złego prowadzenia się i przekonań niereligijnych. Co dotyczy szkoły ludowej, wymaga wiec, żeby przestała być bezwyznaniową i wróciła pod nadzór Kościoła.

„Każdy człowiek, od stronniczych sądów wolny, jest o tem przekonany, że słoweńska szkoła ludowa jest wyznaniową[1],

[1] Nie jest zadaniem tego artykułu dowodzenie zasadniczych podstaw szkoły wyznaniowej, ani też wyjaśnianie na czem ta szkoła zależy. Rzeczy

i że my, słoweńscy nauczyciele, jesteśmy dobrymi katolikami. Wiedzą o tem także koła dla nas nieprzychylne, ale podobno nic im na tem nie zależy — im idzie tylko o to, żeby zdobyć władzę absolutną, absolutny wpływ i najwyższe rządy nad szkołą, bo bardzo dobrze wiedzą, że przyszłość i byt zapewni sobie ten, kto opanuje szkołę... My jednak spodziewamy się, że państwo będzie przecie na tyle przezorne, iż nie wypuści z rąk wspaniałej budowy szkoły nowożytnej, którą opłaciło tylu trudami..., że nie wyda nas na łaskę lub niełaskę kołom nieprzychylnym dla nas; przeciwnie, żywimy silną otuchę, że jeszcze więcej nas weźmie w obronę, bo my, nauczyciele ludowi, nie życzymy sobie powrotu tej doby smutnej, kiedy to nauczyciel ludowy nie był niczem innem, tylko zwyczajnym pachołkiem księżowskim. Jako dobrzy katolicy, zapaleni jesteśmy dla szkoły wyznaniowej — ale zawsze przeciwni będziemy każdemu, kto zechce odebrać nam przewodnictwo, ciężko zdobyte — i spodziewamy się, że stronnictwa, usposobione postępowo, wspierać nas będą w walce o szkołę, abyśmy odparli i tę ostatnią napaść — *fin de siècle*. Hasło nasze: nie w tył ani nie na dół, tylko naprzód, w górę!“

Niestety, za późno już cofać kroku i wykręcać się pustymi

---

te omówione już były nieraz w *Przeglądzie Powszechnym* (por. 1888, lipiec, str. 1; 1891, lipiec, str. 148). Tu tylko zaznaczamy pokrótce, że nauczyciele słoweńscy twierdząc, iż mają u siebie szkołę wyznaniową, są w błędzie. Celem szkoły, jak wogóle wszystkiego na tym świecie, jest — wedle chrześcijańskiego poglądu — Bóg; na to się kształci i uczy dzieci, *ut cognoscant solum Deum verum*. Kiedy się więc mówi o szkole wyznaniowej, ta przedewszystkiem zasada powinna być postawioną szczerze i jasno. W praktycznem jej przeprowadzeniu żądają katolicy: 1) aby dla katolickich dzieci istniały osobne katolickie szkoły, do których z reguły tylko katolickie dzieci przyjmowane być winny; 2) aby nauczyciele tych szkół byli bezwzględnie katolikami; 3) aby nauczanie religii zależało w tych szkołach wyłącznie od Kościoła, który ma prawo tą nauką kierować, dawać misyę kanoniczną do jej nauczania duchownym lub świeckim, jakoteż ją cofać; 4) aby wszystkie inne nauki wykładane były zgodnie z prawdami objawienia; 5) aby Kościół miał prawo nadzorowania jużto całej nauki, jużto szkolnego personalu, pod względem religijnym i moralnym.

pełnymi sprzeczności frazesami, które miały pokup przed laty, ale dziś już zwietrzały i u nikogo wiary nie znajdują. Dziś liberalizm zdemaskował się na całej linii: czem jest w swej istocie i do czego zdąża — wyraził nietylko w otwartych słowach, ale też zaznaczył wymownemi czynami, tam gdzie miał możność i siłę po temu.

Dość przypomnieć położenie rzeczy na Węgrzech, gdzie liberalizm chwilowo jest u steru i gdzie odnosi Pyrrhusowe zwycięstwa brutalną siłą przed prawem. Zwycięstwa te są co prawda hańbą dla zwycięzców — a przeciwnie zwyciężone stronnictwo katolickie zbiera chwałę i słyszy słowa dobrej otuchy od blizkich i dalekich. Liberalny jednak rząd na to nie zważa i zaślepiony powodzeniem ciśnie coraz bardziej śrubę ucisku, nie zwracając uwagi, że tym sposobem prędszą tylko i silniejszą wywołać musi przeciw sobie reakcyę. Świeżo przy budżetowej rozprawie padło od stołu ministeryalnego zapewnienie, że rząd na rozpoczętej drodze pójdzie dalej i postawi niedługo wniosek domagający się zmiany ustawy o ludowych szkołach z r. 1867. W tej ustawie tchną jeszcze szczątki chrześcijańskiego ducha, który ożywiał Eoetvoessa, kiedy tę ustawę układał. Z niej oczywiście mało co zostało dzisiaj, tak ją późniejsze rządy wolnomyślne ubezwładniły przez różne uwagi i wskazówki: można powiedzieć, że mądrą jeszcze pierwotnie ustawę późniejsze przypiski przerobiły na niedorzeczne dziwadło. Ale liberalnego ministra Wlassicsa jeszcze to gryzie, że ustawa brzmi przecie po chrześcijańsku; więc precz z nią! Nowa ustawa ma zupełnie usunąć i widok Chrystusa ukrzyżowanego z izb szkolnych, i wszelką wzmiankę o chrześcijańskim Bogu z wykładów, bo te nie powinny przecie razić ucha żydowskiego!

Ale to tylko najbliższy krok w pochodzie ministra Wlassicsa ku rajowi wolnomyślnej oświaty. Obmyślił on dalsze zmiany, już nie w nauce dla dzieci, ale w nauce teologii po seminaryach. Więc zapowiedział, że pójdzie do wyższych uczelni, aby kleryków uwolnić z pęt samowoli biskupiej. Dłużej ci dostojnicy kościelni nie będą tam gospodarować po swojemu, przepisywać podręczników według własnego wyboru, według własnych za-

sad prowadzić kleryków. Spadną z seminarzystów więzy, w których jęczą; nowa doba nastanie; wolnomyślny mąż stanu zastosuje zasadę, którą sam wyznał w swej mowie, zapowiadając, że „państwo musi wywierać istotny wpływ na naukę kleryków". Kogóż to może dziwić? Przecie Wlassicsa stać na to, żeby wprowadzić choćby wykłady koranu albo talmudu, gdzieby uznał za stosowne. Ale ta brutalna buta i pewność siebie, jaką okazuje rządowy liberalizm węgierski, który bagnetami przeprowadza wybory, aby stworzyć sobie z Izby poselskiej powolne i podatne narzędzie, coraz mniej przeraża węgierskie katolickie stronnictwo. Kościół spogląda nie bez chluby na dotychczasowy przebieg walki, w której katolicy zdarli maskę z wolnomyślnego rządu, okazali przed światem liberalizm w jego wewnętrznej istocie, sprawili, że w zapasy z Kościołem wystąpił nie pojednawczo-obłudny rzecznik tolerancyi, ale szczerze zawzięty wróg. A w przyszłość spogląda Kościół jeszcze z większą otuchą. Katolickie stronnictwo na Węgrzech wzrasta i sił nabiera z dniem każdym — może już niedługo nadejdzie dzień, w którym ono na widowni politycznej zajmie należne sobie stanowisko.

Większe jeszcze rokuje nadzieje ożywiający się z dniem każdym ruch katolicki w drugiej połowie austro-węgierskiej monarchii, zwłaszcza wśród sfer nauczycielskich. Dość wspomnieć, że w Wiedniu istnieje od niedawna związek katolickich nauczycielek, zostający pod protektoratem arcyksiężniczki Maryi Teresy, otoczony opieką biskupów, mający duchownych za swych doradców, a liczący już 270 zwyczajnych i 85 nadzwyczajnych członków. Związek ten rozwija się coraz szerzej, odbywa co miesiąc plenarne posiedzenia, urządza odczyty i kursa pedagogiczne, posiada bogatą bibliotekę, a nawet (o zgrozo!) odprawia co roku rekolekcye! Dość wspomnieć, że w tymże Wiedniu istnieje drugi, jeszcze silniejszy związek katolickich nauczycieli, który dzięki sprężystemu kierownictwu prezesa d-ra Schwartza, dzięki poparciu ze strony biskupów i rządu, a przedewszystkiem dzięki swym żywotnym zasadom i hasłom, ciągle się rozszerza, i dzisiaj już liczy 2.000 członków. Dość wspomnieć, że w tymże Wiedniu mają katoliccy nauczyciele osobny organ, wybornie

redagowane *Christlich-pädagogische Blätter*. A cóż już mówić o związku katolickim nauczycieli tyrolskich, który niedawno temu połączył się z wiedeńskimi związkami. Tyrolski związek oprócz 9 członków honorowych liczy obecnie 692 członków zwyczajnych, a 1.063 nadzwyczajnych; wydaje on własne pismo peryodyczne *Katholische Volksschule*, którego prenumeratorami są prawie wszyscy niemieccy nauczyciele w Tyrolu. Związek ten bardzo ruchliwy i czynny, urządza ciągłe konferencye i zebrania po wszystkich miastach Tyrolu, a jest on w Austryi taką potęgą, że potrafił przy poparciu ludności i posłów zdobyć dla Tyrolu nową ustawę szkolną krajową, sankcyonowaną 30 kwietnia 1892, która jako tako odpowiada słusznym wymaganiom katolickiej ludności. W podobnym duchu działa związek katolickich nauczycieli w kraju Przedarulańskim i osobny jego organ *Der treue Kamerad*.

W ostatnich czasach wszystkie te związki katolickie połączyły się razem z wiedeńskiemi w jedno stowarzyszenie, przez co niepomiernie wzrosły w siłę. To też w *N. W. Tagblatt*, jeden z liberalnych posłów wystąpił z żalami nad wstecznictwem i zacietrzewionym fanatyzmem katolików, który wyrywa z rąk wolnomyślnego rządu wychowawcze zakłady i rzuca je pod nogi duchowieństwa. Z bólem serca wylicza, że w zachodnich krajach rakuskich aż czternaście gimnazyów zostaje pod zarządem księży, w niemieckim Tyrolu tylko na czele jednego gimnazyum stoją świeccy nauczyciele, a co najgorsza, co musi cofnąć świat w przedpotowe czasy: Jezuici otwierają gimnazya jedne po drugich z prawem publiczności!

A jakżeby dopiero wysoko *N. W. Tagblatt* wzbił głosy żalu nad wstecznictwem, gdyby obliczył dokładnie, do jakich rozmiarów dochodzi ruch katolicki, nie już przez księży i Jezuitów wzbudzony, ale wywołany między nauczycielstwem przez ucisk wolnomyślny. Nie tu miejsce wymieniać wszystkie nazwiska osób i miejsc, gdzie i kiedy który katolicki nauczyciel służył wolnomyślnym zwierzchnikom albo towarzyszom zawodu za igraszkę czy pastwę, na której wywierali swoją złość ku Kościołowi. Wystarczy przytoczyć, że ostatnie zeszyty praskiego czasopisma

Vlasť i *Čech* dobitnie przedstawiły, do czego dojść może stan nauczyciela, kiedy wolnomyślni orędownicy tolerancyi wezmą na kieł swoich towarzyszy za ich zasady i postępki chrześcijańskie. To też katolicy na nauczycielskich posadach coraz dotkliwiej czują potrzebę wzajemnej obrony przed wolnomyślnymi prześladowcami. W ostatnich tygodniach zaczynają Czesi wchodzić w ślady katolickich nauczycieli z innych krajów i zapowiadają nowy ruch w tym celu, aby powołać do życia jakiś związek ku wspólnej obronie i pomocy. Już w ostatnich miesiącach przeszłego roku oznajmiła *Obnova*, że polityczne towarzystwo drukarzy w Hradcu królewskim stawia pierwsze kroki do organizacyi towarzystwa katolickich nauczycieli i że przyjmuje głosy doradcze w tej sprawie, bo całą działalność powierzy w ręce samych nauczycieli, aby ci opracowali sobie ustawy i doprowadzili do skutku myśl katolickiego związku. Dodać należy, że coraz pomyślniejsze dla sprawy katolickiej wieści dochodzą także z Krainy, Istryi i Dalmacyi, gdzie większość nauczycieli ożywiona jest szczerze katolickim duchem.

Słowem, coraz liczniejsze zastępy ciągną pod chorągwie. Stanowcza rozprawa, w Izbie długo zwlekana, nadejść już może w przyszłej kadencyi parlamentu. Niecierpliwsi wybiegają już z obozu i wzywają nieprzyjaciół przynajmniej do drobnych potyczek. Jedna z nich miała miejsce, w którejś z ostatnich sesyj rozwiązanego parlamentu. Pierwsze strzały padły z obozu wolnomyślnego, które zaraz odparł opat Treuinfels, mową godną uwagi, bo zdaje sprawę ze stanowiska, na które weszła sprawa w ostatnich czasach:

„Szanowni panowie, dr. Schuecker i dr. Funke wyruszyli na podjazd wojowniczo, uzbrojeni od stóp do głów przeciwko tak zwanym wyznaniowym sprawom. Moi panowie! Mojem zdaniem, ta utarczka, już dawno przedtem zapowiedziana, musiała raz nastąpić i krwawemi śladami naznaczyć pole walki; wszak szło jakby o ostatni wysiłek w obronie wolnomyślnych poglądów, które coraz widoczniej przestają używać najlepszej sławy. (Bardzo dobrze!) I jak to bywa w takich wypadkach, kiedy

trzeba wytężać ostatki sił, wolnomyślny duch nie przebiera w środkach walki, ale chwyta za każdy oręż, który znajdzie pod ręką...

„Wiele słyszeliśmy wczoraj o wolności i postępie. Ale dziwnie to w moich uszach brzmiało, kiedy pan poseł dr. Funke zakończył słowami: *Quieta non movere!* (Poseł dr. Funke: Pewno!) W każdym razie szczególny to jakiś postęp...

„Słyszeliśmy jeszcze wczoraj, także nie po raz pierwszy, natchnione pochwały nowożytnej szkoły. Ma ona stanowić *palladium* obywatelskiej swobody i t. d. Panowie Czesi z pewnością siebie wskazywali na piękne budynki szkolne, na pyszne pałace nauki, wzniesione niedawno. Moi panowie! Całem sercem przystajemy na wasze piękne budowy szkolne; słusznie ich widok sprawia wam pociechę. Dobrze to mieć ładnie pobudowane szkoły; tylko mniemałbym, że dla szkoły najwięcej znaczy nie budynek tylko dzieci (żywe potakiwanie) i to, co ze szkoły wychodzi. (Brawo!) Tedy muszę panom przypomnieć o tem i owem, nie zupełnie zgodnem z hymnami, wznoszonemi wczoraj na cześć szkoły nowożytnej. Przypominam panom — wszak musiało to do uszów panom dolatywać — jak często powstają skargi w naszych czasach na niekarną młodzież i zdziczałą, jak często spotykamy opisy strasznych zbrodni, popełnianych obecnie w wieku młodzieńczym. W ostatnich dniach, przy rozprawie budżetowej, uznał jeden z ministrów za potrzebne powiedzieć, że braki religijnych zasad coraz częściej, niestety, wychodzą na jaw, w licznych wypadkach sromotnych dla młodzieży i zostawiają wiele do życzenia od wychowawczych wpływów. (Słyszycie! słyszycie!)

„Ale panowie powiedzą: wiedza, wiedza, wiedza — ona tworzy potęgę! Muszę na to panom powiedzieć, że często miałem sposobność rozmawiać z mężami, z zawodu obeznanymi ze stanem szkół, i z ich ust słyszałem otwarte skargi, że nowożytna szkoła nie dopisała nadziejom, w niej pokładanym... (Potakiwania).

„Czego chcemy od szkoły?... Rozumny człowiek nie zdoła wątpić, że z natury rzeczy wynika najwłaściwszy obowiązek rodziny, żeby wychowała dzieci. (Potakiwanie). Stąd wynika, że jeżeli szkoła działa na polu wychowawczem, tedy spełnia obowiązek w zastępstwie rodziny. (Bardzo słusznie!) A niech pano-

wie uważają, jak szkoła wychowuje dzieci katolickie... Wszyscy rodzice nadewszystko dbają o trwałe szczęście dziecka. Ale katolik nie może z oka spuszczać kresu, do którego dążymy. Katolik zwraca oko na żywot wieczny, do którego nas przygotowuje doczesny żywot... Czyż panowie mogą to za złe brać dobrym rodzicom katolickim, że z całej duszy i ze wszystkich sił pragną, żeby dziecko ich żyło według zasad religijnych, wpojonych głęboko?... Nauczyciel musi z księdzem iść ręka w rękę, powinien nieść pomoc w tym względzie... Muszą przyznać panowie, że jeżeli coś na religii zależy, tedy ścierpieć nie można, żeby inne przedmioty naukowe przeciwko religii powstawały. Panowie nawet na to przystaną, że, o ile na tem nauka nie cierpi, o tyle żądać trzeba, aby i inne przedmioty pogłębiały naukę religii, bo zasługuje wszelkich trudów kres, który na wieki ma zaspokoić szczęściem". (Żywe uznania).

Nieszczęśliwe hasło: *Quieta non movere!* oburzyło szerokie warstwy społeczeństwa katolickiego w Austryi. Do ośmiu tysięcy osób stanęło we Wiedniu do narady nad stanowiskiem, jakie zająć mają katolicy wobec wolnomyślnego hasła. Zgromadzonym dodawali ducha obecni najwyżsi dostojnicy kościelni: nuncyusz Taliani i biskup dr. Schneider. Listownie wziął udział w obradach także biskup dr. Roessler. W imieniu zgromadzonych wystąpił dr. Porzer z mową, w której nazwał hasło: *quieta non movere* niegodnem katolików, dobrem chyba dla skłopotanego ministra, który nie umie dać sobie lepszej rady. Po nim wystąpili z mowami: dziennikarz Adam Trabert, ks. Antoni Ender, dr. med. Kacper Schwarz, książe Lichtenstein, kanonik dr. Gustaw Mueller; wszyscy zapowiadali walkę o szkołę, jakiej wymaga chrześcijański duch, nietylko teoretyczny, ale wprowadzony w czyn na każdem polu i we wszystkich stosunkach.

Tymczasem poseł Bendel, po kilkudniowym namyśle, wystąpił z mową w Izbie, aby przecie mieć ostatnie słowo i zatrzeć wrażenie mowy opata Treuinfelsa. Tym razem uderzył w strunę płaczliwą i rozczulał liberałów skargami tego rodzaju:

„Bywają wypadki, w których władza państwowa pod naciskiem zelotów szkoły wyznaniowej spuszcza sztandary i wydaje

im na łup państwowe zakłady, aby uwolnić zakłady kościelne od niebezpiecznego współzawodnictwa. Vorarlberg nie posiada już żadnych nauczycielskich seminaryów państwowych: wychowawcza praca nad przyszłymi nauczycielami zostaje na łasce braci szkolnych. Głównie godzi ultramontanizm w zakłady wychowawcze dla żeńskich sił nauczycielskich. Liczba wychowanek klasztornych dochodzi już blizko ćwierci całego grona nauczycielek!...

„Ciągle przedstawiają, że wszystkie narody mocarstwa rakuskiego żądają dla szkoły duchownego nadzoru, ale niesłusznym jest sąd, że uchwała wiecu katolickiego przedstawia głos wszystkich katolików rakuskich. Chociaż klerykalny ruch u nas dokonał olbrzymich postępów, przecie, gdyby wszyscy mieszkańcy mieli podnieść swobodny głos i rozstrzygnąć, czy szkoły mają przejść pod duchowny nadzór, czy zostać pod świeckim, wtedy niezrównana przewaga głosów żądałaby dotychczasowego stanu. I to niesłusznie powiedziano, że nasza szkoła jest bezwyznaniową i wrogą wyznaniom: mamy szkołę ‚międzywyznaniową'. Nauka religii ma miejsce teraz i o wiele regularniej, niż za czasu konkordatu, i udzielają jej nauczyciele, zatwierdzeni przez odpowiednią władzę kościelną. Religijne wychowanie dziecka pewno nic nie traci na szkole nowożytnej. Dziecko powinno już w szkole, w każdym, bez względu na jego wyznanie, bliźniego czcić i miłować. Wobec tego, że w późniejszym wieku muszą ludzie bez względu na wyznanie ze sobą przestawać, powinno już dziecko wiedzieć, że nie na wyznaniu samem polega obyczajowa dobroć i dostojeństwo człowieka".

Zakończył Bendel patetyczną uwagą, że przez te wiece katolickie „nastał zamęt i popłoch w Austryi, zdolny bardzo poważnie zakłócić pokój domowy. Jeżeli rząd niema odwagi czy chęci zabrać się do tego gniazda os (czytaj: katolików), niech przynajmniej tym zostawi rękę wolną i nie skrępowaną, którzy stoją gotowi do obrony własnej, a tych rąk jeszcze jest dosyć!"

Lewica oklaskami potwierdziła te wyrazy otuchy we własne siły, ale chciała chyba tylko grzecznie podziękować za wojowniczą postawę posła, a nie musi bardzo wierzyć, że naliczy jeszcze dużo rąk, gotowych do obrony ustawodawstwa bezwy-

znaniowego. Dobrej otuchy nie objawia *N. Fr. Presse,* kiedy pisze (24 lutego): „Szkoła nie przestaje być kością niezgody między stronnictwami politycznemi; ciągle, a teraz nawet bardziej niż kiedy indziej, wywołuje zamęt pośród przeciwnych obozów; obecny ruch wyborczy krąży głównie koło szkoły. Ten szczątek prawie jedyny wolnomyślnej doby, która budowała konstytucyjną Austryę, wolna i międzywyznaniowa szkoła, nosi już wprawdzie wyraźne ślady ultramontańskiego wstecznictwa, ale przecie w głównych częściach składowych stoi jeszcze niewzruszona. Ale ileż to rąk nie pracuje, aby ten wysoki pomnik obalić w ciemnej nocy! Teraz, kiedy zachodzi gwiazda wolnomyślnego stronnictwa, myślą klerykały, że trzeba skorzystać z pory, aby zajechać tę ostatnią twierdzę wolnej myśli, tak im nienawistnej. Wszystkie oddziały broni czekają znaku trąbki, aby z blizka czy z dala, wprost albo ubocznie ruszyć do bitwy o szkołę. W jednym duchu działają i biskupi, którzy w swoich listach pasterskich bez wybiegów żądają szkoły wyznaniowej, i pseudoludowcy, którzy zanadto podszyci tchórzem, aby jawnie napaść na szkołę, strzeżoną przez całe pokolenie ludzkie, dążą do wyznaniowej szkoły krytemi drogami“...

Mimo takiej przewagi przeciwników, *N. Fr. Presse* nadrabia jeszcze miną: „Tygodnia niema — powiada — w którymby nauczyciele nie rozbierali sprawy szkolnej. Na wiecach, nawiedzanych tłumnie, zwracają uwagę wyborców i pouczają mieszkańców Wiednia, na czyj młyn właściwie płynie woda, która tak potężnym strumieniem wybuchła“... ale widok tych nauczycieli w gruncie rzeczy nie musi na nią działać zbyt uspokajająco, bo z drugiej strony spostrzega nauczycieli, którzy spodlili się „liberyą reakcyi“... więc też wiedeńska Kassandra rozdziera szaty i woła, że: „Wiedeń stał się zjawiskiem etno-patologicznem, że godność ludzka obniża się w nauczycielach...“, a hr. Badeniemu grozi wojną, morem, piorunami i wylewem rzek, jeżeli pozwoli wydać „międzywyznaniową“ szkołę na pastwę klerykałom.

Te pogróżki mniej przerażają, jeśli się zwróci uwagę, że ruch katolicki, dążący do szkoły wyznaniowej, nie ogranicza się na same tylko Austro-Węgry, ale objawia się coraz silniej

w całym katolickim świecie. W Niemczech, gdzie liberalizm zdobył sobie prawo szerzyć naukę bezwyznaniową pod pokrywką szkoły symultannej, na każdym kroku liberalnym zapędom dają odpór katolicy, mimo porażki, którą ponieśli w Izbie berlińskiej z wnioskiem ustawy po chrześcijańsku pomyślanej. W Belgii zabytkom doby wolnomyślnej odbierają szkodliwy wpływ gęsto rozsiane po kraju zakłady wychowawcze, w których młodzież prowadzona przez zakonników nie rośnie bez Boga. Włoscy katolicy w znanym adresie do Rudiniego zażądali otwarcie wyznaniowej szkoły od bezwyznaniowego rządu, a żądania swe oparli na tem logicznem rozumowaniu: jeżeliście prawdziwie wolnomyślni, to dajcie nam wolność myśli, pozwólcie zaprowadzić w szkołach swobodny wykład wiary. We Francyi zaczynają katolicy chwytać każdą chwilę sposobną, żeby okazać, jakiej szkoły pragną. Donosi o tem *N. Freie Presse* w numerze z 25 stycznia b. r. przyczem nie tai żółci rozlanej na widok postępów katolickiego ducha; pisze: „Klerykalny potop, który grozi zalewem całej Europy, zaczyna wnikać do republikańskiej Francyi. Choć to już dowiedziona rzecz, że kardynał arcybiskup paryski, mgr. Richard skorzystał z nabożeństwa, odprawionego w kościele Serca Jezusowego dnia 17 b. m., aby odnowić śluby, które w roku 1875 poświęciły Francyę Sercu Jezusowemu, chociaż równocześnie zelżył (?) rząd królestwa włoskiego i zarazem rzeczypospolitej we Francyi (?), przecie Izba w swojem łonie znalazła 332 posłów, którzy 21 t. m. odrzucili wniosek, przedstawiony przez Rouaneta i Gerault-Richarda, żeby państwo odebrało kościołowi na Montmartre piętno świątyni przebłagalnej za grzechy Francyi. Ośmielony takim wynikiem obrad, przedsięwziął monarchista Frenault dnia następnego uszczęśliwić senat wnioskiem, według którego gmina mogłaby rozstrzygać o tem, czy w szkołach początkowych mają uczyć świeccy nauczyciele, czy duchowni. Przy głosowaniu nad tem pytaniem mogliby brać udział nietylko ojcowie rodzin, ale także wdowy, i miałaby ustać bezwyznaniowość szkoły, razem z bezpłatną nauką; słowem, z całej ustawy szkolnej Ferrego nie zostałoby nic. Senat jednak znowu postąpił jako stróż ustawy i odrzucił wniosek; owszem przyjął

wniosek Leporchégo, który z powodu najnowszych objawów katolickiego ducha żąda tem bardziej stanowczej opieki rządu nad młodzieżą w duchu praw obecnych".

W Anglii katolicy doprowadzili już do tego, że rząd sam postawił wniosek, aby szkoły wolne dostawały odtąd zasiłek z kasy państwowej, udzielany dotychczas tylko dla szkoły *High-Church;* nadto tenże rząd przyobiecał poprzeć katolicki uniwersytet w Irlandyi. Za oceanem walka także trwa nieprzerwanie. W Stanach Zjednoczonych katolicy zwycięsko wyszli z przeprawy, w której mogli stracić prawa do swoich szkół, do dusz swoich dzieci; tylko w stanie Missouri ostatnie wiadomości donoszą o nowym zamachu na szkoły chrześcijańskie. Ale znowu w Meksyku sprawa katolicka weszła na dobre tory; katolicy otwierają nowy uniwersytet.

Wobec tego ogólno-światowego prądu nie jest błahym tylko postrachem ani próżną przechwałką zapowiedź, że w przyszłej austryackiej Izbie poselskiej będzie się musiała prawdopodobnie rozegrać walka o szkołę wyznaniową.

Czy i jaki udział wezmą w tej walce nasi posłowie, tego przesądzać nie możemy; możemy tylko zaznaczyć, jakie stanowisko w tej sprawie poseł katolicki zająć obecnie powinien. Dotychczas w dość szerokich sferach naszego społeczeństwa przeważało zdanie, że kwestyi szkoły wyznaniowej poruszać nie należy, częścią dla względów taktycznych, dla braku sprzyjających warunków, częścią dla innych więcej zasadniczych względów. Twierdzono, że kraj nasz nie ma obowiązku pracować dla innych krajów koronnych nad zmianą ustawodawstwa szkolnego, a sam dla siebie takiej zmiany nie potrzebuje, bo przy obszernym samorządzie szkolnym posiada szkoły prowadzone *de facto* w duchu chrześcijańskim, dzięki jużto Radzie szkolnej, jużto charakterowi chrześcijańskiemu społeczeństwa.

Takie pojmowanie rzeczy niezawodnie wystarcza tym, którzy w dobrej wierze je głoszą; wzięte jednak zasadniczo nie wytrzymuje krytyki. Czyż posłowie nasi nigdy nie czuli obowiązku popierania spraw pożytecznych dla innych krajów monarchii? Czy nie pracowali dla dobra całego państwa, nawet wtenczas,

kiedy przez to przyprawiali kraj własny o pewne straty? Więc czemuż w sprawie szkoły nie mieliby poczuwać się do tego samego obowiązku pracowania dla ogólnego, niezmiernie doniosłego dobra całego państwa, którego jesteśmy częścią składową. A zresztą, czy to prawda, że zaprowadzenie szkoły wyznaniowej drogą ustawodawczą jest dla naszego kraju obojętne? Chyba nie! O ile dzisiejszy faktyczny stan szkół galicyjskich odpowiada we wszystkich szczegółach katolickim postulatom, w to na razie wchodzić nie chcemy. To pewna, że ogółem rzecz biorąc jest u nas pod tym względem lepiej niż gdzieindziej. Ale chociażby było nawet całkiem dobrze, to jeszcze nie rozstrzygałoby kwestyi. Czyż bowiem mogą posłowie katoliccy zadowolnić się faktycznym stanem rzeczy?—stanem, który zależy ostatecznie od dobrej woli nielicznych jednostek, a nie będąc ugruntowanym na podstawie prawnej, żadnej na przyszłość nie daje gwarancyi, i zmienić się może za lada powiewem wiatru. Z pewnością nie. Obowiązkiem jest katolickiego posła nie spocząć, póki całe ustawodawstwo szkolne nie oprze się na katolickich zasadach. Żadnej pod tym względem katolik nie może mieć wątpliwości, odkąd na ten obowiązek wskazywać poczęli tak wyraźnie i dobitnie biskupi całej monarchii. W ostatnim ich liście zbiorowym znajduje się osobny ustęp poświęcony szkole wyznaniowej, który warto przypomnieć:

Oto co mówią biskupi:

„Jeżeli ustawy państwowe wogóle nie przyznają Kościołowi św. dostatecznej swobody w działaniu na wiernych, to szczególnie na jednem ścieśniają ją polu, na p o l u s z k o ł y. Ustawodawstwo szkolne i jego wykonywanie takie, jakie z razu weszło w użycie, a następnie się wyrobiło, żadnej nie daje rękojmi ani bezpieczeństwa, że dzieci wasze w szkołach, czy to ludowych, czy średnich, czy też wyższych otrzymają wychowanie w duchu Bożym i zgodne z zasadami św. naszej wiary. Najgorszem jest to, że według tych ustaw wykład przedmiotów świeckich wprost może się sprzeciwiać nauce religii, a zatem może burzyć to, co nauka religii zbudowała. Jest to zgubnym niedostatkiem naszego obecnego urządzenia szkolnego, że wiara św. nie stanowi pod-

stawy, na której rozwijałaby się cała wychowawcza działalność szkoły... Niektórzy z was usiłują naprawiać to złe przez katolickie stowarzyszenia szkolne i katolickie szkoły prywatne, okazując tem samem, że uznają braki szkół publicznych. Ale poniesione na to ofiary szczupłym stosunkowo kołom przynoszą pożytek; są to półśrodki tylko, które żadną miarą nie wystarczają i wystarczyć nie mogą. Wogóle, zmuszeni jesteście powierzać wasze dzieci szkołom publicznym, pomimo iż jesteście przekonani, że one rozpoczętego przez was dzieła chrześcijańsko-katolickiego wychowania nie będą dalej rozwijać tak, jak tego macie prawo wymagać i spodziewać się.

„W rzeczywistości więc obecne urządzenia szkolne zadają gwałt sumieniom waszym. I nie można tu zastawiać się tem, że nauka religii wykładaną bywa regularnie w szkołach ludowych, oraz we większej części szkół średnich..., bo cała nauka, całe wychowanie dzieci katolickich powinny opierać się na silnej podstawie wiary katolickiej, duch Kościoła musi je przenikać. Wy, rodzice katoliccy, nie możecie nigdy zrzec się tego żądania, jeżeli nie chcecie sprzeniewierzyć się waszemu najgłówniejszemu względem dzieci obowiązkowi. Żądanie to podnosić będziemy ciągle i nieustannie My, wasi pasterze, którzy kiedyś wraz z wami przed sądem Boga zdać będziemy musieli rachunek ze zbawienia dusz waszych. Będą nam wprawdzie zarzucać niesłusznie, że stawiając to żądanie, powodujemy się marną żądzą władzy, że dążymy do opanowania szkoły przez Kościół, a nawet do ujarzmienia stanu nauczycielskiego; nie. My do tego nie dążymy; jeden cel tylko stoi Nam przed oczyma: zbawienie dusz waszych dzieci, i dlatego żądamy dla was szkół katolickich i nauczycieli katolickich. Od was zależy, ażeby temu stało się zadość".

Można żywić uzasadnioną nadzieję, że głos biskupów nie będzie tym razem głosem wołającego na puszczy. Ile on może zaważyć na szali, tego dowodem był niedawno sejm czeski. Przemawiał w nim za szkołą wyznaniową poseł Opitz. Zwolennicy „międzywyznaniowego" wychowania założyli oczywiście protest, piętnując wstecznictwo posła, który ma odwagę bronić

wyznaniowej szkoły w przededniu XX. stulecia. Wtedy zabrał głos czeski magnat, hr. Schoenborn i oświadczył, że skoro biskupi monarchii podnieśli głos w tej sprawie, to nic ani zbyt śmiałego, ani niewczesnego nie mówi poseł katolicki, który takiej szkoły od sejmu się domaga; on spełnia po prostu obowiązek. Następnie dodał od siebie, że jako katolik chce być uległy biskupom, z całym więc naciskiem potwierdza słowa posła Opitza i żąda szkoły wyznaniowej. To było odważnie i po katolicku!

Hasła listu biskupów powinniby już raz przecie zrozumieć i nasi katolicy, uznać je za swoje i dać im wyraz w życiu publicznem. Niestety, raz po raz dzieje się inaczej. Nie rozumiemy położenia, ani ważności chwili! Oportunizm prowadzi nas na manowce i nie pozwala stawiać wyraźnie katolickich zasad. A świat tymczasem toczy się naprzód; idziemy ku czasom nowym, burzliwym. Dawne stronnictwa choć nie wszystkie zdają sobie z tego sprawę, tracą jednak coraz bardziej grunt pod nogami; podnoszą jeszcze raz po raz przedawnione swe hasła, ale już mało kto ich słucha; po niedługim czasie rozwój nowych stosunków zdmuchnie je z widowni, a stworzy dwa wielkie obozy: jednym będzie stronnictwo chrześcijańskie, oparte na bożym porządku i ładzie; drugim antychrześcijańskie stronnictwo przewrotu. Kto chce skutecznie zwalczać to ostatnie, dla tego nie będzie miejsca, jak tylko w katolickich szeregach, które nie pójdą do walki pod sztandarem ciasnych partyjnych haseł, ale w imię wielkiej, nieśmiertelnej idei chrześcijańskiej, która sama potrafi objąć wszystko i wszystkich. Nie będzie wtedy miejsca na oportunistyczne kompromisy, na częściowe ustępstwa od zasad... półśrodki i półpozycye nie zdadzą się na nic. Kto nie postawi katolickiej zasady otwarcie i bezwzględnie, ten w katolickim obozie nie znajdzie dla siebie racyi bytu.

Ks. K. Czaykowski.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Wiek XVII.

Czasy Zygmunta III. należą wciąż jeszcze do najmniej wyświeconych lat naszej przeszłości; nie przyniosły nam też ostatnie lata nietylko żadnej większej monografii i nie dopomogły niemal niczem do ustalenia charakterystyki samego króla, ale nawet niema żadnego poważniejszego t. zw. „przyczynku“. Dopiero do panowania Władysława IV. przybywa nieco nowego światła, poczem nad okresem Jana Kazimierza tem większe panują ciemności.

Zacznijmy od spraw z Moskwą. Mamy przed sobą cały szereg rozprawek A. Darowskiego, ale niewiele w nich nowego, a po większej części nic. Autor korzysta z drukowanych źródeł rosyjskich i podaje polską parafrazę ich tekstu; źródła te odznaczają się niesłychaną rozwlekłością, zajmują się każdym drobiazgiem, można tedy wykroić z nich sporą ilość prac historycznych, ale będzie to pół na pół belletrystyka, bo czyż każdy szczególik zasługuje na notowanie przez historyka? Autor ma widocznie na celu zapoznać publiczność polską, jak zapatrywały się na te rzeczy współczesne źródła rosyjskie; przypuśćmy, że to być może ciekawe dla publiczności i warte spopularyzowania, natenczas jednak wymaga niezbędnie jednego warunku, tj. pouczenia czytelników o naturze tych źródeł (ściśle oficyalnych) i sposobie pisania raportów w owoczesnej Moskwie, słowem, wy-

maga przedewszystkiem spopularyzowania krytyki tych źródeł; tego zaś autor się nie podjął.

Wyszła właśnie niedawno druga serya A. Darowskiego: „Szkiców historycznych“ (Petersburg, 1895), które zawierają sześć rozprawek: 1) „Elekcya Władysława IV. na cara“, 2) „Spory dyplomatyczne o samozwańców“, 3) „Prawa Władysława do korony carskiej“, 4) „Przed pokojem andruszowskim“, 5) „Umowy w Andruszowie“, 6) „Po ugodzie andruszowskiej“. Szkice te są jakby fragmentami z większego dzieła, a raczej jakby obszernymi ekskursami do pewnych faktów, które z wszelkimi a wszelkimi szczegółami drobiazgowo są przedstawione. Rzeczy ważnych niewiele tu znajdziemy, na konstrukcyę historyczną tej doby nie wpłyną one, ale osadzą ją, bądź co bądź, na pewniejszej podstawie. Autor opiera się na źródłach rosyjskich, drukowanych, a do sprawy pokoju andruszowskiego używa nadto polskiego rękopisu Chrapowickiego.

Najważniejszym z tych szkiców jest pierwszy: o elekcyi Władysława IV. na tron carski; chociaż bowiem nie zawiera nic nowego dla historyka, po raz pierwszy jednak omawia w polskiej literaturze rezultaty badań uczonych rosyjskich, znane dotychczas u nas tylko w szczupłem kółku zawodowem, a mianowicie: Zygmunt III. nie usuwał syna zasadniczo od tronu carskiego, pragnął tylko wyręczyć go niejako, pókiby nie doszedł do lat (Władysław miał zaledwie lat 15) i planu tego trzymał się zaraz od początku. Sprawa cała nie miała zresztą pod sobą realnego gruntu, Wazowie nie mieli za sobą stronnictwa w narodzie moskiewskim, ale tylko koteryę, dla której kandydatura ta stanowiła samolubną osobistą kwestyę! Nie mogło też być mowy o tem, żeby na tronie moskiewskim mógł t r w a l e zasiąść katolik. Wynalazek zaś polityczny, że dla tronu przechodzi się z katolicyzmu na schyzmę, nie był jeszcze wtenczas zrobiony i nie żałujemy chyba, że przodkowie nasi nie mieli wogóle zdolności do t a k i c h wynalazków.

Cała historya z Dymitrem Samozwańcem jest już dość dawno osądzona, jako polityka awanturnicza, a Zygmunt III. miał racyę, że się w to nie chciał wdawać; szkoda tylko, że tym

razem nie był dosyć uparty i ustąpił w końcu. Fatalny u nas brak popularyzowania naukowych wyników sprawił jednak, że publiczność czytająca uważa do dziś dnia to zagadnienie za nierozstrzygnięte; dlatego to szkic p. Darowskiego jest względnie „nowiną“, a bezwzględnie przydatny i potrzebny.

Wielkim politykiem był Batory, gdy chciał przez zgnębienie Moskwy wojną odjąć jej chuci zaborcze a potem zawrzeć z nią sojusz i przymierze, pamiętając dobrze o tem, że jedyną rękojmią stałości takiego (bardzo pożądanego) sojuszu mogło być utwierdzenie katolicyzmu na wschodzie i powolne torowanie mu ścieżek do Moskwy. Ale dyletantami byli ci, którzy mniemali, że Moskwa dobrowolnie odda hołd idei jagiellońskiej, skoro tylko królewicz zostanie carem; ci, którzy zapominali, że przyjęcie schyzmy przez Władysława byłoby wzmocnieniem schyzmy w Polsce, zgnębieniem co dopiero ogłoszonej unii brzeskiej i byłoby to nie polonizowaniem Moskwy, ale moskwiczeniem Rusi i Litwy.

Do tego też epizodu dziejowego odnosi się rozprawka tegoż autora: „Polacy w Kremlu“ (*Przegląd Polski*, 1895, maj); nic ważniejszego nie przynosi, coby poprzednio nie było znanem. Losom metropolity Filareta (ojca cara Michała Fiederowicza), który przez ośm lat był internowany w zamku w Malborgu, poświęcił p. Darowski pracę p. t. „Jeniec malborski. Szkic historyczny z XVII. stulecia“ (*Biblioteka Warsz.*, 1895, lipiec, sierpień); rzecz ciekawa do czytania, dla nauki dziejów jednak dosyć obojętna.

Większe znaczenie ma praca tegoż autora p. t.: „Zatargi o starostów pogranicznych 1618—1654“ (*Biblioteka Warszawska*, 1894, listopad i grudzień).

Jest to szkic historyczny, skreślony również na podstawie ruskich źródeł historycznych. Scharakteryzowano tu czasy po rozejmie dywilińskim z r. 1618, kiedy to nastąpiła dłuższa przerwa w działaniach wojennych Zygmunta III. i cara Michała Fiedorowicza. Celem rozejmu było, żeby się lepiej przysposobić do następnej wojny, a wojna ciągle wisi na włosku. Na pograniczu zwłaszcza stosunki są bardzo naprężone i nie ustają ani na chwilę wzajemne rekryminacye. Przy najmniejszej sposobności,

o lada nieporozumienie na granicy, które samo przez się nie warte nawet wspomnienia, odnawiają się kwestye carskiego tytułu królewicza Władysława i sprawa rozgraniczenia ziem; na dnie nieporozumień jest bowiem zawsze sprawa o Siewierz i Smoleńsk. Często też do nieporozumień doprowadzała sprawa wydawania zbiegów, których nie brakło ani tu, ani tam. Drobne te przyczynki, zebrane przez autora, mają jednak nieraz i szersze znaczenie; tak np. kiedy przy r. 1621 zwraca uwagę na współdziałanie prawosławia na całej linii od Moskwy do Carogrodu przeciw unii, patryarcha carogrodzki staje się pośrednikiem, gdy schodzą się interesa caratu i Turcyi przeciw Polsce; przy r. 1630 zaznaczono zmianę taktyki wojennej w Moskwie: odtąd decydują się tam na cudzoziemskie zaciągi i to nietylko żołnierzy, ale też oficerów (ze Szwecyi). Śmierć Zygmunta III. (1632) przyspiesza wybuch wojny. Szpiegowanie ziem pogranicznych odbywało się systematycznie zaraz od r. 1619, a relacye szpiegów moskiewskich są bardzo ciekawe. Po klęsce Moskwy następuje w r. 1634 pokój stały. Władysław byłby się może (zdaniem autora) pokusił o ponowne zdobycie samej Moskwy, gdyby nie dwuznaczne stanowisko Turka; zgodził się tedy już nietylko na rozejm, ale nawet na pokój. Polska otrzymała całe sporne pogranicze, a Władysław zrzeka się natomiast tytułu carskiego. W r. 1636 tłumaczy się car Michał przed sułtanem, „żeby się nie gniewał“, że ten pokój zawarł, bo musiał to zrobić wobec tego, iż pomoc od sułtana się opóźniła. W danym razie gotów był pokój zerwać. To też zdaniem autora, mylnym jest pogląd niektórych historyków, „jakoby Polska od r. 1635 ochłonęła z obaw“. Nastała wprawdzie epoka materyalnego dobrobytu, ale od strony Moskwy ciągle „czuć przebłyski gromów, co się gromadzą, widać uderzenia fali, bijącej o brzeg smoleński“. Odtąd też już coraz częściej wschodnia potęga przygotowuje — sprawę kozacką. Trwają też ciągle spory o granice, o co tem łatwiej, że nie było przecież granicy od wieków ustalonej tudzież o niezachowanie lub skracanie tytułu carskiego w pismach pogranicznych wojewodów i o zwrot jeńców. Między innymi taki np. fakt z r. 1637. Niejaki Tęski, pisarz grodowy z Nowogródka, wypisał raz w ty-

tule carskim zamiast *siewiernyja strany powielitela — sybirnaja strany powielitela.* O to długa zaraz akcya dyplomatyczna. Albo inny przykład drażliwości: posłowie moskiewscy mają pójść w Warszawie na włoską operę; zgadzają się pod tym tylko warunkiem, że nie będzie tam żadnych innych posłów, gdyż obawiali się, że ich niżej posadzą. Nie było wówczas w Warszawie żadnych posłów, tylko legat papieski; napróżno im tłumaczono, że na wszystkich dworach legat siada po prawej ręce króla; nie chcieli pójść. Marszałek królewski poradził sobie w tej ciężkiej etykietalnej kwestyi jak tylko się dało najlepiej, rozstawiając krzesła w nowy zupełnie sposób, co tutaj opisywać zbytecznie, a bojarowie donosili potem carowi, że „siedzieli o pół sążnia od krzeseł królewicza i królewnej". W lutym 1640 jedzie polskie poselstwo do Moskwy z powodu sprawy kozackiej, która na Ukrainie przybrała już zatrważające rozmiary. Car wymyśla jakichś rzekomych samozwańców, podających się niby za pretendentów do korony carskiej; przywożą mu tedy do Moskwy biednego szlachcica Łubę, żeby się przekonał, że niema podstępu! Poseł trafił na ostatnie chwile Michała Fiedorowicza. Rządy jego następcy, Aleksieja Michajłowicza zaczynają się od zwykłych rekryminacyj o tytuły, o to np., że zamiast „samodzierżcu" napisano „samodzierżcy", a zamiast Jugorskomu było Igorskomu i tym podobne międzynarodowe zbrodnie. Ale na Kremlu miano doskonałe informacye, że się przygotowuje bunt Chmielnickiego. Straszna data śmierci Władysława IV., rok 1648 rozpoczyna ten okres „potopu" polskiego. To też poselstwo moskiewskie z roku 1650 ma postawę wyzywającą: żąda zwrotu Smoleńska! W roku następnym spodziewano się Chmielnickiego w Moskwie, a gdy tylko ten Moskwie się poddał, zaraz dwa wojska carskie wkroczyły do Rzpltej.

Są jeszcze do spraw moskiewskich dwa przyczynki innych autorów. Pułkownik Konstanty Górski bada od szeregu lat ważniejsze momenty z historyi polskich wojen ze stanowiska historyczno-strategicznego; niedawno ogłosił znowu cenną rozprawkę p. t. „Oblężenie Smoleńska i bitwa pod Kłuszynem" (1609—1611) (*Przewodnik naukowy i literacki,* 1895, styczeń). Do

wyprawy zaś moskiewskiej nowo-obranego królem Władysława IV. w r. 1633, mającej przedewszystkiem na celu odsiecz oblężonego Smoleńska, ogłosił Rembowski „Dyaryusz wojny 1633 r." (Biblioteka Ordynacyi Krasińskich, tom XIII.).

Z innych spraw dotyczących panowania Zygmunta III. dotknięto tylko jednej jeszcze, a mianowicie Barwiński poddał badaniu „Przymierze polsko-austryackie 1613 r." (*Przewodnik naukowy i literacki*, 1895, listopad). Sprawa była dotychczas prawie nieznaną; ledwie obszerniejsze podręczniki historyi polskiej zawierały w kilku słowach ogólną wzmiankę o samym fakcie zawarcia traktatu, niemieccy autorowie całkiem nawet o niem nie wiedzieli.

Gabryel Batory, który nie chciał uznać zwierzchnictwa Macieja habsburskiego, jako węgierskiego króla, miał w Polsce zwolenników; zebrał nawet zaciąg 3000 ludzi Opalińskiego i Stadnickiego. Zygmunt III. zakazał jednak tego werbunku, a pułk już zaciągnięty rozszedł się. Było to w r. 1611. Maciej do korony węgierskiej przyłączył czeską, odbierając rządy Rudolfowi. Przestało obowiązywać przymierze zawarte z polską przez Rudolfa i Maciej musiał się starać o nowe. Już w marcu 1611 udaje się on do Zygmunta o posiłki przeciw Batoremu: król był chętny a do jakiego stopnia uchodził w opinii za gorącego stronnika Austryi, świadczy charakterystyczna pogłoska, jakoby Żółkiewski miał opuścić pole walki na północy i z pod Smoleńska ruszyć na Węgry! Maciej zraził sobie jednak dwór królewski przez to, że równocześnie czynił starania, ażeby Wołoszczyzna przyjęła zwierzchnictwo korony węgierskiej. Jeżeli mamy wierzyć depeszy legata papieskiego Simonetty, wojsko gotowało się już do pochodu, ale ostatecznie nie wyruszyło. Z końcem roku wyprawia Maciej drugie poselstwo do Polski, które tak się urządziło, że przybyło do Warszawy w sam raz po zamknięciu sejmu (9 listopada 1611). Umawiano się w Warszawie o spory graniczne śląskie, co zaś do przymierza, obiecał Zygmunt wyprawić swego umyślnego posła do Macieja. Poza sejmem też ułożono we wrześniu 1612 preliminarya traktatu t a j n e g o, zawierającego przymierze wieczyste, obowiązujące również następców kontrahentów, a obej-

mujące nietylko *regna, quae nunc uterque nostrum possidet*, ale też *et quae Deo concedente in futurum acquiremus*. Maciej użył presyi na Zygmunta, żeby go uczynić skłonniejszym do zawarcia traktatu, a mianowicie skorzystał z tego, że Moskwa zwróciła się tymczasem do niego o pośrednictwo w wojnie z Polską. Wysłał tedy Maciej do Warszawy notę, nakłaniającą do pokoju, w której daje do zrozumienia, że w danym razie Turcy mogliby wypowiedzieć Polsce wojnę, niby skłonieni przez patryarchat do ujęcia się za Moskwą. Nota ta była bardzo nie na rękę polityce Zygmunta III.; odnowienie dawnego przymierza Wiednia z Moskwą mogło ją było pokrzyżować do reszty; Maciej zaś powoływał się na te dawne przymierza. To też korzystając ze sposobności wyboru Macieja na niemieckie cesarstwo, wysłano do niego z gratulacyą w grudniu 1612 Mikołaja Wolskiego, marszałka nadwornego, a gorącego popleczníka Austryi. Otrzymał on instrukcyę od samego króla w największej tajemnicy; chodziło o poparcie cesarskie w sprawie szwedzkiej i moskiewskiej, w zamian za pomoc polską przeciw nieprzyjaciołom domu habsburskiego, z wyjątkiem jednak Turcyi i Siedmiogrodu, przeciwko którym przymierze nie miało mieć zastosowania. Traktat zawarto ostatecznie 23 marca 1613, a pozostał on tajnym aż do 10 kwietnia 1615 r.; po dwóch latach dopiero ogłoszono go na sejmie.

Skoro przymierze nie miało mieć mocy przeciw Turcyi i Siedmiogrodowi, miano w niem tedy na myśli chyba własnych poddanych Macieja, tj. protestantów. Ważna to okoliczność; wszak stany protestanckie coraz śmielej podnosiły głowę, a wkrótce wybuchnąć miała wojna trzydziestoletnia. Zygmunt III. udzielił potem posiłków Ferdynandowi II., sam jednakowoż nie doczekał się ich ani przeciw Szwecyi, ani przeciw Moskwie.

Stosunek polityki polskiej do spraw poruszanych w trzydziestoletniej wojnie pozostaje zresztą nadal bardzo a bardzo niejasny; nie pojawił się w ostatnich leciech ani nawet najdrobniejszy przyczynek do tej materyi; trudno tedy wydać sąd ogólny o panowaniu Zygmunta III. i Władysława IV. w sprawach zachodnich. Zagadnienie o udział Polski, czy też brak udziału w wojnie trzydziestoletniej należy do kardynalnych kwe-

styj naszych dziejów; brak polskiego pełnomocnika w pertraktacyach o pokój westfalski, Europy całej dotyczący, był pierwszym krokiem do usunięcia się z europejskiej widowni! Łączy się też z tem inna jeszcze sprawa, a mianowicie odzyskanie Ślązka, ku czemu nie brakło sposobności podczas wojny; i to zupełnie jeszcze niezbadane, niemal nietknięte.

Mamy rozprawkę p. t. „Polska wobec wyniku wojny trzydziestoletniej“ przez Wiktora Czermaka (*Przewodnik naukowy i literacki*, 1895, lipiec). Autor ma zupełną słuszność, pisząc, że „każdy objaw bierności jest tak samo faktem historycznym, jak akt działania: każde usunięcie się od czynności tam, gdzie dla niej było pole, to tem samem już spełnienie aktu, którego ujemne znaczenie przewyższać może niekiedy doniosłością fakt najbardziej energicznego działania“.

Autor kładzie nacisk na to, że Władysław IV. nie chciał w r. 1635 przystać na rozejm ze Szwecyą (sztumdorfski), który na 26 lat odciągał Rzpltą od wojny ze Szwecyą. Jeszcze w podręczniku Szujskiego jest inna o nim opinia, mianowicie, jakoby Władysław IV. zrywał z polityką ojca i przechylał się do obozu przeciwnego Habsburgom, przez co i pokój ze Szwecyą byłby mu pożądany. W innem jednakowoż świetle przedstawi się postać króla, jeżeli przyjmiemy, że rozejm sztumdorfski zawarty był wbrew jego intencyom. Szwedzi dążyli do opanowania morza bałtyckiego przez stopniowy podbój wszystkich jego wybrzeży, a zatem także Prus Królewskich (z Książęcemi łatwo im zawsze było o sojusz), zajęli Inflanty po Dźwinę i utrzymali się przy nich w rozejmie altmarskim z r. 1629, sztumdorfski zaś zapewniał im posiadanie tego kraju aż do r. 1661; na rok jeden przed tym terminem ustąpiono im ostatecznie Inflant w pokoju oliwskim z r. 1660; było to jednak już tylko formalną sankcyą stanu rzeczy istniejącego od lat 30. Bezpieczeństwo nietylko Inflant, lecz także Prus wymagało koniecznie osłabiania potęgi szwedzkiej; jeżeli Polska chciała utrzymać znaczenie swe nad Bałtykiem, jeżeli[1] miała utrzymać w uległości protestanckiego

[1] Uzupełnienie referenta.

księcia Prus, trzeba było koniecznie wojować Szwecyę. Pokonanie tej nowej potęgi na północy było oczywistym interesem Polski, która tylko w ten sposób mogła ocalić swoje własne stanowisko w północno-wschodniej Europie. Słusznie zrywa autor stanowczo z przestarzałą opinią, jakoby wojny szwedzkie były dynastyczną sprawą Wazów, w którą niepotrzebnie wmięszali Rzpltą; słusznie powiada: „Karol IX. wykonałby prawdopodobnie najazd na Inflanty, nawet gdyby Zygmunt III. abdykował był z praw do korony szwedzkiej", bo to był tylko pretekst zewnętrzny. Jakoż nieogłoszone jeszcze drukiem badania podpisanego referenta wykazują, że antagonizm ze Szwecyą rozpoczął się już za Zygmunta Augusta i datuje od tego dnia, kiedy Polacy po raz pierwszy stanęli pod Rewlem; zaraz wtenczas zamąciły się stosunki dyplomatyczne, a za Batorego wojna ze Szwecyą wisiała na włosku; celem uniknienia tej wojny wybrano Zygmunta III., a kandydatura ta była omawianą gruntownie jeszcze za życia Batorego.

Nikt też już dzisiaj nie wątpi, że Habsburgowie gotowi byli zrzec się Ślązka za należytą pomoc przeciw Szwecyi. Pan Czermak wyraża się: „Austrya narzucała się królowi polskiemu z ofiarą Ślązka", a dodaje słusznie, że już dla tej jednej przyczyny wolno uważać za rzecz ubolewania godną i nieodżałowaną, że Rzplta nie skorzystała w czasie między rokiem 1640 a 1645 z pomyślnych dla niej sposobności".

Wojna szwedzka z lat 1655—1660 była też tylko bezpośredniem następstwem wojny 30-letniej; Szwecya musiała dalej wojować, ażeby się utrzymać na stanowisku mocarstwowem; sam kraj bowiem nie mógł utrzymać wielkiej armii.

Wszystkie te względy są dziś dla nas dosyć jasne, czemuż nie były jasne dla współczesnych? Na to mogłoby dostarczyć odpowiedzi tylko dokładne monograficzne opracowanie sejmów i sejmików polskich z czasów Władysława IV.; zresztą nawet pod względem dyplomatycznym sprawy te szczegółowo opracowane jeszcze nie są.

Pojawiła się za to monografia do wschodniej polityki Władysława IV., a mianowicie dzieło W. Czermaka: „Plany wojny

tureckiej Władysława IV.“ (Kraków, 1893. Nakładem Akademii Umiejętności). Plan wojny tureckiej zaprzątał króla od samego początku. Mamy ciekawy jego list z r. 1634 do kardynała Barberiniego, w którym wyraźnie powiada, że choć myśli o koronie szwedzkiej, nie zapomina przez to o innej sprawie, najdonioślejszej dla chrześcijaństwa. W roku następnym, 1635, nie było już co myśleć o szwedzkiej koronie, skoro zawarto rozejm na 26 lat; to też w 1637 r. król starał się zerwać przymierze z Turcyą i wywołać wojnę, napróżno jednak, bo szlachta wojny nie chciała. Od r. 1644 toczą się układy z zagranicą, a zwłaszcza z Wenecyą, ale tajne, poza Stanami; król chciał Rzpltą zmusić do wojny, narzucić ją Polakom. Kanclerz Ossoliński był za wojną, ale przeciw wywoływaniu jej środkami niezgodnymi z konstytucyą polską. Władysław prowadził jednak dalej układy. Wenecya miała wypłacić pół miliona talarów w ciągu dwóch lat, a wojnę mieli rozpocząć Kozacy. Z wiosną 1646 r. przyjechali do króla pełnomocnicy Kozaków (wśród nich Bohdan Chmielnicki) i dostali 18.000 złp. na budowę czajek na wyprawę czarnomorską; nadto zezwalał król na zdwojenie ilości rejestrowców z 6.000 na 12.000 żołnierza i upoważniał, żeby zaraz zaczęli się zbroić. Wydał im król na to dwa dokumenty; są to właśnie owe dokumenty, które tyle ciekawości wzbudzały w historykach, o których chodziły najrozmaitsze słuchy, aż do podejrzeń, jakoby król zabierał się do wielkiego zamachu stanu z pomocą Kozactwa. Przeczy temu p. Czermak, a późniejsze nadużycie imienia królewskiego tłumaczy w ten sposób: Przywileje te były tajne, bo wydane bez wiedzy Stanów i opatrzone tylko prywatną (t. zw. pokojową) pieczęcią królewską. Pozostawały one w ukryciu u Barabasza prawie po sam koniec r. 1647 nieużyte i niewykonane, zapewne dlatego, że wykonanie ich miało być zawisłem od pewnych okoliczności, które nie zaszły; i one to właśnie jedynie (a nie żadne inne), wykradzione zdradziecko Barabaszowi, posłużyły Chmielnickiemu wbrew intencyom króla i kanclerza do podburzania Zaporożców i postawienia siebie na czele zbuntowanych. Jeżeli więc może być mowa o jakimś wpły-

wie Władysława IV. na rozbudzenie buntu wśród Kozaczyzny, to tylko o wpływie pośrednim, ubocznym i mimowolnym.

Bądź co bądź, wydanie owych dokumentów było krokiem nielegalnym, samowolnym i nierozważnym. Król potrzebował do swych planów poparcia Stanów, a drażnił je samowolnem postępowaniem, przez co podawał się w podejrzenie, że mu przedewszystkiem chodzi o ukrócenie politycznych swobód szlachty, obudzał podejrzliwość, nieufność i niechęć.

Wenecya nie postępowała zaś z królem szczerze. Ticopolo chciał Polskę uwikłać w zatarg z Portą, ale sam żadnego przymierza przeciw Turcyi nie chciał formalnie zawierać, zachowując sobie możność zawarcia w danym razie osobnego pokoju, w dowolnej porze, nie oglądając się całkiem na Polskę. Wenecyi bowiem chodziło tylko o to, żeby ocalić dla siebie Kandyę i powrócić jak najprędzej do pokoju. Zniesieniem państwa tureckiego nie interesowała się Wenecya [1], dla niej wystarczało, żeby ubezpieczyć swoje posiadłości; wojna polsko-turecka miała być dla Ticopola tylko pożądaną dywersyą w sprawie o Kandyę i niczem więcej.

Liczył król na orężną pomoc Multan. Wołoszy i Rakoczego z Siedmiogrodu, wreszcie na poparcie chrześcijańskich poddanych sułtana. A na Polaków? Już w lipcu 1646 rada senatu, której zwołanie wymuszono niemal na królu, oświadczyła się przeciw projektowi. Mimo to król czynił dalej zaciągi, a części wojska kazał nawet ruszyć do Lwowa, dokąd też sam przybył w sierpniu 1646, jakkolwiek senat wyraźnie mu tego zakazał, bo sułtan mogłby to uważać za zbrojną demonstracyę przeciwko Turcyi. Jakoż zapewne miał król jakieś plany, skoro ruszał do Lwowa. Tymczasem sejmiki podniosły wrzawę; Wielkopolska (wojnie tureckiej zawsze najbardziej niechętna) posunęła się do tego nawet, że obmyśliła zbrojny opór w razie, gdyby król pragnął wykonać swe zamiary wbrew Stanom. Kanclerz Osso-

[1] Autor posuwa się za daleko, twiedząc, że istnienie tego państwa było korzystnem dla Wenecyi ze względów materyalnych, że tedy Wenecya życzyła sobie utrzymania go, byle nie było zbyt potężnem.

liński nie przyłożył też pieczęci koronnej ani do jednego aktu, do żadnego patentu werbunkowego i usuwał się stanowczo od współdziałania w czemkolwiek, co byłoby nielegalnem. Sejm zebrał się pod najgorszemi dla króla auspicyami; wśród obrad doszło do tego, że zaczęto się powoływać na artykuł *de non praestanda oboedientia* — sejm zakończył się zapewnieniem ze strony króla, że we wszystkiem zastosuje się do woli poddanych.

Zapewnienie to nie było szczere, Władysław ani myślał ustąpić i wojsko chciał zatrzymać; dopiero w grudniu rozpuścił zaciągi, zmuszony ostatecznie nie tyle może groźną postawą senatu, ile brakiem pieniędzy. Ostatecznie zawiodły też nadzieje, pokładane w państwach zachodnich, ale to zawiodły najzupełniej.

Sejm w maju 1647 r. nie uchwalił ani jednego z żądań królewskich, ale udało się przynajmniej tyle królowi, że nie uchwalono też pokojowego poselstwa do sułtana, ani upominków dla Tatarów (jak tego żądały sejmiki). Ossoliński zbliżył się też w tym roku do króla i przystał na surową odprawę posła tureckiego, ułożoną ostro poza plecyma senatorów-rezydentów. Pozyskał też król hetmana Potockiego, który stanowczo oświadczył się za wojną zaczepną.

Czy wtargnięcie Koniecpolskiego i Wiśniowieckiego do posiadłości tatarskich nastąpiło z wiedzą króla, niewiadomo, bo dowodów na to niema; wiadomo jednak, że król fakt ten wyzyskiwał do swych planów, odmawiając satysfakcyi posłom tatarskim. Tatarzy stanęli na granicy, starosta sokalski zaczepiał ich, wszystko zdawało się wróżyć, że wojna już wybuchnie, gdy wtem Tatarzy cofnęli się i wrócili do swego Krymu.

A tymczasem — był już bunt Chmielnickiego! Król do ostatniej chwili tuszył, że czarnomorska wyprawa uspokoiłaby umysły, gdyby Kozaczyznę skierować w inną stronę, do ostatniej chwili myślał, że Kozaków puści na Turka i dlatego to nie chciał użyć gwałtownych środków przeciw jawnemu już buntowi. Wtem śmierć przerwała pasmo dni królewskich... i minęła ostatnia sposobność użycia kozackiej potęgi na korzyść i w służbie Rzpltej. Nie chciano wojny tureckiej, przyszła na Rzpltą wojna kozacka.

Dlaczego współcześni nie chcieli wojny zaczepnej z Turcyą?

Dlaczego nie chcieli żadnej wogóle wojny, ani szwedzkiej, ani tureckiej? Już Szajnocha dawał na to pytanie odpowiedź, wcale nie zaszczytną dla ówczesnego pokolenia. Czermak potwierdza w zupełności tę opinię, upatrując najważniejszą przyczynę opozycyi Stanów „w marazmie dobrobytu i użycia, który począł ogarniać szlachtę w ciągu długoletnich pokojowych wczasów". Zwłaszcza opozycya oligarchii magnackiej miała swe źródła we względach możnych panów na własne prywatne, głównie materyalne interesa; mianowicie w przewidywaniu, że wojna musiałaby oderwać znaczną część schłopionych Kozaków od roli, a więc zmniejszyć dochody wielkich posiadaczy ziemskich na Ukrainie i Zadnieprzu; i w obawie przed „przemocnem spotężnieniem króla, przed zamachem stanu, obliczonym na podniesienie osobistej potęgi monarszej".

Do czasów Jana Kazimierza niewiele mamy nowego; od czasów Walewskiego jeszcze nikt się nie zajął tem smutnem panowaniem. Mamy na razie tylko drobne przyczynki do spraw wewnętrznych, zwłaszcza do planów reformy ustroju państwa; pada jednak z nich nieco nowego światła; można nawet powiedzieć, że są (po długim czasie) pierwszemi próbami zapuszczenia się na nowo w tę otchłań z sondą ulepszonej metody i obficiej zgromadzonego materyału.

Najważniejszą pracą w tym kierunku jest rozprawa Henryka Sawczyńskiego: „Sprawa reformy sejmowania za Jana Kazimierza 1658—1661" (*Kwart. historyczny*, 1893. t. VII, z. 2).

Już na sejmie 1646 r. wniósł poseł sandomierski, Szczucki (antagonista planów Władysława IV.) obmyślenie regulaminu sejmowego; w rok później wystąpił z podobnym projektem Jan Stanisław Jabłonowski. Były to niejako echa broszury politycznej, wydanej w r. 1641, p. t. „Rozmowa plebana z ziemianinem", w której nie żądano bynajmniej zniesienia zasady jednomyślności, usunięcia *liberum veto*, lecz tylko wprowadzenia pewnego porządku do sposobu sejmowania. Podobnież obydwaj ci wnioskodawcy dążyli tylko do określenia ustawą sposobu wotowania; wnioski ich upadły jednak. Dalej posunął się w r. 1656

prymas Leszczyński, gdy Jan Kazimierz wracał ze Ślązka do Polski; gorący ten zwolennik domu habsburskiego domaga się w liście do króla wprost zniesienia *liberum veto*. Życzyło sobie tego także stronnictwo francuskie ; mamy z r. 1657 świadectwo jenerała Montecuculego, jako słyszał od królowej, że „kanclerz wielki koronny (Koryciński) i wielu innych mają zamiar zmienić kształt rządu w Polsce", jakkolwiek „nie dążą do obalenia Rzeczypospolitej", wśród motywów zaś tego postanowienia wymienia wzgląd na tę fatalność, że „każdy prosty szlachcic może zerwać obrady". W r. 1658 zwołana przez króla „konwokacya warszawska", w której brali udział wszyscy senatorowie i wybitniejsi reprezentanci stanu rycerskiego, uchwala, że należy na sejmach decydować większością głosów; legalne przeprowadzenie tej reformy postanowiono uzyskać na mającym się zebrać sejmie zwyczajnym. Przez prywatne porozumienie z posłami wprowadzono też w życie pewne reformy zaraz na sejmie tegoż samego jeszcze r. 1658, który obradował zupełnie odmiennie, a mianowicie, podzieliwszy się na wydziały, złożone z senatorów i posłów ziemskich. Odznaczał się ten sejm powagą i godnością, a konstytucye jego są zredagowane z większym ładem. Uradzono wówczas „porządek w Izbie poselskiej", zaprzysięganie posłów i porządek głosowania. Szczegółów niestety jeszcze nie znamy. Wiemy natomiast, że te uradzone („namówione") na tym sejmie reformy nie stały się jednak ustawą obowiązującą; zabrakło jakiejś formalności, której nie dopełniono. Dwór opuścił nagle Warszawę dla zarazy, jak potem pisał król w uniwersale. Ciekawą też jest rzeczą, że pierwotną redakcyę konstytucyj sejmu 1568 r. odwołano, skasowano, a egzemplarze jej drukowane ściągnięto z grodów i zniszczono. Sejm następny z r. 1659 jednomyślnie postanowił reformę stanowczo przeprowadzić i polecił wypracować odpowiedni projekt komisyi, czyli jak wówczas mawiano, deputacyi, do której powołano wszystkich urzędników koronnych, senatorów-rezydentów, a nadto wybrano 4 biskupów, 20 senatorów świeckich i 77 posłów. Jest to ta sama „deputacya", która miała *cum plena potestate Reipublicae* zawierać pokój ze Szwedem. Deputacya liczna a świetna doborowem gronem

uczestników była formalną konwokacyą i źródła zowią ją też *convocatio solemnis*. Zebrała się ona w czerwcu 1660, załatwiła sprawy dotyczące ościennych stosunków Polski, ale sprawę reformy odroczyła, poruczywszy wypracowanie projektu radzie królewskiej; rada ta miała zredagować regulamin, któryby mógł być przedstawiony najbliższym sejmikom, a potem wniesiony na najbliższym sejmie. W radzie królewskiej nic jednak nie zrobiono. Królowi i królowej obojętną była ta sprawa, bo nie zgadzali się na tę drogę p o w o l n y c h reform, dążących do naprawy Rzpltej sposobem legalnym przez stopniowe ograniczanie *liberum veto* za pomocą porządnego regulaminu [1]; „uśmiechała się obojgu raczej myśl zamachu stanu z pomocą wojska". W instrukcyach na sejmiki 1661 r. porusza król jednak znowu tę sprawę, bo domagała się tego opinia publiczna.

„Na sejmie z r. 1661 za sprawą królowej rząd i dwór o sprawę reformy się nie troszczył, zepchnęła ją z porządku sprawa elekcyi następcy, brak więc dotychczas nawet dowodu na to, czy sprawa reformy zajęła, choćby chwilowo, uwagę sejmujących Stanów; czy zaś wstępująca w jej miejsce sprawa elekcyi za życia króla, była równie doniosłą, jak tamta, czy w równej mierze na nazwę usiłowania naprawy Rzpltej zasługuje, nie tu czas i miejsce rozbierać". Sprawa elekcyi wywołała związki wojskowe, rokosz Lubomirskiego i co najgorsza — niechęć podejrzliwą do jakichkolwiek zmian sejmowania. Sprawa reformy „upadła dlatego, że ją król, królowa, senat, wyższe sfery narodu opuściły, że się na jej doniosłości nie poznały, że wolały nielegalnymi środkami dążyć do elekcyi za życia króla, nie będąc dość silnymi, by sprawę tę przeprowadzić przez zamach

[1] Były rozmaite projekty; między innemi np. to utrudnienie, żeby *veto* musiało być założone przez dwóch posłów; najlepszym jednak był pomysł, żeby do ważności *veto* potrzeba było, ażeby zakładający je p o z o s t a ł w s a l i, motywował je i wysłuchał „perswazyi", a zatem miała być dyskusya nad jego protestacyą, w której on sam musiałby brać udział i nie wolnoby mu było odejść. Czyż w praktyce nie wyszłoby to wkrótce na zniesienie *liberum veto?* Nie brakło też pomysłów, jak sejmikom odjąć prawo instrukcyj poselskich. Bezpośrednio jednak i jawnie nie ruszano ani zasady *liberum veto,* ani zasady zwierzchności sejmików.

stanu, niż wyzyskać to uznanie potrzeby naprawy sejmowania do stopniowej, pojęciom społeczeństwa odpowiadającej, legalnej poprawy Rzpltej". „Intrydze królowej podporządkowano sprawę naprawy sejmowania, a ta intryga, jako płynąca z osobistych pobudek, wywołała osobiste antagonizmy, opozycyę najzaciętszą, bo osobistą. W walce z tą opozycyą, która umiała wyzyskać przekonania prawne, społeczne i narodowe większości społeczeństwa, została z kolei królowa pokonaną. Objaw to częsty w naszych dziejach, gdzie tak rzadkie przykłady podjęcia sprawy politycznej dla niej samej, bez osobistych pobudek, poza któremi dopiero stała sprawa publicznego dobra, najczęściej u obu stron walczących". Święte słowa! Niestety p. Sawczyński ma racyę[1].

W sam raz w tem miejscu, gdzie się kończy cenna praca

---

[1] Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że taki sam pogląd na sprawy wewnętrzne za Jana Kazimierza wyrażono rok przedtem w znakomitej książce p. t. „Rozum stanu i duch publiczny w Polsce". Napisał A. Miłosz. W Krakowie. Nakładem autora. 1892. (W 8-ce, str. 248). Nader poważne to studyum polityczno-historyczne, przeszło zupełnie niepostrzeżenie, a szkoda—bo jest to dzieło, przynoszące zaszczyt literaturze krajowej.

Praca Henryka Sawczyńskiego powstała przygodnie, jako polemika przeciw rozprawie Wiktora Czermaka: „Próba naprawy Rzeczypospolitej za Jana Kazimierza" (*Biblioteka Warszawska,* 1891, t. I). Autor, ignorując zupełnie literaturę przedmiotu (co zdarzyło mu się nie po raz pierwszy) nie wiedząc nawet o drukowanych od 25 lat źródłach (które, jak mniema sam odkrył), nie zajrzawszy nawet do *Voluminów legum,* oparł konstrukcyę tego zagadnienia na bałamutnych relacyach posła cesarskiego Lisoli i doszedł do takich wyników: Pomysł reformy wychodzi od królowej, która tuszyła, że przez zniesienie *liberum veto* przeprowadzi wybór księcia d'Enghien. Król zwołuje sejm na 14 czerwca 1660, który jednak sprawie niechętny, przekazuje ją radzie królewskiej. Królowa poniosła przez to ciężką klęskę, a sprawcą klęski był Lisola, który zorganizował ku temu swoje habsburskie stronnictwo, tudzież karyerowiczów rozmaitych i zelantów złotej wolności.—Cała ta konstrukcya jest fantazyą. Pomysł reformy starszym jest o wiele od planów politycznych królowej, popleczniey habsburscy nie byli jej przeciwni, Lisola albo nie znał się na rzeczach, albo kłamliwe pisywał relacye, a co najważniejsza, w r. 1660 nie było zgoła sejmu, jakkolwiek p. Czermak opisuje tok jego obrad.

Fantazya ta osłabia mimowoli zaufanie do innych prac tegoż autora; w artykule niniejszym podaję jednak wogóle te tylko rezultaty, które należy uważać za pewne, a starałem się być pod tym względem jak najostrożniejszym.

Sawczyńskiego, poczyna się wyjątek z będącej właśnie pod prasą monografii Tadeusza Korzona: „Dola i niedola Jana Sobieskiego“, który p. t. „Elekcya za życia króla“ ogłoszono w listopadowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej*, 1895. Zaczyna się w sam raz od sejmu 1661 r.

Już przed 11 grudnia 1660 sporządziła królowa dwa dokumenty. Na jednym podpisywano się na mianowanie następcą tronu wogóle tego kandydata, który zaślubi jej siostrzenicę, na drugim, podanym do podpisu tylko najzaufańszym, zobowiązywano się do mianowania ks. d'Enghien[1], z wyłączeniem domu austryackiego. Był to formalny spisek, boć żądano nawet przysięgi w kościele przed *Sanctissimum*. Bo też dwór gotów był wzniecić wojnę domową, zdecydowany na wielki zamach stanu. Oto s z w e d z k i e wojsko miało za francuskie pieniądze przeprowadzić kandydaturę księcia d'Enghien, który miał osobiście objąć główne dowództwo, czyli po prostu miał sobie koronę polską zdobyć. Na świetnym sejmie 1661 r., kiedyto rzucano przed króla setki zdobytych na nieprzyjacielu sztandarów (jednego dnia 137, drugiego dnia 190 i kilka!), król ten myślał o sprowadzeniu Szweda do kraju, a mówił o upadku państwa w razie nieprzyjęcia planów królowej! Traktat francusko-szwedzki o wojnę w Polsce zawarto w Fontainebleau 19 września 1661 r. Królowa „nie miała dla Polski nietylko żadnego przywiązania, ale nawet uczucia litości, jeżeli na stratowane pola, na spalone wioski, na zrabowane i zrujnowane miasta chciała sprowadzić znowu wojska łupiezców“. Sejm zaprotestował przez usta Andrzeja Maksymiliana Fredry. Królowa liczyła na zamach stanu, ale gdy hetman polny koronny Lubomirski wycofał się, należało się zastanowić, tem bardziej, że potworzyły się związki wojskowe, które w sam raz teraz przypomniały sobie, że wojsku nie wypłacono żołdu. Czy dwór nie miał pieniędzy? Na same przekupstwa wydał dwór w jednym tylko roku 1661 kwotę

[1] Korzon pisze stale Anguien; podobnież zamiast utartego „Marya Ludwika“, wprost przeciwnie: „Ludwika Marya“; co do imienia królowej ma zupełną racyę; tamta zaś kwestya jest obojętną dla historyka sprawą — ortograficzną.

344.700 liwrów! Król już w r. 1662 zdecydował się abdykować na życzenie królowej, która w r. 1663 zamówiła dla niego kilka opactw we Francyi, ale sama nie myślała mu tam towarzyszyć, „lecz pozostałaby w Warszawie. I później powtarzała, że chce mieszkać w Warszawie po przyjeździe księcia francuskiego do Krakowa; zawczasu odbierała nawet przysięgi na posłuszeństwo rozkazom swoim w razie śmierci Jana Kazimierza. Tu dopiero otwiera się przed okiem naszem do głębi ta egoistyczna dusza, wstrząsana jedynie namiętnością panowania“.

Do jurgieltników pobierających pensye z francuskiego skarbu należał też Jan Sobieski. W r. 1661 wziął 4.800 liwrów, następnego roku już 8.000, potem 12.000, a za panowania Michała Wiśniowieckiego brał już i po 20.000 w ciągu roku.

Sejm 1661 r. uchwalił niesłychane podatki, dochodzące w wielu województwach do 50 poborów. Wojskowe jednak związki nie ustały, a wyłaniają się z nich programy polityczne. Między różnemi postulatami wojska, był jeden bardzo rozumny: ograniczenie urzędu hetmańskiego trzyletnim terminem i odpowiedzialnością doraźną, tak, żeby król każdej chwili mógł hetmanowi dać dymisyę. Kanclerze mieli być tylko dwuletni. Pod względem techniki dyplomatycznej propozycya taka wygląda niepraktycznie, lecz łatwo ją było przekształcić na odpowiedzialność przed królem, na równi z hetmanami. Żądanie koła olickiego, „aby buława przy pieczęci i skarbie nie chodziła“, było niezawodnie dla zasady monarchicznej korzystnem, oligarchię zaś mogło wyzuć z najszerszej szufli do zagarniania bogactw i władzy. Pomyślmy teraz, jaką postać przybrałyby dalsze dzieje Polski, gdyby Jan Kazimierz, albo raczej zdolniejszy od niego król, pochwycił program taki i pokierował jego wykonaniem! Bez przekupstw, intryg, bez machiawelskich wybiegów wzmocnienie władzy królewskiej było ofiarowane przez wybór szlachty, przez wojsko dzielne, waleczne, zwycięskie, którego stało pod bronią przeszło 60.000. „Takiej siły nie mieli ani Cezar nad Rubikonem, ani Napoleon w dniu 18 brumairea... ale to wojsko, przeważnie szlacheckie, nie chciało iść w nie-

wolę do Cezarów i Napoleonów", i sprzeciwiało się bezwarunkowo elekcyi za życia króla.

Korzon zajmuje się obszerniej związkami wojskowemi 1661—1663, opisuje też dokładnie sprawę zabójstwa Żeromskiego, marszałka związku litewskiego, który zginął z rąk własnych żołnierzy za sprzyjanie dworowi. Co do Sobieskiego, wyraża się autor, że „odurzony intrygami nie mógł dojrzeć, gdzie możnaby znaleść żywioły do uzdrowienia Polski, a gdzie się zaczynała jurgieltowa służba królowi francuskiemu".

Na drugim planie stoi kilka przyczynków biograficznych do życiorysów ważniejszych osób. Załatwimy się z nimi krótko. Chronologicznie najstarsza tematem jest praca A. Kraushara: „Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV. i Jana Kazimierza 1592—1656" (Petersburg 1892—1893). Jest tego aż dwa „tomy", bo specyalnością Kraushara jest, że z byle czego potrafi zrobić „tom", za pomocą „sosu literackiego" i wielkich marginesów. Dla historyka wystarczy wiedzieć, że Arciszewski był wodzem artyleryi koronnej 1646—1650, kierował obroną Lwowa i brał udział w potrzebie zbaraskiej. Sprzeciwiał się wszelkim układom, ręcząc, że króla doprowadzi pod Zbaraż; gdy przeważyło zdanie przeciwne Ossolińskiego i wdano się w układy, Arciszewski złożył swój urząd i usunął się zupełnie z widowni, poświęciwszy swe siły służbie za granicą. Biografia jego bardzo jest ciekawa.

Wiktora Czermaka „Młodość Jerzego Lubomirskiego" (*Kwartalnik historyczny* 1894, tom VIII, zeszyt 4) obejmuje lata 1616—1636, a zatem wczesną wiosnę życia. Dla historyka ma wartość niewątpliwe już stwierdzenie, że genealogia Lubomirskich nie sięga poza połowę XV. wieku, a sam Lubomierz „gniazdo rodu", nie był jeszcze r. 1480 w ich ręku, jako własność, ale tylko jako posiadłość dzierżawna, nabyta prawem zastawu. Lubomirscy spanoszyli się na żupach solnych [1]. Autor kreśli

[1] Do nich to stosował Czarniecki swoje: „ani z soli, ani z roli".

w ogólnym zarysie życie Stanisława L., ojca Jerzego, poczem opisuje wychowanie domowe syna do 15 roku, potem nauki w Kolonii i podróż do Włoch. Obszerniej zajmuje się kwestyą, dlaczego młodzież wysyłano za granicę i co uważano za wyższe wykształcenie.

Tegoż autora „Potrójne śluby Jana Sobieskiego i Marysienki“ (*Przewodnik naukowy i literacki*, 1890, listopad i grudzień) są bardzo ciekawe. Oto Sobieski brał trzy razy ślub z Maryą Kazimierą d'Arquien! Najpierw w warszawskim karmelitańskim kościele 24 czerwca 1661 r. Były to zaślubiny jakieś dziwne, niby romantyczne zaręczyny raczej, przed ołtarzem, lecz na własną rękę, bo bez księdza, a cudaczne tem, że żył jeszcze wonczas jegomość wojewoda sandomierski, Jan Zamojski — mąż Marysienki! Umarł im dopiero r. 1665. W sześć tygodni zaraz po jego śmierci, następuje ślub dany przez księdza dnia 19 kwietnia 1665; ale ten ślub był tajny, a publiczny, trzeci z rzędu, nastąpił dopiero 6 lipca. — Sobieski wahał się w latach 1664 i 1665 między królową a Lubomirskim; zdecydowawszy się wreszcie na stronę królowej, gniewa się, że ta rozpoczyna układy z Lubomirskim. Królowa, bojąc się Sobieskiego, urządza sprytną intrygę fartuszkową, która kompromituje Sobieskiego i zmusza go, żeby poślubił natychmiast panią Zamojską, oddaną zupełnie królowej; w ten sposób przykuła królowa Sobieskiego do swego rydwanu. Ponieważ w krytycznym czasie ciało nieboszczyka nie było jeszcze pogrzebione, nie wypadało brać ślubu od razu publicznie.

J. Przyborowski w artykule: „Rok urodzenia króla Michała Wiśniowieckiego“ poprawił datę z 1638 na 1640; żył tedy ten król zaledwie 32 lat. (*Kwartalnik historyczny* 1895, t. IX, zeszyt 3; także *Biblioteka Warszawska* 1895, lipiec).

Panowanie Sobieskiego opracowuje starannie, gruntownie, wszechstronnie T. Korzon od wielu lat. Zapewne w tym roku jeszcze wyjdzie pierwszy tom jego dzieła.

Z ostatnich lat mamy tylko jeden przyczynek do dziejów tego panowania, a mianowicie Aleksandra Czołowskiego: „Wojna

polsko-turecka 1675“ (*Kwartalnik historyczny* 1894, tom VIII, zeszyt 4). Jest to źródłowy opis tej wojny, dla której Jan III. odłożył koronacyę. Autor wyzyskał wydane już źródła i zebrał nadto sam rękopiśmienne. Okazuje się, że sławna bitwa w okolicy Lwowa, kiedy to Sobieski w cztery tysiące wojska rozprószył dziesięćkroć liczniejszego wroga, nie była stoczona pod Zniesieniem, lecz pod Lesienicami. Turcy łudzili króla zrazu nadzieją pokoju, ale Sobieski przejrzał ich plany. Warto wiedzieć, że sułtan proponował wówczas wspólną wyprawę na Moskwę, co Sobieski odrzucił. Niechęć Paca, hetmana litewskiego, do osoby elekta, okazuje się po tej rozprawie w jeszcze jaskrawszem świetle; wszak on umyślnie opóźnił się na plac boju! Bitwa pod Lesienicami (zwana dotychczas „pod Zniesieniem“) opisana szczegółowo, i podobnież bohaterska obrona Trębowli. Sławna „Zofia“ Chrzanowska nazywała się na prawdę Anna Dorota, a była rodowitą Niemką, z domu „von Frezen“. Chrzanowski był mieszczaninem, uszlachconym dopiero po wojnie; był bardzo zdolnym przywódcą.

Praca ta Czołowskiego jest pisana pod każdym względem tak dobrze, że może służyć za wzór podobnych monografij.

(Dok. nast.)

Dr. Feliks Koneczny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O chrześcijańską zasadę. Napisał *ks. Karol Niedziałkowski.* Warszawa. 1895. Tom I. (W 8 ce. str. VII, 359); tom II. (w 8-ce, str. 476).

Miraże mądrości. Napisał *Tenże.* Petersburg. Księgarnia K. Grendyszyńskiego, 1897. (W 8-ce, str. 313).

Świat poganieje, chrześcijańskie poglądy zanikają, a wszędzie wciska się duch niewiary i zyskuje prawo obywatelstwa w umysłach, literaturze, sztuce i życiu społeczeństw. Bardzo wielu nieświadomie idzie za tym prądem, nie zdając sobie nawet sprawy, gdzie ich ten prąd unosi, inni widzą i rozumieją *signa temporis*, ale milczą z obojętności i braku odwagi. Oto właściwa pobudka i zarazem myśl przewodnia tych dwóch książek o charakterze apologetycznym.

Przeciwnika pokonać można albo w otwartej regularnej wojnie, albo podjazdem i partyzantką. Uczone systematyczne dzieła apologetyczne mają cechę wojny regularnej, nasz autor obrał drugą drogę: ściga wroga w jego kryjówkach, wysadza go z zajętych stanowisk, wszędzie stara się go urwać i osłabić jego siły, rozwiewa urok jego imienia, wykazując nicość jego haseł. I jak w każdej partyzantce brak z góry obmyślanego i jednolitego planu, ale bije się tam, gdzie się sposobność nadarzy, tak i w tych książkach niema systemu; jest to zbiór ciętych rozpraw i artykułów, napisanych na różne temata i przy rozmaitych okazyach. Przedewszystkiem w dwóch kierunkach zwraca się autor: przeciwko zapatrywaniom niechrześcijańskim w literaturze i sztuce, tych dwóch najpotężniejszych objawach ducha ludzkiego.

Pierwsza rozprawa: „Asceci w rzeczywistości i wyobraźni współczesnych literatów i artystów“, została napisana z okazyi szkicu Elizy Orzeszkowej, umieszczonego w *Ateneum* z roku 1890 pod tytułem „Ascetka“. Autorka tego szkicu zrobiła ze swej zakonnicy jakiś dziwoląg psychicznie chorobliwy, goniący za wizyami i trapiący się bezrozumnie i niemiłosiernie. Takie przedstawienie życia ascetycznego wypłynęło z fałszywych i spaczonych poglądów, jakie dzisiejszy świat literacki ma wogóle o tradycyach chrześcijańskich, a w szczególności o zakonach i klasztorach. Jeszcze było pół biedy, dopóki literaci pozostawiali ten świat dla siebie niezrozumiały w spokoju i nie wdzierali się w tę sferę. Ale w ostatnich czasach pióra, goniące za nowością i oryginalnemi wrażeniami, rzuciły się na tę ustroń zaciszną i zaczęły malować mroczne kurytarze, dyscypliny, umartwienia i wizye osób zakonnych. Życie zakonne przedstawia się im jako zagadka, bo nie umieją go wysnuć z zasad religii chrześcijańskiej (które się w nich zatarły), uważają je tedy jako pewien rodzaj umysłowego zboczenia, po prostu za dziwactwo. A że wszystkie dziwactwa stanowią ponętny przedmiot dla pisarzy *fin de siècle*, więc też chciwie rzucili się na ten świeży żer i nuż analizować, rozbierać, czynić na ten temat tak zwane „psychologiczne studya“ na podobieństwo studyów z domu obłąkanych. Społeczeństwo, w którem stępił się zmysł chrześcijański, czyta te rzeczy i według nich formuje sobie sąd o życiu zakonnem. Nie dziw tedy, że powołanie duchowne i zakonne, które jeszcze do niedawna było w powszechnej czci wśród społeczeństwa chrześcijańskiego, staje się dzisiaj dla wielu niezrozumiałem dziwowiskiem lub, co gorsza, idyotyzmem, na który zdobywają się jedynie umysły niższe, chorobliwe, a w najlepszym razie dusze złamane zawodem miłości lub ambicyi. I niema sposobu, by te pojęcia sprostować, trzebaby z nimi zaczynać katechizm od początku, a któż katechizmu zechce dziś słuchać. Mamy wprawdzie piękną literaturę ascetyczną, gdzie *ex professo* traktuje się o życiu zakonnem, ale takiej książki nie weźmie do ręki żaden „przeciętny inteligentnik“, a cóż dopiero zawodowy literat; on wolałby raczej połknąć np. pająka, aniżeli duchowną książkę przeczytać z uwagą do końca.

Otóż dla takich to czytelników napisał ks. Niedziałkowski obronę zakonnego życia, wogóle życia duchownego. Przemawia do nich językiem zrozumiałym, racyami wprawdzie teologicznemi, ale przełożonemi na język literacki, a wszystko przeprowadza z nieubłaganą konsekwencyą i ilustruje obrazami prawdziwie literackimi. Ktoby chciał dokła-

dnie streścić tę rozprawę, musiałby ją przynajmniej w połowie przepisać: tyle tam świeżych myśli, trafnych porównań, ciekawych wtrąconych epizodów. Ascetyzm przedstawia najpierw autor jako indywidualną potrzebę niektórych wyższych umysłów, które „jak orły nie zadowalniają się ziemią, ale wzlatują pod obłoki i szukają szczęścia w tem, co nieskończone". Takie indywidualne upodobania trafiają się nawet wśród społeczeństw niechrześcijańskich; nie powinny zatem nikogo dziwić, skoro tyle innych a przeróżnych upodobań ludzkich znajduje usprawiedliwienie. Następnie wykazuje autor związek życia ascetycznego z istotą chrystyanizmu: jest ono koniecznym jego wypływem a zarazem najszczytniejszym wykwitem. Podaje dalej cechy charakterystyczne życia ascetycznego, przeciwstawiając je błędnym opiniom wielu dzisiejszych literatów, a więc życie nadprzyrodzone, polegające nie na wizyach rozegzaltowanej wyobraźni, czatującej na chwilkę rozrzewnienia, ale na miłości Boga i na miłości bliźniego. Życie zakonnika to walka i praca, a nie próżniactwo i kwietyzm, asceci to nie odludki, nie natury cierpkie, co samolubnie zerwały obowiązki względem społeczeństwa. Pięknie zestawia autor miłość chrześcijańską z altruizmem świata niechrześcijańskiego, bohaterów Kościoła ze zwolennikami czystej wiedzy, którzy „kochają bliźniego odczytami i tańcami". A i to świeckie miłosierdzie jest tylko resztką dawnej chrześcijańskiej miłości bliźniego; skoro zabraknie tej resztki, zapanuje etyka „nadludzi", którzy się na nic oglądać nie potrzebują. Życie ascety nie jest tedy jałowe, ani ponure, owszem asceci są najszczęśliwsi z ludzi. Wprawdzie obchodzą się bez drobiazgowej monety przyjemności zmysłowych, ale za to najgłębsze i najszlachetniejsze pragnienia ich serca są zaspokojone. Najciekawszym może z całej tej rozprawki jest ustęp ostatni, gdzie przedstawia ks. Niedziałkowski życie ascetyczne w uroczem świetle poezyi. Poezyę życia ascetycznego przyrównuje nader trafnie „do tonów organowych, głębokich, rzewnych, silnych, ale zawsze odznaczających się jakąś trzeźwością, brakiem sentymentalności, lecz za to głębią religijnego namaszczenia, na jakie żaden inny instrument się nie zdobędzie". Następnie przesuwa przed oczyma czytelnika piękne postaci męczenników, pustelników, cudowne typy chrześcijańskich kobiet i wylicza korzyści, jakie z klasztorów spłynęły na ludzkość: „Jak lasy są konieczne, bo z nich wilgoć na cały się kraj rozlewa i użyźnia go, tak samo w klasztorach zachowuje się i rozlewa na całe społeczeństwo atmosfera moralnego zdrowia, bez którego ono wyschnie i zjałowieje". Kończy treściwym przeglądem postaci zakonnych z literatury europejskiej. Z naszych pisarzy najlepiej, zdaniem

autora, pojął Mickiewicz swego księdza Piotra, gorzej pod względem ascetycznym wypadł Robak, podczas gdy Mnich Słowackiego nawet nie jest chrześcijaninem. Inni z naszych pisarzy nie chcieli wprawdzie ubliżyć klasztorom (wyjąwszy Krasickiego), ale nie rozumieli życia zakonnego, więc ich postaci wypadły blado. Malarstwo natomiast zna rozmaite karykatury życia zakonnego, do których śmiało możnaby zaliczyć modne dziś „nowicyuszki". Najwięcej przypadł do gustu autorowi Kapucyn Matejki w „Kościuszce pod Racławicami" i wtem ma zupełną racyę.

W związku z poprzednią rozprawą stoi inna pod tytułem: „Kilka wspomnień klasztornych". To, co autor powyżej o życiu ascetycznem wypowiedział jakby w teoryi, ilustruje tu żywymi obrazami, wziętymi z klasztorów, które sam zwiedził. Wprawdzie w opisach tych pobieżnych nie roztacza tej głębi życia wewnętrznego, o jakiem pisał poprzednio, ale z tych wrażeń przelotnych każdy czytelnik nabiera przekonania, że zakonnicy to nie dziwacy, ale ludzie wcale, jak to mówią, normalni, z którymi można się porozumieć. U Kapucynów chwyta go za serce prosta wiara i ujmująca gościnność, u Dominikanów krakowskich znalazł kilka dusz głęboko artystycznych, u Kamedułów na Bielanach i w klasztorze Emmaus w Pradze rozkoszuje się atmosferą modlitwy, jaka tam wieje i wypowiada zdanie godne pisarza chrześcijańskiego i kapłana: „Kto się sam modli, niechybnie odczuje ten nieuchwytny na pozór objaw ducha ludzkiego, a zapewne i łaski boskiej w miejscu modlitwy". W klasztorze Emmaus wpada autor na swój ulubiony temat malarstwa religijnego z okazyi obrazów szkoły benedyktyńsko-beurońskiej; widzi w niej powrót do dawnych pojęć, przewagę myśli i treści nad formą. Razi go tylko nieco zbytek alegoryi, a „świętych głowy w nieodmiennej złotej aureoli" wyglądają mu „jakby były na złotym talerzu". Z klasztoru Norbertanów na Strachowie wywiózł ks. Niedziałkowski wspomnienie wspaniałej budowy, pięknego widoku, dużej galeryi obrazów, z których jeden, choć dobrze malowany, zgorszył go nie pomału, i wywołał ostrą, ale w ustach kapłana zupełnie zrozumiałą naganę: „Dziwić się można, do jakiego stopnia jest silnem źle zrozumiane bałwochwalstwo sztuki, kiedy pozwala zakonnikom trzymać malowidło, niczego więcej niewarte, jak spalenia". Następuje jeszcze kilka obrazków klasztornych, między nimi jeden bardzo miły z klasztoru żeńskiego. Zresztą autor wcale nie przesadza, ani zbyt idealizuje; wspomina o ułomnościach ascetów i wyznaje bez ogródek,

jak bardzo smutnym i bolesnym jest widok zgromadzenia, z którego duch zakonny uleciał.

Druga grupa rozpraw ks. Niedziałkowskiego dotyczy sztuki: jest ich dwie w pierwszym tomie, a jedna w drugim. Gdybym mógł powiedzieć o sobie to, co mówi autor: *anch' io fui un poco pittore,* możebym lepiej ocenił jego poglądy na sztukę, niestety profanem jestem i jako taki ograniczę się przeważnie na krótkiem ich streszczeniu. Czy autor jest dobrym malarzem, tego nie wiem, ale że jest tęgim estetykiem, obeznanym ze wszystkiemi szkołami i kierunkami, tego raz po raz składa dowody. Poglądy zaś jego i uwagi tem są cenniejsze, że są jasne i przystępne, choć gruntowne; trafiają one do przekonania i z pod serca wyrywają to, czego niejeden nie umie sformułować, a niejeden sformułować się boi. Zapewne wielu dzisiejszych malarzy nie przyzna racyi ks. Niedziałkowskiemu, ale nic w tem dziwnego, bo jego artykuły zawierają właśnie krytykę wielu dzisiejszych artystów i tej nowszej sztuki która się pozbyła piętna chrześcijańskiego

Rozpoczyna autor od kwestyi drażliwej: „Nagość w sztuce pod względem etycznym i estetycznym". Przedewszystkiem konstatuje fakt że dzisiejsze wystawy obrazów, to po wielkiej części — jak się wyraża dosadnie — „wystawa mięsa — istne jatki"; że w domach chrześcijańskich obok obrazu Matki Boskiej świecą nagiem ciałem bachantki i nimfy. Kierunek ten w sztuce coraz więcej się rozzuchwala, jedni boleją, ale lękliwie milczą, drudzy szydzą z pruderyi i tem śmielej propagują kult nagości. Ks. Niedziałkowski (idąc za ks. Morawskim [1]) rozwija filozoficznie teoryę piękna, cytując rozmaite poglądy, zacząwszy od starych scholastyków aż do nowych estetyków, i przychodzi do wniosku, że piękno, dobro i prawda z jednego płyną źródła, więc ze sobą kłócić się nie powinny. Dzieło sztuki, żeby było piękne, musi przemawiać do rozumu i woli, czyli powinno uszanować prawa logiki i etyki; inaczej może się podobać tylko jednostronnie, jako rysunek, koloryt, rzeźba, ale wywoła w nas pewien rozdźwięk, „jak człowiek mądry a przewrotny, kobieta piękna ale głupia". Trafnie zauważa, że niezależność sztuki od etyki jest po prostu iluzyą, bo niema na świecie człowieka, któryby nie posiadał jakichś zasad etycznych, a każde dzieło sztuki świadomie lub bezwiednie wyraża wewnętrzny stan i zapatrywania artysty; to też zwolennicy niezależności sztuki powinniby raczej głosić niezależność od etyki chrześcijańskiej. Zresztą fatalne skutki tej

[1] „O związku sztuki z moralnością". *Przegląd Powszechny,* 1887. T. 2.

teoryi, jak np. rozluźnienie obyczajów, podniecanie niskich instynktów i kult zmysłowości, dostatecznie przemawiają przeciw jej prawdziwości.

Ale czy godzi się przedstawiać nagie ciało? Jedni gorszą się przesadnie, drudzy gardzą skrupułami bigoteryi, bo, jak mówią, ciało to najpiękniejsze dzieło boże. Autor stara się pogodzić obydwa skrajne zapatrywania. Wychodząc z założenia, że nagość sama nie jest jeszcze grzechem, ale bywa podnietą rozwiązłości, wyprowadza warunki, pod jakimi nagość może być przedstawiona. Nagie ciało powinno przedewszystkiem wywoływać samo tylko wrażenie piękna; to zaś zależy od przedmiotu i od patrzącego. W przedmiocie samym nie powinno być nic takiego, coby umyślnie dążyło do wywołania wrażeń zmysłowych, natomiast powinny być inne przedmioty tak silnie działające, by zagłuszyły wszystkie niższe instynkta (np. Biczowanie, Ukrzyżowanie P. Jezusa). Widz zaś powinien posiadać czystość serca i znajomość przedmiotu, stąd dla *profanum vulgus* nagość będzie zazwyczaj okazyą do wrażeń zmysłowych. Wiele także zawisło od wieku i temperamentu widza lub od jego przyzwyczajenia; w epokach niektórych całe społeczeństwo robi się mniej wrażliwe. Dzieła widocznie zmysłowe i gorszące są złe, choćby pochodziły od najwyższych mistrzów; mogą być przechowane dla pięknej formy tam, gdzieby nikogo nie gorszyły a służyły do nauki. Odnośnie do estetycznego znaczenia nagości ciała ludzkiego wykazuje autor, że człowiek nie tyle co do ciała, ile raczej co do ducha jest najszczytniejszym przedmiotem artystycznej działalności, a odkąd sztuka zaczęła się więcej zajmować pięknością ciała, przestała służyć idei i zeszła na niziny namiętności. Przy świetnej technice stała się trywialną, maluje przeważnie „krowy i cielęta“, przedstawia „odbijanie się światła na kamiennej posadzce lub końskim ogonie“. Ks. Niedziałkowski wyraża dość uzasadnione posądzenie, że dzisiejsi artyści w przedstawieniu nagiego ciała nie mają na celu samego tylko piękna, bo przedstawiają najczęściej nagość kobiecą, jakby tylko ciało kobiety było pięknem. Wszystko to raczej wydaje się być obliczone na efekt, na pokup, na ściągnięcie tłumów żądnych takich widoków, słowem, idzie tu przeważnie o wyzyskanie złych instynktów. Poglądy swoje popiera autor przykładami z dziejów sztuki i niektórych obrazów. Sporo dostało się p. Siemiradzkiemu za jego „Fryne“, ale czy nie słusznie?! Wszak jego obraz przedstawia tryumf bezwstydu; a „jeżeli piękne ciało tłumaczy rozpustę, to spryt wielki powinien tłumaczyć oszustwo, a siła rozbój“. Na końcu mamy polemikę z p. Witkiewiczem, który w swojej rozprawie „Sztuka i krytyka u nas“ dochodzi do wniosku,

że malarstwo historyczne jest teoretycznym wymysłem, bo „ostatecznie dla dzieła sztuki wszystko jedno: Zamoyski pod Byczyną czy Kaśka zbierająca rzepę, ani w pierwszym, ani drugim wypadku nie przybędzie ani jednego połysku, ani cienia, ani refleksu, jeżeli będą oboje o tej samej porze dnia oglądani". Jeszcze krótka polemika z p. Gierymskim, który twierdzi, że dlatego niema religijnej sztuki, bo niema wiary w społeczeństwie. Ks. Niedziałkowski odpowiada, że społeczeństwo jest przecież jeszcze w znacznej części chrześcijańskie, i artyści powinni się z niem liczyć. Kult nagiego ciała to kwiat poganizmu w przeciwstawieniu do chrześcijaństwa, które podniosło człowieka nad stan zwierzęcy. Zresztą sztuka powinna być prawdą, a ludzie w rzeczywistości dla rozmaitych względów żyją w ubraniu.

Pokrewny treścią jest artykuł: „Moralność i przyzwoitość w sztuce". Cały polemiczny z p. A. malarzem, który w *Tygodniku Ilustrowanym* wystąpił w obronie nagości pod hasłem, że sztuka powinna być prawdą, a prawda jest naga.

W trzeciej dość obszernej, bo połowę drugiego tomu zapełniającej rozprawie pod tytułem: „Naleciałości renesansowe w sztuce religijnej", dotarł autor do źródła złego, przeciw któremu walczy. Epoka odrodzenia sprowadziła spaczenie myśli chrześcijańskiej. Zarzut ten dotyczy malarstwa i rzeźby, nie zaś architektury, której broni przeciw szowinistom gotycyzmu. Nie jest jednostronny, owszem wykazuje wady epoki przedrenesansowej (nieudolne i sztywne formy), a zalety odrodzenia w kolorycie, rysunku, słowem w technice — nie występuje zatem przeciw pięknej formie zewnętrznej, tylko przeciw treści i pewnym sposobom malowania obrazów religijnych. Dla lepszego uzasadnienia swego zdania przedstawia powolny rozwój epoki odrodzenia rozpoczynając od okresu legistów i powtarza dzisiaj już przez pisarzy chrześcijańskich ustalone zdanie, że zwrot do literatury pogańskiej sprowadził za sobą odnowienie pogańskich pojęć i pogańskiego życia. Sprawiedliwość jednak każe mu wyznać, że ludzie dla tego wraz z dobrem przyswoili sobie wszystko złe z pogaństwa, bo sami już byli popsuci i źli. Po ogólnej charakterystyce epoki odrodzenia przechodzi do jej wpływu na sztukę religijną i cytuje rozmaite śmieszne przykłady tego pomieszania pojęć pogańskich z chrześcijańskiemi, np. Bachus modlący się do Matki Boskiej i t. d. W szerszym wywodzie, na który warto zwrócić uwagę powszechną, rozpisuje się autor o sztuce religijnej. Religia chrześcijańska posiada przeróżne rodzaje piękna: w swej nauce, cnotach, kulcie i świętości bohaterów chrześcijańskich. Żeby to piękno

należycie przedstawić, trzeba je odczuć, to znaczy trzeba wierzyć, umiłować prawdę chrześcijańską i przejąć się nią głęboko. Kto niema głębokiej i żywej wiary, nie będzie nigdy dobrym malarzem religijnym. Ponieważ osłabł duch wiary w epoce odrodzenia, więc upadło i malarstwo religijne, nastało zerwanie z tradycyą chrześcijańską i przewaga osobistej fantazyi artystów w kierunku naturalistycznym. Tłumaczą się dzisiejsi malarze, że boskości przedstawić nie umieją, gdyż jej nie widzieli nigdy; otóż ks. Niedziałkowski przyznaje, że boskości namalować nie można, ale artysta powinien umieć oddać pierwiastek nadprzyrodzony w rysach twarzy i w całej postaci świętego. Znamieniem dalszem renesansowej sztuki jest, według ks. Niedziałkowskiego, pycha, niekrępowanie się niczem i chęć popisania się — wykazuje to na poszczególnych dziełach tej epoki. Oddawszy należne uznanie „Wieczerzy“ Leonarda da Vinci i „Św. Cecylii“ Rafaela, krytykuje inne obrazy nie wyjmując „Sądu ostatecznego“ Michała Anioła. Obraz jest rzeczywiście nie po religijnemu pojęty, artysta popisuje się anatomią i pięknem ciała ludzkiego we wszystkich możliwych pozycyach i skurczach, a jego Chrystus, to raczej pogański *Iupiter tonans,* niż nasz Bóg-Sędzia. W zapale krytycyzmu posuwa się ks. Niedziałkowski tak daleko, że gotów nawet brać za złe papieżom, iż to dzieło tak długo tolerowali w swej kaplicy. Również może nie bardzo słusznie rażą ks. Niedziałkowskiego liczne „Św. Rodziny“, na których Chrystus bawi się ptaszkiem lub kwiatkiem. Zapewne obraz taki nie bardzo do modlitwy nastraja, ale trudno powiedzieć, że obraża uczucia religijne. Zgadzam się natomiast z autorem w jego oburzeniu na tych artystów, którzy chcąc się popisać anatomią przedstawiali postaci świętych zupełnie nagie, a przynajmniej z obnażoną nogą. Nagość ta przechodzi u niektórych malarzy wprost w zmysłowość w rozmaitych obrazach św. Magdaleny — „ani ona pokutująca, ani nawrócona, ale często jeszcze bezwstydniejsza, aniżeli była za grzesznego swego żywota“ Niewiele lepiej stoi sprawa z Aniołami. W malowidłach przedrenesansowych wyglądają oni jako młodzieńcy piękni, poważni, przedstawieni są wprawdzie boso, ale przyzwoicie odziani i posiadają duże skrzydła. Później zaczęto ich malować nago, o maleńkich skrzydełkach jak „u gołębia lub wróbla“; „anioł, duch bezpłciowy stał się zwyczajnym młodzieńcem dobrze zbudowanym, a bardzo źle wychowanym, z którego suknie spadają“. Jeszcze u późniejszych malarzy zrobiono z nich małe dzieci, a raczej „rozhukanych chłopców, wywracających koziołki w powietrzu i płatających rozmaite błazeńskie figle“ — istne pogańskie geniuszki lub elfy.

To samo spoganienie widzi autor w grobowych pomnikach, gdzie odżyła symbolika pogańska (jak: geniusz z odwróconą pochodnią, urna, beznadziejna otchłań), tak niezgodna z duchem chrystyanizmu. „Na pomnikach zamiast pokory, tak będącej tam na miejscu, rozsiadła się mniej lub więcej zamaskowana pycha i miłość własna pozostałych“ (np. pomnik Potockiego na Wawelu). Całość kończy autor przykrem, ale niestety prawdziwem wyznaniem, że dzisiaj niema sztuki religijnej w Europie. Artyści dzisiejsi nie potrafią malować obrazów religijnych, gdyż one wymagają „myśli, potem nauki, wiary i życia co najmniej uczciwego i moralnego“. Jednak i na tem polu rozpoczyna się reakcya, a ks. Niedziałkowski pragnie, by odnowiona sztuka religijna połączyła zdobycze renesansowe i późniejsze „z wiarą dawniejszych artystów, z tą tylko różnicą, że gdy dawniej była ona często naiwną i bezwiedną wiarą młodzieńca, teraz będzie trwałem i niezachwianem przekonaniem męża“.

Innego rodzaju jest następna rozprawa: „Krytycyzm naszej epoki i wiara prostaczków“. Obszerny ten, bo 322 stronic obejmujący rozdział ma być apologią chrystyanizmu wobec uroszczeń nowej nauki. Co prawda, nie wiem jaką miarę mam przyłożyć do tej pracy. Ściśle naukową ona nie jest; brak jej systematyczności i przejrzystości, ale za to wprawia czytelnika w zdumienie obfitością poruszonych kwestyj, mnogością różnorodnych zarzutów i odpowiedzi, które dość luźno obok siebie postawione sprawiają niemały kłopot sprawozdawcy, chcącemu je jako tako streścić. Ogólne wrażenie przeczytanej rozprawy jest takie, że autor niemiłosiernie chłoszcze ten krytycyzm, który w imię praw rozumu lub rzekomej nauki podkopuje podwaliny religii chrześcijańskiej i uważa ją jako zabobon lub zbiór bajek. Z uznaniem podnosi autor uczciwy dorobek rozumu ludzkiego, ale piętnuje zarazem ten przesadny kult rozumu, o którym się dzisiaj nie mówi i nie pisze inaczej „jak tylko na klęczkach i z trybularzem w ręku“. Trafnie bardzo maluje małoduszność nierzadkich między nami jednostek, które wprawdzie nie zapierają się wiary, wiedzą, że bez niej żyć ani zbawić się nie można, ale „wobec pychy pseudonaukowej, są jak ludzie z ubogiego stanu wyszli, co nie śmieją się przyznać do swej starej matki, bojąc się szyderstw i szykan kolegów“. Dzisiejszemu krytycyzmowi dwa słuszne czyni zarzuty: „że nie jest on wcale przedmiotowy, za jakiego chce uchodzić, gdyż krytycy mają swoje sympatye i antypatye“ [1], a powtóre

[1] Jako dowód przytacza dość ryzykowne zdanie: „gdyby pewnik

że nie jest samodzielny, bo najczęściej krytykujący powtarzają zdania rzekomych powag naukowych. Nieznajomość prawd wiary, miernota, lenistwo i zarozumiałość złożyły się na ten krytycyzm, który w ognistych artykułach piorunuje na przesądy i prawi wielkie tyrady o zacofaniu i próchniejącym chrystyanizmie. Szerzą się paszkwile i drwiny, a o kościele katolickim krążą wieści „w niczem nie ustępujące wiadomościom dawnych pogan o spożywaniu dzieci w czasie uczt chrześcijańskich".

Dalszą część pracy wypełnia polemika z materyalizmem i wykazanie zgodności nauki z objawieniem; wszędzie pełno przykładów, ilustracyj, a niektóre z nich bardzo ciekawe. W dowodach idzie autor za Apologią Duilhé de St. Projet'a i księdzem Moigno: *Les splendeurs de la foi.* Mówiąc jednak o tajemnicach stawia twierdzenie, na które teolog mógłby się zgodzić tylko z pewnemi zastrzeżeniami, mianowicie, że wiara bez tajemnic byłaby fałszywą. Przyklasnąć natomiast należy autorowi za to, że tak obszernie i trafnie podniósł znaczenie woli w akcie wiary, bo dzisiejsi sceptycy w rodzaju „Płoszowskich" najczęściej z braku woli nie mają wiary. „Wola upadła, zniedołężniała, spodlona czyni ludzi niezdolnymi do wierzenia. Kto długo odpierał działanie łaski i głuszył wołanie sumienia, tak zużył się, że wypaliła się w nim i wygasła wrodzona energia woli. Kiedy kawał płótna lub innej tkaniny splami się raz i drugi, można go wyprać, plamę wywabić, ufarbować wreszcie na nowo, ale tej możliwości jest pewna granica. Jeśli bowiem tkanina zbyt długo wycierała i wciągała w siebie wszelkie brudy, jeśli walała się po wszelkich rynsztokach i kanałach, staje się w końcu obrzydliwą i cuchnącą szmatą, którą tylko wyrzucić można na śmietnik, a co najwyżej pies ją sobie podściele" (t. II, str. 158). Jest to porównanie jasne, co prawda, i dosadne — ale zarazem bardzo niesmaczne, zwłaszcza w takiej książce i pod piórem takiego autora.

Pod koniec rozprawy wycieczka przeciw Konopnickiej, która „przekonania bezwyznaniowo-postępowej szkoły oblekła w szatę poezyi". Ks. Niedziałkowski cytuje rozmaite zwroty z pism tej poetki, z których zieje nienawiść do Kościoła i niezdrowe poglądy społeczne; takich utworów poetycznych jeszcze chyba nie miała literatura polska. Przeczytawszy te wyjątki trudno nie powtórzyć za Choińskim, „że na mę-

2 razy 2 = 4 miał jaki związek z moralnością, toby mu połowa ludzi zarzeczyła".

skiej głowie przywykłej do ścisłego myślenia jeżą się włosy wobec takich wybryków rozkapryszonej wyobraźni niewieściej". Warto podnieść te zdania wobec faktu, że w ostatnich tygodniach pozawracała Konopnicka wiele głów, nawet poważnych, w naszej Galicyi. Obecność jej we Lwowie wywołała ruch niesłychany w świecie kobiecym, witano ją jako prorokinię narodu, a mężowie posiwiali słali „swe serca" pod jej stopy. Jeżeli ci wszyscy znali utwory p. Konopnickiej, to niewesoła dla nas perspektywa; pocieszmy się jednak tą myślą, że większość znaczna powtarzała nieświadomie hymny pochwalne. Przy całem uznaniu dla języka i formy, treść poezyi Konopnickiej jest po większej części niezdrową, i chwalić jej niestety nie można — pomimo wszelkich pró rehabilitacyi, i to z tej strony, z której się ich najmniej spodziewać należało.

Rozprawa o krytycyzmie wzięta w całości, mojem zdaniem, najmniej się udała ks. Niedziałkowskiemu. Są w niej rzeczy piękne, myśli trafne, dużo wiadomości z filozofii i teologii, ale to wszystko dość chaotycznie z sobą pomieszane. Autor poruszył jednę z najsubtelniejszych kwestyj o wierze, ale ją zbył dość pobieżnie, obok rzeczy zasadniczych jest dużo drobiazgów i powtarzań, wskutek tego traci się często myśl przewodnią. Jest to raczej luźna pogadanka na temat dzisiejszego niedowiarstwa, niż gruntowna rozprawa. A jednak, rzecz dziwna, czytelnik gniewa się na autora za ten chaos, a przytem ciekawie czyta do końca. Co do języka możnaby zarzucić autorowi oddawanie łacińskiego teologicznego słowa *habitus* przez nałóg, podczas gdy ono w znaczeniu przytoczonem może oznaczać: trwały stan, usposobienie, uzdolnienie, ale nigdy nałóg.

Drugie, najnowsze dzieło ks. Niedziałkowskiego ogłoszone pod tytułem: „Miraże Mądrości", formą zarówno jak i treścią podobne jest do poprzedniego. Składa się z kilku luźnych artykułów, w których autor demaskuje niektóre hasła i poglądy czasów dzisiejszych przeciwne wierze, a uchodzące za czystą mądrość, wykazując, że nie są one szczerą mądrością, ale jej ułudnym pozorem — tem czem dla wędrowca *fata morgana* i miraże pustyni. Pierwsze takie hasło to: „Wolność myśli i wolność czytania". Chcąc jasno sprawę postawić rozpoczyna autor od definicyi wolności. Wykazuje, że wolność nie znaczy to samo, co niezależność, i dochodzi do logicznej konkluzyi: że „zupełna swoboda należy się tylko temu, co jest prawdziwe i dobre; temu, co wskutek niedoskonałości natury ludzkiej, jest, albo wydaje się wąt-

pliwem, należy się tolerancya; to zaś, co świadomie i publicznie jest złem i fałszywem, powinno być za pomocą wszelkich godziwych środków zabraniane i usuwane". Od ogólnych uwag o wolności przechodzi do określenia „wolnej myśli". Trudno nie przytoczyć co odpowiada na zarzuty, że dogmata Kościoła katolickiego i jego nieomylność krępują swobodę myśli: „Nasłuchaliśmy się deklamacyi o niebezpieczeństwach grożących myśli ludzkiej ze strony nieomylnego papieża... mój Boże, a jednak i ja i każdy z moich czytelników zna co najmniej parę dziesiątków nieomylnych, którzy nie ze szczególnego daru Boga i nie w rzeczach moralności i dogmatyki, jak papież, ale własną swoją mocą i w każdej gałęzi, nie mylą się nigdy... a jednak nie sądzą, żeby ich nieomylność w czemkolwiek rozum ludzki krępowała — chyba owszem, podnosi". „Ileż to takich ‚nieomylnych' zasad postawiła nowa rzekoma nauka, choćby tylko wziąć na uwagę ‚nieomylne' dogmaty materyalizmu". Nowa nauka miała wyzwolić myśl wolną, tymczasem ją poniżyła... w końcu „myśl wolna" stała się „wolną namiętnością". Myśl ludzka ma swoje prawa, których bezkarnie przełamywać nie może. Pierwsze takie prawo, to potrzeba kształcenia władz umysłowych, bo są niesłychanie wątłe i słabe. Dalsze prawo, to ograniczoność i skończoność rozumu ludzkiego; co więcej, ks. Niedziałkowski nie waha się twierdzić, że umysł człowieka jest najbardziej niedołężny i ograniczony ze wszystkich władz, a przecież wolnomyślnym się zdaje, że „ich rozum potężniejszy od skrzydeł orlich", że wszelka tajemnica przed nim otwarła swe skrytości, że żadnym prawom ulegać, żadnych ostrożności zachować nie powinien. Trzecie prawo przyrodzone jest, że dla wzrastania i życia musimy używać tylko tego, co dobre i pożyteczne, a natomiast troskliwie unikać wszystkiego, co szkodliwe. Hygiena usuwa trucizny, estetyka bohomazy: otóż te same ostrożności należy rozciągnąć i do rozumu ludzkiego, bo on łatwo ulega namiętnościom. Kościół katolicki tak postępuje; zabronił czytania złych książek, i nie zważa na modne i płytkie frazesy. Z temi frazesami polemizuje autor przy końcu artykułu. Zwycięsko rozprawia się z frazesem: „o horyzontach i jednostronności", o potrzebie czytania wszystkiego, by się oryentować w ruchu umysłowym, o tej bezstronności, która lubi szukać prawdy wyłącznie poza obozem katolickim. Złote są uwagi autora o czytaniu powieści, zwłaszcza bezwstydnych, które mają uczyć żyć. „Kto musi czyścić kloaki, wyrzucać gnój i t. p. funkcye spełniać — powiada autor znowu zbyt dosadnie — niech je spełnia, ale nie wiem, czy najpilniejszy uczeń Zoli wziąłby się do łopaty, by mu

pomagać do poznania życia". „Inni znowu tłumaczą się, że czytając niemoralne utwory, są zupełnie obojętni, że one wcale na nich nie działają. Można temu wierzyć, albo i nie wierzyć, ale nie wiem, w którym razie bywa gorzej. — Jeśli naprawdę zmysłowe opisy nie działają już na człowieka, to bywa zwykle dowodem, że tak długo brudził swe serce, iż nowy brud nic już w niem do zawalania nie znajduje".

„Wrażenia niewierzącego w mieście świętem" — to sprawozdanie z książki: *Jerusalem — Pierre Loti*. Książka ta ciekawa z tego powodu, że Loti, to typowy okaz dzisiejszego niedowiarka, „pielgrzyma bez wiary", który wybrał się do Palestyny, by gonić „resztki cienia świętego". W Chrystusa Pana nie wierzy, ale nie może o Nim zapomnieć, bo jak sam mówi: „Nie może bo niczem na świecie zastąpić Chrystusa, kto raz żył przez Niego". Zachowanie się jego w ziemi świętej dziwnie zagadkowe; od czasu do czasu odzywają się w nim „atawistyczne" uczucia wiary, płacze ze wzruszenia na widok modlących się tłumów, to znowu wydaje mu się to wszystko bałwochwalstwem; gorszy się prostotą i ubóstwem miejsc świętych, chociaż gdzieindziej za złe bierze duchownym palestyńskim, że mu pokazują „złocistego Chrystusa"; czuje żal za straconym Zbawicielem, to znowu wyraża mu wdzięczność za Jego długie kłamstwo o miłości — słowem mieszanina poczciwych poruszeń dobrego serca i bałamutnych kombinacyj niezbyt logicznej głowy. Ks. Niedziałkowski podnosi zalety pisarskie autora, cytuje piękny obraz lamentujących Żydów, „chwiejących się niby niedźwiedzie w klatce z korkociągami z włosów nad uszami", a równocześnie wykazuje mu całą nielogiczność jego sposobu „szukania Chrystusa". Warto przytoczyć choćby końcowy ustęp, przyostry może, ale całkiem uzasadniony: „W społeczeństwach europejskich (w naszem mniej może niż w innych) wskutek upadku moralności, upadło też zrozumienie ciężkości grzechu i poczucie sprawiedliwości. Wszystkie wysiłki dążą do zapewnienia bezkarności a najpotworniejsze zbrodnie znajdują zawsze tłumaczenie i uwzględnienie, przyzwyczajono się też do wymówek wciągać i wielkie miłosierdzie boskie — syn marnotrawny, Magdalena i łotr na krzyżu, ciągle są przyłączani jako dowody, że grzesznicy nie mają się czego obawiać. Przykłady są bardzo piękne i pocieszające, tylko że zastósowanie ich wadliwe, bo przy niem zapomina się jednego małego wyrazu ‚pokutujący', który zmienia wszystko z gruntu: właśnie dziś o pokucie i poprawie nic się nie mówi".

Artykuł zatytułowany „Nieco o dyable" został napisany z okazyi

sprawozdania literackiego o studyum p. Ignacego Matuszewskiego pod tytułem „Dyabeł w poezyi“. Wśród literatów i szerokich kół naszej inteligencyi ustaliło się przekonanie, że szatan nie jest istotą rzeczywistą i odrębną, tylko uosobieniem zła moralnego, dlatego boją się nawet o nim wspominać, by się nie narazić na śmieszność. Ks. Niedziałkowski występuje przeciwko tej opinii, zbijając przytem poglądy niektórych socyologów, którzy twierdzą, że człowiek początkowo nie miał żadnych pojęć moralnych, ale je sobie wyrobił za pomocą wrażeń zmysłowych, przyjemnych lub przykrych. Następnie historycznie i filozoficznie dowodzi, że szatan nie mógł powstać przez uogólnienie złego, przez t. zw. ewolucyę. W końcu czytamy kilka trafnych uwag na temat ewolucyi i ciągłego postępu i rozwoju ludzkości, z których wynika, że świat co do moralności cofa się ku pogaństwu, i tem tłumaczą się próby niektórych poetów „schyłkowych“ rehabilitacyi szatana (Baudelaire i Carducci) Na pytanie, czy w wieku XIX. można wierzyć w istnienie dyabła, autor z zupełną stanowczością odpowiada, że można, i dodaje: „Alboż to wiek XIX. nie wierzył, że wszystko, co materyalne, nie istnieje wcale, ale jest wytworem ludzkiej myśli, jak w kilkadziesiąt lat potem wierzył, że myśl jest tylko wytworem materyi? Wszakże to synowie tego wieku... wierzyli i wierzą... że nowych prawd dowiadywać się trzeba od nóg stołowych, że dwojnik człowieka rozszczepia się całkowicie z ciałem jego, pozostając w niem połączony tylko pępowiną medyumiczną? Czemużby więc nie mieli wierzyć w istnienie szatana... opierając się na objawieniu, które w każdym razie ma więcej naukowej pewności, niż *bathybius*, niż duch Johna Kinga, a nawet, niż głoszona przez p. Ochorowicza najnowsza prawda naukowa o pępowinie medyumicznej“ (Brawo!).

Następuje „Gawęda o jednym numerze *Tygodnika Ilustrowanego*“. Jeden numer tego pisma (169 z r. 1896) nasunął autorowi wiele refleksyi na temat zaniku wiary w świecie dziennikarskim. Nie podoba mu się najpierw ilustracya, przedstawiająca modlitwę, bo nie jest to ta modlitwa „codzienna jak chleb, zdrowa i posilna, jak górskie powietrze, woda zdrojowa i zapach ziół leśnych“, ale jakaś wymarzona przez nowoczesnego artystę, który się nie modli, ani wie, jak modlitwa wygląda. Następujące artykuły dają autorowi sposobność do wyrażenia kilku ciętych myśli o ewolucyi u zwierząt, za pomocą której chcianoby wyrównać przepaść, istniejącą między zwierzęciem a człowiekiem. Wreszcie „Fragment“ pani Hajoty wywołał u ks. Niedziałkowskiego słuszne oburzenie na dzisiejszych sceptyków, którzy „po

prostu przez fanfaronadę i spóźnione naśladownictwo“ wywodzą skargi i żale po utracie religii. „Wiecie — mówią tacy do publiczności — straciłem wiarę, jestem jak liść bez szypułki, cierpię nad wyraz wszelki, pierś ma rozdarta, całe życie złamane; ale za to posiadłem mądrość, połknąłem w najdzikszy sposób wszechwiedzę... nie mogę jej strawić, co prawda, i wiję się z bolu, alem za to mądry, rozumny, uczony!...“ Jakaż to niekonsekwencya — podchwytuje bardzo trafnie autor — utracili wiarę, bo ją uważają za zmyślenie, a przecież żałują za nią. Wszak kto się wyzbył błędów, marzeń chorobliwych, zabobonów i t. p., a znalazł prawdę nie powinien czuć żalu za przeszłością, raczej powinien być zadowolony i szczęśliwy. Artykuł kończy się ostrzeżeniem przed zgubnem działaniem dziennikarstwa, które w sposób dla bardzo wielu niedostrzegalny systematycznie podkopuje wiarę. „Ostatecznie, — mówi autor — czy nie lepiej podać jawnie truciznę w wielkiej dozie, niż dawać ją rozcieńczoną, z uśmiechem przyjaźni na ustach“.

W inną zupełnie sferę wprowadza nas artykuł: „Słówko o bogactwie i ubóstwie“. Powszechna gorączka używania i bogactw, tak przeciwna duchowi chrystyanizmu nasunęła autorowi kilka prawdziwie złotych myśli o powszechnym dobrobycie, o którym marzą ci, co chcą ludzkość uszczęśliwić. Ubóstwo — mówi ks. Niedziałkowski — jest stanem normalnym niezmiernej większości rodzaju ludzkiego; jest to prawo socyalne, któremu świat ulegał ciągle od początku swego istnienia; zasób bogactw i dostatków jest stosunkowo tak niewielki, że rozłożony prawidłowo wystarczyłby dla ogółu zaledwie na potrzeby konieczne, nigdy zaś nie było, ani nie będzie go na tyle, aby wszystkich uczynić bogatymi. Czyż więc nie jest „rzeczą szkodliwą i okrutną wskazywać ludziom wszystkim cel, który zaledwo dla niektórych jest dostępny?“ W dalszym ciągu przedstawia autor piękność i rozumność cnoty ubóstwa w pojęciu chrześcijańskiem, i znaczenie pracy dla jednostki i narodów. Warto z tego ustępu zapamiętać następujące mądre słowo: „bogactwo jest pokusą równie trudną do zwyciężenia jak nędza; tylko wyjątkowo silne charaktery mogą się im oprzeć“. Społeczeństwo wtedy jest silne i zdrowe, gdy się składa nie z nędzarzy, lecz z ubogich, pracowitych i uczciwych.

„Kilka dni jasnych“ (Wspomnienie z podróży 1890 r.). Jest to opisanie przelotnych wrażeń z wycieczki alpejskiej. Opis ten treścią nie odpowiada poprzednim artykułom, nie ma w sobie nic apologetycznego, niewłaściwie więc dostał się do książki pod tytułem „Miraże

mądrości" wydanej. Ale trudno brać za złe autorowi, że na samym końcu umieścił jakby dla rekreacyi czytelnika kilka kartek tak pięknych i pogodnych. W nich złożył świetne dowody, że potrafi odczuć i barwnie przedstawić piękności przyrody. Są tam i świeże zwroty poetyczne, nie brak również barwnych opisów tak modnego dzisiaj w malarstwie rozkładu światła, słowem, i w tym kierunku autor dorównuje bardzo wybitnym piórom naszego piśmiennictwa.

A teraz jeszcze słówko o całości i autorze. Nie mam zaszczytu znać osobiście ks. Niedziałkowskiego; na podstawie jego prac wyrobiłem sobie o nim zdanie, że jest to kapłan na wskróś przejęty duchem chrześcijańskim, o delikatnie wyrobionym smaku kościelnym, który wyczuwa każdy, nawet dla zwykłego śmiertelnika niedostrzegalny, objaw zboczenia od tegoż ducha i smaku. Umie nadto wypowiadać swe szlachetne oburzenie z rzadką dzisiaj odwagą, cięto, energicznie, z temperamentem. Pisze barwnie, niezmiernie żywo i lekko, w dobrem tego słowa znaczeniu; rzeczy najbardziej zawiłe i suche umie ożywić i przedstawić czytelnikowi ze strony najbardziej pochwytnej, tak, że bez żadnej pracy czytelnikowi idą do głowy i narzucają się po prostu swoją oczywistością. Jest nieubłaganie logiczny i konsekwentny; wyświeca bez miłosierdzia wszystkie niejasności i słabe strony przeciwników, a nieraz miażdży ich po prostu ciętymi dowcipami i humorem, który czasem ironią lubi zaprawiać. Ależ bo wszystko upoważnia ks. Niedziałkowskiego, by sobie mógł pozwolić tego sposobu pisania; posiada rozległą wiedzę teologiczną i filozoficzną, czuć w nim duszę na wskróś artystyczną, która chętnie przy nadarzonej sposobności zbacza na pole sztuk pięknych. Przytem zna literaturę współczesną i to nietylko naszą: dowody tego oczytania wszechstronnego składa prawie na każdej stronicy. Dodajmy jeszcze do tego bystry dar spostrzegawczy, pewną świeżość w przedstawieniu i język jędrny, daleki od tego wymuskania, które już dzisiaj pewną ckliwość sprawia, a przyjdziemy do przekonania, że jest on jakby w sam raz stworzony na pisarza-publicystę dzisiejszych czasów. Brak mu tylko w dłuższych zwłaszcza rozprawach systematyczności i przejrzystości. Trudno nieraz dopatrzeć się planu, a sprawozdawca ma kłopot niemały, zanim wszystkie ciekawe i piękne ustępy w całość powiąże; musi przytem pominąć dużo pięknych szczegółów, które aż się proszą, by na nie zwrócić powszechną uwagę. Mimowoli przyszło mi na myśl, że jeżeli ks. Niedziałkowski maluje tak, jak pisze, to jego obrazy muszą

być pełne pięknych szczegółów, ale w całości brakuje im prawdopodobnie perspektywy.

Jeszcze jeden zarzut chciałem uczynić autorowi, ale się przeciwko niemu ostro zastrzegł w kilku miejscach. Myśmy się przyzwyczaili do polemiki więcej mdłej, w każdym razie więcej oględnej, i nam się zdaje, że piszący kapłan powinien nieraz omijać przeróżne nagniotki ludzi, by ich jeszcze gorzej przeciwko wierze nie usposobić. Autor przeciwnie jest zdania, że pobłażliwość nasza jest przyczyną tego rozpanoszenia się i rozzuchwalenia poglądów niechrześcijańskich wśród społeczeństwa; dlatego chłoszcze zło bez miłosierdzia, często z sarkazmem, bez względu na osoby, stronnictwa i ustaloną już sławę niektórych jednostek. Być może, że autor ma słuszność, że dzisiejszy świat wydelikacony, roznerwowany potrzebuje energicznych „Kneipowskich gussów"; być może, że zgniła atmosfera, pełna przeróżnych niezdrowych miazmatów, potrzebuje dla oczyszczenia takiego energiczniejszego grzmotu, być może... a jednak?! Mam to przekonanie, że w tego rodzaju polemicznych i apologetycznych pracach, przy niektórych przynajmniej kwestyach, pożądanąby była trochę delikatniejsza ręka, trochę większa oględność i nieco większa miara. Nie obniżyłoby to wartości tych książek, owszem, znacznieby ją podniosło. Niejeden szczegół, który uchodził w piśmie peryodycznem, gdzie ks. Niedziałkowski pierwotnie prace swoje drukował, dzisiaj w książce musi nieco razić. W końcu, mojem zdaniem, autor nie zbyt może potrzebnie psuł sobie i dzisiejszym przyrodnikom krew piorunowaniem przeciwko teoryi ewolucyjnej. Zapewne niektórzy chcieliby z tej teoryi ukuć broń przeciwko objawieniu, ale z drugiej strony nie brak dziś uczonych wierzących, którzy ewolucyi z pewnemi zastrzeżeniami bronią i godzą ją ze swem katolickiem sumieniem. Można tedy było i należało wystąpić przeciwko złemu stosowaniu tej teoryi, przeciw nieuzasadnionemu rozciąganiu jej do tych granic, gdzie już wchodzi w konflikt z nauką objawienia, ale teoryę samą lepiej było zostawić w spokoju, jak to zresztą czynią najnowsi apologeci

Ks. dr. Leon Wałęga.

Księga rzeczy polskich. Opracował *G.* Wydawnictwo Macierzy Polskiej. We Lwowie 1896. (W 8-ce, str. 498).

Dzieło pod powyższym tytułem stanowi już 66 numer wydawnictw Macierzy Polskiej. Należy ono bezsprzecznie do najużyteczniejszych z całego nakładu tej umiejętnie kierowanej instytucyi. Jest to

rodzaj krótkiej encyklopedyi najróżnorodniejszych wiadomości o dawnej Polsce, bez której obejść się dziś nie może żaden inteligentny człowiek. „Księga rzeczy polskich“ uwzględnia potrzeby jak najszerszych kół naszego społeczeństwa, zaczynając od tych, co posiadają tylko pierwsze podstawy wiedzy, aż do pracowników na różnych polach działalności literackiej. Dla pierwszej kategoryi czytelników stanowić ona może całą skarbniczkę wiedzy i wiadomości o rzeczach ojczystych; dla drugiej — dostarczyć najniezbędniejszych informacyj, bez mozolnego poszukiwania po wielotomowych encyklopedyach. Rozumie się samo przez się, że zarówno w tej ostatniej pracy, jak i w innych wydawnictwach, Macierz Polska, zgodnie ze swym statutem, uwzględnić przedewszystkiem musiała szerokie koła czytelników. Język i styl „Księgi“, odznaczające się prostotą i jasnością, odpowiadają również najzupełniej temu celowi.

W opracowaniu danego materyału trzymał się p. G. porządku alfabetycznego. Od wyrazu „adwent“ aż do „żupy“ przesuwa się przed czytelnikiem cały szereg artykułów i artykulików, większych lub mniejszych, stosownie do znaczenia omawianego przedmiotu. Niektóre z nich opracowane z całą możliwą w tego rodzaju wydawnictwach dokładnością. Pomiędzy tymi ostatnimi podnieść wypada następujące: „Pieniądze w Polsce“, „Podatki i ciężary“, „Polska Piastowska“, *Silva rerum*, „Sobótka“, „Senat polski i senatorowie“ i t. p.

Autor wyjaśnień naukowych nie unikał, sięgając dosyć często do pomocy języka łacińskiego, a niekiedy i greckiego. Na innych autorów powołuje się tylko wyjątkowo, jeżeli na którymś z nich wypadło mu się oprzeć w całej rozciągłości swego artykułu, jak np. na K. Szajnosze w „Polsce Piastowskiej“. Dla urozmaicenia lub lepszego uwydatnienia treści, pan G. cytuje bardzo często wyjątki z poetów, co oczywiście poczytać mu tylko należy za zasługę. Niejeden rys z przeszłości utkwi w ten sposób o wiele trwalej w pamięci czytelnika.

Przy tak obfitym a różnorodnym materyale niepodobna było ustrzedz się pewnych usterek, będących niewątpliwie raczej błędami druku, niż autora. Na str. 302 powiedziano, iż piwo z jęczmienia zwało się po litewsku *atus*, kiedy w istocie zwano je *alus;* jest to nazwa podobna do angielskiego *ale*. Tu i ówdzie mylnie podano nazwę miejscowości we wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, jak np. wieś Daugieliszki na Litwie nazwano Dangieliszkami.

„Księga rzeczy polskich“, jak widzimy, posiada wiele zalet, czyniących z niej pewien rodzaj *vade mecum* dla każdego inteligentnego

czytelnika polskiego. Dodać przytem jeszcze należy, iż papier w tej książce jest trwały, druk wyraźny, a cena jej, jak na nasze stosunki, niezwykle nizka. Miejmy nadzieję, iż Macierz Polska pójdzie dalej po raz obranej drodze, a tem samem w pełnej mierze urzeczywistni nadzieje, z jakiemi witano ją w chwili powstania.

Aloizy Szarłowski.

Linie i dźwięki *Marya Konopnicka.* Kraków. Nakład G. Gebethnera i Sp. 1897. (W małej 8-ce, str. 185).

Dawno powiedziano o Konopnickiej, że talent to zaklęty w kole jednego uczucia — smutku, a może raczej pesymizmu; wszystkie inne uczucia, zdaje się, że leżą dla niej w jakimś mroku nieprzejrzanym. Ten sam ton charakterystyczny odzywa się dominująco i w ostatnim zbiorku jej poezyj. Wprawdzie powiada poetka, że życie drga milionem dźwięków, a tęskny duch iskrą czucia i myśli wiewem leci „za linią marzoną“ (str. 1) — ale w tym milionie dźwięków, jedynym dźwiękiem, co nie kłamie, to śmiertelny spiż; jedyną linią, w którą życie wszystko łamie, to mogilny krzyż (str. 185). Żali się z niezgłębioną tęsknotą, że ziemia same jej smutki przyniosła; że miłość nie dała jej pociechy; że kwiaty łąk dyszały dla niej tęsknicą, że matka-ziemia poiła ją z gorzkiego kielicha i gorzkim chlebem karmiła od młodu, że ją nadała dziedzictwem smętnem, że dział jej wytknęła posępny i dziki, a na całą jej poezyę „tchnęła piętno zadumy“ (str. 7—9). Smutek i tęsknotę uważa Konopnicka do tego stopnia za jedyne i siebie godne źródło natchnienia, że tym, coby pragnęli usłyszeć z ust jej pieśń wesela i radości, rzuca policzek:

Idźcie, szukajcie! Znajdziecie ją może,
Gdzie puste kłosy i gdzie zwiędłe kwiaty,
Na nieoranym i czarnym ugorze,
W barłogu ciemnej piwnicy, czy chaty,
Czy w pustej piersi własnej... (str. 52).

Jest w tych słowach niezmiernie wiele arogancyi i przesady, a zarazem dowód, że smutki i bóle poetki są chorobliwe. Dusza jej nie mając pewnego punktu oparcia szamoce się w ciągłych niejasnościach, brak jej tego prostego i zdrowego a jednolitego na świat poglądu, który potrafi równomiernie rozłożyć na szalach boleści i radości życia, cierpienia jego i nadzieje. Niejednokrotnie, wiedziona jakimś lepszym, nieświadomym instynktem zwraca się ona w tę stronę prawdy, i wtedy wyrywają się z jej piersi dźwięki zdrowe, ożywcze i silne,

hasła czynu, nadziei, życia — ale po chwili pogrąża się znowu w ciemność i żałobę, i niespostrzegając może tego, wpada raz po raz w sprzeczność sama z sobą.

Rozpatrując się nieco dokładniej w motywach smutku poetki, widzimy to wyraźnie. Niektóre z tych motywów są mgliste i trochę niezrozumiałe, jak np. ów żal do rodzinnego grodu, który miał wychować p. Konopnicką „twardo", na piołunowym chlebie i na wodzie ze łzami (str. 31); inne za to zaznaczone są wyraźnie i dobitnie.

Głęboko smuci poetkę dola rodzinnej ziemi i narodu. Widzi ona że coraz mniej słońca nad tą smętną krainą (str. 47), w której „pomaleli ludzie, popękały struny lir" (str. 46); zwątpienie psuje nam ducha a z serc „sypie się próchno" (str. 40); ziemi niewiele nam już zostało a i ta „skopana głęboko groby naszymi" (str. 43); z dniem każdym „rośnie nasz cmentarz" a nad mogiłami tych, co się na nim pokładli, nie stoi jeszcze „anioł życia w słonecznej zbroi" (str. 71); nikt nie woła na nich: „Powstańcie!" — wszystko raczej odzywa się do nich razem z poetką smętnem słowem: Śpijcie dalej!

Śpijcie! ten Galilejczyk, co wskrzesza Łazarze
Ściągnieniem ręki,
Jeszcze się trumnom waszym otwierać nie każe...
Jeszcze gwiazda zaranna, kto wie jak daleka
I trzecia zorza...
Jeszcze ta, co przez ziemię od wieków przecieka —
Łez próżnych, próżnych potów spłynąć musi rzeka
Do morza!

Ale czy p. Konopnicka pragnie rzeczywiście zmartwychwstania? Pewnego razu Pan ją porywa jak Ezechiela na cmentarz i każe prorokować, aby martwi ożyli. Wówczas ona chce wiedzieć, czy zmartwychwstanie lepszem będzie niż życie obecne, gdyż ziemia oblokła się nam nocą, pola rodzą chwast, a pieśni zamilkły. Ponieważ zaś Pan nie odpowiada, woła poetka:

Leżcie, o kości suche pośród pola,
Bo litościwszą jest śmierć od żywota (str. 147).

Jeśli poetka rzeczywiście i szczerze tak czuje, wówczas daremne i próżne są żale, że „rośnie nasz cmentarz", że pomarli śpią tak długo... A zresztą tyle przecież razy słyszymy od niej samej, że „z prochów i kości otrzymuje się ziarno" (str. 36), że „dają one sercom moc czynu" (str. 116), że „życie czerpie soki z praojcowych próchn i kości" (str. 145), że „z kwiatów mogilnych duch sączy nam miód"

(str. 17). Co więcej — raz nawet podnosi się poetka do wiary w Opatrzność, która kieruje losami narodów i woła w pięknej strofie:

A wie to sam Pan, co ziemią włodarzy,
Na co mu moc ta z kurhanów i kości;
On, co zasiewa wśród wielkich cmentarzy
Ziarna przyszłości...
Bóg nie jest Bogiem umarłych lecz żywych! (str. 44).

Jeśli tak jest, jeśli się w to wierzy szczerze i głęboko — dlaczegóż popadać w pesymizm? Dlaczegóż w innym wierszu wołać do tego samego Boga ze zgrzytem zwątpienia:

Przyjdziesz, o przyjdziesz wiem ja o tem,
Zasypać ziemię światłem złotem...
Podnieść ku sobie z prochu głowy...
I mroczne chaty nam rozświecić
I płomień życia w nas zaniecić.

Ale nim przyjdziesz świata królu
Niejedno serce pęknie z bólu,
Niejedna nędza z głodu skona,
Niejedne skruszy śmierć ramiona...
I pieśniarz spocznie w zimnym grobie (str. 151).

Przecież ten grób jest posiewem życia, a Bóg jest Bogiem nie umarłych lecz żywych?!

Dalszem źródłem smutków poetki są nędze ludu i wogóle niedola warstw pracujących. Dla ludu ma ona szerokie serce i gorące współczucie. Prosi Boga, aby dał jej śpiewać na ogromnej niwie:

Przy wielkiej kośbie, przy wiosennem żniwie,
Gdzie łanem idą szerokie pokosy
I gdzie się z jękiem kłos wali na kłosy (str. 185).

O łzach ludu, o sieroctwie i bezdomności (str.89), o wietrze, co łamie skrzydła jego losu (str. 96), o gwiazdzie, co go pędzi w dalekie kraje (str. 101), śpiewa ona rzewne i piękne strofy. Należy czcić dolę kmiecą i zgrzebną sukmanę (str. 137), należy uchylić czoła przed tym, co się krwawo znoi, gdyż „lud i praca — to są siły — a świat cały niemi stoi“ (str. 143). Wzywa nas poetka, abyśmy szli do pracy na łan tej ornej ziemi, bośmy dziedzicami klęsk, a te klęski — to martwota łanów ornej ziemi, to stary ból i stare krzywdy (str. 165). Chociaż to rzeczy nie nowe, opiewane już przez socyalistycznych poetów, zwłaszcza Wiliama Morrisa w *March of the Workers* lub w *The Pilgrim of Hope,* ale możnaby się i na nie pisać, gdyby

poetka choć troszkę, choć odrobinę uwzględniła inne stany. Czy naprawdę świat cały tylko ludem i robotnikiem stoi? Czy dobrym środkiem do rozniecenia bratniego ducha jest przedstawienie tak jaskrawych a przesadnych kontrastów spodlenia, wyuzdania i okrucieństwa z jednej strony, a z drugiej hartu, bohaterstwa i siły, jakie daje nam np. obrazek p. t. „Spartakus"? Czy słusznym jest sąd poetki, wyrażony w ustępie 3cim „Z mojej biblii"? Oto Bóg otwiera wrota jutrzenki nad światem i pyta: Czy są przed drzwiami setniki i namiestne moje? —

Lecz ujrzy rzesze ciche, jak łan żyta,
I nie odziane żelazem ni złotem,
Rzesze, co we lnach chodzą, zlane potem —

więc się zdumieje... i onym otworzy (str. 124).

Ludem świat stoi, dla ludu świt zabłyśnie (str. 151), z niego „nam wyjdzie wszystko, co będzie" (str. 38), lud osiągnie łaskę u Boga — a inni, ci co ludem nie są? Ach — o tych mniejsza! Ci padną i zginą, jak ów król, który „świat zawojował", padł na jedno skinienie Łazarza, co zjawił się z kością wydartą psu do jadła (str. 63).

Czyż może być zdrowem i ożywczem uczucie na tak nieprawdziwych i niesprawiedliwych oparte podstawach, czy jest bożem to natchnienie, z tak zmąconego źródła pochodzące? Chyba nie.

Ale bo też i biblia p. Konopnickiej nie jest dość bożą i chrześcijańską. W „Liniach i dźwiękach" nie spotykamy wprawdzie tak jaskrawych wyzwań Boga i poprostu bluźnierstw, do jakich nas przyuczyła poetka w dawniejszych seryach swych poezyj — mimo to jednak i niniejszy tomik nie jest pod tym względem bez zarzutu. Lubi ona świat rzymski, grecki i jakie tam jeszcze inne, lecz Bóg jej nie ma zarysów chrześcijańskiego Boga. Pocieszną jest poetka wówczas, gdy wchodzi z tym Bogiem w targi (str. 147); zagadkową, kiedy twierdzi, że sąd zacznie się tej godziny, gdy Baranek, „co gładzi od wieków grzech świata, strząśnie swe runo z krzywd obcych i z winy" (str. 128); niesmaczną jest, co najmniej, kiedy Kraszewskiego zestawia z Chrystusem:

Wichrem pomsty go pędziła obca, twarda dłoń,
Jako Syn Człowieczy nie miał, gdzieby złożył skroń (str. 46);

ale już wprost obraża chrześcijańskie uczucia, kiedy tłumaczy Bogu, że niema celu zaludniać piekła, bo tam nikt Boga wyznawać nie będzie, nikt święcić Jego imienia, nikt Nań nie wspomni (str. 130). Dalej jeszcze idzie, kiedy odważa się na następujące zdanie:

Nigdy wielki cień krzyża, co padł na Olimp z Golgoty,
Nie byłby strącił Zeusa
Z przeświętych właści,
Gdyby zwątpienia czerw jemu serca nie stoczył. (Str. 55).

Albo kiedy zachęcając ludzi do cierpliwości, wkłada w usta Boga te słowa:

Jam ten, co wilki i jastrzębie poję,
A patrzę, jako rwą jagnięta w dwoje.
Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
A mnoży skarby możnego od rodu,
I przeciw słabym umacnia mur grodu. (Str. 125).

Teraz wiemy, skąd płyną te wszystkie smutki. Nie jest to przesyt i czczość życia, ani groza śmierci, ani tęsknota za ideałem; nie są to wiekuiste porywy duszy ku czemuś nieznanemu, a wielkiemu. Dość szczerze wyznaje sama poetka, że chce być kroplą na szacie boskiej nie dlatego, iżby „w sobie odbiła niebiosy“, lecz żeby ziemi lepiej było. Ziemia i ziemia — to alfa i omega jej poezyi. I nic dziwnego, że jej smutno, że woła posępnie:

Siła mi smutków, ziemio, przyszło z ciebie...
Siła mi przyszło i łez i żałoby...
Miłość mi twoja nie dała pociechy (str. 7) —

nic dziwnego; bo ziemia sama nie wystarczyła jeszcze żadnej głębszej duszy, żadnemu z wielkich poetów. Wszyscy, co potężnie władnęli harfą i wzbijali się w górę orlimi loty, gdzieindziej szukali natchnienia. To też gdy Konopnicka w przepysznym wierszu p. n. „Dekadentom“ wzywa ich, aby bili w spiż serc ludzkich, jak biją dzwony, aby huczeli, jak zawierucha, aby śpiewali

Zgrzytem strun rwanych i krzykiem
I nie słowiczym, lecz orlim językiem (str. 153),

to przychodzi ochota spytać, czy jej poezya jest z tego orlego rodu. Tak — ze względu na formę, nie — gdy się w treść wsłuchamy, Forma p. Konopnickiej naprawdę iskrzy się i perli, i śpiewa, i dzwoni: urozmaicona, giętka nastraja się do różnych tonów smutku i do różnej treści. Język jej bogaty umie się ułożyć do uroczystej a głębokiej powagi biblijnej i nucić pod wtór skowrończych śpiewów, umie naśladować gwarę ludową i wyrażać odgłosy kucia młotów. Do najładniejszych nastrojowych liryków należą w tym zbiorku: „Lipy kwitną“, „Nasza chata“, „Z progu chaty“, „O świcie“ i „Trębacz“ — jakkolwiek ten ostatni przypomina budzenie miasta dzwonami z *Music des Béguines*

Jerzego Rodenbacha, jednego z najmłodszych dekadentów poezyi francuskiej. Wogóle o najnowszym tomiku p. Konopnickiej można powiedzieć, że wzniosłych myśli ta poezya nie zawiera, nowych dróg nam nie wskazuje, krąży ona w dość ograniczonej sferze jednego uczucia, ideały jej mogą się nawet wydawać niekiedy problematycznemi, ale forma jest przeźroczą jak kryształ i lśniącą jak kryształ. I kiedy poetka o swojej gwiaździe pisze, że „ona nie bierze blasków swych z wszech świateł źródła — z słońca“ — to czytelnika żal zbiera, że prawdę pisze, bo te blaski tak łudząco skrzą się, jakby słoneczne...

Antoni Mazanowski.

Świat napowietrzny. Dwanaście pogadanek z notatek *Stanisława Kluczyckiego.* W Krakowie 1896. Nakładem Fr. Kluczyckiego. (W większej 8ce, str. 55).

W pięciu pierwszych pogadankach zapoznaje autor czytelnika z atmosferą okalającą naszą ziemię tak pod względem fizycznych własności jako też składu chemicznego. Pogadanka szósta określa zadanie meteorologii, omawia wyniki obserwacyj czynionych nad temperaturą, wysokością wznoszenia się chmur i tłumaczy powody założenia stacyj meteorologicznych na bardzo znacznych wyniosłościach. Siódma podaje wyniki badań stacyi Sonnblick (4800 *m*) co do temperatury, stanu barometrycznego, zjawisk optycznych i burzy. Osma wykazawszy braki takich stacyj, przechodzi do balonów, wymienia sławniejszych aeronautów, kończąc na A. Bersonie, który wzniósł się najwyżej, dosięgnąwszy 9150 *m*, gdzie, jak się dowiadujemy z dziewiątej pogadanki, znalazł 231 *mm* ciśnienia i — 47·9° C ciepłoty (na wysokości 7500 *m* temperatura wynosiła — 35° C), a jeszcze w wysokości 9000 *m* istotną śnieżycę. Nadmieniwszy w pogadance dziesiątej o losach Glaishera (1862 r. na wysokości 8500 *m*), Sivela i Crocé-Spinelli'ego (1875 na wysokości mniej więcej 8200 *m*) zaprasza się autor na współtowarzysza wycieczki balonem „Feniks“, przedsięwziętej przez A. Bersona w dniu 4 grudnia 1894 r. i uniósłszy się z Leopoldshall-Stassfurtu, żegluje po oceanie powietrznym w pogadance dziesiątej i jedenastej przez 5 godzin 20 minut (licząc czas od chwili wzlotu do wylądowania), a poczynione obserwacye streszcza w sześciu punktach (str. 48). Pogadanka dwunasta poświęcona jest wyjaśnieniu pojęcia próżni jakoteż rezultatom i wnioskom, do jakich doszedł Crookes.

Rozprawka oparta na kilku dziełach, jakich dostarczyły lata 1894—1896, jest jasnym, w wiadomości dosyć bogatym wykładem

aż do str. 37. Od 38 str. zmienia się w swobodne opowiadanie naocznego świadka. Zmiana ta jest szczęśliwym pomysłem autora, wprowadza bowiem życie czynne w cały dalszy tok rozprawy, porywa czytającego i każe mu patrzeć i czuć razem z Bersonem tak, że ani spostrzeże się czytelnik, kiedy przebiegł 10 stronic książki i snuje przypomnienie sześciu najważniejszych wyników owej podróży — wraz z aeronautą siedzącym w krześle (tak go przedstawia podobizna na str. 49), a zapatrzonym w dal, jak człowiek myślący o niedawnej a bogatej w odkrycia wycieczce.

Za zasilenie ubogiej u nas popularnej literatury przyrodniczej rozprawą tą, zaznajamiającą ogół czytelników w sposób dostateczny z właściwościami atmosfery, należy się autorowi wdzięczność, a broszurze miejsce w bibliotekach starszej młodzieży szkół średnich.

Dwie tylko dodam uwagi. Po wyczerpującem omówieniu tlenu kończy autor takiem zdaniem (str. 13): „prawdziwa jego natura jest dotąd — jak każdego innego pierwiastka — nieznaną“. Wyrażenie to bez kwestyi słuszne, o ile chodzi o filozoficzne pojęcie ostatecznej istoty rzeczy, mogłoby być nie dobrze zrozumiane w rozprawie (popularnej), traktującej przedmiot ze stanowiska nauki doświadczalnej. W mem przekonaniu nauka ta zna dostatecznie dany pierwiastek, skoro poznała jego „własności i działalność“. Również zbyt jednostronnie — nawet na popularną pogadankę — przedstawił p. Kluczycki roślinność (str. 20 i 22). Czytelnik nieobeznany z fizyologią roślin, łacno poweźmie wyobrażenie, że oddychanie jest tylko uprzywilejowaną funkcyą życiową ludzi i zwierząt (tak czyta na str. 19), a roślinność to ciekawy alembik do oczyszczania powietrza od dwutlenku węgla, ciekawy — bo żyjący, a nieumiejący oddychać. Należało — sądzę — choć w kilku słowach wyjaśnić również i oddychanie roślin i stosunek jego do procesu assymilacyi.

Roman Gutwiński.

Obrazki weneckie. Przez *Wiktora Gomulickiego*. Warszawa 1896. (W 16ce, str. 208).

Dzięki Bogu! mamy nie „obraz Wenecyi“,, nie „Wenecyę“ — ale tylko „weneckie obrazki“; nie będziemy musieli kolejno sala po sali obchodzić wszystkich wspanialszych pałaców, wszystkich muzeów... Nasz podróżnik ma tyle sprytu, że chcąc przelać na papier niektóre z weneckich swych wspomnień schodzi z niedościgłych bedekerowskich wyżyn i szkicuje, co mu się mniej więcej przypadkiem pod oko i ucho podsunęło. Wstąpił do teatru Goldóniego, zobaczył jak mężczyźni i ko-

biety do teatru się ubierają, jak gryzą *crochetti* i *amoretti* — dość mu tego, aby nakreślić obrazek: „Teatr wenecki". W południową godzinę siadł przy stoliku w kawiarni Quadri'ego; służba była śpiąca, bo było gorąco; jakiś pan pozwolił sobie buty oczyścić; młode chłopaki-listonosze rozrzucili między publiczność nadeszłe świeżo listy; kilka podstarzałych dziewczyn ofiarowało natrętnie pół zwiędłe kwiaty — i drugi obrazek gotów. Kiedy indziej wstąpił do bazyliki św. Marka, zobaczył w niej paru angielskich turystów; wpadł do *trattoryi,* spostrzegł paru marynarzy przy stołach, parę czy jednę dziewczynę roznoszącą wino i kilka pań podejrzanej wartości, spijających wino z marynarzami... Prędko! dawaj papier, atrament! maluj marynarzy i turystów — i dwa obrazki gotowe. W ten sposób, bez zbytniego, sądzimy trudu, powstało ich dziesięć; mogłoby łatwo powstać dwadzieścia, a ani malarz malowaniem tych szkiców zbytnioby się nie zmęczył, ani widzowie ich oglądaniem.

I to zaleta, i owszem niemała zaleta, opisywać rzeczy wogóle banalne, sto razy nie w jednej tylko Wenecyi widziane, a przecież nie bardzo znudzić. Ale kiedy się w morzu banalności pływa, nie trzeba jakby od niechcenia potrącać innych głębszych przedmiotów, i to potrącać ręką tak niezręczną, że aż uszy bolą. Niech sobie nasz malarz maluje do syta czyścicieli butów, Angielki „jak łosoś czerwone", zimne *granito* u Quadri'ego; ale niech da pokój bazylikom, modlącym się w nich Wenecyankom, niech nawet weneckich podziemi nie próbuje szkicować, bo stanowczo z obrazka zrobi karykaturę. Są malarze, co bardzo wiernie malują rzepę lub ogórek; każ im namalować wschód słońca, gotowi ze słońca zrobić wielki żółty ogórek. Niechże więc zostaną przy rzepie i przy ogórkach.

Ks. Jan Badeni.

Z literatury kaznodziejskiej.

Homilie na niedziele całego roku. Napisał *ks. Wawrzyniec Puchalski,* proboszcz w Wyżnianach. Lwów. Nakładem autora. 1895. (W 8ce, str. 285).

Krótkie szkice do nauk majowych. Na podstawie dzieła: „O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci" ks. prałata W. Chotkowskiego, ułożył i... wydał *ks. Jakób Jordan Rozwadowski,* prepozyt i dziekan w Starym Sączu. Nowy Sącz. Nakładem autora. 1896. (W małej 8ce, str. 73).

Konferencye. Podał dla użytku na zebraniach matek chrześcijańskich *ks. A. Jaskulski.* Poznań. Nakładem i czcionkami *Kuryera Pozn.* 1897. (W 8ce, str. 262).

Homilie ks. Puchalskiego takie są skromne i proste, zarówno w treści jak w formie, że na pierwszy, pobieżny rzut oka zdają się

niczem nie odszczególniać; kiedy jednak recenzent wczyta się w nie z uwagą, budzi się w nim coraz większe zajęcie dla książki, a szacunek dla autora. Wiele stron tych homilij czyta się z podobnem wrażeniem jak Biblię. Niema w nich błyskotliwych efektów stylu i formy, niema niezwykłych pomysłów, niema silnych, gwałtownych uniesień — ale jest wszędzie gruntowna nauka chrześcijańska, prosta i zdrowa i pożywna, jak chleb powszedni, przedłożona z wielką znajomością przedmiotu, z wielką miłością dusz, a nacechowana wszędzie powagą pasterską i apostolskiem namaszczeniem. Przytem są te homilie bardzo praktyczne i do potrzeb słuchaczy (w pierwszym rzędzie wiejskich) przystosowane. Widać, że autor zna lud i umie do niego przemawiać. Wykład tekstów Pisma św. nie przechodzi w egzegezę (o co w homiliach tak łatwo), jest zawsze krótki i zrozumiały; możnaby nawet zarzucić, że czasem jest za krótki w stosunku do zastosowań moralnych, które są czasami za długie, a może raczej za częste. Przy dalszem wczytaniu się w homilie dostrzega się w nich wielkie zalety, nawet pod względem formy. Język z nieznacznymi wyjątkami wszędzie poprawny, często bardzo piękny i podniosły w swej trochę ludowej, trochę ewangelicznej prostocie, dosadne zwroty i trafne porównania, naturalne i odpowiednio użyte (bez szczypty przesady i patosu) ozdoby krasomówcze — wszystko to pozwala się domyślać, że autor posiada wiele barw na swej palecie, a skromnym i prostym jest nie dla tego, żeby nie mógł być innym, lecz dlatego, że takim być chce, i że taki sposób mówienia homilij, zwłaszcza do ludu za właściwy uznaje. I ta prostota, tak dzisiaj rzadka, najwięcej może książkę jego zaleca. Apostolskie nauki przedstawia on w szacie jakby utkanej ze słów i zwrotów naśladowanych z Ewangelii; całe stronice wyglądają czasem jakby przerobione z księgi Eklezyastyka albo przypowieści. Możnaby poprostu pozbierać i osobną książeczkę wydać z takich nauk króciutkich, jak: „Mów zawsze prawdę, bo prawdą cały świat przejdziesz, a kłamstwem zaledwie za próg twojej chaty“ (str. 17); „w obyczajach rodziców odbijają się obyczaje dzieci, jak słońce odbija się w wodzie“ (str. 33); „podług stawu grobla, a mądry ojciec sprawia wesele według swoich zasobów“ (str. 38); „jako jaskółki skrzętnie w powietrzu za robactwem latają, tak i w duszy twojej przeróżne latają pożądliwości“ (str. 279); „kiedy mól w kożuch się dostanie, same z niego tylko pozostawia strzępki, tak samo i ten nadmierny frasunek“ (str. 283). Dla przykładu warto przytoczyć pierwszy lepszy ustęp, stanowiący pewną całość

a charakteryzujący rodzaj wymowy ks. Puchalskiego. Na pierwszą niedzielę Adwentu o końcu świata mówi między innemi:

„Wtedy to runą góry i pagórki i zapełnią doliny. I morze wtedy się wzburzy i zaszumią bałwany jego, i wyć poczną straszliwie. *Wtedy i niebiosa z wielkim szumem przeminą... a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą.* (2 l. Piotra III, 30). I skończy się wszystko. I szukaj wtedy tej chaty, w którejś się urodził, wychował — i szukaj tej roli, którąś własnym zeznoił potem! I szukaj wtedy tych strojów, z których się teraz tak chełpisz, tych bogactw, które tak nieprawnie gromadzisz. I szukaj wtedy tych miejsc, gdzie się teraz zabawiasz bezbożnie — tych osób, z któremi grzeszysz tak ciężko! Przeminęło wszystko.

„Jakże więc marne, jak znikome to wszystko! A ty się za tem tak chciwie ubiegasz, i łakniesz tak chciwie i rozkoszy i bogactw. I żeby pomnożyć dobytek, to oszukujesz i krzywdzisz i kradniesz. I żeby sobie przysporzyć majątku nie odpoczywasz nawet w niedzielę, ani ty, ani koń twój. I żeby dogodzić ciału swojemu, rozpasałeś namiętności swoje. Jakby Boga nie było na niebie, jakbyś nie miał duszy nieśmiertelnej [1].

„A tu śmierć przed tobą, a po śmierci sąd. A tu wszystkie sprawy twoje, wszystkie występki twoje wyjawione zostaną w dzień ostateczny w oczach wszystkich pokoleń i wszystkich narodów.

„*A tedy ujrzą Syna człowieczego przychodzącego w obłoku z mocą wielką i majestatem...*

„Oto sąd ostateczny!...“

I tak dalej idzie myśl po myśli, tekst po tekście, póki mówca nie wyczerpnie całej osnowy niedzielnej ewangelii w główniejszych przynajmniej szczegółach. I tym samym językiem, pełnym ślicznej prostoty, wykłada on nietylko nauki obyczajowe, ale także najgłębsze prawdy i tajemnice wiary: więc i o nieśmiertelności duszy uczy, i o jednym prawdziwym Kościele, o istnieniu Boga, o nowoczesnych błędach i t. d.

Z powodu tego bogactwa nauki, żałować wypada, że autor nie podał przy spisie rzeczy nagłówków treści każdej homilii; łatwiej możnaby używać jego dzieła do przygodnych kazań. Szkoda też, że ustę-

[1] I tu i gdzieindziej zbyt często używa ks. P. spójnika: „i“ — tak często, że aż to razi.

pów i zdań, cytowanych z Pisma św. nie przytacza według przekładu Wujka, przynajmniej nie zawsze [1].

Ks. Rozwadowski wydał bardzo pożyteczną książeczkę, przeznaczoną dla użytku księży, którym brak czasu, lub inne przyczyny nie pozwalają samodzielnie zebrać materyału do nauk majowych. Autor nie podaje kazań gotowych we własnem opracowaniu, ale na podstawie znanej książki ks. d-ra Chotkowskiego, przedkłada 31 krótkich, bardzo zwięzłych, a jednak obfitych pod względem treści szkiców do cyklu kazań majowych, o chrześcijańskiem wychowaniu dzieci. Myśl to pod każdym względem szczęśliwa. Z kazań już wyrobionych mogą i powinni nieraz korzystać kaznodzieje, ale ten sposób gotowania się nie zawsze jest możliwy, a nadto nieraz zabija samodzielność; chcąc znowu przerobić gotowe kazanie na swój sposób i zastosować do słuchaczy, trzeba dopiero wyciągać z niego treściwie przebieg myśli, co zabiera zbyt wiele czasu. Ks. Rozwadowski zaradził tym niedogodnościom wydając krótkie swe szkice. Szkice te zawierają dobry rozkład przedmiotu; podzielone są na części lub punkta i zaopatrzone szczęśliwie dobranymi przykładami. Kaznodzieja znajdzie tu odrazu zgromadzoną bogatą osnowę myśli, a przytem zostaje wolnym w doborze swoich własnych słów i stosownych do słuchacza zwrotów. Szkice te posiadają jeszcze tę wygodę, że zawierają liczne cytaty z Pisma świętego, Ojców Kościoła i pedagogów chrześcijańskich, wytłoczone grubszemi czcionkami, które mocno odbijają w kontekscie; tym sposobem kaznodzieja znajdzie ułatwioną pracę pamięci. O doborze przedmiotu niema co już mówić; przedmiot to nietylko zajmujący i ponętny dla kościelnego mowcy, ale też niezmiernie ważny. Autor, doświadczony kapłan, należycie ocenił dzieło ks. Chotkowskiego, na którem oparł swoją pracę; na urzędzie proboszcza piastowanym blizko od czterdziestu lat, umiał dopatrzyć, jakie braki w wychowaniu dzieci potrzebują przestróg pasterskich. To też wielką przysługę wyświadczył pracownikom na niwie kaznodziejskiej; a sympatyę dla jego książeczki

[1] Na str. 16 mówi: „A ty imię masz, że żyjesz, aleś umarły jest“, zamiast: „masz imię, że żywiesz, aleś jest umarły“; na str. 48: „w cierpliwości posiądziecie zbawienie wasze“ zamiast: „w cierpliwości waszej otrzymacie dusze wasze“; na str. 169: „kochajcie nieprzyjacioły“ zamiast: „miłujcie nieprzyjacioły“. U Jerem. IX, 24 niema tych słów: „Przez te oczy twoje weszła już nieraz śmierć do duszy twojej“, tylko o trzy wiersze wyżej powiedziano: „wlazła śmierć okny naszemi, weszła do domów naszych“.

powiększa jeszcze okoliczność, że cały z niej dochód przeznaczył na odnowienie katedry tarnowskiej.

Ks. A. Jaskulski bardzo trafnie we wstępnem słowie podnosi, jako wielką potrzebę czasów dzisiejszych, „wytężoną pracę w bractwach i stowarzyszeniach religijnych“, w szczególności zaś wielką przyznaje doniosłość bractwom matek chrześcijańskich, bo przez nie „do tysiąców dzieci może się przedrzeć głos kapłana, na tysiące serc może rzucić gorliwa jego ręka posiew zbawienny wiary i cnoty“

Na te słowa pisać się musi każdy, więc już dlatego samego chętnie się wita książkę, która tak ważną sprawę porusza, i to nie dorywczo, ale w poważnym szeregu nauk, złożonym z 34 wykończonych konferencyj, a nadto z 26 szkiców. Ale pełnego już uznania nabiera się dla książki, kiedy się przy czytaniu spostrzega, jak dobrze autor ujął przedmiot i jak go pięknie opracował. Wybrał on treść najważniejszą z nauki Kościoła, tę, która przedewszystkiem powinna przenikać duszę matki: więc posłannictwo chrześcijańskiej niewiasty, świętość małżeństwa, posłuszeństwo względem męża, macierzyństwo i kilkadziesiąt innych prawd, których wykład znalazł miejsce, bądź w samych konferencyach, bądź w dodatku czyli w szkicach. Wykład ten bardzo jest przystępny, a nadto ożywiony i urozmaicony obfitym doborem bardzo pięknych, trafnie dobranych i przemawiających do serca przykładów. Język i forma zawsze poprawna, podnosi się nieraz wysoko pod wpływem żywszego uczucia lub szerszych poglądów.

Do wykładu zasad dodane są wskazówki, bardzo nieraz szczegółowe, jak matka ma śledzić duszę dziecka; otwarte mieć oczy na jego narowy; badać, dokąd głos boży je powołuje i czuwać nad każdym jego krokiem, niby ziemski Anioł-Stróż. Prócz przejrzystego języka, także bardzo jasny układ konferencyj, ułatwia słuchaczowi lub czytelnikowi przegląd myśli i pracę pamięci. Całe dzieło tworzy jakby jednolitą budowę, która w ścisłym związku ustawia jednę prawdę za drugą, nie powtarzając wywodów, ani nie pozostawiając treści nie wyczerpanej. Nietylko czysto duchową stronę duszy dziecinnej poleca troskom matki kaznodzieja: zachodzi on także na pola, na pozór mniej należne do duszy, a przecie także zdolne przynosić owoc zasług nadprzyrodzonych, jeżeli uprawia je wiara: więc matka znajduje tu i nauki ważne dla dobrej gospodyni (str. 204), uwagi o zabawach i rozrywkach dzieci (str. 253) i t. d. Wogóle szereg kwestyj, które ks. Jaskulski w książce swej porusza, jest bardzo obfity

i bardzo praktyczny. Na szczególniejsze podniesienie zasługują wskazówki, jaką miłość matek względem dzieci być powinna (str. 41), dalej uwagi o rozpieszczaniu dzieci (str. 189—193), o modlitwie matki z dzieckiem i wspólnej modlitwie w rodzinie (str. 32 i 238), o niedzieli w rodzinie (str. 236), o przyuczaniu dzieci do prawdomowności (str. 127—140), o karze (str. 175—189 i 231—233), o czytaniu książek (str. 35—37), o wyborze zawodu (str. 198—204 i 255—260) i wiele, wiele innych. Autor zna walki, jakie przechodzą niejednokrotnie dusze matek i nauczycielek; rozumie słabe ich serce, które nieraz ustaje wobec obowiązku zaparcia się, jakiego wymaga posłannictwo wychowawczyni: więc nie szczędzi im trzeźwej przestrogi i zachęca do trudów zawodu, nad który, prócz stanu kapłańskiego, niwy piękniejszej i żyźniejszej nikt chyba nie wskaże.

Nie samym tylko księżom polecamy najgoręcej książkę ks. Jaskulskiego: ona znajdować się powinna w każdej chrześcijańskiej rodzinie, w każdym pensyonacie, we wszystkich zakładach wychowawczych. Znać ją powinny i często odczytywać przedewszystkiem matki, wychowawczynie i nauczycielki, bo znajdą w niej nietylko bardzo cenne przepisy chrześcijańskiej pedagogiki, ale też siłę i zachętę do wytrwania w tej pracy, w której nieraz słabnie wola i opadają ręce.

Ks. Alfred Wróblewski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Nirwana. Eine Studie zur Vorgeschichte des Buddhismus von *Joseph Dahlmann S. I.* Berlin. Verlag von Felix R. Dames. 1896. (W 8ce, str. XII i 198).

Wyszła nakoniec książka dawno pożądana przez badaczy indyjskiej filozofii. Wydało ją pióro uczonego indologa, który już przedtem wypełnił znaczną lukę w dziejach oświaty sanskryckiej, zwracając uwagę badaczy starożytnego Wschodu na nieprzebrany skarbiec wiedzy, jakby encyklopedyę indyjską, zawartą w epicznem dziele „Mahabharata“. Teraz wydał drugie dzieło, oparte na tej samej epopei. W niem już nie obrabia całej dziedziny indyjskiego życia i rozwoju ducha, ale wyświetla nakoniec sprawę tej Nirwany, która tworzy w filozofii indyjskiej punkt wielkiej wagi, a nadzwyczaj ciemny dotychczas.

Dziwiła uczonych tajemnica, jaką Buda osłaniał swoją Nirwanę: milczał o istocie szczęścia, w którem okazywał nagrodę za żywot uczciwy; a przecie na tem szczęściu w Nirwanie pokładał jakby duszę swojej nauki: w niem miał hasło, którem zapalał do walki ze złemi chuciami, i przedstawiał to szczęście tak wymownie, że podbił pod berło swojej nauki większy kawał świata, niż którybądź zdobywca; od Gangesu po Amur. Indye, Chiny, Japonia: trzecia część rodu ludzkiego uchyla dziś czoła na wzmiankę o Budzie.

U nas nigdzie społeczeństwo nie słuchałoby zwiastunów nowej wiary, którzyby zbywali najważniejsze pytania powagą ust tajemniczo zamkniętych. Buda na natrętne pytania dawał odpowiedź wykrętną; a rzadko kogo ze współczesnych nie zadowolnił taką odpowiedzią. Na prawo i na lewo sypał słodkiemi obietnicami szczęścia w Nirwanie; ale także obiema rękoma szafował pojęcie nicestwa, którem jest wszystko: więc i cała przyroda widzialna, jedno wielkie nic, za jakie ją mieli bramini; i w dodatku cały świat niewidzialny stanowi u Budy próżnię bezdenną, choć w niej bramini upatrzyli pełnią bytu jedyną.

Dla Nirwany znaleźli bramini miejsce zupełnie odpowiedne w swoim układzie pojęć. Pierwotna nauka Bramy uczyła i dotąd uczy o nieśmiertelnem jestestwie, *atman*, które zatopione w istocie człowieka, po jego śmierci uwolnione od członków cielesnych i władz zmysłowych, ulatuje w świat lepszy albo odrazu, albo jeszcze przechodzi w inne ciało za pokutę, aż zupełnie oczyszczone wraca w końcu do Bramy, na łono jego szczęścia w Nirwanie. Buda nie wiedział właściwie, co z tą Nirwaną począć: ani nie miał dla niej miejsca w swojej filozofii, ani nie miał sposobu odprawić ją z niczem.

Według Budy dusza ludzka nie stanowi jestestwa samoistnego: tylko polega na zbiorze zjawisk i uczuć, wrażeń i złudzeń, doznawanych przez nas w ciągu wielkiego bolu, za jaki uważa żywot doczesny; śmierć rozwiewa całe to zjawisko wrażeń, bolów, ułud: słowem wszystko, całego człowieka z ciałem i duszą.

Więc do czegoż Budzie Nirwana? Co u niego znaczyć może to, „Rozwianie"? (Tak można dość dokładnie po polsku wysłowić wyraz Nirwana, rzeczownik słowny od sanskryckiego czasownika „wa" wiać). U braminów to „Rozwianie" zapowiada rozproszoną całą mgłę ułud i mrzonek, jaka w tym żywocie niepokoi i zwodzi, ale ustaje ze śmiercią i znika w obec prawdy, która stanowi szczyt bytu w samym Bramie, ostateczną przystań dla wszystkich dusz, zlanych we wspól-

nym bycie z Bramą. Według Budy, z jego pojęć o duszy, ściśle wynikałoby, że „Nirwana“ znaczy „Rozwianie“ wszelkiego bytu po śmierci, unicestwienie doszczętne człowieka, całkowitą otchłań nicestwa. Cały Brama ze swoimi duszami i ich przerodztwem w nowych ciałach: wszystko to uchodzić musi w oczach Budy za czczy wyskok wyobraźni. A przecie różne ustępy z mów Budy znów przeciwnie opierają pełnię błogiego bytu w Nirwanie...

Takie przeciwieństwa od wielu lat zadawały europejskim indologom ciemną zagadkę. Maks Mueller, znakomity językoznawca i myśliciel, wyjaśnić chciał te przeciwieństwa domysłem, że sam Buda osobiście upatrywał w Nirwanie szczęście rzeczywiste i po bramińsku o niem rozprawiał, że dopiero jego następcy i późniejsi pisarze wsunęli do ksiąg budyjskich wzmiankę o nicestwie ostatecznem. Ale ten domysł upadł, kiedy dalsze prace nad księgami sanskryckiemi wykazały, że psychologia budyjska nie uznaje duszy nieśmiertelnej. Także dotarli badacze do urzędowych ksiąg budyzmu, które równocześnie nadmieniają o zupełnym bycie i całkowitem nicestwie w Nirwanie. Więc po inne domysły sięgali następnie indolodzy; ale zwątpiony Childers wyznaje, że odkąd Europa poznała budyjską naukę, odtąd zachodzi w głowę, a nie umie pogodzić sprzecznych pojęć o Nirwanie. Po nim Oldenburg, Garbe, Jacobi, v. Schoeder pracują dzielnie, a najszczęśliwiej odsłonił tajemnice sanskrytu Borth, z nim E. Hardy i Hopkins. Ale uparta zagadka z pogardliwym uśmiechem spoglądała na uczonych i szydziła z ich marnych wysiłków.

Nakoniec pilnych czytelników między Europejczykami znalazł sanskrycki poemat „Mahabharata“, pisany jeszcze przed czasem Budy. Ks. Dahlmann przez lata całe cierpliwie odczytywał dzieło, w obec którego Messyada Klopstocka, choć długa i nudna, uchodzić może za zabawkę poetycką, i wykrył w Nirwanie Budy tylko przyczepek, niepozornie przyłatany do całej nauki, wykradziony z dawnego bramanizmu i użyty za wabik, na który można było ściągać zwolenników.

Ks. D. szczegółowo wyjaśnia, po co Buda przyjął Nirwanę od braminów, kiedy nie miał gdzie ją umieścić. Przyjął, bo nie mógł jej odrzucić. Za jego czasów, tak samo, jak dzisiaj, ród ludzki w ogóle szukał drogi do szczęścia; rozpaczą nie tchnęły narody całe; ledwo pojedynczy człowiek tu i ówdzie przedstawiał podobny okaz, jakich w Europie nie brak między jednostkami wyniszczonemi i znudzonemi życiem bez żadnego hamulca. Przy dzisiejszym dekadentyzmie mógł Schoppenhauer wykładać filozofię nicestwa: znalazł gromadkę słuchaczy

chętnych, znalazł grono czytelników, których pociągała myśl o końcu bolów i całkowitego bytu po śmierci. Ale nawet dzisiejsi materyaliści nie myślą całym taborem przystać na filozofię rozpaczy. A materyaliści z czasów Budy nie lgnęli ku rozpaczy liczniejszym zastępem, niż dzisiejsi. Materyalizm starożytny, zarówno jak nawoczesny, odmiatał wszelki pierwiastek duchowy ze swoich poglądów na świat; ale przez szczęśliwy brak loiki, ogół materyalistów, choćby najnieszczęśliwszych na świecie, nie chce wyraźnie słyszeć, że szczęścia już nie znajduje, ani nawet za grobem.

Więc Buda nie mógł z zasadami Schoppenhauera otwarcie wystąpić, kiedy szukał najdzielniejszej broni, żeby zwycięzkim krokiem wkroczyć na widownię walki, którą zastał toczoną między ówczesnymi idealistami i materyalistami. W tej walce dziwnie zręcznie wziął udział i pobił obu zapaśników: ruszył wprost przeciw idealistom i złamał ich potęgę, ale znowu nie przystawał do obozu materyalistów, przeciwnie, wypleni materyalizm w Indyach daleko dzielniej, niż rozbił szyki idealistów. Aby zrozumieć taki obrót sprawy, trzeba z książki Ks. D. wyśledzić bieg wypadków.

Dziwić i na poważne myśli naprowadzać może widok walki w królestwie myśli, którą filozofowie toczyli między sobą przed tysiącami lat w Indyi nad pytaniem: co istnieje dla człowieka po za światem widzialnym? Czy dopiero początek zupełnego szczęścia, czy jego koniec ostateczny? Tak żywo, jak do dziś ludzie biorą udział w namiętnych rozprawach nad tem samem pytaniem, tak właśnie kipiała walka w dobie zamierzchłej, kiedy przebrzmiały pieśni starożytnych Wedów i wyziębła wiara w sercach braminów, kiedy dopiero nadchodził okres religijnej reformacyi indyjskiej. W tej to dobie przejściowej, w kilka wieków przed Chrystusem, przykuwa do siebie oczy widok zamętu pojęć o pośmiertnym bycie i szczęściu. Pradziadowie Buechnerów gromadkami przeciągają od porzecza Indu po brzeg malabarski. Raz po raz gromadzone tłumy słuchają z osłupiałem okiem pierwszorzędnych mowców, którzy rozwijają okrutne hasło: nigdzie po za widzialną przyrodą, nigdzie szczęścia niema... nie żyje w człowieku *atman* nieśmiertelny... nadzieja wszelka musi w tem życiu dopiąć swojego kresu... głupcy bredzą o szczęściu po śmierci! A nie sama treść takich wywodów przypomina nam dzisiejsze spory; z dzieła Ks. D. widać, że ówcześni materyaliści dorównują Zoli i Mussetowi bogactwem obrazów, siłą uczucia, giętkim językiem, a nieraz przewyższają ich obrotną dyalektyką. Cóż dziwnego, że tłumy ich otaczały?

że niejeden do nich przystawał, wabiony ponętą słów słodkich i obietnicą rozkoszy zmysłowych?

A przeciw nim stawali rzecznicy bytu nieśmiertelnego i bronili swoich zasad z takim zapałem, że aż przesadnie naciągali strunę idealizmu. Już nie widzieli prawie w niczem bytu, tylko dopiero w stanie ducha czystego: więc twierdzili, że właściwie jestestwa widzialne nie istnieją, chyba jako mamidło i czcza igraszka złudzonych zmysłów; owszem, według nich sama dusza istnieje tylko o tyle, o ile uczestniczy w jednym bycie jedynym, którym jest Brama. Cokolwiek nie jest Bramą, w tem tylko dzieciak upatruje coś istnego i rzeczywistego: w samej rzeczy jeden tylko Brama posiada cały i niepodzielny byt w najgłębszej treści swojej istoty; w tym bycie uczestniczy człowiek przez władze swoje duchowe, przez tę najtajniejszą treść swojej istoty: *atman;* już zmysłowe władze duszy nie należą do owego *atman,* więc tylko majaczeją przed okiem i mamią nas urojonym bytem. Słowem: cały świat to jedna próżnia; zbadać tę próżnię i po za nią dojrzeć wszechbyt Bramy, to kres wiedzy i posłannictwo mędrca; powściągać zmysłowe chucie i odmawiać sobie szczęścia na ziemi, to dla bramina droga do jedynego szczęścia, które na lepszym świecie nas czeka...

Więc z jednej strony idealistyczna pogarda dla jestestw zmysłowych, broniona najsilniej przez Wedantyzm, z drugiej strony w Karwace materyalistyczne szyderstwo z wszelkiego bytu duchowego; tu przepaść nicestwa, tam wszechbyt; tu istnienie *(astitwam)*, tam nieistnienie *(nastitwam);* tu żywot rozpasany, tam surowe przepisy cnoty: między tymi dwoma biegunami krążą przeliczne i przeróżne nauki pośrednie, każda inaczej zastawiona jak sidło na łatwowiernych, i wszystkie razem żądne podboju i najwyższej władzy nad umysłami... czyż ten widok niczem nie przypomina dzisiejszego zamętu pojęć filozoficznych!

Rzut oka, choćby pobieżny, na tę otchłań poglądów i sporów, zdziwionego czytelnika zmusza do pytania: czyż od najdawniejszych czasów już umysł ludzki pracował nad takiemi zagadkami? Czyż od wieków na idealistów nacierali ci materyaliści, o których tyle głosów powtarza, że powstali dopiero pod wpływem najnowszej doby oświaty i postępu, po strasznej ślepocie pokoleń wymarłych? Więc już dla starożytnych narodów istnieje potrzeba światła i prawdy o żywocie po śmierci, brzmi w świecie, jak hasło bojowe i w potędze swojej urąga wszelkim wysiłkom du Bois-Reymondów, którzy chcieliby ją zagłuszyć okrzykiem: *ignorabimus!* Tak, groza śmierci kryje za sobą

jakąś prawdę poważną, którą zbadać człowiek potrzebuje i od wieków staje na rozdrożu pytań: co śmierć niesie? czy koniec szczęścia wszelkiego, czy dopiero początek?

W ten wir walki wszedł Buda z ostrzem miecza zwróconym wprost przeciw braminom. Postąpił z nimi jak reformator wiary indyjskiej i pod niejednym względem przypomina reformatora z Würtembergii. Prawda, że to podobieństwo jest tylko zewnętrzne: nie można co do wewnętrznej treści porównywać braminizmu pogańskiego z chrześcijańskim Kościołem, ani rozkładowego wpływu Lutra z reformami, któremi może na lepsze drogi zwrócił Indyan Buda. Jednak w swoich zapędach ku poprawie wyznania dawnego i w rodzaju poprawek powierzchownie Lutra przypomina Buda. Najprzód zerwał z powagą podań odwiecznych; wraz z Kapillą w Sankii tak usprawiedliwia swój rokosz: „Życie obecne jest pełne utrapień; mniemając że są środki materyalne do ich usunięcia, mylimy się... środek podany przez objawienie (w Wedach bramińskich) jest równie bezsilny, jak i środki materyalne, zwietrzał skażony przez przymieszki i niejednostajność". Tak Buda wypowiada wręcz materyalistom, że z nimi nie pójdzie, a jednak pociągnął ich za sobą zapowiedzią, że myśli walczyć przeciw skażonym i zanieczyszczonym podaniom bramińskim. Luter także zaczął od skarg na skażoną naukę Chrystusową przez podania. Z czegóż Buda oczyścił braminizm? Zastaje w nim cześć najwyższej Istoty, Bramy, objawioną całopalnemi żertwami; zastaje cześć niższych od Bramy duchów, zwanych także bogami, ale dopuszczonych do szczęścia w Nirwanie tylko dzięki pomocy Bóstwa, Wisznu; Buda znosi ich cześć i odrzuca żertwę. Luter dokonał czegoś podobnego, choć w stopniu niezrównanie gorszym, bo z bluźnierstwem na ustach postanowił odrzeć Kościół z najświętszej Ofiary na chrześcijańskim ołtarzu i z czci świętych. Buda usunął wszelkie obrzędy tajemnicze i nabożeństwa niezrozumiałe dla zmateryalizowanego pospólstwa, podobnie reformacya zaprowadziła nabożeństwo proste i w języku przystępnym dla prostaczków. Nadewszystko Buda pokiereszował dogmatyczną naukę bramińską i tak dowolnie zaprzeczał prawdom, może objawionym pierwotnie, że ostatecznie zamiast wiary, opartej na powadze, wniósł racyonalizm; stąd nawet wielu w budaizmie upatruje tylko filozoficzny system. Luter także z dogmatów sam nie wiedział, co zostawić, tak przewrotnie je burzył, i sprowadził swoich uczniów z dróg wiary do obecnego racyonalizmu protestanckiego. Nakoniec Buda powyrzucał z bramińskiej nauki moralnej liczne przepisy i objął całą naukę swoją

w pięciu przykazaniach: nie zabijać, nie kraść, nie cudzołożyć, nie upijać się, nie kłamać; ogólnem zaś tłem obyczajów chciał widzieć miłość. Znów wraca podobieństwo, oczywiście zanadto zaszczytne dla Lutra, który z przykazań kościelnych i rad ewangelicznych nie zostawił nic, a zamknął sprawę na dwóch tablicach przykazań boskich; przytem kazał żyć w duchu kazania Chrystusowego na górze, którego dzieci luterskie uczą się na pamięć z ewanielii św. Mateusza.

Tak Buda podobnie, choć wcale nie tak występnie jak Luter, oczyścił wiarę i uprościł obrządki; dogodził umysłom, obciążonym przepisami bramińskimi; dogodził także sercom, dla których rozpusta materyalisty przedstawiała jeszcze coś wstrętnego; odebrał berłu bramińskiemu władzę nad milionami, a innym milionom przedstawił naukę szlachetniejszą od materyalizmu: i dokonał podboju, jakiemu równego dzieje nie znają.

Ten przebieg walki wyjaśnia, po co Buda zatrzymał z braminizmu Nirwanę. Jak Luter nie wiedział, co począć z niejednym dogmatem, np. z katolicką nauką o jednożeństwie; nie widział jego potrzeby, a nie śmiał odrażać zwolenników, gdyby je odrzucił: tak Buda zaznał kłopotów z Nirwaną. W ustach braminów Nirwana brzmi jak słowo święte i pełne uroku nadziemskiego. Chrześcijanin i prawowierny żyd, kiedy słyszą albo czytają wykład Nirwany w księgach bramińskich, mimowolnie mogą przypomnieć święte księgi swoje i przypuszczać, że bramini swoich pojęć nie wysnuli z własnej głowy, ale dostali je w odwiecznej spuściźnie po przodkach, do których dopłynęła prawda ze źródeł objawionych. Bramin wzdycha do Nirwany jako do spokoju duszy, do wewnętrznej ciszy i szczęścia błogiego, którem napawa człowieka bliski stosunek z bóstwem. I wierzy bramin, że jego nieśmiertelny *atman* dopiero na lepszym świecie zazna całkowicie duchowej rozkoszy zanurzony w Nirwanie; ale już na tej ziemi po czątku tego szczęścia zaznać może, jeżeli poskramia zmysły i żyje zatopiony w pracy, na którą bóstwo mile spogląda. Wtedy sługa Bramy na łonie bujnej przyrody podzwrotnikowej, w obec majestatu wieczystej ciszy, która osiadła na równinach okiem nieprzejrzanych, z łagodnym uśmiechem podejmuje na barki ciężary żywota i jakby niedostępny wszelkim ciosom i bolom, wyżej postawiony po nad przybytkami nędzy ludzkiej, po nad całą ziemią, gdzie burze szaleją, pogodnie stawia kroki pątnika, który dąży do przystani wiecznego spokoju. I w tej pogodzie *atman* zaczyna używać Nirwany i zbiera zasługi, aby po śmierci zupełnie jej zaznać.

Ale, jeżeli *atman* nie istnieje w człowieku, cóż w nim zazna spokoju? Przecie nie spocznie ten wir wrażeń i uczuć, ten zamęt zjawisk, który według Budy stanowi całą istotę człowieka: na jakimże tle Buda wystawi Nirwanę bez tej cząstki w jestestwie ludzkiem, która zajmuje wyżyny, niedostępne dla zmysłów? Mógł sobie Buda wymyślić psychologię, jaką chciał: nie mógł w sobie nie czuć potrzeby pokoju wewnętrznego i pewno w ciągu życia nie jedną chwilę spędził, w której po dobrym uczynku w głębinie swojego jestestwa czuł zadowolnione sumienie i słodycz cichego pokoju: bramińską Nirwanę za życia. Wtedy doświadczał w sobie pierwiastka duchowego, upojonego Nirwaną... albo spragnionego jej... mimo to takiego pierwiastka nie uznał w człowieku i tajemnicą okrył pytanie, czem człowiek zdoła dostąpić szczęścia w Nirwanie? Nie wierzył w nią, jeżeli szczerze mówił, iż uważa *atman* za urojony pomysł bramiński; ale tajemnicy swojej nie wydał. Zdradzić ją? Czy nie znaczyłoby zrazić od siebie wszystkich, z wyjątkiem skrajnych materyalistów? Ale i tych nie mógłby przyjąć pod swą chorągiew, bo choć zgodnie z nimi czuć mógł, że niema czego oczekiwać po śmierci, ale niemiał z nimi nic wspólnego, póki wyłamywali serca z pod jarzma przykazań; a bez nagrody i rzeczywistego szczęścia w Nirwanie nie zachęciłby ich do żywota uczciwego. Więc z naciskiem rozwijał obrazy przyszłego szczęścia po śmierci, przyjął dyplomatyczne słowo Nirwana i pozwolił rozumieć w niem raj niewysłowionych rozkoszy. Ale na czem te rozkosze polegają? — o tem Buda milczał, ani mówić, choć nagabywany często i natrętnie, nigdy nie raczył.

Takim wybiegiem położył koniec zapasom między idealistami i materyalizmem. I z dumą spoglądał na swoje dzieło...

Cóż o niem sądzić? Nie dla Budy chlubę przynosi, że podszedł miliony ludzi: ale dla tych milionów za dobre świadectwo służy wynik zapasów. Słyszą naukę o cnocie nagrodzonej po śmierci... odrzucają ponęty materyalizmu... po burzy nastaje pogoda... ze sklepień niebieskich schodzą chmury wątpliwych haseł i rozpaczliwych okrzyków: niema szczęścia za grobem! Błyszczy znowu, jak uśmiechnięte słońce, zwycięska zasada o szczęściu duchowem, o nagrodzie po śmierci dla cnotliwej duszy, wyzwolonej z mamideł zmysłowych... w drogę do szczęścia tylko iść, i prowadzić żywot powściągliwy...

Ta prawda błysnęła dla Indyan, jakby słońce na nowo rozpalone przez Budę. Prawda: skazę na tem słońcu tworzy plama, jaką Buda na siebie ściągnął przez matactwo; ale cały opis tych wypadków wróży

nam dobrze: świadczy, że plemię ludzkie tłumnie nie pójdzie za nauczycielami, którzy w obrębie rozkoszy zmysłowych zamykają całe szczęście człowieka. A choćby zwiastun nowej nauki kazał z wszelką chucią zmysłową, jak z zawziętym wrogiem, walczyć na zabój, przecie zdoła za sobą porwać miliony, byle im zaświecił choć najsłabszy promyk nadziei, gwiazdę szczęścia po śmierci, nagrodę dla pogromców ciała.

Ks. K. Czaykowski.

Des vocations sacerdotales et religieuses dans les colléges ecclésiastiques. Par le P *J. Delbrel S. I.* Paris, Poussielgue. 1897. (W 8-ce, str. XIV. i 218).

Książka niniejsza napisana jest dla księży, zajmujących się wychowaniem młodzieży. Cel, który autor sobie w niej wytknął ma pierwszorzędne znaczenie i doniosłość w Kościele katolickim. Chodzi mu o to, by przysporzyć Kościołowi kapłanów z prawdziwem powołaniem i w tym celu podaje współbraciom niektóre uwagi i spostrzeżenia, nabyte własnem doświadczeniem, jakim sposobem przyczynić się można do wypielęgnowania powołań do stanu duchownego. Jak tytuł wskazuje, autor miał przedewszystkiem na oku zakłady i instytuty, stojące pod kierownictwem księży świeckich lub zakonników. We Francyi w tych zakładach po największej części młodzież z klas bogatszych się kształci, a właśnie te klasy najmniej Kościołowi dają pracowników. Ks. Delbrel gorzkie z tego powodu zarzuty czyni arystokracyi francuskiej. W czasach, powiada, kiedy Kościół był bogaty i karyera duchowna prowadziła do wielkich zaszczytów i świeckiej potęgi, oddawaliście waszych synów na służbę bożą, a teraz, kiedy Kościół zubożał, uważacie ten zawód za nieodpowiedni. Nie poprzestając jednak na zarzutach, gorąco i szczerze pragnie poradzić wedle sił temu złemu, a owocem tych pragnień jest niniejsze dziełko. W pierwszym rzędzie zwraca się w niem autor do spowiedników, kierujących sumieniem młodych ludzi, i do katechetów, stąd jego uwagi z małymi wyjątkami do warunków i potrzeb naszego kraju zastosować się dają.

Zaraz z początku stawia ks. Delbrel fundamentalną zasadę, że księżom powinno chodzić o to, by z pośród młodzieży, co ich otacza, wyszli duchowni wzorowi. To powinno być jednem z najgorętszych ich życzeń. Z żalem stwierdza, że duchowieństwo we Francyi za mało o to dba, a przyczynę upatruje nie w braku gorliwości, ale w pewnych przesądach, w pewnym braku refleksyi, sprawiającym, że księża nawet nie myślą o tem, iż między tą młodzieżą, im powie-

rzoną, mogą się znaleść tak samo powołania duchowne, jak powołania do stanu świeckiego.

W drugim rozdziale daje autor wskazówki, jakim sposobem przygotować trzeba grunt do powołań i wymienia cnoty i przymioty, które przedewszystkiem pielęgnować trzeba, aby ziarno powołania, od samego Ducha św. w duszę rzucone, kiełkować i rozwinąć się mogło. Ostrzega, że przyszłych kapłanów nie koniecznie szukać trzeba między najwzorowszymi uczniami. Imię sławnego generała Timodana, który pod Castelfidardo krew swą za sprawę stolicy św. przelał, nie znajduje się ani razu na liście uczniów odznaczających się przykładnością w zakładzie, ale za to ze swoim najwierniejszym towarzyszem i przyjacielem, przyszłym księdzem Ramiére niezliczone razy w kozie siedział.

W trzecim rozdziale postępuje ks. Delbrel o krok dalej i żąda, by księża zachęcali młodzież do stanu duchownego, nietylko przez własny przykład, ale i przez rozmowy, któreby młodemu umysłowi przedstawiały wielkość i szlachetność tego powołania. Stary żołnierz rozmiłowany w swoim zawodzie opowiada młodzieży z zapałem o przebytych kampaniach i przez to tych, co skłonni są do wojskowego rzemiosła w tej skłonności utwierdza; czemużby ksiądz nie miał w podobny sposób wzbudzać w młodych sercach zapału i zamiłowania do najszlachetniejszego stanu. A jeżeli w publicznych egzortach wspominamy różne stany świeckie, czemużby się miało pominąć stan duchowny? Ks. Delbrel radzi też podawać młodzieży książki, które mogą ich pouczyć w odpowiedni dla nich sposób o obowiązkach i pracach kapłanów np.: Roczniki rozkrzewiania wiary, Żywoty świętych i t. d. Nareszcie w ostatniej części daje kilka wskazówek, jak utwierdzić i wzmocnić trzeba tych, co pokazują prawdziwe powołanie, odwodząc innych, którzy tych oznak nie pokazują, energicznie od takiego przedsięwzięcia.

Zdaje nam się, że autor poruszając w swej książce temat ważny i zarazem trudny, pożytecznej się podjął pracy i dobrze się z niej wywiązał, nie przekraczając nigdzie granic roztropności, a przypominając w szczególności nam księżom tę wielką prawdę, „że niepodobna kochać Kościoła, nie troszcząc się w szczególniejszy sposób o wzrost jego duchowieństwa“.

Ks. Wł. Ledóchowski.

The Time Machine, an Invention, by *H. G. Wells.* 1896.

Granice świata rzeczywistego już nie wystarczają bujnej fantazyi Anglików. Coraz częściej usiłują wedrzeć się po za krańce skończo-

ności, przeniknąć tajemnice przyszłego bytu, odgadnąć zagadki ludzkich przeznaczeń, wkroczyć w sfery nadprzyrodzone. Nie skończylibyśmy, chcąc wymieniać wszystkie wyskoki często genialnej, częściej chorobliwej wyobraźni. Marya Corelli hołduje mętnej teozofii, która bywa podstawą wszystkich jej powieści; Stevenson i Besant na przemian opowiadają tragiczne dzieje rozdwojenia osobistości w dwóch skrajnych dobrego i złego kierunkach, spirytyzm coraz częściej ogarnia płody anglo-amerykańskiej twórczości. A co dziwacznych spekulacyi o idących przemianach w ustroju świata i ludzkości! o postaci ziemi za lat sto i dwieście, a choćby i za tysiąc! Tylko że, gdy np. Bellamy snuje wyłącznie obrazy postępu, udoskonaleń, złotego niemal wieku, znaleźli się mniej optymistycznie usposobieni wieszcze, smutne tylko i ponure wywodzący wnioski co do przyszłości ludzkiego plemienia. Nikt chyba pessymizmu nie posunął dalej od p. Wells, autora fantazyi, której tytuł wypisujemy powyżej. Opowiada on dzieje pielgrzyma wieków, uczonego mechanika, nękanego myślą, iż jeżeli człowiek opanował przestrzeń, niema powodu — aby i czasu nie opanował kiedyś — że trzy dymensye znane nie wykluczają istnienia czwartej, że jeśli każda rzecz musi mieć długość, szerokość, objętość — w rachubę powinna wchodzić i trwałość. Po nieznośnie długim i zawiłym wstępie, rozprawiającym głównie w sposób dziwnie pogmatwany o owej czwartej dymensyi, pokazuje się, iż występujący w przyjacielskiej pogadance pielgrzym wieków, a raczej podróżnik czasu, jak go autor nazywa, spróbował zbudować mechanizm ułatwiający dowolne w tył i naprzód wędrówki na skrzydłach czasu, podbitego teraz na równi z przestrzenią. Nic mu nie przeszkadza cofnąć się aż do dni stworzenia, przebiedz w lot potok dziejów. Atoli ciekawość raczej naprzód go wiedzie, a dosiadłszy jak bicyklu swojej *Time machine,* szalonym pędem dziesięć wieków prześciga, aby przystanąć dopiero w dwutysięcznym ośmsetnym siedmdziesiątym pierwszym roku! Spodziewa się cudów przemysłu, wiedzy, nauki, cywilizacyi ogólnego postępu, niebywałych podbojów ducha i ręki ludzkiej. Tymczasem całkiem niespodziane czeka go rozczarowanie u stóp olbrzymiego sfinksa, który zda się szydzić z jego zdumienia. Pokazuje się, iż nadmiar wygody, komfortu, używania, zbytek nawet wykształcenia i wykwintności, brak wszelkiej wojny i walki, trudu i trudności życia, sprowadził ostatecznie, nie uszlachetnienie, lecz zwyrodnienie rodu ludzkiego. Podróżnik znajduje się w obec pokolenia pełnego urody i wdzięku, lecz całkiem zdziecinniałego, fizycznie skarłowaciałego, osłabionego moralnie, subtelnego i wątłego, zdol-

nego tylko rwać kwiaty, uganiać się za motylami, żywić wyłącznie owocami, cieszyć się życiem, w sposób całkiem bezmyślny. Nie mają sił dostatecznych, by utrzymywać chylące się do upadku starożytne budowy, nikt już tu umysłowych nie rozumie trudów, pielgrzym przyszłości odnajduje zaledwie ślady zamierzchłe dawnych muzeów i księgozbiorów. To wydelikacone plemię igra w słońcu, bez myśli o jutrze, bez troski i bez tęsknoty. Już, już obcy przybysz gotów w tym dziwnym ustroju społecznym upatrywać rodzaj *Männerdämmerung*, szarą godzinę i kres dnia ludzkości, na kształt skandynawskiego o *Götterdämmerung* pojęcia, kiedy nagle wbrew wiedzy i woli, zostaje uwięziony w owym nowym świecie, zuniknięciem szacownej swej machiny. Na razie rozpacz jego nie zna granic. *Humour* angielski nie długo atoli na marne pozwala żale. Przedewszystkiem rozśmiesza go myśl, iż tak bardzo się darł w przyszłość, a teraz nie wiedzieć co by dał, aby się z niej wydostać i do swoich wrócić. Ale któż jego wehikuł skonfiskował? O to tylko chodzi, aby sprawców kradzieży wytropić. I oto odsłania mu się straszna tajemnica tej przyszłości nieodgadnionej.

Rosnący przedział między kapitałem a pracą, używaniem a znojem, warstwami wyższemi a niższemi, ostatecznie sprowadził rozdwojenie ludzkiego plemienia, z których dwa, całkiem różne powstały rodzaje. Jeden wydelikacony, wysubtylizowany, zdziecinniały, pozostał na powierzchni. Drugi, spychany coraz bardziej nędzą i znojem w ziemi otchłanie, zamienił się stopniowo w gatunek Lemurów, o kształtach ludzkich, lecz zezwierzęconych warunkami podziemnego bytu, nie znoszących już światła dziennego, i wysuwających się tylko w zmroku, aby porywać z powierzchni słabsze ofiary rozdzielonej niepowrotnie ludzkiej rodziny. Jeśli niższy rodzaj po dawnemu starszą bracię własnym utrzymuje potem, to na to tylko, aby w zamian żywić się jej krwią, ściągać w swoje nory, i karmić się ludzkiem mięsem. Stąd w bezmyślnem plemieniu igrającem na powierzchni, z dawnych, silniejszych uczuć już tylko pozostało jedno, poczucie lęku i tajemniczej grozy, strachu nocy, zmroku i ciemności, w której Lemury odważniej wychodzą na swe ohydne łowy. Oto zresztą jak sam pielgrzym czasu określa przyszłość: „Kluczem do tej całej odmiany stosunków wydało mi się być rosnące już za dni naszych rozszerzenie rozdziału między kapitalistami a pracownikami. Wszakże już dziś przejawia się pewien pohop do zużytkowania podziemi dla cywilizacyjnych przedsiębiorstw. Coraz więcej kolei i mieszkań i restauracyj i dróg kommunikacyi zagłębia się w łono ziemi. Kierunek

ten oczywiście tak się wzmagać będzie, że ostatecznie przemysł i praca zatracą prawo rozkładania się na powierzchni, olbrzymie nawet fabryki ukryją się w łonie ziemi. Skądinąd wzrost wykwintności u bogatych, pogłębiający przepaść między nimi a prostaczym gminem, zaostrzy różnice i spotęguje rozdział. Znikną powoli mięszane małżeństwa, opóźniające stratyfikacyę społeczną zbliżeniem się wzajemnem warstw odrębnych. Aż w końcu, nad ziemią, fatalnością wyniku, pozostaną jedni, uganiający się już tylko za pięknem i rozkoszą i wygodą, a w podziemiach tamci, opłacający czynsz za sztuczną wentylacyę swych schronisk. I tu i tam stopniowa adaptacya do warunków bytu zmodyfikuje organizm, ludzie potrafią być po swojemu tu i tam szczęśliwi. Stąd w górze spotęguje się delikatna piękność, czczość i nadwątlenie ciała i umysłu, na dole brak powietrza i światła sprowadzi pewne zezwierzęcenie, wyblakłość cery, szerokie źrenice nocnych ptaków, a nawyknienia i potrzeby Lemurów, spragnionych ludożerczego przysmaku". Podziemny naród zwie się Morlokami, nadziemnych miano jest Eloi. Straszna Nemezys zawisła nad światem, a wszelkie dumniejsze spekulacye co do wszechwładzy ludzkiej woli i wiedzy, otrzymują tu gorzką odprawę i srogą chłostę. Morloki to w nocy ukryły machinę, aby obcego przybysza zatrzymać, jako bodaj rzadki i nie bywały kąsek.

Nie będziem opowiadać, jak nareszcie pielgrzym czasu wydostaje się z tej matni, jak przebiega nowych lat tysiące i patrzy na wygasanie wszelkiego życia na powierzchni ziemi, jak nareszcie wraca do swoich, z kilku uwiędłymi w kieszeni kwiatami, świadczącymi jedynie o jego wyprawie w przyszłość odległą, gdzie wszystko zniknie i zginie, okrom ludzkiej czułości i serca.

Krytyka mogłaby tu wytknąć mnóstwo nielogiczności w dowodzeniu, nadmiar dziwacznych wyskoków fantazyi, materyalistyczne poglądy i rozumowania na darwinizmie oparte, i pełno wad pomysłu czy układu. Atoli trudno zaprzeczyć, iż sam wątek opowiadania nie jest pospolity, że w nim tkwi myśl głębsza, głębsze bodaj ostrzeżenie, oblewające zimną wodą pychę ludzką, zbytnio upojoną swemi dzisiejszemi zdobyczami. W każdym razie, nadto ciekawy jestto utwór, aby go pominąć milczeniem.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

LEON XIII. I WSCHÓD.

Niejeden głos z goryczą w ostatnich tygodniach powstawał z pytaniem, co Leon XIII. myśli o rzeziach chrześcijan przez Muzułmanów? czy przedsiębierze co w ich obronie? Na to pytanie najprostszą odpowiedź mógł dać ktobądź i przypomnieć, że odarty ze wszelkiej władzy doczesnej i niepytany o głos w polityce papież może chyba listownie polecać chrześcijan względom sułtana i pieniężnie ich wspierać; prócz takiej pomocy, prócz przedewszystkiem modlitwy, trudno wystawić sobie, o czem mógłby myśleć Ojciec św. i co przedsiębrać. Ta odpowiedź już mogłaby wystarczyć. Ale nią niezadowolniony rzymski sprawozdawca do francuskiego pisma *Matin* donosi dziwną nowinę i twierdzi, że papież zajął rzeczywiście znaczne i czynne stanowisko wobec sprawy Ormian i Kreteńczyków. Najprzód polecił swojemu sekretaryatowi i propagandzie zbierać najdokładniejszy opis smutnych wypadków. Nadto dostaje Watykan od swoich nuncyatur szczegółowe wiadomości o ruchu między katolikami i ich zabiegach, aby ulżyć dolę chrześcijan na Wschodzie. Na tych wiadomościach oparty Leon XIII. wchodzić ma na drogę najdonioślejszych zamiarów, o których trudnoby nawet przypuszczać, że mogą powstać w XIX. wieku.

Sprawozdawca *Matin* nie koniecznie zasługuje na ślepą wiarę; jeżeli jednak nie uległ tym razem bardzo niewczesnym wpływom żywej wyobraźni, w takim razie mamy oczekiwać po katolikach francuskich kroków bardzo stanowczych: występu zbrojnego w rodzaju wyprawy krzyżowej. Nawet rozsądna *Germania* powtarza tę wieść bez innych uwag prócz tej, że cokolwiek możnaby przedsiębrać we Francyi dla zbrojnej obrony chrześcijan, musi to wszystko wchodzić przecie w zakres akcyi podjętej przez mocarstwa europejskie.

W każdym razie wysłannikom papieskim przypisuje *Matin* żywy ruch we Francyi w sprawie Ormian. Od kilku miesięcy różne objawy zwiastują, że katolicy francuscy nie chcą długo zajmować stanowiska bezczynnych widzów, kiedy chrześcijanie giną tysiącami. Prawica w Izbie wystosowała pytanie do rządu o jego politykę na Wchodzie. W rozmowach i pismach ulotnych często spotkać można wyrazy, że odwieczna sława rycerskiej Francyi wymaga od niej stanowczego kroku w obronie uciśnionych i wyrzynanych za wiarę. Polityczne odczyty i tłumne obrady coraz częściej poruszają umysły i zapowiadają chwilę czynów stanowczych. W tym także duchu wyszły liczne broszury i dziennikarskie rozprawy i słychać już o ochotnikach, którzy podali imiona do zaciągów gotowych walczyć pod godłem krzyżowem. Do krzewicieli tych zamysłów należą mężowie najwybitniejsi: na czele wicehrabia Melchior de Vogüé, przy nim gorliwy rzecznik tej myśli, hr. de Mun. Jego posłuchanie, w lutym miane przez godzinę u papieża, ma zostawać w związku z temi zamiarami.

Po zapale francuskich katolików, po ich chrześcijańskiem współczuciu z Ormianami można oczekiwać niejednego czynu szlachetnego; można także na pewno odgadywać, że Leon XIII. przychylnie poprze według sił każdy zamiar, podjęty z myślą wzniosłą a trzeźwą. Ale na co mocarstwa przystałyby w danym razie? Do czego użyłyby zbrojnych zastępów, któreby chciały służyć do akcyi, zamierzonej przez same mocarstwa w obronie chrześcijan! Na to bieg czasu odpowie; podobno tylko to za-

twierdzi, że pomysł nawet niewykonalny, przecie przyniesie chlubne świadectwo katolickim sercom we Francyi.

ODPOWIEDŹ ANGLIKAŃSKA LEONOWI XIII.

Wypadek bardzo pożądany zaszedł na Wyspie Świętych; od półtrzecia wieku świat nie słyszał bezpośredniej wymiany myśli między biskupem rzymskim a dostojnikami anglikańskiego Kościoła. Jeszcze Pius IX. ostatni przemawiał o nawróceniu Anglików; na swój list dostał dwa ostre protesta oburzonego duchowieństwa anglikańskiego; dopiero Leon XIII. o jedności Kościoła przemówił w takiej chwili, kiedy Anglikanie mieli serca znacznie lepiej usposobione, więc na list papieża dali odpowiedź, podpisaną przez „arcybiskupów“ z Canterbury i z Yorku.

Nie przystają dostojnicy anglikańskiego Kościoła na wywody rzymskiego biskupa... Niestety pod tym względem trwają w odszczepieństwie; ale zupełnie nową przyczynę podają swojego uporu, przyczynę, która, gdyby prawdziwa, musiałaby nas bardzo cieszyć, bo widzielibyśmy w anglikańskim Kościele w samej rzeczy tylko odszczepioną gałąź Kościoła powszechnego, a nie innowierców.

Leon XIII. wytknął anglikanom, że z biegiem czasu odstąpili od nauki, krórej bronili jeszcze za czasów Reformacyi aż do królowej Maryi [1], i ostatecznie pod wpływem luterskim z odszczepieńców zostali innowiercami, mianowicie stracili wiarę w sakrament kapłaństwa i nie wyznawali, że msza stanowi ofiarę Nowego Zakonu, więc swoich kandydatów do stanu duchownego nie dopuszczali właściwie do żadnych święceń ani nie powierzali im istotnej władzy kapłańskiej, aby mogli sprawować bezkrwawą Ofiarę. Stąd zmienili rytuał, aby zaznaczyć, że nie udzielają sakramentu kapłaństwa, tylko kandydatów stanu duchownego wynoszą na stanowisko równe urzędowi niemieckiego pastora.

Otóż na ten dowód Leona XIII. odpowiadają „arcybiskupi“

[1] Maryi Tudor, nie Stuart, jak przez pomyłkę podały „Sprawy Kościoła“ z grudnia 1896, str. 454.

nadspodziewanym zwrotem, że „po pierwsze, jak za czasów Reformacyi, tak do dziś w Eucharystyi uznają nietylko sakrament, ale także Ofiarę, i to ofiarę nie pochwalną jedynie albo dziękczynną, nie samą ofiarę, składaną przez pobożnych i przez ich dary, nakoniec nietylko przypomnienie ofiary przeszłej, ale rzeczywistą, podmiotową i odnowioną w każdej chwili ofiarę, w której Chrystus istotnie obecny ciągle ofiaruje Sam Siebie jako żertwę na ołtarzu". Po drugie odpowiedź ich twierdzi, że „jak za czasów Reformacyi, tak do dziś uznają w biskupach i księżach prawdziwych kapłanów, czyli sprawców ofiary, którzy przy święceniach dostają nadprzyrodzoną władzę, aby mogli na ołtarzu składać Chrystusa rzeczywiście obecnego i ofiarować jako żertwę zbawienia przy ofierze mszy, właśnie tak, jak uczą wspólnie Kościół rzymski i Kościoły wschodnie".

Do tego wyznania wiary dodają: „Ta wiara ożywiała biskupów Kościoła anglikańskiego i tchnęła w ich święceniach i liturgiach, i zgodnie z tą wiarą zostały wydane rytuały zreformowane".

Te ostatnie słowa zawierają nieszczęściem błąd historyczny; ale ostatecznie cała ta odpowiedź tkwi w historycznym błędzie; nie w dogmatycznym, odwołuje błędy luterskie i wyznaje wiarę powszechną w sprawie święceń kapłańskich i ofiary Nowego Zakonu. Takiej odpowiedzi nikt nie oczekiwał.

Drugi szczegół, także nadspodziewany, stanowi tok tej odpowiedzi spokojny i najzupełniej życzliwy dla osoby papieża. Oburzony tym tokiem ich mowy pastor im podwładny Mac Ghee przypomina im, że papież przecie jest Antychrystem i t. d. Arcybiskupi jednak mówią: „Jak papież nam wykładał to wszystko w imię pokoju i zgody, tak życzymy sobie, żeby każdy wiedział, że nas napełnia równa gorliwość i równa chęć pokoju w Kościele Chrystusowym i zgody. Uznajemy, że co nasz brat papież Leon XIII. od czasu do czasu pisywał w listach pasterskich, to często było wielką prawdą, a zawsze pochodziło z najlepszych chęci... Wyznajemy także chętnie, że osoba papieża zasługuje na miłość i cześć. Więc połączcie się z nami, wielebni bracia, rozważcie cierpliwie, co zamierzał Chrystus, kiedy stanowił

urząd kapłański. Stąd wypłynąć może jeszcze więcej dobrego z woli bożej w czasie przez Niego obranym. Daj Boże, aby i to nasze pismo wyświeciło jaśniej prawdę i sprowadziło większą wyrozumiałość i powszechną chęć zgody wewnątrz Kościoła Chrystusowego".

Wobec takich słów czyż katolicy nie mogą trwać dalej na modlitwie z wielką nadzieją?

Z WĘGIER.

Słowacki dziennik *Narodnie Noviny* nie zamknął dotąd kroniki smutnych wypadków, które spotykają katolików ze strony rozpanoszonego liberalizmu. Tak np. żyd kramarz może już pod rządem Bánffyego dostać urząd zastępcy proboszcza i prowadzić metryki. Także rabin dostał „krzyż" zasługi. Innych podobnych szyderstw z Kościoła nie brak dowcipnym żydom w biurach ministeryalnych; umieją choćby szpileczkami kłuć katolików i niemagyarskich mieszkańców królestwa. Do długiego spisu takich wypadków dodają *Noviny* dobrą uwagę:

„Jesteśmy z tego radzi, że ten sam dręczy nasz naród, kto prześladuje chrześcijaństwo: w tem widzimy niewyczerpaną i świętą siłę naszej sprawy. I łatwo to pojąć; kiedy chcesz ludzi wyleczyć z narodowościowych mrzonek, więc zagłusz w nich głos miłości ku matce, ojcu, przodkom, dźwiękom rodzinnej mowy, chlubnym pamiątkom ubiegłych dziejów, kiedy chcesz wtłoczyć ich do nowej formy, musisz najpierwej zniżyć ich i spodlić, a dokażesz tego najprędzej, kiedy weźmiesz im wiarę, ten początek każdego uczucia szlachetnego... Ale ponieważ wiara tworzy potęgę, której nie przemogą ani bramy piekielne, nie można sobie wystawić, jakby ją przemógł rozjuszony szowinizm magyarski".

Przecież Bánffy nie traci nadziei, przekonany o swoich siłach, odkąd odniósł wiekopomne przy wyborach zwycięstwo nad klerykałami, chociaż z drugiej strony doznał przykrej niespodzianki, która budzi w nim troskę, czy tak gładko, jak z początku oczekiwał, przeprowadzi każdy swój zamiar. Niezmierna przewaga rządowców zapewnić mogłaby Bánffyemu spo-

kojny przebieg obrad i pomyślny wynik jego prac ustawodawczych, ale dziś widać, że rząd liczył głosy służalców, ale nie liczył stopnia ich zdolności do występów parlamentarnych. Przeciwnie klerykalny związek ludowy, w stosunku wcale nieliczny, posiada ludzi, którzy zapowiadają Węgrom mistrzów w zapasach politycznych. Najprzód projekt adresu, wygotowany przez związek, prześcignął zwykłą miarę i najobojętniejsi czytelnicy tego projektu, nawet jego przeciwnicy, niespodzianie zobaczyli w nim akt polityczny, nietylko dyplomatyczniej zredagowany od projektu rządowego, ale zdolny iść o lepsze z pracami wytrawnych polityków w *Centrum* niemieckiem. Podczas rozpraw nad projektem związku wystąpił z mową poseł Marszowski i służalcom rządu okazał się przeciwnikiem, przed którym wielu z nich musiałoby w zapasach broń złożyć. Po Marszowskim wystąpił zasłużony opat Jan Molnar. Ten tak świetnie przemówił, że choć niejedną prawdą ukłuł w oczy wolnomyślnych i wywołał ich docinki, ale sam przewodniczący, oczywiście rządowiec, uznał w mowcy przeciwnika godnego czci, i karcił wybuchy gniewu wolnomyślnych posłów. Jaką powagę zjednał sobie opat, o tem jednomyślnie wszystkie pisma, prócz Bánffyańskich, składają chlubne świadectwo. Nieprzychylny Związkowi ludowemu *Dziennik Budapeszteński* pisze:

„Związek wyprawił dwóch nowych mężów do boju, którzy złożyli dowody swoich sił; dr. Marszowski mówi roztropnie i z namysłem, opat Molnar z powagą i wprawą, i zapowiada, że wkrótce wystąpi jako znakomity mówca“.

Także kossutowskie pismo *Egyetertes* pisze:

„Daleko więcej wrażenia wywołał opat Molnar; głos jego jakby namaszczony, postawa uroczysta, wyrazy doborowe sprawiły niespodziankę tym posłom, którzy w nim przypuszczali tylko agitatora“.

Nietylko jednak ze strony stronnictwa ludowego doznali przykrej niespodzianki Magyaroni; widzą pomieszane swoje szyki przez papieża, który nie pozwolił im używać nabożeństwa za środek magyaryzacyi i nie przystał na to, żeby unici używali w cerkwi języka magyarskiego zamiast cerkiewno-słowiańskiego.

Oburzony odmową papieża *Pol. Ert.* donosi, że nie można żądać od nikogo takich strat pieniężnych, jakie ponieśliby wydawcy magyarskiej liturgii, gdyby jej nie przyjęło duchowieństwo. Więc unici „muszą“ przyjąć magyarskie księgi, bo jak im papież nie pozwoli, przejdą na prawosławie i zaprowadzą sobie liturgię w takim języku, w jakim zechcą; a gdyby prawosławni nie chcieli odstąpić od ksiąg słowiańskich; przecie znajduje radę Magyaron i grozi: „Jeśli papież stawia się na stanowisku *non possumus*, węgierscy grecko-katolicy mają prawo jeszcze do jednego *modus vivendi:* jednomyślnie założą już samodzielne magyarskie narodowe nabożeństwo w duchu starochrześcijańskim i użyją liturgicznych ksiąg niezależnie od papieża i carogrodzkiego patryarchatu, do czego mają prawo po myśli węgierskiej ustawy o swobodnem wyznawaniu wiary. Byłoby to takie urządzenie kościelne jak u anglikanów albo starokatolików“.

Takie pogróżki nie wyglądają bardzo niebezpieczne w oczach korespondenta słowackich *Národnie Noviny*, który zna stosunki i nastrój ducha między unitami, ale nie truchleje przed groźbą odszczepieństwa; trochę rubasznie nazywa ją wytworem, wylęgłym w „podchmielonej głowie“ magyarona.

Drugą porażkę odniósł rząd węgierski w ostatnich tygodniach: zawzięty na ks. Majlatha, iście apostolskiego męża, nie chciał dopuścić najgodniejszego kapłana na stolicę biskupiego koadjutora w Siedmiogrodzie z prawem następstwa; kręcił, mamił, zwodził samego monarchę i nuncyusza apostolskiego. Żadne kruczki nie pomogły, matactwa wyszły na jaw i rząd musiał podać ks. Majlatha królowi do nominacyi *cum iure successionis*.

ZE SZWAJCARYI.

Po cierpliwie przeniesionej dobie ucisku ze strony starokatolików Kościół powszechny zaczyna odzyskiwać w Szwajcaryi dawne stanowisko i przewagę nad taborem wolnomyślnym. Społeczeństwo przestało znajdywać zabawnemi ciągłe wykrzykniki przeciw „zachłannemu“ Rzymowi i papieżowi, „spragnionemu władzy świeckiej i nieomylnej powagi“. Katolicy mają jeszcze wiele do roboty, nim poskromią stanowczo stronnictwo rządowe, zawsze gotowe do prześladowczych za-

machów, ale już stanowią potęgę, na którą przeciwnicy nie spoglądają zbyt z góry, chociaż nie pomijają ani chwilki sposobnej do złośliwych zaczepek Kościoła. Tak np. w kantonie Szwyc na blizko pięćdziesiąt tysięcy katolików a protestantów ledwo tysiąc kilkudziesięciu wywołali sprawę dóbr zakonnych, choć oczywiście nie mogli oczekiwać, że przeważna liczba głosów katolickich dopuści do uchwały trzech paragrafów następnych: „§. 20. Klasztory już założone korzystają z opieki państwa i stoją pod jego nadzorem. §. 22. Nie wolno bez zgody rady kantonowej klasztorom kupować, sprzedawać, zastawiać albo dzierżawić dóbr pod żadnym pozorem. §. 23. W kupiectwie i przemyśle nie wolno klasztorom brać udziału, tylko zarabiać mogą na sprzedaży własnych ziemiopłodów i bydła ze swoich folwarków“. Do klasztorów, zagrożonych temi ustawami, należy sławny w całej Europie Einsiedeln; więc z góry można przewidywać, że katolicy nie dopuszczą na siebie wobec świata tej hańby, żeby wydali taki klasztor w ręce wrogów. Tym idzie wyraźnie o to, żeby dokuczyć przynajmniej i pogrozić, kiedy nie mogą dokonać zamiarów szkodliwych.

W innej także sprawie, groźnej dla całego związku szwajcarskich kantonów, głosy katolickie przeważały na szali. Szło o socyalistyczny pomysł, który mógł odebrać pojedynczym kantonom ich majątki własne i stworzyć jednę własność wspólną całej Szwajcaryi. Także wobec starokatolików Kościół stoi zwycięzko; ich synodalna rada w Genewie podała do Wielkiej Rady wniosek, aby zmniejszyć liczbę starokatolickich parafij i duchownych, a rzymskim katolikom oddać kilka kościołów. Podobnie przy uroczystych obchodach katolicy doznają coraz mniej przeszkód ze strony władz; więc z wielkim przepychem i udziałem dostojników świeckich i duchownych zamierzają obchodzić stuletnią pamiątkę swojego apostoła w Fryburgu, bł. Piotra Kanizego.

OBCHÓD SW. WOJCIECHA W KS. POZNAŃSKIEM.

Skrzętne zabiegi naszych rodaków nad Wartą zapowiadają, że bardzo uroczyście wypadnie dla Wielkopolski w tym roku dzień 23 kwietnia, dziewięćsetna rocznica śmierci św. Wojciecha. Znowu dobrym przykładem

przyświeca nam tamtejszy komitet obchodowy, bo nie wziął sam na własne barki całej sprawy, tylko przyjął obowiązki wykonawców, a po główne wskazówki poszedł do duchownej głowy kraju, arcybiskupa Stablewskiego. Więc w niedługim czasie po raz trzeci słyszymy głos apostolskiego legata na prastarej stolicy gnieźnieńskiej; przed paru miesiącami słyszeliśmy podniosłe jego słowa, wypowiedziane tak przy XI. zjeździe dekanalnym, jak przy poświęceniu nowego seminaryum, równie ważne, jak dawniejsze jego słynne przestrogi dla kaznodziei; w tych dniach czytamy znów arcybiskupi okólnik, który z powodu obchodów na cześć św. Wojciecha rozwija dogmatyczne prawdy z zakresu nauki Kościoła o czci świętych, mianowicie wyjaśnia, jakie znaczenie mają żywoty świętych dla nas, a przedewszystkiem żywoty męczenników. Niezawodnie Wielkopolska z równie wdzięcznem sercem i równym pożytkiem przyjmie głos arcypasterza swojego, jak Małopolska i Ruś Czerwona przyjęły niedawno list wspólny swoich książąt Kościoła.

KATOLICKA PORAŻKA PRZY WYBORACH.

Katolicy w kraju naszym zaspali sprawę: pozwolili przez lata całe wichrzycielom przestawać z ludem i warstwami pracującemi, a sami nie podeszli do nędzarzy ze słowem dość wyraźnego współczucia nad ich niedolą; nie starali się przekonać ich, że pragną szczerze poprawy ich losu i są gotowi nad urzeczywistnieniem słusznych wymagań pracować; nie starali się dość skutecznie usunąć z drogi uprzedzeń, które nagromadziła kilkuletnia, dobrze zorganizowana socyalistyczna agitacya; nie starali się wreszcie pouczyć należycie warstw, po raz pierwszy dopuszczonych do urny wyborczej o najprostszych obowiązkach katolickiego wyborcy. Jedni biskupi podnieśli głos, ale niedość poparci przez społeczeństwo, nawet u wielu uchodzili za zbyt surowych i... nieoględnych.

Oportunizm i połowiczość znowu tu wzięły górę nad wyznaną szczerze zasadą katolicką. Dopiero w ostatniej chwili groza niebezpieczeństwa zbudziła ze snu niektóre koła. Ludzie zacni postawili kilka poczciwych kroków do serca ludu i jego sumienia, ale nim doszli, już nadleciał dzień wyborów i wy-

niósł socyalistów na stanowisko przedstawicieli naszego kraju w obu jego stolicach.

Porażka katolików przynosi nam wstyd, ale wcale nie przybrała rozmiarów klęski; owszem, przebieg straconej bitwy pokazuje, że potęga zasad katolickich stanowi jeszcze nieprzekutą zaporę przeciw zapędom wszystkich przeciwników. Nikt np. do krakowskiego ludu nie śmiał przemówić słowem bezbożnem: sam chorąży „czerwonego sztandaru“ musiał w przybranej postaci stawać przed wyborcami chrześcijańskimi; tłumił on w piersi okrzyki Adlerów i Beblów, nie tykał przezornie niemoralnych doktryn socyalistycznych, owszem raz po raz przybierał pozory prawowiernego. Przy każdej chwili sposobnej, czyto w *Naprzodzie*, czy na zebraniach, narzekał na potwarze, rozsiewane o przewrotnych zamiarach socyalistów; otwarcie i stanowczo mianem oszczerstwa piętnował każdą przestrogę przed zasadami, które oburzają wierny lud chrześcijański; słowem, s o c y a l i s t a musiał w y p r z e ć s i ę s o c y a l i z m u, ażeby znaleść przystęp do mas ludu; rozwijał on jedynie obrazy (często przesadne) niedoli i nędzy, obiecywał opiekę dla tych, którym ciężko mrzeć głodem; grał na uczuciach, które nietrudno wzniecić; na namiętnościach, które łatwiej obudzić niż zaspokoić — ale zasadniczo poprzestawał na hasłach, które ostatecznie mogłyby brzmieć na ustach każdego chrześcijanina, gotowego w Radzie Państwa przemawiać w obronie biednych i opuszczonych.

Bez tego manewru, bez liczenia się z potęgą wiary w naszym kraju nie oczekiwał zwycięstwa. Nie opierał on swych nadziei na głosach zdeklarowanych zwolenników socyalizmu, zdających sobie sprawę z tego, czem jest socyalizm, i świadomie idących za jego sztandarem. Głosy tej nielicznej garstki nie mogły zaważyć na szali — poseł z piątej kuryi krakowskiej sam o tem wiedział najlepiej. Nie liczył on też dostatecznie na żydostwo, które z rachuby przebiegle stanęło po jego stronie. Liczyć już więcej mógł na życzliwą pomoc sprzymierzeńca, któremu nawet powinienby oddać kilka listków ze swoich wawrzynów, bo wyklętemu księdzu zawdzięcza odezwę, pouczającą czytelników *Wieńca* i *Pszczółki*, że pod „czerwonym sztandarem“

można wznosić tak zwane chrześcijańsko-socyalne hasła. Ale najdzielniej sam walczył i zwyciężył pod chorągwią opiekuna uciśnionych, wśród szerokich mas ludu wiejskiego i robotników. Tak podbił zbałamuconych prostaczków, że powtarzali po wyborach: Chwała Bogu! teraz nasz poseł i ma żarliwość i jest religijant! A gdy mniej łatwowierni przyjmowali te naiwne wynurzenia z uśmiechem na ustach, przytaczano im dowody, jak ten np., że poseł z piątej kuryi chodzi do spowiedzi i to podobno nawet dość często.

Więc lud krakowski nie dał rozwinąć nad sobą „czerwonego sztandaru“ z napisem: Bez Boga, bez ogniska rodzinnego i osobistego majątku! Wybrał człowieka, który może uważa swój wybieg za uczciwy podstęp wojenny... Wybrał człowieka, o którym sądził, że potrafi zmienić stosunki, że za jednym zachodem zdoła usunąć ciężką dolę biedaków... Niestety, te marzenia rozwieją się bardzo prędko; lud mógł im uledz do czasu, ale ani na chwilkę nie mogli ich podzielać katolicy, świadomi, w co wierzą, i rozumiejący ducha tej wiary. Dla nich zawsze było i będzie jasnem, że na istotną pomoc dla ludu biednego liczyć nie można ze strony socyalisty, który, choć zataił istotę swojej duszy, bo wiedział, że wyborcy wiary nie stracili, choć na „chorągwi czerwonej“, zatkniętej pod Wawelem, wypisał ostatecznie zwycięskie zasady chrześcijańskie, przecie nie zbiera cegiełek do budowy królestwa sprawiedliwości, bo nie buduje z Chrystusem, a Chrystus rzekł stanowczo: „Kto nie jest ze mną, przeciwko mnie jest, a kto nie zbiera ze mną, rozprasza“ (Mat. XII, 30).

Widok takiego zasobu wiary w duszy ludu polskiego może przecie dowodzi, że czas już podnosić wyraźnie hasła chrześcijańskie przez ludzi, przekonanych wprawdzie o zasadach chrześcijańskich, ale dotąd nieśmiałych, kiedy trzeba było za biskupami stanąć otwarcie pod katolickim sztandarem. Świetne zwycięstwa odniesione w zachodnich krajach koronnych przez katolików przy ostatnich wyborach, okazują, co można w dzisiejszych czasach osiągnąć szczerem hasłem chrześcijańskiem.

Ks. K. Czaykowski.

Organizacya opieki nad pracującemi dziewczętami.

Rozwój nowożytnych stosunków ekonomicznych nie tylko wpłynął ujemnie na materyalne położenie warstw pracujących, ale też wytworzył warunki, które w wysokim stopniu narażają dobra duchowne tychże warstw — te w pierwszym rzędzie, które były zawsze dźwignią jednostek i społeczeństw — wiarę i moralność. Sprawa ta bijąca już w oczy swą oczywistością (przynajmniej w zachodniej i środkowej Europie) i narzucająca się uwadze ludzi myślących, jako groźny fakt społeczny, nabiera ze stanowiska socyalno-moralnego jeszcze większego, nieomal pierwszorzędnego znaczenia, jeśli się ją odniesie do jednej, pod względem moralnym niezmiernie ważnej grupy warstw pracujących, tj. do młodych dziewcząt. Z nich mają wyjść żony i matki przyszłych pokoleń, które wtedy tylko zdolne będą koić, podnosić i uszlachetniać, jeżeli z wrodzonych im przymiotów umysłu i serca, stanowiących podstawę szczytnego powołania kobiety, a podtrzymywanych i udoskonalanych przez nadprzyrodzone działanie wiary, nie obedrze ich za młodu brutalny wir życia, poparty brakiem odpowiednich warunków właściwego im duchowego rozwoju i wychowania.

Za dawnych czasów dziewczyna pracująca wychowywała się aż do wyjścia za mąż pod okiem matki, lub bliskiej krewnej w atmosferze ciepła rodzinnego. Potrzeba zarobkowania na szerszą skalę albo nie istniała, albo znajdowała wystarczające sobie pole w obrębie wioski czy miasta, nie odrywając dziewczyny z pod oka i wpływu czyto rodziny, czy przynajmniej swojskiego i bliskiego jej otoczenia. Procent tych, które dla zarobku lub służby opuszczały na stałe rodzinne strony, bywał zazwyczaj bardzo nieznaczny; zresztą i te nawet, przy panujących podówczas dość powszechnie patryarchalnych stosunkach, nie były pozbawione opieki. Ściślejszy niż dzisiaj węzeł łączył służące, panny domowe i nauczycielki z rodzinami chlebodawców; większa liczba posad kobiecych, jakie wówczas utrzymywać musiały nawet średnio zamożne domy, umożliwiała rozrywkę i towarzyskie pożycie, dobra pani pod niejednym względem zastępowała matkę.

Dzisiaj stosunki znacznie się zmieniły, i ciągle jeszcze zmieniają się na gorsze, z dniem prawie każdym.

Zakres gospodarstwa domowego coraz bardziej się ścieśnia; obniża się wartość produkcyi domowej; praca zatem dziewcząt w obrębie rodziny staje się coraz mniej wydatną i, co za tem idzie, coraz bar-

dziej zbyteczną. Większe gospodarstwa wiejskie, średnie miasta i drobne miasteczka — jako targi pracy — straciły dziś na znaczeniu; nie dają one ani stałego, ani dość wysokiego zarobku, i nie są w stanie nastarczyć potrzebie. Ostatecznie więc nie tyle płochość i lekkomyślność, o której się często mówi, ile raczej twarda konieczność życia, odrywa dziś przedwcześnie całe masy dziewcząt od domowego ogniska, od rodzinnego miasteczka lub wioski, od przychylnego, znajomego im otoczenia, gdzie każdej chwili znaleść mogły w razie potrzeby radę, w razie niebezpieczeństwa opiekę i obronę, w razie upadku lekarstwo — i przerzuca je siłą rzeczy na wielkie rynki pracy, jakimi są główniejsze miasta, albo znaczniejsze ogniska handlowe i fabryczne.

Ta wędrówka za pracą i chlebem odbywa się zazwyczaj na ślepo, bez planu i znajomości ekonomicznych stosunków: skutkiem tego napływ robotnic do miast i znaczniejszych centrów zarobku bywa za wielki, i przewyższa raz po raz zapotrzebowanie i możność ekonomiczną danych miejscowości. Znaczna liczba dziewcząt nie znalazłszy pracy, popada w rozpaczliwe położenie, które wyzyskują bezsumienni faktorzy i stręczyciele, ofiarując im wyjście, okupione ceną uczciwości; inne dostają się pod wpływ utopijnych doktrynerów i powiększają szeregi niezadowolonych. Ale i te szczęśliwsze, które znajdują możność zarobienia na życie, w niewiele lepszem zostają położeniu. Słabe te natury porywa z całą bezwzględnością brutalna, z niczem prócz interesu nie licząca się fala wielkomiejskiego i fabrycznego życia; obce a nieraz dzikie otoczenie, w jakiem się obracają, zimne przedsiębiorstwo, któremu służyć muszą — nie chce ani nie umie uwzględnić potrzeb duchowych młodej istoty. Fabryka, handel, szwalnia i warsztat nie troszczą się o grożące dziewczynie niebezpieczeństwa moralne — za zimne są na to, by jej zastąpić rodzinę. Przytem pojęcia liberalne, ciągle jeszcze unoszące się w powietrzu, nie pozwalają wglądać w życie prywatne służących i robotnic, i wytwarzają w szerokich kołach pracodawców bardzo elastyczne pod tym względem sumienie, i niezmiernie daleko posuniętą obojętność czy pobłażliwość. Nawet w prywatnej służbie, położenie dziewcząt pracujących coraz mniej bywa zabezpieczone. Służąca domowa nie jest już tem, czem była dawniej. Zakres jej zajęć stale się zmniejsza, bo usługę prywatną ruguje po miastach w coraz większym stopniu obsługa publiczna, która się z każdym dniem upraszcza i wydoskonala. Służąca wobec tego traci na znaczeniu; stosunek jej z domem państwa staje się coraz więcej dorywczy i luźny — a skutkiem tego coraz mniej serdeczny. Nie znaj-

dując w najbliższem sobie otoczeniu pewnego ciepła, pewnych trwalszych i ściślejszych węzłów, szuka ich dziewczyna na zewnątrz. Bez wielkiego wyboru i namysłu wchodzi w stosunki, które się jej same narzucają, sympatye jej przenoszą się stopniowo na ulicę i na lokale publiczne, gdzie zatruta atmosfera wszystkiemi porami wciska się do jej duszy; niejednokrotnie wreszcie daje się wciągać w niezdrowe organizacye i związki, które w ostatnich czasach z ułudnemi swemi hasłami zwracają się coraz częściej w stronę świata kobiecego, a zwłaszcza zastawiają sieci na nieoględną naiwność pracujących dziewcząt.

Do jakich następstw moralnych doprowadzają te stosunki — zbyt niestety wiadomo.

W krajach, w których ruch przemysłowo-fabryczny żywszem niż u nas bije tętnem, i na których wskutek tego nowożytne stosunki ekonomiczne głębszymi zaznaczyły się śladami, smutne te następstwa są już we wielkich masach młodzieży żeńskiej aż nadto widoczne i poważne wywołują obawy nie tylko u surowych moralistów, ale też wśród polityków i ciał prawodawczych, złożonych z ludzi bardzo różnych kierunków i odcieni. U nas niebezpieczeństwo z powodu odmiennych nieco warunków ekonomicznych mniej jest na razie zaostrzone — ale byłoby łudzeniem się lub niezrozumieniem rzeczy twierdzić, że ono nie istnieje, lub że nawet nie jest już dość groźne. Przeobrażenia ekonomiczne dokonują się na całej linii z siłą elementarną, a gospodarstwa poszczególnych państw i krajów, zależne dziś we wszystkiem od między narodowych czynników, nie są już w stanie oprzeć się samodzielnie na jakichś odmiennych zasadach, ale poddać się muszą wielkim prądom i wielkim prawom ogólnego wszechświatowego gospodarstwa społecznego. Warunki zarobkowania, odpowiadające nowszym stosunkom ekonomicznym, a tak szkodliwe dla moralności, zapanowały już i u nas pod wieloma względami, a w przyszłości zapanują jeszcze powszechniej, i przyniosą te same zgubne skutki moralne, które za granicą w całej już pełni występują.

Zgubne te skutki, o ile dotyczą pracujących dziewcząt, w znacznej mierze zażegnać, a przynajmniej złagodzićby się dały, gdyby istniała silnie i praktycznie zorganizowana opieka nad żeńską młodzieżą, szukającą zarobku w obcych sobie stronach. Są wprawdzie i u nas i za granicą różne zakłady i instytucye temu celowi w różny sposób, w mniejszym lub większym zakresie służące: ale chociaż ich działalność jest nieraz znakomitą i pod wieloma względami świetne przynosi rezultaty, mimo to jednak nie jest ona w stanie dorównać

wzrastającej z dniem niemal każdym potrzebie, ani objąć tak szerokiego zakresu, jakby tego wymagało dzisiejsze położenie rzeczy. Jedne z tych instytucyj nie są dość znane, z zasady bowiem czy z tradycyi pracują w ukryciu; inne, za mało są ruchliwe i zamykają się w szrankach nieco już ciasnych na nasze czasy; wszystkie wreszcie działają pojedynkiem, bez wzajemnego porozumienia, pozbawione tej siły, jaką daje assocyacya, szeroki plan oparty na podziale pracy i silna a praktyczna organizacya.

Celem rozwinięcia należytej opieki nad dziewczętami potrzebna jest dziś instytucya o szerokich ramach, którąby wprowadzała w użycie środki odpowiadające rozgałęzionym i skomplikowanym stosunkom doby obecnej. Instytucya ta nie wchodząc w drogę istniejącym już zakładom i związkom, nie dążąc do osłabienia ich autonomii i do zdobycia sobie naczelnego nad nimi stanowiska, powinnaby jednak na podstawie wzajemnego porozumienia, stać się pewnym między nimi łącznikiem i regulatorem wspólnej, zbiorowej pracy. Toby umożliwiło skupienie sił, jednolitość w działaniu i objęcie znacznie szerszego widnokręgu, niż to ma miejsce dotychczas.

W Anglii, Francyi i Niemczech o naglącej potrzebie powołania do życia takiej instytucyi myślano już od dawna. Jednem z więcej znanych usiłowań w tym kierunku, był założony w Szwajcaryi w r. 1877 związek dam protestanckich, niedługo potem przekształcony w stowarzyszenie międzynarodowe pod nazwą związku „Przyjaciółek młodych dziewcząt". Stowarzyszenie to przed rokiem liczyło 4.000 uczestniczek, z liczby tej w samych Niemczech 2.000.

W ostatnich latach i katolicy wzięli się do podobnego dzieła. Inicyatywa wyszła z Monachium, gdzie dzięki zapobiegliwości jednego księdza i kilku wybitnych pań katolickich powstało w r. 1895 stowarzyszenie kobiece pod nazwą *„Marianischer Mädchenschutzverein"*.

Nowy ten związek wytknął sobie bardzo rozległe zadanie. Chce on sieć katolickiej organizacyi rozciągnąć szeroko po całych Niemczech, potem i po innych krajach; objąć nią wszystkie pracujące dziewczęta, zarówno po miasteczkach i wioskach, z których wychodzą w świat, jak po dużych miastach i wielkich ogniskach zarobku, do których się udają; mieć wszędzie swoich ludzi, którzyby nie czekali, aż dziewczyna się zgłosi i wyciągnie rękę o pomoc, ale sami ją śledzili, chodzili za nią, rozciągali czujną pieczę nad każdym jej krokiem, nawet nad jej podróżą; a skoro przybędzie na miejsce przeznaczenia, otwarli jej bramy katolickich zakładów, zabezpieczyli dach nad głową i byt materyalny,

umożliwili pewne nawet rozrywki i uczciwe towarzyskie pożycie — odwracając w ten sposób od młodej duszy niebezpieczeństwa moralne, któreby grozić mogły jej wierze i cnocie.

Aby sprostać tak olbrzymiemu zadaniu, które wymaga niezmiernie szerokiej akcyi i wielkiego zasobu środków, postawił związek monachijski bardzo rozumną zasadę: że nie należy własnemi siłami (któreby na to nie starczyły) wznosić wszystkiego od fundamentów, ale przedewszystkiem uwzględnić to co jest, i oprzeć swą działalność w pierwszym rzędzie na istniejących już zakładach i instytucyach.

Po wielu miejscowościach znajdują się przytuliska dla chorych kobiet, schroniska na nocleg dla osób pozbawionych dachu, tanie garkuchnie i gospody, domy związkowe katolickich robotnic, zakłady dla guwernantek i nauczycielek, szwalnie, szkoły kroju lub gospodarstwa kobiecego, gdzie pewna liczba uczennic otrzymuje jużto darmo, jużto za nizkiem wynagrodzeniem mieszkanie i wikt, są wreszcie pewne klasztory żeńskie, dające czasowy przytułek, nieraz i naukę młodym dziewczętom.

Otóż monachijski związek zbiera adresy wszystkich tego rodzaju instytucyj, wchodzi z niemi w porozumienie, zapewnia sobie ich współudział, przyczem wywiaduje się dokładnie, jakiej pomocy dziewczętom udzielić mogą, w jakiej mierze i stopniu i na jakich warunkach.

Zakłady te i instytucye są zazwyczaj bardzo mało znane, zwłaszcza wśród tych sfer, które ich pomocy najbardziej potrzebują. Nie wiedzą nieraz o ich istnieniu ludzie miejscowi, a cóż dopiero rodzice i dziewczęta z zapadłych i odciętych od świata kątów kraju. Monachijski związek uważa za rzecz wielkiej doniosłości pouczać o tych zakładach i urządzeniach jak najszersze koła publiczności — i tę służbę informacyjną uważa za swoje pierwsze zadanie.

Spełnia ją najprzód przez prasę. Każdy lokalny lub krajowy wydział związku stara się pozyskać dla swych celów pewną część pism peryodycznych i umieszcza w nich częścią bezpłatnie, częścią za zniżonem wynagrodzeniem adresy znanych sobie zakładów kobiecych lub dziewczęcych, z dołączeniem najpotrzebniejszych o nich informacyj. Przedewszystkiem zwraca uwagę na pisma ludowe, na gazety i wydawnictwa przeznaczone dla katolickich związków, lub poświęcone dziełom miłosierdzia, jak fryburska *Charitas*.

Drugim środkiem są plakaty, umieszczone na dworcach kolejowych większych miast. Rząd bawarski udzielił na to pozwolenia — i przed połową roku na 50 większych dworcach bawarskich wisiały

już wielkie, wpadające w oczy plakaty, z adresami katolickich schronisk, domów związkowych i innych podobnych instytucyj dla kobiet lub dziewcząt. W ostatnich czasach pozwolono rozwieszać podobne ogłoszenia w wagonach kolejowych, co się w Szwajcaryi już przedtem praktykowało. Na wiecu dzieł miłosierdzia w Schwäbisch-Gmünd podniesiono myśl, nie wiem czy dotąd wprowadzoną już w życie, aby te plakaty umieszczać także na drzwiach wchodowych wszystkich katolickich kościołów.

Trzecim środkiem, na który związek Monachijski najwięcej liczy, jest wydawanie książki adresowej t. zw. „Przewodnika“ *(Führer)*. Mieścić się w nim mają dokładne adresy nietylko zakładów i instytucyj, które stoją otworem dla opuszczonych dziewcząt, ale nadto adresy wszystkich dam związkowych, które gotowe są pośredniczyć między zgłaszającą się dziewczyną a zakładami, lub w braku tych ostatnich, otoczyć ją własną opieką.

Przewodnik ma być w rękach każdego członka związku — a także w rękach każdego proboszcza. Co dwa lata wychodzić będzie regularnie nowe jego wydanie — ewentualne dopełnienia lub zmiany drukuje się i rozsyła co dwa miesiące. Każdorazowe pojawienie się Przewodnika ogłaszają księża z ambon, pouczając przytem parafian o ważności tej książki i o jej nader doniosłem dla rodzin i dziewcząt znaczeniu. Jeśli w parafii znajduje się ajentka związku, do niej każą się udawać dziewczętom; w przeciwnym razie sami ajentkę zastępują.

Ale zakłady i instytucye opiekujące się dziewczętami nie wszędzie istnieją — a nadto i istniejące rozporządzają nieraz bardzo ograniczonymi środkami i nie mogą nastarczyć potrzebie. Wie o tem związek Monachijski, i dlatego jako drugie zadanie postawił sobie: dążyć do rozszerzania i powiększania zakładów istniejących, lub do otwierania nowych, gdzie na to pozwalają fundusze i zachodzi rzeczywista potrzeba. Wydziały związku badają więc stosunki lokalne poszczególnych miejscowości, i jeśli osądzą, że otwarcie jakiegoś zakładu dla dziewcząt jest w danem miejscu konieczne, podejmują się zbierać składki, kołatać do ofiarności publicznej, albo żądać od centralnego wydziału zasiłków, celem powołania tego zakładu do życia. W pierwszym rzędzie dąży związek do zakładania biur wywiadowczych dla dziewcząt, któreby były w stanie nie tylko dawać zgłaszającym się wskazówki, ale rzeczywiście pośredniczyć między pracodawcami a dziewczyną, i pewną liczbą posad stale rozporządzać. Na drugim planie są schroniska i domy dziewcząt, gdzieby one znaleść mogły stałe

albo czasowe, wedle potrzeby, pomieszczenie, tani wikt i życzliwą opiekę. W miejscowościach, w których dom taki nieda się otworzyć dla braku funduszów, albo gdzie napływ obcych dziewcząt jest tak stosunkowo nieznaczny, że otwieranie osobnego dla nich schroniska nie opłaciłoby się — stara się związek mieć przynajmniej jedną lub drugą ajentkę, któreby znały dobrze stosunki miejscowe i dziewczętom poszukującym zajęcia mogły dać odpowiednie wskazówki.

Trzeciem zadaniem związku jest skupiać razem młode dziewczęta zajęte w jednej miejscowości, i umożliwić im w dnie niedzielne i świąteczne wspólną rozrywkę i zabawę. W tym celu w jednym z istniejących zakładów, albo w ich braku, w wynajętym na ten cel lokalu urządza się rodzaj kasyna dziewczęcego, w którem jest obszerna sala do zabaw i odczytów, w niej gry różne i odpowiedne pisma lub książki, ile możności ogród — przy tem bufet z taniemi przekąskami. Pod okiem dam związku gromadzą się tam katolickie dziewczęta popołudniu w niedziele i święta, i w odpowiednem sobie otoczeniu znajdują miłą chwilę wytchnienia Niekiedy na tych zebraniach urządza się popularne odczyty, wykłady z zakresu gospodarstwa kobiecego, czasem się tworzy chór, organizuje amatorskie przedstawienia — i dziewczyna przywiązuje się coraz bardziej do tego życzliwego sobie schroniska, nie czując żadnej potrzeby szukania pomocy czy rozrywki tam, gdzie wszystko czyha na jej moralność.

Te są główne zadania, dla których powstał związek Monachijski. Przypatrzmy się jeszcze wewnętrznemu jego urządzeniu i działalności.

Organizacya związku jest bardzo prostą. W każdej parafii łączy się kilka pań lub kobiet, gotowych pracować dla celów związku. W porozumieniu z proboszczem zawiązują komitet parafialny, sprowadzają sobie parę egzemplarzy „Przewodnika“, i zwracają oko na dziewczęta, mające zamiar szukać chleba po za parafią. Odciągają je od tego, o ile to możliwe — w przeciwnym razie dostarczają dziewczynie potrzebnych informacyj, pouczają w których stronach najłatwiej będzie mogła znaleść odpowiednie swym pociągom zajęcie, dają jej do rąk egzemplarz „Przewodnika“, lub przynajmniej wypisane z niego adresy, polecają ją listownie towarzyszkom związku w tej miejscowości, do której dziewczyna udać się zamierza, każą jej zwracać uwagę na kolejowe plakaty — słowem tak wszystko urządzają, żeby ta słaba i niedoświadczona istota, skoro na miejsce przybędzie, nie znalazła się opuszczoną i w bezradności swej nie wpadła w ręce niepowołane, ale na każdy

wypadek dostała się do rąk związku. W tych miejscowościach, gdzie dla braku odpowiednich sił, lub nieznacznego pola pracy, komitetu parafialnego zawiązać nie można albo i nie trzeba. wystarcza jedna lub druga ajentka związku, zaopatrzona księgą adresową i utrzymująca porozumienie, jużto z wydziałem, jużto z towarzyszkami związku po większych miastach. Podstawnicza siła związku monachijskiego na tych właśnie ajentkach zależy. Żywi on nadzieję, że po niedługim czasie nie będzie ani jednej wioski katolickiej w Niemczech, w którejby nie było albo kółka parafialnego, albo jednej przynajmniej ajentki.

Skoro liczba ajentek i kółek parafialnych dojdzie do pewnej wysokości, łączą się one w związek dyecezalny. Związek ten wybiera z łona swego wydział na dwa lata; w skład jego wchodzi wedle statutu 6 dam związkowych, nadto delegat biskupi. Wydział rezyduje w biskupiej stolicy.

Związki dyecezalne łączą się w związek krajowy. Wybierają z łona swego krajowy wydział centralny, który kieruje całą akcyą w danym kraju lub prowincyi. Wydział zwołuje co roku walne zgromadzenie, które ma prawo zmieniać statut, rozporządzać majątkiem związku, i łączyć się z wydziałami innych krajów w jeden wielki związek międzynarodowy. W walnem zgromadzeniu, aby miało moc ustawodawczą, muszą brać udział członkowie centralnego wydziału krajowego, delegaci wszystkich związków dyecezalnych, a nadto przynajmniej dwunastu zwyczajnych członków.

Podwójna jest kategorya członków: czynni i wspierający.

Pierwsi poświęcają związkowi czas swój i pracę — drudzy obowiązują się uiszczać roczną wkładkę w kwocie 1 marki.

O każdym nowo wstępującym członku donieść ma miejscowy zarząd w przeciągu 4 tygodni wydziałowi krajowemu, który wydaje księgę adresową i dwumiesięczne jej dopełnienia.

Członkom czynnym wyznacza się mniejszy lub większy zakres działania, wedle tego w jakim stopniu pozwalają im stosunki zająć się sprawami związku. Znaczna liczba pań związkowych, wolnych od obowiązków rodzinnych, a materyalnie niezależnych, oddaje się tym sprawom całkowicie, z wielką energią i poświęceniem. Jedne kierują biórami wywiadowczemi, inne zawiadują domami dziewcząt i schroniskami, inne zajmują się zbieraniem adresów i informacyj. obchodzą warsztaty i fabryki, werbują coraz to nowych członków, starają się pozyskać dla celów związku służbę policyjną i kolejowych kondukto-

rów, niektóre wreszcie w wyznaczonym sobie dniu i czasie chodzą stale do wszystkich pociągów osobowych, aby zaraz na dworcu zająć się przyjezdnemi dziewczętami, i nie dać im wpaść w ręce agitatorów lub spekulantów, którzy na tego rodzaju towar po dworcach kolejowych skwapliwie czyhają.

Młody Monachijski związek, odpowiada ważnej i rzeczywistej potrzebie, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa można mu najświetniejsze na przyszłość rokować nadzieje. Statuty jego zatwierdzili wszyscy biskupi bawarscy i obiecali wszechstronne poparcie jego szlachetnym usiłowaniom. Sam dotychczasowy rozwój tego pięknego dzieła, które z niezwykłym zapałem potrafiło przełamać lody pierwszych uprzedzeń, i wyszło już zwycięsko z fazy początkowych trudności, dobre o żywotności jego daje świadectwo. Pod koniec zeszłego roku działalność związku, który pierwotnie ograniczał się na samo tylko Monachium, rozszerzyła się znacznie i obejmowała już cztery wielkie dyecezye bawarskie: Monachium-Freising, Würzburg, Augsburg i Spirę.

W każdej z nich istniał osobny związek dyecezalny, z własnym wydziałem rezydującym w stolicy biskupiej; nad dyecezalnymi wydziałami stał wydział krajowy związku, w Monachium. Na podstawie monachijskich statutów powstał drugi krajowy związek w Szwajcaryi z wydziałem centralnym we Fryburgu; kantonalne związki tworzyły się w Lozannie i Lucernie. Nadto liczne katolickie związki w Anglii i Francyi służące tym samym celom objawiły już chęć połączenia się z związkami Bawarskimi i Szwajcarskimi, celem wytworzenia międzynarodowego związku ochrony dziewcząt. Na ostatnim wiecu stowarzyszenia *Charitas* w Schwäbisch-Gmünd oświadczył dr. Wörnhör, który jest duszą całej tej akcyi, że układy z zagranicą są już w pełnym toku i najlepsze rokują nadzieje.

Filia międzynarodowego związku ochrony dziewcząt powinna powstać i u nas. Czas już największy, żeby i na tem polu zacząć pracę na szersze pomyślaną rozmiary, pracę jednolitą, zorganizowaną, dostosowaną do tych potrzeb i wymagań, jakie postęp czasu z sobą przynosi. Myśl ta tem łatwiej przyjąć się winna, że związek opieki nad dziewczętami powołuje do swych szeregów w pierwszym rzędzie kobiety — czynnik tak mało dotąd pracą społeczną zajęty, a jednak rwiący się do niej z niezwykłym zapałem. Jeżeli znana „nieproduktywność słowiańska“ nie pozwoli nam i tym razem zorganizować w krótkim czasie opieki nad pracującemi dziewczętami, zorganizuje ją (prę-

dzej niż się spodziewamy) międzynarodowa socyalna-demokracya. I będzie znowu jeden żal więcej — jak zawsze, po niewczasie [1].

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Elektro-dynamiczny system świata.

Belgijski świat uczony czyta teraz chciwie dziennik *Ciel et Terre*, w którym prof. Van der Heen, członek belgijskiej Akademii Umiejętności, śmiało popiera wywody profesora Zengera o elektro-dynamicznym systemie świata. O tym systemie mało piszą w Polsce; może więc wypada podać choćby kilka szczegółów o nowym poglądzie na świat, który teraz zajmuje wysokie powagi w świecie naukowym, chociaż jeszcze wcale nie spoczywa na dowodach niezbitych; na razie należy on do rzędu śmiałych domysłów.

Pogląd ten powstał w umyśle profesora Zengera na widok nieprawidłowych ruchów, odbywanych przez planetę Merkura, a spostrzeganych także przy obiegu komet koło słońca. Aby wyjaśnić te nieprawidłowości, prof. Zenger odstępuje od Newtona, i zamiast jego teoryi ciążenia powszechnego, stawia wpływy elektro-magnetyzmu, które w słońcu posiadałyby swoje ognisko. Prof. Zenger (w dziele: *Système du monde electro-dynamique*. Paris, G. Carré. 1893) a za nim prof. Van der Heen nie obstają przy tem, że teorya elektro-magnetyczna we wszystkiem zastąpi teoryę grawitacyi, ale zgodnie podnoszą, że elektro-magnetyczne wpływy dają najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie spostrzeganych nieprawidłowości, a przytem zdają sprawę z obrotu planet około osi.

Być może, że prof. Zenger zbyt wysoko ocenił elektro-dynamiczne wpływy słońca na planety; w każdym razie i prof. Van der Heen zaprzeczyć nie może, że te wpływy istnieją rzeczywiście i że wyjaśniają wiele zjawisk przyrody.

Tak najprzód teorya elektro-dynamiczna przedstawia w tak zwanych protuberancyach słonecznych nie wybuch gazów, jak mniemał np. ks. Secchi, ale wyładowywanie elektryczności ze samej masy słońca w jego powietrznie. Przeciwko temu poglądowi może powstać zarzut, dotychczas niewyjaśniony: dlaczegóż nieraz tygodniami trwają na słońcu

[1] Bliższych wyjaśnień o związku Monachijskim udzielają jak najchętniej: jeneralna sekretarka Marya bar. von Hohenhausen (München, Liebigstrasse 8) i kanonik Wörnhör (München, Galeriestrasse 18, 3, l.).

plamy, którym towarzyszą protuberancye? Wszak wybuch wyładowanej elektryczności trwa ledwo chwilę... Trudno przecie wyobrazić sobie, żeby plama tworzyła jakieś zbiorowisko wybuchów, które w nieprzerwanym ciągu jedne po drugich tworzą jakby jedno nieprzerwane zjawisko. Ale znowu za poglądem profesorów Zengera i Van der Heena stanowczo przemówił także inny członek belgijskiej akademii, pan Shas, który stwierdził, że widmo światła słonecznego odpowiada widmu elektrycznemu, a nie widmu promieni cieplnych. Pan Van der Heen sam urządził proste doświadczenie, które popiera domysł Zengera o protuberancyach. Przy zaćmieniu słońca otrzymujemy fotograficzne odbicia tarczy słonecznej w postaci ciemnej kuli otoczonej nierównemi protuberancyami. Tak samo wyglądają fotografie, otrzymane bez słońca tym sposobem, że na płycie fotograficznej umieszcza się kółko, połączone z biegunami Rumkorfa; wystarczy puścić prąd elektryczny a fotografia przedstawi jakby wizerunek tarczy słońca, otoczonej protuberancyami.

Dalej wykazał prof. Zenger, że wyładowana elektryczność wydaje światło w postaci helikoidy, jaką właśnie mają protuberancye. Prof. Van der Heen do tego samego wniosku doszedł własnemi spostrzeżeniami.

Także i na to zwracają obaj uwagę, co poparli różnemi doświadczeniami, że wyładowana elektryczność w przestrzeni wypełnionej gazem wprawia ten gaz w ruch podwójny: skupia cząstki, przy czem nadaje im kształt lejka, a prócz tego wprawia je w ruch wirowy; słowem, gaz przedstawia taki widok, jak woda podczas trąby morskiej. Stąd wynikałoby, że promienie słoneczne elektrycznym wpływem wywołują nasze burze i cyklony.

Do tych poglądów dodać można uwagę, którą podaje styczniowy zeszyt *Revue générale des sciences,* wydawany w Paryżu pod redakcyą Ludwika Olivier. Mianowicie zeszyt ten umieszcza parę prac o sile grawitacyi, i od siebie dodaje: „Czy dotychczasowe poglądy na istotę ciążenia powszechnego ulegną zmianie? Przypuszczać to pozwalają niektóre prądy, które w fizyce występują od kilku lat. Szczególnie poglądy Maxwella, doświadczalne wywody Hertza, słynny wynalazek Roentgena, zastosowanie zasad termodynamicznych do procesów chemicznych, wszystko to zwraca umysły w stronę, z której, choć jeszcze nie można wyjaśnić zupełnie tajemnicy, przecie poznać ją można w nowem świetle". Już przedtem profesor wszechnicy lipskiej, Neumann, ogłosił pracę: *Allgemeine Untersuchungen über das Newtonische Princip der Fernwirkungen mit besonderer Rücksicht auf die elektrischen Wirkun-*

gen, w której usiłuje wyjaśnić ciążenie w świetle równowagi elektrostatycznej, dość już ogólnie przyjętej przez uczonych.

K. C.

Wojskowe obowiązki duchowieństwa w Austryi.

Austryackie prawo wojskowe z biegiem czasu doznaje poprawek korzystnych dla duchowieństwa; szczególniej ulgę znaczną przyniosła ustawa z r. 1889. Mimo to nie tchną jeszcze te ustawy duchem przychylnym dla Kościoła; nie uwalniają właściwie kleryków od służby, tylko niektórych ułaskawiają o tyle, że pozwalają im na przeciąg roku prosić o zamianę czynnej służby pod karabinem na stan rezerwistów zapasowych, wolnych od służby czynnej i ćwiczeń. Takie urządzenie stanowi wprawdzie istotną ulgę dla wielu kleryków, ale podaje właściwie drogę, jakby obejść ustawę, a nie uważa zawodu duchownego za stan święty, który nic nie ma wspólnego z koszarami i musztrą. Dlatego z katolickiego stanowiska trudno wydawać sąd przychylny o tych ustawach. Zawodowy znawca stosunków w jednem z duchownych seminaryów wyraża wytrawny swój sąd słowami: Ustawa i przepisy wojskowe są dla Kościoła i duchowieństwa o tyle nieprzychylne że zamiast uwolnić duchowieństwo zupełnie od służby wojskowej, utrzymują kleryków w zapasowej rezerwie aż do ostatnich święceń, a po święceniach w ewidencyi rezerwy; wskutek czego nakładają obowiązek zgłaszania się i podawania co roku (w grudniu) przepisanych próśb o utrzymanie ich nadal w owej rezerwie zapasowej. Trudności są większe w przyjmowaniu do seminaryum, bo liczba tych, których ze względów wojskowych przyjąć można, jest ograniczoną. Ustawa bowiem przyznaje prawo przeniesienia się do rezerwy zapasowej i uwolnienia od ćwiczeń wojskowych:

a) tym, którzy dopiero podczas pobytu w seminaryum zostali wzięci do wojska;

b) tym, którzy byli z najwyższej klasy gimnazyalnej wzięci do wojska albo na trzechletnią służbę, albo na jednorocznych ochotników, i zaraz po skończeniu gimnazyum zostali przyjęci do seminaryum, przed dniem, któregoby mieli stanąć pod bronią [1];

[1] Np. w marcu wzięty do wojska uczeń ósmej klasy gimnazyalnej ma wejść do koszar 1 października; do końca września może wstąpić do seminaryum i w drodze łaski zostać zapasowym żołnierzem.

c) tym, którzy wstępują do seminaryum po odbytej służbie wojskowej, czy to trzechletniej, czy jednorocznej jako ochotnicy.

Więc łaskawa zamiana obowiązków służby czynnej na obowiązki żołnierza zapasowego nie może spotkać tych, którzyby ze szóstej klasy zostali wzięci do wojska, albo którzyby po gimnazyum wstąpili z początku na inny wydział, a dopiero w parę miesięcy przeszli na teologię, albo którzyby zdali egzamin oficerski i dostali rangę.

Te wszystkie przepisy jednych nie dopuszczają do seminaryum, drugich wprawdzie dopuszczają, ale tylko z łaski; uchodzą w ustawie za *Begünstigung,* którą łatwo stracić. Aby ją zachować, trzeba w przeciągu czterech lat od skończonej teologii dostać posadę duchowną, albo przedstawić świadectwo, że teolog nadal zostaje kandydatem do stanu duchownego; przy tem wszystkiem trzeba co roku odnawiać w czas prośbę o ulgę, aby dalej wisieć na łasce w rezerwie zapasowej, a nie iść pod karabin. Prośba w czas podana zwykle odnosi skutek pożądany, ale może np. zginąć, jak niedawno zaszedł wypadek w Przemyślu nie wiadomo z czyjej winy; więc kleryk stracił prawo do łaski i dostał rozkaz, żeby szedł pod karabin. Gdyby nie był mógł złożyć dowodów, że na czas podał prośbę, byłby wypadł z łaski i musiał zwlec sutannę. Szczęściem konsystorz wystąpił wobec starostwa z dowodami, że przepisaną prośbę wysłano w swoim czasie, i klerykowi dano spokój.

Mogą także inne przygody z prośbami zachodzić, kiedy wpadną w ręce urzędników nie dość poradnych czy biegłych. Także w Przemyślu zaszedł wypadek, że były jednoroczny ochotnik w randze oficera rezerwy, wstąpił do seminaryum i wniósł prośbę o zamianę służby czynnej na zapasową. Nim dostał odpowiedź stanowczą, wpierw został jeszcze zapytany, czy składa rangę oficerską. Nie wiedział, do czego zmierza to pytanie, bo o nic podobnego nikt w poprzednich wypadkach kleryków nie wypytywał, więc tym razem oficer odpowiedział, że rangę pragnie zatrzymać. Na to dostał nakoniec odpowiedź, że jego prośbę odrzucono na mocy §. 44 książki B — 2, *Wehr-Vorschriften*, erster Theil, ustęp 3: „Offiziere, welche auf eine dieser Begünstigungen Anspruch haben, können nur dann in die Ersatzreserve übersetzt werden, wenn sie die Offiziers-Charge ablegen". Więc kleryk pisze do ministeryum wojny, aby oświadczyć, że składa rangę. Znowu dostał odmowną odpowiedź z uwagą, że rangi złożyć nie może, dopóki nie będzie przeniesionym do rezerwy zapasowej. Jeszcze raz oficer pisze do starostwa; donosi, że już nie pragnie zatrzymać rangi, że do ministerstwa kołatał

o degradacyę na prostego żołnierza, że dostał nadzieję, ale pierwej musi przejść do rezerwy zapasowej; więc prosi o tę łaskę. Starostwo powtórzyło odpowiedź odmowną. Starosta kazał sprawę załatwić z ministrem, a minister ze starostą. Wtedy konsystorz zebrał wszystkie odpowiedzi razem i przesłał do starostwa z prośbą o naukę, co ma kleryk począć, aby na tem błędnem kole nie dojechać pod karabin. Na podanie to przyszła przecie raz odpowiedź rozumna; oficer znalazł dostęp do obu łask: został zdegradowany i zapisany do rezerwy.

Inny jeszcze wypadek: Do seminaryum przemyskiego chciał wstąpić maturzysta, jeszcze ze 6-ej klasy gimnazyalnej wzięty do wojska, ale obowiązany odbyć służbę trzechletnią dopiero po maturze, na mocy tak zwanego prawa do zwłoki *(Aufschub des Praesenzdienstes)*. Jeden z paragrafów (B — 2, *Wehr-Vorschriften*, §. 45 d), postanawia, że przejść mogą z linii do zapasowych pułków ci, którzy zaczęli słuchać teologii 1-go października, to znaczy w dniu, w którym mieliby zaczynać służbę czynną *(zur Zeit der Einreihung, 1 October)*. Tyle mówi paragraf, na pozór jasny. Na tej podstawie maturzysta wniósł do starostwa prośbę o zamianę służby liniowej na zapasową. Prośba, wniesiona w odpowiednim czasie pozostawała długo bez odpowiedzi. Na 1 października maturzysta nie dostał rozkazu, żeby stawał pod broń; więc wstąpił do seminaryum i przebywał w niem spokojnie do końca przeszłego roku. Dopiero po Nowym Roku dostał rozkaz, żeby 4-go stycznia stanął przed komendą wojskową w Nowym Sączu do służby czynnej; sutannę zwlókł, wyjechał natychmiast i obecnie służy jako szeregowiec. Podobno nie będzie sposobu wybawić kleryka od trzechletniej służby, bo według ustawy można tak tłumaczyć prawo zwłoki *(Aufschub des Praesenzdienstes)*, jakoby pozbawiało prawa do zamiany służby liniowej na zapasową. W takim razie powinnoby starostwo na czas odpowiadać na prośbę, a nie dopuszczać, żeby seminaryum przyjmowało kleryka, a potem musiało go odsyłać do koszar.

W Krakowie także zaszło kilka przykrych wypadków: o jednym z nich przemawiał w Radzie Państwa poseł Popowski na dowód, że ustawa wojskowa potrzebuje naprawy. Maturzysta Padykuła wstąpił w Krakowie na wszechnicę i uczęszczał na wykłady podobno prawa przez kilkanaście dni, nim po ostatecznym namyśle przeszedł na wydział teologiczny. Tych kilkanaście godzin wykładów prawa okupił drogo, bo nie od 1-go października, tylko dopiero od pierwszych dni listopada należał do seminaryum; więc stracił prawo do prośby o zamianę służby czynnej na zapasową. Mimo to wniósł prośbę do rzeszow-

skiej komendy i przedstawiał, że parę tygodni różnicy, choć tyle znaczy wobec litery prawa, przecie nie powinno nic znaczyć dla władz wojskowych, jeżeli zechcą rozważyć ducha ustawy. Tę prośbę komenda wojskowa odrzuciła. Poszedł rekurs do namiestnictwa, które potwierdziło, że w tym wypadku spornym władze wojskowe dobrze rozumieją ustawę i dobrze ją stosują. Poszedł rekurs do ministeryum i także nic nie sprawił. Poszła nakoniec prośba do samego cesarza, znalazła gorliwego rzecznika w pośle Popowskim, który przedstawiał, że jeżeli kiedy, to w takim wypadku monarsze chlubę przyniesie ułaskawienie kleryka od tej winy, że o parę tygodni za późno podał władzom przepisaną prośbę. Cesarz posłowi nie odmówił wielkiej sygnatury, to znaczy, polecił władzom wojskowym rozstrzygnąć sprawę po myśli kleryka. Te wszystkie zachody zajęły dwa lata czasu, w przeciągu których kleryk ze znakomitym postępem odbywał nauki i dostał niższe święcenia. Wielka sygnatura cesarska sprawiła to, że ministeryum jeszcze raz rozpatrzyło sprawę, ale orzekło, że jej rozstrzygać nie może samo, niech namiestnictwo ją załatwi. Do namiestnictwa sprawa napowrót odesłana zaległa... i nastała cisza głęboka. Poseł Popowski żąda od ministeryum odpowiedzi, minister od namiestnika, namiestnictwo odpowiada, że nie wie, gdzie ów Padykuła przebywa, i koniec końcem kleryk z trzeciego roku seminaryum, z tonzurą poszedł nosić karabin. — W tem samem seminaryum Fr. Trzeciak, obecnie słuchacz trzeciego roku, musi iść do koszar od 1-go października, z tego samego powodu, co poprzedni. — W Czechach kleryk Franta, słuchacz teologii *Collegium Romanum*, został powołany do służby czynnej, i mimo dzielnej obrony, musiał ją odbyć w Budziejowicach.

Wypadki takiego rodzaju nie zdarzają się ani w rosyjskiem cesarstwie, ani w niemieckiem; tam ustawa zupełnie uwalnia od służby seminarzystę, jak długo nie rzuca stanu duchownego. Czasby już był, żeby i u nas zmieniono ustawę wojskową w katolickim duchu, tak, żeby każdy mógł wstąpić do seminaryum bez względu na to, czy służy przy wojsku, czy dopiero ma służyć na mocy owego prawa do zwłoki, czy posiada patent oficerski i t. d. Sam pobyt w seminaryum na nauce i nabywaniu ducha kapłańskiego powinienby wystarczyć, żeby kleryka, jakkolwiekbądź przynależnego do wojska, uwolnić od wszelkich obowiązków, przynajmniej czynnej służby, a wyższe święcenia powinnyby zerwać wszelkie związki z wojskiem.

Nieraz już zabierano głos w tej sprawie, dotychczas jednak bez skutku. Widocznie potrzeba większej powagi i mocniejszej dźwigni, a ta

niezawodnie dokaże upragnionego dzieła i wystąpi w porze właściwej. Świeżo uczciliśmy ją, kiedy z apostolską mocą słowa wystąpiło grono biskupów austryackiej monarchii z listem zbiorowym i zachętą do walki o Królestwo boże. Z wszelką otuchą oczekiwać należy chwili, kiedy ta sama powaga wniesie zbiorową odezwę do rządu, i wezwie go, żeby podał od siebie projekt noweli w duchu zgodnym z potrzebą katolickich narodów, rządzonych berłem habsburskiem.

Sprawozdanie kasowe Związku Afrykańskiego we Wiedniu.

Młody Związek Afrykański, z główną siedzibą we Wiedniu, niedawno powołany do życia celem wykupu niewolników i popierania katolickich misyj w Afryce, rozwija się coraz pomyślniej. Leży przed nami ostatnie sprawozdanie zarządu przedstawiające stan majątkowy Związku, na podstawie zamknięcia kasowego za rok 1896. Dochody wynosiły w tym roku sumę 20.990 złr. 91 ct., która powstała prawie wyłącznie drogą składek i dobrowolnych ofiar. Przeważna część datków wpłynęła do wydziału za pośrednictwem ordynaryatów biskupich. Najwyższą pozycyę zajmuje w sprawozdaniu dyecezya Königgrätz (2.196 złr. 66 ct.); po niej idzie Wiedeń (2.167 złr. 74 ct.), Seckau (1.240 złr.), St. Pölten (1.174 złr.), Gurck (539 złr. 43 ct.), Lublana (531 złr. $93^1/_2$ ct.) i t. d. Z galicyjskich dyecezyi wymienioną jest w sprawozdaniu archidyecezya lwowska obrz. łać. (362 złr. 61 ct.).

Suma wydatków rocznych wynosi w sprawozdaniu 20.181 złr. 39 ct. Jeśli odtrącimy od tego 502 złr. 89 ct., które obrócono częścią na spłacenie należytości legatu, częścią na drobne wydatki prasowe, administracyjne i t. d., pozostaje kwota 19.678 złr. 50 ct., którą wydano na cele wyłącznie misyjne. Między innemi misye w centralnej Afryce otrzymały zasiłek 7.500 złr., jezuickie misye nad Zambezą 500 złr., misye Franciszkanów w górnym Egipcie 1.650 złr., Biali Ojcowie 500 złr., patryarchat koptyjski w Aleksandryi 500 złr. i t. d.

Razem ze sprawozdaniem otrzymała Redakcya *Przeglądu* następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

> Maryański Związek Afrykański z główną siedzibą we Wiedniu mający za zadanie wedle § 2 swoich statutów, popieranie misyj katolickich w Afryce i wykupowanie niewolników, w ciągu roku 1896 był w tem szczęśliwem położeniu, że na te cele mógł wydać okrągłą sumę

20.000 złr. Do słów serdecznej podzięki za dotychczasowe ofiary, dołącza on prośbę o dalsze popieranie swych religijno-humanitarnych usiłowań.

Wiedeń 17 marca 1897.

Za Wydział Centralny Związku

Radca dworu dr. Fr. Pölzl

wiceprezes.

Przyczynek do artykułu o Mironie Costinie.

Już po wydrukowaniu artykułu o Costinie [1] doszła mnie wiadomość, że polski poemat tego rumuńskiego pisarza, wydany z rękopisu nie tak dawno przez bukareszteńską Akademię Umiejętności, pojawił się po raz pierwszy w druku znacznie pierwej, bo przed laty czterdziestu, co prawda tam, gdzie się najmniej mogłem spodziewać, w dziełach Józefa Dunina hr. Borkowskiego. Czyni o tem wzmiankę i Jabłonowski w „Źródłach dziejowych“ (tom X, „Sprawy wołoskie za Jagiellonów“, str. CLIV., gdzie też wspomina o publikacyi L. Rogalskiego), ale ta wzmianka uszła mojej uwagi.

J. Borkowski przygotowywał do druku „Opisanie ziemi Mołdawskiej“ Costina i miał zamiar wydać je z odpowiednim komentarzem. Plan ten niestety nie doszedł do skutku; poemat znaleziony w pośmiertnych papierach zmarłego ogłoszono bez żadnych uwag i objaśnień we Lwowie w r. 1856. Znajduje się on w pierwszym tomie dzieł hr. Borkowskiego na str. 239—274. Tekst lwowskiego wydania nie we wszystkiem się zgadza ze znanym mi rękopisem (prawdopodobnie oryginalnym) poematu, skutkiem czego wiersz staje się nieraz ciemny i niejasny. Błędnie też wydrukowano datę pod koniec przedmowy Mirona: „w Daszowie *ex domo venationis*“ i t. d. Rękopis w bibl. Czartoryskich pisze wyraźnie „w Daszawie“, a że nie zachodzi tu żadna pomyłka, dowodem cytowane przezemnie [2] listy Costina (przechowywane w Krzeszowicach w t. zw. archiwum Szczuki), w których sam poeta miejsce swego pobytu Daszawą, a nie Daszowem nazywa.

Wiktor Wiecki.

[1] Por. *Przegląd Powszechny:* 1897, luty, str. 145; marzec, str. 360.

[2] Por. *Przegląd Powszechny:* 1897, marzec, str. 379 w przypisku.

Druk ukończony 31 marca 1897 r.

RELIGIA PRZY EGZAMINIE DOJRZAŁOŚCI.

I.

Od samego prawie początku ery konstytucyjnej w Austryi kiedy na podstawie zarysu organizacyjnego szkoły średnie otrzymały nowy ustrój i urządzenie, zastosowane do wzmagających się potrzeb czasu, wprowadzono u końca nauk szkolnych t. zw. egzamin dojrzałości, a przy nim też religię na pierwszem miejscu, jako przedmiot obowiązkowy. Odnośne przepisy mieszczą się w samym zarysie organizacyjnym, a w szczególności w rozporządzeniu ministerstwa wyznań i oświaty z dnia 1 lutego 1852 r. l. 1373, zawierającem normy dla odbywania egzaminu dojrzałości, gdzie w punkcie 5-ym, lit. b.[1] wyraźnie zamieszczony jest egzamin z nauki religii jako przedmiotu, obowiązującego wszystkich uczniów katolickich, którzy się poddają egzaminowi dojrzałości. Długi odtąd szereg lat upłynął, a nikomu nie przyszło na myśl podawać w wątpliwość korzyści tego zarządzenia, nikt też nie skarżył się na przeciążenie uczniów z tego tytułu. Dopiero niepodzielnemu panowaniu ery liberalnej w ustawodawstwie austryackiem przypadła w udziale chwała i zasługa zniesienia tego przepisu. Zaraz na świtaniu tej ery pojawiła się w prasie liberalnej, a przez jej wpływy w ciałach ustawodawczych, akcya wroga instytucyom Kościoła katolickiego. Wnet po wprowadzeniu w r. 1868 ustaw zasadniczych, także w sprawach między-

[1] Marenzeller, *Normalien*, nr. 236, str. 319.

wyznaniowych, przeciwnych zupełnie duchowi konkordatu, zawartego r. 1855 między rządem austryackim a Stolicą apostolską, zwłaszcza zaś od r. 1870, kiedy konkordat ów urzędownie wypowiedziano i wszystkie jego postanowienia, przynajmniej teoretycznie, usunięto, rozpoczęły się pod wpływem tego prądu antykatolickiego gorliwe starania o usunięcie resztek wpływu katolickiego Kościoła i znaczenia religii katolickiej z dziedziny szkolnictwa. Na życzenie urzędowe jednego (i jedynego) z liberalnych gimnazyów wiedeńskich [1], w którem przedłożono cały szereg przeobrażeń nauki religii i usunięcia praktyk religijnych ze szkoły wyzwolonej i odnowionej w duchu liberalnym, przyobiecał p. Stremayr, ówczesny minister wyznań i wychowania, zająć się gorliwie tą sprawą. Jakoż rychło dotrzymał obietnicy. W tymże roku, 1870, zwołał do Wiednia t. zw. ankietę gimnazyalną, której przekonania i tendencye odzwierciedliły się jaskrawo w takich np. uchwałach: „że nauka religii w gimnazyum wyższem ograniczyć się winna na etykę chrześcijańską; że zajmować ma jedną tylko godzinę w tygodniu; że nie ma należeć do przedmiotów egzaminu dojrzałości“ [2]. Zbyt jawną jest dążność i nadto wyraźne ostrze tych uchwał, by się nad ich znaczeniem i tendencyą bliżej zastanawiać. Uważano je już wówczas, gdy je poufnie powzięto, za tak jaskrawe i wprost obrażające uczucia katolickie, że mimo naporu ze strony prasy liberalnej lękano się poddać je dyskusyi publicznej w Radzie państwa, jak to pierwotnie zamierzono.

Zawiedziony w nadziejach i pozbawiony przyjemności ze spodziewanych uchwał w pełnej Izbie, usiłował liberalizm powetować sobie ten zawód w inny sposób i na innej drodze, równie dobrze wiodącej do celu. Na religię i katolickie praktyki szkolne poczęły spadać liczne cięgi, jawne i ukryte, w drodze rozporządzeń administracyjnych. W tym samym zaraz roku rozporządzeniem ministeryalnem z dnia 21 grudnia 1870, l. 11788

---

[1] Patrz Marenzeller, *Normalien*, nr. 35, str. 70.

[2] Ks. dr. J. Bukowski zwrócił swego czasu uwagę na dążności owej ankiety w broszurze: „Słowo o ankiecie gimnazyalnej“. Kraków, 1870.

zmniejszono w VIII. klasie gimnazyalnej liczbę godzin[1], przeznaczonych na naukę historyi kościelnej, przedtem jeszcze rozporządzeniem ministeryalnem z dnia 5 kwietnia, l. 2916[2] zredukowano liczbę obowiązkowego przystępowania młodzieży do św. sakramentów na 3 razy do roku, przyczem jednak określono tę liczbę jako minimalną; za niemi poszło w tymże roku niemniej głośne rozporządzenie o rekolekcyach[3], w którem wspaniałomyślnie dozwolono katechecie, któryby już „koniecznie pragnął" odbyć je z uczniami, zabawić się tem p o g o d z i n a c h s z k o l n y c h w pierwszych dwóch dniach Wielkiego Tygodnia. Teraz dopiero po tej wstępnej uwerturze, przyszła kolej na religię przy egzaminie dojrzałości. Rozporządzeniem ministeryalnem z dnia 18 czerwca 1878 r., l. 9645, punkt 5, przy nowszem unormowaniu egzaminu dojrzałości, usunięto ją zupełnie z pośród przedmiotów tego egzaminu, stopień zaś w świadectwie egzaminu dojrzałości miał być odtąd oceniony podobnie, jak z propedeutyki filozoficznej i historyi naturalnej![4] W trzy lata później zmieniono w drobnym szczególe sposób wymierzania cenzury z tego przedmiotu w świadectwie egzaminu dojrzałości; mianowicie rozporządzeniem ministeryalnem z dnia 10 czerwca 1881r., l. 7834[5] określono bliżej, że odmiennie od poprzedniego przepisu cenzurę tę należy wymierzać przeciętnie z postępów w czterech wyższych klasach gimnazyalnych. Ta norma jest też dotąd obowiązująca, a dobiega już kresu drugiego dziesiątka lat. Dodać jeszcze należy, że w końcowym ustępie tego rozporządzenia ministeryalnego czyta się wielce interesujące polecenie dla krajowych władz szkolnych: *Ueber den in der Praxis sich herausstellenden Erfolg dieser Neuerung ersuche ich ..... seinerzeit anher Bericht zu erstatten.*

Czy gdzie i kiedy która z krajowych władz szkolnych zastosowała się do tej wskazówki, trudno odgadnąć, bo dni w dru-

---

[1] Marenzeller, l. c., nr. 36, str. 72. [2] Tenże, l. c., nr. 34, str. 69.

[3] Nie bardzo nawet rozumiano w tych czasach i u nas i we Wiedniu, czem są właściwie rekolekcye. Nazywano je raz „ćwiczeniami pasyjnemi", to znowu *Andachtsübungen* i t. d.

[4] Marenzeller, l. c., nr. 259, str. 345.

[5] Marenzeller, l. c., nr. 265 b., str. 353,

kowanych sprawozdaniach Rady szkolnej krajowej, ani w zbiorach urzędowych ministerstwa wyznań i oświaty nie znajduje się żadnej w tym kierunku wzmianki. Przypuszczać jednak trzeba, że się to dotąd nie praktykowało, w przeciwnym bowiem wypadku niechybnie spodziewaćby się należało, że krajowe władze szkolne musiały sumiennie informować ministerstwo o rzeczywistym stanie rzeczy, a ministerstwo powiadomione urzędowo, jak niedobre skutki wydała owa nowość w praktyce szkolnej, dawno już powinnoby było odnośne rozporządzenie usunąć z zakresu urzędowych przepisów obowiązujących.

Co się jednak nie stało w drodze urzędowej, to zastąpiła samodzielną inicyatywą prywatną gorliwość sfer katolickich. Od samego początku, odkąd ta „nowość“ weszła na widnokrąg przepisów szkolnych, nie brakło u nas ludzi, którzy słowem i piórem poruszali tę sprawę, choćby w sposób tylko akademicki, bez nadziei natychmiastowego powodzenia, lecz jedynie dlatego, by spełnić *officium boni viri*, a kwestyę nader doniosłą i żywotną zabezpieczyć przynajmniej przed następstwami przedawnienia. Nie mam zamiaru kusić się na tem miejscu o rekapitulacyę artykułów, poświęconych znaczeniu i potrzebie religii przy egzaminie dojrzałości, a rozrzuconych luźnie po przeróżnych pismach fachowych i niefachowych; niepodobna też, nawet przy całej pilności i najlepszej chęci, zebrać w jedną całość owych rozlicznych głosów, które się w tej sprawie odzywały, choćby tylko na zgromadzeniach nauczycielskich, pedagogicznych, katechetycznych. Chcę tylko uwzględnić wybitniejsze momenta z dziejów tej sprawy w ostatnim jej okresie, tj. w latach 1889—1897, w tym bowiem czasie usiłowania katolickie, przedtem luźne i rozstrzelone poczęły się skupiać, czego następstwem była na większe podjęta rozmiary akcya zbiorowa, nabierająca z dniem każdym coraz donioślejszego znaczenia i obejmująca coraz większe koła jużto wśród kleru, jużto wśród sfer nauczycielskich, jużto wreszcie w szerokich warstwach katolickiego społeczeństwa.

Pierwsze solidarne wystąpienie w sprawie przywrócenia religii przy maturze, które rozpoczęło cały szereg kroków, podjętych następnie na szerszą skalę nietylko w Galicyi, ale i w in-

nych prowincyach monarchii, jest zasługą lwowskich katechetów szkół średnich. W roku 1889 odnieśli się oni w zbiorowej petycyi do łać. konsystorza metropolitalnego we Lwowie z prośbą o pośrednictwo u naczelnych władz szkolnych w sprawie usunięcia wad i usterek, tamujących prawidłowy rozwój wychowania religijnego młodzieży w szkołach średnich, przyczem w pierwszym rzędzie należny położyli nacisk na szkodliwe następstwa, jakie sprowadziło za sobą wykluczenie religii z szeregu przedmiotów egzaminu dojrzałości. Za tą pierwszą zbiorową petycyą lwowską, poszły zapewne i inne, skoro niebawem sprawą religii przy maturze zajęła się ogólna konferencya biskupów austryackich we Wiedniu, a w szczególności referent wybranego przez nią komitetu dla spraw szkolnych, ks. biskup przemyski, Łukasz Solecki, uproszony do tej pracy jako dawniejszy katecheta i długoletni niegdyś członek duchowny c. k. krajowej Rady szkolnej we Lwowie, tem samem obeznany z potrzebami i niedostatkami wychowania religijnego w szkołach średnich. Rezultatem prac komitetu biskupów była uchwała, powzięta na III. posiedzeniu wiosennem, odbytem dnia 11 marca 1891 r. we Wiedniu, której punkt 3 i 4 tak opiewa: Przedmiot nauki religii ma być włączony w egzamin dojrzałości. Wskutek tego ma nauczyciel religii cenzurę ze swego przedmiotu podać do świadectwa dojrzałości i następnie je podpisać“ [1]. Świadczy to wymownie, że podobne jak u nas stosunki, wskutek wykluczenia religii od egzaminu dojrzałości, okazały się także w innych prowincyach [2], skoro cały komitet jednogłośnie owe uchwały powziął a wspomnianego swego referenta uprosił o wniesienie w tym przedmiocie przedstawienia do ministerstwa wyznań i oświaty, „o ile nie da się przytem uniknąć państwowej ingerencyi lub o ile jej potrzeba się okaże“ [3]. Co się stało z tą uchwałą i dlaczego dotąd niezałatwiona zalega w ministerstwie, napróżnoby przyszło odgadywać.

[1] Zoeller, *Die Reform des Religionsunterrichtes*. Troppau, 1891. Str. 58.

[2] Powołać się w tym względzie można na oświadczenie ks. d-ra Kerstgensa z Freistadt, cytowane w wspomnianej broszurze na str. 11.

[3] L. c., str. 59.

Wprawdzie niedługo potem, jakby w odpowiedzi na ten głos episkopatu, wydała galicyjska Rada szkolna krajowa dnia 1 grudnia 1892 r., l. 16263, okólnik do wszystkich dyrektorów c. k. gimnazyów, wszelako okólnik ten, jedyny zresztą od chwili usunięcia religii od egzaminu dojrzałości akt urzędowy, odnoszący się pośrednio do egzaminu z religii przy maturze, nie zmierza wprost i bezpośrednio do naprawienia szkody, wyrządzonej samej religii w wykształceniu i wychowaniu religijnem młodzieży szkół średnich, ale tylko pośrednio usiłuje ratować obniżoną przez owo rozporządzenie ministeryalne powagę i stanowisko katechety wobec grona nauczycielskiego i młodzieży szkolnej. Podaje w nim bowiem Rada szkolna „do wiadomości p. dyrektora i grona nauczycielskiego, że w myśl obowiązujących przepisów obecność ks. katechety podczas egzaminu dojrzałości jest nietylko dozwolona, ale nawet bardzo pożądana; również na zasadzie §. 85, al. 5 ‚Zarysu organizacyjnego' może ks. katecheta w ciągu dyskusyi na konferencyi klasyfikacyjnej zdanie swe o abituryentach wypowiadać i podpisuje świadectwo dojrzałości". Jest w tym okólniku bezsprzecznie najlepsza wola i szczera intencya częściowego choćby naprawienia złego o tyle, o ile na to zakres działania władzy szkolnej krajowej pozwala, lecz właśnie dlatego, że to zarządzenie tylko częściowo skutki wyższego zarządzenia usuwa, jest tylko paliatywą, środkiem połowicznym, nie wiodącym wprost do celu ani nie usuwającym złego w samej zasadzie i przyczynie. Że zaś ma na względzie tylko stanowisko katechetów, a nie, o co głównie chodzi, samą zasadę i powagę religii, którą oni w zakładzie reprezentują, wątpię bardzo, czy wielu katechetów korzystało z tego uwzględnienia. O ile mi wiadomo, zastanawiano się również w sekcyi krajowej Rady szkolnej nad merytorycznem załatwieniem tej sprawy, wszelako bez skutku pożądanego, gdyż punktem widzenia, z którego rozpatrywano sprawę religii przy egzaminie dojrzałości, była tylko obawa o dalsze obarczenie młodzieży, nie zaś stanowisko, jedynie w tej sprawie decydujące, tj. szczerze katolickie, z któregoby można łatwiej objąć dalsze widnokręgi, jakie ta sprawa przez się przedstawia.

Po publicznem odezwaniu się biskupów nie zabrakło także innych głosów i szerszej akcyi[1]. Ledwo pierwszy w Galicyi wiec katolicki doszedł do skutku w Krakowie 1893 r., zaraz na drugiem posiedzeniu jego sekcyi szkolnej dnia 6 lipca poruszono sprawę religii przy egzaminie dojrzałości. Omawiał tę rzecz dr. Feliks Koneczny w znakomitym referacie p. t. „W sprawie religijnego wychowania młodzieży w szkołach średnich“. Mówiąc o wadliwym planie nauki religii, zaznaczył dobitnie, że przedewszystkiem jedna jest rzecz do zrobienia, a mianowicie „upomnieć się trzeba u władz o ciężką krzywdę religii, jako przedmiotu szkolnego. Wykluczenie religii od matury jest lekceważeniem jej sobie, że tak powiem, z urzędu; i jakżesz się tu dziwić, że także uczniowie pozwalają ją sobie lekceważyć? Ta sprawa jest tak jasną i zrozumiałą, że obszerniejsze jej umotywowanie jest zgoła zbytecznem i dlatego przystępuję od razu do rezolucyi: Przywrócenie przy maturze egzaminu z religii jest niezbędnym warunkiem osiągnięcia celów nauki religii w szkole średniej“[2]. Poparł go wówczas dr. Krotoski i w dyskusyi nad powyższym referatem rozwiniętej wprost zatwierdził, że wykluczenie religii od matury jest nietylko „szkodliwe dla młodzieży, lecz wogóle obelgą dla katolicyzmu, tem dotkliwszą dla społeczeństwa katolickiego, jeżeli zważymy, że protestanckie Prusy tak wielką wagę na ten przedmiot kładą. O usunięcie zatem tak potwornej anomalii w państwie katolickiem, którą, jak tyle anomalij w Austryi, liberalizmowi zawdzięczamy, wszelkiemi siłami starać się winniśmy. Stosunki u nas pod niejednym względem dziwne zaprawdę robią wrażenie na każdym, kto się z nimi nie zrósł i do nich nie przyzwyczaił. Z jednej strony decydujące czynniki w ostatnich czasach zaczynają katolicyzmowi liczniej palić świeczki, z drugiej strony przy każdej sposobności

---

[1] Mimochodem niech mi będzie wolno powołać się tu również na moją rozprawkę p. t. „Kilka uwag o religijnem wychowaniu młodzieży szkolnej“, drukowaną pod wpływem uchwał komitetu w *Przeglądzie Powszechnym*, t. XXXV, r. 1892.

[2] „Księga pamiątkowa wiecu katolickiego“. Kraków. 1893. Str. 304.

podsycają kagańce od lat kilkudziesięciu płonące na cześć liberalizmu. A przecież między wierzącym katolicyzmem a bezwyznaniowym liberalizmem jest przepaść, której nigdy nic wyrównać nie zdoła. Dlatego też system nasz wychowawczy, starający się obu tym kontrastom zadośćuczynić, jest z natury swej połowiczny, dwulicowy, nienaturalny“ [1].

W następnym roku stała się sprawa egzaminu z religii przy maturze przedmiotem narady w Kole krakowskiem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Podniósł ją tam przy sposobności referatu ks. d-ra Bukowskiego „O reformie nauki religii w szkołach średnich“ na posiedzeniu dnia 13 paźdz. 1894 r. ks. katecheta Jeż w samoistnym wniosku: „Koło podziela przekonanie, że przywrócenie egzaminu z religii przy egzaminie dojrzałości w szkołach średnich jest rzeczą pożądaną“. Po bardzo ożywionej dyskusyi, w której wyłoniły się nawet drobniejszej wagi zarzuty i wnioski za odroczeniem tej sprawy, ażby mogła być jeszcze gruntowniej rozpatrzoną łącznie z myślą reformy tak nauki religii, jak i całego egzaminu dojrzałości, przyjęto w końcu wniosek ks. Jeża znaczną większością głosów; poczem na posiedzeniu następnem dnia 24 listopada t. r. przedłożył dr. Rotter wniosek następujący: „Wniosek ks. Jeża (wyżej przytoczony) zgromadzenie przekazuje zarządowi z poleceniem oddania go komisyi *ad hoc* wybrać się mającej w celu opracowania projektu reformy egzaminów dojrzałości“ [2]. Wprawdzie zgromadzenie uchwaliło natychmiast ten wniosek po uzasadnieniu go przez wnioskodawcę; czy jednak zarząd zajął się tą sprawą, czy uchwałę wykonał, czy komisyę wybrał, czy ta jakiś projekt reformy opracowała, dotychczas nic o tem wszystkiem nie wiadomo.

Więcej nierównie posunął rzecz naprzód pierwszy zjazd katechetów. Od dawna pożądany nietylko przez katechetów, ale też przez wszystkich, którym sprawa wychowania religijnego i ożywienia nauki religii w szkołach wszystkich kategoryj leżała na sercu, owszem umieszczony nawet w szeregu życzeń, wyrażonych na I. wiecu katolickim (dr. Krotoski), skoro

[1] Patrz ibid., str. 333. [2] *Muzeum*, r. 1895, str. 48 i nast.

tylko zjazd ten doszedł do skutku w Krakowie w dniach 27, 28 i 29 sierpnia 1895 r., zaraz zajął się między innemi także sprawą egzaminu z religii przy maturze, a zajął się tak żywo i serdecznie, że aż dwu referentów poświęciło jej szczegółową uwagę. Pierwszy z nich, ks. dr. Drozd, poruszył ten temat mimochodem w toku referatu o stanie nauki religii w gimnazyum wyższem, gdy zastanawiając się nad przyczyną obojętności religijnej i demoralizacyi pośród młodzieży, doszedł do wniosku, że należy jej szukać przeważnie w usunięciu wpływu Kościoła na wychowanie, a w szeregu rezolucyj na tem tle osnutych i tę uczynił: „Domagać się należy usilnie przywrócenia religii do egzaminu dojrzałości“ [1]. Drugi z referentów ks. dr. Galant, poświęcił swój referat *ex professo* wykazaniu potrzeby przywrócenia egzaminu z nauki religii przy egzaminie dojrzałości, zajął się merytoryczną stroną tej sprawy, a nawet poruszył kwestyę, czego należy wymagać z religii przy tym egzaminie [2]. Wobec tego, że każdy z obecnych tam katechetów miał już co do potrzeby tego egzaminu zdanie wyrobione i uzasadnione, przyjęto prawie bez dyskusyi i jednomyślnie rezolucyę, że ze względu na dobro młodzieży, na powagę przedmiotu, na potrzebę podniesienia nauki religii i wychowania religijnego:

„Pierwszy wiec księży katechetów oświadcza się stanowczo za przywróceniem egzaminu z nauki religii przy egzaminie dojrzałości i trzeciej godziny dla nauki religii w VIII. klasie“.

Zarazem uchwalono starać się jak najusilniej u wysokich władz o przywrócenie tegoż egzaminu i w tym celu odpowiednie poczynić kroki, a mianowicie poruczyć tę sprawę wraz z innemi rezolucyami wybranej *ad hoc* komisyi, któraby na właściwej drodze postarała się o zrealizowanie wyrażonych na zjeździe potrzeb i życzeń.

Dłuższą natomiast dyskusyę wywołała druga część rezolucyi referenta co do przedmiotu egzaminu z religii przy maturze, a po żywej wymianie zdań i wywodach referenta uchwalono,

---

[1] „Pamiętnik I. Zjazdu ks. Katechetów“. Kraków 1896. Str. 30.
[2] Tamże, str. 86—93.

aby bliższe określenie materyału egzaminacyjnego pozostawić specyalnej instrukcyi, którąby mieli wydać księża biskupi, na podstawie ankiety *ad hoc* utworzonej z duchownych, mających w tym kierunku fachowe doświadczenie.

Wykonując powyższą uchwałę odniosła się komisya wybrana na zjeździe, a złożona z lwowskich księży katechetów, po wyczerpujących naradach z innymi kolegami, na początku roku szkolnego 1896/7 za pośrednictwem wszystkich ordynaryatów ob. łać. i gr. do wys. c. k. Rady Szk. krajowej z przedstawieniem, obok innych spraw, także nieodzownej potrzeby ponownego wprowadzenia przedmiotu z nauki religii do egzaminu dojrzałości.

Spełniając ten mandat, zlecony sobie przez ogół katechetów, zebranych na zjeździe w Krakowie, miała nadto komisya dla tej sprawy jedną jeszcze poważną a stanowczą uchwałę. Krótko przedtem odbył się był dn. 7, 8 i 9 czerwca 1896 r. II. wiec katolicki we Lwowie. I na tym, równie jak na wiecu krakowskim, poświęcono egzaminowi z religii przy maturze szczegółową uwagę w sekcyi szkolnej. Na podstawie referatu dyrektora seminaryum żeńskiego we Lwowie, Mieczysława Baranoskiego („W sprawie nauki religii w szkołach wszelkiej kategoryi i służbowego stanowiska katechetów"), przyjęto za powszechną zgodą szereg rezolucyj, z których druga z rzędu opiewa:

„W interesie religijnego wychowania młodzieży i należnej czci, którą nauka religii powinna posiadać, powinna także nauka religii, i to na pierwszem miejscu, być przedmiotem egzaminu dojrzałości w tych zakładach, w których takie egzamina istnieją" [1].

Uchwała ta, jak nadmieniłem, zapadła jednomyślnie, gdyż nawet jedyny oponent przeciw tej rezolucyi, dr. Mańkowski, jakkolwiek usiłował wymownie i obszernie uzasadnić swoje w tej sprawie zapatrywanie odmienne, nie występował, jak wyznał, przeciw samej zasadzie, owszem uznał zupełną jej słuszność, a tylko z rzeczowego i osobistego stanowiska, jako przeciwnik egzaminu dojrzałości w tej formie i tym zakresie, jak się obecnie

[1] „Rezolucye uchwalone na II. wiecu katolickim". Lwów 1896, str. 33.

odbywa, wyrażał obawę, by przydanie jednego przedmiotu więcej do tego egzaminu, nie powiększyło trudności, z jakiemi młodzież szkolna już obecnie walczyć musi przy maturycznym egzaminie z powodu nadmiernego, jak utrzymywał, obarczenia szczegółami pamięciowymi.

Analogiczny zupełnie z powyższym wniosek przygotowany jest również na najbliższy II. zjazd katechetów, odbyć się mający we Lwowie przy końcu sierpnia b. r.

Zgodnie z brzmieniem i dążnością tej rezolucyi, jakoteż wszystkich analogicznych uchwał i wniosków, powziętych bądź na poprzednich wiecach, zjazdach i zgromadzeniach, bądź poruszonych w fachowych czasopismach i prywatnych rozprawach, postanowiła komisya, wybrana do wykonania i wprowadzenia w życie uchwał II. wiecu kat., odnieść się we właściwej drodze do kompetentnych władz i ciał ustawodawczych. W szczególności zamierza ona zwrócić się w pierwszym rzędzie do reprezentacyi krajowej w sejmie i do c. k. Rady szkolnej krajowej, z przedstawieniem nieodzownej potrzeby i z prośbą o wyjednanie w ministerstwie wyznań i oświaty co rychlejszego przywrócenia religii, jako przedmiotu nauki obowiązkowej, przy egzaminie dojrzałości w galicyjskich szkołach średnich [1].

II.

Często można słyszeć ludzi, najlepszej zresztą woli, stawiających pytanie, dlaczego ze sprawy religii przy maturze robi się rzecz tak doniosłą, i dla jakich powodów żąda się tak energicznie przywrócenia tego egzaminu.

Myślę, że te powody są dość jasne i przekonywujące.

Przedewszystkiem wychodzę z przekonania, że przywrócenie egzaminu maturycznego z religii jest postulatem prostej sprawiedliwości. Kiedy przed laty dwudziestu religię z tego egzaminu usunięto, wyświadczono religii i Kościołowi prawdziwą

[1] Na jej to życzenie podjąłem się niniejszej pracy, by mogła służyć za substrat i informacyę także dla sfer, stojących zdala od spraw szkolnictwa średniego, a przeto niedość dokładnie obznajomionych z przebiegiem tej kwestyi i ewolucyami, jakie dotychczas przebyła.

i rzeczywistą krzywdę. Nikt ani przedtem ani potem nie słyszał żadnego zażalenia ni sprawozdania urzędowego, które jeśliby już nie usprawiedliwiło tak surowego wyroku, toby go przynajmniej jakoś od biedy upozorowało; żadnej też nigdzie nie wdrożono akcyi, którąby złe, jeśli się jakie okazało przy nauce religii, usiłowała naprawić, a dopiero po próbie nieudałej, uzasadniła przynajmniej *pro foro externo* odrzucenie jej jako niepotrzebnego, przestarzałego i nie dającego się więcej naprawić zabytku. Nawet pod względem prawnym przedstawia się to zarządzenie jako niesłuszne i samowolne. Wszak wedle art. XVII. ustawy państwowej zasadniczej z r. 1867, „staranie o naukę religii w szkołach publicznych jest rzeczą dotyczącego Kościoła lub społeczności religijnej". W państwie naszem głosi się urzędownie, że biskupi, jako rządcy poszczególnych dyecezyj, mają sobie zapewniony dostateczny wpływ na sprawy religijne. A przecież wydano owo zarządzenie bez żadnego porozumienia z biskupami, a władza państwowa, której co do sprawy wychowania i oświaty przypada, co prawda, naczelne kierownictwo i nadzór, nie zapytała wprzód, przed ogłoszeniem tego reskryptu, o zdanie kompetentnych w tym względzie czynników i naczelników duchownych, i bez ich wiedzy, wbrew ich woli, życzeniu i uznaniu, wydała jednostronnie zarządzenie wnikające w istotne zadanie religii w obrębie szkół średnich. A nikt chyba nie zechce osłaniać tego zarządzenia wyższymi względami dydaktyki ani nie podejmie się próby wmówienia w nieświadomych rzeczy, że reskrypt odnośny miał na względzie częściowe zreformowanie i złagodzenie egzaminu dojrzałości, a religia musiała przytem dzielić los z innymi przedmiotami, z których kilka uległo również podobnemu ostracyzmowi. Pomijam już na tem miejscu kwestyę, czy się godziło stawiać ją przez wzgląd na jej treść pedagogiczną i dydaktyczną w jednej linii z innymi przedmiotami? Wszak i tradycya przyjęta powszechnie i same rozporządzenia władz szkolnych, umieszczając ją na czele w świadectwie szkolnem, czynią to chyba nie dla samego honoru i naśladowania względów dla niej minionych wieków, ale może także i dla uwydatnienia jej stosunku i znaczenia pedagogicznego nawet

dla wszystkich innych, po niej idących przedmiotów nauki szkolnej. Tłumaczenie, że egzamin z religii stał się zbędnym przy częściowej reorganizacyi egzaminu dojrzałości z tej przyczyny, że zamierzono przy nim doświadczać głównie stopnia wykształcenia i przygotowania młodzieży do dalszych nauk uniwersyteckich, nikogo przecież nie zdoła przekonać, gdy się zważy, że i pod względem fachowej znajomości jest on potrzebny, choćby tylko dla tych, którzy zamyślają poświęcić się studyom teologii w uniwersytecie. Dlaczegóżby zresztą egzamin, z któregokolwiek innego przedmiotu np. historyi, matematyki czy języków, miał być potrzebniejszym od religii do dalszych nauk uniwersyteckich i specyalnych studyów zawodowych, którym się młodzieniec poświęcić zamierza? A jeżeli znów chodzi o poznanie przy tem stopnia ogólnego wykształcenia młodzieńca, dlaczego, pytam, właśnie religia ma być wykluczoną? Czyżby miała być niepotrzebną do wykształcenia, czy mniej ma w sobie może pierwiastków kształcących, niż którykolwiek z przedmiotów zachowanych przy tym egzaminie?

Na razie wystarczy mi jednak skonstatować, że co do religii nie starano się nawet zachować tych względów i tej troskliwości, jakimi otoczono inne przedmioty nauki. Kiedy bowiem dla historyi i fizyki znalazła się klauzula, że tylko uczniowie zdolniejsi i pilniejsi, którzy potrafili zdobyć sobie w toku nauki gimnazyalnej w tych przedmiotach cenzurę „bardzo dobrą“, mieli być zwolnieni od nich przy egzaminie dojrzałości, to dla religii nie było miejsca nawet na takie ustępstwo, ale bez wszelkich zachodów wykreślono ją z pośród przedmiotów egzaminu.

To też nie dziwię się wcale owym głosom na wiecach katolickich i zjazdach katechetycznych, gdzie w obrażonem do żywego takimi przepisami religijnem poczuciu, nazwano ów reskrypt „dotkliwą krzywdą“, „obelgą“ zadaną sumieniu katolickiemu, „policzkiem“ wymierzonym religii i Kościołowi. Miał on bowiem niewątpliwie wszystkie te znamiona, jeśli się tylko zważy na jego tendencyę i skutki. Wydany w dobie rozwielmożnienia się liberalizmu, nie był on niczem innem, jak tylko jawnem świadectwem hołdowania tej doktrynie na fotelu ministeryalnym, wy-

razem niechęci, a w każdym razie obojętności, dla uczuć katolickich; zapoznaniem a nawet lekceważeniem dobroczynnego wpływu religii, jednym więcej akordem w rozgłośnej fanfarze na cześć zjednoczonej lewicy parlamentarnej. Dziś, gdy stosunki polityczne szczęśliwie się zmieniły, gdy opadł już dym kadzideł u ołtarza liberalizmu, gdy w każdej dziedzinie pracy społecznej czynią się skrzętne starania o oczyszczenie jej z naleciałości i rupieci liberalnych, czas najwyższy wymieść je także z szkolnictwa średniego, a przed innemi postarać się o usunięcie tego wyroku, jako tendencyjnie nieprzyjaznego religii katolickiej i narażającego ją ciągle jeszcze w murach szkolnych na nieuchronną krzywdę.

Ale zarządzenie ministeryalne nietylko było krzywdą dla Kościoła; ono też pociągnęło za sobą zgubne następstwa dla młodzieży i społeczeństwa. Nie jest to tylko utyskiwanie samego duchowieństwa, że gruntowne wykształcenie religijne, polegające na znajomości rozumnych podstaw wiary, zdolne zdać sobie sprawę z tego, że wierzyć trzeba, i z tego w co wierzyć trzeba, i jakie z tej wiary w życiu praktycznem wyciągnąć należy konsekwencye — wcale się nie podniosło u nas w ostatnich dziesiątkach lat; przyznają to niedwuznacznie i ludzie świeccy, patrzący trzeźwo i uważnie na różnorodne objawy życia publicznego w naszem społeczeństwie. Nie brak nam wprawdzie pewnego przywiązania do naszych pięknych tradycyj religijnych, zdobywamy się nieraz na udział w uroczystych nabożeństwach i pogrzebach, zwłaszcza patryotycznych, na tle historycznem lub humanitarnem, tu i ówdzie ożywia się nawet i strzeli pełniejszym płomieniem gorętsze uczucie religijne, ale bądź co bądź jest ono zawsze jakieś mgliste, nieokreślone, niewyraźne, zabarwione koniecznie jakąś domieszką, raz uprzedzeń jednostronnych, to znowu upodobań narodowych, domowych, zaściankowych. Ludzi jednak o głębokich przekonaniach katolickich, o zasadach religijnych niewzruszonych, praktykujących te zasady zawsze i wszędzie, bez względu na stronnicze zapatrywania, na małostkowe objawy niezadowolenia lub powierzchowne zarzuty, na obniżenie się popularności lub utratę spodziewanych korzyści — takich ludzi chyba nie dużo ma nasze społeczeństwo. A obok

nich iluż się znajdzie, u których co krok, przy lada sposobności, okazuje się brak dokładnej wiedzy religijnej, a raczej wprost nieznajomość najprostszych prawd katechizmowych. Są to bezwątpienia smutne, a dla narodu jak nasz, historycznie i tradycyjnie katolickiego, nawet wprost upokarzające objawy. A gdy się spytamy o przyczynę tego przykrego zjawiska, to jedną z pierwszych i najgłębszych (gdyż bezwątpienia zbiega ich się tu wiele innych), jest upośledzenie religii w toku nauk szkolnych. Jak szczupły wymiar czasu i jak ciasne ramy na ten przedmiot nauki się przeznacza, dość będzie przypomnieć, że gdy w ostatnich latach rozbudził się w sferach katechetycznych prąd za wcieleniem apologetyki w plan nauki religii w szkołach średnich, jako oddzielnego przedmiotu nauczania, prąd, z którym nawet komitet biskupów skrzętnie się liczył i odnośne plany wszechstronnej poddał dyskusyi, — to jednym z powodów, dlaczego zamiar ten dotąd nie przyszedł do skutku, była okoliczność, że niepodobna było znaleść dość wolnego miejsca na ten dział nauki w obrębie klas gimnazyalnych. Wszystkie bowiem działy nauki religii tak szczelnie są w szkołach średnich na podstawie planu organizacyjnego wypełnione, że żadnego niepodobna wypuścić bez szkody dla całości przedmiotu, żaden nie da się innym zastąpić, każdy ma swoje znaczenie i uzasadnioną potrzebę w organicznym związku. Ledwo dwie godziny tygodniowo przeznaczone są na naukę religii w poszczególnych klasach, zaczem idzie, że tylko z największym mozołem, z wypuszczaniem znaczniejszych partyj, zdoła katecheta u końca roku wyczerpać materyał zawarty w podręczniku a objęty planem. Na powtórzenie zaś i pogłębienie materyału przez częste odpytywanie i szersze objaśnienia, co przecież głównem jest zadaniem i pierwszą regułą zdrowej dydaktyki, ledwie który z katechetów, i to dopiero po licznych latach praktyki szkolnej, może się z czasem zdobyć. Nic przeto dziwnego, że w podobnych warunkach poziom wiadomości u uczniów nie może sięgać zbyt wysoko; o zaopatrzeniu młodzieży na dalsze życie w zasób dobrze ugruntowanych podstaw religijnych, o zabezpieczeniu jej na przyszłe walki i nieuniknione pokusy, wyjąwszy pewne wyjątkowo wyrobione

jednostki, mowy na seryo być nie może. A skoro taką wyjdzie młodzież ze szkoły w świat szeroki, to czyż podobna oczekiwać, by w społeczeństwie, gdzie z jej szeregów rekrutują się warstwy inteligencyi, znalazło się z czasem dość charakterów religijnie wyrobionych, z głęboko wszczepionemi zasadami katolickiemi, z postawą zawsze gotową do obrony tych zasad we wszystkich stosunkach życia publicznego?

Nie waham się twierdzić, że usunięcie religii z egzaminu dojrzałości niemało się przyczynia do wytwarzania i przedłużania tego smutnego stanu rzeczy w naszem społeczeństwie. Taki egzamin naprawiłby pod niejednym względem te rozliczne braki, jakie wynikają z szczupłego czasu i ciasnych ram przepisanych dla nauki religii w obowiązującym planie szkolnym. Przy tym egzaminie najlepszaby była sposobność powtórzenia najważniejszych prawd wiary i obyczajów i ujęcia ich w organiczną całość, aby, gdy zwykle w pamięci ucznia są rozprószone i luźnie tylko obok siebie stoją, tu zjednoczone w potężnem ognisku, wzajemnie się uzupełniać i wspierać mogły w umyśle dojrzałego już młodzieńca i tworzyć bezpieczną skarbnicę na dalsze jego życie.

Sferom szkolnym przy wprowadzeniu jakichkolwiek zmian w systemie nauczania, przyświeca zawsze jedna ogólna, bardzo rozumna zasada, do której przystosować się winny wszystkie szczegółowe urządzenia szkolne: zasadą tą — przestrzeganie istotnych celów nauki i karności szkolnej. Przy każdym przedmiocie, gdy tylko chodzi o jakąś nowość, czy to o uszczuplenie czy o pomnożenie godzin, o taki lub inny sposób traktowania materyału, o jakikolwiek projekt reformy, zwykła się naczelna władza szkolna w rozporządzeniach swych poważnie zastrzegać, że owe zmiany o tyle są dopuszczalne, o ile przy nich należycie będą „zabezpieczone cele nauki i karności szkolnej“. Czyżby owe *Wahrung der Unterrichtszwecke und der Disciplin*, tylko przy nauce religii nie miało mieć znaczenia? Takby się mogło zdawać wobec faktu usunięcia religii z szeregu przedmiotów egzaminu dojrzałości. Że to bowiem usunięcie szkodzi w wysokim

stopniu celom, dla których religię w szkołach się wykłada — po tem, co powiedzieliśmy wyżej — zdaje się rzeczą oczywistą.

Ale mniej może oczywistem niejednemu się wyda, że szkodzi ono i karności szkolnej. Tak jednak jest. Starzy katecheci z ery przedliberalnej, a nawet dawniejsi ich uczniowie mogliby nam podać ciekawe pod tym względem studyum porównawcze. Powtarzają oni często, że za ich czasów szkolnych religia była nietylko najpierwszym przedmiotem w świadectwie, ale i najważniejszym przedmiotem nauki. Honorowe jej miejsce w świadectwie było wówczas nietylko „wymownym wyrazem czci i uznania dla niej ze strony minionych wieków", ale wskazywało i nakładało równocześnie poważny obowiązek uczenia się jej sumiennego i ścisłego. Jakoż obowiązek ten spełniała ówczesna młodzież należycie. Ci sami katecheci tłumaczą nam, że ledwie powiał nowy prąd liberalny, a wraz z nim zjawiły się jaskółki liberalnego ustawodawstwa w dziedzinie szkolnictwa, wnet zmieniła się postać rzeczy. „Zbiegiem fałszywych i nieprzychylnych nauce religii zapatrywań przyjęło się i utrwaliło w szkołach mniemanie, które nawet chwilowo (w latach 1875—1880) Rada szkolna krajowa podzielała, że uczeń przy klasyfikacyi z samej nauki religii przepaść ani nawet wogóle złej lub niedostatecznej cenzury dostać nie powinien. Błędne to mniemanie, skoro mniej więcej w praktykę wprowadzonem zostało, miało ten skutek, że lepsi uczniowie tylko jakby z łaski i dla lepszej, jak ‚dostateczna' cenzury uczyli się religii, źli zaś wcale uczyć się zaprzestali" [1]. Cóż dopiero, gdy jedno po drugiem zaczęły się mnożyć rozporządzenia ministeryalne, ograniczające lub znoszące praktyki religii, a po nich owo klasyczne o usunięciu religii od egzaminu dojrzałości! Zaraz w następnych latach wyrobiło się w uczniach zgubne lekceważenie religii i obniżyła się pilność ich w tej gałęzi nauki szkolnej — i tak trwa z niewielką różnicą aż dotąd, niestety. Inaczej być nie mogło. Młodzieniec z jednej strony, za przewodem i ciągłą groźbą swych kierowników szkolnych, nauczył się uważać egzamin dojrzałości za coś niesłycha-

[1] Ks. Bukowski, „O reformie nauki religii", str. 62.

nie ważnego — z drugiej uderzał go fakt, że z religii przy tym egzaminie wcale nie jest pytany. Przez najzwyklejszy syllogizm dochodził on wnet do wniosku, że religia musi być czemś nadzwyczaj błahem i drobiazgowem, owszem rzeczą wprost niepotrzebną, jakby piątem kołem u tego wozu, którym ma się przewieść na uniwersytet. A skoro tylko takie zapatrywanie raz zagnieździło się w umyśle młodzieńca, wnet poszło za niem obniżenie pilności i sumienności w uczeniu się religii. Uczył się jej z konieczności tyle tylko, ile było niezbędnem dla otrzymania stopnia, dla przejścia do następnej klasy, albo dla utrzymania jako tako możliwych stosunków z katechetą. Poza to konieczne *quantum* nie czuł potrzeby wychodzić.

Nie na tem koniec. Religia jako przedmiot nauki szkolnej i katecheta, który jej udziela, jednoczą się w pojęciach studenta; stosunek ten wzajemny sprawia, że wraz z obniżeniem się powagi przedmiotu obniżyć się musi w umyśle ucznia powaga osoby, która go udziela. Katecheta, który najdłużej ze wszystkich profesorów przewodniczy chłopcu, prowadząc go przez wszystkie klasy, od pierwszej do ósmej, spaść musi w jego przekonaniu niżej od innych nauczycieli, skoro ten chłopiec spostrzeże, że właśnie katechety brakuje przy najważniejszym akcie szkolnym, przy maturze. Cóż bo to za członek grona nauczycielskiego — rozumuje uczeń — jak małoznaczne jego stanowisko, skoro nie dopuszczają go nawet do komisyi egzaminacyjnej, skoro tam wedle rozporządzeń władz szkolnych miejsca należnego dla jego przedmiotu nie zostawiono![1] Nie wiele tu pomoże pozwolenie,

[1] Dr. M. (*Muzeum*, r. 1896, str. 356) nazywa ten pogląd pesymistycznym. Oto jego słowa: „Temu zbyt pesymistycznemu poglądowi przeciwstawić możemy zdanie, jak sądzimy, prawdziwsze, a uznane w szerokich warstwach nauczycieli i rodziców, że znaczenie, powaga, skuteczność nauki religii w szkole średniej zależy wyłącznie i jedynie od osobistego wpływu katechety na umysły młodzieży". Trudno spierać się z szan. oponentem o to, czy pogląd wyżej wyrażony jest rzeczywiście „zbyt pesymistyczny". Ale dziwić się muszę, gdy zdanie własne, które przeciwstawia powyższym poglądom, „prawdziwszem" (?!) i „uznanem w szerokich warstwach nauczycieli i rodziców" nazywa. Sądzę, że szerokie warstwy społeczeństwa, inne, wprost przeciwne podzielają poglądy; dowodem tego objawy, o których była mowa w części poprzedniej. Bo i jakież to zdanie

czy życzenie c. k. Rady szkolnej krajowej, by katecheci brali udział bierny przy tym egzaminie, a głos zabierać mogli przy klasyfikacyi. Wszak uczeń przywykł tam cenić swych egzaminatorów, a takim nie jest z prawa jego długoletni katecheta; jeśli on tam nawet niekiedy zasiada, to uczeń ujrzy go chyba zajętego przy protokole, który mu koledzy z litości poruczają, by się biedak nie nudził dzień cały: o tem zaś, czy ten katecheta głos zabierze i jak to uczyni przy klasyfikacyi, nie może mieć przecież uczeń żadnego wyobrażenia. Że w tych warunkach podstawa karności, cześć dla religii i powaga samego katechety wielce ucierpieć muszą, leży jak na dłoni.

Zatem zarówno w interesie samej nauki religii, dla zabezpieczenia jej doniosłych celów, umożliwienia jej postępów i produktywności w ciasnych zresztą warunkach obowiązującego dotychczas dla tej gałęzi planu naukowego, jak i w interesie nawet karności szkolnej, dla utrzymania koniecznego szacunku dla re-

---

mieni p. oponent „prawdziwszem i uznanem w szerokich kołach“? Oto, że znaczenie, powaga, skuteczność nauki religii w szkole średniej zależą wyłącznie i jedynie od osobistego wpływu katechety na umysły młodzieży. Daruje p. oponent, ale mimo powagi Baumeistrów i całej plejady protestanckich i indyferentnych pedagogów, na których się ustawicznie powołuje, muszę podnieść z naciskiem, że skuteczność religijnego nauczania, wedle nauki katolickiej, nigdy nie może zależeć „wyłącznie i jedynie“ od ludzkich czynników. Skuteczność ta przedewszystkiem idzie z góry i w łasce bożej ma swoje źródło. Wpływy katechety, środki naukowe i wszelkie wogóle ludzkie czynniki, mają tu bez kwestyi swoje znaczenie, ale tylko pomocnicze i drugorzędne. W tych granicach rzecz biorąc nie przeczę, że w sprawie skuteczności nauki religii, od wpływu osobistego katechety, jakkolwiek nie wszystko „wyłącznie i jedynie“, to jednak bardzo wiele zależy. Ale czyż szanowny oponent nie spostrzega, że jest to pewnego rodzaju *petitio principii,* czynić z jednej strony skuteczność nauki religii zależną od wpływu katechety, a równocześnie wpływ ten osłabiać i unicestwiać przez usuwanie katechety i religii od egzaminu dojrzałości. Bo o to przecież w tym sporze chodzi. Katecheci użalają się, że usunięcie religii od egzaminu dojrzałości jest obniżaniem jej znaczenia, powagi i skuteczności w szkole średniej, a zarazem nieodłącznem podkopywaniem powagi i wpływu nauczyciela religii. Oponenci uznają wartość i potrzebę tego wpływu i powagi, ale odejmują najdzielniejszy ku temu środek. Czy nie znaczy to w piętkę gonić? Trzeba przecie być konsekwentnym, a godząc się na potrzebę utrzymania wpływu, nie podcinać równocześnie stanowiska i urzędu katechety.

ligii, choćby tylko jako jednego z przedmiotów nauki obowiązującej w szkołach średnich, dla zachowania i podniesienia nadwątlonej powagi samego nauczyciela religii, w interesie zatem najistotniejszego i najważniejszego dobra kształcącej się młodzieży szkolnej, dążyć wypada koniecznie do usunięcia złego w samym zarodzie: przez ponowne wprowadzenie religii, jako przedmiotu obowiązującego przy egzaminie dojrzałości.

A teraz jeden jeszcze argument, już nie cechy ujemnej, wziętej ze stosunków szkolnych, ale natury bardziej pozytywnej i więcej ogólnej. Społeczeństwo nasze przechodzi obecnie nową fazę w pojęciach, wyobrażeniach i przekonaniach religijnych; po chwilowych zakusach ery liberalnej, która i u nas nie oszczędziła niektórych warstw społecznych, nastał w ostatnich latach zwrot widoczny ku zapomnianym, a przynajmniej chwilowo nie nie dość poważanym ideałom religijnym. Pod wpływem obudzonego ducha katolickiego w całym świecie chrześcijańskim, za przewodem krajowych wieców katolickich, za przykładem mężów wybitnych w reprezentacyach naszych narodowych, przy współudziale nawet sumienniejszej i lepszej publicystyki, zaczyna budzić się u nas ruch katolicki, dążący do naprawienia szkód, jakie wyrządził niegdyś Kościołowi liberalny duch czasu, do przywrócenia religii pełnego znaczenia i poważania, jakie się jej z natury rzeczy, a jak u nas, z samych nawet tradycyj narodowych należy, do zabezpieczenia jej nieodzownego wpływu na całe życie publiczne i prywatne. Ma ona się stać znowu tem, czem była w długiej wieków kolei: skarbnicą nieprzedawnionych nigdy zasad objawionych, rękojmią praw najświętszych, przewodniczką na drodze obowiązków, nieraz twardych dla jednostek i narodów, mistrzynią życia doczesnego a zadatkiem wiecznego, alfą i omegą wszelkich umiejętności, kodeksem rządzących i poddanych, arką przymierza wobec kataklizmów, grożących zatratą najcenniejszych dóbr, najpiękniejszych nadziei. Nowy ten prąd nie może się nie obić o mury szkoły. Owszem im lepiej jest świadoma potężnego wpływu, jaki szkoła wywrzeć może na umysły młodociane, tem więcej i tem silniej musi nastawać społeczność katolicka, aby całe wychowanie szkolne przeniknął duch religijności głębo-

kiej i rzetelnej, by wszystkie również czynniki, wywierające wpływ na kierunek szkolnictwa, duchem tym były szczerze przejęte.

Temu gorącemu życzeniu społeczeństwa odpowiedzieć winna szkoła średnia. Wszak nawet przepisy urzędowe [1] kładą na to niezwykły nacisk, aby szkoła „uważała się nietylko za zakład dla udzielania różnorodnej nauki, ale by za istotną część swego zadania poczytywała współudział w religijnem i moralnem wychowaniu młodzieży, aby starała się w jej życie wprowadzić moralnie czystą atmosferę duchowego zajęcia". Wedle tychże przepisów „prawdziwa pobożność, która się na pokorze serca opiera, ma być pielęgnowana głównie przez naukę religii i odpowiednie ćwiczenia religijne"; a nadto wszyscy inni nauczyciele „mają w nauce i zachowaniu swem sumiennie na to uważać, by korzeni prawdziwej religijności nigdy nie osłabiali, lecz, ile to w ich mocy, wzmacniali i zasilali..." Każdy zakład naukowy, dostarczając różnorodnej wiedzy, dążyć ma równocześnie „do utrwalenia we wrażliwym umyśle młodzieńca podstawy moralnej, iżby gdy dojrzeje, nie zginął w burzach życia" [2].

To są słowa piękne, głębokie, i godne poważnej rozwagi.

A jeżeli takie jest zadanie szkoły średniej odnośnie do kierunku religijnego w wychowaniu młodzieży, jeżeli każdy w niej nauczyciel wedle najlepszej chęci i możności przyczyniać się ma do wzmocnienia tego kierunku, jakże pogodzić z tem życzeniem i wyraźną wskazówką naczelnej administracyi szkolnej zarządzenie, usuwające religię od egzaminu dojrzałości? Czyż nie jest to osłabieniem w młodzieży „korzeni prawdziwej religijności", kiedy ta sama władza, która ma czuwać nad jej „wzmocnieniem i zasileniem", wydaje wyrok, wyraźnie zmierzający do obniżenia czci dla religii i do zmniejszenia powagi i stanowiska katechety; kiedy przez dwa dziesiątki lat trwa przy tem niefortunnem zarządzeniu, pochodzącem z przebrzmiałego już okresu liberalizmu, wpływając przez to — zapewne wbrew swym

[1] „Zarys organizacyjny", §. 66.

[2] Marenzeller, l. c. 33, str. 69. Rozporządzenie austryackiego ministerstwa stanu z dnia 24 marca 1865 r., l. 989.

intencyom — na zaniedbanie się młodzieży w nauce religii i na wytwarzanie się w jej szeregach obojętności religijnej, w dobie jej życia właśnie najniebezpieczniejszej? Czyż można pogodzić nieodzowną potrzebę religijnego wychowania młodzieży, coraz powszechniej uznawaną i coraz bardziej uzasadnioną piętrzącemi się z dniem każdym groźnemi oznakami czasu, z utrzymaniem w całej mocy rozporządzenia, podcinającego jedną z podstaw tego wychowania, to jest szacunek dla nauki religii i należytą w uczeniu się jej pilność?

Zaiste! Nie chodzi tu o żadne „kastowe“ interesa lub ambicye katechetów, jak to nam nieraz przeciwnicy zarzucają; nie chodzi o „ujarzmienie nowożytnej szkoły“ przez Kościół lub duchowieństwo, jak się z patosem mówić zwykło w coraz szczuplejszych szeregach epigonów liberalizmu: tu chodzi o interesa ogółu, o wielkie dobro publiczne, o najżywotniejsze sprawy całego społeczeństwa, nad których rozwiązaniem pracować powinna szkoła ręka w rękę z Kościołem.

(Dok. nast.).

Ks. dr. Alojzy Jougan.

O WOJSKOWOŚCI POLSKIEJ ZA PIASTÓW.

(do roku 1410).

Po napisaniu historyi jazdy i piechoty polskiej z okresu czasu pomiędzy 1410 i 1792 rokiem, wzięła mię chęć uzupełnienia tych prac i dorobienia początku do dziejów wojskowości naszej, przez skreślenie jej stanu w epoce piastowskiej i do 1410 roku. Wprawdzie rozejrzawszy się w odnośnych źródłach i materyale, przekonałem się, że gdy poprzednią pracę budowałem na opoce, tj. na źródłach archiwalnych, tutaj opierać się będę musiał, w części tylko, na gruncie tak pewnym jak dyplomy, przeważnie zaś na podstawie chwiejnej i niepewnej kronik naszych. Sam też materyał ma niekiedy wartość kamienia lub drzewa, ale czasem ledwie dorównywa glinie, albo jest tak nikły jak piasek. Niepodobna więc na takim fundamencie i z tak różnorodnego, w większej części wątłego materyału, wystawić budowy trwałej, a tem więcej stylowej, chyba ledwie jakąś nieudatną lepiankę. Ale z drugiej strony, szperając w tych źródłach, dostrzegłem, że pomiędzy wojskowością z czasów piastowskich a późniejszą, zachodzi ścisły związek, i że niektóre zjawiska, składniki życia wojennego, instytucye i obyczaje, jak: organizacya towarzyska jazdy naszej, pospolite ruszenie, szyk trzechszeregowy w bitwie pod Grunwaldem i inne, zrodziły się na łonie epoki piastowskiej. Wreszcie i budowa zamków drewnianych, spotykanych na przestrzeni Rzeczypospolitej jeszcze w XVI.

wieku wzięła początek w tejże epoce. Zebrawszy tedy, co się znalazło w kronikach i dyplomach rzeczy wojennych z epoki piastowskiej i ułożywszy to wszystko w pewnym porządku, w obecnej rozprawce podaję.

Obrona kraju w epoce piastowskiej zasadzała się na wojsku i grodach. Miała wprawdzie Polska pod owe czasy w wielu miejscach naturalne granice, jak: bagnistą Noteć i Odrę, Sudety i Karpaty. Utrudniały także dostęp do kraju pozostawiane na pograniczach pasma odwiecznych, nieschodzonych lasów, umocnionych zasiekami. Ale w porze zimowej rzeki i bagna stawały się łatwemi do przebycia, lasy zaś po usunięciu zasiek, można było przechodzić w każdym czasie. Ostatecznie tedy obrona opierała się o grody, które niekiedy, jak: Niemcz i Głogowa wytrzymywały na sobie cały ciężar wojny. Najtrwalsza atoli i najpewniejsza obrona polegała po wszystkie czasy na sile żywej tj. na dzielnem wojsku.

Grody w zaraniu dziejów naszych odgrywały bardzo wielką rolę. Oprócz bowiem obrony od nieprzyjaciół zewnętrznych, służyły one za schroniska dla wojska w czasie pokoju, tudzież za magazyny, w których przechowywano żywność dla żołnierzy, a także zasoby jej na przypadek wojny. W nich nadto miały siedlisko władze i urzędy.

Jaka była budowa tych grodów, można się domyślać ze wzmianek spotykanych w dyplomach, jak np.: „Nec ad constructionem novorum castrorum eos cogi volumus, sed ad reaedificationem antiquorum tenebuntur, ita ut episcopus cum suo capitulo unam istbicam ponat, ut alii terrae nostrae nobiles facere consueverunt“ [1]. Albo na innem miejscu: „Liberamus ab aedificatione castrorum de novo factorum vel faciendorum, praeter castra antiqua videlicet: in Gnesno, in Lancicia, in Syradi, in Nakel, quae dum corruere contigerit, homines ecclesiae (Gnesnen-

[1] „Ani nie chcemy ich przymuszać do budowania nowych grodów, lecz będą obowiązani do odbudowania starych, tak aby biskup ze swoją kapitułą jedną izbicę postawił podobnie, jak inni w ziemi naszej szlachcice czynić zwykli“. KD. W. P. t. I, 369.

sis) quodlibet ipsorum castrorum de duobus stubellis astricti sint reformare“ [1].

„Istbica“ i „stubella“, zdradzająca zdaje się pochodzenie niemieckie, mają jednakowe znaczenie budowli z kłód czyli okrąglaków, w kształcie izby w zrąb zbudowanej (stąd też nazwa „szramb“ [2]), nakrytej deskami, stanowiącemi pułap, na którym stawali do obrony ludzie załogi. Izbice takie, postawione szczelnie obok siebie, składały przęsła, za pomocą których można było objąć przestrzeń żądanej wielkości. I to był gród piastowski. Rzeczą jest oczywistą, że w takim grodzie, we wspomnianych izbicach, tudzież budowlach wewnątrz grodu wystawionych, łatwo było umieścić, jakiejbądź wielkości załogę, tj. ludzi i ich konie i żywność i mienie ludności okolicznej, chroniącej się po grodach podczas najazdu nieprzyjaciela.

Podobnej budowy grody istniały jeszcze w XVI. wieku, i ktoby sobie życzył zapoznać się z nimi bliżej, niech odczyta ich opisanie w tomie VI. „Źródeł dziejowych“. wydanym przez Aleksandra Jabłonowskiego. Różnica pomiędzy tymi ostatnimi zamkami a grodami piastowskimi, w tem tylko zachodziła, że pierwsze były zaopatrzone w mnóstwo wież, w których skupiała się artylerya. Tymczasem wieże w grodach piastowskich mogły służyć jedynie dla obserwowania nieprzyjaciela. Taka wieża znajdowała się w grodzie poznańskim, za kościołem św. Mikołaja. I z niej to ukazała się podczas oblężenia przez Władysława II. tarcza czerwona, na znak wspólnego uderzenia, z wojskiem przybyłem na odsiecz, na oblegającego nieprzyjaciela [3].

Nie wiadomo odkąd zaczęto urządzać blanki w grodach, gdyż dopiero pod rokiem 1253 czytamy, że książe Przemysław

[1] „Uwalniamy od budowania grodów z nowa postawionych lub mających się postawić, okrom grodów dawnych, mianowicie w Gnieźnie, Łęczycy, Sieradzu, Nakle, które, gdyby upadły, natenczas ludzie Kościoła (gnieźnieńskiego) obowiązani będą każdy z tych grodów o dwóch stubellach naprawić“. KD. W. P. t. III, 1354.

[2] Arch. Skarb. Oddz. 54, ks. 19: *szramby de robore quercino parati;* w innem miejscu: *isthbycze vive sramby.* Castrum Camieniec. 1494.

[3] M. P. H. t. II, p. 522.

gród Poznań: *fossatis circumfodi et blancis muniri procuravit* [1]. I znowu pod rokiem 1269, że Bolesław Pobożny *munivit civitatem suam Międzyrzecz de blancis, priusquam fuisset circumdata fossatis* [2]. Blanki urządzone były w ten sposób, że na końcach belek, wystających ponad zewnętrzne ściany izbic, ustawiano pionowo słupki z podpórkami, do którychto słupków przybite deski tworzyły parapet czyli przedpiersień z desek — *de plancis*, skąd też powstał wyraz blanki, niezrozumiały i dla mnie samego, dopóki do kronik nie zajrzałem. Przedpiersień ten służył dla ochrony od pocisków nieprzyjaciela, stojących za nim ludzi załogi, którzy przez przestwory, pozostawiane pomiędzy ścianą zewnętrzną izbic a blankami, ciskali na szturmujących: kamienie, kłody, wieńce słomiane zaprawiane materyą palną i inne; włażących zaś po drabinach, spychali trójzębami. Blankami nazywano także pułap izbic, na którym stali obrońcy, był bowiem także z desek. Świadczą zresztą o tem i przytoczone powyżej „Źródła dziejowe“, gdzie znajdujemy wyrażenie: (w zamku Władzimirskim) *oborony tci po oblankam: kolia, kładok, kamenia nemusz, odin trizub stoit.* Tamże na innem miejscu: *a kotory dwie storonie suť bez oblankow, jest wielmi trudne bezpieczeństwo strelby czasu pryhody.* Co wszystko potwierdza przytoczone wyżej przeznaczenie blanków. Nie wiemy, czy już wtenczas blanki przykrywano dachem, jak to się działo w późniejsze czasy, co widać ze słów: *pokrytia na wežach i na wsich oblankow welmi chudo, tolko po odnomu hwozdiu doszczki pribiwano.* Blanki na ten wzór urządzano i w zamkach murowanych, z pewnemi modyfikacyami, jak to można widzieć w półksiężycu, niesłusznie zwanym rondelem, przed bramą Floryańską w Krakowie.

Ważnem też ulepszeniem były przekopy czyli fosy. Że ich z początku grody nie miały, widocznem to jest z przytoczonych powyżej cytat łacińskich. I niema w tem nic dziwnego; gdyż pionowe ściany izbic skuteczniej zabezpieczały od napadu nieprzyjaciela aniżeli pochyłe boki szkarpu i wału. Ale też fosa z wyrzuconą z niej pod ściany izbic ziemią utrudniała znacznie

[1] M. P. H. t. I, 571. [2] Ibid. 595.

podpalanie grodów i dlatego właśnie zaczęto używać tych urządzeń. Ktoby się chciał przekonać, jak trudne było podpalanie grodów obrzuconych ziemią, niech raczy odczytać w *Bibliotece Warszawskiej* artykuł Konst. Górskiego, o zdobyciu Wielkich Łuk przez Stefana Batorego.

Budowanie grodów było powinnością ludności do nich należącej. Z przytoczonych na początku cytat łacińskich, tudzież z rewizyi zamków w T. VI. „Źródeł Dziejowych", okazuje się, że ta powinność była rozdzielona pomiędzy wsiami, tak, że pewne z nich miały za obowiązek oprawę i utrzymanie w porządku odnośnych, izbic i zapewne odbudowanie ich w razie spalenia.

Liczba grodów wzrastała wciąż za panowania Piastów. Bolesław Chrobry rozszerzając swe posiadłości budował na nich nowe grody, dla utrzymania w posłuszeństwie krain świeżo zdobytych. I stąd za Bolesława Śmiałego znajdujemy grody: Grudomsch, Zakroczym, Syrosch, Rypin, Sachin, Sepreh, Nowyn, Radecz, Grebsko, Nasielsko, Zyrendzo, Czechanow, Skelpno, Oszelsk, Wiszegrod, Plocch, Dobrzyn, Prypust [1].

W obronie kraju od nieprzyjaciół odgrywały grody bardzo ważną rolę. Tak w r. 1017, gdy cesarz Henryk II., idąc do Polski, obległ po drodze gród Niemcz, załoga polska opierała się jemu, jak świadczy Dytmar, ze zręcznością i męstwem niesłychanem. Nic nie pomogły Niemcom narzędzia i machiny oblężnicze, ledwie bowiem je postawiono, już gorzały. Próbowali szturmować Czesi z księciem swoim Udalrykiem, a potem poganie Lutycy; nic atoli sprawić nie mogli. I cesarz widząc, że wojsko jego, przez choroby nadwątlone, o zdobycie grodu ubiega się napróżno, zwinął oblężenie i pochód swój do Czech skierował. Podobnież wielką posługę oddał i zamek Głogów, w r. 1109, za Bolesława Krzywoustego, gdy go obległ cesarz Henryk V.

Kroniki świadczą, że i w okresie dzielnicowym budowali książęta nowe zamki. Ale to było oryginalne, że budowali je niekiedy na posiadłościach swoich sąsiadów, a to w tym celu,

[1] M. P. H. I, p. 360.

ażeby panując nad wsiami okolicznemi oderwać je od sąsiedniej dzielnicy. Tak w roku 1259, przy pomocy Świętopełka, księcia pomorskiego, Kazimierz, książe łęczycki, zbudował na ziemi należącej do Bolesława Pobożnego gród Pakość[1] *in praeiudicium eiusdem.* W tymże roku połączeni z sobą Bolesławowie Pobożny i Wstydliwy, oraz Ziemowit, książe mazowiecki, i Roman, książe ruski, wystawili na ziemi łęczyckiej gród i oddali go Ziemowitowi księciu mazowieckiemu[2]. Nareszcie w roku 1269 Otto, syn Ottona, margrafa brandenburskiego, wybudował zamek Sulencz pomiędzy Lubuszem a Międzyrzeczem, *tolerante Boleslao, Poloniae Duce.* Ale Bolesław spalił ten zamek a osadzoną w nim załogę, z jej przełożonym Sablem, do niewoli zabrał[3].

Mamy mnóstwo przykładów zdobywania i bronienia grodów, ale brakuje nam dokładnych opisów tych operacyj. O ile z rozrzuconych tu i ówdzie szczegółów wyrozumieć się daje, to najgroźniejszym środkiem przeciwko twierdzom tego rodzaju był ogień. Ale jeżeli załoga była liczna i czujna, to i podpalenie niełatwo uskutecznić się dawało. Broniący się bowiem, rzucając kamienie, kłody, głownie, czego zasób miał zawsze na blankach, nie dopuszczał zbliżenia się do siebie. Mógł także wzniecony już ogień wodą zalewać. Oprócz ognia używał oblegający machin oblężniczych rzutowych do ciskania kamieni i przypraw palnych, tak zwanych proków—*fundibulariis vero lapides et etiam de parvis machinis ictus iacentibus.* Za pomocą tych machin starał się atakujący zniszczyć przedewszystkiem blanki, które mu eskaladę po drabinach utrudniały, i obnażyć obrońców. A jednocześnie obsypywał gród nieprzyjacielski chmurą strzał, wypuszczonych z łuków i kusz ręcznych. Ale i broniący się używał przeciw następującemu z odległości nieprzyjacielowi kusz wielkich, które wyrabiali trzymani po grodach majstrowie, jak to widać z dyplomu książąt Przemysława i Bolesława, obowiązujących się utrzymywać swoim kosztem w Poznaniu: 4 stróżów *vigiles* i 2 kuszników tj. majstrów od kusz wielkich *balistarii.* Z takimi majstrami i zarazem obywatelami Kalisza Erwinem i Piotrem

[1] M. P. H. t. II, p. 584. [2] Ibid. p. 585. [3] Ibid. p. 583.

spotykamy się i w dyplomach N. N. 536 i 844; KD. W. P. t. I. Bronił się oblężony także i za pomocą kusz ręcznych i łuków. Machinom podsuwanym ku ścianom grodu utrudniały dostęp przekopy, a gdy rów zarzucono, broniący się niszczył je przez ogień. Nareszcie następującego po drabinach nieprzyjaciela, gdy chciał, jak przy zdobywaniu w r. 1378 Człopy [1], blanki zrąbać i do wnętrza się dostać, oblewano warem i spychano trójzębami i oszczepami.

Do bardzo oryginalnego środka uciekł się Przemysław, książe wielkopolski. Nie mogąc zdobyć grodu Nakła, pochwyconego zdradą przez ks. pomorskiego Świętopełka, zbudował on obok starego grodu, ze strony wschodniej gród nowy, którego załoga toczyła ciągłą i uporną walkę z załogą grodu starego. Nareszcie Świętopełk widząc, że mu trudno będzie utrzymać Nakło, ustąpił je Przemysławowi za 500 grzywien [2].

Kazimierz Wielki, który był świadkiem zniszczenia przez Krzyżaków mnóstwa grodów drewnianych, zastąpił je murowanymi i wielką liczbę miast opasał murem. Bliższe atoli szczegóły o budowie tych zamków posiadamy tylko co do Płocka i Włodzimierza.

Mury zamku płockiego spoczywały na głęboko w ziemię zapuszczonym fundamencie, grubości 4 łokci. Mur okalający miasto wynosił od fundamentu do wierzchołka 16 łokci, grubości zaś miał 3 łokcie. Co każde 60 łokci znajdowały się wieże (vyensze), które wystawały ponad mur na 4 łokcie i to licząc na zewnątrz, a nie wewnątrz [3].

Zamek włodzimierski, którego przeznaczeniem było utrzymanie we władaniu nowonabytego kraju, ufortyfikował król Kazimierz bardzo starannie. Oprócz zamku drewnianego, który już tam istniał, kazał wystawić na górze zamek murowany. Budowa tego zamku ciągnęła się dwa lata, w ciągu których pracowało stale po 300 ludzi, z mnóstwem podwód wołowych i konnych, dowożących kamień, cegłę i wapno. Zamku tego jednakże, który już kosztował 3.000 grzywien, nie mógł król Kazimierz ukoń-

[1] M. P. H. t. II, p. 684. [2] Ibid. p. 575. [3] K. D. M. l. XIII.

czyć z powodu swej śmierci. I z tejże przyczyny Wacław z Tęczyna, który budową kierował, wrócił do skarbu pozostałe 600 grzywien. Kiejstut opanowawszy zamek włodzimierski, broniony niedołężnie przez Łęczyczanina Piotra Turskiego, podkopawszy mury, obalił je i z ziemią zrównał [1].

Opatrzenie przez Kazimierza W. Polski w wielkie mnóstwo zamków i miast warownych podniosło ogromnie obronność kraju. Używano podówczas do burzenia murów taranów *(tumler)*, za pomocą których Krzyżacy w r. 1330 Brześć Kujawski zdobyli. Ale to jedynie dlatego, że załoga była słaba i broniła się niezręcznie — artylerya zaś, która była jeszcze w pieluchach, nic przeciwko murom poradzić nie mogła.

Przywilej koszycki, wydany przez króla Ludwika dla Polski, w r. 1374 brzmiał co do zamków, jak następuje: Jeśliby który ze starych zamków potrzebował naprawy, to uskutecznienie jej w czasie pokoju miało być obowiązkiem burgrabiego lub też dzierżawcy tego zamku, a raczej starostwa do niego przynależnego. W wypadku wojny lub też niezgody wewnętrznej, do naprawy zamków pogranicznych powinna być pociąganą ludność tych prowincyj, w których się zamki znajdowały. W razie, gdyby za zgodą panów rad wypadło dla pożytku i bezpieczeństwa kraju wystawić nowy zamek, to do kosztów budowy powinni byli przyłożyć się panowie rady. Jeśliby zaś król umyślił pobudować nowy zamek nie zasięgając rady panów, to obowiązany był wystawić go własnym kosztem [2].

Zostały jednak te postanowienia co do starych zamków martwą literą. Gdy dochodami ze starostw dzielili się królowie ze starostami, a ci ostatni myśleli tylko o własnej kieszeni, zostały zamki te na ruinę skazane. Odbywały się wprawdzie rewizye onych i rewizorowie opisywali ich stan bardzo szczegółowo, wskazując na braki i na to, co mianowicie podlegało reparacyi. Ale to były *pia desideria*. I stąd ze zamków naszych prawie śladu nie zostało. Zresztą zamki rozłożone wewnątrz

[1] M. P. H. t. II, p. 643. [2] KD. W. P. 1709.

kraju straciły znaczenie i stały się zbytecznymi. Nie odpowiadały też one, w następstwie czasu, udoskonaleniom w artyleryi, gdy ta była już w stanie mury ziemią nieosłonione w gruzy obracać. Nie było więc powodu do ich żałowania.

Z kolei rzeczy mówić nam teraz wypada o załogach grodów piastowskich; wpierw jednak, nim do tego przedmiotu przejdziemy, musimy powiedzieć kilka słów o wojsku w ogólności.

Wiadomo, że książe Mieszko I. prowadził początkowo wojny jedynie z piechotą, tj. z ludem polskim, który, jak widać z dyplomów, podlegał powinności wojennej. Pierwsza jazda, którą ten książe otrzymał od szwagra swego, Bolesława, księcia czeskiego, ukazała się podczas bitwy z Wichmanem.

Al Bekri znajduje już u Mieszka 3.000 jazdy, którą on utrzymuje własnym kosztem, Daje jej bowiem i odzież, i oręż, i konie, i oprócz tego wypłaca jej żołd bizantyńskimi miszkałami.

Liczba jazdy, wyliczonej tylko przez Galla, wzrasta u Bolesława Chrobrego do 3.600. Ale sądząc z dalszych słów tego kronikarza, było jej jeszcze wiele po innych grodach, i to tak wiele, że za jego czasów w całej Polsce nie można było zebrać tylu pawężników, ile za Bolesława Chrobrego było jeźdźców zbrojnych. Jest to zapewne przesada retoryczna, ale widocznem jest w każdym razie, że i za Krzywoustego pawężnicy, tj. piechota musiała się także składać z ludu, zbieranego z całej Polski. Z kogóż składała się jazda zbrojna, owi *loricati milites?*

Z tego, co się tylko co wyżej powiedziało, wypadają dwa wnioski: 1) że jazda pierwszych naszych Piastów, utrzymywana na koszcie tych książąt i opłacana ich żołdem, musiała być obcą, gdyż swoi ludzie obowiązani byli służyć za powinność; 2) że jako taka była najemniczą i stąd słusznie ludzie ci nazywani są przez Galla *milesami.* Bo i jakże było inaczej nazwać najemnika, którego rzemiosłem była wojna.

Trudniej atoli wykryć pochodzenie tych żołnierzy. Pewną wskazówką pod tym względem mogłaby służyć organizacya towarzyska jazdy naszej, którą się ona odróżniała od wszelkiej in-

nej w Europie, a która u nas, jak świadczą akta archiwalne, istniała już w końcu XV. wieku.

Skąd się ona wzięła?

U siebie jej nie mieliśmy, gdyż, jak się powiedziało, naszem wojskiem rodzimem była tylko piechota ludowa, złożona z żołnierzy przygodnych, którzy stawali się nimi w potrzebie bronienia ojczyzny, zwykle zaś byli rolnikami.

Nie wzięliśmy jej i od Niemców, organizacya bowiem ich jazdy była zupełnie odmienna. Każdy wasal rycerz stawał na wojnę na trzech koniach. Z tych jednego miał pod sobą, na drugim jechał tarczownik, trzeci zaś był pod jukami. Cała jazda niemiecka składała się z takich rycerzy.

Zupełnie podobny do naszego ustrój jazdy znajdujemy na początku XII. wieku u Pomorzan. Herbort powiada, że u tego narodu każdy szlachcic i urzędnik *(capitaneus)* posiadał pewien poczet jeźdźców, i o zamożności jego sądzono według tego, czy miał mniej lub więcej jezdnych. Potwierdza zarazem Herbort to, cośmy powiedzieli o Niemcach w stosunku do Pomorzan [1].

Być może, że i u Pomorzan przywódcy tych drużyn, jako należący do wyższej sfery społecznej, nazywali się pomiędzy sobą towarzyszami, pospólstwo zaś składające drużyny czeladzią.

Takaż zupełnie organizacya jazdy panowała i u nas. W regestrach ostatniej ćwierci XV. wieku znajdujemy towarzyszy, którzy miewali po 8. 10 i więcej koni. A chociaż liczba ludzi w pocztach towarzyskich zmniejszała się z biegiem czasu, organizacya sama utrzymała się aż do ostatnich chwil istnienia Rzeczypospolitej.

Niepodobna się jednak zgodzić, ażeby nasi książęta zaciągali na służbę Pomorzan, z którymi prowadzili ciągłe wojny, ani też innych Słowian zachodnich, z którymi stosunki, jako z poganami, ciągle były wrogie. Z drugiej znowu strony trudno przypuścić, ażeby organizacya jazdy u Pomorzan była swojską, ustrój bowiem wszystkich narodów słowiańskich musiał być

---

[1] „Nullus enim militum praeter unum caballum illic habere consuevit... et unusquisque militum sine scutifero militat".

pierwotnie jednakowy. Należy więc wnosić, że była ona naleciałością, przybyłą ze strony od jakichś sąsiadów. I jeśli nie od Niemców, co, jak powiedzieliśmy wyżej, było rzeczą niemożebną, to chyba od Normanów, u których podobno organizacya towarzyska dla wypraw lądowych i morskich była wysoce rozwinięta.

Z tegoż źródła mogła przyjść i do nas organizacya towarzyska, tem więcej, że, jak wiadomo, pierwszych naszych Piastów łączyły z królami duńskimi związki familijne, że mianowicie córka Mieszka I., a siostra Bolesława Chrobrego, Sygryda była żoną Swena [1], późniejszego króla Anglii, a ojca Haralda i Kanuta, króla Anglii, Danii i Norwegii, że w końcu tenże Kanut utrzymywał w Anglii z początku 3.000, a potem 6.000 żołnierzy [2], nawerbowanych w Danii. Cóż prostszego po tem wszystkiem, jak przypuszczenie, że nasi książęta mogli w tejże Danii zaciągać żołnierzy. Tem więcej, że, jak wiadomo, ludność w tym kraju, czy dlatego, że jej było za ciasno, czy że się jej nie siedziało na miejscu, szukała szczęścia po całym świecie.

Po tem wszystkiem, co się wyżej powiedziało, nie będzie nic dziwnego, że Dytmar znajdował u Chrobrego piechotę, która się zbierała z całej Polski, *magnam multitudinem*. Nie można się też dziwić, że Chrobry skarżył się ciągle na brak rycerzy, gdyż w wojsku jego można było zaliczyć do rycerzy tylko towarzyszy, reszta jazdy składała się z czeladzi tj. z pospólstwa. Jasne jest także to, co Gall mówi, że z Gniezna wychodziło 1.500 jazdy zbrojnej i 5.000 pawężników, z Poznania 1.300 jazdy i 4.000 pawężników, z Włodzisławia 500 jednych i 2.000 drugich, nareszcie z Gdecza 300 i 2.000. Rozumiał on tu jazdę, która z natury swej, jako obca, musiała mieścić się po grodach, i piechotę z ludu okolicznego, która zbierała się do grodów na przypadek wojny.

Jakiż mógł być los tej jazdy po śmierci jej wielkiego wodza? Syn Chrobrego, Mieszko II. odbył tylko jedną wielką wy-

---

[1] Balzer, „Genealogia Piastów", p. 44.

[2] Meinert, *Geschichte des Kriegswesens und der Heerverfassungen in Europa*, I. B., p. 30.

prawę do Niemiec, w której musieli mieć udział ci żołnierze. Ale po jego upadku i podczas anarchii, która potem nastąpiła, nie mieli oni co robić w Polsce, lubo byt ich przez daniny, do których obowiązane były wsie okoliczne, był zupełnie zabezpieczony. Część ich, stanowiąca załogę Gdecza, prosiła Brzetysława, księcia czeskiego, podczas najazdu jego na Polskę, aby ją do Czech przesiedlił, co też ten książe uczynił. Palacki utrzymuje, że to byli Polacy[1]. Ale rzeczą jest bardzo wątpliwą, ażeby Polacy zechcieli dobrowolnie opuszczać kraj rodzinny. Prawdopodobniej, że to musieli być obcy ludzie. Zapewne jakaś jeszcze część tych awanturników, gdy zręczność do bogacenia się łupem z ustaniem wojen zaborczych zupełnie się przerwała, poszła szukać szczęścia gdzieindziej, gdyż Bolesław Śmiały przedsiębierze swoją wyprawę do Węgier z czterema tylko hufcami.

Ale przyszło nareszcie do rozrachunku z tymi żołnierzami za panowania Władysława Hermana. Gall opowiada[2], że wskutek ucisków i prześladowań wojewody tego monarchy, Sieciecha, wielu musiało szukać schronienia poza granicami kraju. Zbiegowie ci, przybrawszy na czoło nieprawego syna Władysławowego Zbigniewa, który w jakimś klasztorze za granicą pobierał nauki, wyprawili poselstwo do kasztelana Wrocławskiego Magnusa, ażeby go pozyskać. Wysłannicy owi, stawiąc mu przed oczy krzywdy, jakich od Sieciecha doznawał, a to w tem, że urząd swój pełnił tylko nominalnie, gdy rządy sprawował przystaw od Sieciecha postawiony, upominali Magnusa, że jeśli chce pomścić krzywd swoich na wojewodzie, to niech przyjmie do siebie zbiegów, mających pośród siebie syna książęcego. Magnus wahał się z początku, ale porądziwszy się ze starszyzną, zgodził się na ich przyjęcie. Na wieść o tem, rozgniewany Władysław Herman wyprawił posłańca do Wrocławian z zapytaniem, z jakiej racyi ośmielili się przyjąć Zbigniewa z jego stronnikami i czy to ma znaczyć wypowiedzenie posłuszeństwa. Wrocławianie odpowiedzieli, że pozostają mu wiernymi, lecz nie mogą

[1] Palacki, *Geschichte von Böhmen,* I. B.
[2] M. P. H., t. I, p. 431.

dłużej znosić krzywd od Sieciecha doznawanych. Lud zaś o mało nie ukamienował posła, który stawał w obronie wojewody. Na taką odpowiedź Władysław zamierzał naprzód użyć siły. Ale kiedy, podług słów Galla, swoi nie chcieli iść przeciwko swoim *(sui contra suos)*, zamyślał już szukać pomocy u Węgrów i Czechów. Udało się jednak Sieciechowi przez obietnicę i podarki pozyskać starszyznę. I takim sposobem zebrawszy wojsko ruszył Władysław Herman przeciwko Wrocławianom. Ci widząc, że pomniejsze grody na Ślązku poddały się księciu, udali się do jego łaski. Wskutek tego Zbigniew niepewny życia umknął do Kruszwicy, obfitującej podówczas w żołnierzy. Władysław poszedł za nim. Ale gdy stanął pod Kruszwicą, wystąpił przeciwko niemu Zbigniew na czele 7 pułków żołnierzy i wielkiej liczby Pomorzan. Buntownicy jednak pobici zostali na głowę. Wielkie ich mnóstwo poległo na placu boju, inni potonęli w jeziorze i sama Kruszwica uległa wielkiemu zniszczeniu.

Co to wszystko znaczy? Kto są u Galla ci *alios*[1], którzy szukali schronienia za granicami kraju i ci, co nie chcieli walczyć ze swymi, *sui contra suos*, i nareszcie ten lud *populus*, co o mało nie ukamienował posłańca Sieciechowego? Pierwsi byli prawdopodobnie starszyzną wojskową, drudzy żołnierzami jednego plemienia, a nareszcie trzeci czeladzią wojskową — pospólstwem. Ale skądże taka nienawiść przeciw Sieciechowi w starszyźnie i żołnierzach? Być może, że karcił ją za swawolę, której starszyzna wojskowa, przy osłabionej dyscyplinie często dopuszczać się zwykła. Nieukontentowanie zaś pospólstwa *(populus)* i wojska całego mogło pochodzić zatrzymania, umniejszenia albo nieakuratnej wypłaty żołdu i niezadosyćuczynienia innym potrzebom lub wymaganiom żołnierzy. Źródłem zaś tego wszystkiego

[1] M. P. I., 431—432. „Alios scilicet vili occasione transvendebat, alios de patria propellebat, ignobiles vero nobilibus praeponebat...

„Cumque nihil virtute contra Vratislavienses potuisset proficere, quia sui contra suos bellum gerere noluissent, pacem invitus cum filio pater fecit.

„Populus autem (Vratislaviensis) legatum lapidare volebat, quia Sethei partes falsis ambagibus defendebat".

mógł być brak pieniędzy, a może i skąpstwo Sieciecha, Gallus bowiem mówi o nim, że to był mąż mądry i wspaniały, ale przytem chciwy.

Jakiebykolwiek atoli były powody tych stosunków, to pewna, że gdy wojsko zamiast służyć do obrony kraju, buntuje się, jak Kruszwiczanie przeciw panu swemu, chociażby wskutek braku środków na jego utrzymanie, — najlepszem wyjściem z tego położenia, jakie mogło przyjść do głowy mądremu Sieciechowi, było rozsiedlenie go na ziemi, uchylało bowiem możność porozumienia się pomiędzy buntownikami. Tem więcej, że to nadanie ziemi starszyźnie za zasługi, mogło się już i przedtem praktykować. Tak też zdaje się i postąpiono. Starszyźnie wojskowej rozdano wsie, miasta i grody, w ilości odpowiedniej do jej stanowiska, z obowiązkiem stawienia na wojnę poczтów jazdy zbrojnej. Czeladź zaś otrzymała małe kawałki ziemi, z powinnością wychodzenia na wojnę na jednym koniu. Rozsiedlono ją w mniejszej liczbie w Wielkopolsce i Małopolsce, które były więcej zaludnione, w większej zaś części na Mazowszu, gdzie musiało być więcej miejsca wolnego. Jedni i drudzy zachowali swój tytuł żołnierzy *(miles)*. Ale gdy pierwszym przydawano przymiotnik *famosus*, drugich nazywano *miles simplex, gregarius, calligatus*. W Statucie Wiślickim pierwsi tytułują się szlachtą, drudzy zaś zwani są: władykami, ścierciałkami i skartabelami.

Na ludzie polskim pozostawiono po dawnemu powinność służby wojennej w piechocie, w tej prawdopodobnie normie, jaką ustanowił Krzywousty dla Pomorzanów, tj. jednego z dziesięciu gospodarzy, którego rodzinę w czasie nieobecności, powinno było utrzymywać dziewięciu pozostałych w domu.

I to jest geneza pospolitego ruszenia.

Na lud spadła także straż grodów. Przedtem leżała ona na mieszczącej się w nich jeździe, dla utrzymania której służyła danina „stróży“, po jednej miarze żyta i po jednej miarze owsa od każdego pługa. Oprócz tego, dla sprawowania różnych posług przy tych żołnierzach, przeznaczone były wsie, zwane „narokowemi“, w których mieszkali: piekarze, kucharze, tarczo-

wnicy, którzy tarcze sporządzali, żerdnicy, którzy drzewca do kopij robili, i inni [1].

Ale już w r. 1282 Przemysław, ks. wielkopolski, nadając klasztorowi Owińskiemu wieś Truskatowo, uwalnia jego poddanych nietylko od budowania grodów, lecz i od ich strzeżenia [2]; skąd widać, że już przedtem straż grodowa polegała na ludzie.

Mamy jeszcze i wcześniejszą, bo z roku 1251 wiadomość, świadczącą o tem samem, a zapisaną w Kronice Boguchwała, w rozdziale: *De ocupatione castri Sbanschyn* [3].

Jakaś chałastra *(latrunculi)* wyruszywszy z grodu Lubusza, w okolice grodu Stanczyna za zdobyczą, gdy chciała zabrać bydło jakiemuś pastuchowi, ten — ażeby ustrzedz swoje stado — poradził im udać się do grodu Zbąszyna, strzeżonego przez trzech tylko ludzi, gdzie się lepiej obłowić mogli. Ci trzej ludzie należeli oczywiście do stałej służby grodowej i oczekiwali zapewnie na straż ludową, która miała przybyć z okolicy. Wiedząc o tem ludzie z Lubusza, udali, że oni są ową oczekiwaną strażą i zostali wpuszczeni do grodu. Gdy wieść o tem doszła do ks. Przemysława, kazał zbierać się szlachcie i ludowi i obległ z nimi zamek zbąszyński. Chałastra prosiła o miłosierdzie i poddała się. Rzeczą jest oczywistą, że gdyby straż mająca przybyć była stałą, to służba zamkowa na pewnoby ją poznała i nieporozumienie nie miałoby miejsca. Ale jak się stąd okazuje, musiała być odbywaną przez lud kolejno.

Być może, że jako zabytek tej straży ludowej pozostało to, że ogrodnicy *(ortulani)* wsi Dźwigrzewa i Baczkowa, należących do starostwa sieradzkiego, jak to widać z rewizyi dokonanej w r. 1491, przez Rafała na Lesznie Leszczyńskiego, kasztelana gnieźnieńskiego, nie płacili żadnych podatków, a natomiast utrzymywali straż w grodzie Sieradzkim [4].

W czasy jeszcze późniejsze, w wieku XVI., oprócz rzemieślników, oraz piekarza, kucharza i piwowara, znajdowało się

---

[1] Piekosiński, „O powstaniu społeczeństwa polskiego", p. 147.
[2] K. D. W. P. 576. [3] M. P. H. t. II, p. 617.
[4] Arch. skarb. Od. LIV, ks. S. $^{2}/_{1}$.

w zamkach, jak np. w Olsztynie pod Częstochową: 4 holoniczych, *qui castra custodiunt et portas aperiunt*, tudzież 4 stróżów nocnych, *qui clamant*[1]. I to była cała straż grodowa w XVI. w. Jaki tytuł polski nosił przełożony nad grodami i jego załogą od początku, nie wiemy. To pewna, że tytuł kasztelana, za czasów Galla jeszcze nie istniał, wyraz bowiem *castellani*, oznacza u niego załogę. Być więc może, że był to „grodztwa pan", jak go Statut Wiślicki w tłumaczeniu Świętosława z Woycieszyna nazywa.

Po rozsiedleniu na ziemiach potomków jazdy Chrobrego trudniej już było prowadzić wojny Krzywoustemu. Wiemy też z kroniki Galla, że najczęściej przedsiębrał wyprawy ze swoją jazdą nadworną. W bitwie pod Nakłem zwyciężył Pomorzan z 1000 tylko żołnierzy. A że część tej jazdy pasła konie, inna zaś zajęta była gromadzeniem żywności, to rzeczą jest wątpliwą, czy mógł mieć więcej nad 1500 głów wojska wszystkiego. Na zabranie się większych sił przeciwko cesarzowi musiał Krzywousty czekać. Na wojnę zaś z Czechami wyprowadził już pospolite ruszenie. Bo cóżby innego miały znaczyć chorągwie prowincyonalne czyli ziemskie. Powiedziano bowiem u Galla: *tam quoque provincia, quam cohors armata, sicut constitutum fuerat*[2].

Wojsko Władysława II., w roku 1142, składało się *ex vassallis et stipendiariis*[3], tj. z pocztów szlacheckich i najemników. Ze strony zaś młodszych książąt było widocznie pospolite ruszenie, w którem się znajdowali: *Masovitae, Sandomiritae* i *Kuiavitae*[4]. Musiało się też składać z pospolitego ruszenia i wojsko polskie, wyprowadzone przeciwko Prusom, owa *exercitatissimorum innumera multitudo*, gdyż podług brzmienia dyplomów w wojnach tych powinni byli przyjmować udział i poddani dóbr kościelnych.

(Dok. nast.)

Konstanty Górski.

---

[1] Ibid. [2] M. P. H. t. I, p. 552. [3] Ib. t. III, p. 770.
[4] Ib. t. II, p. 522.

SPRAWA GHENADIEGO.

KARTKA Z NAJNOWSZYCH DZIEJÓW RUMUŃSKIEJ CERKWI.

Kiedy cała Europa podziwiała z jednej strony wstrętną komedyę bułgarską, a z drugiej zwróciła wzrok przerażenia ku chodyńskim polom, odgrywał się w poblizkiej Rumunii niemniej ważny, religijno-polityczny dramat. Aktorami jego był wyższy kler krajowy i ministeryum ze Sturdzą i Ponim na czele; przedmiotem detronizacya schyzmatyckiego prymasa Ghenadiego, ostatecznem rozwiązaniem zamknięcie tego ostatniego w monasterze Kelderuszań. Zdanie niemieckiego poety: występek rodzi występek, dawno już nie sprawdziło się tak dobitnie, jak w niniejszym wypadku, a nicość i strupieszałość schyzmy dawno już nie objawiła się w takiej bezwstydnej nagości, jak właśnie w tej sprawie. Bliższych przyczyn zajścia, rzucającego tak smutne światło na Kościół rumuński, należy szukać w przeszłości, dlatego też cofniemy się z naszym szkicem o kilka lat wstecz.

W r. 1891 i 1892 była Rumunia widownią walki, która *en miniature* przypominała *Kulturkampf* pruski. Różnica objawiła się chyba w tem, że walka nie przybrała takich rozmiarów, jak w państwie niemieckiem i że Kościół krajowy nie wyszedł z tych utarczek zwycięsko, ale zwyciężony i wydany na łaskę państwa, które też ze zdobytej przewagi korzystało i korzysta w sposób najbardziej bezwzględny.

Pozornym powodem do wzniecenia tej walki była dla rządu

martwota moralna cerkwi rumuńskiej, a celem jej, jak się ówczesny minister wyznań, p. Tache Jonescu wyraził, „stworzenie Kościoła nacyonalnego na granitowych podstawach“.

Kościół rumuński miał tę oryginalność, że uznawał w swem łonie dwie kategorye księży: wiejskich i miastowych. Fatalny ten pod każdym względem system musiał wydać jak najsmutniejsze owoce. Kandydat na kapłana wiejskiego przybywał do seminaryum z bardzo nizkiem wykształceniem, jakie mu szkoły normalne (licho w Rumunii stojące) dać mogły; w seminaryum przebywał lat cztery, po których ukończeniu był już gotów do przyjęcia na się obowiązków kapłańskich. Ponieważ jednak po ukończeniu owych czterech klas nie miał zazwyczaj wymaganego do święceń wieku, wysyłano go na wieś, gdzie sprawował urząd nauczyciela, co trwało często długie lata. Wreszcie dawano mu święcenia i *beneficium*.

Łatwo zrozumieć, co taki kapłan umiał, czego mógł nauczyć i jaki wpływ wywierać na ludność. Wpływ ten, jak dowiodły wymowne fakta, które nie tu miejsce przytaczać, bywał z reguły ujemny, częścią dla braku wykształcenia, o którem już wspomniałem, a który stawiał takiego księdza na równi z powierzonym jego pieczy ludem, często i niżej, częścią z powodu trosk materyalnych, które czyniły go zupełnie zależnym od dworu i włościan. Zmuszony starać się o utrzymanie siebie i familii, wielką część życia przepędzał przy pracy, z chłopami w karczmie się bratał, za pieniędzmi gonił i ostatecznie na formalnościach sprawy kościelne zasadzał. Stąd rzadko odprawiane nabożeństwa, rzadziej jeszcze wygłaszane kazania, stąd największe zaniedbanie pieczy duchownej nad parafią, co doprowadziło do tego, że przed trzema laty cała wieś schyzmatycka, o cztery mile od Jass, na katolicyzm przejść chciała, aby przecież znaleźć jakąś duchowną opiekę, i byłaby swój zamiar uskuteczniła, gdyby nie namowy przerażonego pasterza i pogróżki władzy.

Nie wiele lepsze było położenie kapłanów miastowych. Musieli wprawdzie kończyć ośm klas seminaryjnych, mieli więc trochę więcej wykształcenia, ale i im troski materyalne wszystek czas zabierały i zabijały ducha. Wskutek tego, że liczba tych

księży w ostatnich czasach nad miarę wzrosła, nie mogli otrzymywać dobrych posad, lecz musieli się zadowalniać najlichszemi, które uniemożliwiały jakie takie utrzymanie bez innych zajęć pobocznych, nie zawsze zgodnych z kapłańskim duchem a nieraz i z chrześcijańskiem sumieniem. Przyłączył się do tego brak należytych podstaw religijno-moralnych, zupełna nieznajomość zasad życia duchownego, a to wszystko razem wzięte zrobiło z kleru rumuńskiego zarówno na wsi jak i po miastach najopłakańsze istoty, jakie wogóle na świecie istnieć mogą.

Zamiast ludowi świecić przykładem, uczyli go ci duchowni raczej pomiatać wszystkiem, co święte i co drogie sercu człowieka. Stąd w ludzie dzikość obyczajów, która zaraziła niestety w wysokim stopniu i ludność katolicką; stąd życie niemoralne, niesłychana obojętność w wierze albo i zupełna niewiara. Odważył się przecie pewien deputowany zapytać publicznie zmarłego kilka lat temu, a wielce cenionego dla swej nauki w Rumunii biskupa Romanu (wielkiego wroga Kościoła katolickiego), czy wierzy jeszcze w dogmata kościelne. Przeciętny Rumun, który zawsze szanował, i jeszcze po dziś dzień szanuje księdza katolickiego, czcząc w nim nie tyle sługę bożego, jak raczej uczonego człowieka, dla swego „p o p a“ ma tylko pogardę głęboką; poniewiera nim i najmniejszego uszanowania mu nie okazuje. Piśmiennictwo rumuńskie, zwłaszcza literatura beletrystyczna, przedstawia nieraz narodowego księdza rumuńskiego jako zbrodniarza w prawdziwem słowa znaczeniu; daje mu role mordercy, cudzołożnika i t. d. „Pop — pisze radykalny, a katolikom bardzo nieprzychylny *Adevĕrul*, z 15 (27) grudnia 1896 r. — nie jest człowiekiem poważanym ani też godnym czci, nie jest mądrym doradzcą, ani pośrednikiem między niebem a ziemią. Przeciwnie jest wiecznym przedmiotem naigrawań; w anegdotach ludowych odgrywa role śmieszne często nawet wstrętne. Uczynił on ze swej strony wszystko, co tylko miał w mocy, aby nie być branym na seryo. Wystawiony na kłopoty i troski codzienne, zmuszony uciekać się do ,miłosierdzia wiernych lub gonić za źródłami zysków niegodziwych, zostaje często lichwiarzem i wyzyskiwaczem pracy chłopskiej, zajmuje mniej poważane we wsi

stanowisko, aniżeli wójt lub pisarz. W karczmie znajdziemy naszego księdza częściej, aniżeli w kościele; tam traci przytomność przy dzbanie z winem, a kiedy potrzeba, to i sutannę podkasze i w tany się puści, jeżeli już nie pobije się z swemi prawowiernemi owieczkami. Ksiądz zaś katolicki jest apostołem; wie, jak ufność ku sobie wzbudzić i jak świat sobie pozyskać".

Zdarzało się, że bojar przyjmował w swoim pałacu na wsi z serdeczną gościnnością księdza katolickiego, a kiedy w tym samym czasie proboszcz schyzmatycki w interesie przybywał, kazał mu godzinami w przedpokoju między służbą czekać i nie miał dlań żadnego przyjaznego słowa. Bardzo interesujące zdarzenia, które tu jednak pominąć muszę, wskazują, że sam rząd znacznie więcej ceni Kościół katolicki i wpływ jego kapłanów, od wpływu Kościoła i księży schyzmatyckich.

Ten smutny stan Kościoła w Rumunii był dla rządu pozornym powodem do rozpoczęcia kroków reformatorskich. Mówię pozornym, gdyż rządowi nie tyle chodziło o polepszenie doli cerkwi, jak raczej o jej ujarzmienie i poddanie całkowite pod samowolę państwa. Ponieważ jednak księża lękali się kontroli państwowej, powstała zacięta walka między klerem i częścią deputowanych z jednej, a rządem i innymi deputowanymi z drugiej strony. Ghenadie, biskup z Ardżeszu, stanął po stronie rządu i wstyd powiedzieć, że kiedy świeccy profesorowie uniwersytetu i inni, opierając się na kanonach, bronili praw Kościoła i ostro karcili państwo za wdzieranie się w jego duchowną dziedzinę, on, biskup, wotował za poddaniem Kościoła pod władzę świecką.

Ówczesny prymas, człowiek gorliwy i wierzący, widząc na co się zanosi, zrzekł się swej godności. Rząd przyjął tę abdykacyę z wielkiem zadowoleniem; na prymasowskiej katedrze osadził Ghenadiego i walka skończyła się zupełnem oddaniem cerkwi na łaskę i niełaskę każdorazowemu ministrowi wyznań.

Formując „Kościół nacyonalny na granitowych podstawach" zamknął rząd przedewszystkiem kilka seminaryów. Władzę biskupów ukrócił do tego stopnia, że nie pozwolił im nawet święcić nowych księży, jak tylko wówczas, gdy zawakuje posada, i to dopiero po otrzymaniu zezwolenia od rządu, który sobie

zastrzegł prawo wyboru kandydata. Musi więc biskup trzech kandydatów przedstawić ministrowi, ten zatwierdza jednego z nich, a gdy mu się żaden nie spodoba, sam innego wybiera. Nawet w rzeczach mniejszej wagi, do niemożliwych i śmiesznych granic posuwała się sekatura rządowa. Tak np. gdy pod koniec 1891 roku przywdziali seminarzyści katoliccy z Jass po raz pierwszy suknię duchowną, co zrobiło wielkie i miłe wrażenie na ludności, chciał też rektor schyzmatyckiego seminaryum to samo i w swoim zakładzie uczynić. Udał się więc do ministra, ale minister pozwolenia odmówił — i do dziś dnia alumnom schyzmatyckim w Jassach nie wolno nosić sutanny.

Cała ta walka miała jeden dodatni skutek, ale i ten tylko częściowo. Było nim podwyższenie stopnia oświaty i wykształcenia w klerze schyzmatyckim. Dla księży wiejskich przepisano ośm klas seminaryjnych, a dla miastowych cztery nadto lata uniwersytetu. Ułożono jednak taki plan nauk, że z seminaryum będą mogli wyjść dobrzy śpiewacy, pedagodzy, naturaliści, lecz nigdy kapłani. Na śpiew kościelny przeznaczono np. przez wszystkich ośm klas po kilka godzin tygodniowo, to samo na pedagogię w kilku klasach; na filozofię zaś jedną lub dwie godziny tygodniowo przez jeden rok, na teologię moralną półtorej godziny tygodniowo przez jeden rok, na dogmatykę wreszcie dwie godziny tygodniowo przez dwa lata. Gdzież tu może być mowa o seminaryjnem wykształceniu kapłańskiem?!

Zdolniejszych uczniów wysyła rząd po ukończeniu seminaryum na uniwersytety zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, jak np. do Lipska. Przejąwszy się tam racyonalizmem i negacyjną teologią protestancką, wygłaszają później te same zasady z katedr, szerząc coraz bardziej i tak już zbyt wielką niewiarę. Gdy jeden z tego rodzaju schyzmatyckich kandydatów stanu duchownego zwiedzał seminaryum katolickie w Jassach i na zapytanie o systemie nauk, zaprowadzonym w zakładzie, otrzymał odpowiedź, że po sześciu latach nauk humanistycznych i retorycznych wykłada się przez dwa lata filozofię po dwie godziny dziennie, a przez cztery lata teologię i złączone z nią gałęzie wiedzy po trzy i więcej godzin dziennie, bardzo był zdziwiony,

i między innemi postawił to charakterystyczne pytanie: „Jakiegoż autora używacie za podręcznik w filozofii? Czy Darwina?“ — Najprostsze religijne pojęcia mącą się coraz bardziej w głowach urzędowych teologów rumuńskich. Tak np. pewne czasopismo teologiczne pisząc o małżeństwie, wyraziło się, że małżeństwo z swej natury jest nierozerwalne i że Kościół zachodni trzyma się tej zasady, ale Kościół wschodni, mając wzgląd na słabość i ułomność ludzką, dyspenzuje od tej nierozerwalności.

Takie mniej więcej zapanowały stosunki w początkach rządów nowego prymasa Ghenadiego.

Położenie tego rządowego naczelnika Kościoła wobec kleru i kraju było od pierwszych zaraz chwil bardzo niejasne i przykre, a pogorszyć się jeszcze miało w najbliższej przyszłości. Ustępstwa, jakie poczynił w parlamencie na rzecz państwa, uważane były przez lepszą część społeczeństwa za czyn nieszlachetny, za rodzaj zdrady, i wywołały przeciw prymasowi silną niechęć. Duchowieństwo nie mogło darzyć sympatyą biskupa, w którym przewidywało powolne narzędzie rządu, dążącego do ujarzmienia autonomii kościelnej, do okrojenia praw i swobód kleru. Wyższe sfery cerkiewne nie miały ochoty popierać zwierzchnika, którego niespodziane wyniesienie na najwyższą godność hierarchiczną kłuło je w oczy i budziło zazdrość. Do wytworzenia niezdrowego fermentu przyczyniła się nie mało i obrażona miłość własna metropolity jasskiego, który oddawna uważany był za kandydata na prymasowską stolicę, póki mu jej biskup z Ardżeszu z przed rąk nie zabrał. Przybył jeszcze nowy powód niechęci. Prymas okazał, że nie ma zamiaru być malowanym zwierzchnikem i zabrał się dość energicznie do rugowania różnych nadużyć w klerze. Broniąca go *Dreptatea* (Sprawiedliwość) ogłosiła swego czasu, że jednemu z biskupów wytoczył on proces o potrójną zbrodnię: o przywłaszczenie sobie 4.000 fr., przeznaczonych na inne cele, o pobicie przy ołtarzu pewnego księdza i dyakona, którzy się aż krwią zalali, wreszcie o życie w wysokim stopniu niemoralne.

Tego rodzaju energiczne kroki prymasa, lubo same w sobie uznania godne, nie mogły się jednak przyczynić do zjednania

mu skądinąd już nieprzychylnych umysłów wśród duchowieństwa. Widziano w tych krokach zapowiedź silnych rządów i ściślej kontroli, a kler, zwłaszcza wyższy, miał powody takiej kontroli się lękać i za żadną cenę jej nie dopuścić.

Niebawem prymas miał obudzić przeciwko sobie jeszcze groźniejszego przeciwnika, tj. rząd królewski. Ponieważ wyłącznie rządowi swe wyniesienie zawdzięczał, przypuszczano nie bez podstawy, że z każdem ministeryum pójdzie ręka w rękę i stanie się powolnem na każde jego skinienie narzędziem. Tymczasem Ghenadie wbrew wszelkim oczekiwaniom począł zaznaczać coraz dobitniej niezależność swego stanowiska, ministeryalne wskazówki i ukazy ignorował, jakby chciał okazać rządowi, że się na nim pomylił i zawiódł.

Łatwem było do przewidzenia, że rząd nie ustąpi z placu, tembardziej, że liczyć mógł na silne poparcie ze strony niechętnego prymasowi kleru. Zaczęły się więc toczyć zakulisowe intrygi, a nad głową prymasa zbierały się coraz cięższe chmury, zapowiadające niedaleką burzę, która też wybuchła z początkiem ubiegłego roku.

Pierwszy począł dzwonić przeciw Ghenadiemu na alarm dziennik *Adevĕrul* (Prawda), zawdzięczający swą nazwę tej chyba okoliczności, że z zasady mija się z prawdą. Mimo swoich zapatrywań jaskrawo radykalnych, nawet antymonarchicznych, a może właśnie dlatego, jest to dziennik w Rumunii bardzo czytany. Ręka w rękę z *Adevĕrulem* szła *Vointa natională* (Wola narodu) i inne dzienniki, poruszając ruchliwe fale opinii publicznej. Trzeba jednak przyznać, że zdrowsza i lepsza część opinii, dostrzegłszy zmianę, jaka zaszła w postępowaniu prymasa, poczęła stawać po jego stronie, składając dawną ku niemu niechęć, spowodowaną służalczem stanowiskiem, jakie z początku zajął wobec rządu. Posypały się więc broszury za prymasem i przeciw niemu, a sprawa nabrała niezwykłego rozgłosu.

Ministeryum lekceważyło te objawy sympatyi względem prymasa, a ponieważ Ghenadie stał się niewygodnym biskupom i władzy państwowej, postanowiono go usunąć lub zmusić do cofnięcia się; aby jednak zachować przynajmniej pozorną legal-

ność, użyto do tego synodu, którego stosunki z prymasem już od dwóch lat były bardzo napięte.

Wiadomo, że synod rządzi Kościołem rumuńskim, a statuta synodalne postanawiają, że może on tylko wtenczas być otwartym, kiedy nań przybędą obaj metropolici krajowi (bukareszteński i jasski), nadto sześciu biskupów i czterech archirejów; w każdym razie liczba członków ma wynosić przynajmniej dwunastu, a w tej liczbie muszą się koniecznie obaj metropolici znajdować. Tymczasem od paru lat metropolita jasski ze swymi sprzymierzeńcami nie przybywał z zasady na posiedzenia synodalne, a kiedy z początkiem roku minionego otwierano synod, minister wyznań, Poni sprawił swemi intrygami, że liczba prałatów była jeszcze mniejszą, aniżeli lat przeszłych. Doszło wreszcie do tego, że na posiedzenia synodalne przybywał sam prymas z trzema czy czterema sobie oddanymi członkami. Był on dobrze uwiadomiony o postępowaniu p. Poniego, to też gdy ten ostatni wyraził mu raz obłudnie swe ubolewanie nad nierozumnem postępowaniem biskupów, wypowiedział mu Ghenadie takie słowa prawdy, że nieprzygotowany na coś podobnego minister chwycił cichaczem za kapelusz i niespostrzeżenie wyniósł się z sali posiedzeń, gdzie mu się pierwsze należało miejsce.

Los prymasa był odtąd zdecydowany. Uchwalono postawić go w stan oskarżenia. Wkrótce sformułowano szereg zarzutów, a w dniu 17 (29) maja 1896 r. wręczono je prymasowi, uwiadamiając zarazem, że jest oddany pod sąd mającego się zebrać synodu. Odebrano mu godność prymasowską, a naznaczono innego dla tymczasowego zastępstwa.

Ghenadie Petrescu w trzy dni potem stanął przed synodem, a stanął z godnością i powagą, wykazując niesłuszność czynionych sobie zarzutów, niesprawiedliwość procesu i zupełną jego nielegalność ze względu na pominięcie form i nieodzownych warunków prawnych.

Według kanonów obowiązujących, składać się ma synod, jak to wspomniano powyżej, z obu metropolitów, sześciu biskupów i przynajmniej czterech archirejów: ogółem dwunastu sędziów może sądzić członka synodu. Ponieważ członkowie synodu

sprzymierzeni przeciw prymasowi ze rządem, tym razem na synod w komplecie się stawili, liczba ich doszła do 11. Aby ją uzupełnić dobrano piątego jeszcze archireja i ogłoszono legalny rzekomo synod. Rzekomo, gdyż między tymi sędziami znajdowało się trzech, którzy byli zarazem oskarżycielami prymasa, a nadto czwarty, ów zasuspendowany biskup, o którym przedtem była mowa, a który będąc sam wydany sądowi, nie miał już prawa zasiadania w synodzie. Tak więc podeptano w sądzeniu prymasa najkardynalniejsze zasady sprawiedliwości, gdyż między sędziami miał swych własnych oskarżycieli i swoich publicznie zdeklarowanych wrogów.

Kiedy Ghenadie zażądał obrońcy wykręcono się sianem i odpowiedziano mu z obłudą, pokrytą namaszczeniem biblijnem, że świeca na świeczniku sama świecić powinna, i że biskup każdej chwili ma być gotów stanąć do odpowiedzialności. Natychmiast po przeczytaniu oskarżenia, potępiono prymasa bez badania dowodów i zażaleń, bez wysłuchania świadków, owszem opierając się na świadectwach fałszywych.

Ghenadie nie uniewinniał się tym razem, ale zaprotestował przeciw całemu sposobowi sądu, i w słowach rzeczywiście serdecznych odwołał się do sumienia sędziów a raczej nieprzyjaciół swoich, przypominając i ten przepis kanonów, że ci, którzy biskupów oskarżają, muszą się najpierw piśmiennie zobowiązać, iż poniosą wszelkie kary, gdyby się pokazało, że złożyli świadectwo fałszywe.

„I oto oddany pod sąd metropolita-prymas, zasuspendowany w urzędzie biskupim i metropolitalnym zbrodniczy prezydent św. Synodu, zawezwany przez was zebranych, jak mniemacie, na św. Synodzie, nad którym Duch św. się unosi, otóż ten wielki dostojnik i wielki dygnitarz kościelny, upokorzony i poniżony, błaga was na kolanach i ze łzami w oku, wielcy i wysocy dygnitarze i słudzy Kościoła, dostojny metropolito Mołdawii i Suczawy, dostojni biskupi, i pokorni czciciele Pana, archireje, abyście się ulitowali i dali mu sędziów, którzyby go sądzili bezstronnie, bez nienawiści, wobec których nie potrzebowałby wołać z wielkim nauczycielem chrześcijaństwa, kolumną

i podporą Kościoła, św. Janem Złotoustym: ‚Gdzie mam iść, do kogo się udać? Do swych oskarżycieli, czy do swych sędziów?‘ Jestem gotów stanąć i przed soborem całego świata, ale ze mną niech staną na sąd i oskarżyciele moi, a inny niech nas sądzi. Lecz dzisiaj, dzisiaj w dniu 20 maja roku zbawienia 1896, oskarżyciele są sędziami moimi, i nie po to tu stanęli, aby ze mną byli sądzeni, ale po to, żeby mnie sądzić!“

Ponieważ protest pozostał bez skutku, stanął Ghenadie po raz drugi przed pseudo-synodem, tym razem zimno i poważnie zbijając zarzuty, jakie mu poczyniono.

Zarzuty podniesione przez gazety i pseudo-synod dają się streścić w następujących punktach: Prymas zaprowadzał nowości w Mszy św. i to nowości zakazane, kazał przytem samemu sobie oddawać cześć boską; degradował biskupów, przyjmował księży z innych dyecezyj u siebie i pozwalał im bez świadectw własnych przełożonych funkcyonować; kierował dowolnie synodem, nadużywał jego praw, i dowolnie też zmieniał jego urzędników; w modlitwach kościelnych nie kazał wspominać synodu, drukował książki kościelne bez pozwolenia najwyższej władzy, zabierał rzeczy święte i naczynia do Mszy służące; przywłaszczył sobie sumę 5.750 fr. danych na inny cel, a innym razem 6.000 fr.; kazał jednemu archimandrycie wydać w ręce jakiegoś zbrodniarza 2.000 fr. dla wydostania od tegoż papierów kompromitujących; poświęcił przeszło czterysta kościołów i t. d. i t. d.

Na wszystkie te zarzuty odpowiedział Ghenadie zimno ale dosadnie, szczególniej na zarzuty, dotyczące bezpośrednio religii, bo też te zarzuty wykazywały najjaśniej całą nicość przypisywanych mu zbrodni i całą przewrotność jego nieprzyjaciół. Tak np. utrzymywano, że degradował on biskupów bez racyi, a degradacya ta w rzeczywistości polegała na tem, że zakazał biskupom ze sobą współcelebrującym występować w pełnym ubiorze biskupim. Przeciwny zwyczaj, niedawno zaprowadzony, był rzeczywiście nielegalnym a prymas chciał się trzymać dawnej, uświęconej tradycyi.

Dramat skończył się tem, że policya wkroczyła do metropolitalnego pałacu i otoczonego żandarmami prymasa odprowa-

działa do klasztoru Kelderuszań. Skonfiskowano jego majątek, a klasztor, w którym zamknięto więźnia, oddano pod tajny nadzór policyi. Ten krok rządu był zanadto hazardownym; opinia całego prawie kraju obróciła się teraz przeciw synodowi i ministerstwu. Nietylko w broszurach i książkach, ale i na publicznych zebraniach potępiano krzyczącą niesprawiedliwość i nielegalne postępowanie z głową Kościoła rumuńskiego. Przeciwnicy prymasa bronili się także. Uciekali się do różnych wybiegów, jak np. że sąd kościelny różni się całkiem od sądu świeckiego, że sprawa prymasa nie jest właściwym sądem, ale raczej spowiedzią duchowną, że posiedzenia synodu są prywatne, dlatego nie można dodać oskażonemu obrońcy, gdyż w takim razie posiedzenia stałyby się publicznemi i t. d.

Lecz ani te odpowiedzi, ani nawet encyklika pastoralna, ogłoszona przez jednego z biskupów, nie potrafiły uspokoić umysłów, tem bardziej, że poczęły wychodzić na jaw coraz to nowe nadużycia i nielegalności, jakich się w tej sprawie z całym cynizmem dopuszczono. Jeden z sędziów synodalnych, archirej Valerian, przyznał się głośno, że wyrok potępienia podpisał zmuszony i że cofa swój podpis; biskup dyecezyi Buzeu, potępiając prymasa, uznał jednak, że jest on niewinnym; biskup Romanu ogłosił, że potwierdza potępienie, lecz wyraził się prywatnie, iż zarzuty poczynione Głowie Kościoła rumuńskiego są po prostu dziecinne.

Ghenadie widząc, że cały prawie kraj ma za sobą, skorzystał z chwili i w obszernej broszurze, zatytułowanej: *Cum am fost judecat* („Jak byłem sądzony“), przedstawił raz jeszcze, tym razem przed *forum* opinii publicznej, całą swą sprawę. Znajdujemy na tych kartach te same mniej więcej wywody, które już znamy z obrony i protestów prymasa, wypowiedzianych na synodzie; przedstawia on przedewszystkiem nielegalność sądu, podnosi, czego jako oskarżony miał się prawo domagać a co mu dano; zbija dokładnie wszystkie zarzuty, powołując się na dokumenta, które o niewinności jego świadczą i kończy wreszcie: „Od dnia wstąpienia mego w mury klasztoru w Kelderuszań, zamieniono święte miejsce na koszary, a ja niesądzony, niepotępiony wobec prawa

państwowego, w imieniu którego można jedynie naznaczać kary, wolność indywidualną ukracające, w przeciągu trzech miesięcy nie mogłem udać się do kościółka klasztornego dla odprawienia modlitw i błagania Boga o przebaczenie dla siebie i dla innych grzeszników, inaczej, jak tylko w otoczeniu żandarmów... Co się mnie tyczy, świadczę się Bogiem, że pokładając nadzieję w tem, iżem niewinny, oczekuję dnia sprawiedliwości... Tym, którzy oskarżyli i potępili niesłusznie swojego brata starszego w Chrystusie, powiem z prorokiem: nie chcę śmierci grzesznika, ale jego nawrócenia. Pan Bóg niech im przebaczy i oświeci umysły".

Echo tej broszury rozeszło się daleko, a było tak potężne, że potrafiło obalić skądinąd już mocno zachwiany gabinet Sturdzy. U steru rządu stanęło nowe ministeryum Aureliana; tekę wyznań i oświaty objął Mârzescu, profesor prawa z Jass, który w czasie *Kulturkampfu* wznieconego przez poprzedni gabinet, bronił gorąco praw Kościoła. Synod widząc, że nowe ministeryum sprzyja Ghenadiemu, cofnął wyrok potępiający byłego prymasa, i aby dogodzić rządowi, wyniósł zdegradowanego do godności archireja, która po biskupiej pierwsze zajmuje miejsce.

Po cofnięciu wyroku publiczność poczęła się dopytywać natarczywie i gorączkowo, czy sędziowie zupełnie zwalniają Ghenadiego od winy, czy tylko przebaczają mu jego występki i odpuszczają karę. Wkrótce opinia, ulegająca sprzecznym wpływom dzienników, podzieliła się na dwa obozy. Nieprzyjaciele Ghenadiego i ci wszyscy, którzy w mętnej wodzie ryby łowić chcieli, utrzymywali, że synod nie zwolnił oskarżonego, lecz tylko darował mu jego winy, ale to przedstawienie rzeczy znalazło wielu przeciwników. Nie możemy tu ostatecznie tej kwestyi rozwiązać, w każdym jednak razie to pewna, że wyższy kler w sprawie uwolnienia prymasa działał nie z poczucia sprawiedliwości, ale jedynie pod naciskiem rządu.

Przy spisywaniu aktu synodalnego, zwalniającego byłego prymasa od kary czy też winy, zaszedł wypadek, który dobitnie charakteryzuje miejscowe stosunki. Wspomniany już *Adevĕrul* doniósł pod dniem 8 (20) grudnia: „W czasie posiedzenia synodu, na którem zniesiono wyrok potępiający Ghenadiego, po-

wstała wielka waśń między członkami zgromadzenia a p. Mârzescu, ministrem wyznań. W chwili, kiedy walka w najlepsze wrzała, zbliżył się metropolita jasski do ministra i uderzywszy go w twarz zawołał: „Cóż to! zmuszasz nas, abyśmy nasze własnoręczne podpisy cofnęli i potępili?“ — „Bij, ale podpisz“ — odpowiedział Mârzescu. Jeżeli zajście to jest prawdziwe, nie potrzebuje tłumaczenia; jeżeli jest wymysłem, jasne rzuca światło na ludzi i kraj, w którym takie rzeczy wymyślić można.

Po wymuszonym wyroku synodu minister wyznań, Mârzescu, wyzwolił natychmiast telegraficznie więźnia z Kelderuszań, zapewniając go o wszelkiej wolności osobistej. Lecz, nowa ironjo losu! Już po owej zagwarantowanej wolności poprosiło pewne towarzystwo bukareszteńskie byłego prymasa o uroczyste nabożeństwo, jak to zresztą w minionych latach zawsze czyniło. Ghenadie chcąc skorzystać z przywileju zagwarantowanej wolności, postanowił pojechać do Bukaresztu: atoli zaledwie rozeszła się o tem pogłoska, wysłał rząd gwardzistom, strzegącym eks-prymasa, piętnastu uzbrojonych żołnierzy do pomocy z surowym nakazem, aby pilniej strzegli uwolnionego więźnia.

Na dzień 7 (19) grudnia zapowiedziano wybór nowego prymasa; do urny stanęło 228 wyborców. Wybory te odchylają nam znowu zasłonę, pokrywającą straszny rozstrój i moralną ruinę rumuńskiej narodowej cerkwi. Metropolita jasski jako prezydujący, dzwonił co chwila, aby uśmierzyć gorszące kłótnie i awantury — niestety, dzwonił napróżno; wreszcie zawołał zrozpaczony: „Panowie, jeśli się nie uciszycie, każę uderzyć w dzwony metropolii“. „Potrzeba nam dzielniejszego prezydenta — odpowiedział pewien deputowany — bo to jarmark nie na żarty“... i wybory odbywały się dalej tym samym trybem tak, że jak zauważył pewien dziennik bukareszteński, „sądziłbyś, że się znajdujesz w jakiemś *café-chantant*, a nie w poważnem zgromadzeniu, mającem wybierać wysokiego dygnitarza Kościoła“.

Trzydzieści głosów musiano unieważnić z powodu zbyt gorszącej lekkomyślności i cynizmu, z jakim oddawcy tych głosów przystąpili do dzieła. Trudno nie wspomnieć z uśmiechem politowania, a raczej z głębokim smutkiem, że oddawano kartki

z ironicznymi napisami: „wybieram na metropolitę-prymasa króla Karola“; „wybieram biskupa Parthenie [1], niech mu Bóg przebaczy“. Na kartkach znajdowały się nieraz puste i bezmyślne frazesy, nazwiska senatorów lub największych krzykaczy z Rumunii; nie brakło, według doniesień *Adevěrula*, i napisów pornograficznych. Jeden z deputowanych wezwany do głosowania, odpowiedział publicznie: „nie oddam głosu, gdyż jestem ateuszem“.

Ogłoszono wreszcie wynik wyborów i pokazało się, że Józef Gheorghian, mianowany niedawno przedtem biskupem Romanu, mógł się poszczycić największą liczbą głosów. Jego też obwołano następcą Ghenadiego na prymasowskiej stolicy.

Jako wyraz szczerych przekonań kleru w wyższych kołach kościelnych posłużyć może poufne wyznanie biskupa Partheniego, największego wroga zdegradowanego prymasa, że dymisya Ghenadiego była nieważna, a stąd i wybór Gheorghiana nie jest prawowity. Pewna część biskupów zaprotestowała przeciwko oborowi dlatego, że nowy metropolita-prymas był dopiero szóstego grudnia mianowany biskupem Romanu, a jeszcze przed inwestyturą, bo już ósmego grudnia, ofiarowano mu mitrę prymasowską. Mimo tych protestów tego samego dnia o godzinie czwartej został Gheorgian potwierdzony i instalowany w pałacu królewskim, a z jego wyborem skończyła się sprawa Ghenadiego, który, jak się zdaje, pogodził się ostatecznie z swym losem i na posłuchaniu u królowej Elżbiety wyraził zamiar odprawienia pielgrzymki do Ziemi św., „aby poznać kawałek świata“.

Taki obraz przedstawia nam ta jedna karta, wyrwana z historyi narodowego Kościoła rumuńskiego w ostatnich czasach. Obraz to ponury i ciemny, w którym żaden promień nadziei nie oświeca otchłani, ku której się toczy ten biedny Kościół „na granitowych zbudowany podstawach“.

Po smutnych tych zajściach Rumunia sama zaczyna poznawać własną niemoc kościelną, i coraz liczniejsze odzywają się

[1] Biskup Dolnego Dunaju, zawzięty wróg Ghenadiego, używający w Rumunii nieszczególnej sławy.

głosy, nawołujące do reformy. Ale reforma do niczego nie doprowadzi, jak długo jej warunkiem będzie walka z wszystkiem, co katolickie. Trudno zapewne wykorzenić zastarzałe uprzedzenia, i wyzbyć się niechęci do katolicyzmu, nad której stworzeniem i utrwaleniem pracowały wieki. Atoli pamiętać należy, że dla Rumunii porozumienie łatwiejszemby było, niż dla innych wschodnich narodów. Tradycya tego kraju, jego narodowe sympatye i cała duchowa kultura pcha go najwyraźniej w objęcia rzymskiego Kościoła. Katolicyzm, który w ostatnim dziesiątku lat począł się odradzać w Rumunii w całym blasku swej żywotności, obudza już w głębszych umysłach rumuńskich poważne na ten temat refleksye.

Wobec niezmiernego religijno-moralnego upadku, w jakim pogrążony jest ten biedny kraj, przedwczesną byłoby rzeczą oddawać się już dzisiaj zbyt różowym pod tym względem nadziejom. Wiele jeszcze zapewne upłynie wody w modrym Dunaju, nim nad tą piękną, wszystkiemi dziejowemi burzami poszarpaną ziemią, zabrzmi zwycięskie hasło o jednym pasterzu i jednej owczarni. Ale bądź co bądź i dziś już można zaznaczyć pewien, choć jeszcze nieznaczny, zwrot ku lepszemu. Nie jest jeszcze na czasie podnosić różne tego zwrotu objawy, warto jednak przypomnieć poważny głos, wypowiedziany niedawno temu publicznie przez wybitnego Rumuna, a przyjęty spokojnie bez namiętności i niechęci: „Z Rzymu przyszło i jeszcze dzisiaj przychodzi nam wszelkie dobro, jakiem się obecnie cieszymy; odrodzenie narodu rumuńskiego rozpoczęło się u Rumunów-katolików“. Słowa te wypowiedział poważany sekretarz rumuńskiej Akademii Umiejętności z katedry uniwersyteckiej w Jassach. I to coś znaczy.

Wiktor Wiecki.

PRZEGLĄD NAJNOWSZYCH BADAŃ Z HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ

(1893—1896).

(Ciąg dalszy.)

VI.

Poezya wieku XVI. miała obok Kochanowskiego liczny zastęp drugorzędnych przedstawicieli. Badania lat ostatnich nie dały nam jednak o nich nic prawie nowego.

O Klonowiczu wprawdzie ukazało się studyum Stanisława Basińskiego [1], ale rzecz ta ściśle filologiczna nie ma dotąd końca i ciekawszą zapewne będzie druga jej połowa, gdyż obiecuje w niej autor zająć się treścią utworu oraz reminiscencyami z literatury klasycznej. O drugorzędnym poecie, ks. Grochowskim, po dziele Adama Bełcikowskiego (1892 r.) także nic prawie nie pisano, wyjąwszy chyba drobny przyczynek p. Mieczysława Grochowskiego [2], który porównawszy herbarze Niesieckiego i Stupnickiego doszedł do wniosku, że poeta nasz pochodził z rodziny Wierzbow-

[1] „Roxolania Klonowicza w stosunku do poezyi łacińskiej i greckiej". Część I. (XIV. Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazyum w Sanoku r. 1895, str. 1—42).

[2] Mieczysław Grochowski, „Kilka szczegółów o pochodzeniu i stosunkach rodzinnych ks. Stanisława Grochowskiego". (*Muzeum*, rok 1893, zesz. 5, str. 396).

skich z Grochowa na Podlasiu i pieczętował się herbem Lubicz, nie Junoszą. Nie o wiele lepiej wyszedł też i inny, współczesny Grochowskiemu poeta, Kasper (Melchior) Leliwita Miaskowski.

Dwie rozprawki dorzucają wprawdzie skąpą garstkę wiadomości, ale nie zamykają ani karty życia, ani charakterystyki tego polityczno-religijnego poety. Życiem zajął się p. Józef Wierzbicki [1]. Rzecz ta jest usiłowaniem nakreślenia na podstawie pracy Józefa Przyborowskiego [2] życiorysu i oznaczenia dat poszczególnych utworów; rezultat atoli okazał się miernym [3]. To tylko pewna, że należy rok 1549, jako datę urodzin poety, dotąd pokutującą w dziejach naszej literatury od czasu Rymarkiewicza, posunąć naprzód o dwa lata, że poeta długo nie drukował swych utworów (do r. 1608), ale krążyły one w odpisach i jednały mu sławę nie byle jaką, że ożenił się w r. 1589, tj. przed swojem przesiedleniem do Włoszczonowej, gdzie mieszkał między r. 1603 a 1607, że tu powstały najcelniejsze utwory poetyckie, jak „Waleta“, „Nenia na śmierć Jana Zamojskiego“, „Tryumph na zwycięstwo Inflanckie“, „Dyalog o Zjeździe Jędrzejowskim“, „Tren Rzpltej na nieszczęsne wojny domowe“ i „Apologia na paszkwil przeciw Jego Królewskiej Mości“. Dopiero po powrocie do Smogorzewa rozpoczyna ogłaszać swe poezye. Jakie były polityczne zapatrywania Miaskowskiego, do-

[1] „Żywot Kaspra Melchiora Leliwity Miaskowskiego“. (Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Wadowicach r. 1893, str. 1—32).

[2] „Rodzina poety Kaspra Miaskowskiego“. *Tygod. Poznański* 1862, str. 245—253.

[3] Najlepszym dowodem powyższego sądu jest to, że p. Wierzbicki na 30 str. druku używa 38 razy wyrazów: „zapewne“, „prawdopodobnie“, „zdaje się“, „może“ i t. d. Jak bałamutnie rozumuje, świadczą takie przykłady: „Błędną jest — powiada — data urodzenia poety w roku 1549. Akta stwierdzają, że ślub ojca poety, Jana Miaskowskiego, przypadł w r. 1551, wypadnie więc datę urodzenia położyć między rokiem 1550 (!?) a 1552“ (str. 7). Albo na str. 18 powiada, że na dobę po r. 1571 tj. po śmierci ojca przypadają wiersze religijne „Kwiatki“, „Szopa zbawienia“ i t. p. Tymczasem na str. 20, pisząc o r. 1589, kiedy się poeta ożenił, dodaje: „Na tę dobę życia poety przypadają jego p i e r w s z e próby poezyi, o których już wspomnieliśmy, a zapewne i“... Kiedyż tedy zaczął pisać — po r. 1589, czy też 17 lat wstecz? Takie wątpliwości czynią czytelnika nieufnym i odejmują w jego mniemaniu rozprawie poważną wartość.

wiadujemy się ze szkicu p. Leszka M. Dziamy [1]. Dostarcza on dowodu, że poeta był wiernym monarchistą i bardzo religijnym, a że za podstawę rozbioru służą p. Dziamie niemal wyłącznie tylko dzieła, rozpatrywane na tle wydarzeń historycznych, przeto zakres studyum musi być ograniczony i kwestya niewyczerpana. Wogóle Miaskowski zasługuje na pilniejszą uwagę naszych badaczy. Nie znamy toku jego wykształcenia, nie znamy przebiegu życia, stosunków literackich, źródeł, z których czerpał, zależności od poetów pierwszorzędnych i współczesnych, udziału w sprawach publicznych, a jednak dzieła wskazują, że się gorąco temi sprawami interesował, współcześni zaś nazywali go polskim Pindarem i nad Kochanowskiego przenosili.

Wyraziściej za to wyłania się z osłon czasu postać innego dużej miary poety, mianowicie Szymona Szymonowicza. W bardzo dobrej pracy o tym poecie A. Bielowski domyśla się, że oprócz poezyi uprawiał on niekiedy prawo i medycynę [2]. Domniemanie to potwierdzają świeżo ogłoszone listy Szymonowicza [3]. Był to istotnie wszechstronny talent: uchodził u współczesnych za powagę lekarską, udzielającą rad swych w wypadkach, w których lekarze pomocy odmawiali lub gdy wskutek niewłaściwego leczenia stan chorego okazywał się groźnym. Oto bawi przy chorej kanclerzynej, gdy go wzywają jako lekarza do hetmanowej, kiedyindziej odbywa konsilium z wziętym swego czasu doktorem Stanisławem Skwierniwitą przy chorym Tomaszu Zamojskim. Jak tęgim lekarzem, tak był też Szymonowicz i prawnikiem, skoro przez ciąg całego życia piastował godność przewodniczącego sądu wyższego w Zamościu i zajmował się praktyką sądową. W jednym z ogłoszonych listów Mikołaj Daniłłowicz radzi się poety, w jakiej formie ma „powabić", tj. wyzwać przeciwnika na pojedynek; widocznie poeta wśród swych

[1] „Zapatrywania polityczne Kaspra Miaskowskiego". Poznań 1895.

[2] Aug. Bielowski, „Szymon Szymonowic" w Pamięt. Akad. Umiejęt. W filol. i hist.-fil. t. II, r. 1875, str. 105—213. Oprócz samej rozprawy mieszczą się tu i materyały, a zwłaszcza listy.

[3] Józef Przyborowski, „Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza". (*Bibl. Warsz.* r 1895, t. II, str. 141—161).

podróży i pod tym względem zebrał zasób wiadomości. Że ze światem starożytnym należycie był obeznany, to wiemy, a wiemy i o wydawaniu z manuskryptu greckiego Filona, zwanego Herenniuszem. Przybywa tylko data, dotychczas nieznana: Filo drukuje się w Zamościu w r. 1604. W innym liście czyni poeta wzmiankę o jakimś wierszu satyrycznym „na kręcenie się pieniędzy skarbowych", dotąd nieodnalezionym. To znów gdzieindziej udziela wskazówek pedagogicznych Tomaszowi Zamojskiemu w zagranicznej podróży. Wszechstronność zatem Szymonowicza w istocie zadziwiająca: poeta, filolog, pedagog, lekarz, prawnik i gospodarz, a w każdym kierunku ponad przeciętną miarę, mógł godnie zasłużyć na przyjaźń i względy potężnego hetmana. Dla nas zajmującą jest przedewszystkiem poetyczna działalność tego humanisty. Szczegółowa jej ocena dotąd wprawdzie niemożliwa, bo pozostałość literacka po Szymonowiczu obfita, ale w ostatnich latach zajęto się paru poematami. Dwa studya o dramacie *Castus Ioseph* wyszły w r. 1892 [1]. Zarówno p. Ignacy Chrzanowski, jak dr. Józef Kallenbach w rozbiorze tej tragedyi niezależnie od siebie dochodzą do wniosków, że Szymonowicz wzorował się na tragedyi Eurypidesa *Hippolytos*. Parafrazuje on albo tłumaczy tragika greckiego, a nawet gdy go opuszcza, nie dowierza własnym siłom, lecz szuka pomocy u Seneki. Jakkolwiek obie rozprawy szczegółowo wykazują zależność Szymonowicza od wzorów, to jednak myśl zależności była już przedtem poruszona przez Leona Szyperskiego w 1865 [2], a następnie przez uczonego Francuza René Lavollée w doktorskiej rozprawie *De poetis latino-polonis* w 1869 [3], którą omawia Wiktor Hahn, tłumacząc zarazem pochodzenie nazw

[1] *a)* Ignacy Chrzanowski, „Tragedya Szymona Szymonowicza *Castus Joseph* w stosunku do literatury obcej". (*Ateneum* 1892, marzec). *b)* J. Kallenbach, „Szymonowicza dramat *Castus Ioseph*" (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. filolog. t. XVII, str. 125—142.

[2] *De Simonis Simonidis vita, ingenio, poesi.* Vratislaviae 1865.

[3] Także w 1873 we francuskiem tej pracy przerobieniu p. t.: *La poësie latine en Pologne* (*Contemporain*, lipiec, sierpień).

dramatu Szymonowicza *Iempsar i Faetifer,* wziętych z utworu epicznego Hieronima Fracastora (1483—1553) p. t. *Ioseph* [1].

Drugi dramat Szymonowicza *Pentesilea*, wydany w 1618 r. okazał się także bardzo zależnym od dzieła greckiego poety Quintusa Smyrnejczyka p. t. *Posthomericorum libri XIV.*, który miał uzupełnić Iliadę. Jest rzeczą charakterystyczną, że aż do początku XIX. wieku, tj. do utworu Henryka Kleista, jeden tylko Szymonowicz w całej europejskiej literaturze udramatyzował śmierć królowej Amazonek. O stosunku *Pentesilei* do Quintusa wyraził się już René Lavollée: *sa tragédie antique de Penthesilée semble dictée par Quintus de Smyrne;* jest to jednak wzmianka bez dowodu, a dostarcza go rozprawka d-ra Hahna [2], wnikająca w drobne szczegóły i poddająca dramat wszechstronnej analizie. Wypływa z niej, że utwór to wogóle słabszy od poprzedniego, obfitujący wprawdzie w większą ilość porównań, niż inne dzieła poety, ale porównania te źródło swe mają w poemacie greckim; natomiast brak mu całkowicie akcyi, a charakterystyka osób jest nieudolną.

Z powyższego przeglądu widać, co ostatnie lata uczyniły dla dokładniejszego rozpoznania rozwoju poezyi polskiej w złotym jej wieku.

VII.

Nierównie mniej zajmowano się prozaikami. Jeden Orzechowski wzbudził żywszy interes wśród uczonych, dzięki wydanym w 1891 r. przez d-ra Korzeniowskiego materyałom [3]. Już przedtem toczył się żwawy spór o to, czy Orzechowski, czy Stanisław Górski był autorem dyaryusza wojny kokoszej [4]. Ar-

[1] Por. Wiktor Hahn, „Kilka przyczynków do pism Szymona Szymonowicza *Castus Ioseph*". (*Ateneum* r. 1892, t. IV, str. 557).

[2] Dr. Wiktor Hahn, „Penthesilea, dramat Szymona Szymonowicza". (*Muzeum* r. 1895, zesz. 8, 9, 10).

[3] Dr. J. Korzeniowski, *Orichoviana. Opera inedita et epistulae St. Orzechowski.* Kraków 1891.

[4] Dr. Kętrzyński trzykrotnie bronił swej hipotezy, że autorem *Contiones* jest Stanisław Górski. (Rocz. Tow. Przyj. Nauk Pozn. VI, 129; przedmowa do wyd. *Contiones* i *Przegl. Powsz.* 1890, nr. 7, str. 1); przeciwko niemu przemawiali Fer. Bostel (*Kwart. hist.* 1887, 1) i Korzeniowski, „O autorach

gumenta za autorstwem Orzechowskiego okazały się silniejszymi, a oto przybywa jeszcze jeden. Z porównania *Contiones* ze „Skargą“ Kl. Janickiego wynika, że oba pisma, skreślone wśród tych samych stosunków, z jednego płynęły natchnienia i miały ten sam cel polityczny. Autor „Skargi“ był dworzaninem Kmity, jest tedy rzeczą bardzo prawdopodobną, że i „Dyaryusz“ powstał wśród dworzan tego magnata, a wiemy, że Orzechowski uczestniczył w zjeździe lwowskim w r. 1537 i należał do dworzan Kmity, jego też dziełem są *Contiones* [1].

Co się tyczy życia i działalności tego niepospolicie utalentowanego, ale burzliwego i namiętnego pisarza, to jest rzeczą niezawodną, że pomimo bogatego zasobu materyałów nie rychło będziemy mogli wniknąć we wszystkie pobudki czynów, przejrzeć drobiazgowo wichrowate, niekiedy kręte, często bałamutne i niekonsekwentne drożyny, jakiemi zmierzał do celu; niezmiernie rozgałęzione jego w Rzeczypospolitej stosunki, mnóstwo broszur, dzieł i listów, namiętny ton, jaki umiał budzić u swych przyjaciół i przeciwników, nie dozwalają nam dziś jeszcze otrząsnąć się w sądzie o nim czy to z goryczy, oburzenia i zgrozy, czy też ze współczucia, a tem mniej na podstawie licznego szeregu przesłanek scharakteryzować go, jako człowieka, kapłana, obywatela, polityka, pisarza i humanistę [2]. Zarysy sądu gotowe, naszkicowali je Szujski i Tarnowski; te zapewne nie ulegną zmianie; wypełnienie jednak tych zarysów należy do przyszłości. Oto mamy przed sobą dwie o nim prace: jedna o latach 1548—1549 [3], druga o latach 1562—1566 [4].

żywotu Piotra Kmity i opisu wojny kokoszej“. (Pam. Wydz. filol. Akad. Umiej. t. VI.).

[1] Dr. L. Ćwikliński, „Klemens Janicki, poeta uwieńczony“. Str. 326—329.

[2] Odgłosem gorących sporów o Orzechowskiego są choćby przedmowy do wydań jego broszur, a świadectwem powagi rozjemstwo sporu naukowego między Górskim Jak. a Herbestem. (Por. Jakóba Górskiego życie i pisma. K. Morawski, u. s. str. 253 i 259).

[3] Ks. Romuald Koppens T. J., „Dwa lata w życiu St. Orzechowskiego. 1548—1549. Przyczynek do monografii na podstawie Orichovianów“. (*Przegl. Powsz.* 1893, t. 38, str. 48 i d.).

[4] Apolinary Maczuga, „Ostatnie lata w życiu Stanisława Orzechow-

W pierwszej rozbiera ks. Koppens „Mowę na pogrzeb Zygmunta Starego“, dwie mowy przeciwko związkowi Zygmunta Augusta z Barbarą, list do Kmity o celibacie, Diatribę i polemikę z Mikołajem Brudzowskim, obronę Walentinusa, plebana z Chrzczonowa wobec sądu biskupiego, listy Orzechowskiego w tejże sprawie do ks. biskupa Samuela Maciejowskiego i Apelacyę. Omówienie to staje się aktem oskarżenia sławnego pisarza, a wyrok wypada fatalnie: „Prywata i egoizm jego dochodzi prawie do swego szczytu; dla dokonania swych zamiarów przekręca najniemiłosierniej naukę kościelną (o władzy papieża, o czterech patryarchach, o schyzmie...), w życiu często, a w piśmie nigdy nie cofa się przed żadnem wyuzdaniem, przed żadnym choćby najpłytszym sofizmatem lub paradoksem, sądy i zdanie zmienia na poczekaniu oportunistycznie, a gdy kogoś potrzebuje, umie mu przyłasić się, podchlebić szumnie, przesadnie, zbytecznie, a zawsze panegirycznie“. Wyrok surowy, ale oczywisty i sprawiedliwy wobec poprzednich dowodów o zachowaniu się Orzechowskiego w sprawie Zygmunta i Barbary, w sprawie swojej przysięgi z r. 1547, w sprawie z biskupem Dziaduskim i t. p.

W drugiej rozprawie p. Apolinarego Maczugi najciekawszym ustępem jest dokładne streszczenie listu do Kommendoniego, który zawiera autobiografię Orzechowskiego [1]. List ten służy p. Maczudze za podstawę do znacznego złagodzenia sądu o naszym pisarzu.

Nie był on tak złym, jak o nim myślą i jak go powszechnie przedstawiają. Było w nim wiele uczuć szlachetnych, z których jedne występują wyraźniej, a drugie wypaczyły się pod wpływem małżeństwa. Był nieszczęśliwym, gdyż jeden błąd ciągnął za sobą setki innych.—Taki grunt rozprawy p. Maczugi i ku temu celowi dąży rozbiór ostatnich lat życia Orzechowskiego. Stara się on w tych latach o uznanie swego małżeństwa, walczy

skiego (1562—1566) na podstawie Orichovianów“. (Sprawozd. dyrekcyi c. k. gimn. w Tarnowie za r. 1894/5, str. 1—34).

[1] Okazuje się zeń, że Orzechowski ur. się nie w 1515, lecz w 1513.

z innowiercami i poświęca pióro swe polityce państwowej. Szkoda, że dowodu powyższych tez nie udało się p. Maczudze przeprowadzić. Nie usprawiedliwia Orzechowskiego ani polemika z Modrzewskim, ani list do Kommendoniego, ani mowa w Sądowej Wiszni, ani *Quincunx*, ani Apologia. Wszędzie i zawsze jest to ten sam świetny talent warcholski, wietrzący opinię i wyśmienicie umiejący dąć i rozdymać instynkta swawoli i rozwydrzenia szlacheckiego. Nikt nie zaprzeczy, że w pismach politycznych jego znajdą się myśli bystre i trafne i pożyteczne, ale tuż obok nich o miedzę spotyka się szkodliwe i zgubne. Nie leży w ramach i zamiarach tego przeglądu potępiać lub bronić; chodzi o zaznaczenie, że w sądzie o Orzechowskim spotyka się dziś zdania różne, że gruntownej i przedmiotowej charakterystyki pisarz ten jeszcze się nie doczekał, a może oczekiwać jej będzie długo, pomimo obfitych materyałów. A nasuwa się tu inna kwestya. Kto wie, czy osobistość ta nie jest właśnie bujnym plonem posiewu szlacheckiej swawoli i wogóle rozpanoszenia się szlachetczyzny w tym okresie. Pomiędzy nim a Rejem znajdziemy niejeden rys wspólny: ta sama zadzierzystość, ten sam zamaszysty polot wyobraźni, ta sama łatwość w używaniu pióra i słowa, ta sama popularność, nawet takie same środki schlebiania opinii, że przypomnę tylko paszkwile obu o Barbarze, stanowisko obu w sprawie egzekucyi lub zapatrywania na stosunek Litwy i Polski. Świetniej pisał, ale też i głębiej ugrzązł w złem Orzechowski — tak się przynajmniej wydaje. Jakkolwiekbądź, z wyczerpującym sądem o nim nie jesteśmy gotowi, i okoliczność ta służy za najlepszy dowód, że wieku XVI. dotychczas dokładnie nie znamy. Nie znamy mianowicie podstaw tego wieku: oświaty umysłowej tłumu, udziału jego w życiu publicznem i stopnia interesowania się sprawami państwa, życia miejskiego i wiejskiego nie w odświętnych szatach, ale codziennego, pospolitego życia, nie potrafimy zdać sobie sprawy ze stopnia rozwoju sumienia publicznego, nie wiemy, co uważano za drobne grzechy, co za występki, co za wielkie zbrodnie, jednem słowem, nie posiadamy miary, którąbyśmy mogli przyłożyć do przeciętnego człowieka i do wystającej ponad poziom jednostki. Tu należy

oczekiwać pomocy badań dziejowych. Dano już początek w tym względzie. Zanim owoc całkowicie dojrzeje, historya piśmiennictwa tego wieku wciąż będzie niezupełną i obraz jej musi posiadać białe, niepokryte barwą, plamy.

VIII.

Wiek XVI. zaczytywał książki do szczętu; stąd spuścizna literacka ówczesna wydaje nam się szczupłą, a mnóstwo dzieł znamy tylko z tytułów i wielu pisarzy tylko z nazwiska. Chociaż o następnem stuleciu powiedzieć tego nie można, to jednak wyznać trzeba, że nie znamy dokładnie piśmiennictwa i w tym okresie chylenia się jego do rozstroju. Najnowsze prace dopiero wskazują badaniom właściwą drogę, ale — jakkolwiek są ważne — kreślą zaledwie szkic całkowitego obrazu, zamglonego dotąd i niewyraźnego.

Dwa studya zajęły się rozpatrzeniem życia i dzieł Józefa Bartłomieja Zimorowicza [1]. O życiu jego podawały podręczniki nieliczne szczegóły; dzieła były mało dostępne. Dzięki monografii prof. Hecka, w której z mrówczą skrupulatnością gromadzi bogaty materyał nietylko do Zimorowicza, ale wogóle do historyi ówczesnego Lwowa, jesteśmy w możności ocenić stopniowy rozwój talentu poety aż do roku 1646, na tym bowiem roku urywa się pierwsza część monografii. Zimorowicz nie był zgoła Ormianinem, lecz rzymskim katolikiem, synem murarza, nie rzeźbiarza, a otrzymawszy początkowe nauki w domu, wstąpił do kancelaryi pisarza radzieckiego, Alberta Zimnickiego, gdzie się zapoznał z prawem i przysposobił do adwokackiego zawodu. W r. 1623 w czasie strasznej dżumy ucieka ze Lwowa aż za Wisłę i drukuje w Krakowie dwa utwory: „Testament

[1] 1. Korneli Heck, „Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów, na tle stosunków ówczesnego Lwowa“. (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. fil. S. II, t. VIII, str. 1—187, oraz „Materyały do biografii Józ. B. Zimorowicza“. Cz. I. (Archiwum do dziejów liter. i oświaty w Polsce t. VIII, str. 161—240).

2. Wiktor Czermak, „Przyczynek do biografii Józ. Bart. Zimorow.“. (*Bibl. Warsz.* r. 1896, t. 2, str. 345—361).

luterski“ oraz „Pamiątkę wojny tureckiej“. W r. 1629 wydaje poemat satyryczno-humorystyczny p. t. „Żywot Kozaków Lisowskich“, napisany prawdopodobnie jeszcze przed r. 1620, a zatem przed satyrycznym również „Testamentem“. Od r. 1624 jest już adwokatem, zbiera majątek, a w pięć lat żeni się z córką złotnika, Duchnicówną. W latach następnych sława i majątek rosną, poeta kształci się, zostaje wreszcie w r. 1640 pisarzem radzieckim, a w 1646 nadto i miejskim ławnikiem.

W tym męskim okresie swego życia pisze prozą łacińską panegiryk na cześć Władysława IV. p. t. *Vox leonis,* mowę o męce Chrystusa Pana p. t. *Ecce deus, ecce homo* i drugą *Advocatus mundi,* poemata łacińskie *Iesus, Maria, Ioseph,* oraz polskie „Hymny na uroczyste święta Bogarodzice Maryej“. Te ostatnie, jakkolwiek są przeważnie przekładami pieśni łacińskich, należą do celniejszych utworów Zimorowicza.

Najważniejszy okres w życiu poety w opracowaniu tegoż autora dotąd nie wyszedł. Dał nam zeń jeden tylko epizod dr. W. Czermak. Na podstawie rękopiśmiennego materyału archiwum miejskiego w Krakowie przedstawił on przebieg sprawy Zimorowicza ze Złotorowiczami, która — jak się zdaje — rzuca niezbyt pochlebne światło na charakter poety, skłonny do pieniactwa i burzliwy.

W toku opracowania dzieł sielankopisarza wyłoniła się zasadnicza kwestya, jak się zapatrywać na bardzo pospolitą formę poetyczną w tym i następnym wieku, mianowicie na panegiryk: Czy sprawiedliwą jest klątwa nań rzucona?[1] O ile panegiryk wielbi to, co istotnie godne pochwały, o tyle uważać go trzeba za tak dobry typ literatury pięknej, jak każdy inny.

Da się to niezawodnie powiedzieć o *Vox leonis* Zimorowicza, panegiryku na cześć Władysława IV., ale nie zawsze z tym samym skutkiem można prawidło to zastosować do utworów panegirycznych Samuela Twardowskiego, jakkolwiek p. Aleksander Czechowski usiłuje go oczyścić z zarzutu schlebiania[2]. W przychyl-

[1] Op. cit. str. 152—153.

[2] Dr. Aleksander Czechowski, „Samuela ze Skrzypny Twardowskiego *Miscellanea selecta*“. (Rocznik Towarz. Przyj. Nauk Pozn. R. 1896, t. XXII).

nem swem usposobieniu względem tego poety określa on dotychczasowe utwory epiczne, jako „kronikę rymowaną“ — szematyczną, suchą i niesmaczną w przeciwstawieniu do pełnych życia, siły i prawdy obrazów Twardowskiego, przyznając mu miejsce pośród naszych najlepszych poetów epicznych. Poprzedni badacze literatury mienili go „pochlebcą bez granic“, „płasko pochlebnym stronnikiem Karola Gustawa“, zarzucali mu chwiejność charakteru, brak poczucia godności, „bezmyślność i kłamliwość“ [1]. P. Czechowski rozpatrując panegiryki, sławiące Łubieńskich, Wiśniowieckich, Leszczyńskich i króla szwedzkiego stara się poetę usprawiedliwić. Usiłowanie to jednak nie powiodło się. Panegiryk np. na cześć króla szwedzkiego zaczyna się szumnem zdaniem: „Co to za światło z ostatniej północy powstaje nowe?“ Opisuje następnie klęski w kraju i nierząd. Uciśnieni zewsząd obywatele witają Karola Gustawa, zanim poznali. Niech idzie aż do Korony, niech połączy Polskę ze Szwecyą „nierozerwaną ligą“. Twardowski dopisał wprawdzie na panegiryku: „wymuszony“, ale utwór wydany dopiero w r. 1682 — i taki spóźniony dopisek zgoła nie oczyszcza. Twardowski, tak patetycznie witający pod Ujściem nową gwiazdę, nie stoi może na równi z Radziejowskim i Opalińskim — zaprzedańcami — ale z pewnością na zarzut płaskiego i bezmyślnego pochlebcy zasłużył. Wszakże sam p. Czechowski wymienia i roztrząsa jego wiersze pochwalne na cześć dziecięcia Wiśniowieckiego, na pałac Leszczyńskich, nawet nagrobek Garsonkowi, psu Wojewódzkiego. Niefortunna w swem usiłowaniu rehabilitacyi poety, ale zresztą cenna praca p. Czechowskiego oznacza daty niektórych utworów, wykazuje wpływy działające nań, mianowicie Horacego, Wergiliusa, Pharsalii Lukana, Piotra Kochanowskiego, Sarbiewskiego, prostuje zdanie, jakoby Twardowski miał talent liryczny, a w ogólnej ocenie przenosi go nad Potockiego, co znowu jest uprzedzeniem zbyt pochlebnem i trudnem do przyjęcia. Między innemi twierdzi p. Czechowski, że poeta jest „wzorem szlachcica polskiego z pierwszej połowy XVII. wieku i najlepszym

[1] Jul. Bartoszewicz, Rycharski i Bronisław Chlebowski.

przedstawicielem owych burzliwych czasów wojennych, w których ważyły się na polach bojowych losy narodu". Czy twórca panegiryku na cześć Karola Gustawa może służyć za wzór, o to spierać się nie będę; pragnę tylko zauważyć, że mamy z tegoż mniej więcej czasu drugi typ szlachcica, niewątpliwie doskonalszy, a z pewnością większego talentu w osobie Wacława Potockiego.

Sympatyczna ta osobistość oświetliła się należycie dopiero dzięki najnowszym studyom Czubka[1] i Brücknera[2]. Pierwszy z aktów grodzkich i ziemskich bieckich podał wo wielce umiejętnem zestawieniu sporą wiązkę nowych szczegółów do życiorysu poety. Dotychczas ze szkicu Szajnochy znaliśmy to, co się z dzieł Potockiego wysnuć dało; obecnie możemy rok po roku, ostatnie zaś lata niemal dzień po dniu, śledzić przebieg tego szlacheckiego żywota.

Urodził się Potocki w r. 1623[3] nie w Łużnej lecz w Woli Łużeńskiej z rodziców wyznania aryańskiego. Uczył się w szkole aryańskiej w Raciborsku pod Krakowem. Od r. 1642 gospodaruje społem z bratem Jerzym, a od 1646 sam — na dziedzicz-

[1] Jan Czubek, „Wacław z Potoka Potocki. Nowe szczegóły do żywota poety". (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Kraków 1895, t. VIII, str. 241—305).

[2] Dr. A. Brückner, „Ostatnie lata Wacława Potockiego". (W lat dwieście po zgonie poety). *Bibl. Warsz.* r. 1896, t. III, str. 1—34.

[3] Dotąd podawano jako datę urodzenia rok 1622. Prof. Czubek stwierdziwszy, że ojciec Wacława Adam ożenił się w listopadzie 1620, i zestawiwszy wiek z Jovial. str. 85 — utrzymuje, że nie mógł się urodzić wcześniej jak w 1623. Jednakże prof. Brückner w cytowanem powyżej studyum na str. 31 powiada, że Potocki zabrał się d. 25 października 1695 do pisania drugiej części wierszy moralnych, a w przypowieści „Czego dokończyć nie możesz, lepiej nie poczynać", mówi:

. . . . . w ostatniej starości, w siedmdziesiąt lat sześci
Poczynam drugą pisać księgę przypowieści.

Stąd wynikałoby, że urodził się w r. 1619. Być może, że data zabezpieczenia żonie posagu i oprawy przez Adama Potockiego, na której opiera swój rachunek p. Czubek, nie nastąpiła bezpośrednio po ślubie. Ale w każdym razie, aby przyjąć r. 1619, jako rok urodzenia, potrzeba dowodu na to, że druga część przypowieści pisała się w r. 1695.

nych częściach ojcowskiej spuścizny. W dwa lata potem w połowie lutego żeni się z Katarzyną Morsztynówną, także Aryanką. W r. 1651 ma już córkę Zofię i syna Stefana. Z wiosną tegoż roku ciągnie z pospolitem ruszeniem pod Beresteczko i mężnie tam walczy. Być może, że brał udział w wojnach kozackich lat następnych, a każą się tego domyślać wzmianki w utworach poety i wyrażenie w przywileju króla Jana na podczaszostwo: *variae occasiones bellicae*. W czasie smutnych czasów zalewu szwedzkiego, gdy szlachta tłumnie opuszczała ojczyznę, chroniąc się do krajów ościennych, zdaje się, że i Potocki „poniósł schyloną głowę za granicę", najpewniej na Węgry do Bardyjowa[1]. Ale już pod koniec 1655 r. wraca do kraju. We dwa lata potem w roku 1657 przechodzi na łono Kościoła katolickiego zrazu z pobudek tylko ziemskich, gdyż rozpoczęło się w kraju ciemiężenie Aryanów, potem jednak przyłączyło się i szczere przekonanie; dzieci swe atoli ochrzcił dopiero w r. 1663, a żona pozostała Aryanką aż do r. 1675. Pomijam tu procesy, zajazdy i spory polityczne: widocznie brał poeta żywy udział w życiu szlacheckiem, skoro w r. 1667 zostaje na sejmiku proszowskim sędzią skarbowym województwa krakowskiego, a wkrótce potem nawet podstarościm bieckim. Lata następne płyną szczęśliwie, dopiero w połowie grudnia 1673 r. uderza pierwszy grom w zacienioną ustroń podgórską: umiera najstarszy syn Stefan w powrocie z wyprawy chocimskiej. W cztery lata idzie za nim córka Zofia, zamężna starościna Lipska. Dotkliwe te ciosy nie dały się złagodzić odznaczeniem, jakie na poetę spłynęło, gdy otrzymał

[1] Domysł prof. Czubka. Inaczej pisze prof. Brückner na str. 13 swej rozprawy. „Jak i Rej nie ruszył nigdy Podczaszy za polskie granice; opisując np. położenie Małych Strzelców, wioski, którą dla syna Jerzego od starosty kowelskiego i za radą jego był kupił, wspomniał wyraźnie:

Z tę stronę Uszew szumi, z drugą Raba bierze...
Jakbym był w Hollandyej, nie bywszy nikędy.

Tylko służąc czas jakiś wojskowo był nieco dalej na Rusi, we Lwowie, w Kijowie, gdzie w pieczarach widział i ciało olbrzyma Czobotka"... Jestem zresztą zdania, że powyższej wzmianki we wierszu nie trzeba brać zupełnie dosłownie, a domysł prof. Czubka dostatecznie umotywowany.

godność podczaszego krakowskiego w r. 1678. Pozostał mu tylko najmłodszy syn Jerzy, również dorosły już młodzieniec. Ten staje się przedmiotem zmartwienia i kosztów, ponieważ w 1682 zabija szwagra Rościszewskiego. Długie starania uwolniły go wprawdzie od kary, ale śmierć zabrała go w jesieni 1690 r. Przedtem około r. 1683 umarła żona; ostatnie tedy lata życia pędzi sędziwy Potocki w osamotnieniu, „sądów bożych straszliwie porażony biczem", słodząc schyłek życia pracą literacką. Umarł w jesieni r. 1696.

Był to zamożny szlachcic; we względzie politycznym dzielił przekonania braci szlachty, a więc był przeciwnikiem Wazów, wrogo usposobionym dla dworu austryackiego, szczerym sojusznikiem Lubomirskiego, gorącym wielbicielem króla Michała; umiał jednak cenić bohaterstwo Sobieskiego, nie wahał się potępić ochlokratycznej gospodarki pod Gołębiem, występował przeciw nadmiernej „wolności", należał tedy do lepszych pośród szlachty. Najpiękniejszą kartę w poczciwym jego żywocie wypełnia rodzina i życie domowe. Taki obrazek życia domowego, oparty na niewydanych dotąd pismach, kreśli barwnem piórem prof. Brückner. Widzimy tego starca, jak wygląda, czem się trudni, co je lub pija, jak się ze służbą obchodzi, jak się krząta po dworze... Postać to niezawodnie i sympatyczna i wielce zajmująca, bo typowa postać ówczesnego szlachcica. Szkoda, że studya powyższe, tak bogate ze względu na nowy materyał biograficzny, skąpe tylko rzucają światło na twórczą pracę jednego z najpłodniejszych i najpracowitszych naszych pisarzy. Jak tworzył, kiedy powstawały wielkie poematy, jak: Wojna Chocimska, Syloret, Argenida, Poczet herbów, Ogród, Moralia, Iovialitates, jakie pobudki skłaniały go do pisania, jakie miał wzięcie i sławę u spółczesnych — wszystko to kwestye dotąd mało wyświetlone. Zapowiedział w swej pracy studyum o Potockim dr. Brückner, i on może braki te wypełni.

Odmiennie rzecz się ma z innym pisarzem tego czasu, Morsztynem: posiadamy oto gruntowną ocenę działalności jego pisarskiej, dzięki kilku najnowszym o nim pracom, w pierwszym

rzędzie p. Porębowicza[1]. To prawda, że zarówno charakter jak i poetycka indywidualność Morsztyna źle wyszły na tem oświetleniu, ale u prawdy jedno lico i choć jest brzydkie, lepiej gdy się odsłoni, niżby się miało maskować. Jan Jędrzej Morsztyn urodził się w r. 1613 a umarł w 1693[2]. O studyach, młodości i początkach służby publicznej nie wiemy nic pewnego. Jesienią r. 1654 posłuje do Szwecyi, w kwietniu następnego roku wraca i znowu w r. 1656 toczy układy z cesarzem Ferdynandem w Wiedniu. W r. 1658 jako referendarz odbywa poselstwo do Berlina. W sprawie Lubomirskiego siedzi na dwóch stołkach: darzy ambitnego marszałka przyjaźnią, a równocześnie zabiega o względy królowej i bierze 9.000 fr. rocznej pensyi ze skarbu francuskiego. W 1667 r. jest już podskarbim koronnym. Sprawa o zdradę stanu, o nadużycia urzędu i zatrzymanie klejnotów koronnych dostatecznie znana ze studyum Deichesa i Siemieńskiego. Stanowisko i znaczenie Morsztyna, jako poety, obniżyło się wskutek wywodów krytyczno-estetycznych p. Porębowicza, który wykazał na bardzo licznym szeregu zestawień, że Morsztyn i w „Lutni“ swej i w „Kanikule“ i w poemacie „Psyche“ był naśladowcą lub nawet tłumaczem barokowych poetów włoskich i francuskich tak dalece, iż oryginalnych utworów wśród jego spuścizny poetyckiej znajdzie się zaledwie „kilka“ (str. 314). Wszelkie zatem sądy o „głębi uczucia“, o „szałach namiętności“, jakie dotąd spotykaliśmy o Morsztynie, usunąć się muszą, a pozostaje talent reprodukcyjny, umiejący wynaleźć wyraz na odtworzenie uczucia, choćby ono nawet było sztuczne[3].

---

[1] *a)* Roman Zawiliński, „Notatki do biografii Jana Andrzeja Morsztyna“. (*Bibl. Warsz.* r. 1893, t. I, str. 132—140).

b) Deiches, „Koniec Morsztyna“. Kraków 1894.

c) Edward Porębowicz, „Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej“. (Rozprawy Akad. Um. Wydz. filol. S. II, t. VI. 1894, str. 225—319).

[2] „Czasopismo polit. XVII. w.“ *Theatrum Europaeum,* t. XVII, str. 518.

[3] Rozprawa p. Porębowicza może uchodzić za pracę programową i należy bezsprzecznie do najlepszych studyów krytyczno-estetycznych z lat ostatnich. Wzbudziła zainteresowanie w szerokich kołach miłośników naszej literatury, wywołała pewien ruch a nawet stworzyła naśladowców wśród młodszej generacyi badaczy. Oceniano ją niejednokrotnie niemal we wszyst-

Do najcelniejszych poetów tego wieku należy także Wespazyan Kochowski, autor Psalmodyi. Ostatnie lata przydały do studyów Nehringa i Tarnowskiego o tym pisarzu zaledwie szczupłą wiązankę. Zajmuje się nim prof. Leszek Dziama i ma zamiar przedstawić go wszechstronnie na tle wieku. Dotychczas

---

kich poważnych czasopismach, prawie zawsze pochlebnie, dlatego nie od rzeczy będzie, że zaznaczę tu pewne wątpliwości, jakie mi lektura jej nasunęła.

1. Zasada metodyczna p. Porębowicza jest ta: w literaturze naszej XVI. i XVII. w. szliśmy za prądami zachodniej Europy, spaźniając się w tym pochodzie statecznie; jeśli tedy chodzi o wykrycie wpływów zachodu, wypada oznaczyć epokę literacką i grupę, do której autor i dzieło należą, następnie sprawdzać pokrewieństwo. Zasada w danym wypadku i wielu innych, słuszna, ale jako reguła — ciasna, gdyż oparta wyłącznie na prawie asymilacyi i na powinowactwie form estetycznych. Najpierw drogi rozwoju ducha ludzkiego nie dadzą się ułożyć w ramki i pocyfrować wedle grup. Pan Porębowicz np. utrzymuje, że Kochanowski mniej kształcił się na Ronsardzie, więcej na Marocie, mniej na Arioście, Bernim i Tassie, więcej na Poggiuszu, Polizianie i Wawrzyńcu Wspaniałym; kto inny jednak wykazuje, że Kochanowski więcej kształcił się na Ronsardzie niż na Marocie; jeszcze inny powie, że Kochanowski sięgał do źródeł klasycznych rzymskich i greckich, pomijając humanistów włoskich; ktoś czwarty udowodni, że suma wpływów obcych u tego pisarza jest mniejszą w zbiorowych składnikach jego twórczości od sumy pierwiastków rodzimych, od wpływu potrzeb własnego społeczeństwa. Tak czy owak zawsze metoda wtłaczania kierunków i działania ich w ramki i grupy, okaże się wobec dróg duchowego rozwoju niepospolitych ludzi pedantyczną i ciasną. Powtóre, jeżeli zasada ta we wielu wypadkach mylna, gdy się zestawia pokrewieństwa f o r m estetycznych, to ilość tych wypadków urośnie, gdy uwzględnimy t r e ś ć dzieła. Weźmy np. Słowackiego. Wiemy przecież, że wszystkie wieki i wszystkie literatury i wszystkie grupy składały mu swoją daninę, a tak dobrze w treści jego utworów wskazują ślady np. Owidyusa, jak Dantego, jak Kalderona, jak Szekspira, jak Byrona, Walter-Scotta, romantyków francuskich i t. d. i t. d. Ta rozmaitość wpływów stosuje się nawet do poszczególnych utworów. W jednym poemaciku, jak „Ojciec zadżumionych“, znajdują motywa kilku dzieł, przedzielonych wiekami: „Metamorfoz“, „Boskiej Komedyi“, „Trenów“ i „Więźnia Czyllonu“. Jakże tu można mówić o grupach? Gdyby tak było w istocie, to np. takie studya porównawcze jak Schlegla: „Fedra Racine'a i Eurypidesa“, jak Chmielowskiego: „Dwie sobótki“, jak Szujskiego: „Treny i Ojciec zadżumionych“, nie miałyby zgoła sensu, a jednak na seryo nikt tak utrzymywać nie może.

2. P. Porębowicz gromi i karci z góry, nie szczędząc nawet szyderstwa i ciętego sarkazmu, swoich poprzedników w pracy nad Morsztynem, za to zwłaszcza, że widzieli w nim szczere i głębokie uczucie tam, gdzie,

jednak ogłosił dwie cząstki swej pracy [1], w których objaśnia religijność poety, jego kult do Krzyża świętego i Bogarodzicy, oraz genezę głównego dzieła Psalmodyi. Ta ostatnia powstawała powoli pomiędzy latami 1681—1691, a dopiero obawa śmierci przyspieszyła ugrupowanie i przygotowanie do druku całego dzieła. Zestawienie psalmów z utworami Dawida i z dziełami polskich pisarzy, daje miarę twórczości Kochowskiego, nie obniżając znaczenia tego pięknego poematu.

Widzieliśmy, że każdego prawie z wybitniejszych poetów XVII. wieku dotknęła myśl krytyczna. Mniej szczęśliwi byli —

---

wedle niego, są puste dźwięki i wyrazy, gdyż — jak on to niezbicie wykazał — Morsztyn przelewał z obcych wzorów na język polski. Zarzut idzie za daleko. Zgoda na to, że Morsztyn był naśladowcą, ale czy pomimo tego nie mógł i czuć, okazując w naśladownictwie dużo płomiennej siły, któraby mogła wynikać z podobieństwa sytuacyi uczuciowej pomiędzy jego wzorem a nim samym. Czy objawy miłości lub cierpienia nie powtarzają się? Co więcej — mógł nawet Marini być sobie pisarzem barokowym, stylistą suchym czy sztywnym; mógł go Morsztyn naśladować lub przerabiać, a jednak wlać w swe utwory więcej ognia i ciepła. Czy „Książe niezłomny“ Słowackiego ustępuje tak bardzo Kalderonowi? Czy „W drodze do Neapolu“ Mickiewicza nie jest dla nas rzewniejszem od „Mignon“ Goethego? Siła uczuciowego oddziaływania polega na sile uczucia, wlanego w utwór — i nic więcej — bez względu na to, czy utwór jest oryginalny lub naśladowany. Podobnie rzecz ma się w liryce z nastrojem czytelnika. Inaczej odczuwać będzie np. „Treny“ ten, co nigdy nie miał dziecka, inaczej ten, co nigdy nie stracił dziecka, inaczej ten, co je przed chwilą stracił. Zarzut tedy tak ostro przez p. Porębowicza sformułowany i przeciwko Morsztynowi i przeciwko tym, którzy w nim upatrują płomienne uczucie — jest co najmniej niedość obmyślany.

3. Na taką zasadę pisać się można zupełnie wtedy, gdy tłumacz zły; ale jeśli naśladowca lub tłumacz talentem nie ustępuje swemu pierwowzorowi, w takim razie gwoli utrzymaniu zasady łatwo popaść w sprzeczność, jak to się zdarzyło i p. Porębowiczowi. Raz bowiem mocą całego rzędu argumentów odmawia poecie indywidualizmu, czyni go naśladowcą, odmawiając zgoła lirycznego talentu (str. 315); drugi raz powiada, że „nie brakowało mu ogromnej zdolności znajdowania najsilniejszego wyrazu, gdzie szło o wyrażenie natchnionego uczucia“, lub też, że „karyera polityczna odebrała literaturze naszej jeden z najdzielniejszych talentów XVII. wieku“ (str. 315).

[1] Leszek Marya Dziama, „Zapatrywania religijne Wespazyana Kochowskiego“ (Charakterystyka). Kraków 1894. — „Wespazyana Kochowskiego Psalmodya polska“. Kraków 1896.

jak zwykle — prozaicy. Ani o Birkowskim, ani o Starowolskim, ani o Pasku, ani o Fredrze nie pisano nic. Tylko Tomasz Młodzianowski znalazł w ks. Józefie Sasie zdolnego i przedmiotowego biografa[1]. Życiorys kaznodziei zyskuje szereg dat. Uczył się w Sandomierzu, Kaliszu, Łucku, Rawie i Brześciu, a od r. 1646—1650 w Krakowie. Otrzymawszy święcenia wyjeżdża do Persyi, skąd wraca w r. 1658. Działa następnie, jako kaznodzieja, wicerektor i wiceprowincyał w różnych domach Jezuitów, w końcu w Krakowie do śmierci w r. 1686. Wydaje liczny poczet dzieł teologicznych i paręset kazań. Ścisła analiza tych ostatnich przedstawia go, jako obywatela, gorąco kraj miłującego, jako tęgiego moralistę, który zna wady społeczeństwa i kazaniami umie budzić w duszach ziarna uczuć szlachetnych. Studyum ks. Sasa traktuje rzecz z ogólniejszego stanowiska i uwzględnia nietylko wybitną postać kaznodziei, ale też życie, potrzeby, domagania się, zwyczaje i obyczaje, zabawy i troski, klęski i zwycięstwa wieku.

IX.

Jeśli pośród ostatnich badań nad rozwojem naszej literatury we wieku XVII. spotkaliśmy się z niejedną pracą gruntowną, wybiegającą poza ramy jednego życia i jednego człowieka, to z wiekiem XVIII. obchodzimy się prawdziwie po macoszemu. Czy dlatego, że w pierwszej połowie pustką świecił, że czujemy niechęć do szperania w tem rumowisku, jakie w piśmiennictwie naszem do połowy wieku się spotyka. Dość, że pośród prac, temu stuleciu poświęconych, niemasz ani jednej tej miary, jak np. o Potockim, Zimorowiczu lub Morsztynie. Z pierwszego pięćdziesięciolecia na uwagę zasługuje praca p. W. Bojarskiego o Drużbackiej. Autor dodaje kilka wiadomości do życiorysu poetki. Urodziła się ona w r. 1695. Mając lat 16 wstąpiła do fraucymeru ks. kasztelanowej Sieniawskiej, a stąd około

---

[1] Ks. Józef Sas T. J., „Ksiądz Tomasz Młodzianowski i jego kazania". (*Przegląd Powszechny* 1896. wrzesień str. 307; październik str. 78; listopad str. 212).

r. 1720 wyszła za mąż i żyła z mężem lat kilkanaście, do roku mniej więcej 1736, owocem zaś tego małżeństwa były dwie córki. Znaczną część wdowiego życia spędziła w Cieplicach i Rzemieniu, zabiegając skrzętnie około zabezpieczenia losu córek, a ostatnie lata modliła się w ciszy klasztornej w Tarnowie, i tam umarła, przeżywszy lat 70. Obszerny rozbiór dzieł i parę nowych utworów uzupełnia tę rozprawę [1].

Z drugiego pięćdziesięciolecia tylko Konarski, Krasicki i Zabłocki zdobyli drobne przyczynki. Dwie rozprawki o reformatorze stosunków naszych literackich, pedagogicznych i politycznych, ks. Stanisławie Konarskim, dotyczą dwóch chwil jego życia: pierwszej młodości i sporu z Jezuitami wileńskimi o prawo nauczania [2].

Pierwsza obejmuje lata od 1700—1725. Osierocony w 9 roku życia poszedł pod opiekę kasztelana Czermińskiego. Początkowe szkoły w Piotrkowie, nowicyat w Podolińcu od r. 1715. Wówczas już jako 15-letni młodzian pisywał niezłą łaciną ody na cześć Matki Bożej (*Decas Lyrica*, wyd. w 1724 r.). Po dwuletniem studyum w Podolińcu pełnił obowiązki nauczycielskie, zrazu w miejscu, potem od 1721 r. w Warszawie. Tu witał panegirykiem wstąpienie na tron biskupi Piotra Tarły i żegnał go 1722 roku mową pogrzebową. Na cześć biskupa poznańskiego, Jana Tarły w 1723 również ułożył olbrzymi panegiryk. Biskup ten wysyła go własnym kosztem do Rzymu w r. 1725. Okres to starych form i dawnych przekonań. Konarski jest wtedy żarliwym ortodoksistą i gorącym zwolennikiem szlacheckiej *aequalitatis*. Upadają tedy mniemania, jakoby już wówczas objawiły się u niego ślady dążeń reformatorskich. Nastąpiło to dopiero skutkiem podróży zagranicznej. Jak widać ze stanowiska ks. Konarskiego w sporze o szkoły z Jezuitami w Wilnie, toczącym

[1] W. Bojarski prof., „Elżbieta Drużbacka. Życie i pisma, z dodatkiem nieznanych dotychczas utworów". Przemyśl 1895.

[2] Wojciechowski Konstanty, „Młodość Stan. Konarskiego" (1700—1725). Lwów 1895.

Dr. H. Biegeleisen, „Stan. Konarski w procesie Jezuitów z Pijarami" (Na podstawie nieznanej korespondencyi). *Muzeum* 1896, zesz. 6 i 7.

się od r. 1732 przez lat 20, działa on zabiegliwie i z uporem broni sprawy kolegium swego, ale wychodzi z zasady „mądry ustępuje okolicznościom“ i gdy liczne memoryały i broszury nie pomogły, a Pijarzy musieli zrzec się we Wilnie prawa nauczania, cofa się i nawet nagli o ugodowe załatwienie sporu, unikając ostateczności. Ustęp to zresztą z życia tego męża nieznaczny i mniejszej wagi.

Takiż drobny rys przybył nam do bliższego ocenienia publicznej pracy I. Krasickiego [1]. Na stanowisku prezesa trybunału małopolskiego odgrywa on zaszczytną rolę: pracowity i świecący przykładem dla podwładnych, dba wielce o oświecenie i edukacyę adwokatów, o surową, bezstronną sprawiedliwość, o utrzymanie tajemnicy sądowej. Jedna królowi powagę i sympatyę, krzewi u deputatów poczucie obowiązku, słowem choć młody godnie czyni zadość trudnemu i doniosłej wagi zadaniu.

Rozprawki o pisarzach XVIII. wieku omawiały przeważnie drobne okresy lub epizody z życia, z wyjątkiem rozprawy o Drużbackiej. Całością życia i dzieł Zabłockiego zajmuje się p. M. Gawalewicz [2], jednakże ostateczny rezultat badania nie przynosi nam prawie nic nowego, bo też autor zastrzegł się, że praca jest tylko szkicem. Prostuje się data urodzenia, podawana dotąd przez Estreichera, Dubieckiego i innych na r. 1754. Zabłocki urodził się w 1750 r. Żeni się z aktorką w 1775, a zapewne w 4 lata potem żona już nie żyje. W czasie swego wdowieństwa cierpi niedostatek. Podczas sejmu wielkiego pisze mnogie paszkwile i satyry przeciwko panom i kupcom, „zelżywe podejrzenia miota na ministrów, senatorów i posłów. Pastwi się nad Jezierskim, kasztelanem łukowskim, Suchodolskim, posłem chełmskim, Grabowskim, starostą i posłem wołkowskim, Kurdwanowskim, posłem czernichowskim, nawet nad ks. Kazimierzem Sapiehą, jednym z marszałków sejmu“ (str. 21). W r. 1794 przyjmuje urząd w Komisyi inkwizycyjnej, ale po roku rzuca go i je-

[1] Józef Tretiak, „Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału“. (Rozpr. Ak. Um. Wydz. filol. t. XXIV, 1895, str. 1—37).

[2] M. Gawalewicz, „Franciszek Zabłocki. Szkic biograficzno-literacki“. Kraków 1894.

dzie do Rzymu, gdzie zostaje księdzem. Po powrocie proboszczem w Górze i Końskowoli do śmierci w r. 1821.

Te przyczynki do dziejów literatury ubiegłego wieku świadczą chyba o braku upodobania do tego okresu rozkładu państwowego a odrodzenia piśmiennictwa. Objaw to tem dziwniejszy, że czasy nie są odległe, że materyały w archiwach obfite, że studya historyczne liczne i cenne dozwalają nam rozpoznać fizyognomię dziejów w ogóle i w szczegółach. Analiza utworów literackich niełatwa wprawdzie, bo autorowie częstokroć pisali bezimiennie, ale miejmy otuchę, że niebawem gruntowniejsze rozbiory form i stylów, wydobycie korespondencyi prywatnej, oraz ścisłe zbadanie świstków ulotnych i czasopism usuną trudności i rozwidnią wszechstronnie działalność wybitnych talentów okresu Stanisławowskiego i Księstwa [1].

Antoni Mazanowski.

(Dok. nast.)

[1] Cenny przyczynek zyska historya literatury w pracy ks. Koppensa p. t.: „Ze studyów nad znaczeniem czasopisma *Monitor* w drugiej połowie XVIII. w.“, rozpoczętej w Sprawozdaniach prywatnego gimnazyum OO. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem za lata 1894 i 1895.

KOLEGIUM JEZUITÓW W NIEŚWIEŻU.

1582—1608 [1].

I.

Nawrócony kazaniami i pracą Skargi do wiary katolickiej najstarszy syn „herezyarchy“ Radziwiłła Czarnego, Mikołaj Krzysztof Sierotka, książę na Ołyce i Nieświeżu, marszałek w. litewski, zapragnął zagoić te rany, które zadał Kościołowi ojciec jego, naprawić złe, przynieść ekspiacyę. Zwierzył się z tem gorącem pragnieniem O. Skardze w Wilnie i po dłuższej z nim naradzie postanowił fundować wielkie kolegium Jezuitom w swym Nieświeżu, odbyć pokutną pielgrzymkę do Ziemi św., do grobu Zbawiciela, którą ślubował Bogu w ciężkiej chorobie i w bitwie pod Połockiem, gdzie ranny w głowę, zwalony z konia, cudem prawie ocalał. Już on był dawniej usunął z Nieświeża ministrów heretyckich, parafialny kościółek drewniany oddał nielicznym katolikom, ale niemała była trudność w dostaniu kapłanów światłych a gorliwych. Bezkrólewie po Walezym, poselstwo od Rzpltej do elekta, wyprawy wojenne Batorego pod Gdańsk, Połock i Psków, w których książe był radcą króla i żołnierzem, podróże do Niemiec i Włoch dla poratowania nadszarpanego trudami obozowymi i kontuzyą zdrowia — wszystko to opóźniało wykonanie zbożnych zamiarów. Nareszcie po uspokojeniu chwi-

[1] Ustęp z obszernej czterotomowej pracy p. t.: „Jezuici w Polsce“.

lowem Rzpltej traktatem zapolskim w styczniu 1581 można je było w czyn zamienić. Więc równocześnie czynił książe przygotowania do dalekiej a niebezpiecznej w owe czasy podróży do Ziemi św., spisywał testament i za poradą znów Skargi słał na wiosnę 1582 gońca z listami do Brunsbergi, do prowincyała O. Campano, ofiarując mu fundacyę kollegium w Nieświeżu i prosząc na miły Bóg o przysłanie natychmiast choćby dwóch Ojców, którzyby osieroconych katolików w Nieświeżu i okolicy na duchu podnieśli. Na koszta podróży załączał kwotę 100 złp. (230 złr. w. a.). O. Campano znalazł się w kłopotliwem położeniu. Z jednej strony domagał się od niego król Batory, domagali się biskupi i obywatele miast przysłania księży i profesorów do szesnastu naraz kolegiów i domów w Siedmiogrodzie, w Koronie i Litwie, a on tych księży i mistrzów ani nie miał pod ręką, ani mógł wytrzasnąć z innych prowincyj, z drugiej zaś strony Nieśwież, nędzna drewniana mieścina o tysiącu mieszczan-chłopów i drugim tysiącu żydów, zasunięta w ustronie górzyste i lesiste, nie odpowiadał duchowi zakonu, który szerokie, widne pole, płodne w pracę, ale i w jej owoce naznaczał. Campano, pomijając już brak ludzi, lękał się wprost rozprózniaczenia się swoich Jezuitów w cichym Nieświeżu [1]. Odesłał więc księcia Sierotkę z jego projektem fundacyjnym do jenerała Akwawiwy, który sam jeden może przyjąć i erygować nowe kolegia; radził, aby jadąc do Ziemi św. zboczył do Rzymu i ustnie z jenerałem sprawę tę ułożył, a na razie wyprawił OO. Wojciecha Mroskowskiego i Krzysztofa Ostrowskiego z owym gońcem, dworzaninem księcia, do Nieświeża.

Ale i O. Mroskowskiemu Nieśwież wydał się jaskinią — *spelunca*. Zdradził się z tem w rozmowie z księciem, wypisał to w liście do prowincyała, a bodaj i do jenerała. Okrutnie to markotno było księciu; tej „spelunki“ nie mógł przebaczyć i zapomnieć, wymawiał ją Ojcom, a jenerała upewniał listownie i ustnie, że on się już postara, aby ta spelunka stała się przedniejszem miastem Litwy, a Jezuici żeby tam nie byli skazani na próżnowanie.

[1] Rostowski, 115 i 116.

Przed wyjazdem więc swoim wydał rozkaz przygotowania wszystkiego, co do przebudowania i ufortyfikowania nieświeskiego na pół drewnianego zamku i fortyfikacyi miasta było potrzebne, a spisawszy testament dnia 19 września 1582 r. samosześć puścił się w drogę na Wenecyę do Ziemi św. Przyłączyli się do jego orszaku baron Dohna ze Ślązka i dwaj Jezuici misyonarze, wysłani od Grzegorza XIII. z Dalmacyi do Syryi, OO. Leonard Pacyfik i Ignacy Hiszpan [1].

Zadość uczyniwszy swej dewocyi na miejscach świętych, pasowany razem z towarzyszami na rycerza grobu Chrystusowego i mianowany prowizorem generalnym klasztoru franciszkańskiego w Jerozolimie — któremu uczynił zapis 125 dukatów w złocie rocznie na wieczną lampę przy grobie Zbawiciela i ofiarował dwa kielichy, jeden srebrny, drugi szczerozłoty z takąż patyną — wracał książę w połowie lipca 1583 r. do domu rzemiennym dyszlem, bo i o Egipt i Aleksandryę i o Kretę zawadził. Dopiero w marcu 1584 r. znalazł się na brzegach włoskich, zboczył więc do Rzymu, głównie w tym celu, aby dobić targu z jenerałem Akwawiwą o fundacyę nieświeską. Wymijającą zrazu odpowiedź dał jenerał, miał bowiem z Litwy informacye, że to nędzna mieścina ten Nieśwież, pełna herezyj, a zresztą ludność jego „prawie wieśniacza, bez żadnej nauki w religii chrześcijańskiej". Musiały jednak nalegania księcia być natarczywe, bo gdy 7 lipca 1584 wrócił do Nieświeża, zastał tam już pozwolenie jenerała i przyjęcie fundacyi kolegium [2]. Napróżno przedstawiał jeszcze raz O. Campano księciu swe obawy co do niestosowności miejsca i radził fundować kolegium ze szkołami w większem mieście, np. w Nowogródku, w Nieświeżu zaś otworzyć tylko dom misyjny [3]. Książę trwał przy swojem. W listopadzie 1584 r.

---

[1] Książe prowadził szczegółowy dyaryusz swej „pielgrzymki" w formie czterech listów do przyjaciela, który w łacińskim przekładzie ogłosił drukiem ks. Tomasz Treter, kustosz warmiński 1603 r., a z tego przekładu znów polski przekład zrobił ks. Andrzej Wargoski 1607 r.

[2] *Archiv. Prov. Pol., Fundationes* II, dokument 48. — „Archiwum domu Radziwiłłów". Kraków 1885. Przedmowa.

[3] Rostowski 116.

ożenił się z 15-letnią Elżbietą Eufemią ks. Wiśniowiecką, schyzmatyczką, którą potem Jezuici nieświescy na łono Kościoła katolickiego przywiedli. Przez zimę i cały rok 1585 przygotowywać kazał materyały pod budowę kolegium, według planu znanego architekta jezuickiego, braciszka Jana Bernardoni, a tymczasem razem z braćmi zajmował się ustanowieniem ordynacyi nieświeskiej, której akt nosi datę z 20 lipca 1586 r., zatwierdzony w dwa dni potem przez króla Batorego w Grodnie i konstytucyą sejmu 1589 r.[1]

W dzień św. męczenników Jana i Pawła, 26 lipca 1586, rozpoczęto brać fundamenta pod kolegium. Pierwsze sztychy rydlem dał ks. Sierotka, za nim księżna Elżbieta, ks. Stanisław Radziwiłł, dworzanie i panny dworskie. W sześć dni potem poświęcono uroczyście kamień węgielny, a 1588 r. kolegium stało już gotowe[2]. Wyłożył na nie książe 8.500 złp. (koło 19.550 złr.).

Następnego roku brano fundamenta pod kościół. Zjechał na poświęcenie kamienia węgielnego, 12 listopada 1589 brat księcia, biskup koadjutor wileński, Jerzy Radziwiłł. Jemu za szczupłe się wydały rozmiary przyszłej świątyni, więc nakłonił księcia brata, że polecił Bernardoniemu przerobić plany, a wziąść model i rozmiary z rzymskiej bazyliki św. Pawła. Jakoż już 1593 r., w dzień Wszystkich Świętych (1 listop.) odprawiło się w nowej, iście książęcej świątyni „Bożego Ciała“ pierwsze publiczne nabożeństwo[3]. Konsekracyi dokonał nuncyusz Klaudyusz Rangoni 7 października 1601 r.

---

[1] Dziedziczą dobra synowie w linii prostej; po jej wymarciu, w bocznej. Córki otrzymują posag w pieniądzach.

[2] Gmach dwupiętrowy położony nad stawem, parterowe mieszkania i piwnice wilgotne. Książe chciał stawiać trzecie piętro. Ojcowie, nie wiedzieć dlaczego, oparli się temu, czego potem żałowali. (Rostowski 242). Po kasacie uczyli tu w szkołach Dominikanie do 1835. Pożary miasta 1836, 1843, 1888 zniszczyły to kolegium.

[3] Zbudowana w formie krzyża ma cztery ozdobne frontony, w pośrodku kopułę miedzią krytą. Stylem swym przypomina późniejsze kościoły krakowskie: św. Piotra i św. Anny. Kamienna z ciosu latarnia kopuły, zakończona ogromną złoconą kulą, na której świeci trzymetrowy krzyż żelazny złocony w ogniu. Wnętrze kopuły i latarni opatrzone galeryą z krat żelaznych misternej roboty i malowaniem *al fresco*. W głównym frontonie

Dla mnogości nagrobków i napisów, któremi nawet posadzka urozmaicona, dla olbrzymiej krypty z uprzywilejowanym ołtarzem Niep. Poczęcia N. M. P. w której ciała rodziny ordynackiej Radziwiłłów spoczywają, kościół cały nosi cechę jakby jednego wielkiego grobowca. Na budowę jego wydał książę 13.000 złp. (koło 30.000 złr. w. a.).

Jeszcze się fabryka kościelna dobrze nie skończyła, a już książe własną ręką rozpoczyna kopać fundamenta, nosić w koszach cegłę, cement, wapno pod budowę kaplicy św. Rafała Archanioła na poblizkim wzgórzu. Była ona *ex voto* za szczęśliwie pod opieką św. Rafała odbytą pielgrzymkę do Ziemi św. Opatrzył ją książę w dochody, naczynia, aparaty i oddał pod zarząd i obsługę Jezuitom. Hetman w. litew. Karol Chodkiewicz, spełniając ślub w krytycznej chwili wśród bitwy poczęty, na miejscu onej kaplicy dźwignął spory kościół pod wezwaniem św. Michała, rektor zaś nieświecki, Michał Ginkiewicz 1648 r. obstawił oną świątynię dziewięcioma kaplicami ku czci dziewięciu chórów anielskich i odtąd to wzgórze górką św. Michała

---

po bokach wielkiej bramy, z ciosu kute piękne statuy św. Mikołaja i Krzysztofa, w drugiej kondygnacyi fasady odlane z gipsu statuy św. Ignacego i Ksawerego. Nad bramą główną dziś malowana *al fresco* monstrancya, dawniej jaśniało tam godło zakonu IHS. Pod samym progiem bramy ogromna kamienna płyta, wchód do grobowca z napisem: „Tu leżą grzesznicy". Wnętrze świątyni wspaniałe, obszerne. W ołtarzu wielkim Wieczerza Pańska, cyboryum hebanowe w srebro oprawne, takież relikwiarze w kształcie trumienek. Po bokach wielkiego, ołtarze św. Ignacego i Ksawerego. W nawach sześć bocznych ołtarzy. Liczne marmurowe w formie ołtarzykowej grobowce, od fundatora Sierotki aż do Karola Panie-Kochanku, zdobią ściany naw bocznych. Zdaje się, że pierwotnie wnętrze świątyni nie było malowane, jeno szare, w uroczystości obwieszano pilastry i ściany adamaszkami. Dopiero przy fundamentalnem odnowieniu świątyni przez książąt Mikołaja Krzysztofa Rybeńkę i Franciszkę Urszulę z Wiśniowieckich Radziwiłłów, roku 1753 odmalowano je *al fresco*. Motyw do tych malowideł i napisów wzięto z hymnu *Lauda Sion*, tak, że przedstawiały one piękny wykład plastyczny tajemnicy Najśw. Saktamentu. Po kasacie zakonu 1773 r. kościół zamieniony w parafialny popadł w zaniedbanie wielkie. Największe, iście barbarzyńskie spustoszenie w grobowcach; trumny i urny miedziane, srebrne płyty z napisami na trumnach, nawet szczątki bogatych sukien, wszystko to poszło w ręce żydowskie. Odnowiono go 1858 roku, i w krypcie zaprowadzono jakiś ład i porządek. (Baliński, „Dawna Polska").

albo św. Aniołów nazywano. W 40 lat później, 1689 r., stanęło tam drugie kolegium, a raczej dom nowicyatu Jezuitów litewskich.

Akt fundacyjny nieświeskiego kolegium 1584 r. spisany, uchwałą sejmu 1585 r. zatwierdzony i do aktów kanclerskich oblatowany, nadaje Jezuitom z prawem eksemcyi dobra Lipsk z sześcioma folwarkami, wsie Tuchowicze, Załuże, Święcin, Rozdziałowice, Zalipienie, Rzepiechowo. Pomnożył fundacyę ks. Zygmunt Radziwiłł, krajczy w. litew. nadaniem Rudawy pod miastem na willę dla Ojców, i Użanki. Tych dwóch folwarków nie wolno było Ojcom alienować bez pozwolenia księcia i sukcesorów, gdyż wrzynały się one w kompleks dóbr ordynackich i zbyt blizko miasta leżały. Roczny dochód z tych dóbr obliczano na 2.000 złp. (4.600 złr. w. a.) [1].

Za przywilejem papieskim do nowego kościoła Bożego Ciała przeniesiono parafię. Książę, jak zakrystyę i skarbiec opatrzył w „rozliczne a kosztowne“ naczynia, aparaty, sprzęty i relikwię św. Krzyża, w złoto i perły oprawną, tak uposażył hojnie probostwo nadaniem wsi Nowosiółki i Omułynce, z których opłacali Ojcowie wikaryusza-zarządcę parafii; nadto dał fundusz na organistę, sługi kościelne i nauczyciela szkółki elementarnej, ale wszystkich poddał pod jurysdykcyę rektora kolegium.

Równocześnie budował pobożny książe pierwszy na Litwie żeński klasztor PP. Benedyktynkom, do którego wprowadził je z wielką uroczystością, uświetnioną jeszcze chrztem dwóch Tatarów, 1590 roku, a dotrzymując obietnicy, że z Nieświeża-spelunki stworzy znaczne miasto, rozszerzył je, otoczył wałem i fosą, pobudował domy i kramy nowe, sprowadził z Niemiec rękodzielników i kupców. Aby zwabić osadników, wyjednał u króla przywilej z dnia 23 kwietnia 1586, stawiający Nieśwież na równi z królewskiemi miastami, a więc z prawem magdeburskiem, z apelacyą od magistratu do dziedzica, z eksemcyą od wszelkich

[1] R. 1597 roczny dochód wynosił 1.400 złp., z których żywiło się w kolegium osób 16. R. 1640 roczny dochód 6.000 złp., osób 37. R. 1766 dochód z dóbr 7.076 złp., procenta i czynsze 5.223 złp.; wydatki 1.800 złp.; czysty dochód 10.500 złp. — osób 40. Od 1633 r. kolegium miało własną aptekę. (*Archiv. Prov. Pol.*, Catalogi. Status temporalis. Prócz tego Rostowski 308).

juryzdykcyj ziemskich i grodzkich, z wolnością od opłat i ceł w Litwie pobieranych na lat 50, z prawem targów i dwóch 15-dniowych co roku jarmarków. Sam zaś książe przywilejem z dnia 18 czerwca 1586 przeznaczył na księgę praw miejskich „Zwierciadło saskie“ przekładu Szczerbicza, usamowolnił prywatną własność mieszczan, darował miastu wszystkie w niem browary, słodownie, gorzelnie, łaźnie, kramy, jatki i t. d. z ich dochodami, nadał sto włók ziemi, najszerszą wolność handlu dla wszystkich, nie wyłączając żydów, którzy jednak nie magdeburgii, ale jurydyce zamkowej podlegali. Stworzywszy tak nowe książęco-królewskie miasto, dla obrony jego, a swej wygody, dźwignął prawie z nowa nie tyle kształtny, jak obszerny zamek o dwóch wieżach, czterech basztach, o 12 wielkich salach w głównym pawilonie i mnóstwie komnat w trzypiętrowych skrzydłach, opasał go fosą i wałem, na wały, wieże i baszty zatoczył działa, lochy opatrzył w kule i prochy, utrzymywał liczną milicyę i wyćwiczonych puszkarzy. Już i Jezuitom nie wstydno było w Nieświeżu zamieszkać i pracować, a książe zaprosił ich i nowego prowincyała O. Masello na kongregacyę prowincyonalną 1590 r., podejmował hojnie i w jałmużnę na drogę do domu obdarzył [1].

II.

A pracowali nieświescy Jezuici od razu nie leniwo; do 1586 r. tylko jako kapłani-misyonarze, potem także jako mistrze młodzieży i nauczyciele [2]. Przypatrzmy się tym pracom.

Nieśwież nad rzeką Uszą, od XIII wieku drewniana stolica z takimże zamkiem kniaziów nieświeskich, potem od 1490 własność Kiszków, przechodzi z Ołyką i połową Lachwy jako wiano Anny z Kiszków w dom Radziwiłłów 1533 r. Syn Anny

[1] Rostowski 163.

[2] Roku 1587 taki był skład osób kolegium nieświeskiego: O. Wojciech Mroskowski, lat 41, rektor; O. Stanisław Rakowski, lat 44, minister; O. Wawrzyniec Radziński, lat 32, spowiednik; O. Mateusz Grimalius, lat 27, profesor syntaksy; Mag. Piotrowicz, lat 24, prof. gramatyki; Brat Jan Bernardoni i trzej inni bracia. Razem osób 9. Roku 1590 było już 8 księży, 2 magistrów, 5 braci; razem osób 15. Roku 1600 osób 27. (*Arch. Prov. Pol.*, Catal. breves).

i Jana Radziwiłła Brodatego, Mikołaj Czarny, otrzymawszy 1547 r. od cesarza Karola V. tytuł i prawa książęcia Rzeszy, pierwszy pisze się księciem na Nieświeżu i Ołyce, a w jego drewnianym zamku przechowuje się archiwum litewskie. Z dawien dawna stała w Nieświeżu schyzmatycka cerkiewka Nawiedzenia N. M. P., a Kiszkowie postawili parafialny kościółek łaciński św. Ducha. Radziwiłł Czarny obsadził go kalwińskimi ministrami 1554. Jeden z nich Wawrzyniec Krzyszkowski, kolega szkolny Wolana, najprzód kalwin czy luter, potem brat czeski, wreszcie aryanin, ruchliwy i czynny, założył w Nieświeżu kosztem księcia drukarnię, pomagał tłumaczyć katechizm Lutra i biblię, pilnował jej druku, i propagował jawnie kalwinizm a skrycie aryanizm, z którym wystąpił otwarcie po śmierci Radziwiłła Czarnego 1565 r. Został wnet superintendentem aryańskim, i na tej godności pozostał aż do swej śmierci 1573 r. Dzięki jego ruchliwości, nietylko kalwini ale i aryanie rozpierali się w Nieświeżu i po całem księstwie. Przeciw nim więc najprzód zwróciło się ostrze pracy Ojców i już w pierwszym roku nawrócono ich 20, w drugim 17, w trzecim znów kilkunastu i t. d.; greko-schyzmatyków w dwójnasób i trójnasób tyle. Podczas kiedy O. Ostrowski kazaniami w parafialnym kościele, katechizacyami dziatwy obrabiał parafię nieświeską, a przykładem swym miejscowego proboszcza do żarliwości a wnet i do wstąpienia do zakonu pobudził, to O. Mroskowski przedsiębrał wycieczki misyjne do sąsiednich miasteczek, dotarł do stolicy województwa do Nowogródka. Siedm cerkwi obsługiwała tam gromada popów; jedyny proboszcz łaciński, przerzuciwszy się do luterskiej sekty, dochody brał z probostwa, a w kościele wyręczał się wikaryuszami, jeżeli ich za tanie myto mógł dostać, jeżeli zaś nie, kościół zostawiał pustką. Zapełnił go na Boże Ciało 1584 r. misyonarz O. Mroskowski nietylko katolickim ludem, ale i lutrami i kalwinami i aryanami, których w mieście była garść spora, a którzy ciekawi byli usłyszeć nowego kaznodzieję. Na sejmik 1585 zjechał znów O. Mroskowski do Nowogródka, kazał gorliwie do przeważnie różnowierczej szlachty, a ministrów i popów wyzwał na dysputę, objeżdżał potem dwory

znaczniejszej szlachty, i każąc, katechizując, spowiedzi słuchając, wielu, zwłaszcza z greckiej schyzmy „niekiedy całe rodziny i to znaczne“ do jedności z Kościołem katolickim przyprowadzał. Wybierającemu się na sejm walny grudniowy 1586 r. księciu Sierotce miał towarzyszyć jako teolog nadworny, ale ponieważ sejm dla śmierci króla nie doszedł do skutku, zatrzymał się czas jakiś na dworze ołyckim i między wielu nawróceniami, pozyskał Kościołowi młodziutką żonę księcia, Elżbietę Eufemię z Wiśniowieckich.

W miarę jak rosła budowa nowego kolegium, przybywało i Ojców. Pracowali oni w kościele farnym i na misyach, towarzyszyli kardynałowi Radziwiłłowi, biskupowi wileńskiemu, wizytującemu kościoły województwa nowogrodzkiego 1589 r., jako kaznodzieje, przygotowując ciemny lud i niewiele światlejszą szlachtę do bierzmowania. Kardynał zachęcał księży świeckich do odprawiania rekolekcyj pod kierunkiem Ojców, do pilniejszych kazań i katechizacyj dziatwy, bo ignorancya w rzeczach wiary była powszechna a przerażająca. Tak samo na Rusi! Przechodzących na unią dorosłych, szlacheckiego nawet stanu ludzi, potrzeba było uczyć pierwszych prawd wiary, „jak małe dzieci“, a co gorsza wojować z nimi o małżeństwa. Popi za pieniądze dawali rozwody i nowe śluby. Rozrywać trzeba było nieprawe stadła, łączyć pierwsze legalne śluby, co przedstawiało trudności i zawikłań wiele. Dopiero na głośne krzyki podniesione przez Jezuitów wdali się przecie w tę sprawę ruscy władycy, i próbowali położyć jakąś tamę niecnej frymarce. W Nieświeżu wprowadzili Jezuici zwyczaj częstej Komunii, erygowali koło roku 1595 kongregacyę Maryańską dla mieszczan i mieszczanek, a książę fundował koło 1590 roku Arcybractwo Miłosierdzia, (którego wraz z żoną a potem i synami był najgorliwszym członkiem) i Skrzynkę św. Mikołaja; przejęli na siebie w szpitalu świętego Ducha obsługę duchowną, więźniów, których podczas śledztwa srodze bito i turbowano, i skazańców, których zmuszano, aby założony już mając na szyi stryczek, sami się z schodków szubienicy zrzucali. Przeciw tym wstrętnym nadużyciom oparli się całą siłą i u księcia i u sędziów.

To znów r. 1589 wyzwali na dysputę publiczną o prymacie św. Piotra, władykę mińskiego i przedniejszych popów i pokonali ich ale nie przekonali; oni się odwołali do synodu, który zwołał do Wilna patryarcha Jeremiasz, włóczący się za pieniędzmi po Moskwie, Litwie i Rusi.

Jest w województwie mińskiem drugi Raków, miasteczko podówczas księcia Wiśniowieckiego, brata świeżo nawróconej Eufemii, żony Sierotki. Istniał tam od dwudziestu lat zbór kalwiński z kościoła przerobiony, chociaż mieszczanie twardo przy katolickiej wierze stali. Dopiero więc wskutek misyi jezuickiej 1589 r., nasłanej przez księżnę Eleonorę Eufemię, nawrócił się sam książę dziedzic Rakowa do katolicyzmu, a z nim 4 kalwinów, 7 schyzmatyków. Wzruszona do głębi misyą matka pana na Rakowie, Eufemia z Wierzejskich Wiśniowiecka, wojewodzina wołyńska, od 20 lat zagorzała kalwinka i ministrów tej sekty na swym dworze utrzymująca, poszła za przykładem córki i syna i zjechawszy do Nieświeża, w dniu Zielonych Świątek złożyła uroczyście wyznanie katolickiej wiary. Tak więc nawrócony przez Skargę książe Sierotka, nawraca swą żonę, ta zaś całą gałąź domu Wiśniowieckich. Umierając z końcem r. 1589 starsza księżna legowała testamentem znaczną sumę na budowę nowego kościoła w Rakowie, którą syn już rozpoczął, równocześnie zaś księżna młodsza dźwigała budowę klasztoru i kościoła OO. Bernardynów nieświeskich.

Zawrzała akcya Ojców na całej linii. Już 1607 notuje kronikarz: „Niema wioski tak nędznej, tak lichej mieściny, ani dworu tak rozluźnionego, któryby nam jakiego owocu pobożności nie przyniósł. Po różnych stronach, rozmaitych ludzi słuchano spowiedzi, nieraz z całego życia, często od lat wielu zaniechanej. Pracowano nad wykorzenieniem przesądów i zabobonów, nad wytępieniem rozpusty, herezyi, schyzmy, nad usunięciem nienawiści, niezgód, odwetu krwawego i zemsty. Wiejskie kobiety wstrzymywały się od roboty w piątki, za to w niedzielę szyły, tkały, robiły; odzwyczajono je od tego zabobonu... Katechizowano ludek wiejski w miasteczkach, po wsiach, na ulicach i przedmieściach, wchodzono do chałup, uczono, napominano,

pocieszano. Doznali tego zwłaszcza poddani nasi, i byli niezmiernie wdzięczni, że do ich nizkich chałupek przychodzimy. A ignorancya tego ludku wielka; o niebie, piekle, o Trójcy św. i świętach katolickich wielu pojęcia niema... Nawiedzano chorych po domach i w szpitalach, i więźniów. PP. Benedyktynkom niesiono pomoc w słuchaniu spowiedzi i kazaniach". Kaplica św. Rafała na górze Aniołów, wnet stała się ulubionem miejscem odpustowem, cudami słynnem, spowiednicy ledwo nastarczyć mogli penitentom. Na przedstawienie Ojców zgodził się książe, zgodziło się i miasto, magdeburgią świeżo nadane, ażeby na urzęda miejskie magistrackie i sądowe nie wybierać jeno katolików; był to hamulec nie lada przeciw krzewieniu się herezyi. Niszczyły ją od fundamentu i szkoły.

III.

Otwarto je wnet po powrocie księcia z Ziemi świętej 1585 r. jedną klasą. Taka była z razu apatya duchowa Nieświeżan, że po prostu nie chcieli synów posyłać do szkoły, ani uczęszczać na katechizacye i kazania, dopiero gdy książe, jako pan i dziedzic poddanym rozkazał jedno i drugie pod karą, znalazło się 40 chłopców w szkole. W następnych trzech latach otwarto gramatykalne klasy z humaniorami i retoryką. Nawet zakonna młodzież powtarzała tu retorykę, gdy 1600 r. Szwed rozpędził kolegium dorpackie. Nauki filozoficzne wykładać poczęto dopiero 1641 r. Jak wszędzie tak i tu, uczyła się także różnowiercza młodzież, zwłaszcza przy coraz większym upadku lewartowskiej szkoły i prawie wszystka stawała się katolicką. Cyfra uczniów z nowogrodzkiego, brzesko-litewskiego, mińskiego a nawet wołyńskiego województwa wnet doszła do 300, a kongr. maryańska erygowana 1588 r., liczyła 120 sodalisów, z których co roku po kilku zasilało nowicyaty różnych zakonów [1]. Uboższa młodzież nigdzie się tak dobrze nie miała jak tutaj. Nietylko w bursie znajdowała przytułek, ale hojność księcia przyodziewała ją,

[1] Wszystkie te szczegóły o pracach zakonu w Nieświeżu i szkołach wyjęte: z *Litterae Annuae Collegii Nesviensis* 1583—1607; z Rostowskiego 116, 330; z Niesieckiego VIII, 71—73, oraz z prywatnych notatek O. Tomasza Walla.

w książki i przyrządy szkolne opatrywała; książe sam był miłośnikiem nauk, celował zwłaszcza w geografii i medycynie; wydał swem staraniem mapę Litwy i Żmudzi *(tabulam geographicam)*, „kędy, co pisali mniej prawdziwie nieświadomi tych krajów cudzoziemcy, krótko się refutuje“ — kochał więc pilnych uczniów i wspomagał chętnie.

Ten sam tu zresztą był system nauk jak indziej, te same uroczystości uświetnione dysputami, dyalogami, wierszami i oracyami, przy corocznem otwarciu szkół, przy beatyfikacyach Świętych i familijnych festynach domu Radziwiłłów. Były i żałoby. W kwiecie wieku, lat 27 zaledwie licząc, zasnęła w Bogu przezacna księżna Elżbieta Eufemia w Białej 9 listopada 1596 r., zostawiwszy mężowi pięciu synów i córkę [1]. Zwłoki przewiózł strapiony książe do Nieświeża, i złożył w grobach kościoła Bożego Ciała. Litwa cała zjechała na smutny obrzęd pogrzebowy, a młódź szkolna dopomagała smutku elegiami i scenicznemi przedstawieniami muz płaczących.

W lat niewiele potem wypadło żyjącemu w dozgonnem wdowieństwie księciu grześć syna Mikołaja Krzysztofa, wielkiej pobożności 17-letniego młodziana, który nabawiwszy się w Bononii, gdzie nauk prawniczych słuchał, tyfusu, tamże na rękach Ojców życia dokonał 1607 r. Zwłoki jego przywiezione do Nieświeża, uroczystym pogrzebem złożone w grobach familijnych. Że się tu nie obeszło bez elegij, dyalogów studenckich, nie potrzebuję wspominać. Król Zygmunt wysoko ceniąc cnoty księcia Sierotki, bez jego i prawie wbrew jego woli konferował mu najprzód województwo trockie r. 1591 a potem wileńskie 1604 r. Nowym tym zaszczytom towarzyszyły nietylko festyny na zamku, ale i *consessus academici* w auli szkolnej, którym „asystowała publika dostojnych gości, panów szlachty, dygnitarzy litewskich“.

Książe swych synów nie oddał do szkół, wychowywał ich na zamku nieświeskim, ale pod kierunkiem Ojców. W *admonitorium* dla synów 1603 r. pisze, „aby doma się uczyli, za pilno-

[1] Troje, synek i dwie córeczki bliźniaczki, umarło w dziecinnym wieku.

waniem doświadczonego w cnocie, któryby się na to, *cum consilio Patrum Societatis* doświadczony, nie lada kto, przyjął. O co proszę *Patres Collegii Nieswisensis*, aby je jako zwykli wedle wokacyi *ad erudiendum* obrócili. A w dwunastym roku aby do *Collegium Societatis* w Niemczech wyprawieni byli: Dylinga najlepsza zda mi się na to"... [1] i całą dalszą edukacyę zagraniczną, nawet wybór „sługi starszego" powierza Ojcom. Nie powstydzili się swoich elewów. Gdy ci 1607 r. powrócili z Włoch, zaprosili ich wraz z księciem na swą wilę, witali oracyami, uraczyli podwieczorkiem. Książe odprawiwszy dworzan, rozmawiał po przyjacielsku z Ojcami *sicut unus e nostris*, jakoby jeden z naszych. Szanował, miłował wielce Ojców, psuł ich swą hojnością, aż się bronić przed nią musieli, ofiarował im np. srebrny stolik do gry w szachy, którego nie przyjęli. Podczas strasznego morowego powietrza w Wilnie 1606 r. zaprosił część tamtejszych Ojców i młodzi zakonnej do Nieświeża, wolnego od tej plagi, ofiarował mieszkanie w zamku. Oni woleli zamieszkać w kolegium, więc ich kosztem swym żywił i podejmował i odesłał opatrzonych dobrze w grosz na drogę. Przy corocznej wizycie kolegium składał prowincyał swe homagium księciu. On zaś wypytywał się troskliwie o całą prowincyę, nie przez grzeczność lub z ciekawości, ale aby dowiedzieć się, gdzie pomoc potrzebna. Jakoż na budowę kościoła św. Kazimierza w Wilnie dał na kilka zawodów znaczne sumy, pod kolegium i kościół w Krożach darował place, przy pożegnaniu wsuwał w rękę kieskę dukatów na opędzenie potrzeb wizytacyjnej podróży. Czynił to często i z prokuratorem zakonu, gdy ten dla spraw kolegium przybywał, „bo prawo polskie kosztowne", mawiał. Nieświeskich Ojców, zwłaszcza O. Mroskowskiego, zaszczycał nieograniczonem zaufaniem [2]; im powierzał sumienie swoje, żony, dzieci, dworzan,

[1] „Archiwum domu Radziwiłłów" 58—70.

[2] Ten O. Mroskowski był pierwszym superyorem od 1582—1585, pierwszym rektorem 1585—1895. Po nim przez trzy lata rektorował O. Melchior Ditig. Znów od r. 1602—1605 rektorem był O. Mroskowski. Nastąpił na rektorstwo O. Michał Salpa do 1608, Maciej Galmin do 1610, w którym umarł. (Rostowski, 412).

bez ich rady żadnego zbożnego czynu nie podjął, a zakładał szpitale po swych miasteczkach i włościach, tworzył fundusze posagowe dla ubogich panien i t. p. Żadnej prośbie ich odmówić nie umiał nawet z ciężką ofiarą swoją. Skrzywdził go jeden z rządców na 100.000 złp. a uczynił to tak zręcznie, że choć wzbogacony krzywdą, zażywał mimo to miru u braci szlachty. Tknięty wyrzutem sumienia, wyznaje spowiednikowi swą winę, ale dodaje: gdy oddam com ukradł, w wieczną infamię popadnę ja i rodzina — ratuj mnie u księcia. Książe wysłuchawszy, rzecze pogodnie: „nie wiedziałem, iżem tak wielkim panem, że choćby mnie kto ukrzywdził w tak wielu tysięcy, przecież z reszty mogłem utrzymać honor i mój i domu mego“ — i krzywdę darował [1]. Takim stale i niezmiennie pozostał książe dla Ojców aż do swej śmierci 1616 r.

Ks. St. Załęski.

[1] Niesiecki VIII, 73.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Szkice literackie. Serya 1. *Dr. Józef Tretiak,* prof. Uniw. Jagiell. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1896. (W 8ce, str. 331).

Serya pierwsza „Szkiców" prof. Tretiaka obejmuje przeważnie utwory literatury polskiej z XIX. wieku; tylko szkic o satyrach Krasickiego odnosi się do wieku XVIII., a rozprawka końcowa wychodzi poza obręb literatury polskiej i zastanawia się nad kwestyą ogólniejszego znaczenia, nad „Romansem eksperymentalnym". Szkice te powstawały przygodnie, w różnych czasach, niektóre sięgają r. 1880; wszystkich wspólnem znamieniem jest spokojna obserwacya faktów, umiejętna analiza, skreślona w zajmujący i przystępny sposób, tudzież dar zwięzłej, treściwej charakterystyki utworów literackich.

Sama nazwa „Szkiców" zdaje się uprzedzać czytelnika, że niema w tej książce do czynienia z wyczerpującą, drobiazgową analizą; jest to zbiór bystrych, częstokroć dowcipnych spostrzeżeń nad epizodami literackimi. Ale, rzecz oczywista, że z takich epizodów składają się całokształty literackie; są to szkice, które samemu autorowi posłużą zapewne z czasem do większych obrazów. Umiejętne wniknięcie w jeden tylko utwór poety pozwala nieraz podsłuchać tętno duszy lepiej, niż powierzchowne obejrzenie „całości". Dowodem tego najlepszym jest piękny szkic „o satyrach Krasickiego", wykazujący jak pozorna niezgodność kierunków w współcześnie powstałych utworach ks. Biskupa Warmijskiego da się wytłumaczyć temperamentem jego i charakterem, skłonnym do trzymania się we wszystkiem środka i miary.

Cztery rozprawki poświęcone Mickiewiczowi, nierównej są wartości: dawniejsze są, zdaniem mojem, lepsze i ważniejsze. Notatka o Karolinie Jaenisch jest w głównej osnowie powtórzeniem szczegółów, zawartych w I. tomie monografii Władysława Mickiewicza; „Dwie Zosie Mickiewicza“ są tak niepewne, bezbarwne i mało objaśniające, przeciwnie, potrzebujące objaśnienia — że zamiast obu fikcyjnych, choć z rzeczywistego świata wziętych, wolimy ową uroczą z „Pana Tadeusza“. Natomiast dwa inne studya: „Mickiewicz i Trembecki“, tudzież „Mickiewicz w Odessie“, należą do prac najważniejszych, nietylko w tym tomie „Szkiców“, ale wogóle w literaturze Mickiewiczowskiej. Studyum porównawcze o Mickiewiczu i Trembeckim powinno służyć za wzór, jak można przedmiot z pozoru suchy, uczynić zajmującym i jak należy w rozprawach porównawczych przestrzegać miary, nie roztaczać całego kramu erudycyi, umieć się ograniczyć do najważniejszych faktów i przedstawić je w sposób powabny. Rozprawa o „Mickiewiczu w Odesie“, wnika bystro w ówczesny nastrój duchowy poety i jego otoczenie społeczne. Rozbiór sonetów Mickiewicza, porównanie ich z sonetami Petrarki, określenie różnicy i charakterystyka ewolucyi miłosnej poety — wszystko to jest przedstawione tak, że dla następnych badań zostało chyba niewielkie na tem polu pokłosie.

Wielbicielom bezwzględnym Juliusza Słowackiego, którzy olśnieni blaskiem formy niezbyt skrupulatnie wnikają w usterki treści, pokazał prof. Tretiak (w dwóch szkicach) wśród jaskrawych świateł poezyi Słowackiego wcale liczne cienie. Zarzuciłbym tylko, że w uwagach o książce prof. Małeckiego zbyt wyłącznie zajęty był wyszukiwaniem ujemnych stron muzy Słowackiego, tak, że nie starczyło mu miejsca na uwydatnienie dokładne, na czem polega trwałość spuścizny duchowej autora „Beniowskiego“. Żałujemy tego tem więcej, że prof. Tretiak w drugim szkicu o „Hamlecie polskim“ rozwinął wielki zasób trafnych spostrzeżeń, dowodzących, że przeniknął Słowackiego, jak mało kto u nas.

Liryka Asnyka doczekała się w „Szkicach“ sprawiedliwego i bezstronnego ocenienia. Artykuł, pochodzący z r. 1881, nie mógł oczywiście uwzględnić późniejszej fazy twórczości Asnyka, ale zasadnicze właściwości talentu poetyckiego: myśli, uczucia, malowniczość i muzykalność języka — określił prof. Tretiak trafnie, chociaż może za krótko. Za krótko zwłaszcza dla czytelnika, jak to mówią, „przeciętnego“, nie umiejącego czytać powoli i z zastanowieniem. Natomiast, nieliczni jeszcze u nas zwolennicy stylu jędrnego, w którym myśli nie toną w po-

wodzi frazesów, znajdą w „Szkicach“ p. Tretiaka częstą sposobność zachwycania się wykwintną treścią, zawartą w prostej i szlachetnej formie. Autor umie pobudzić do głębszego myślenia i ma niepospolity dar malowniczego ujęcia swych sądów literackich w obraz, który żywo przemawia do wyobraźni czytelnika. Uwagi o liryce Asnyka kończą się właśnie takiem zwięzłem i silnem streszczeniem: „Epoka przejściowa od ideałów romantycznych do nowych, znalazła w Asnyku wiernego przedstawiciela; w poezyi jego odbijają się bole przełomu pojęć i gdzieniegdzie lekkie świtanie dalekiej pogody. Jako taki przedstawiciel, zajmie on w każdym razie wybitne stanowisko w naszej poezyi, tem wybitniejsze, że na ogłuchłem polu tej poezyi, niegdyś tak gwarnem i rojnem, on sam jeden trzymał lirę wzniesioną i trącał w jej struny“.

W doskonałej sylwetce Jana Lama brak tylko kilku bodaj rysów zewnętrznych tej ciekawej postaci. Piszący te słowa pamięta jeszcze dobrze Lama na lwowskim bruku; ale dla tych, co go nigdy nie widzieli, byłoby może pożądanem odczytać wizerunek postaci satyryka-felietonisty, skreślony piórem współczesnego krytyka.

Uwagi o „Romansie eksperymentalnym“, jakkolwiek pisane jeszcze w r. 1880, są zupełnie „na czasie“. Chodzi tu bowiem o Zolę, i jego romanse pseudo-eksperymentalne, które, jak wiadomo, pod rzekomą pokrywką studyów „pozytywnych i realnych“ kryją stek pornograficznych szczegółów, szerzących moralną i fizyczną zgniliznę. Prof. Tretiak doskonale określił „blagę“ Zoli i pretensye jego „naukowe“, opierające się na cytatach z Claude-Bernard'a. Naszym domorosłym „realistycznym“ nowelistom polecamy gorąco końcowe zwłaszcza uwagi: o znaczeniu i zadaniu powieści. Dziwolągi naturalistycznego powieściopisarstwa, które zwłaszcza literatura francuska wytwarza z płodnością, godną lepszej sprawy, tak charakteryzuje autor:

„Przypatrzywszy się bliżej tym apostołom naturalizmu, łatwo odgadnąć, ile wartości mają te frazesy i co pod nie podstawić należy. Nie ujarzmienie przyrody, nie rozszerzenie potęgi człowieka jest naprawdę ich celem — ale popłatność, rozgłos i popis; siłą ich nie objektywizm, tem mniej metoda eksperymentalna, niemożliwa w powieści — ale umiejętność przemawiania do zmysłów człowieka i schlebianie niższym jego popędom; a ich moralnością „naukową“, jest poprostu brak szlachetniejszych wrażeń, a stąd brak miłości dla tego, co piękniejsze i szlachetniejsze, brak wyższych uczuć i wyższych natchnień.

Nie wątpimy, że „Szkice literackie“ przyjęte będą przez wykształcony ogół nasz z uznaniem, na które w pełni zasługują. Mało

mamy książek, poświęconych krytyce literackiej, tej wartości, co książka prof. Tretiaka. Oby rozeszła się w jak najdalsze strony, niosąc z sobą zamiłowanie do literatury ojczystej, szerząc dobry smak estetyczny i zdrowe pojęcia o tem, co piękne, dobre i szlachetne.

Dr. Józef Kallenbach.

Historya polska dla dorastającej młodzieży. Przez *Teresę z Potockich Wodzicką*. Część II. W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895. (W 8-ce, str. 489).

Kiedy się przed kilkoma laty pojawiła na półkach księgarskich pierwsza część „Historyi polskiej", napisanej przez hr. Wodzicką dla dorastającej młodzieży, przyjęliśmy tę wiadomość z mieszanem uczuciem. Przy szczerem uznaniu dla autorki, która z niezwykłą odwagą przystąpiła do wypełnienia w naszej literaturze luki nadzwyczaj dotkliwej, a mimo częstych nawoływań dotychczas niewypełnionej, trudno się było obronić mimowolnemu niedowierzaniu, czy najlepsze nawet chęci i największa sumienność zdołają sprostać zadaniu i wyrównać niedostateczne — jak się wobec pióra kobiecego, a więc niefachowego należało obawiać — przygotowanie i obznajomienie ze stanem nauki. Uprzedzenie to musiało jednak zniknąć, kiedy się przeczytało choćby tylko samą przedmowę. Jasno w niej przedstawiony cel i przeznaczenie dzieła, szczerze i otwarcie wymieniony drogoskaz, jaki sobie autorka obrała w swojem trudnem przedsięwzięciu. Celem: dostarczenie młodzieży naszej od lat 14—18 książki nie do nauki, ale do czytania, gwiazdą przewodnią w pracy: żywe słowo i rady Szujskiego, a gdy ich zabrakło, jego pisma. Pod taką kontrolą i z taką pomocą napisana książka nie mogła pozostać nieudaną tylko próbą, oznaką co najwyżej dobrych chęci, ale cennym i pożytecznym nabytkiem dla literatury ojczystej.

Po zwycięskiej próbie ogniowej, jaką dla części I był cały szereg krytyk bardzo nawet poważnych, z większą jeszcze wiarą i ufnością bierzemy do rąk część II, z góry pewni, że nadzwyczajna sumienność ustrzeże autorkę od niedostatków, co prawda, niezbyt licznych, jakie w części I. wytknęła krytyka.

Przypatrzmy się bliżej treści, jakoteż układowi książki, czy odpowiadają warunkom dobrego podręcznika, przeznaczonego dla dojrzalszej młodzieży. Ogółem biorąc w tomie tym, obejmującym okres czasu od wstąpienia na tron Zygmunta I. do śmierci Władysława IV., ma-

teryał trafnie dobrany, to tylko zawiera, co naukowo stwierdzone i pewne, i utrzymuje się na wysokości dzisiejszego stanu nauki. Obszerny bardzo, za obszernym przecież nie jest, jeśli się zważy, że książka przeznaczona nie do właściwej nauki, a więc pamięciowego ogarnięcia, ale do czytania. Z uznaniem podnieść się godzi, że niema w niej powtarzań błędów dawniejszych, choćby nawet utartych.

Poza doborem materyału jest i układ jego jednym z głównych warunków dobrego podręcznika. Jeśli bowiem nauka w jakimś zakresie ma przynieść obfity owoc, musi być podaną umysłowi nie jako zbiór faktów i dat luźnie obok siebie stojących, lecz jako pewna harmonijna, organicznie związana całość, w której domagać się należy odróżnienia rzeczy ważniejszych od mniej ważnych, wyszykowania na plan pierwszy głównych rysów, ułożenia z różnych szczegółów jednolitego obrazu, w którymby na pierwszy rzut oka dojrzeć można wzajemny ich stosunek. Pod tym względem książce p. Wodzickiej niejedno dałoby się zarzucić. Są, co prawda, miejsca, gdzie się autorce udało z różnorodnego materyału stworzyć jednolitą całość, częściej jednak nie znajdujemy należytej perspektywy w grupowaniu szczegółów. Wada ta ma swoje źródło w samem już założeniu. Jak bowiem w części I., tak i tutaj opiera się plan opowiadania na chronologicznym porządku, niewolniczo niemal przestrzeganym. Autorka nie rozdziela faktów czy zjawisk podług tego, na jakie pole wkraczają: czy wzięte są z życia politycznego narodu, czy dotyczą społecznych, ekonomicznych i t. p. przeobrażeń, ale traktuje je równolegle, oglądając się niemal jedynie na ich następstwo w czasie. Ochroniło to książkę p. Wodzickiej od wady powtarzania się i częstego powracania do tych samych kwestyj, ale nie ochroniło od innej, bodaj czy nie większej, tej mianowicie, że „Historya“ jej wygląda nieraz na kronikę, przy której czytaniu, chcąc pochwycić przebieg i rozwój jakiejś sprawy, zmuszonym jest czytelnik do żmudnej pracy przewracania kart wstecz i naprzód, i składania rozprószonych wiadomości w całość. Obficie przez autorkę nagromadzone szczegóły czynią nierzadko wrażenie mozajki żywej i barwnej, ale tak pstrej, że zatracają się dla oka kontury właściwego rysunku.

W sądach i ocenie ludzi i wypadków jest p. Wodzicka bardzo wstrzemięźliwą. Może to kto nazwie wadą, my widzielibyśmy w tem raczej zaletę. Mówi się nieraz, że znajomość dziejów polega przedewszystkiem na „ogólnych poglądach“. Jużci że tak; tylko że w największej liczbie wypadków poglądy owe nie są wynikiem sumiennego i żmu-

dnego rozczytywania się w dziejach ojczystych, ale wygodną osłonką nieuctwa i lenistwa umysłowego. Niezwykła popularność niektórych podręczników byłaby faktem nader pocieszającym, gdyby się nie tłumaczyła tem, że w nich czytelnik bez wysilania pamięci, bez głębokiej pracy, bez zdolności i chęci kontrolowania autorów, znajduje gotowe już oceny ludzi i epok, olśniewające pewnością i oryginalnością, a nie obciążone balastem faktów, dat i szczegółów. Za zaletę więc poczytujemy p. Wodzickiej, że niema w jej książce nadmiaru ogólnikowych sądów, nieuzasadnionych twierdzeń, niepotrzebnej frazeologii. Z sądem swym nie tai się autorka, ogólnych uwag nie pomija, ale wszędzie są one logicznym wnioskiem, z opowiedzianych poprzednio faktów wysnutym. W sądach tych i charakterystykach radzi się p. Wodzicka najczęściej Szujskiego, nie idzie jednak za nim niewolniczo, unika przedewszystkiem jego bezwzględności. Z miarą i taktem, bez zbytecznych uniesień uwydatnia jasne i piękne momenty naszej przeszłości, lecz także z wielką wyrozumiałością wytyka wady i błędy. Wychodzi to tylko na korzyść książki. Wybujałość w jednym, czy w drugim kierunku — optymizm czy pesymizm — zarówno szkodliwy; ten ostatni w książce dla młodzieży przeznaczonej może jeszcze szkodliwszy, bo wzbudza odrazę i wstręt do własnej przeszłości a, co za tem idzie, i do własnego społeczeństwa.

Jak wiadomo, nie wydała jeszcze nauka stanowczego sądu o Zygmuncie I.; zdania różnych uczonych są w tym względzie wprost odmienne. Autorka poszła drogą pośrednią, bliższą jednak tym, którzy króla tego pobłażliwiej osądzają, jakkolwiek surowo i słusznie wytyka stanowisko, zajęte przezeń w sprawie pruskiej. Wogóle rozdział o Zygmuncie I. należy do najlepszych w książce. Na uznanie tu zasługuje dobrze skreślona t. zw. wojna kokosza, piękna charakterystyka Polski i jej obyczajów w pierwszej połowie XVI. w., barwnie odmalowana świetność dworu królewskiego, zręcznie a z zachowaniem właściwej miary przedstawiony stan współczesnej literatury.

Przy Zygmuncie Auguście nie dość może jasno przedstawia autorka sprawę egzekucyi, a co gorsza, po macoszemu niemal obchodzi się z unią lubelską, dotykając jej tylko z zewnątrz. Nie wyjaśnia dostatecznie, skąd to pochodził tak zacięty opór panów litewskich przeciw ściślejszemu związkowi z Polską, nie podkreśla też, jak należy, znaczenia unii. Bardzo piękną natomiast charakterystyką kończy autorka rozdział o Zygmuncie Auguście. Życia prywatnego oczywiście, jak się

to z charakterem książki godzi, nie rozpatruje szerzej. „Życie prywatne Zygmunta Augusta zostawmy sądowi bożemu: On jaśniej od nas widzi pokusy, jakiemi okalano jego młodość, widzi zewnętrzne rozterki i walki wewnętrzne, jakie toczyły jego wiek dojrzały i nie dały mu dożyć starości. Od nas należy mu się podziękowanie za dobro, które zdziałał i więcej jeszcze za złe, przeciw któremu całe życie walczył i którego nie dopuścił do końca".

Pierwsze bezkrólewie przedstawia autorka bardzo przejrzyście; dobitnie a trafnie wytyka zarodki złego, tkwiące w pierwszych paktach konwentach. Charakterystyce Stefana Batorego krótkiej, za krótkiej z pewnością, zarzucićbyśmy musieli brak jednego wybitnego rysu, bez którego wizerunek wielkiego króla musi pozostać niezupełnym: nie podnosi mianowicie autorka należycie zasług jego, jako wodza i reorganizatora wojskowości polskiej.

Bardzo łagodnie sądząc Zygmunta III. nie uwydatnia p. Wodzicka dość dobitnie, że główną wadą jego było, iż najważniejszy cel swój, dla którego gotów był poświęcić najżywotniejsze interesa polskie, upatrywał w odzyskaniu tronu szwedzkiego; dla tego celu pracował przedewszystkiem, narażał na szwank sprawy polskie, wciągał Polskę w walki niepotrzebne.

Co się tyczy formy opowiadania, jest ona piękną i potoczystą. Styl, ogółem biorąc, jasny, zrozumiały, spokojny, nigdy deklamacyjny, a urozmaicony licznymi cytatami, bardzo trafnie dobranymi z kronik i pamiętników. Razi tylko używanie barbaryzmów, zbyt częste, a zgoła niepotrzebne, skoro słownictwo nasze, dostatecznie bogate, bez trudu mogło było autorkę ustrzedz od tego rodzaju usterek. Wyrazy takie, jak: impreza, anneksya, pertraktacye, tergiwersacye, temporyzowanie i t. p. raz na zawsze powinnyby z książek polskich zniknąć.

Mimo wszystkich wymienionych usterek i braków — drobiazgów oczywista nie dotykając — z przyjemnością zaznaczyć wypada, że książka p. Wodzickiej celowi swemu w zupełności odpowiada. Nie mając charakteru książki szkolnej, przeznaczona dla młodzieży dorastającej, dla której już dzieje ojczyste nie są zupełnie nieznane, owiana swojskim obywatelskim duchem, będzie ona czytaniem przyjemnem, moralnie kształcącem, rozwijającem najpiękniejsze uczucia. Zapewne też nietylko wśród młodszych, znajdzie chętnych — i oby jak naliczniejszych — czytelników.

Dr. Aleksander Czuczyński.

Historya uniwersytetu lwowskiego. Napisali *dr. Ludwik Finkel* i *dr. Stanisław Starzyński*, profesorowie uniwersytetu lwowskiego. Lwów. Nakładem Senatu akademickiego c. k. uniwersytetu lwowskiego. 1894. (W wielkiej 8-ce, str. I—XVI; część I., str. 1—351; część II., str. 1—417. Indeks nazw osób str. 419—442).

Poważne to dzieło, owoc wielkiej pracy, tem większej, że dokonanej w przeciągu krótkiego czasu ośmiu miesięcy, jest jedną z najcenniejszych publikacyj ostatnich lat. Nie są to suche i w ciasnych objęte ramach dzieje jednego naukowego zakładu, złożone z kronik szkolnych, dat, rozporządzeń i wykazów — ale na szerokie rozmiary podjęte, nieraz wyczerpujące, często barwne opracowanie, przedstawiające dzieje lwowskiego uniwersytetu na tle współczesnych politycznych i umysłowych stosunków, obejmujące ludzi i wydarzenia, które w jakiejkolwiek z uniwersytetem zostawały styczności, podające niejednokrotnie obraz całego społeczeństwa i jego kultury; cenne zwłaszcza, jeżeli chodzi o dzieje tej części kraju naszego, który po rozbiorze nazwano Galicyą — dzieje ręką historyka dotychczas prawie nie tknięte.

Książka dzieli się na dwie części. Pierwsza, napisana przez d-ra Finkla, obejmuje historyę uniwersytetu lwowskiego do r. 1869; druga, dzieło d-ra Starzyńskiego, podaje dalsze dzieje tego zakładu aż po rok 1894.

We Lwowie, od czasów Kazimierza W., była szkoła farna, której rektora mianowała rada miejska. Ta parafialna szkoła zamieniła się staraniem Grzegorza z Sanoka w r. 1455 na katedralną czyli metropolitalną. Rektor jej musiał posiadać stopień naukowy akademii krakowskiej; mianowało go miasto za zgodą kapituły, która czuwała nad nauką. Szkoła ta wsławiła się w XVI. wieku i miała rektorami ludzi takich, jak Stanisław Lwowczyk, ks. Benedykt Herbest, Jan Ursyn i inni.

W r. 1608 pomimo oporu miasta i szkoły metropolitalnej, powstaje we Lwowie kolegium jezuickie, początkowo z 200 uczniami; w kilkanaście lat później było ich już 650. Uczniowie po ukończeniu szkół elementarnych przechodzili trzy klasy gramatykalne, następnie dwie humaniorów i kursa filozofii, poczem ci, którzy się chcieli poświęcić stanowi duchownemu, rozpoczynali w zakładzie teologię.

Kolegium rozwijało się pomyślnie przez lat kilkadziesiąt, dopiero morowe zarazy, których sporo było w XVII. wieku, a w końcu te wielkie burze, które przeszły nad Rzpltą za nieszczęśliwych rządów Jana Kazimierza, wstrzymały jego rozkwit. W niektórych latach trzeba

było zamykać szkoły, w innych frekwencya uczniów była nieznaczną. W r. 1649 wszystkich uczniów liczyło kolegium zaledwie 100, a podczas kiedy w r. 1618 skończyło teologię 23 alumnów, w r. 1653 „z powodu wojen i zarazy“ było ich tylko 4, a w r. 1656 zamknięto zupełnie kursa teologiczne.

Kiedy jednak układać się poczęły rozszalałe nad Polską burze, Jezuici zabrali się na nowo do podniesienia swego zakładu i zapewnienia mu jeszcze świetniejszej przyszłości. Ponieważ chodziły wieści, że schyzmatycy zamierzają otworzyć akademię we Lwowie, Zakon postanowił ich uprzedzić i *tentatis omnibus modis possibilibus* doprowadził wreszcie do tego, że 20 stycznia 1661 r. wyszedł z kancelaryi królewskiej dyplom nadający szkołom jezuickim we Lwowie tytuł i przywileje akademii czyli uniwersytetu i równający je zupełnie z akademią krakowską i wileńską.

Przeciw temu aktowi, który potrzebował jeszcze zatwierdzenia sejmu, wystąpiło mieszczaństwo lwowskie, akademia krakowska i zamojska. Jezuici jednak pomimo wszystkich burz nie cofnęli się; rozszerzali swe gmachy, powiększali zakres nauki, utworzyli katedry fizyki i anatomii, a liczba ich uczniów w pierwszych latach XVIII. wieku wzrosła do 700. W połowie XVIII. w. (1758—1759) uzyskali nawet zatwierdzenie pierwotnego dyplomu erekcyjnego Jana Kazimierza przez Augusta III. i papieża Klemensa XIII. Ale były to już ostatnie wysiłki. Przeciw Jezuitom podnosiła się w całej Europie coraz groźniejsza burza, której echa nie były obce i w Polsce; w r. 1763 wyszedł wyrok królewski nakazujący zamknięcie akademii, wreszcie w 1773 nastąpiła kassata Zakonu.

Po zajęciu Galicyi przez Austryę utworzył rząd w r. 1773 we Lwowie obok rady zdrowia rodzaj fakultetu medycznego, ale tylko dla chirurgów, cyrulików i akuszerek. Na jego czele stał Polak, dr. Jędrzej Krupiński. Prócz tego przetworzył rząd austryacki jezuickie kolegium i akademię lwowską na liceum, w znaczeniu używanem w krajach austryackich, chociaż urzędownie nie dano mu tej nazwy. Naukę w niem powierzono eksjezuitom i profesorom sprowadzonym z Wiednia. Do owego *Collegium medicum* i liceum przybyło w r. 1776, za staraniem biskupa sufragana lwowskiego Głowińskiego *Collegium nobilium* Pijarów. Zarząd owego Collegium, po polsku zwanego Akademią stanową, przeznaczonego tylko dla szlachty, spoczywał w ręku Pijarów; profesorów mianował rząd, protektorem był gubernator Galicyi.

W r. 1778 ustanowiła Marya Teresa osobną galicyjską komisyę

szkolną we Lwowie. Po uporządkowaniu nauki w liceum, dawało ono rzeczywiście to wszystko, co objęte było planem nauk akademickich, brakło mu tylko nazwy akademii. Uczono w niem logiki, matematyki, fizyki, technologii, języka niemieckiego, teologii, prawa, medycyny. Już Marya Teresa zamierzała utworzyć we Lwowie uniwersytet, dzieła tego jednak dokonał dopiero Józef II. w r. 1789, nazwano je więc Józefińskiem. Z uniwersytetem było ściśle związane, bo nawet pod jednym umieszczone dachem gimnazyum akademickie, mające pięć klas. Z gimnazyum przechodził uczeń na filozofię, która była tylko przygotowaniem do zawodowych nauk i trwała trzy lata. Uczniowie filozofii, młodzi bardzo, bo 16 lub 17-letni, dokazywali nieraz, traktowano ich też jako młodzieniaszków. Karę klęczenia i całowania ręki profesorskiej zniesiono w r. 1787. Wykładano na filozofii z przepisanych podręczników, od których pod groźbą nagany, a nawet utraty katedry nie wolno było odstąpić. Pierwszym dziekanem i dyrektorem studyum filozoficznego był Ignacy Józef Martinovics, profesor fizyki, zwolennik jakobinizmu, stracony w r. 1795 pod zamkiem budzińskim.

Naukę teologii rozdzielono na lat 4. Wykładano w języku łacińskim; ściśle według podręczników przepisanych, nieraz protestanckich, tylko teologię pastoralną wykładano w języku polskim. Trzymano się niewolniczo zreformowanego Józefińskiego systemu, który polecił wszystkie nauki teologiczne oprzeć *auf philosophischen Grudsätzen*. Z przyszłych księży chciano zrobić wszystko — tylko nie dobrych kapłanów. Alumni prócz nauk zawodowych mieli słuchać obowiązkowo, jako przyszli nauczyciele ludowi, nowej metody szkół normalnych, naturalnej historyi, gospodarstwa, języka niemieckiego, a nawet niektórych nauk lekarskich i sztuki położnictwa. Z profesorów tego wydziału wspominamy tu tylko osławionego ze swego awanturniczego żywota, Inocentego Fesslera, który uczył hermeneutyki S. T. i języka hebrajskiego. Dla alumnów Rusinów utworzono w r. 1787 prowizoryczny instytut, gdzie wykładano po rusku, a nawet po polsku, bo uczniowie Rusini, przyszli księża, których brak był wielki, nie umieli po łacinie, nie mogli więc korzystać z łacińskich wykładów profesorów seminaryum rzymskiego. Instytut ten zwinięto w r. 1804. W owym czasie, zapisujemy to dla ciekawości, wszystkie listy pasterskie biskupów ruskich wychodziły w języku polskim.

Nauka prawa trwała 4 lata i miała 4 profesorów. Wszyscy wykładali według książek ówczesnych powag prawniczych: Martiniego i Sonnenfelsa, „należeli do wytrawnych praktyków, do pedagogów

spełniających swoje zadanie sumiennie, do urzędników, mniemających wiele o swojem powołaniu". Celem ich marzeń jednak była nie akademia, ale karyera urzędnicza, w której też niektórzy, jak Pfleger, wysoko zaszli.

Studya medyczne urządził w Austryi van Swieten: poprzedzała je nauka chemii i botaniki; na I. roku wykładano anatomię, na II. fizyologię i chirurgię; farmakognozyi, patologii i położnictwa uczono na III. roku; studyami klinicznemi zajmowano się w IV. roku. Prelekcye odbywały się po łacinie, chirurgii i akuszeryi uczono po polsku, później po niemiecku. Profesorami medycyny byli przeważnie ludzie niewybitni, po których ślad w nauce zaginął. W r. 1788 z powodu braku uczniów (17 uczniów na wszystkich latach), i złych stosunków między profesorami medycyny, zniesiono wyższą medycynę, a zatrzymano tylko chemię, botanikę, nadto posadę prosektora, tudzież profesorów chirurgii i położnictwa. W r. 1791 przywrócono uniwersytetowi cały fakultet medyczny, do którego wszedł uczony i zasłużony Walenty Hildenbrand, lekarz nadworny Stanisława Augusta.

Przy uniwersytecie ustanowił cesarz Józef bibliotekę, której podstawę tworzyły: zbiór Garellego, lekarza Maryi Teresy, biblioteka pojezuicka i wszystkich zniesionych klasztorów. Bibliotekarzem był Henryk Gotfryd von Bretschneider, człowiek awanturniczego życia. Ani on, ani jego kustosz Kuralt, biblioteki nie uporządkowali, obaj niewiele się o nią troszczyli, tak że musiano w r. 1805 i 1806 oddać przepisanie i ukończenie katalogu osobnej komisyi.

Uniwersytet w latach od 1788—1790 nawet w drobnostkach zależał zupełnie od gubernium: gubernator udzielał pochwały lub nagany profesorom i władzom akademickim, aprobował rozkład godzin, kazał sobie przedkładać co pół roku spisy uczniów i tablice przedstawiające wynik egzaminów, pozwalał lub zakazywał odstępować od przepisanego podręcznika. Językiem urzędowym uniwersytetu, pomimo łacińskich wykładów, był język niemiecki. Posady obsadzano za pomocą konkursu. Opinie profesorów o ubiegających się kandydatach przedkładało gubernium komisyi oświecenia w Wiedniu; według jej wniosku mianował cesarz profesorów uniwersytetu. Płace profesorów uniwersytetu wynosiły w owym czasie od 500—1200, gimnazyalnych nauczycieli od 350—500 złr.; wyżywienie dzienne rodziny z trojgiem dzieci kosztowało w tym czasie 1 złr. Czesne uczniów szło do skarbu państwa, zniesiono je jednak wkrótce, a zaprowadzono małe taksy immatrykulacyjne, z których jednę trzecią brał rektorat i kancelarya, a dwie

trzecie szły na fundusz szkolny. Rok szkolny trwał początkowo od 3 listopada do końca sierpnia, później od września do końca czerwca. Ferye były bardzo małe, po parę (3—5) dni podczas wielkich świąt; za to odpadały dwa miesiące na rok, w których składali obowiązkowo wszyscy uczniowie egzamina. Uczniów było w pierwszym roku istnienia uniwersytetu na wszystkich wydziałach 285, w roku 1790 liczba ich dosięgła 690. Prawie wszyscy ówcześni profesorowie należą do loży masońskiej, na której czele stał radca gubernialny Edward Kortum; są też oni zwolennikami Józefa II., któremu zawdzięczają swe stanowiska, więc też z katedr hasła i idee Józefińskie głoszone są z zapałem.

Ze śmiercią Józefa II. (1790) zmieniają się stosunki. Odwrót od tego, co nazwano Józefinizmem, począł się objawiać w całem państwie. We Lwowie fakultet teologiczny oddano pod władzę arcybiskupa, a nadto utworzono t. zw. *Studien-Consess* „ławicę naukową", złożoną z reprezentantów wydziałów uniwersyteckich, gimnazyów i szkół normalnych. Konsess był instancyą stojącą między gronami nauczycielskiemi a kancelaryą nadworną, z którą znosił się za pośrednictwem gubernium. Konsess, któremu przewodniczył rektor uniwersytetu, stał przez lat 10, tj. do roku 1802 na czele szkolnictwa galicyjskiego. Składał się on z 8-miu członków. Władza konsessu była bardzo znaczna. Od obsadzenia szkół ludowych aż do konkursów i propozycyi na katedry uniwersyteckie, od budynków szkolnych aż do zbiorów naukowych, od stypendyów uczniów do egzaminów — wszystko załatwiał konsess na tygodniowych swoich posiedzeniach.

Wszędzie, a więc i w szkolnictwie poczyna się w owym czasie reakcya przeciw ideom wyrosłym na gruncie XVIII. wieku; zaostrzono więc cenzurę, poczęto krytykować nietykalne dotychczas hasła wielkiej rewolucyi, pozamykano loże masońskie, przełożonym kazano nadsyłać tajne kwalifikacye poddanych, objęto cenzurą tezy doktorskie i mowy inauguracyjne profesorów. Lwowska wszechnica nie dawała Wiedniowi dość gwarancyi, że podda się nowemu kierunkowi sfer decydujących; przytem budynek uniwersytecki w złym znajdował się stanie, deficyt uniwersytetu wynosił przeszło 16.000 fl. — ostatecznie postanowiono go zwinąć. 9 sierpnia 1805 wyszło cesarskie pismo przenoszące uniwersytet lwowski do Krakowa. We Lwowie miało istnieć tylko liceum; z fakultetu medycznego miały pozostać we Lwowie tylko chirurgia, położnictwo i weterynarya.

Wydano też *Politische Schulverfassung,* nowy rozkład nauk dla wszystkich wydziałów; profesorowie liceum otrzymali rozkaz ścisłego

wypełniania obowiązków religijnych; plan nauk w liceum ścieśniono: filozofia miała tylko 5 katedr (filologia odpadła), prawo i teologia pozostały w dawnym zakresie. Filozofia i chirurgia trwały 2 lata, prawo i teologia 3 lata. Liceum nie miało prawa wyboru dziekanów i promocyi doktorskich. Na czele liceum stał rektor z senatem, złożonym z 5 dyrektorów: 4 licealnych i gimnazyalnego, bo łączność liceum z gimnazyum zachowano. Dyrektorem wydziału filozoficznego został Juliusz Hütter von Hüttersthal, człowiek bardzo wpływowy i szanowany. Na filozofii wprowadzono dwie nowe doktryny: naukę religii *(Religionswissenschaft)* i greki. Dyrektorem studyum teologicznego był bardzo zdolny, energiczny i dowcipny Jan Jakób Symonowicz, arcybiskup ormiański; za jego staraniem cesarz pozwolił już w I. roku istnienia liceum promować wydziałowi teologicznemu doktorów. Najwybitniejszym z profesorów teologii był światły i wielce zasłużony około szkolnictwa galicyjskiego ks. Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz, późniejszy biskup tarnowski i przemyski. Dyrektorem „prawa“ aż do r. 1817 był Józef Arbter, instytut zaś chirurgiczno-medyczny zostawał pod dyrekcyą protomedyka Jana Loranza; od r. 1807—1836 kierował nim protomedyk Franciszek Neuhauser. Frekwencya uczniów nie zmniejszyła się. W r. 1806 zaprowadzono *didactrum (Schulgeld)* w kwocie rocznej: w gimnazyum 6 złr., na studyach filozoficznych i chirurgicznych 15 złr. W klasach zaprowadzono cenzorów czyli t. zw. fiscusów, którymi byli obyczajni i pilni uczniowie.

Po wypadkach w r. 1809 mianowano gubernatorem zmniejszonej traktatem wiedeńskim, a przez wyłączenie z niej Krakowa pozbawionej uniwersytetu Galicyi, hr. Goess'a, który zaproponował reaktywowanie lwowskiego uniwersytetu, czemu na razie odmówiono, ale zajęto się troskliwie nauką gospodarstwa rolnego, wprowadzono w nauce pewne ulepszenia, uzupełniono katedry i powołano na nie profesorów z Krakowa.

Dopiero w r. 1816 oświadczył cesarz, że życzy sobie, aby liceum lwowskie podnieść do godności uniwersytetu, ale tymczasowo bez medycznego studyum. Powodem tego wyjątku był brak pieniędzy. Akt powtórnej fundacyi uniwersytetu, który otrzymał nazwę: *Universitas Franciscea,* podpisał cesarz 7 sierpnia 1817 r. Rektorem obrano arcybiskupa lwowskiego i prymasa Galicyi, hr. Ankwicza, wiernego sługę rządu. Nowa fundacya była w istocie tylko zmianą nazwy. Wydział filozoficzny ograniczono w r. 1824 do dwóch lat i zaprowadzono dla wszystkich jego przedmiotów język wykładowy niemiecki.

W tym stanie przetrwał ten wydział do r. 1848; był on tylko szkołą przygotowawczą dla innych wydziałów. Uczyli na nim: historyi powszechnej, znany i popularny Mauss; filozofii Napadiewicz, po nim Franciszek Stroński, jedna z najpiękniejszych postaci uniwersytetu lwowskiego, „uosobiona *humanitas*“, po ustąpieniu Strońskiego Czech, Ignacy Hanusz, Heglista; jego adjunktem był Euzebiusz Czerkawski. Matematyki i geometryi uczył stary Kodesch, po nim słynny matematyk Schuz v. Strasznicki, wreszcie Ignacy Lemoch. Fizykę po Antonim Gloisnerze wykładał od r. 1824—1848 August Kunzek, człowiek oddany zupełnie nauce. Filologia klasyczna, język grecki, estetyka, a nawet z początku i pedagogia spoczywała w ręku jednego profesora Ignacego Pollaka, dobrego mówcy, później Karlomana Tangla, którzy jednak nie wychowali znawców literatury klasycznej. Religię i pedagogię wykładał ks. Grzegorz Jachimowicz, późniejszy metropolita greckokatolicki, po nim zaś Franciszek Amtmann. Oprócz wymienionych przedmiotów — z których obowiązkowymi dla wszystkich były tylko: religia, filozofia, fizyka, matematyka elementarna i filologia łacińska — należała jeszcze do wydziału filozoficznego nauka technologii i rolnictwa. Technolog uczył także naturalnej historyi. Dla praktycznej nauki rolnictwa oddały Stany folwark Friderikenhof pod Lwowem, rzecz jednak cała nie przyniosła żadnego realnego pożytku. Istniała też nadzwyczajna katedra języka i literatury polskiej, do której kandydaci zgłosili się dopiero w r. 1822, między nimi Jan Kamiński, dyrektor teatru. Zamianowano profesorem, o płacy 600 złr., Mikołaja Michalewicza, ale dopiero w r. 1825. Michalewicz był to człowiek dobrej chęci, lecz miernego talentu i niewielkiej erudycyi, stąd uczniów miał niewielu, a i tych tylko z powodu rozporządzenia z r. 1827, które chcącym się poświęcić politycznej służbie w Galicyi nakazywało zdać egzamin z języka polskiego. Literatury uczył Michalewicz na podstawie Bentkowskiego.

Dyrektorami prawa byli urzędnicy; profesorowie nimi być nie mogli. Troskliwością o ten wydział, odznaczył się Karol Krauss, późniejszy minister sprawiedliwości. Profesorami prawa w owym czasie byli ludzie wybitni a nawet znakomici, jak np. Michał Franciszek Stöger, Edward Tomaszek, Józef Winiwarter. Prawa polskiego wraz z praktyką cywilną, prawem handlowem i wekslowem uczył do r. 1836 Jan de Dobra Dobrzański, człowiek miernych zdolności, po nim krótko M. Stubenrauch, a od r. 1841 dr. Franciszek Tuna.

O fakultecie teologicznym z owej epoki nie wspominamy, bo

z braku materyałów i innych jeszcze powodów dzieje jego skreślił dr. Finkel pobieżnie, „ograniczając się prawie tylko do nazwisk".

Instytut chirurgiczno-medyczny, nie mając prawa promowania doktorów, wytworzył tylko znaczną liczbę chirurgów, „którzy przez dziesiątki lat byli jedynymi lekarzami w miastach powiatowych i miasteczkach Galicyi". Uczniów liczył instytut do 100, z tych trzecią część stanowili Żydzi.

Warto przypomnieć, że w r. 1820 wszedł rektor uniwersytetu do sejmu, w 1817 powstał Zakład im. Ossolińskich; w tym też czasie począł się wytwarzać pewien ruch literacki. W latach 1826—1828 przebudowano gmach uniwersytecki, liczba uczniów coraz bardziej wzrastała — ale koło r. 1830 wszystko się cofa, rwą się stosunki między profesorami uniwersytetu a polskimi literatami, skutkiem powstania opróżniają się sale akademii, a po upadku powstania ogólny w całym narodzie zastój, martwota lub spiski wśród starszych i młodzieży, którą zaczęto ze szkół wydalać.

W wypadkach r. 1848 budynek, biblioteka i zbiory uniwersyteckie spaliły się, a personal nauczycielski prawie cały się zmienił. Zniesiono półroczne egzamina i kontrolę nad religijnemi obowiązkami uczniów, docentom pozwolono wykładać po polsku, a nawet wyszło 29 września rozporządzenie, że w uniwersytecie, w technice, a także i w gimnazyach mają jak najszybciej rozpocząć się polskie wykłady. Jednakowoż już w grudniu 1848 zniesiono owo rozporządzenie, a język ruski zrobiono obowiązkowym w gimnazyach wschodniej Galicyi, polski zaś był tylko nadobowiązkowym; docentom uniwersytetu pozwolono wykładać po polsku, ale bezpłatnie. Z powodu spalenia gmachu zarządzono ferye akademickie, które trwały do stycznia r. 1850, poczem umieszczono uniwersytet na 3 piętrze w ratuszu. W tym czasie wychodzi reorganizacya szkolnictwa, znosząca dyrektoryaty, zaprowadzająca kolegia, jakie są do dzisiaj, senat, składający się z dziekana i prodziekana, rektora i prorektora; filozofia staje się samoistnym wydziałem. Dawni profesorowie częścią umierają, częścią usuwają się lub przechodzą na inne uniwersytety. W styczniu r. 1851 przenosi się uniwersytet z komornego do gmachu *ad St. Nicolaum*. Wydział teologiczny zreorganizowano najwyższem postanowieniem z r. 1850. Profesor teologii musiał mieć upoważnienie do nauczania od biskupa. Plan nauk zmieniono po konkordacie ze Stolicą Apostolską w r. 1858. Wydział prawniczy otrzymał nowy plan w r. 1855, w którym znacznie rozszerzono naukę (prawo niemieckie), zaprowadzono egzamin po drugim

roku z rzymskiego, kanonicznego i niemieckiego prawa w połączeniu z historyą austryacką. Wydział filozoficzny zupełnie się zmienił: stał się tem, czem jest obecnie. Ustrój nauki gimnazyalnej, na ośm lat rozłożonej, zupełnie zniesiono, dając jej te przedmioty, których przedtem uczono na filozofii. Filozofia zajęła się głównie ze względu na gimnazya, językami klasycznymi; utworzono nadto na wzór pruski w r. 1852 seminarya filozoficzne i historyczne.

Osobny rozdział poświęca autor katedrze języka polskiego, którą po Michalewiczu objął Jan Szlachtowski; ministerstwo odebrało mu ją w r. 1852 za współudział w wypadkach roku 1848. Obsadzono ją dopiero w r. 1856; profesorem został Antoni Małecki, co było niespodzianką nawet dla namiestnika Gołuchowskiego. Jak się to stało, skreślił dr. Finkel według opowiadania Małeckiego. Ustęp ten bardzo jest zajmujący, bo rzuca ciekawe światło na ówczesne stosunki w Galicyi (str. 334—336).

Dla Rusinów już w r. 1862 ustanowiono dwóch nadzwyczajnych profesorów prawa z językiem wykładowym ruskim. Polacy dopiero w r. 1867 otrzymali za staraniem prof. Zielonackiego i namiestnika Gołuchowskiego niektóre nadzwyczajne katedry prawa z językiem wykładowym polskim; objęli je d-rowie Kabat, Źródłowski i Gryziecki, a nieco później dr. LudwikPepłowski (suplent prawa handlowego i wekslowego). W październiku r. 1867 pozwolono składać niektóre egzamina na wydziale prawniczym w języku polskim lub ruskim.

Powoli wywalcza sobie i fakultet filozoficzny wykłady polskie. I tak od września r. 1868 Lipiński wykłada logikę po polsku i po niemiecku, w rok później dr. Liske historyę i dyplomatykę po polsku; w r. 1870 pomimo oporu profesorów niemieckich systemizowano trzy zwyczajne katedry polskie: postępowania sądowo-cywilnego, prawa cywilnego austryackiego, prawa i postępowania karnego, tudzież jednę nową, nadzwyczajną katedrę polską, prawa handlowego i wekslowego (Leonard Piętak). W r. 1871 wydanem zostało wreszcie Najw. postanowienie, iż „wszelkie ograniczenia, jakie dotychczas stały na przeszkodzie odbywaniu polskich i ruskich wykładów na prawniczym i filozoficznym wydziale uniwersytetu lwowskiego mają odtąd całkowicie odpaść, a na katedry w tych fakultetach mogą być powoływane w przyszłości tylko osoby, uzdatnione zupełnie do wykładania w jednym z obu języków krajowych“. Nawet do utrzymania katedry języka niemieckiego i jego literatury potrzebną teraz była znajomość języka polskiego. Jako

okres przejściowy wyznaczono 3 lata; od końca lipca r. 1874 usunięci być mieli profesorowie, nieodpowiadający powyższym wymaganiom.

Rozbierając to rozporządzenie wraz z reskryptami ministeryalnymi, które w sprawie wykładowego języka później wydano, czyni dr. Starzyński ciekawą i ważną uwagę, że prawa języka polskiego jako wykładowego nie są na uniwersytecie lwowskim pod względem prawnym dostatecznie zagwarantowane (Część II, str. 54).

Niemniej interesującym jest przebieg długoletnich zabiegów i usiłowań, dążących do tego, aby polski język stał się wreszcze urzędowym językiem w zarządzie i aktach uniwersytetu. Sprawa ta często poruszana i dyskutowana w r. 1869, została do pewnego stopna uregulowana w lipcu r. 1871 rozp. ministeryalnem: „aby odtąd władze akademickie przyjmowały bez żadnych ograniczeń polskie i ruskie podania i starały się na nie w tychże językach odpowiadać". W październiku r. 1872 zaprowadzono język polski jako urzędowy w komisyi egzaminacyjnej rządowej i w świadectwach przez nią wydawanych. Pomimo następnie interpelacyi w sejmie, pomimo wniosków odpowiednich senatu uniwersyteckiego w r. 1873 (referent Małecki) i w r. 1877 (referent Rittner), język polski stał się dopiero w r. 1879 językiem urzędowym władz akademickich.

Na osobne podniesienie zasługuje przebieg starań o stałą katedrę historyi polskiej. Po wniosku posła Euzebiusza Czerkawskiego w sejmie r. 1881 został zamianowany w r. 1883 nadzwyczajnym profesorem historyi polskiej dr. Wojciechowski. Od r. 1880 poczynają się starania uniwersytetu i sejmu o osobną katedrę prawa polskiego, łączoną dotychczas zawsze z innemi przedmiotami. Sejm w roku 1880 uchwala wezwać rząd: 1) aby na uniwersytecie we Lwowie systemizował osobną katedrę dla prawa polskiego; 2) aby na uniwersytetach we Lwowie i w Krakowie prawo prywatne polskie wraz z historyą prawa polskiego było przedmiotem obowiązkowym egzaminów ścisłych (prawno-historycznych). Sprawę zakończono pomyślnie tylko co do pierwszego żądania, albowiem w r. 1887 mianowano prof. Balzera nadzwyczajnym, a w r. 1890 zwyczajnym profesorem prawa polskiego. Co do drugiego żądania, otrzymano obietnicę zaliczenia prawa polskiego do przedmiotów rygorozalnych we Lwowie i w Krakowie, odmownie jednak odpowiedziano na życzenie, aby ono mogło wejść w zakres prawno-historycznego egzaminu rządowego.

Z innych spraw, dotyczących uniwersytetu, które omawia dr. Starzyński, notujemy tu z r. 1876 żądanie uniwersytetu i posłów sejmo-

wych (Dunajewskiego i Reja), aby ferye jesienne w uniwersytetach i szkołach średnich w naszym kraju przypadały ile możności na ten sam czas, i aby zrównano oba semestra co do czasu trwania. Sprawę tę wznowił senat jeszcze raz w r. 1886; dotychczas nie załatwiona. Ciekawą bardzo jest opowieść o ataku prof. Seussa w r. 1876 w parlamencie wiedeńskim na uniwersytet lwowski. Przy debacie nad tą sprawą oświadczył poseł ruski Gierowski, „że Rusinom zależy bardzo na istnieniu uniwersytetu lwowskiego, i że studentowi ruskiemu o wyrobionych przekonaniach narodowych nie grozi tu wynarodowienie...“

W dalszym ciągu drugiej części dzieła spotykamy kronikę wydziałów uniwersytetu, zaczynającą się od r. 1869, a obejmującą życiorysy wszystkich profesorów, którzy od tego roku począwszy mieli wykłady, jakoteż szczegółową bibliografię ich prac. Po tej kronice następuje druga, przedstawiająca dzisiejszy stan poszczególnych wydziałów. Osobne rozdziały poświęcone są bibliotece uniwersyteckiej i jej urzędnikom, seminaryom naukowym i stypendyom, stowarzyszeniom młodzieży, statystyce słuchaczy i władzom akademickim od r. 1869—1894.

Dr. Antoni Kurpiel.

Pogadanka o nowych książkach dla dzieci.

(S. Sempołowskiej i J. Unszlichtówny, „Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń“. — Maryi Weryho, „Opowiadania prawdziwe“. — W. Gomulickiego, „Niedziele Romcia“. — A. Dygasińskiego, „Cudowne bajki“. — W. Umińskiego, „Od Warszawy do Ojcowa“. — S. Gębarskiego, „Zaginiony w grotach Ojcowa“. — W. Przyborowskiego, „Na Oceanie Spokojnym“. — Teresy Jadwigi, „Nowe opowiadania ciotki Ludmiły“. — H. Strażyńskiej, „Sieciech i królewicze“).

Polskie książki dla młodzieży, tembardziej dla dzieci, były u nas do niedawna rzadkością. Pomijając parę nazwisk zaszczytnie na tem polu zapisanych (jak Jachowicz i Hofmanowa z Tańskich), posługiwaliśmy się stale tłumaczeniami prac zagranicznych, które dla naszych dzieci nietylko były obce duchem i treścią, ale też zazwyczaj pod względem językowym i literackim wypadały bardzo słabo i nieudolnie. Nic w tem dziwnego. Jeżeli bowiem nie jest wogóle łatwą rzeczą oddać dobrze zwykłą rozmowę, spisaną w obcym języku, to stokroć przychodzi trudniej przełożyć zwroty dziecinne, naiwne i zdrobniałe wyrażenia, odcienia czułości lub żartu. Same imiona stawały się nieraz

szkopułem. Ulubiona np. przez niektórych pisarzy „Marguerite“ nie da się przetłumaczyć na Małgosię.

Dziś jednak coraz lepiej. Zaczynamy się już obchodzić bez cudzej pomocy nietylko na innych polach, ale także w literaturze dziecięcej. Dzieci nasze mogą już sobie urządzić swojską biblioteczkę, złożoną z samych książek polskich, a nawet ją podzielić na różne działy, jak np.: bajeczny, historyczny, opisowy i przyrodniczy. Ostatni rok szczególnie był obfitym w tego rodzaju publikacye; dla informacyi matek i wychowawczyń chcemy im parę słów poświęcić.

Panie Sempołowska i Unszlichtówna, oparte na zasadach najnowszej metody, wydały seryę powiastek, opowiadań i ćwiczeń dla dzieci od 7-miu do 9 ciu lat [1]. Rzecz to prawdziwie dobra; matkom i nauczycielkom może wyświadczyć wielkie posługi, choć — mojem zdaniem — za daleko w niej posunięty kult dla metody, a na ćwiczenia gramatyczne zbyt wielki położony nacisk. Autorki, co prawda, miarkują się jak mogą, aby suche językowe ćwiczenia ożywić i dzieci zająć; między innemi wskazówkami metodycznemi podają i tę, aby wobec dzieci „unikać stanowczo“ nomenklatury gramatycznej — a jednak (rzecz charakterystyczna) za to właśnie umiarkowanie spotkał je zarzut w *Tygodniku Ilustrowanym* (r. 1897, nr. 7). Oj, ta gramatyka! Czemże jest dla niej myśl!? Nędznym materyałem istniejącym na to, aby go przelewać w martwe formy! Czem umysł dziecka — ta świątynia, kędy my, ludzie prości, radzibyśmy postawić krzyż i otoczyć go ziemskimi kwiaty? Młynkiem do obracania suchych formułek. Zanim dziecko wie czem jest Bóg — powinno wiedzieć czem jest rzeczownik; zanim się dowie co to jest być dobrym — musi wiedzieć, że wyraz dobry jest przymiotnikiem...

Mówią nam raz po raz, że przesadny kult gramatyki, który wszechwładnie panował przed niewielu laty, ustąpił dziś miejsca nowszym poglądom, że dzisiejsze sfery nauczycielskie nawiązują znowu, niebacznie niegdyś zerwaną, nić rozumnych tradycyj przeszłości. Nie przeczymy; zdaje nam się jednak, że system sam nie wszędzie jeszcze dosyć się zmienił; tam gdzie go zaniechano, lub złagodzono — jest to przeważnie osobista zasługa jednostek, pojmujących, że głównem za-

[1] „Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9“. Ułożyły S. Sempołowska i J. Unszlichtówna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1897. (W 8ce, str. 205 i IV).

daniem wychowania jest wyrobienie myśli i sumienia a następnie dopiero nauka poprawnego wyrażania tychże myśli i wrażeń. Zdaje nam się, że pp. Sempołowska i Unszlichtówna podzielają ten pogląd i że tylko poniewolnie hołdując ultra-scholastycznej metodzie, piszą w przedmowie, iż „cały zasób wiadomości, jaki dziecku należy dać w pierwszym roku systematycznego nauczania, można (oprócz nauki rachunków) doskonale skupić około nauki języka“.. Byłoby to nieco chude pożywienie: formułki gramatyczne i formułki rachunkowe! Za pomocą takich kółek można wyborną utworzyć maszynę, ale człowieka — chyba nie.

Głównym powodem do mniemania, że autorki wyższe nad to powiedzenie żywią poglądy, jest artykulik p. t. „Czego od nas żądają rodzice“, zamieszczony w nrze 5 tegoż *Tyg. Ilustr.* a podpisany literami J. U., pod któremi pozwalamy sobie domyślać się pióra p. Unszlichtówny. Protestując w nim przeciw kierunkowi wyłącznie materyalno-utylitarnemu, jaki wszedł w modę, pisze ona, że „nauczyć dziecko skupiać uwagę, myśleć logicznie, samodzielnie pracować — oto najważniejsze punkty; a czy ono będzie lub nie będzie w tym czasie wiedziało co to jest fiszbin, jak się robi papier, płótno, perkal i t. d., to doprawdy nie przeszkodzi mu zostać szlachetnym, myślącym i wykształconym człowiekiem“. Z tem zdaniem w zupełności zgodzić się możemy. Że zaś autorki pragną, aby dzieci nauczyły się myśleć nietylko „logicznie“ ale i poczciwie, świadczy wybór zebranych przez nie powiastek, o treści nieraz bardzo ładnej, czasem nawet podniosłej. Szkoda tylko, że treść każdej takiej powiastki ma być wyczerpana nie w jednej lecz w paru lekcyach — znowu gwoli metody i gramatyki. Zdawaćby się mogło, że nie chodzi o to, by dziecko wyssało z powiastki cały sens moralny lub zasób wiadomości przyrodniczych, lecz aby wszystkie zdania przewróciło do góry nogami, rzeczowniki i przymiotniki rodzaju męskiego zamieniło na rodzaj żeński, słowem wykonało przeróżne gramatyczne sztuki z początku łatwe, potem coraz trudniejsze.

Pod koniec jedna jeszcze uwaga. Lepiejby było nie rozpowszechniać pomiędzy dziećmi wiersza J. Chęcińskiego pod tytułem: „Kłamstwo bez grzechu“:

Kłamstwo rzecz zdrożna, szkaradna, a przecie
Aby ocalić brata, gdy trudno inaczej,
Jeśli bez krzywdy niczyjej skłamiecie,
Pan Bóg przebaczy.

Złe jest zawsze złem — a dobry zamiar nie uświęca środków; to zaś, że Pan Bóg może przebaczyć, nie czyni dozwolonemi rzeczy, które same w sobie są niezgodne z przepisami moralności.

Oto wszystkie zarzuty, może nazbyt surowe, jakie uczynić można ładnemu i bardzo pożytecznemu „Zbiorkowi powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń".

Z kolei nasuwa nam się książka całkiem inna, w ozdobnej oprawie, opatrzona bardzo starannie wykonanemi ilustracyami T. Jaroszyńskiego, napisana przez p. Maryę Weryho [1]. Jest to serya poetycznych obrazków, obracających się głównie w świecie zwierzęcym i roślinnym. Nie wszystkie wartością równe, ale we wszystkich styl śliczny, powiewny, pełen dowcipnych zwrotów. Najlepszymi są: „Tchórz", „Zające" i „Opowiadanie lalki". Dwa pierwsze pochwalić trzeba bez zastrzeżeń, w ostatnim można zarzucić pewien tendencyjny, nieco zużyty już sposób moralizowania: lalka, dawna faworytka bogatej Jani, zaniedbana przez nią dla nowych zabawek, znajduje prawdziwą miłość, wierność i szczęście w otoczeniu ubóstwa, u córki stróża Jagusi. Oczywiście, każdy z nas zgani niestałą Janię; ale zapytać wolno, czyby przypadkiem i Jagusia nie postąpiła tak samo, gdyby jej kto nowe, piękniejsze od potłuczonej lalki podarował cacka?... Ważniejszy jednak zarzut, jaki autorce uczynić można, to sam tytuł książeczki, nie zgodny z jej treścią: niepodobna przecież podciągnąć pod nazwę prawdziwych opowiadań takiego np. „Wesela biedronki", gdzie różnorodne owady zasiadają do wspólnej uczty i tańczą przy dźwiękach godowej orkiestry na gładkiej powierzchni ogromnej purchawki. Wdzięczne to wszystko i wonne i lekkie — może nawet zbyt lekkie, czasem niedość pogłębione, pozbawione zaokrąglenia. Pomimo to dzieci mogą się tu w sposób przyjemny nauczyć, jak się różne zwierzątka żywią, jak budują gniazda, jak jaj lub małych pilnują. Jedno może opowiadanie o „Ciernikach" nie bardzo się nadaje dla dzieci; czuć w niem, że autorka jest skrępowana wobec swego drobnego audytoryum. Uczucie to jej się chwali, gdyż nigdy nie można dość uszanować niewinności dziecięcej, ale lepiejby jeszcze było podobnych tematów wcale nie poruszać. Wogóle wolelibyśmy, żeby p. Weryho przeniosła swój

[1] Marya Weryho. „Opowiadania prawdziwe. 16 powiastek dla dzieci od lat 6 do 10". Z 20 ilustracyami T. Jaroszyńskiego. Petersburg. Nakład księgarni K. Grendyszyńskiego 1897. (W 8ce, str. 53).

talent na nieco szersze pole, gdzieby i polot jego swobodniej się rozwinął i starsza młodzież obfitszy zeń osiągła pożytek.

Z fantastycznego świata roślin i zwierząt przenosi nas do ludzkiego codziennego życia książka Wiktora Gomulickiego p. t.: „Niedziele Romcia“ [1]. Że książka napisana dobrze, stylem czystym i pięknym, dowodzi nazwisko autora. Trudno jednak nie wypowiedzieć, że stworzył rzecz wyborną, jednę z tych książek, którą przez kilka pokoleń dzieci radować się mogą — coś w rodzaju „Wiązania Helenki“ Hoffmanowej, ale o wiele spotęgowanego, przeznaczonego dla starszych dzieci (od 8 do 12 lat), a karmiącego równocześnie ich serce, umysł i wyobraźnię. Jest tam i wiara gorąca a praktyczna, i nauka, i wielka znajomość dzieci; jeżeli już coś koniecznie krytykować trzeba, to chyba nieświadomość, w jakiej czytelnik jest zostawiony przez pół tomu, co do stosunków rodzinnych bohatera. Zdawałoby się, że ów Romcio niema nikogo na świecie prócz ojca; potem nagle dowiadujemy się o przyrodnich braciszkach, poza którymi w cieniu trzeba się domyślać postaci zupełnie biernej macochy. Dzieci lubią wszystko mieć namacalnie, boć przecież dla nich bohaterowie z książki są rzeczywistemi postaciami, z któremi żyją, darząc ich swą sympatyą albo niechęcią, silniej nieraz niż to z prawdziwymi ludźmi czynić będą w późniejszych latach. Z Romciem np. nietylko się zabawią w Warszawie, ale z nim pojadą do Gdańska, poznają morze i wiele ciekawych rzeczy, i szczerze pokochają zabawnego chłopaczka, równie jak i jego tatusia, którego sympatyczną postać uwydatniają ładne ilustracye Ilinicza.

„Cudowne bajki“ Dygasińskiego [2] porywają nas znów w kraj fantazyi. Autor zwiedził i drugą półkulę, widział podzwrotnikowe słońce i kwiaty, można więc żądać od niego, aby nam barw nie skąpił. Same już ilustracye nietylko staranne, ale prawdziwie piękne, przenoszą czytelnika w świat czarodziejski, który nigdy nie istniał, ale w którym lubią przebywać młode (niekiedy i stare) umysły. Tymczasem z wykończeniem ilustracyj i czarodziejską treścią książki nie harmonizuje

[1] „Niedziele Romcia“. Opowiedział Wiktor Gomulicki. Warszawa Nakład i druk Emila Skiwskiego. 1897. Z 9-ma rysunkami Ilinicza. (W 8-ce, str. 372).

[2] Adolf Dygasiński, „Cudowne bajki“. Z 21 ilustracyami J. Pankiewicza. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Sp. (W 4-ce, str. 152).

styl i język autora. Pod pozorem popularnego tonu, zaniedbuje p. Dygasiński formę, wprowadza, nie wiem po co, wyrażenia prowincyonalne, nigdy i nigdzie nie używane w druku ani w piśmie, a które nie każdy nawet w czytaniu zrozumie. W pierwszej np. bajce król nakazuje zakładać ogary: „Byli tacy ludzie od tego — powiada p. Dygasiński — więc zaraz wzięli coś pięćdziesiąt ogarów i zapuścili toto w knieję“... Lub np. wcale nie polskie wyrażenie: „Była jedna królewna“... wzięte żywcem z niemieckiego; albo: „W jednym starym boru, co tam rosły tylko sosny“, a nieco dalej: „tylko para małych oczek żywo świeciła na głowie pieska“... Możnaby takich błędnych zwrotów tuzinami przytoczyć. Autor nietylko psuje nimi swe opowieści, ale czyni je niewłaściwem czytaniem dla dzieci, które tym stylem przejąć się mogą. Prócz tego nazwy bohaterów w bajkach nie szczęśliwie wybrane: trzej książęta np. zwą się: Cierniak, Kos i Jaskier a czwarty, niezwalczony bohater: Rozpiórek. Dobra wróżka opatrzona śmiesznem mianem: Swiecioszka, które z niej całą zdziera poezyę. Tem większy ma się żal do autora, że w niektórych powiastkach porzuca ów ton „popularny“ i przemawia zupełnie poprawnym i odpopowiednim językiem. Jedną z takich jest: „Pan z dużą głową“, obrazek wzięty z życia Beduinów u granic pustyni; drugą, tęskna baśń o „Łabędziach“ na zaczarowanem jeziorze. Bardzo ładną, nawet pomimo wad stylu, jest powiastka: „Dzieci, Zuchelek i Wilczysko“. Ciekawą, gdyż na podaniach a raczej zabobonach naszego ludu opartą, jest powiastka: „Syn boginki“ — choć i tu w składzie opowieści zachodzą błędy struktury.

Dzięki wymysłom cywilizacyi, życie staje się tak desperacko płaskie, nudne i do ziemi przykute, że dobrze jest w umysły przynajmniej dziecinne wrzucić choćby promyczek, choć lekki powiew poezyi.

Już nie bajki ani czarodziejskie czytanki, ale opis rzeczywistości dał nam p. Umiński w książce dla starszych dzieci pod tytułem: „Od Warszawy do Ojcowa“[1]. Czterech studentów wybiera się cichaczem, bez wiedzy rodziców na wielką naukową wyprawę po Królestwie. Najstarszy wiekiem i najwyższy wzrostem obejmuje komendę i (co dziwniejsza) znajduje posłuch i utrzymuje się w swej roli do końca. Trzej z nich

[1] Władysław Umiński, „Od Warszawy do Ojcowa“. Przygody w podróży po kraju. Z 29 ilustracyami L. Bębnowskiego. Wydanie drugie poprawione. Petersburg. Nakł. księgarni K. Grendyszyńskiego. 1897. (W 8-ce, str. 257).

przekonani, że muszą poczynić wielkie geograficzne i przyrodnicze odkrycia, pełni są powagi swej misyi, z której jeden tylko lekkomyślny Janek pozwala sobie stroić czasem drwinki.

Raz po raz dzieją się zabawne przygody: złodziej np. kradnie naszym podróżnikom ubrania, dostają się do gminnego więzienia, wzięci są za rabusiów i t. d. Są w tem wszystkiem szczegóły nieprawdopodobne, jak np. walka z wilkami, ale ogółem rzecz napisana żywo, bardzo zabawnie. Wśród tych przygód wije się piękny opis kraju, jego przyrodniczych właściwości i historycznych pamiątek. Opis Ojcowa bardzo piękny, bodaj czy nie przesadny; nieświadomy czytelnik może zeń wyobrazić sobie krajobraz alpejski, skały olbrzymie, naturę wspaniałą i groźną, gdy tymczasem Ojców jest śliczny, ale wydałby się miniaturą, gdyby go kto postawił obok Morskiego Oka.

Nie będziemy się spierać z autorem o miejsce stracenia Maćka Borkowicza; on podaje zamek w Kazimierzu, choć inni twierdzą, że rzecz się działa w Olsztynie, ale zwracamy uwagę, że skoro czytelnik dowiaduje się, iż na zamku chęcińskim trzymany był „Wielki mistrz Krzyżaków, Michał von Sternberg, wzięty do niewoli w sławnej bitwie pod Tannenbergiem w r. 1410“, gotów pomyśleć, że Michał Sternberg wówczas Krzyżakami dowodził i nie będzie wiedział, co począć ze wspomnieniami Ulryka von Jüngingen, o którym uczono go przecież, że jako Wielki mistrz zginął pod Grunwaldem... Potem znów, gdy mowa o Łokietku, dziwić musi twierdzenie, że tenże przez parę lat musiał się ukrywać w grotach ojcowskich „po zawojowaniu przez Czechów Ślązka i zajęciu Krakowa“, skoro historya uczy, że Wacław czeski, jako prawy i koronowany król spokojnie nad ziemią krakowską panował, że mu bez „zawojowania“ hołd składali ślązcy książęta.

Są to zapewne drobiazgi, ale w naszych czasach już i wzmianek historycznych nie wolno robić „od ucha“. Styl p. Umińskiego piękny jest i poprawny, rozmowy wzięte z natury, o co zazwyczaj najtrudniej. Wogóle charakterystyka wyborna, choć może drobne wady chłopców zbyt są uwydatnione; przytem wydają mi się nadto na swój wiek dziecinni — toż w 17 latach niejeden jest już młodzieńcem!

Bierzemy do ręki książkę następną p. Gębarskiego: „Zaginiony w grotach Ojcowa“ [1]. Co — znowu Ojców? Ależ to chyba wyścigi kon-

[1] Stefan Gębarski, „Zaginiony w grotach Ojcowa“. Z 15 rysunkami L. Ilinicza. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Sp. 1896. (W 8-ce, str. 250).

kursowe, walka reklamowa?!... Nie wiem. Zapewne ani jedno, ani drugie Autorowie ze sobą jakoś się zeszli, i to nietylko w doborze tematu, ale też w stopniu entuzyazmu, z jakim ten temat opisują. Przypuszczamy, że tak u p. Umińskiego, jak u p. Gębarskiego entuzyazm jest szczerym, choć niepodobna nie powiedzieć, że jest trochę przesadnym. Zdawałoby się, że niema w całej Litwie i Koronie niczego, coby z „tą uroczą doliną ojcowską“ porównać się mogło, że przed nią ze wstydem chowa się dolina kowieńska, że znikła zamglona sieć wielkopolskich jezior, że niemasz tatrzańskich olbrzymów, Pienin, Dunajca, Pilicy i t. d. Dobry jest zapał, nie trzeba jednak w zapale iść za daleko, i opisywać rzeczy widziane przez powiększające i zabarwione szkła wyobraźni. Wogóle przesada w opisach, kwiecistość w wyrażeniach i nienaturalność w rozmowach są głównemi, a mówiąc prawdę jedynemi wadami młodego autora. Zresztą książka jego jest dobra, moralna, zawiera dużo fantazyi i nie mało poezyi. Tytuł winienby brzmieć nie „zaginiony“ ale „zaginieni“, opowiadanie bowiem toczy się około dwóch chłopczyków, psa i baranka. Grześ, synek ojcowskiego gospodarza Kosa, zapada się w jakąś szczelinę groty wraz z psem Kruczkiem i barankiem Maciusiem. Przy poszukiwaniach za nim niknie bez śladu i „złotowłosy Janek“, syn warszawskiego letnika. Razem z tym Jankiem, a potem z poszukującą go gromadką ludzi czytelnik błąka się wśród jaskiń ciemnych i białych, wśród stalagminów, stalaktytów, przedpotopowych kości i obrzydliwej zgrai nietoperzy, łomocących po skałach, bijących po twarzach, piszczących przeraźliwie. Sam opis tej nocnej gawiedzi budzi wstręt i lęk w czytelniku. Janek wszakże zda się żelazne posiadać nerwy; opadnięty bowiem przez olbrzymie potwory wśród grobowych ciemności grot zdobywa się na uwagę: „To jakieś wielkie ptaki jaskiniowe gnieżdżą się tutaj. Naruszyłem ich spokój, słusznie więc zgotowały mi takie niegościnne przyjęcie“. Chciałoby się doprawdy poznać tak wyjątkowego chłopca, myślącego i mówiącego zawsze jak z książki.

Podobnie nienaturalni są wieśniacy z Ojcowa. Od początku do końca są to wieśniacy z opery, a w dodatku tchórzliwi i przesądni. Wyrażenie pretensyonalne „chłopek“ powtarza się co chwila (może równie często jak „urocza dolina Ojcowa“), a dziwnie nie przypada dziarskim typom ziemi krakowskiej, owym głowom o ostrych rysach, czarnych wąsach i wielkich, bystrych źrenicach. Żaden z nich, choćby oszalał jak „Roch Ostatni“, ów tajemniczy górnik olkuski, który Jasia wyniósł z podziemi, nie użyje w spokojnej chwili wyrażenia: „chłodne

wód zastępy", jakiego używa tenże Roch, opowiadając katastrofę w szybie olkuskim, przy której stracił syna, synowę i rozum. Ten Roch Ostatni jest osią, około której toczą się wszystkie wypadki, postacią fantastyczną, ukazującą się w tragicznych chwilach, a w końcu ginącą gdzieś w tajemniczych głębiach wśród niewytłumaczonego dla czytelników wybuchu, zmieniającego zewnętrzną postać skał i zamykającego na zawsze dostęp do kryształowych sklepów Ojcowa.

Dzieci obdarzone żywą wyobraźnią przejmą się cudownością opisów i przygód, i nie spostrzegą wad, które czuliśmy się w obowiązku zaznaczyć. To też krytyką naszą nie zamierzamy odstraszać rodziców i dzieci od wcale dobrej książki; chcemy tylko dać autorowi przyjacielską radę, aby zachowując swą nieskazitelną czystość stylu, swój żywy a barwny koloryt i zwłaszcza swe piękne, bogobojne uczucia starał się nieco więcej „rozmachać", kazał bohaterom swoim mówić i działać tak, jak to czynią zwykli śmiertelnicy, i nic nie roniąc z właściwej sobie poezyi, wlał w nią mniej namaszczenia a więcej prostoty.

Z pomroku ojcowskich grot przerzuca nas p. Przyborowski hen daleko, aż pod ostre, podzwrotnikowe słońce — na Ocean Spokojny [1]. Opowieść jego podaje nam pełen życia, barw i fantazyi opis przygód morskich, opis fantastyczny nakształt dzieł Juliusza Verne, nieprawdopodobny, ale zajmujący od początku do końca.

Wygnany z dzierżawy przez lorda Anglika Irlandczyk, Patryk Dunmore, niespodzianie staje się bogatym, milionowym panem i postanawia zemścić się na gnębicielach swego narodu. Zaciąga do swej służby korsarza Ralfa Altwicka, przezwanego „Krwawą ręką", zakupują zbrojny statek, najeżony działami, dają mu nazwę „Odwet" i napełniwszy go załogą, złożoną ze zbiegów wszelkiej narodowości, wysyłają do rządu angielskiego naiwne a szumne wypowiedzenie wojny. Skutkiem tego sami muszą ustawicznie przed angielską pogonią uciekać lub staczać rozpaczliwe walki. Obsaczony jak dzik w kniei przez angielskie okręty, „Odwet" przerzyna w pół nieprzyjacielski statek „Kornwallis" i wydostaje się na wolność. Opis bitwy tej i poprzednich, pełen barwy i życia, czyta się z zapartym oddechem. Wśród załogi „Odwetu" znajdują się dwaj Polacy; po ostatniej bitwie morskiej zjawia się niespo-

[1] Walery Przyborowski: „Na Oceanie Spokojnym". Powieść dla młodzieży z 9 ilustracyami E. Lindemanna. Petersburg. Księgarnia K. Grendyszyńskiego. 1897. (W 8-ce, str. 296 i III.).

dzianie trzeci. Jest to uczony dziwak, Żmujdzin, nazwiskiem Ildefons Wierzgajło — typ komiczny i przesadny. Na „Odwecie“ ukazanie się tego dziwaka jest hasłem ogólnej radości, jest on bowiem doktorem medycyny i chirurgiem, a nadto dziwnie przemyślnym człowiekiem, i odtąd z radami swemi występuje jak *deus ex machina* w przeróżnych perypecyach „Odwetu“ i jego różnobarwnej załogi. Przy końcu tych awantur „Odwet“ ginie u brzegu nieznanej geografom wyspy na Pacyfiku, Patryk zaś — zawsze za natchnieniem doktora — porzuca swe dziecinne zamiary zemsty i w zamian zakłada na swojej wyspie kolonię dla wszystkich nieszczęśliwych i wydziedziczonych, dla wygnańców z Irlandyi i Polski.

W takiego rodzaju powieściach nieprawdopodobieństwo w wypadkach nie zdaje nam się błędem, gdy znajomość fachowych szczegółów i siła fantazyi autora umie za sobą wyobraźnię czytelnika pociągnąć. Uczynilibyśmy tylko uwagę, że w pierwszej połowie książki rozmowy są stanowczo zbyt długie, a Ralf Altwick za wiele klnie i wymyśla od „siarczystych albo ogoniastych Belzebubów“ — co w końcu staje się nudnem. Jest jeszcze i coś ważniejszego, oto przeciwieństwo między chłopską ale serdeczną wiarą Irlandczyka Dunmora a bluźnierczem, niesmacznem powiedzeniem jednego z Polaków, który odzywa się, że można być wdzięcznym Bogu, „tylko nie polskiemu Bogu, bo Ten wśród darów jakimi nas otoczył, zapomniał o tem, co się szczęściem nazywa“.

Chcąc aby podobne słowa nie wywarły złego wpływu na młodych, niestety zbyt już do pesymizmu usposobionych umysłach, powinien był autor wspomnieć o nich przy końcu i wydobyć z tego polskiego serca choć jedno podziękowanie Bogu po szczęśliwie spełnionych życzeniach, choć jedno westchnienie żalu za bezbożną chwilę sceptycyzmu. Szkoda, że autor tego nie uczynił.

W „Nowych opowiadaniach ciotki Ludmiły“ [1], podaje nam zasłużona i ukochana przez młodzież autorka, p. Teresa Jadwiga, ważniejsze momenta z historyi naszej od wstąpienia na tron króla Stefana aż do czasów Stanisława Augusta.

Obrała metodę użytą w „Pielgrzymie w Dobromilu“; nie sama opo-

[1] Teresa Jadwiga, „Nowe opowiadania ciotki Ludmiły“, z 10 ilustracyami M. Kotarbińskiego. Petersburg. Nakład księgarni K. Grendyszyńskiego 1897. (W 8ce, str. 250).

wiada ale opowieść swoją kładzie w usta panny Jadwigi, zamieszkałej na wsi przy sędziwym stryju i zbierającej w wieczory zimowe gromadki wiejskich dziewcząt i chłopaków. Że zaś Jadwiga treść tych opowiadań czerpie z notatek zmarłej swej ciotki Ludmiły, przeto imię tejże wypisane jest na tytule. Mam wrażenie, że „Opowiadania ciotki Ludmiły“ nie bardzo się kwalifikują dla wiejskiej dziatwy, ale są za to barwnym przyczynkiem do ściślejszej nauki dziejów naszych. Widzimy z kolei żywo przedstawioną koronacyę Batorego, obraz Kozaczyzny i zdobycie Wielkich Łuk, poczem następuje w formie pogadanki streszczenie tej części pierwszej. Z panowania Wazów, króla Michała i Jana III. wybrane najważniejsze szczegóły, składają się na część drugą, również zakończoną streszczeniem — poczem następują smutne czasy Augustów. W rozdziały zawierające streszczenie, wplotła autorka krótkie szkice literatury spółczesnej a nawet ustępy z poezyi Bardzo to misternie i dobrze napisane; szkoda tylko, że napisane bez dostatecznego przygotowania naukowego. Przykro uczynić ten zarzut — najboleśniejszy pono ze wszystkich — ale pierwsze dwie części zawierają kilka błędów historycznych takich, iż niejedno dobrze wyuczone dziecko spostrzedz je zdoła. Nasamprzód wjazd Batorego opisany bez żadnej wzmianki o poprzednim obiorze Maksymiliana. Koronuje Batorego prymas, pomimo, iż dzieje nas uczą, że tenże był wówczas jeszcze gorliwym stronnikiem Habsburga i nie brał w koronacyi udziału. Gorzej jest jeszcze, kiedy opisawszy organizacyę nadaną Kozakom przez króla Stefana, panna Jadwiga powtarza za ciotką Ludmiłą, jako „odtąd Kozacy stali się pożytecznymi Rzpltej, bo służyli w jej obronie dzielnie, a zaprzestawszy zbrojnych napaści na Konstantynopol, nie ściągali Tatarów na państwo“. Widocznie ciotka Ludmiła znała Kozaków z dumek Zaleskiego i nic złego o tak pięknych mołojcach wiedzieć nie chciała; sądząc bowiem z jej opowiadań zdawałoby się, że od zaprowadzenia Rejestru, żadnego już nie dali powodu do niezadowolenia, aż dopiero ucisk panów, a mianowicie krzywda wyrządzona Chmielnickiemu przez „bogatego pana Czaplińskiego“ zmusiła ich do powstania. To już nietylko błędny fakt, ale błędne pojęcie ważnej bardzo fazy dziejowej. Błędne znów pojęcie geograficzne może dać opis napadu Kozaków na Konstantynopol; ci bowiem dokonawszy swego rabunku wśród nocy, umykają na czajkach i już o świcie znajdują się przy ujściu Dniepru. Za naszych dni porządny parowiec potrzebuje najmniej 36 godzin, aby z Odessy do Bosforu dopłynąć... Na równi z ciotką Ludmiłą uwielbiamy czyny króla Stefana; nie możemy jednak

mu przyznać, że w jeden dzień zdobył Wielkie Łuki a następnie obległszy Psków, zdobył tę twierdzę. Zwracamy też uwagę, że Chodkiewicz nigdy nie był wysłany do Szwecyi, a Czarniecki odniósł ranę w usta nie w czasie oblężenia Krakowa, ale jeszcze w zimie r. 1653, na Ukrainie, gdy w Monasterzyskach sam oblegał Bohuna. Historyę upadku Kamieńca, nie chcąc rzucać potwarzy na obrońców, można było choć z „Pana Wołodyjowskiego“ powtórzyć — dosyć już publikacyj wyświeciło ich niewinność.

Druga połowa książki bez porównania lepszą jest od pierwszej, a choć i tu spotykamy pewne niedokładności, są one jednak znacznie mniejszej wagi. Panna Jadwiga powinna w przyszłości nieco kontrolować notatki cioci Ludmiły, tem bardziej, że są natchnione najczystszemi zasadami i prawdziwą miłością kraju. Ta miłość zapewne sprawiła, że nie tykając prawie politycznej strony panowania Stanisława Augusta, opowiadanie kończy się na wesołym opisie ówczesnych kuligów i świetnego przyjęcia wyprawionego królowi u hetmanowej Ogińskiej. Prawda historyczna nakazywała mniej wesoło zakończyć.

Najlepiej napisaną z książek, które nam dopiero co przesunęły się przed oczyma, jest bezwątpienia opowieść p. Strażyńskiej: „Sieciech i królewicze“ [1]. Jędrność stylu, czystość języka, obrazowość przedstawienia, silne ujęcie przedmiotu, czynią z tej pracy rzecz niepośledniej wartości. Autorka w przedmowie uprzedza nas, iż chciała istotnie napisać szkic historyczny i jakkolwiek podaje go w formie powieści, przedstawia w nim jednak same niemal historyczne postaci. O Sieciechu pisze, „że jego knowania wobec rodziny królewskiej, są przedstawione według najnowszych badań historycznych, jak również daty i fakta“. Żałujemy mocno, iż p. Strażyńska nie wymieniła źródeł, na których opierają się owe badania; to bowiem, czego z powieści dowiadujemy się o Sieciechu, nie jest na każdym punkcie w zgodzie z Gallusem, a p. Koneczny podając nam niedawno skrzętnie zebrane i ocenione rezultaty najświeższych zdobyczy na polu dziejowem, nie doniósł, aby odkryto co nowego do tej części rządów Władysława Hermana [2]. Nie znając tedy źródeł, nie chcemy się sprzeczać, zwłaszcza że chodzi o chronologię faktów

[1] H. Strażyńska, „Sieciech i królewicze. Opowiadanie historyczne dla młodzieży“. (Nagrodzone na konkursie „Małego Światka“). W Krakowie. Nakładem autorki 1897. (W 8ce, str. 101).

[2] „Nowiny z historyografii polskiej“. Dr. Feliks Koneczny. Zeszyty: listopadowy i grudniowy *Przeglądu Powszechnego* z 1896 r.

raczej niż o same fakta. Jedno tylko pozwalamy sobie zauważyć, że charakterystyka Sieciecha wypadła zbyt może czarno a apologia Zbigniewa zbyt jaskrawo. Ten człowiek, który odkąd wyrósł na mężczyznę, nie przestał nigdy okazywać się podłym, którego życie było jednem pasmem zdrady i hańby, tu — prawie do końca — występuje jako szlachetne a pokrzywdzone pacholę Wszystko się zdaje sprzysięgać na to, aby zeń uczynić złoczyńcę, jakim wiemy, że się stał następnie, a co ledwie z ostatnich stron książki przeczuwać się daje. Bolko i Władysław Herman odmalowani wybornie. Co zaś się tyczy osoby wielkiego wojewody, który, acz nie sympatyczny, był niezaprzeczenie wielkim człowiekiem, możnaby może przypatrzyć mu się z innego nieco punktu, niż to po dziś dzień czyniła nietyle historya ile tradycya — ta sama tradycya, która kazała nam potępiać rzekomą gnuśność Mieszka II. Otóż nie należy zapominać, że przez ostatnie lata rządów Bolesława Śmiałego w kraju panowała anarchia: gwałty zbuntowanego ludu i resztek pogaństwa, gwałty mszczących się rycerzy i gwałty króla, zakończone rokoszem... Władysław wyniesiony na tron żyjącego brata, wstępował nań nieśmiało, otoczony rycerstwem rozzuchwalonem, bezwątpienia obiecującem sobie zupełną swobodę i swawolę pod jego berłem. Tymczasem rachuba zawiodła: u boku króla zjawił się minister potężnego talentu, o twardej, żelaznej dłoni. Ten stał się istotnym władcą, zgniótł niesfornych, oddalił niechętnych i podniósłszy znów powagę tronu do dawnych wyżyn, powiódł powolnego księcia na zdobycie Pomorza. Kroniki powtarzają skargi malkontentów na ucisk przez Sieciecha wywarty: mówią ogólnikowo o oddawaniu godności ludziom niższego stanu, o wyciskaniu grosza, o sprzedaży urzędów — ale co uderza, nie wymieniają po imieniu ani jednej ofiary, nie wspominają ani o jednem straceniu... Opozycya chroni się do Czech i tam z pomocą wrogiego Polsce księcia Brzetysława gotuje zamach; narzędziem jej są dwaj synowie królewscy, podnieceni do buntu na pozór przeciw wojewodzie, w rzeczywistości przeciwko ojcu. Zbigniewa pociągnąć było łatwo; na Bolka zaś, prawego i szlachetnego, wysunięto cały arsenał rzekomych zdrad i zasadzek Sieciecha. Powtarzamy r z e k o m y c h, Gallus bowiem tak się niejasno o nich wyraża, iż niepodobna dojść, czy były prawdą czy też postrachem na wyobraźnię królewskiego chłopięcia. Sieciech upada, a z nim jego dzieło — powaga tronu Hermana. Kończy żywot nie jako zbrodniarz, który chybił celu swych zbrodni, ale jako wielki chrześcijanin, oddany służbie bożej i dobrym uczynkom.

Oto sylwetka — zdaje się dość prawdopodobna — Sieciecha, wi-

dziana nie według litery, ale według ducha historyi. Która jest prawdziwszą — czy ta, czy też tamta, ponuro naszkicowana przez p. Strażyńską... któż wie? Może przyszłość wykryje. W każdym razie p. Strażyńska napisała rzecz bardzo dobrą, a po takiej próbie mamy nietylko ochotę, ale i prawo spodziewać się od niej innych podobnych prac.

I oto jesteśmy u końca pogadanki. Zaznaczyliśmy sumiennie i życzliwie, zarówno dodatnie jak i ujemne strony, wogóle różną wartość przeglądniętych książek; teraz jednak możemy przyznać z radością, że niema między niemi ani jednej złej, ani jednej, z którejby się dla naszych dzieci nie dało wyciągnąć pożytku albo uczciwej zabawy.

Podnieść jeszcze i to należy, że większa część tych książek wyszła w wydaniu bardzo starannem, niejedna nawet w bardzo ozdobnem, wystrojonem w piękną kartę tytułową i opatrzonem bardzo ładnemi i dobrze wykonanemi ilustracyami. Główna w tem zasługa dwu firm nakładowych: Grendyszyńskiego w Petersburgu i Paprockiego w Warszawie. Dobre ilustracye bardzo doniosłą odgrywają rolę w książkach dla dzieci; przyczyniają się nietylko do rozbudzenia wyobraźni, ale i do wyrobienia artyzmu. Pamiętam w dzieciństwie dobrego nauczyciela muzyki, który zabraniał uczniom grywać niedość ładne lub tylko obojętne kawałki. Toż samo można powiedzieć o obrazkach; stawiając dzieciom przed oczy same dobre wzory, uczy się je przez to samo odróżniać poprawny rysunek od złego; nie każdy potrafi potem sam coś narysować, ale każdy zdoła osądzić a zarazem i uznać wynik cudzej pracy. System ten da się jeszcze korzystniej zastosować do treści książki; dzieciom nie powinno się stawiać rzeczy nie już złych — o tych niema mowy — ale nawet obojętnych. Nie powinno się też malować im życia w tonach fałszywych, zbyt tkliwych albo ułudnych. Największą trudność mają do zwalczenia t. zw. opowiadania moralne, moralność bowiem zdaje się wymagać, aby dobry uczynek był zawsze nagrodzony, a zły zawsze karany i to natychmiast, naocznie, systematycznie. Tymczasem ten system moralny przedstawia też pewne złe strony; przychodzi bowiem czas, gdzie dziecko wykarmione na przykładach doraźnej sprawiedliwości, poczyna rozglądać się po świecie i widzi nasamprzód ze zdumieniem a potem ze zgorszeniem cnotę w poniżeniu i żałości a występek w blasku powodzenia. Jeśli ma przy sobie matkę — to jeszcze pół biedy, ta bowiem wytłumaczy mu, gdzie grzech lub cnota ma czekać nagrody. Lecz jeśli matki niema — to co? Powie sobie, że książka moralna jak w jednem kłamała, tak i w drugiem kłamie, że

żądanie od niego uczciwości i pracy jest wyzyskiwaniem przez starszych jego słabości dziecięcej, że właściwie może i cnota nie jest cnotą i zło nie jest złem... Jeden ze współczesnych pisarzy francuskich opowiada, że począł tracić wiarę w Boga od chwili, gdy się spostrzegł, że w Boże Narodzenie, nie sam Pan Jezus, jak mu zaręczano, ale matka cichaczem kładzie mu do trzewika cukierki i cacka. Niektórzy twierdzą, że należy prawdę naginać do pojęć dziecinnych; namby się zdawało, że tu potrzeba osobliwej zręczności, aby nie powiedzieć prawdy, a przecie nie skłamać...

Wogóle w niektórych książkach dziecinnych radzibyśmy widzieć częściej imię Pana Boga, te bowiem, w których go niema, przychodzi z żalem do rzędu obojętnych zaliczyć. Nie mówimy tu oczywiście o dziełach czysto matematycznych, geograficznych, gramatycznych i t. p., ale o książkach „do czytania“ dla dzieci. Istnieje publikacya francuska na pozór wyborna, gdyż zawiera wielką moc wiadomości a ani jednego niemoralnego słówka; dopiero po bliższem przyjrzeniu widzi się, że niema również ani jednej wzmianki o Bogu; miejsce Opatrzności zajmuje z urzędu inżynier. Jestto, jak nas zapewniono, wydawnictwo prowadzone umiejętnie przez ludzi wrogich religii, a obliczone na wyjałowienie młodych serc, na obniżenie poziomu młodych umysłów, przykuwaniem ich wyłącznie do spraw materyalnych, wynoszeniem siły i przemyślności ludzkiej niemal do bałwochwalstwa. Daleką jest od nas myśl, aby którąkolwiek z naszych publikacyj dla dzieci oskarżać o podobne zamiary; zaznaczamy jednak, że jest między niemi kilka, w których było właściwe miejsce do uczynienia wzmianki o Bogu i religii, a jednak tej wzmianki nie uczyniono. Jest to co najmniej trochę dziwne, a w umyśle niejednego z wierzących czytelników może obudzić pewne podejrzenia i wątpliwości.

T. W.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Mémoires de la comtesse Potocka 1794—1820. Publiés par *Casimir Stryjeński.* Paris. Librairie Plon. 1897.

Skąpą jest u nas spuścizna przeszłości pod względem pamiętników: wśród zamieci i klęsk, spadających na kraj, nie stało wczasów na pogodne zapiski ani na igraszki dowcipu. A wtedy nawet, gdy się takowe w jakiem domowem znalazły archiwum, zbyt często ulegały

zniszczeniu lub rozproszeniu pod naciskiem nowych nieszczęść, godzących zarówno w pojedyncze ogniska, jak w byt ojczysty. To też każde pojawienie się polskiego pamiętnika, nawet gdy tenże w języku francuskim bywał spisywanym, osobne budzi zaciekawienie. Rozrywano sobie u nas przed kilkoma laty księgę pamiątek Heleny Massalskiej; jednakie powodzenie dziś otacza świeże wydawnictwo wspomnień hr. Potockiej, urwanych w r. 1820, a więc na blizko pół wieku przed zgonem piszącej, która w drugiej życia połowie nie mniej obfite i urozmaicone zebrać musiała skarby wrażeń i pamiątek.

Przedewszystkiem czytelnik pragnie wiedzieć, z czyich rąk ową wiązankę przypomnień odbiera? Nie każdy odrazu w nazwisku na tytule wypisanem odgadnie, znaną i wspominaną dotąd w szerokich kołach towarzyskich, panią Wąsowiczową. Wnuczka wielkiego podkomorzego koronnego, Kazimierza Poniatowskiego, Anna Tyszkiewiczówna, bogata dziedziczka, którą Ludwik XVIII. chwilowo pragnął z ks. Berry zeswatać, z kolei oddała rękę Aleksandrowi hr. Potockiemu z Wilanowa i pułkownikowi Wąsowiczowi, który w pamiętnym odwrocie z pod Moskwy towarzyszył samotrzeć uchodzącemu spiesznie od Smorgoń Napoleonowi. Urodzona w r. 1776, autorka pamiętników w obu związkach nie wiele miała zaznać szczęścia; pierwszy mąż, jeden z najgłośniejszych Lowelasów epoki, na każdym kroku zdradzał niełądną, niemłodą i ułomną nieco żonę, drugi podobno ją bił niemiłosiernie, a pewną żołnierską rubasznością nieraz razić i urażać musiał wykwintniejszą jej naturę. Atoli Anna Tyszkiewiczówna nie należała do rzędu tych, co się życiem dadzą rozbroić, co się do przegranej przyznać gotowi, co się złamać lub zwyciężyć pozwolą. Rozumna, ambitna, dowcipna, postanowiła szukać odwetu za doznane zawody, dobić się trudniejszych na pozór powodzeń, święcić zarazem i światowe tryumfy i serdeczne zwycięstwa. Wieść niesie, iż jednych i drugich zakosztowała w pełni. Miłośnicy skandalu nie znajdą go atoli w kartkach dziwnie ostrożnie pisanych i stąd mniej barwnych, mniej indywidualnych, aniżeli się było można spodziewać po „dowcipnej Anetce“, która nas udarzyła dość ogólnikowym i bezosobistym pamiętnikiem, z rzadka tylko folgując jakiej osobistej urazie lub żywszemu uczuciu. Wszystko tu utrzymane zostało w karbach przyzwoitości zarazem i powszedniości. Czczość, właściwa przeszłemu stuleciu, przewodniem też jest tętnem niniejszego pamiętnika, opisującego wielką epokę jakby przez soczewkę zmniejszającej ludzi i wypadki lunety. Ale może to bywa własnością luźnych zapisków, nie ogarniających całości obrazu, lecz tylko pojedyncze szcze-

góły. Autorka pamiętnika, tylekrotnie wspominająca każde swe z bohaterem wieku spotkanie, co najwięcej nas poucza, iż Napoleon jadł bardzo szybko, przeważnie proste i pospolite przysmaki. Tak samo dowódzca okrętu, płynącego z jeńcem wszechświata na odludną skałę św. Heleny, zdobywa się zaledwie na informacyę, iż Bonaparte bardzo nieporządnie się zachowywał przy stole i brudno jadł, co Anglika nie mile raziło.

Nie wiele tedy nam przybywa charakterystycznych wiadomości do dziejów bujnego nad inne okresu. Ale był on tak ciekawym i doniosłym, że nawet płytkie z onych lat odgłosy nabierają znaczenia i powabu.

Młoda pańskiej fortuny dziedziczka chowa się w Białymstoku, który wówczas przodował wielkim w kraju rezydencyom i nieraz polskim Wersalem był nazywany. Hetmanowa Branicka przygarnia tam bez rozeznania żadnego rozbitków rewolucyi, odpłacających się grymasami i wymaganiami za hojną polską gościnność. Stamtąd też Anna Tyszkiewiczówna wychodzi za mąż w r. 1802. Stosunki z emigrantami, bodaj książki przez nich dostarczane, zbudziły w młodej mężatce tęsknoty za szerszem, pełniejszem życiem. Uprzykrzając sobie rygor wspólnego z poważną, zacną, lecz nudną teściową, sprytna Anetka wpada na dziwaczny koncept, nieco w pamiętnikach przeinaczony. Z nudów zaczyna pisywać do siebie samej namiętne oświadczenia i listy, pełne przedewszystkiem spółczucia dla ofiary więzionej i strzeżonej przez nieznośną świekrę. Ostre do tej ostatniej przymówki przeplatały wyrazy gorącego uwielbienia i romansowych wyznań. Zręcznie postarała się, aby owe listy wpadały w ręce władz rodzinnych, rada dopiec im po swojemu. Niewiedzieć, jakiby sprawa obrót była wzięła, gdyby nie blizkie nadzieje macierzyństwa i stąd względy dla płochej synowej.

Druga część pamiętnika, bodaj najdłuższa, opisuje zajęcie Warszawy przez niosących z sobą nadzieje odzyskania ojczyzny Francuzów. Uwielbienie dla Napoleona, zbudzony w duszach a gorący patryotyzm, przewodnią nutą tego ustępu, obfitującego, jeśli nie w nowe szczegóły, przynajmniej w dość trafne określenia ludzi i charakterów. Pierwszy zjawia się Murat, marzący raczej o polskiej, aniżeli neapolitańskiej koronie i stąd bawiący się wciąż szumnie w porównywanie Sobieskiego z własnemi przeznaczeniami. Autorka pamiętnika wspomina, że Napoleon zdawał się być nieraz pod wpływem pewnego nerwowego podniecenia, mówił prędko i gorączkowo, nic nie obiecując pozytywnego. „Krwi mi trzeba, pieniędzy, poświęcenia!“ powtarzał do Polaków, wy-

glądających z rąk jego wyswobodzenia ojczyzny. Nie poskąpiono mu niczego, wiadomo, z jakim skutkiem i za jaką nagrodę. Atoli nie narzekać nam na te pozornie bezowocne ofiary. Nie okupiły one ojczyzny, ale nauczyły ją kochać, nie wskrzesiły Polski, potrafiły atoli w duszach rozbudzić senne uczucia patryotyzmu, honoru, bezgranicznego poświęcenia.

Część trzecia przenosi nas do Paryża w r. 1810. Pani Potocka znajdowała się w Wiedniu w chwili, gdy się kojarzył związek Napoleona z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką. Oburzenie wiedeńskiej arystokracyi na ten mezalians zbudził w młodej Polce chęć przyjrzenia się ślubnym uroczystościom. Żegnając tedy miłe koła towarzyskie, wśród których przewodził stary już, lecz zawsze dowcipny i wesoły książe de Ligne, autorka pamiętnika spieszy do stolicy Francyi. Niezbyt pochlebnie wyraża się o młodej oblubienicy, której drewniane ruchy i martwe oblicze tak mało miały powabu, iż chcąc czemkolwiek ująć oblubieńca, przesłano mu nie portret szpetnej arcyksiężniczki, lecz tylko pantofelek, ponieważ jedynie ładną i zgrabną nóżką zalecić się mogła. Polscy goście wszędzie mile są widziani i witani. Pani Potocka między innemi znalazła się na owym pamiętnym balu w poselstwie austryackiem, kędy tyle ofiar zginąć miało w płomieniach; jedna z pierwszych spostrzegła zajmujące się w górze festony, wybiegła pędem do znajdującego się naprzeciwko domu i stamtąd słuchała krzyków, jęków, trzasku walących się sufitów, stamtąd patrzała na wynoszonych z płomieni trupów i rannych. Tylokrotnie opisywana katastrofa raz więcej doczekała się drastycznego obrazu.

Znalazły się i salonowe echa, istnego domu gry, w którym królował Talleyrand, szukający wiecznie nowych hazardów, a raczej zysków na zielonym stoliku, czy też na politycznej arenie; ostatniej przystani dawnej wykwintności, w salonie owej pani de Luval, która zręcznie rzucała temat rozmowy, aby następnie milczeć i tylko w razie potrzeby podniecać upadający rozhowor pełnem wdzięku słowem; przyjęć dworskich i zabaw prywatnych, wędrówek po Paryżu i pracowniach mistrzów. Pani Wąsowiczowa przez całe życie odznaczać się miała wykwintnym i wyrobionym zmysłem artystycznym. Wobec portretów epoki pełnych haftów, pióropuszy, jaskrawych szczegółów i akcesoryów, powtarza, iż zamiast się bawić w dokładne oddawanie przemijającej nieraz mody, prawdziwy artysta winien z każdego portretu zrobić trwały dla potomności obraz.

Powtórnie Warszawa zapełnia się Francuzami. Płynie wielka

armia w pochodzie ku północy i nieuniknionej zagładzie. Przesuwają się głowy ukoronowane, postacie bohaterskie, współczesne wielkości i małostki. Uwielbienie dla Napoleona nie zaślepia piszącej na śmieszności jego otoczenia, jego rodzeństwa. „Wszyscy bracia i siostry cesarza posiadali niezaprzeczone przymioty i dary, atoli wielkość Napoleona ich przygniatała". Śmieszności ks. de Pradt, niefortunnie naznaczonego przedstawicielem cesarza w Księstwie Warszawskiem, wypełniają kilka rozdziałów niniejszego pamiętnika. Mroczy się życie towarzyskie, głuchnie wesoła Warszawa, niema z kim tańcować, cała bowiem młodzież znajduje się w obozie, brak wiadomości zasmuca wszystkich. Aż w tem pada jak grom wieść o pożarze Moskwy, stwierdzona powrotem rozbitków. Bywają jeszcze jaśniejsze, rzewniejsze chwile: książe Józef nie przestaje wierzyć w gwiazdę Napoleona, nie traci ducha ni nadziei. Ślicznie opisany tu został jego powrót z kampanii rosyjskiej, gdy żołnierze jego pułków składają u stóp uwielbianego wodza ocalone znaki. Gdy inni ratowali życie własne, oni tylko o całość orłów swoich i honoru dbali. Jednego zaledwie orzełka brakło, książe Józef natychmiast spytał, co się z nim stać mogło. „Jest tu, jest ‚kukułka', ale w tak opłakanym stanie, z urwanym kartaczem dzióbem, że chorąży wstydzi się bezgłowego ptaka pokazać". „No, nie wstydź się, to przecież nie twoja wina!"

Wystąpił z szeregu dwudziestoletni może młodzian, z ręką na temblaku, w poszarpanej odzieży. Wydobył z zanadrza okaleczonego orła, wyrzucając sobie, iż go ochronić nie zdołał.

„Bo on zbyt gorący, zbyt młody — tłumaczyli starsi — pędził naprzód i wstrzymać się nie dał".

W około brzmiały okrzyki: Niech żyje Polska! Wiwat książe Józef! Wiwat nasz wódz ukochany!

Nie mogąc dłużej pohamować wzruszenia, książe otarł łzę ukradkiem. Żołnierze w tem widzieli znak zasmucenia i nuż go pocieszać, że ma kasko, a i armaty swe obaczy.

„Nie lękaj się o nie; jeśli ich dotąd nie widać, to dlatego, że ciężkie, że artylerzyści nie tak szybko wracać z innymi mogli. Ale i oni wrócą za dni parę. Gdy padły konie, artylerzyści się do dział zaprzęgli. Niech tylko książe do sił nam wróci, a pomścimy się, a pójdziemy za nim, choćby do piekła samego!"

I nuż rzucać w górę czapki, nie czapki, szczątki raczej łachmanów, nuż podnosić okrzyki i wiwaty, a ludzie ci nie mieli ani obu-

wia, ani okrycia ciepłego, co najwięcej, nogi w szmatach poobwijane. Wszyscy gotowi byli bić się i iść zaraz w ogień, choćby na śmierć.

„Książe kazał im rozdać wszystko co miał gotówki. Zastawiono szybko stoły, nalewaliśmy im wina, aby wypili na zdrowie wodza. Wszyscy im służyli, oni jedni zdawali się być zdumieni podobnem powitaniem. Mniemali, że tylko najprostszą spełnili powinność".

Dość trafne ocenienie osób wiedzie i do trafnego określenia narodowego charakteru: „Ogólnie biorąc — pisze autorka pamiętnika — charakter Polaków z dwóch skrajnych składa się przeciwieństw: z jednej strony patryotyzm, szlachetność, poświęcenie bez granic, bezinteresowność zupełna, z drugiej równie bezgraniczna próżność, ambicya, skłonność do przechwałek". Pani Potocka wszystkie te ostatnie przywary upatruje przedewszystkiem w jenerale Krasińskim, którego niemiłosiernie smaga i zasądza, czyliż wierzyć mamy? skutkiem dawnej urazy kobiecej, gdy swatany z Anną Tyszkiewiczówną starościc opinogórski wręcz się oparł niemiłym sobie dziewosłębom.

Część ostatnia opisuje nam początkowe lata królestwa kongresowego; sądząc po barwnym ich obrazie, po wiernych i trafnych wizerunkach naczelnych postaci, po subtelnych charakterystykach takich np. osobistości, jak pani Zajączkowej, zarówno płochej w gustach, jak stałej w uczuciach i zasadach, wszystko to pozwala się domyślać, o ile ciekawszemi byłyby pamiętniki tej samej pani, gdyby zamiast pisać o Francuzach i dla Francuzów, bliższe i znajomsze nam pozostawiła była obrazy. Tak, jak są, pamiętniki hr. Potockiej-Wąsowiczowej, dostarczają lekkiej i łatwej lektury, nie przynoszą żadnego poważniejszego plonu, nie dają ani dokładnego podobieństwa osoby, ani też epoki. A jedno i drugie nader byłoby ciekawe, zwłaszcza gdyby urwany w r. 1820 pamiętnik przeciągnął się był w dalsze lata, dał nam czasy przed- i porewolucyjne, nareszcie objął emigracyjne lata, kiedy pani Wąsowiczowa w Paryżu otworzyła salon polski, nawiedzany w równej mierze przez ziomków i przez cudzoziemców. Stopniowo cichło jej życie, dawna znikała żywość, łagodziła się ciętość ostrego dowcipu. Wpływała na to nie sama tylko sędziwość, lecz i szczery zwrot do Boga. Gdy w ostatnim życia roku żegnała jednę z bliższych krewnych, w przeczuciu ostatecznego rozłączenia rękę nad jej czołem podniosła: *Le repentir peut bénir aussi!* i skrucha ma prawo błogosławić, ozwała się jakby tłumacząc się pokornie z swej śmiałości. Pamiętnik, odnoszący się do pierwszej życia połowy, nie wtajemnicza nas bynajmniej w psychologiczny proces, rozgrywający się na dnie duszy kobiety dumnej,

niezaspokojonej, a przeważnie w najbliższych życia stosunkach nieszczęśliwej. Otrzymujemy natomiast puste tylko odgłosy światowych wrażeń, zabaw i zebrań, a że się wówczas przez ów świat przesuwały wybitniejsze, historyczne postacie, pamiętnik niekiedy stąd i historycznego nabiera znaczenia. Wśród mnóstwa podobnych wydawnictw, niniejszy zbiór luźnych wspomnień nie wyróżni się ani osobną doniosłością, ani wybitniejszą jałowością treści. Dla tych atoli, co znając epokę chętnie sobie dopełniają jej obraz drobniejszymi szczegółami, księga pamiątek, świeżo przez p. Stryjeńskiego wydana, zgotować powinna i miłą rozrywkę, i środek cofnięcia się w ten okres jedyny, kipiący nadzieją i życiem, pełen chrzęstu broni, wiru zdarzeń i waru epicznych bojów. Wloką się dziś puste, szare, jednostajne lata. Dla epopei Napoleona starczyło ich kilkanaście, aby postać świata odmienić. W tych okolicznościach nie dziw, że ludzie żyli bujniejszem i pełniejszem życiem, że nie znając, na wzór bohatera wieku, ni czasu, ni przestrzeni, szybszemi oddychali tętny, prędzej żyli, silniejszym na razie ulegali prądom, niepogłębionym lecz gwałtownym. Odbicie tych dni, tego usposobienia, tych wrażeń i zdarzeń, w pewnej mierze znaleść można w niniejszych kartach, wyrwanych z wielkiej księgi wspomnień z początków dobiegającego dziś do końca wieku.

*M****

Das Eigenthum nach der Lehre des hl. Thomas von Aquin und des Socialismus. Von *Franz Walter*, Priester der Erzdioecese München-Freissing. Gekrönte Preisschrift. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlags-handlung. 1895. (W 12-ce, str. VIII., 227).

Autor zadał sobie żmudną pracę: wybrał z dzieł św. Tomasza wyciąg nauki perypatetycznej o głównych pytaniach, poruszanych przez socyalistów; przytoczonym ustępom ze św. Tomasza przeciwstawia wyjątki z dzieł Proudhona, Lassale'a, Marxa i innych mniej wybitnych zwolenników kolektywizmu; nakoniec porównuje obie nauki, perypatetyczną i socyalistyczną, rozbiera ich podstawy i dochodzi do wniosku że zasady socyalistyczne odbierają człowiekowi jego przyrodzone prawa, więc cały socyalizm stanowi objaw chorobliwy niespokojnego ducha, sprzeczny z naturą ludzką i niezdolny długo toczyć walkę przeciw zdrowemu rozsądkowi.

Taka treść książki księdza Waltera każe ją zaliczyć do rozpraw czysto naukowych, nie tyle jednak dla ekonomisty ciekawych, ile zdolnych zająć umysł, który z zawodu śledzi rozwój myśli ludzkiej w za-

kresie prawd socyologicznych. Jako przyczynek do dziejów oświaty średniowiecznej, książka ta przedstawia owoc pracy bardzo ściśle i sumiennie wykonanej. Autor nie poprzestał na własnym sądzie o nauce św. Tomasza; oświecił swoje poglądy setkami ustępów, przytoczonych z rozpraw i dzieł najpoważniejszych pisarzy; należytą dał odprawę kolektywistom, którzy oczerniali św. Tomasza zarzutem, jakoby ten mędrzec chrześcijański sprzyjał mrzonkom o majątku wspólnym całego rodu ludzkiego.

Jak wnioski autora nie przedstawiają prawd nowych albo nieznanych, tylko umiejętnie stwierdzają, że św. Tomasz socyalistą nie był, tak cały przebieg wywodów i tok poszczególnych myśli nie odkrywa wprawdzie nowych widnokręgów dla nauki, ale podaje bardzo treściwy wykład zasad św. Tomasza i gruntowny opis nauk przeciwnych. Najżywszym można nazwać ostatni rozdział książki, który stanowi jej trzecią część i obejmuje rozbiór słabych stron socyalizmu. Trudno było wyczerpać przedmiot na trzydziestu kartkach, jednakowoż przyznać trzeba, że autor, o ile szczupłe ramy jego książki na to pozwoliły, znakomicie się wywiązał ze swego zadania. Praca, którą ks. Walter wydał, jest więc dla wszystkich bardzo pożyteczną. Zamiast wybujałych mrzonek, któremi socyaliści społeczeństwo karmią, podał strawę prostą, przygotowaną po mistrzowsku, popartą pierwszemi powagami świata naukowego, wyłożoną językiem pięknym i przystępnym.

Ks. K. Czaykowski.

Der Lichtsinn augenloser Tiere. Eine biologische Studie. Von *Dr. Wilibald A. Nagel.* Jena, Fischer. 1896. (W 8-ce, str. 120).

Wcale zajmująca książeczka.

Każda żywina potrzebuje do sprawowania swych funkcyj życiowych pewnych warunków, bez których prędzej czy później zamiera i żyć przestaje. Do takich warunków ogólnych należy i światło. Stąd nie dziw, że nawet u roślin zauważyć można pewną wrażliwość na światło, zwaną zazwyczaj w języku botanicznym heliotropizmem. U zwierząt znajdujemy prócz tej zasadniczej wrażliwości jeszcze czucie właściwe, które przedewszystkiem tam się widocznie objawia, gdzie mamy wyraźny system nerwowy. Wyspecyalizowanie się czucia w rozmaitych kierunkach pociąga za sobą różnorodne wykształcenia pewnych obwodowych części systemu nerwowego, które pospolicie narządami zmysłowemi nazywamy. Takim narządem zmysłowym, którego i bodźcem i przedmiotem jest właśnie ów najidealniejszy czynnik w świecie ma-

teryalnym, światło — to oko. Oko i widzenie to dwie rzeczy ściśle ze sobą skojarzone i niema, zdaje się, takiego sceptyka na świecie, coby naprawdę powątpiewał o tem. Można atoli postawić pytanie, czy łączność i zależność owych dwu rzeczy jest tak ścisła i wielka, iżby bez oczu widzieć nie można.

Na to pytanie odpowiada Nagel w swojej książeczce.

Zdarzały się, dawniej zwłaszcza, może i dziś zdarzają się czasem osoby, co stanowczo i fanatycznie twierdzą, jakoby mogły czytać z zamkniętemi oczyma, za pomocą skóry, choćby końcem nosa. Był też czas, że tego rodzaju historyjki umieszczano w poważnych podręcznikach fizyologii ludzkiej, że biedzono się nad wytłumaczeniem tych zjawisk. Ale, jak to zwykle się dzieje, historyjki przeszły do historyi, zaś prawdą jak było tak jest, pomimo nawet wszystkich zjawisk hipnotycznych i histerycznych, że człowiek bez oczu widzieć nie może.

Krótkowidzący i dlatego może jak najwyżej, jak najdalej zawsze sięgający umysł ludzki lubi bardzo wszelkiego rodzaju uogólniania, chciałby każdej prawdzie zdobytej jak najszerszy okrąg zapewnić i wytyczyć. Po wszystkich też zoologiach rozpowszechniło się i jest rozpowszechnione zdanie, jakoby nie było na ziemskiej skorupie zwierzęcia, któreby bez oczu widzieć mogło. Czy tak jest w istocie?

Po ogrodach naszych, zaroślach cienistych można często napotkać największego krajowego ślimaka, winniczka *(helix pomatia)*, ulubiony przez wielu ludzi przysmaczek. Dwie pary niejednakowej wielkości rożków kurczliwych zdobią jego głowę. Na końcach tylnych czyli potężniejszych rożków umieszczone są oczy. Jeśli w czasie spotkania się z winniczkiem nie będziemy mu przeszkadzali w spacerze, lecz zachowamy się bardzo spokojnie, i dopiero po kilku chwilach, rozumie się bez wszelkiego szelestu lub powiewu powietrza, rzucimy nagle jakiś cień na niego, to przekonamy się, że winniczek nastraszy się gwałtownie, co się objawi w natychmiastowem skurczeniu i schowaniu wszystkich czterech rożków a często nawet cofnięciu całego ciała do swej twierdzy ochronnej, ślimaczej skorupy. To tylko wstępne doświadczenie. Teraz możemy wziąć naszego winniczka i wykonać na nim nie bardzo trudną operacyjkę: odciąć mu końce tylnych rożków, czyli pozbawić go oczu. Operacya uda się zawsze, rana w krótkim czasie zasklepi się i zabliźni, a pacyent będzie mógł znowu wyjść na przechadzkę. Na operowanej bestyjce powtarzamy poprzednie doświadczenie. Cóż się pokazuje? Jak przedtem tak i teraz ślimak reaguje na każdy cień rzucony niespodzianie na niego nagłym skurczem i wcią-

gnięciem rożków lub nawet ukryciem całego ciała. Spostrzeżenia cienia w tym przypadku nie można przypisać oczom, których niema, jeno całej skórze ślimaka.

Nie tu miejsce wchodzić w dalsze szczegóły doświadczeń, przedstawiać całe szeregi zwierząt: ślimaków, małży, robaków i innych, na których Nagel wykonywał swoje obserwacye — wszystko to jest opisane i przedstawione w naszej książeczce, najczęściej wraz z celowością tej zdolności u odpowiednich zwierząt, która to celowość wbrew woli i przekonaniom autora raz po raz z pod pióra mu się wymyka. Ze wszystkich zaś doświadczeń i obserwacyj wynikać się zdaje, iż są wcale liczne na świecie zwierzęta, co nie mając oczu, lub po utracie oczu zdolne są do percepcyi światła.

Jan Nuckowski.

Z czeskiej literatury katolickiej.

I.

Od chwili, w której po raz ostatni pisaliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* o czeskiem piśmiennictwie, zaszedł w naszym świecie literackim niejeden fakt, zasługujący na wzmiankę. Faktem takim był przedewszystkiem wielki i manifestacyjny do pewnego stopnia zjazd literacki, zorganizowany w sierpniu roku ubiegłego przez stowarzyszenie Vlasť. Zjazd ten trwał przez całe trzy dni i mnóstwo osób wzięło w nim udział. Pierwsze dwa dni zajęły rozprawy o literaturze, trzeci zaś dzień poświęcono kwestyi socyalnej. Przewodnictwo podczas całego zjazdu objął profesor gimnazyalny, dr. M. Kovář. Mowców wystąpił nader liczny szereg, lecz palma pierwszeństwa przypadła tym razem w udziale d-rowi Antoniemu Podlaha, który mówił „O sztuce“ *(O umění)*. Było to prawdziwe studyum w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nie będziemy wchodzili w szczegóły naprzód dlatego, że od owego czasu upłynęło już całe półrocze, powtóre zaś, że wszystkie dzienniki poświęciły tej rozprawie mniej lub więcej obszerne wzmianki, a zeszłoroczna i tegoroczna *Vlasť* wyczerpujący nawet podała referat.

Z nowości na polu katolickiej literatury wymienimy dziś utwory poetyckie i belletrystyczne.

Ogromny poemat pod tytułem „Ewangelia wolności“ *(Evangelium svobody)* wydał Adam Chlumecky w Kutnej Horze u Szolca. W dwudziestu rozdziałach, skreślonych nierymowanym wierszem biblijnym

autor usiłuje rozstrzygnąć współczesną kwestyę socyalną na podstawie chrystyanizmu i dowieść, że w inny sposób rozwiązać jej niepodobna. Jest to główna, przewodnia idea jego dzieła. Praca ta jest u nas tak odrębną od wszystkich innych literackich płodów, że się nie wahamy przytoczyć krótkiego rzutu oka na jej osnowę. Autor wylicza naprzód wszystkie przyczyny społecznej niedoli. Geniuszem jego jest Kościół nauczający, który w tym poemacie reprezentuje Ahaswer, wieczny żyd służący autorowi za przewodnika do wszystkich ludów na całym świecie, od dzikich do ucywilizowanych i na pół cywilizowanych, od pogan do chrześcijan wszystkich wyznań i wszędzie dający mu do zrozumienia, że przyczyną wszelkich nieszczęść, klęsk i rozruchów jest bezbożność i grzech. Wiedzie go więc po stepach, zamieszkiwanych przez amerykańskich dzikich, wymierających stopniowo skutkiem niemoralności lub mściwości i bratobójczych walk. Dalej prowadzi go w Ameryce do ubogich chrześcijan, którzy pozostali wiernymi swej wierze i u których pomimo niedostatku panuje spokój, zadowolenie i miłość bliźniego. Następnie wiedzie go pomiędzy chrześcijan, zepsutych i skażonych przez cywilizacyę i widzi tam wszędzie ukrytą nędzę, jak naprzykład pośród emigrantów, płynących na tym samym okręcie, na którym i autor z Ahaswerem odbywa swą podróż.

Z kolei Ahaswer pragnie dowieść, że źródłem zepsucia obyczajów jest bogactwo i dlatego też prowadzi autora do domów rozmaitych milionerów, pomiędzy któremi mało jest ludzi o czystem, szlachetnem i wspaniałomyślnem sercu, ale natomiast dużo zatwardziałych samolubów, pełnych różnorodnych wad i występków. Oni to złym przykładem psują młodzież i służbę, która rzuca się również w wir rozwiązłego życia, wydaje więcej niż zarabia i buntuje się przeciwko panom, aż wreszcie wszystko zaczyna chylić się ku upadkowi. Wszystko to ukazuje Ahaswer autorowi na amerykańskim gruncie. Potem nagle przenosi się z nim do Europy. Tam przygląda się zdzierstwu w bankach i na giełdzie, uciemiężeniu ubogich przez kartele, uciskowi, doznawanemu przez pomniejsze narody i innym również opłakanym stosunkom, wiodącym do rewolucyi i zguby wielu.

Ponieważ w obronie cierpiącego ludu występują anarchiści, widząc więc to, Ahaswer (Kościół uczący i napominający) sam gorąco się za ludem ujmuje. Zbiera zatem ubogą ludność dokoła siebie, pociesza ją, uczy szukać ulgi i wolności za pomocą rozsądnych środków, oraz gorliwie jej broni. Przeciwko niemu występuje Antychryst, przedstawiciel anarchizmu, nihilizmu i nieprzejednany wróg całego chrześcijań-

stwa. Antychryst ten jeździ po świecie, podburza lud, łudząc go zwodniczemi obietnicami rychłego oswobodzenia i szczęścia, wiedzie mu się zaś daleko lepiej, niż Ahaswerowi. Czyni także cuda i odgrywa rolę prawdziwego zbawiciela świata. Cały lud uwielbia jego cuda i nauki, religia zaś chrześcijańska chyli się ku upadkowi. Ahaswer wytęża wszystkie siły, aby przekonać lud o istotnej przyczynie biedy i modli się zań szczerze, lecz na pewnem walnem zgromadzeniu zostaje zwyciężony przez mężów, którzy na gorące jego modły za cierpiącą ludzkość odpowiadają okrzykiem: „Niech żyje Antychryst!“

Inaczej zupełnie zachowywały się niewiasty. Szlachetność charakteru i wzniosłość nauk Ahaswera znalazły echo w ich sercach tak, że wołały głośno: „Ahaswer ma słuszność!“ Wszystkie też kobiety i dziewczęta podały sobie dłonie do gremialnej reakcyi przeciw mężczyznom, mówiąc: „Dopóki mężczyźni się nie poprawią i nie wyrzekną się swych błędów, dopóty nie będziemy z nimi żyły, ani wychodziły za nich za mąż!“ Był to pierwszy krok do poprawy, lecz sama poprawa nie była łatwą. Lud został zdemoralizowany przez masońskie władze, które mu zupełną pozostawiły swobodę, ażeby robił, co mu się podoba; ze zdemoralizowaną zaś ludnością trudna zaiste sprawa. Trudniej zaś jeszcze ustanawiać mądre prawa dla dobra ludu, gdy władze rządowe skutkiem militaryzmu znalazły się całkowicie w ręku żydów, którzy się stali panami wszystkiego, chrześcijanie zaś ich niewolnikami. Wynikło stąd okropne prześladowanie żydów, do którego Antychryst zachęcał i podburzał. Rozpoczęły się więc straszne walki, mordy i rabunki. W chwili jednak najbardziej krytycznej znaleźli się poczciwi ludzie, którzy wystąpili przeciw złoczyńcom i stanowczą zadali im porażkę. Zaledwie atoli tak się stało, wrócił znowu dawny porządek rzeczy ze wszystkiemi swemi ujemnemi stronami, ilość zaś wojska bardziej jeszcze się zwiększyła, aby lud w karbach utrzymać. Skutkiem tego wszakże podatki coraz bardziej wzrastały, wraz z niemi zaś ogólna nędza i rozpacz na coraz szerszą rozwijały się skalę i coraz groźniejsze przybierały rozmiary.

Nie mogąc wykorzenić chrystyanizmu w Europie, Antychryst udał się do Chin. Tam chciał poszczuć lamaizm przeciw Rosyanom i wywołać wielką wędrówkę pogańskich ludów na zachód, ażeby chrześcijaństwu zadać cios śmiertelny.

Tymczasem w Europie stan robotniczy zorganizował się podług zasad Ahaswera. Na czele chrześcijańskich warstw robotniczych stanął robotnik Aram, który zostawszy mężem córki bogatego przemysłowca

imieniem Ruth, i sam z kolei przemysłowcem, pozyskał mądrem postępowaniem nietylko wielu robotników, ale nawet i kapitalistów dla swoich idei. Następnie wszystkich swych stronników ugrupował niby w jednę wielką rodzinę, nadał jej ustawy, oparte na zasadach chrystyanizmu, oraz założył liczne męzkie i żeńskie stowarzyszenia. Wówczas też i religia chrześcijańska znowu kwitnąć zaczęła.

Atoli ta zmiana na lepsze nie stała się jeszcze powszechną, gdy na ludzkość spadła nowa klęska, aby ją oczyścić ze złoczyńców. Oczyszczenie to pochodzić miało z Azyi, dokąd teraz autor z Ahaswerem się udaje. Ahaswer wskazuje mu nędzę w przeludnionych Chinach, zaznajamia go z obecnym stanem lamaizmu w Tybecie i Mongolii i daje poznać przyczynę niedoli Chińczyków. Oto lamaizm wezwał Chińczyków na pomoc przeciw Rosyanom, ci przyszli i skutkiem tego powstał w Chinach ucisk, rozprzężenie i rozterki.

Biada Europie! Rosya toczy wojnę z Turcyą, Francya z Niemcami, małe, ujarzmione narody zaczynają podnosić głowy, aż wreszcie niektóre państwa upadają, Turcya zaś dostaje się w ręce Rosyi. Nagle nadchodzą wieści z Azyi, że plemię mongolskie zaleje całą Europę. W tak wielkiem niebezpieczeństwie upomina papież wszystkie kraje i rządy, tudzież wszystkie chrześcijańskie wyznania, aby podały sobie dłonie dla obrony wiary i cywilizacyi! W tym celu odbywa się w Rzymie sejm wszystkich chrześcijańskich rządów i wyznań. Przeraża to niezmiernie piekło, a zwłaszcza samego Antychrysta, który swem podszczuwaniem jednych przeciwko drugim przyczynił się wbrew własnej woli do zwołania owego sejmu, a zarazem i do zjednoczenia wszystkich chrześcijańskich sekt i wyznań. Dokłada więc wszelkich możliwych starań, aby temu zapobiedz, lecz Ahaswer wszystkie przełamuje zapory. Wreszcie następuje zupełna jedność i staje się jeden pasterz i jedna owczarnia. Stosownie do umowy wojsko zrekrutowane w celu rozpoczęcia wojny z Chinami, rozeszło się do domów, lecz mór i dokuczliwe zimno zdziesiątkowały tak dalece biednych Chińczyków, że prosili o pokój, który też z nimi zawarto. Tak więc po wielu rozruchach Europa wolniejszą odetchnie piersią, świat zaś cały spoi się w jednę całość, zwaną „wszechświatowemi Stanami Zjednoczonemi“, których zasadniczem prawem będzie miłość bliźniego.

Tak się przedstawia treść poematu, będącego u nas jedynem zjawiskiem swego rodzaju i zasługującego z tego względu na szczególną uwagę.

Obok Chłumeckiego wymienić należy O. Zygmunta Bouška, z za-

konu św. Benedykta, wikarego w Machowie pod Policą, który w ostatnich czasach wzbogacił poezyę katolicką prawdziwie cennym zbiorem swych utworów. Są to tak zwane jego *Pietas*, stanowiące IV. tom wydawnictwa *Básnické obzory katolické*. Wielce starannie wydany ten zbiorek o 154 stronicach obejmuje oprócz „Prologu“ trzy cykle poezyj: „U stóp Chrystusa“ *(Ve stopách Kristovych)*, „Sztuka“ *(Uměni)*, i *Panem de caelo*. Niektóre z nich są prawdziwemi perełkami poezyi katolickiej. Szlachetny polot myśli i wdzięk formy tworzą główną ich zaletę. Daje się to zwłaszcza powiedzieć, podług naszego zdania, o następujących utworach: „Grzech“ *(Hřich)*, „O księgo pisana przez Boga!“ *(O kniho Bohem psaná)*, „List do pani, która mię prosiła o błogosławieństwo“ *(List pani, jež mě prosila o požehnani)*, „Ksiądz“ *(Kněz)*, „Siostry Miłosierdzia“ *(Miloserdné sestry)*, *Lilie*, *Communio* i „Organy“ *(Varhany)*, które się nam tak dalece podobały, żeśmy po kilka razy je odczytywali. Powyższy zbiorek powitano wszędzie z prawdziwą radością, piękne bowiem na przyszłość rokuje nadzieje. Nie ulega zaś wątpliwości, że nadzieje te się urzeczywistnią i że w Zygmuncie Boušku doczekamy się może pierwszorzędnego katolickiego poety, czego z całego serca pragniemy.

Jeżeli jednak *Pietas* Bouška jest obok *Sedmikras* Karola Dostala-Lutinova najpiękniejszą ozdobą wydawnictwa pod nazwą *Básnické obzory katolické*, nie jest atoli bynajmniej jedynym zbiorem poezyj, jakie się obecnie w tem wydawnictwie ukazały, trzeci bowiem tom jego stanowią „Rapsodye biblijne“ *(Biblické rhapsodie)*, skreślone przez Wilhelma Bitnara. Poetycki ten zbiorek świadczy korzystnie o wybitnym talencie swego autora. Widać z niego, że mamy przed sobą poetę umiejącego czuć i myśleć, gdyż nietylko podaje on fakta biblijne, ale także w sposób istotnie piękny wyświetla ich znaczenie. Tak więc ten pierwszy krok Bitnara jest bardzo szczęśliwy, grono zaś katolickich czeskich poetów zwiększa się dzięki jemu o jednego prawdziwie utalentowanego członka. W ostatnich czasach więcej ich jeszcze na literacką wystąpiło arenę, gdyż oprócz Bitnara, Juliusz Korab wydał samodzielnie zbiorek swych utworów pod tytułem: *Trosky mých snů*. Zbiorek ten jest niby echem wszystkiego, co się działo w duszy poety w przeciągu ostatnich lat paru. Nie wszystko wprawdzie zadawalnia tam nasze wymagania, lecz nie brak również istotnie dobrych rzeczy. W niektórych zwłaszcza pieśniach, będących niby odbiciem nastroju duszy poety, talent jego w nader korzystnem przedstawia się świetle. Zarzucićby tylko można młodemu pieśniarzowi zanadto ponury ton, rażący nas

niemile w wielu jego utworach. Zapewne z czasem pesymizm ten się zatrze.

Również i Franciszek Leubner wkrótce po wydaniu swych *Ballad á legend,* o których ostatnim mówiliśmy razem, poruszył znowu struny swojej lutni. Nowy zbiór jego utworów nosi tytuł: „Na krańcach kancyonału życia“ *(Na skrajich kancionalu života),* obejmuje zaś następujące cykle: I. „Raj utracony *(Ztracený ráj)* w trzynastu pieśniach, II. „Na złotym gruncie“ *(Na zlate půdě),* w którym najpiękniejszemi pieśniami są: „W Wielki piątek“ *(O velký pátek),* „Kaplica św. Wacława“ *(Svatováclavska kaple),* „Legenda o św. Wicie“ *(Legenda Svatovitská),* „Panie, zmiłuj się nad nami!“ *(Hospodine, pomiluj nas),* „Św. Wacław“ *(Sv. Václav),* a zwłaszcza „Dzwony“ *(Zvony).* Czytając ostatni ten utwór, mimowoli doznaje się wrażenia, że się słyszy odgłos praskich dzwonów. Posłuchajcie tylko początku:

Vim vám dum doby: Dumou mou duni nad Prahou zvony,
A kvili — kvili — kvili... Vi-li, co kvili?
Kdy v hloubi touha zdlouha napotom chvili,
V nich údery bolu lka na hory stony...[1]

Dalej następuje cykl. III. „Zahuczały góry“ *(Zahučaly hory)* we dwudziestu pieśniach, a wreszcie cykl IV. „Chrystus i niewiasty“ *(Kristus a ženy),* tj. niewiasty biblijne, jak np. „Matka Jezusa“ *(Matka Ježisóca),* „Córka Jaira“ *(Dcera Jairova),* „Herodyada“ *(Herodias),* „Marta“ *(Marta),* „Salomea“ *(Salome)* i t. d.

Po Leubnerze na poetycką widownię wystąpił także Ksawery Dvořák, ogłaszając drukiem swoje „Rozmyślania“ *(Meditace),* przed samemi zaś świętami Bożego Narodzenia i sędziwy Benesz Metody Kulda wydał aż trzy cykle nowych poezyj, a mianowicie: „Kościół i naród“ *(Církev a národ),* „Rady i przestrogi na czasie“ *(Rady a výstrahy časové),* a wreszcie „Drzewko na Boże Narodzenie“ *(Vanoční strom).*

Widzimy stąd, że na niwach katolickiej poezyi pracuje u nas w ostatnich czasach również pilnie, jak szczęśliwie wielu utalentowanych pieśniarzy, tak, że słusznie rzec można, iż dla poezyi katolickiej nowa lepsza rozpoczyna się era.

Uboższą była natomiast belletrystyka katolicka. Napotykamy

[1] Znam dumań dobę. Zadumą dźwięczą nad Pragą dzwony.
A kwili — kwili — kwili... Wiecie, co kwili?
Gdy w głębi troska przedłuża trwanie złej chwili,
A cios boleści wyrywa jęk przytłumiony...

w niej tylko oddawna już znane nam nazwiska Brodskiego, Dostála, Valouška, Kosmáka, Koštála i t. p., z któremi we wszystkich naszych czasopismach kolejno zabieraliśmy znajomość. Nie należy jednak stąd wnioskować o upadku tej gałęzi literatury, gdyż nie ulega wątpliwości, że i na polu belletrystycznem wystąpią wkrótce podobnie, jak w dziedzinie poezyi, nowi utalentowani pracownicy, i teraz już bowiem widzimy tu i owdzie nieznane dotąd nazwiska, które kiedyś wielką mogą okryć się sławą.

Przy tej sposobności niepodobna pominąć milczeniem, że zeszłoroczny rocznik *Osvěty* podał swym czytelnikom powieść nauczyciela Reisa p. t. „Zachód“ *(Západ)*, którąby słusznie można uważać za prawdziwą ozdobę literatury czeskiej. Odbija się w niej krok za krokiem, a raczej tchnienie za tchnieniem życie sędziwego proboszcza wiejskiego Kalousa i całego jego otoczenia w sposób tak barwny i pełen wdzięku, iż każdy czytając ją przyzna, że już od dawna nic tak pięknego nie czytał. Dlatego też zewsząd dochodzą słowa uznania i pochwał, połączone z usilnem żądaniem, aby powieść ta jak najrychlej w osobnej ukazała się odbitce. Nie ulega wątpliwości, że wkrótce to nastąpi. Wydał też obecnie Reis w osobnej odbitce inną swą powiastkę: *Pantáta Bezoušek*, która również po raz pierwszy ujrzała światło dzienne na szpaltach *Osvěty*. Mamy więc nadzieję, że i *Západ* pójdzie tą samą drogą i gorąco tego pragniemy.

Dr. Józef Tumpach.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

LEON XIII. I KANADA.

Czy to niespożyte siły człowieka podziwiać mamy w Leonie XIII., czy nadprzyrodzoną moc ducha? Nad tem pytaniem mimowolnie niejeden z nas zastanawia myśli, kiedy słyszy o ciągle nowych czynach papieża dla dobra Kościoła. Teraz *Tablet* angielski donosi o nowym kroku Leona XIII., dla dobra dzieci w Kanadzie. Mgr. Merry del Val dostał rozkaz od Leona XIII., żeby w jego zastępstwie, jako delegat apostolski, odpłynął do Ottawy, nieść tam słowa pokoju po siedmioletniej burzy, powstałej przez sprawę szkoły wyznaniowej. Po tyloletnim sporze między wolnomyślnym rządem a rodzicami, którzy obstają przy zasadach katolickich, angielski przedstawiciel rządu w Manitabo chciał już położyć stanowczo koniec wszelkim zatargom i podpisał ustawę, tak nieszczęśliwie pomyślaną, że zamiast zażegnać burzę, jeszcze boleśniej dotknął katolików. W Kanadzie, Francyi, Anglii dzienniki i czasopisma nie szczędziły miejsca na głosy rodziców, przerażonych przyszłą dolą dzieci, wolnomyślnie wychowywanych. Burza, choć jeszcze nie przybrała rozmiarów otwartego rokoszu przeciw władzy, jednak już zaniepokoiła rząd. Jak donosi z Kanady *Monde:* „żmija wolnomyślna, z panem Laurier, jako głową, a jego służalcami, jako

ogonem, struchlała przed następstwami dalszych skarg i pogróżek ze strony przeciwników rządu: więc wolnomyślne pisma zaczęły grać na nowej strunie. Już nowa ustawa przestała stanowić właściwą ustawę: miała być jedynie zarysem głównych myśli, o których rząd zamierzał wysłuchać sądu przeciwników i za wspólną z nimi naradą powziąć dopiero zamiar nowej ustawy". Sam p. Laurier, pierwszy chorąży w obozie wolnomyślnym, powtórzył tę piosenkę i w piśmie swojem, wydawanem w Quebec, *Le Soleil*, zapowiada wyraźnie, że najchętniej przystąpi do dalszej pracy z katolikami, aby na podstawie dotychczas rzuconych tylko myśli dojść do zgody zupełnej.

Zapowiedź nowej narady dodała otuchy zwolennikom szkoły wyznaniowej. Czterdziestu pięciu członków senatu i izby poselskiej w Kanadzie podpisali prośby do papieża, aby zechciał wysłać im Delegata Apostolskiego, któryby przewodniczył w naradach i zabezpieczył zasady kościelne przed przemocą wolnomyślnych ciemiężycieli ducha chrześcijańskiego.

Delegat już przybył do Kanady.

Z BELGII. Mały ten kraj nie często zwraca na siebie oczy Europy: przecie zasługuje na uwagę przez swoją pilną pracę nad zgodą warstw społecznych, poróżnionych między sobą w całej Europie. Belgijczycy tak skutecznie rozszerzali zasady katolickie między robotnikami, że posiadają już najzupełniej urządzone i potężne „Związki demokratyczne", owiane i przesiąknięte duchem chrześcijańskim, w którym oczywiście darmo socyalizm szukałby dla siebie zwolenników. Postawić taką zaporę socyalizmowi: to samo jeszcze nie wystarczyło dla katolików belgijskich; nie chcieli widzieć rozdziału między robotnikiem a fabrykantem, między świeżą potęgą Związków demokratycznych, a dawniejszym, więc jeszcze potężniejszym i zasłużeńszym „Związkiem konserwatywnym", który skupiał pod chorągwią krzyża majętne rodziny przemysłowców i właścicieli ziemskich. Po co mają iść pod osobnymi wodzami dwa zastępy, które wspólnie walczą z tem samem hasłem na ustach? Tak pytali się w ostatnich miesiącach rzecznicy zupełnego zlania się stronnictw ka-

tolickich. Na to pytanie dostali odpowiedź z obu stron wcale pomyślną. Nie rokują wprawdzie te odpowiedzi natychmiastowego układu między Związkami, któryby zaraz zatarł różnice i zgromadził wszystkie oddziały w jednym obozie, ale i jedni i drudzy usiłują już wyszukać zasady, na której możnaby skupić rozdwojone siły.

Jedną z przyczyn rozdziału stanowiła sprawa wojskowa. Dotychczas ustawa pozwala majętnym podstawić za siebie zastępcę do służby wojskowej. Demokratyczne Związki chcą znieść tę ustawę, ale konserwatyści przy niej obstają. Duch zgody natchnął pana Loslever wnioskiem, który sprawę rozstrzygałby tym sposobem: i bogaci i ubodzy mogą postawić zastępcę; ubodzy za to składają rządowi opłatę skromną, bogaci bardzo znaczną. Tym sposobem odpowiednia opłata jakoś wyrównywałaby sprawę bez krzywdy dla nikogo. Dotychczas ten wniosek, zwany *remplacement proportionel* nie znalazł dostatecznego poparcia; ale p. Hoyois obmyślił w nim kilka poprawek, któreby mogły Izbę skłonić do przychylnej uchwały. W każdym razie różnica poglądów wcale nie roznamiętnia obu katolickich obozów, a umysły coraz silniej okazują chęć do zgody.

Aby ku niej skłonić serca, jej zwolennicy urządzają wiece i zjazdy, na których myśl znajduje coraz zapaleńszych obrońców. Na jednym np. z tych zjazdów w Louvain, przemawiał p. Michał Levie, naczelnik robotników z Hainaut. Mowa jego zbierała huczne oklaski, szczególniej, kiedy wyłuszczał, że „konserwatyści potrzebują demokratów, a także demokraci nie obejdą się bez konserwatystów; ostatecznie te dwa miana: to tylko imiona chrzestne; ‚katolicy', to wspólne wszystkich nazwisko rodzinne".

STAN NAWRÓCONYCH PASTORÓW W DANII.

Germania donosi, że duńscy pastorzy protestanccy częściej, niż możnaby oczekiwać, przechodzą na łono Kościoła Powszechnego. Niespodziankę ten widok stanowi dla katolików, bo ci, którzy znają na miejscu stosunki, widzą, że bohaterskiego czynu dokonuje pastor w Danii, kiedy zostaje katolikiem. Jako odstępca od wyznania państwowego,

za karę traci u rządu wszelkie względy i łaski, ledwie że nie skazany na śmierć głodową. Tak np. wysłużony zawiadowca zboru w Holland-Falster, wybitny pisarz teologiczny i belletrystyczny, ojciec dwanaściorga dzieci, Kofoed-Hansen, u schyłku żywota spędzonego w dostatku, uznał prawdę w Kościele Powszechnym i wyrzekł się Lutra. Emerytura, wysłużona przez kilkadziesiąt lat pracy, starcowi przepadła; równie ominęła wybitnego pisarza pensya za utwory poetyckie, którą minister oświaty ówczesny i sejm duński przyznali, zamiast dla Kofoed-Hansena, pisarzom nierównie mniej znakomitym. Więc odarty ze środków do życia starzec, chwycił za pióro i wydawał bądź poważne broszurki, bądź powieści; nakoniec zaczął przekład ksiąg Starego Zakonu, ale w zgrzybiałym wieku nie dokończył tej pracy, zaskoczony śmiercią.

Inny także kaznodzieja protestancki, jeden ze znaczniejszych, I. L. W. Hansen, po dwudziestoletniej pracy w obronie Lutra, poznał, że prawdy nie broni, złożył urząd i wrócił do wiary przodków. Cała okolica Hadersleben znała w nim dawniej człowieka przywykłego do wygód; nawrócony rozpoczął żywot w nędzy i stanął na czele redakcyi duńskiego pisemka kościelnego, przekładał dzieła katolickie z języka niemieckiego i dokonał przekładu ksiąg Nowego Zakonu na język duński.

Trochę lepiej poszło pastorowi w Fuehnen, nazwiskiem Modo Jensen, który, trzy lata temu, złożył wyznanie Wiary Powszechnej. Mimo gniewu na niego za takie przeniewierstwo względem Lutra, dawni jego współwyznawcy nie taili pochwał, na jakie zasłużyły jego dzieła polemiczne: „Czemu zostałem katolikiem?“ i „Kto obstaje za prawdą?“ Hrabia Molthe-Huitfeld, katolik, nie ze samemi pochwałami podszedł do głodnego pisarza: zaopatrzył dla niego chleb na małej dzierżawie. I za to dziękuje Jensen, chociaż z żoną i dziećmi sam teraz w polu pracują, jak biedni rolnicy.

Pastor Niels Hansen, dostał posadę wiejskiego nauczyciela w katolickiej szkółce. Ten dopiero 17 stycznia b. r. powiedział ostatnie kazanie pożegnalne do protestanckich owieczek w Naur i Sir pod Holstebro w Jutlandyi i przystąpił z żoną i czworgiem

dzieci do biskupa katolickiego z prośbą, żeby mógł wyznawać tę wiarę, która doprowadziła do nieba św. Teresę. Jej dziełom zawdzięczał światło o katolicyzmie.

Inny pastor, Brackdorff, z żoną i trojgiem dzieci, nawrócony przed rokiem, do tej pory wisi na łasce ludzi dobroczynnych, i nie może znaleść ani kąta spokojnego ani sposobu do walki z nędzą ostatnią.

Widok podobnych nędzarzy w Anglii, którzy dla katolickiej wiary potracili chleb dostatni, pobudził tamtejszych katolików, że pod przewództwem biskupów założyli ligę, dla opieki nad nawróconymi pastorami. W Danii nic podobnego nie powstało dotychczas: tem więcej podziwu budzi widok silnej wiary, z którą nawróceni pastorzy składają urzęda i o łaskawym chlebie żyją długo z rodziną, nim znajdą jakiebądź źródło stalszych dochodów.

NASTĘPCY GARCII MORENY W EKWADORZE.

Nie następcy Moreny na krześle prezydenta w Ekwadorze zajmują teraz uwagę katolicką, ale ci, co jak młody i dzielny pisarz Wiktor Vivor, wstępują w ślady katolickiego męża stanu przez śmierć męczeńską. Zasłużył ją sobie śp. Wiktor przez odwagę, z jaką słowem i piórem walczył w obronie Kościoła przeciw jego prześladowcom teraźniejszym w Ekwadorze.

Po zabójstwie, dokonanem na Morenie, przez parę lat wichrzyli w państwie wysłannicy lóż wolnomurarskich. Nakoniec skołatana nawa rzeczypospolitej ujrzała przy sterze d-ra Ludwika Cordero i lud zaznał spokoju pod jego chrześcijańskimi rządami. Ale loża nie dała za wygraną. Szeroko rozgałęziony spisek podziemny podkopywał posady rządu i rok temu oddał nad sobą dowództwo jenerałowi Alfero. Ten bohater loży okrył sławą swoje nazwisko: skrytobójczym nożem zgładził d-ra Cordero. Ekwador liczył już dwóch męczenników za obronę Kościoła przeciw wolnomurarstwu.

Alfero zajął miejsce opróżnione przez drugiego męczennika-prezydenta i wywarł całą swoją potęgę nad zgniecionymi katolikami. Karmi ich chlebem codziennym wygnania, więzień, nawet katuszy i śmierci. Zajął dobra zakonne a zakonników

z kraju wygnał. Wiktor Vivor śmiałem piórem w piśmie *La Ley* zarzucał okrutnikom ich czyny, a ściągnął na ostatek nieprzebłagany ich gniew, kiedy na pogrzebie d-ra Herero wyznał wobec tłumów, co katolik czuć powinien. Bracia o trzech kropkach rzucili na śmiałka wyrok śmierci. Gubernator Quito wywarł nad nim okrucieństwo, o którem wierzyć byłoby trudno, gdyby nie zgodne świadectwo wielu pism zachodnich: kazał męczennikowi najprzód z prawej ręki powyrywać wszystkie palce, które trzymały pióro katolickie, następnie niezłomnego rycerza wiary rozstrzelać.

Do chlubnych dla Kościoła nazwisk Moreny, Cordery, Vivora dołączą dzieje męczenników wiele jeszcze innych imion; ale dotąd nie znamy ich dokładnie: wiemy tylko, że krwią zlany Ekwador obecnie traci raz po raz któregoś z szlachetnych synów swoich i wybitnych katolików: sztylet i trucizna pracują pilnie w usługach wolnomurarstwa.

Z FRANCYI.

Ciężko tu idzie budowa nowego ustroju stosunków między katolikami a rządem. Trzeba przebudować wszystko, co budowały długie wieki monarchii popieranej przez Kościół i jako tako przywykłej do usług względem Kościoła. Kościół przetrwał monarchię, ale dopiero nawiązuje stosunki z rzecząpospolitą. Katolicy muszą iść jakby po piaszczystych wydmach, bez drogi i niczyich wzorów przed sobą. Więc twardo i jakby po grudzie idą i pomału przecie stąpają naprzód i z wielkim mozołem dokładają kamyczek po kamyczku do budowli. Tak w Bretanii, po odwiecznem przymierzu katolicyzmu z monarchią, upadł przy wyborach znakomity kandydat monarchiczny a wyszedł z urny ks. Gayraud, zawołany ludowiec. Leona XIII. bardzo pocieszyć miał ten wynik wyborów. Potem znowu papieska myśl naprzód postąpiła i w okręgu wyborczym Indre pchnęła sprawę na nowe tory. Dotąd stawał tu zwykle monarchista przeciw wrogowi Kościoła i przy wyborach raz po raz przepadał. Stanął teraz katolik, wyznawca pojednawczych zasad Leona XIII. i odrazu ujął wyborców; pobił na głowę wroga Kościoła. W okręgu Bordeaux stanęli do walki wolnomurarz

i niewyraźny sobie człowiek, Chiché. W programowej mowie wspomniał, że choć katolickich zasad nie podziela, przecie uznaje potrzebę zmiany ustaw w duchu katolickim. Mianowicie zapowiedział walkę przeciw teraźniejszej szkole we Francyi. Zapowiedź tej walki wystarczyła: wyborcy stanęli za nim przeważnie i brat z trzema kropkami upadł.

Nowa myśl zaświtała we Francyi: szlachetni przedsiębiorcy postanowili wydrzeć teatr z rąk ludzi, odartych z chrześcijańskiego poczucia. Więc w Paryżu powstaje teatr chrześcijański na przedmieściu Poissonnière. Pierwsze widowisko na nim wystawione, odrazu zjednało nowej myśli gorących zwolenników. Wystąpili młodzi aktorzy, wychowani w patronacie szkoły chrześcijańskiej; gra ich wykończona rozwiała wszelkie obawy, czy Paryżanin może znaleść dobry teatr a nie narażać wiary i obyczajów na niebezpieczeństwo. Chrześcijańscy artyści wystąpili w pastorałce *Nativité*, pełnej wdzięku, ułożonej przez księdza Jonin, proboszcza z Saint-Medard. Treść, dekoracya, kostiumy, wszystko świetne, nic nie dźwięczy niedostrojoną struną, od początku do końca (jak donosi sprawozdawca z *Correspondant*), urok trwa ciągle żywy i mocny.

Grę aktorów uzupełniały chóry, wykonywane oczywiście znakomicie przez śpiewaków z opery francuskiej, dobranych przez ks. Jonin. Więc i to pociesza, że opera w Paryżu posiada gromadkę zacnych chrześcijan, chętną do usług w teatrze na Poissonnière i godną występu na estradzie, na której mogą uprawiać sztukę tylko charaktery bez skazy.

Nie dziw, że taką widownię chrześcijańską popiera całą siłą i powagą wszystko, co stoi na czele katolickiego ruchu w Paryżu.

BISKUP Z VIVIERS.

Coraz głośniej mówią katolicy francuscy, że powinienby nastać już czas śmiałej obrony praw Kościoła przeciw wszelkim napaściom ze strony rządu. Niższe duchowieństwo w stosownych chwilach wyraża szczerą ochotę do walki z rządem, choćby przyszło tracić posady i ostatni grosz z kongruy, wypłacanej przez ministra. Wyższe duchowieństwo prze-

ciwnie nie radziło stawiać sprawy na ostrzu miecza, nie wydawało dotąd ze swojego grona wodzów, którzyby poprowadzili wiernych do stanowczej walki z przewagą rządu wolnomurarskiego. Jednak ostatnie tygodnie pokazują już na stolicy biskupiej księdza Bonnet, gotowego rzucić rządowi rękawicę i stanąć na czele walki w obronie Kościoła. Biskup ten już pięć lat temu pierwszy raz złożył wobec gabinetu dowody, że niezbyt wiele dba o przepisy państwowe, sprzeczne z obowiązkami pasterza owczarni Chrystusowej. Kiedy w r. 1892 powstały nowe niebezpieczeństwa dla katolików, wtedy biskup Bonnet ułożył wraz z biskupami z Montpellier, Nimes, Valence i z arcybiskupem z Avignon wspólny list, w którym ci pasterze bez ogródek uczą wiernych, jak mają obstawać przy spuściźnie wiary, zagrożonej politycznymi zamiarami rządu. Za ten krok odpokutował biskup Bonnet stratą dochodów na czas dłuższy, przyczem dostał cierpki list od rządu, tak zwany *appel comme d'abas*, ale zyskał za to wielki mir u katolików, którzy czekali, kiedy w nim ujrzą przywódcę w otwartej walce przeciwko Loży.

Tymczasem parę lat przeszło bez znaczniejszych utarczek. Nakoniec rząd rozporządził, żeby duchowieństwo złożyło rachunki z zarządu dobrami kościelnemi i oddało nad niemi dalszy dozór świeckim urzędnikom. Biskup Bonnet niezwłocznie wydał okólny list, w którym zabrania duchowieństwu swojej dyecezyi ustąpić przed rozkazem rządowym. Duchowieństwo całe jednym murem stanęło i wypowiedziało posłuszeństwo zaborczym przepisom. Zgorszony rokoszem minister, wystosował list, w którym biskupowi poleca, aby niekarnych księży przywołał do porządku i posłuszeństwa wobec władzy. Ale biskup inaczej sądził o swoich księżach i wręcz odmówił rządowi żądanej dla nich nagany; nadto odpisał ministrowi, że przepis jego jest nieprawny i w znacznej części parafij niemożliwy, że nadto wyrządza całemu duchowieństwu krzywdę, bo poddaje je pod nieproszoną opiekę rządową. Z tą odpowiedzią biskupa minister dostał także jego list pasterski, który w niezwykle śmiałych słowach potępia nowe ustawodawstwo małżeńskie we Francyi i odmawia rządowi wszelkiego prawa do głosu w sprawie ugody,

w której Kościół nie umie odłączyć od sakramentu. W dodatku dziennik z *Viriers* umieścił rozprawę z prawa kanonicznego, w której biskup Bonnet mianuje bezprawiami kilka innych przepisów rządowych, wydanych w latach ostatnich.

Rząd zdumiony wojowniczą postawą biskupa, spojrzał na niego jak na wyjątkowego zbrodniarza, o którego występku nie może już żaden minister sam wydać sądu: jedynie prezydent rzeczypospolitej może wyrok wydać w sprawie podobnej. Więc pan Faure odbył naradę z całym gabinetem i uchwalił, żeby minister Darlan ukarał biskupa tymczasem jeszcze łagodnie. Na drugi dzień minister zawiadomił biskupa, że zatrzymuje znów jego kongruę. Duchowieństwo i wierni zasypali biskupa telegramami z powinszowaniem jego czynu. Objawy czci i miłości dla biskupa rosną i przybierają już takie rozmiary, że zaniepokojony nimi poseł Fabre, interpelował w Izbie gabinet z powodu klerykalnych intryg, na które władza nie umie nałożyć hamulca. Darlan odpowiedział obietnicą, że rząd spełni obowiązek. Taka obietnica może znaczyć, że coraz nowe środki prześladowcze pójdą szybkim krokiem jedne po drugich: katolicy francuscy takiego obrotu sprawy mogą oczekiwać bez trwogi.

Ks. K. Czaykowski.

Stosunki polskie w Stanach Zjednoczonych.

Ruch emigracyjny na zachodzie Europy już od wieków istniejący, w środkowej i północnej Europie przybierał w ciągu naszego wieku olbrzymie rozmiary, a zataczając coraz dalsze kręgi, owładnął i naszem społeczeństwem. Owładnął zaś niem tem gwałtowniej, o ile tu znalazł warunki dla siebie najodpowiedniejsze. Nie tyle duch przedsiębiorczy lub żądza zysków pcha krocie tysięcy — dziś już miliony — naszych ziomków za morze, lecz po prostu fatalne stosunki ekonomiczne, spotęgowane uciskiem narodowo-religijnym. Stany Zjednoczone, Brazylia, Kanada, Australia, Urugnay — to dzisiejsze Ukrainy nasze, które zabrały nam przynajmniej 3 miliony ludzi. A jak przed wiekami kolonizacya nasza polska na kresach południowo-wschodnich, pozostawiona

była sama sobie; jak przed wiekami obojętności społeczeństwa polskiego zawdzięczamy zatracenie na rzecz żywiołu ruskiego całych mas osadników mazurskich i wogóle polskich: tak i dziś grzeszymy tą samą obojętnością wobec milionów naszych braci za morzem. Grzeszy tu przedewszystkiem prasa polska, która o stosunkach polskich osadników zbyt mało nas informuje i nie stara się nawiązać trwałych nici między nowym a starym światem. Podaje się w pismach naszych wcale szczegółowe opisy walk mulatów z Hiszpanami na Kubie lub Manili, a o losach braci naszej zamorskiej milczy się uporczywie, i to w tej chwili, kiedy tysiące ludu polskiego opuszcza swe siedziby, aby za morzem szukać lepszej doli. Zachodzi tu jednak pewna okoliczność, która zachowanie się prasy naszej wobec amerykańskiej emigracyi jeśli nie usprawiedliwia, to przynajmniej tłumaczy; oto — o stosunkach polskich w Ameryce, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, bardzo trudno jest pisać. Stosunki te tak są skomplikowane i powikłane, a miara używana w Ameryce do ich oceny jest nieraz od europejskiej tak różna, że pióra tutejsze tknąć się po prostu boją tych stosunków, zwłaszcza wobec przeróżnych partyjnych drażliwości amerykańskich, odzywających się z protestem po każdym prawie głośniejszym artykule polskiej prasy europejskiej o sprawach polskich w Ameryce. W tem położeniu rzeczy pożądanem może będzie podać tu w główniejszych przynajmniej rysach, charakterystykę polskich stosunków w Stanach Zjednoczonych, spisaną ściśle i wyłącznie na podstawie uwag jednego z Polaków amerykańskich, który na te stosunki patrzy z blizka, a nawet nie ostatnią odgrywa rolę w życiu tamtejszej Polonii.

Mieszka obecnie w Stanach półtora do dwóch milionów polskich osadników. Przeważnie rekrutują się oni z ludu wiejskiego, mniej z małego mieszczaństwa. Nie brak jednak wśród emigracyi i inteligecyi; głównie są to księża, lekarze inżynierowie. Wśród nich spotyka się bardzo często jednostki wykolejone, dla których ucisk polityczny lub inne niepowodzenia w starym świecie były przyczyną do szukania przytułku za oceanem. Bardzo licznie reprezentowaną jest t. zw. półinteligencya. Niedokończony gimnazyalista, realista albo seminarzysta, lub wreszcie subjekt handlowy, nie widząc przyszłości w kraju, szuka szczęścia w nowym świecie i rzec można, przy dobrej woli po części je znajduje. Często zdarzają się wypadki, że ojciec, nie mogąc sobie dać rady z marnotrawnym synem, pakuje go na okręt i wysyła do Ameryki. Tu pozbawiony pomocy rodzicielskiej, wśród społeczeństwa

nietolerującego próżniactwa, z musu chwyta się pracy i dorabia się niejednokrotnie stanowiska i mienia. Inaczej ginie marnie, jak tylu nieszczęśliwych, którzy pracy nie znajdują, lub uległszy chorobie albo jakiemu nieszczęsnemu wypadkowi, nie mają sił do pracy.

Głównego kontyngensu osadników, i to najwięcej wyrobionego pod każdym względem dostarcza zabór pruski; lud galicyjski dostarcza przednich robotników, odznaczających się niezwykłą oszczędnością, tak, że w krótkim dość czasie dorabiają się majątku. Ulegają natomiast łatwiej radykalnej agitacyi, co się odnosi jeszcze w wyższym stopniu do wychodźców z Królestwa, skąd głównie przywódcy i poplecznicy radykalizmu pochodzą.

Niema dziś stanu lub większego miasta w Unii, gdzieby nie było Polaków, głównie jednak osiedlają się w stanach nad wielkiemi jeziorami, w Illinois, Wisconsin, Indiana, Ohio, Pensylwania i New-York. Głównemi centrami polskiemi są miasta Chicago, Buffalo i Cleveland. W pierwszem mieszka około 150.000, w drugiem około 50.000, w ostatniem około 25.000 Polaków. Część mniejsza zajmuje się rolnictwem i jako farmerzy zamieszkują osady niekiedy czysto polskie, jak Tarnów, Poznań, Warszawę. Przeważna część jednak osiedla się po miastach i jako robotnicy fabryczni, rzemieślnicy, lub kupcy znajdują wcale przyzwoite utrzymanie. Jeżeli zważymy, że robotnik biegły zarabia 3 i więcej dolarów dziennie, że już dzieci 14 lat liczące zarabiają 2 i więcej dolarów tygodniowo, nie dziw, że nasz, do skromnych warunków przyzwyczajony chłopek, ma się nieźle i dorabia się fortuny. Prawda, że wyroby przemysłowe, ubranie i obuwie jest bardzo drogie, natomiast artykuły żywności, jak chleb, mięso, są tanie. W Chicago funt wyborowej wieprzowiny kosztuje 12 ct. naszych, a polędwicy wołowej 25 ct. Materyalne zatem warunki dla tych, którzy znaleźli pracę i mają siłę do niej, nie mówiąc wcale o ludziach zręcznych, szczęśliwych i wykształconych odpowiednio, są znakomite. Wogóle robotnicy po miastach lepiej się mają, niż farmerzy; dawniejsi przybysze posiadają zwykle ładny majątek.

Czy jednak otoczenie duchowe sprzyja polskości w Stanach Zjednoczonych? Czy dominujący wpływ rasy anglo-amerykańskiej nie oddziaływa wynaradawiająco na wychodźtwo nasze? Kwestya to pierwszorzędnej dla nas doniosłości. Jeżeli odpowiedź wypadnie potakująco, owe dwa miliony osadników polskich — a któż zgadnie, ile milionów w przyszłości — będą cyfrą na zawsze dla kraju straconą. Odpowiedź jednak na takie kwestye narodowe, jak wiemy z doświadczenia, jest

bardzo trudna. Narodowość posiada twarde życie, zresztą jej egzystencya zawisłą jest nietylko od sił żywotnych w niej drzemiących — a jak u nas, wcale wielkich — lecz od okoliczności i warunków nieprzewidzianych i nie dających się obliczyć. To można stwierdzić, że ilekroć odosobnione jednostki znajdą się stale wśród obcego otoczenia, tylekroć przeważnie ulegają mu, tracąc w pierwszem i drugiem pokoleniu swe poczucie narodowe. Inaczej jednak ma się sprawa, gdzie osadnicy jakiejś narodowości mieszkają w zwartych masach i do tego zorganizowanych, zasilanych ustawicznie świeżym napływem z dawnej ojczyzny. Te to okoliczności właśnie strzegą nasze osadnictwo polskie od wynarodowienia. W pierwszej linii kościół i szkoły parafialne polskie są najskuteczniejszą ochroną polskości. Znaczna ilość księży polskich umożliwiła utworzenie całego szeregu parafij i kościołów z polskiem nabożeństwem; w samem Chicago jest obecnie 17 parafij polskich; nadto w każdej parafii zorganizowana szkoła z językiem wykładowym polskim chroni młode pokolenie od zanglizowania się. Niewątpliwie te szkoły pozostawiają wiele do życzenia. Brak odpowiednio wykształconych sił nauczycielskich daje się dotkliwie uczuć. Mimo to szkoły parafialne są dla polskości nieocenionem dobrodziejstwem. Z tych to powodów niedawne usiłowania pewnych sfer amerykańskich, dążące do upaństwowienia szkoły, musimy uważać za zamach na narodowość, na szczęście nieudały, jakkolwiek popierało go liberalne stronnictwo polskie z antagonizmu do duchowieństwa. Naglącem jest przeto zorganizowanie polskiego seminaryum nauczycielskiego, bez którego odpowiednich sił nauczycielskich zawsze będzie brak.

Polskie seminaryum duchowne istnieje w Detroit, pozostawia jednak wiele do życzenia. Na ostatnim kongresie polskim w Buffalo we wrześniu roku 1896 przedsięwzięto odpowiednie kroki celem podniesienia go. Narodowa szkoła, dobrze zorganizowana, powinna być główną troską społeczeństwa polskiego w Ameryce, jeżeli chce ocalić swą odrębność; wychowankowie bowiem szkół anglo-amerykańskich stają się dla sprawy narodowej obojętni.

Niezmiernie też ważnym czynnikiem w zachowaniu narodowości naszej są towarzystwa religijno-narodowe. Organizowanie się za pomocą stowarzyszeń, mających nietylko idealne, ale zarazem praktyczne cele, mianowicie zabezpieczenie się wzajemne na wypadek choroby lub śmierci, jest właściwością specyficznie amerykańską. Na wzór Irlandczyków lub Niemców zdołali i Polacy zorganizować się w liczne stowarzyszenia, związane nietylko węzłem wiary i języka, ale i wzajemnej pomocy.

Punktem wyjścia do tej organizacyi były i są jeszcze przeważnie towarzystwa kościelne, zawiązywane przy parafiach, np. towarzystwo św. Krzyża, św. Stanisława Kostki, św. Stanisława biskupa, Matki Boskiej Częstochowskiej i t. p. Mają te towarzystwa kościelne nietylko narodowo-ekonomiczne cele na oku, ale i religijne, mianowicie wykonywanie praktyk katolickich.

Istnieją też stowarzyszenia niekościelne, wyłącznie narodowe, np. towarzystwo Kościuszki, Poniatowskiego, Biały Orzeł, Pogoń i t. p. Każdy członek podobnego stowarzyszenia płaci oznaczoną wkładkę miesięczną, zmieniającą się wedle potrzeb od 25 ct. do 1·50 dolara; za to bierze udział w zgromadzeniach i uroczystościach towarzystwa, otrzymuje pewne pisma, nadto zaś na wypadek choroby, skonstatowanej przez lekarza, otrzymuje 5 dolarów tygodniowo, a w razie śmierci towarzystwo ponosi koszta pogrzebu i wypłaca rodzinie pewną sumę „pośmiertnego“. Ponieważ takie ubezpieczenie wymaga licznych wkładek, bo tylko przy wielkiej liczbie członków wkładki te przestają być dla płacących uciążliwemi, większa zaś część towarzystw nie rozporządza odpowiednią ilością wkładek — przyszło do zjednoczenia pojedynczych towarzystw w wielkie spółki asekuracyjne, będące jednocześnie wyrazem pewnych stronnictw w łonie społeczeństwa polskiego. Takich związków wielkich mamy w Stanach Zjednoczonych trzy: 1) Zjednoczenie rzymsko-polsko katolickie pod opieką Boskiego Serca Jezusowego, z zarządem centralnym w Chicago; 2) Związek narodowy, tamże; 3) Unię polską, z zarządem w St. Paul. Zjednoczenie liczy obecnie 10.000 członków. Członek musi należeć do jednego z wyżej wspomnianych towarzystw kościelnych, na rzecz którego płaci około 25 ct. (amer.) miesięcznie i otrzymuje zapomogę w razie choroby i koszta pogrzebu. Na rzecz centralnego związku płaci członek miesięcznie 0·55—1·25 dol. t. zw. *assesment*, nadto 5 ct. (amer.) miesięcznie na organ Zjednoczenia p. t. *Wiara i Ojczyzna*. W razie śmierci członka wypłaca Zjednoczenie rodzinie 1.000 dolarów. Związek narodowy podobnie zorganizowany z towarzystw kościelnych, przeważnie jednak narodowych, ostatnimi czasy szybko wzrasta; od 6.000 dochodzi do liczby 9.000 członków, a płaci 900 dol. pośmiertnego. Najmniejszem stronnictwem jest Unia polska: liczy zaledwie 1500 członków, płaci też tylko 600 dolarów asekuracyi. Każde ze stronnictw ma odrębną odznakę: Zjednoczenie ma krzyż, Związek orła, Unia herb polski z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Obok tych stowarzyszeń i związków, przeznaczonych dla ludzi

starszych, posiadających rodzinę, istnieją dość liczne towarzystwa dla młodzieży, np. towarzystwo młodzieży pod opieką św. Kazimierza i inne podobne w różnych miastach Unii, przeznaczone głównie dla osób nieżonatych od 14 do 35 roku życia. Za 25 ct. (amer.) miesięcznej wkładki otrzymują członkowie tych towarzystw 5 dol. tygodniowo w razie choroby, mają zabezpieczone koszta pogrzebu, a dla pozostałej rodziny 250 dolarów pośmiertnego.

Zgromadzenia odbywają członkowie katolickich stowarzyszeń co niedzielę po rannej egzorcie i nabożeństwie w szkolnych lokalach, utrwalając w ten sposób swe uczucia religijno-patryotyczne.

Mówiąc poprzednio o trzech centralnych zjednoczeniach asekuracyjnych, wspomniałem, że one są równocześnie wyrazem stronnictw, jakie istnieją wśród polskiej emigracyi w Stanach. Właściwie są tam tylko 2 stronnictwa główne, tj. Zjednoczenie katolickie i Związek narodowy. Zjednoczenie jest partyą demokratyczno-katolicką, konserwatywną, umiarkowaną, że się wyrażę po naszemu. Związek narodowy jest partyą demokratyczno-narodową, liberalno-radykalną. Wspomniana wyżej Unia polska jest właściwie odłamem Zjednoczenia, powstałym z pobudek osobistych raczej niż zasadniczych; dlatego też mniemamy, że rychło przyjdzie do ponownego połączenia się tych pokrewnych pierwiastków, czego wobec wzmagającego się liberalnego radykalizmu wśród Polonii amerykańskiej życzyćby sobie należało. Antagonizm między temi partyami jest wielki, obie w większym lub mniejszym stopniu grzeszą skrajnością i przesadą swych poglądów. Być może, że ten sposób walki, zwłaszcza dziennikarskiej, jest w guście amerykańskim; Europejczyków on razi i wydaje się nienaturalnym.

Więcej umiarkowania, więcej względności, pobłażliwości wobec przeciwników — nie mówimy, wobec złych zasad — przydałoby się wśród Polonii amerykańskiej. Dziś spotykamy tam wszystkie echa naszych europejskich antagonizmów i waśni, tylko znacznie spotęgowane. „Biały“ i „czerwony“, „stańczyk“ i „radykał“, „klerykał“ i „liberalny“ wszystko to znajdujemy i za oceanem. Brakuje jedynie stronnictwa arystokratycznego; jest tylko demokracya, ale demokracya w części niewyrobiona jeszcze, często niedojrzała. Stąd przesadne frazesy, patetyczne dytyramby, zwłaszcza patryotyczne, są na porządku dziennym i olśniewają jeszcze ludek prosty, uczciwy i wierzący, wiodąc go pod komendę bezwyznaniowych agitatorów, zapaleńców i krzykaczy. *Tout comme chez nous.* Przywódcy liberalno-radykalni, niechętni wpływom duchowieństwa na lud, uderzają ustawicznie w bębenek patryotyczny, gromadzą

skarb narodowy, odsyłany do Rapperswylu, skąd partya radykalna w Galicyi otrzymuje zasiłki na agitacye i publikacye agitacyjne.

Broń tego obozu wobec przeciwników ta sama, co na starym lądzie: kalumnie, oszczerstwa, zarzuty zdrady, wstecznictwa, duchowej niewoli, klerykalizmu, chciwości — oto pociski rzucane co chwila z armat radykalno-bezwyznaniowego sanhedrynu. Skutek ten sam, co u nas. Złowiony na wędkę patryotycznych frazesów prostaczek zaczyna wierzyć swym przodownikom, wierzyć ich oszczerstwom, posądzać rzeczywiście ludzi przeciwnego obozu o niecne czyny i zamiary, tracić zaufanie do duchowieństwa, naturalnego tego ludu przewodnika. W takiem zaś usposobieniu się znajdując, bezwiednie schodzi na drogę herezyi i odszczepieństwa. Zbyt wiele posiada wiary, aby się stał bezwyznaniowym jak przywódcy, dlatego nie mając zaufania dla prawowitych kapłanów, wierzy wichrzycielom w kapłańskiej sutannie, a wierzy tem chętniej, że ci apostaci znajdują poklask i uznanie u radykalnych menerów, a przytem występne swe życie, niesubordynacyę i zuchwałość wobec władz kościelnych umieją zamaskować udaną dbałością o dobro ludu i gorącym patryotyzmem, kary zaś kościelne potrafią zawsze przedstawić jako tyranię nieznośną obcych władz kościelnych. Wiedzą oni, jak trafić do ludu: przybierają pozę męczenników i posiadają w wysokim stopniu sztukę grania na nerwach zwłaszcza kobiet. Odszczepieńczą ich robotę ułatwia wielka ilość sekt protestanckich, istniejących w Północnej Ameryce, a nadto zupełna niezależność Kościoła od państwa.

Tą drogą powstał w Stanach Zjedn. schyzmatycki Kościół polski, który wypowiedział posłuszeństwo i biskupom i papieżowi. Publikowana w ostatnich czasach odezwa dwunastu polskich księży-odszczepieńców tchnie taką nienawiścią do katolicyzmu, że nie powstydziłby się jej najzacieklejszy sekciarz z XVI. wieku. Rynsztunek dowodowy ten sam, co u Lutra — nawet o Joannie papieżycy nie zapomniano. Na szczęście, ten nowy Kościół niezbyt wielu liczy wyznawców: 3 parafie w Chicago, Buffalo i Cleveland. W Chicago np. 1.200 dusz zalicza się do nowego Kościoła. Księża, stojący na jego czele, w części nawet święcenia mają nieprawne, bo otrzymali takowe od starokatolickiego biskupa Villata. Dziś prozelitów robi ta polska schyzma mało. Z tem wszystkiem cała ta sprawa, aczkolwiek nie groźna, w każdym razie zaszkodziła bardzo reputacyi społeczeństwa polskiego w oczach katolików amerykańskich.

Posiada amerykańskie społeczeństwo polskie także i partyę socyalistyczno-anarchistyczną, ta jednak nie znajduje na szczęście gruntu pod nogami. Robotnik polski ma się w Stanach Zjednoczonych nieźle; jest on zabezpieczony na wypadek choroby, zabezpieczoną jest i rodzina na wypadek jego śmierci, więc też nie daje się chwytać na lep mrzonek złotej przyszłości, tem bardziej że ożywiony on bywa gorącą miłością swej narodowości. Stąd też zaledwie około 100 familij może naliczyć ta partya.

Każde z wspomnianych powyżej stronnictw ma swoją prasę: zazwyczaj jeden lub parę tygodników; trzy główne stronnictwa mają nadto osobne dzienniki. Organem urzędowym „Zjednoczenia“, partyi najsilniejszej, jest tygodnik *Wiara i Ojczyzna,* od 1 stycznia r. 1897 wychodzący pod tytułem *Zjednoczenie;* dziennikiem tej partyi jest *Dziennik Chicagowski,* który abonentów liczy około 7.000. Redaktorami tych pism są pp. St. Szwaykart z Galicyi i Kaź. Neumann z Poznańskiego. *Dziennik Chicagowski* drukuje się w Spółce Wydawniczej polsko-katolickiej, instytucyi bardzo ważnej dla naszej sprawy, gdyż prócz gazet wspomnianych wydaje ona wszystkie dzieła szkolne, wiele książek do czytania, nabożeństwa i t. d. Spółka będąca towarzystwem akcyjnem posiada prócz znacznej drukarni własny dom, wartości co najmniej 50.000 dol. Drugim dziennikiem polsko-katolickim jest *Polak w Ameryce,* wychodzący w Buffalo, a wydawany przez ks. dziekana J. Pitassa Ślązaka. Jest to organ półurzędowy „Unii polskiej“, pismo konserwatywne, cięte, głośne ze swej walki zagorzałej z pismami liberalno-radykalnemi. Liczy 4.000 abonentów. Do pism konserwatywno-katolickich zaliczają się nadto tygodniki: *Górnik* wychodzący w Filadelfii, *Polonia* w Baltimore, *Polska w Ameryce* w Cleveland.

Stronnictwo patryotyczno-radykalne rozporządza niemniejszą ilością pism. Urzędowym organem „Związku narodowego“ jest tygodnik *Zgoda,* liczący 10.000 abonentów; wychodzi w Chicago. Dziennikiem zaś tej partyi jest *Kuryer Polski* wychodzący w Milwauke, wydawany przez senatora stanu Wisconsin, Kruszkę. Barwa tych pism jest najwięcej zbliżona do *Nowej Reformy* lub *Kuryera Lwowskiego.* Do liberalnych pism zaliczyć trzeba tygodniki: *Gazeta Nowojorska* i *Echo,* wychodzące w Buffalo. Inspirowanym przez stronnictwo liberalne jest tygodniowy organ dla młodzieży: *Sztandar,* wychodzący w Chicago. Socyaliści mają też swój tygodnik p. t. *Ameryka,* wychodzący w Toledo (stan Ohio). Pełen żółci, jadu i nikczemnych paszkwilów na Kościół ka-

tolicki i duchowieństwo jest organ polskich odszczepieńców od Kościoła p. t.: *Głos ludu*, wychodzący w Buffalo.

Opis społeczeństwa polskiego w Ameryce byłby niekompletny, gdybyśmy zamilczeli o jego idealnych dążeniach i planach na przyszłość. O partyi narodowo-liberalnej wiemy, iż nadsłuchując rychłoli zabrzmi wolności dzwon, gromadzi skarb narodowy, złożony w zamku Rapperswylskim. Stoi ona w ścisłym związku z kierownikami ruchu radykalnego w Galicyi i szumnemi manifestacyami patryotycznemi stara się budzić ducha narodowego wśród ziomków. Byłoby kłamstwem i śmiesznością zaprzeczać patryotyzmu partyi demokratyczno-katolickiej w Ameryce, jak to jej zarzucają pisma radykalne. Nie może ulegać żadnej kwestyi co lepiej podtrzymuje polskość: czy szumne manifestacye patryotyczne, czy też polska szkoła wyznaniowa, zwalczana przez radykałów — co bardziej pożyteczne dla sprawy polskiej: marzenia o nieuchwytnych, choćby najszlachetniejszych celach, czy też zrealizowanie celów bliższych a korzystnych dla społeczeństwa, rozumna praca organizacyjna. Dowodów tej pracy złożyło stronnictwo katolicko-polskie bardzo wiele; wspominamy o jednym mogącym mieć większą doniosłość w przyszłości. Polscy prawie wyłącznie akcyonaryusze zakupili, jak wiadomo, w Kalifornii kopalnię złota i robią na niej niezły interes. Nie osobiste zyski mieli na oku inicyatorzy tej sprawy, jak Modest Maryański i lekarz Midowicz; im chodzi głównie o pozyskanie środków do założenia Banku polskiego w Ameryce. Środki te spodziewają się pozyskać przy korzystnej sprzedaży rzeczonej kopalni. Bank polski mógłby nietylko podnieść przemysł polski, ale zarazem posłużyć do systematycznego osadnictwa polskiego w warunkach dla narodowości najkorzystniejszych. Istnieje bowiem zamiar zakupienia pustych i niezamieszkałych obszarów gruntu w stanie Oregon, cieszącym się najlepszymi warunkami klimatycznymi, w tym celu, aby tam skierować prąd emigracyjny polski. Przy współudziale Banku możliwą byłaby parcelacya tych gruntów, możliwem zagospodarowanie się nawet dla ubogich emigrantów polskich — mógłby powstać czysto polski kraj za Oceanem. Dałby Bóg, aby te plany rychło się urzeczywistniły; byłoby to nietylko wielką korzyścią dla społeczeństwa polskiego w Ameryce, ale dla społeczeństwa polskiego w ogólności, tracącego tysiące ludzi wskutek emigracyi nierozumnej. Ponieważ przeludnienie kraju naszego jest faktem niezbitym, ponieważ nie można myśleć o tem, aby przez podniesienie szybkie przemysłu dać zarobek ubogiej ludności, emigracya

jest koniecznością nieuniknioną. Choćby i z tych względów stosunki amerykańskie wymagają baczniejszej uwagi i większego zainteresowania ludzi dobrze myślących i dbałych o dobro społeczne.

Dr. Kazimierz Krotoski.

Teozofowie w Berlinie.

Znamiennym objawem czasów obecnych są niezawodnie teozofowie, o których *Przegląd* już pisał w swoim czasie i donosił, jak zdobywają sobie, głównie we Francyi, zwolenników. Ale czas leci, a niedorzeczne *Theosophical Society* odpowiada widocznie nastrojowi pewnych umysłów także i w Niemczech, skoro w ostatnim roku poszczycić się mogło nowemi zdobyczami nad Spreą.

Pod przewodnictwem pani Katarzyny Alicyi Tingley, przybyło z Ameryki do Berlina grono przedstawicieli teofizmu czyli tak zwani „krzyżowcy", celem zapoznania publiczności niemieckiej z istotą i dążeniami teofizmu.

Na pierwszym wieczorze, który w domu przy Wilhelmstrasse, 18, zgromadził setkę Berlińczyków, żądnych widzieć i słyszeć krzyżowców, przywitała pani Tingley zgromadzonych mową, pełną powiewów zefiru, zapachów różanych, wdzięków przyrody wiosennej, uroku, zachwytów i czaru.

Trzeba było patrzeć na ten występ teozofki, jak patrzył naoczny świadek, opisujący go w czeskim piśmie *Naše Doba*: W powłoczystej sukni, z gwiazdą na piersiach, staje p. Tingley przed słuchaczami, żeby ich najprzód słodkim rozmarzyć śpiewem, a potem dopiero przemówić natchnionemi słowami i unieść ich wyobraźnię w krainę poetyckich snów o wiecznej ciszy i rajskim spokoju. Z początku płyną słowa niby szmer harfy eolskiej... powoli wymowa rośnie i rzuca coraz kwiecistsze obrazy, wreszcie... dochodzi do właściwego wykładu nauki teozoficznej. Tu już unosi się śmiałym polotem i swobodnem skrzydłem, jak ptak, co pruje przestworze i mknie w błękit zasiany gwiazdami, ani nie zadaje sobie trudu, żeby do jednego wątku ponawiązywać kawałki myśli, pobranych z różnych głów i nauk różnych, sprzecznych ze sobą. — Tak się odbyła wstępna nauka.

Następnego dnia pięćset osób przyszło słuchać p. Tingley i podziwiać. Na trzeci dzień już powstało niemieckie „Towarzystwo bogo-

mędrców", na którego czele stanął, z zapałem obrany na przewodnika, dr. Franciszek Hartmann, lekarz z Hallein, wydawca czasopisma *Lotusblüthen*.

I o cóż im szło, kiedy zakładali to towarzystwo? Daje na to odpowiedź w piśmie *Die Kritik* Paweł Zillmann, który wsłuchany w słowa Katarzyny Tingley zrozumieć miał myśl teozofów, i na ich prośby opisał wrażenia swe i uczucia owej chwili. Aby przedstawić ludzkiemu sercu rozkosz, jaką odczuł, każe nam iść o rannym świcie pomiędzy drzewa leśnej ustroni, gdzie pierwsze blaski słońca o wschodzie rumienią wierzchołki drzew, ze snu jakby rozbudzonych, gdzie lekki powiew wiatru z przygłuszonym szelestem ociera z kropelek rosy, niby z rubinów i dyamentów, zioła uśmiechnięte, gdzie powietrzne śpiewaki otrzepują skrzydełka z ociężałego snu i zaczynają nastrajać głosy do koncertów, którym towarzyszą harmonijnym wtórem wiotkie liście na drzewach i trawki na ziemi — słowem, gdzie wszystko przemawia do serca słowami czystości i piękna. Tam ogarnia człowieka zachwyt błogi, tam niknie wszystko, co dźwiga na czole szkaradne piętno zła, co w człowieku gra na strunach samolubstwa, co tchnie żądzą osobistego bytu. W piersiach wytryskuje zdrój miłości bez końca i pokoju świętego; nakoniec nadlatują owe rzadkie chwile, niby najpożądańsi goście w dniach ziemskiego żywota, chwile prawdziwego szczęścia i zapomnienia o własnej osobistości pełnej przywar, chwile zanurzenia w uczucia powszechnej miłości, którą tętni każda żyłka wszechświata. Krajobraz przestaje spoczywać w ślepej i niemej martwocie; zwierzęta, rośliny, kamienie zaczynają z człowiekiem rozmowę: człowiek spostrzega w sobie bóstwo, zanurzone w ciele, wie, że jest jednem i tem samem, co wszechbyt, co treść wszelakich zjawisk przyrody, co owo wielkie „jest" wszechświata, i świadomość taka podnosi duszę i porywa ją, aby rozwinęła istotny swój i boski zapas sił. Ta świadomość przenika i rozświeca ciało, jak światło słońca oświeca powietrze, i rozbóstwia całego człowieka, tak, że z niego padają świetlne promienie i rozanielają wszystko, co otacza człowieka i wszędzie niecą blaski boskiej samowiedzy i wiodą szlakami przestworów w bezbrzeżną otchłań wszechbytu w nicestwie. I stanie człowiek jeden przy drugim już nie jako człowiek przy człowieku, ale jak dusza przy duszy; jedna drugą podpiera i ulatnia, aż owa jedność, która przepełnia wszystko, daje obu odpoznać, że niema ich dwóch, ale że obie są jednem, że tem są wszechjestestwem, którem jest wszystko, co tworzy jednę pełnię bytu, miłości, pokoju...

I takimi ludźmi, którzy przez uświadomioną wszechjednię i wszechłączną moc miłości rozwijają tę samowiedzę w ukochanem społeczeństwie ludzkiem — to „krzyżowcy-bogomędrcy". Ich sława przeleciała morza; czekaliśmy, wyznaje p. Zillmann, na nich, jak na bogów, i znaleźliśmy w nich w najwznioślejszem pojęciu ludzi, nad wyraz miłych ludzi. Ale nie takich ludzi, jakich codzień spotykamy po ulicach; zupełnie coś innego w nich spostrzegliśmy, niż co przywykliśmy uważać za człowieka. Nie ubiór ich wyróżniał, nie odrębny żaden pokarm albo napój, nie żadna przesada. Dalecy od dziwactwa jednę cechę posiadają, która ich stawia ponad zwykłych śmiertelników: wywierają wpływ nieprzeparty na umysły, albo, jak można wyrazić technicznem słowem okkultyzmu, rozpromienili swoją indywidualność. To nie czary, nie uroki, nie suggestya albo halucynacya, nie mrzonki, ani nie igraszka wyobraźni; to sprawa najprostsza: jak w pobliżu krzaku róż pachnie powietrze, woń wszystko przenika, przyjemnie nasyca i napawa zmysły, tak w pobliżu każdego człowieka można pozostawać pod wpływem jego umysłu i serca. Jeżeli to umysł szlachetny, serce czyste i nieskalane samolubstwem, wtedy ulegamy wpływowi wzniosłemu i czujemy żar, który wypala w nas zachcianki samolubne. Takie umysły i serca zdobią „krzyżowców".

Od długich lat wmyślili duszę w samowiedzę bóstwa, którą Grecy nazwali Θεωσοφια; innego środka nie używali... a uczuli, jak przyrastają im skrzydła polotu i nadludzkiej samowiedzy. Nic więcej nie zdobyli; nie wymyślili nowych dogmatów, nie założyli nowej sekty — weszli w stan zachwytu, który naokoło rozlany zmienia ziemię w niebo, człowieka w boga.

Na czele ich w Nowym Yorku stanęła Helena Bławacka, córka Piotra Hahna. Ta prorokini, urodzona roku 1831 w Ekaterynosławiu, prawie dzieckiem już wyszła za barona Bławackiego, sześćdziesięcioletniego starca. Po niedługiem pozyciu z nim, uciekła w 17-ym roku życia na Wschód. Szukała tam nie tyle dla serca pociechy, ile strawy dla rozbujałej wyobraźni, a że szukała usilnie, więc znalazła ją, jak mówi, w Tybecie u mistrzów buddyckich. Bliższy znawca nauki buddyjskiej musi wstrząsnąć ramionami, kiedy słyszy, że buddyzm natchnął baronowę Bławacką; w jej poglądach, raczej mrzonkach, tyle widać nauki rzeczywiście buddyjskiej, ile rapsodyi Homera w dwumianie Newtona. Ten Tybet ze swoimi buddystami coś tak wygląda, jakby ostatnia ucieczka dla każdego szerzyciela dziwacznych nowin. Wszak niedawne któryś oszust ogłosił niby to żywot Chrystusa Pana, zna-

leziony rzekomo w Tybecie pośród stosu rękopisów buddyjskich. Oczywiście ten żywot prześcigał w naturalizmie Straussów i Renanów. Ale wieść zaciekawiła poczciwego lorda, który z angielską flegmą odbył podróż do Tybetu, aby oglądnąć nieoceniony rękopis. Znalazł wprawdzie kraj, zwany Tybetem, znalazł także klasztór mnichów buddyjskich, w którym miał spoczywać ów opisany stos rękopisów: ale ledwo zaczął zapytywać o podróżnego, który dnia tego a tego przeglądał te rękopisy i odpisał potem żywot Chrystusa, mnisi wypatrzyli się na Anglika zdziwionemi oczyma, bo odkąd stał ich klasztór, żaden z nich nie widział poodobnego rękopisu, ani żaden Europejczyk nie przestąpił progu ich pustelni. Więc Anglik sierdzistem pismem ogłosił światu, że przemarnował tysiące funtów szterlingów, aby na własne oczy widzieć pustą bańkę z mydła, wydmuchaną przez pospolitego oszusta.

Ale ostatecznie, może baronowa Bławacka nie należy do oszustek, może coś słyszała od buddystów tybetańskich, czego nie zrozumiała, i uroiła sobie swoją naukę. Mniejsza o to, skąd ją posiada; dość, że wzbogacona skarbami nowej wiedzy przepłynęła ocean atlantycki i założyła roku 1875 w Ameryce, wraz z pułkownikiem Olcottem, nową naukę, której świat słuchał, jakoby prawdy, wyłożonej na tle buddyjskiego panteizmu.

Ten świat, zasłuchany w naukę, osnutą na tle buddyjskiego panteizmu, to przecież widok ciekawy! Budda o żadnym teizmie nie powiedział słowa, tem bardziej nie uczył panteizmu; na taki szczyt mądrości wstąpić może tylko bramanin, śmiertelny wróg buddaizmu. Ale cywilizowana Europa wraz ze swoją córą Ameryką, wcale nie rozróżnia bredni buddyjskich od marzycielstwa bramińskiego, więc słucha poważnie Bławackiej z Olcottem, ciekawa, co też za naukę wyłożą na tle buddyjskiego panteizmu?

Zachęcony podziwem uczonych słuchaczy, szerzył Olcott swoją naukę; nakoniec wydał po angielsku katechizm tej nauki, przełożony wkrótce na język niemiecki (1877 r.), a sama baronowa Bławacka rozszerzała swoje poglądy czasopismami; od r. 1887 wydawała w Londynie ohydę: *Lucifer, the Light bringer*, w Paryżu: *La revue théosophique* i *Lotus bleu*. Oczywiście, kobieta próżna musiała o sobie samej dużo pisać, więc nie wystarczały jej pisma powyższe; samochwalstwu poświęciła obszerniejsze pismo *Isis unveiled* i mniejsze prace *The secret doctrine, the syntesis of science, religion and philosophy* i *The key to Theosophy*.

W r. 1890 duch Bławackiej uleciał z cielesnej powłoki. Jej na-

stępca w przewództwie nad „bogomędrcami“, W. Q. Judge zstąpił do Nirwany w kwietniu 1896 r. Odtąd towarzystwo powierzyło ster panu E. T. Hargrove. Pod jego rządami amerykańska macierz towarzystwa kwitnie, rozsyła swoich krzyżowców po wszystkich częściach świata i zakłada filialne towarzystwa niezależne, połączone tylko i przejęte zgodną samowiedzą i miłosną wszechjednią, w Anglii, Szkocyi, Irlandyi, Holandyi, Szwecyi, nakoniec i w Niemczech. W Paryżu liczą już członków sto tysięcy z górą, posiadają świątynię główną w muzeum Guimet i arcykapłana w osobie tajemniczego pana Horiu-Toki.

Do czegóż dążą „bogomędrcy“ w dzisiejszym stanie rozwoju?

Na to pytanie dają ich wielbiciele w odpowiedzi długi ciąg dźwięcznych słów i wypieszczonych zwrotów, z których po długim mozole można wycisnąć treść bardzo mglistą: Chcą „bogomędrcy“ wprowadzić na ziemi królestwo miłosnej jedni; z tą myślą każą członkom swojego stowarzyszenia wytężać siły, aby każdy zapomniał sam o sobie, a żył wspólną samowiedzą i żądzą błogiego pokoju: więc nastanie doba szczęścia, która wstawi każdego mężczyznę i każdą kobietę, jak ogniwo przy ogniwie, w jeden łańcuch żywy, i zatrze między nimi wszelkie możebne różnice, aby wszystkich spleść i zespolić w miłosną jednię wszechłączni, we wspólne wszechrodzeństwo wszechbraci i wszechsióstr.

Do tego kresu rajskich nadziei, jakąż drogą mają dojść wszechsiostry z wszechbraćmi? Widzą przed sobą drogę pracy naukowej; przynajmniej twierdzą, że ją widzą, i czarodziejskim słowem: oświata! zręcznie zarzucają sieci na umysły. Chlubią się, że ich nauka przedstawia najzdrowszy owoc rozkwitłego stanu wiedzy, że raz nakoniec pokazuje całą treść prawdy, rozbitej po wszystkich wyznaniach teologicznych i księgach filozoficznych, że stanowi ostatnie słowo darwinizmu i ewolucyonizmu. A przytem podnoszą piętno starożytności swojej nauki; widzą jej początki w najdawniejszej dobie dziejowej — tam, w kolebce oświaty, na uroczych równinach Gangesu; zasypują słuchaczy nazwiskami swoich poprzedników, zaczynając od indyjskich pustelników, a kończąc na Schoppenhauerze, Nietschem, Tołstoju i t. d. Aby z dzieł pozostałych po tych wszystkich „bogomędrcach“ wysnuć jedną myśl przewodnią, trzeba zgłębić wszelakie wyznania religijne, wszelkie systemy filozofii, wszystkie gałęzie umiejętności od brzasku oświaty w dobie zamierzchłej po dzisiejszy rozkwit nauk i wynalazków; trzeba nawoływać głośno i natarczywie narody do takiej pracy, i popierać

każdy krok, stawiany na drodze postępu przez badaczy praw tajemniczej przyrody i uśpionych w człowieku sił duchowych. Na podwalinach przyrodoznawstwa wznieść trzeba nakoniec psychologię, teozoficzną, oczywiście „najlepszą ze wszystkich i jedynie prawdziwą", która pozwala w tym żywocie nawiązywać stosunki ze światem zagrobowym. Ze zasad tej psychologii, o ile zbadali i wyłożyli ją dotychczas krzyżowcy, wynika, że człowiek powstał ze siedmiu żywiołów, w części cielesnych, w części duchowych. Z takiego bogactwa swoich składników człowiek powinien korzystać, i najprzód je zbadać, a potem w świetle wyłonionem z własnej samowiedzy, przeniknąć wszelkie tajemnice i wyjaśnić wszelkie zjawiska, nad któremi spirytyści darmo sobie głowę suszą wraz z magami i czarnoksiężnikami wszelkiego rodzaju.

Więc krzyżowcy opowiadają o różnych zjawiskach nadziemskich i powtarzają swoje rozmowy, prowadzone z nieznajomymi nauczycielami, którzy nie wiadomo jak i skąd stają przed nimi na dany znak tajemniczy. Tak np. baronowa Bławacka miała tylko zadzwonić w czarodziejski dzwonek... już jej nauczyciel przybywał z Tybetu do Londynu albo Paryża w „astralnem ciele". Że listy powietrzem ponad rzeki i góry latały światami, i inne podobne hokus pokus — to już drobiazgi względem ważniejszych przygód, o których świadczą pisma, tak niezbicie wiarogodne, jak: *Wahrheits-Leuchter, Light* albo *The Irish Theosophist.*

Drugą także ponętę, prócz stosunków zaświatowych, ukrywa w sobie psychologia „bogomędrców": prowadzi do wniosku, że człowiek nie potrzebuje poskramiać w sobie żądz ani nałogów; nie dość tego, że nie potrzebuje, ale ani nawet nie zdoła, bo żądze i nałogi, cały duchowy nasz ustrój ostatecznie nie od nas zależy, tylko wypływa ze stosunków ustroju ciała, wpływów wszelakich z zewnątrz, i to nietylko doznanych w tym żywocie teraźniejszym, ale także wywieranych na nas w żywotach przeszłych. Albowiem bogomędrcy wierzą w „przeroździwo dusz" *(Reincarnation)*, pojęte przez nich podobnie do metempsychozy chaldejskiej i greckiej.

Cóż będzie ze społeczeństwem, jeżeli ludzie przestaną miarkować zdrożne zapędy czy zachcianki, a każdy zacznie dogadzać chuciom i żądzom? Nie nastanie wcale jaskinia zbrodniarzy, o nie! Przeciwnie, krzyżowcy wielki nacisk kładą na to, że wtedy zapanuje na świecie nietylko braterstwo ludów, ale także serdeczna zgoda warstw społecznych, i przez to obiecują, że ich nauka rozwiąże kwestyę socyalną.

Właśnie Francuzów podbili sobie tą sztuką, że przepowiedzieli blizką już równowagę społeczną i powszechny dobrobyt, wobec którego socyalizm z widowni ustąpi.

Tyle obiecują na tym świecie, a na przyszłym? Nirwana, ów stan najwyższego i najduchowniejszego szczęścia, w którem panuje wewnętrzny spokój, ustaje wszelka namiętność do życia, niknie wrzawa walki, cichną waśnie i spory, mija strach, gasną gniewy i żądze — ta Nirwana wieńczy dzieło wyobraźni teozoficznej, tworzy przystań niezamąconego pokoju, stanowi kres drogi, po której „bogomędrce“ poprowadzą przyszłe pokolenia.

A ta droga, dodaje dobitnie pan Zillmann i wbija to w pamięć, nie każe nikomu odstępować od zasad swojej wiary, albo zaniedbywać obowiązków zawodu. Jednemu tylko popędowi stawia tamę: wybujałemu marzycielstwu i porywczym zapędom wyobraźni. Aby zostać „bogomędrcem“, trzeba zstąpić z obłoków i chodzić w pokoju swoim po gładkiej podłodze, bez niebezpiecznych wycieczek na karkołomne szczyty. Im dzielniejszym krokiem wstąpi na tę drogę człowieczeństwo, tem prędzej ból i łzy znikną z tej ziemi i zaświta wieczna pogoda w blaskach jasnego słońca na błękitach bez chmurki. A to nie utopie! To nadzieje niezawodne, które już niebawem się spełnią i przekonają niedowiarków, że przedwcześnie składali usta do uśmiechu, pozwalając sobie wątpić o przepowiedniach p. Zillmana. Ten pan Zillmann, to nie byle kto! Wszak wydaje on najciekawsze w świecie dzieło z zakresu metafizyki, psychologii i okkultyzmu: *Metaphisische Rundschau,* do którego nawet profesorzy uniwersytetu pisują, z którego także rabini mogą zaczerpnąć niejedną wiadomość nader drogocenną! Więc każdy uwierzyć ma w przepowiednie rychłego już raju na ziemi i do serca brać słowa, któremi *Die Kritik* kończy swój opis „Towarzystwa bogomędrców“: „Kto chce wziąść udział w pracy naszej i przyspieszyć dobę szczęścia, niech zostawi przed progiem naszych domów uczucia nienawiści, niechęci i wszelkie poczucie osobiste, i niech wstąpi do nas na robotnika w winnicy miłości i samowiedzy. Kto dla społeczeństwa ludzkiego pracuje w duchu zaparcia siebie i miłości boskiej, ten jest jednym z naszych, nasz prawdziwy brat — bogomędrzec“.

Widać z tych słów, że sprawozdawca *Krytyki* zupełnie przystał na wiarę teozoficzną... Winszować „krzyżowcom“ ich zdobyczy! Zobaczymy, czy i gdzieindziej tylu pozyskają zwolenników, ilu Berlińczyków przyjęło ich hasło. Bo na berlińskich zwycięztwach nie poprzestali

„krzyżowcy“; ruszyli dalej w świat na Mnichów, Wiedeń i t. d., nawet w Afryce i Azyi liczą na nowe podboje; może i do nas zawitają. Czy znajdą tu wiarę? Nie wiadomo, ale można tego oczekiwać, jeżeli tyle hałasu sprawiły warszawskie eksperymenta włoskiej spirytystki. To przecie dziwne, że między Niemcami, zimnymi i trzeźwymi, znaleźli posłuch i wiarę!

K. C.

Druk ukończony 30 kwietnia 1897 r.

O chlebie i winie do Eucharystyi używanem.

(Studyum historyczno-archeologiczne).

Zdawałoby się, że kwestya materyi sakramentu Eucharystyi została rozświecona i rozstrzygnięta ostatecznie raz na zawsze ku powszechnemu zadowoleniu na soborze florenckim, który Grekom nietylko pozwolił, ale wprost nakazał używać do mszy chleba kwaszonego [1]. Tymczasem, jak w wiekach średnich, tak i dzisiaj jeszcze, niektórzy teologowie greccy przedstawiają sprawę tę w całkiem fałszywem świetle, aby w ten sposób powiększyć przepaść, dzielącą Kościół wschodni od zachodniego i udaremnić szlachetne zabiegi dwóch ostatnich papieży, starających się przyciągnąć odszczepionych braci do jedynej owczarni Chrystusowej jużto wyniesieniem świętych greckich na ołtarze całego Kościoła, już przez encykliki mądrości i miłości pełne. I tak głosi grecko-schizmatycki biskup Zary dr. Milaś w dziele [2] wydanem w r. 1881, że papież rzucił na Kościół wschodni klątwę z powodu używania do mszy chleba kwaszonego [3].

[1] Decretum unionis: „Definimus... in azymo sive fermentato pane triticeo corpus Christi veraciter confici; sacerdotesque in altero ipsum Domini corpus conficere **debere**, unumquemque scilicet juxta suae ecclesiae sive occidentalis sive orientalis consuetudinem". Denzinger, *Enchiridion symbolorum et definitionum*. Wirceburgi 1856, str. 200.

[2] *Slavenski apostoli Kiril i Metodije i istina pravoslavja.*

[3] Tamże str. XXIII. „Papa predao anatemi pravoslavnu crkvu zbog kvasnoga hljeba". Znana jest rzecz, że wysłańcy Leona IX. wyklęli tylko Michała Cerularyusza i jego zwolenników. i że w ekskomunice niema wzmianki o chlebie przaśnym.

Dalej podsuwa Bellarminowi zdanie, jakoby kwestya chleba przaśnego w eucharystyi dotyczyła samej istoty sakramentu [1]. Wreszcie jako dowód, że także łacinnicy dzisiejsi uważają wyłącznie chleb przaśny za ważną materyę eucharystyi, podaje słowa, które gdzieś w jego okolicy miał jakiś ksiądz łaciński wygłosić w czasie kazania z ambony, że „w eucharystyi schizmatyków siedzi sam djabeł“ i poprzeć swoje twierdzenie powagą znanego rzymskiego teologa Perronego [2].

Ale nietylko o chlebie eucharystycznym odgrzewa się stare błędy i zarzuty, tysiąc razy zbite. W ostatnich czasach znany uczony protestancki Adolf Harnack wystąpił z rozprawą, w której stara się dowieść, że pierwotny Kościół odprawiał liturgię mszalną tylko na chlebie i wodzie [3].

Te okoliczności skłoniły mię do przedstawienia rzeczy we właściwem świetle i rzucenia na nią odrobiny światła, także przy pomocy pomników katakumbowych.

Najpierw o naturze chleba eucharystycznego.

U ewangelistów [4] chleb, który Chrystus konsekrował, zwie się ἄρτος, bez wszelkiego innego dodatku. Pod tą nazwą jako zwyczajny, a zwłaszcza ofiarny chleb u Żydów przychodzi tylko chleb pszenny. Z jęczmienia, który pospolicie siano w Palestynie na pokarm zwierząt [5], wypiekali chleb ubodzy [6]; majętniejsi uży-

---

[1] Zdania takiego Bellarmin nigdzie nie wypowiedział. Zob. dobre wyjaśnienie i zbicie tego zarzutu w klasycznem dziele O. Ivana Markoviča, *O evkaristiji s osobitim obzirom na epiklezu.* Zagrzeb 1894, wyd. II. str. 61.

[2] Na str. 99 dopis. 1 pisze, że „zapadnjaci izključivo i samo na priesnome hljebú drže, da je pravilna evkaristija“, a potem dodaje: „Jedan latinski propovjednik kod nas, u našoj dažavi, prije njekoliko godina javno, s crkvene katedre nije se uztezao evo ove grozne rječi iskazati: *In eucharistia schismaticorum ipse diabolus sedet,* i pravdao je ove rječi avtoritetom Perrone!“

[3] Harnack Ad., *Brot und Wasser: die eucharistischen Elemente bei Justin,* w Gebhardta i Harnacka, *Texte und Untersuchungen zur Geschichte der altchristlichen Literatur.* Leipzig 1891. Bd. VII, Heft 2. Porówn. też *Theologische Litteraturzeitung* 1892, str. 373—378.

[4] Mat. 26, 26: ἐσθιόντων δὲ αὐτῶν, λαβὼν ὁ Ἰησοῦς ἄρτον. Porówn. Mar. 14, 22; Łuk. 22, 19.

[5] III. Księg. Król. 4, 28.

[6] Exod. 29, 2.

wali go wyjątkowo w czasie drożyzny lub na przednowku [1]. Od zwyczajnego chleba odróżnia się taki chleb bliższem określeniem „jęczmiennego“, jak to widzimy np. przy opisie cudu nakarmienia rzeszy na puszczy [2]. Z tego wynika, że Chrystus mandatem: „to czyńcie na moją pamiątkę“ [3], określił, jako materyę ważną eucharystyi wyłącznie chleb pszenny, bo tylko taki a nie inny trzymał przy liturgii wieczernikowej w ręce. Msza odtworzona na innym chlebie nie byłaby już mszą na podobieństwo mszy Chrystusowej, gdyż odstępowałaby od niej w rzeczy istotnej.

Ale czy takie tłumaczenie rozkazu Chrystusa nie jest za ciasne i czy nie prowadzi ono do konkluzyi, że materyą ważną eucharystyi jest już nie byle jaki chleb pszenny, ale wyłącznie niekwaszony, dlatego, że według sprawozdań apostołów Zbawiciel odprawił mszę św. „w pierwszy dzień przaśników“ [4], po prawdziwej rytualnej uczcie paschalnej, a więc na chlebie przaśnym?

Bynajmniej. Użycie chleba przaśnego było czysto przypadkowe, spowodowane wyłącznie okolicznością dnia celebry, który przypadł na chwilę, kiedy w domach żydowskich nie było już innego chleba jak niekwaszony [5]. Jak tedy Grecy, mimo użycia przez Chrystusa chleba przaśnego, konsekrują jako materyę ważną chleb kwaszony, tak znowu Kościół łaciński mógłby był z racyj symbolicznych wprowadzić u siebie używanie przy mszy chleba przaśnego, choćby nawet Zbawiciel był odprawił liturgię wieczernikową na chlebie kwaszonym. Kwas bowiem nie zmienia istoty mąki i nie odbiera chlebowi miana i natury chleba zwy-

---

[1] Sędziów 7, 3; IV. Król. 4, 42; Ezech. 4, 9. 12.

[2] Jan 6, 9. 13.

[3] Łuk. 22, 19; 1 list do Korynt. 11, 24.

[4] Mat. 26, 17; Mar. 14, 12; Łuk. 22, 7 i nast.

[5] Porówn. Corblet Jules, *Histoire dogmatique, liturgique et archeologique du Sacrement de l'Eucharistie.* Paris 1885, t. I, str. 173: „L'exemple de Notre-Seigneur, instituant l'Eucharistie avec du pain azyme ne pouvait pas être décisif, attendu que le choix du pain ne fut point dicté par sa volonté, mais par la circonstance du jour. Jésus-Christ a simplement ordonné de consacrer du pain: or, l'azyme et le pain fermenté méritent tous deux cette qualification“.

czajnego. Że takie było także zapatrywanie apostołów i że uważali oni szczegół konsekrowania przez Chrystusa chleba przaśnego za rzecz podrzędną i czysto przypadkową, wywołaną jedynie tem, że na stole nie było innego chleba, wynika stąd, iż żaden ze sprawozdawców ewangelicznych nie kładzie nacisku na to, iż był to chleb niekwaszony. Także św. Paweł, opisując ustanowienie eucharystyi powiada poprostu, że „Pan Jezus, nocy, której był wydan, wziął chleb“ (ἄρτον)[1], bez dodatku czy był przaśny czy kwaszony. Nie byłby zaś, mojem zdaniem, pominął tego szczegółu, ale owszem byłby go musiał podkreślić z naciskiem wobec chrześcijan korynckich, nawróconych w znacznej części z pogan i nieznających paschalnych zwyczajów żydowskich, gdyby go był uważał za niezbędny i miarodajny dla całego Kościoła. Z tego wynika także, że apostołowie baczyli tylko na to, aby do mszy mieli ἄρτον, że ów chleb, który wiernym w Jerozolimie „łamali po domach“[2], był chlebem pszennym. Dopiero okoliczności miejsca i czasu decydowały o tem, czy ten mszalny chleb był kwaszony czy też przaśny. Ile razy mianowicie celebra przypadała na czas świąt wielkanocnych i odprawiała się w domu chrześcijanina nawróconego z Żydów, tylekroć konsekrowali z pewnością dla przykładu Chrystusa chleb przaśny; w innych zaś miejscach i czasach używali chleba, jaki był pod ręką, czyli jaki wierni przynosili na agapy i na nieodłączną od nich w pierwszym wieku liturgię eucharystyczną. Otóż tu zaznaczyć trzeba, że najzwyczajniejszym chlebem u Greków i Rzymian, podobnie jak u Żydów, był chleb pszenny[3], zwany u autorów klasycznych, tak jak w Piśmie św., ἄρτος, *panis* — czasem tylko z dodatkiem πύρινος ἄρτος, πυρνόν, σταιτίτης, σίτινος, *triticeus*. Chleb z mąki jęczmiennej był rzadki, a rzadszy jeszcze z innego

[1] 1. list do Kor. 11, 23.

[2] Dzieje Apost., 2, 46; 2, 42.

[3] Porówn. Blümner Hugo: *Technologie und Terminologie der Gewerbe und Künste bei Griechen und Römern.* Leipzig 1875, 1. Bd. str. 68 i 77. Na stronie zaś 57 pisze: „Was nun die Verarbeitung des Mehles anlangt, so machte das Alterthum insofern einen durchgreifenden Unterschied, als nicht jedes Mehl zu Brot verbacken wurde, sondern in der Regel nur Weizenmehl. Wenn es sich also um das Backen handelt, so ist damit in den meisten

zboża i uchodził tak w Grecyi jak w Italii za pokarm barbarzyńców i niewolników. „Jęczmienny chleb, pisze Pliniusz, który jadali starzy, wyszedł z używania i stał się prawie wyłącznie pożywieniem zwierząt“ [1]. Tak Grecy jak Rzymianie używali dalej chleba kwaszonego ἄρτος ζυμίτης, ζυμήεις, *fermentatus, fermentaticius)* i niekwaszonego (ἄζυμος, *azymus)*. Pierwszy był jednak powszechniejszy [2], jako zdrowszy według mniemania lekarzy, i strawniejszy [3]. Oprócz kwasu dawano też do ciasta sól, oliwę, mleko, pieprz, mak i inne ingredyencye. Nie potrzeba chyba przypominać, że były różne gatunki chleba pszennego. Sporządzony z mąki najprzedniejszej zwał się καθαρός, λευκός, *panis siligineus;* ciemniejszy miał nazwę ἀκάθαρτος, ῥυπαρός, φαιός *panis cibarius, secundus, plebeius, vulgaris.* W starożytności bogatsi obywatele wypiekali chleb u siebie w domu. W Grecyi znachodzimy jednak już w V. wieku przed Chrystusem osobnych piekarzy [4], którzy zaopatrywali potrzeby klasy uboższej i sprzedawali artykuły żywności na rynkach i ulicach. U Rzymian, według relacyi Pliniusza [5], do roku 172 przed Chr. wypiekanie chleba było rzeczą gospodyni lub kucharza. Po tym czasie powstało w stolicy rzemiosło piekarzy i równocześnie ustało, przynajmniej w znacznej

---

Fällen das Backen von Weizenbrot gemeint; das Gerstenmehl aber wurde zu einem einfachen Teige geknetet und in einer Form getrocknet, und das gab die sogenannte μᾶζα, die gewöhliche Nahrung der gemeinen Griechen, welche mit Wasser angefeuchtet genossen wurde“. Porówn. też Marquardta, *Das Privatleben der Römer,* II. Theil. Leipzig 1882, str. 399.

[1] Pliniusz XVIII, 74: „Panem ex hordeo antiquis usitatum vita damnavit quadrupedumque fere cibus est“. Porówn. także Seneki list 18. 10.

[2] Zob. Blümner l. c. str. 58: „Obgleich die Alten ebensowohl gesäuertes als ungesäuertes Brot kannten, so war doch die Mehrzahl des bereiteten gesäuert, da man dies für die Gesundheit zuträglicher hielt, als das ungesäuerte. Nothwendig gehörte also zum Backen die Herstellung des Sauerteiges, ζύμη, ζύμωνα, lat. fermentum“.

[3] Porówn. Pliniusz XVIII, 104. Różne opinie lekarzy o chlebie kwaszonym i przaśnym zestawił Ciampini w rozprawie: *Conjecturae de perpetuo azymorum usu in ecclesia romana.* Zob. w Maffetti'ego *Bibliotheca selecta de ritu azymi ac fermentati.* Venetiis 1729, cap. II, str. 35 i nast.

[4] Zob. Baumeister, *Denkmäler des klassischen Alterthums.* I. Bd. München u. Leipzig 1885, str. 244.

[5] Plin. XVIII, 107.

części, pieczenie chleba w domu. Za czasów cesarstwa piekarnie państwowe dostarczały tylko chleba grubego dla ludu; chleb lepszy wypiekano w piekarniach prywatnych [1].

Zwróciłem uwagę na te zwyczaje ówczesnego świata pogańskiego, bo tłumaczą one, że także u chrześcijan greckich i rzymskich, wyrosłych z ówczesnego społeczeństwa, chlebem zwyczajnym i powszechniej używanym musiał być kwaszony chleb pszenny, choć jadali także przaśny, jak ich współobywatele poganie. Z ostatniego mianowicie szczegółu, że chleb przaśny znachodził się także na stołach pogan [2], wypływa, iż gdyby Kościół był żądał do konsekracyi chleba niekwaszonego, wierni byliby mogli go dostarczać bez trudności i bez zwracania na się uwagi kół niechrześcijańskich. Jako rzecz pewną należy też przyjąć, że chrześcijanie nie kupowali chleba ofiarnego w sklepach pogańskich, ale wypiekali go z wielką starannością u siebie w domu, przynajmniej tam, gdzie na to czas i stosunki pozwalały. Jeśli bowiem już u Żydów i pogan przyrodzone uczucie delikatności domagało się, aby chleby ofiarne sporządzano osobno i z pewnym pietyzmem, toć tem bardziej przypuścić to należy u chrześcijan, którym chleb służył za materyę do uczty najświętszej. Praktyka przeciwna sprzeciwiała się całemu duchowi starego Kościoła, nie mówiąc już o tem, że w niektórych okresach prześladowania była wprost niemożliwa, ponieważ wszystkie artykuły żywności, przywożone na targ, prześladowcy skrapiali wodą lustracyjną, aby je w ten sposób bogom poświęcić. Nadto przyprawiano zwyczajnie chleby targowe jajami i różnemi korzeniami. Wyjątek tworzyły, rozumie się, piekarnie i sklepy chrześcijańskie.

Poznaliśmy zapatrywanie apostołów na materyę chleba eucharystycznego; widzieliśmy dalej, że Kościół mógł żądać i mieć do mszy bez trudności także chleb przaśny. Teraz należy

[1] Porówn. Marquardt l. c. str. 400 i nast.

[2] Porówn. Corblet l. c. t. I, str. 173, gdzie powiada, że w Rzymie za czasów rzeczypospolitej i Antoninów chleb przaśny znajdował się najwięcej na stołach rodzin majętnych, podczas gdy ludność uboższa używała przeważnie chleba kwaszonego.

zwrócić uwagę na czysto historyczną stronę naszej kwestyi i wedle możności rozświecić pytanie, jakiego chleba Kościół faktycznie używał w II. i III. stuleciu i w czasach następnych aż do wielkiej schizmy greckiej. Otóż tu występują wprost przeciwne zdania nawet wśród teologów, historyków i archeologów łacińskich.

Co się tyczy Kościoła greckiego, to utrzymuje ten Kościół, że jego praktyka używania do mszy chleba kwaszonego sięga czasów apostolskich. Nie wątpię o prawdziwości tego twierdzenia ani na chwilę i uważam za bezpodstawną hipotezę Franciszka Macedo [1], jakoby aż do czasów Focyusza oba Kościoły były konsekrowały wyłącznie chleb przaśny. Błędne jednak jest mniemanie tych teologów greckich, według których, nikt nigdy w pierwszych wiekach na Wschodzie nie używał do mszy chleba przaśnego. Wspomniałem już, iż z samej natury rzeczy przypuścić należy, że apostołowie w Palestynie przynajmniej w czasie świąt wielkanocnych konsekrowali chleb przaśny. Wiadomo także, że Maronici i Ormianie, a więc ludy najbliższe Palestyny, konsekrują stale chleb niekwaszony i że niemasz żadnego pewnego dowodu historycznego na to, że tę praktykę przyjęli dopiero w czasie wielkich herezyj chrystologicznych [2]. Koptowie [3] używają do mszy chleba przaśnego przynajmniej w Wielki Czwartek, aby się zastósować do przykładu Chrystusa. Najprostsza tedy rzecz przyjąć, że z praktyki powszechniejszej wyrobiła się na Wschodzie już może w epoce prześladowań praktyka jednolita, która całkiem wyrugowała chleb przaśny, choć nikt z ówczesnych teologów greckich nie miał wątpliwości w ważność

---

[1] Zob. w *Bibliotheca selecta de ritu azymi ac fermentati* cap. III, str. 93—113. Na str. 104 pisze: „Siluit Photius, quia Graeca et Latina Ecclesia simul in Azymo conficiebant".

[2] Schanz Paweł, *Die Lehre von den heil. Sacramenten.* Freib. im Br. 1893, str. 380, pisze: „Auch die Monophysiten und Armenier verwenden Azyma; doch könnte bei ihnen die Verschärfung des Schisma seit dem sechsten Jahrhundert die Einführung der Azyma gefördert haben". Inni odnoszą ten zwyczaj jeszcze w czasy prześladowania. Porówn. Corblet l. c. t. I, str. 164.

[3] Porówn. Corblet l. c. str. 157.

mszy, odprawionej na chlebie niekwaszonym. Fakt, że Kościół łaciński nigdy greckiemu nie uczynił zarzutu, jakoby kiedy był zamienił chleb przaśny na kwaszony, dowodzi w każdym razie, że zwyczaj Kościoła wschodniego jest bardzo dawny [1].

Jak było na Zachodzie? Że w Rzymie nie inaczej zapatrywano się na materyę eucharystyi, jak na Wschodzie, dowodem okoliczność, że Polikarp odprawił koło roku 154, na zaproszenie Aniceta, uroczystą celebrę liturgiczną w stolicy. Jest nawet rzeczą pewną, że nietylko w sprawie materyi sakramentu zgodne wówczas były zapatrywania całego chrześcijaństwa, ale że wogóle w wieku II. a nawet III. o dualizmie kultu i liturgii mowy być nie może. Od gór Kapadocyi i wybrzeży Pontu, od Eufratu i katarakt Nilu aż do kończyn Maurytanii, od stoków Atlasu aż do źródeł Rodanu i Renu, na płaszczyźnie górnej Italii i nad Bosforem, w epoce przedkonstantyńskiej jeden tylko był ryt eucharystycznej służby bożej.

Z pisarzy kościelnych II. i III. wieku żaden *ex professo* nie roztrząsnął naszej kwestyi. Trzech z nich wskazuje dość jasno na pszenicę, jako materyę sakramentu; prócz tego mieści się w kilku innych miejscach pewna aluzya już do chleba przaśnego, już też do kwaszonego. I tak pisze Ireneusz [2], że Chrystus nakazał uczniom składać pierwociny swego stworzenia, mianowicie wino i chleb, który następnie charakteryzuje jako pszenny (κόκκος τοῦ σίτου). Klemens Aleksandryjski [3], w opowiadaniu cudu nakarmienia rzeszy na puszczy przez Zbawiciela, podaje ryby za symbol pogan, chleby jęczmienne za obraz Żydów, bożą zaś pszenicę (θεῖος πυρός) ogłasza za pokarm Nowego Testamentu. Wprawdzie nasz doktor nie mówi wyraźnie, że pszenicę tę pożywamy w sakramencie, jednak nie trudno się dopatrzeć, że ma na myśli pożywanie eucharystyczne raz z tego powodu, iż pszenicy daje przydomek „bożej“, a powtóre, że w tem miejscu zwie równocześnie Chrystusa winną macicą, a eucharystyę krwią tej

[1] Porówn. Mabillona, *Dissertatio de pane eucharistico azymo ac fermentato* w Mäffettiego *Biblioth. selecta* rozdz. III, str. 23 i nast.

[2] *Advers. haer.* V, 2, 3.

[3] *Kobierc.* Księga VI, r. 11.

winnej macicy. Origines[1] dalej rozprowadza ten obraz i poczytuje pszenicę za strawne *par excellence* ewangelii i jako pokarm ludzi duchownych i doskonałych. Aluzye do używania przy mszy chleba przaśnego znajdujemy u św. Justyna, Originesa i Cypryana. Pierwszy mianowicie podaje w Dyalogu z Tryfonem[2] jako figurę eucharystyi chleb bez kwasu, który uzdrowieni trędowaci mieli składać jako ofiarę według przepisów prawa mojżeszowego. Origines komentując słowa Chrystusa: „strzeżcie się kwasu Faryzeuszów i Saduceuszów", stawia pytanie czy może wszędzie, gdzie w Starym i Nowym Zakonie jest mowa o kwasie, należy pod nim rozumieć naukę, a potem dodaje: „czyż kwasu nie ofiaruje się niekiedy na ołtarzu?" Ustęp cały[3] dosyć jest ciemny, ale zdaje się z niego wynikać, że używano do mszy częściej chleba przaśnego. Św. Cypryan zaś w liście do Cecyliusza[4] wymienia wyraźnie jako składniki chleba eucharystycznego tylko mąkę i wodę, a milczy o kwasie.

Za chlebem raczej kwaszonym zdaje się świadczyć Tertulian[5], który odzywa się do chrześcijanki, poślubionej poganinowi: „Twój mąż nie będzie wiedział, co pożywasz skrycie na czczo, a gdyby nawet chleb zobaczył, nie będzie go miał za to, czem jest w istocie". Także u św. Cypryana znajduje się ustęp, gdzie czyni zarzut majętnej niewieście, iż nie wstydziła się przyjść

---

[1] *In Genes. hom.* 12, 5.

[2] *Dialog. c. Tryph.* r. XLI. Migne P. G. VI, 563.

[3] Ἐπεὶ δὲ, τοῦ Ἰησοῦ εἰπόντος· „Προσέχετε ἀπὸ τῆς ζύμης", συνῆκαν οἱ μαθηταὶ, ὅτι οὐκ εἶπε προσέχειν ἀπὸ τῶν ἄρτων, ἀλλὰ ἀπὸ τῆς διδαχῆς τῶν Φαρισαίων καὶ Σαδδουκαίων, ἐπιστήσεις εἰ ὅπου ποτ' ἂν ζύμη ὠνομάσθη, εἰς διδακὴν τροπολογεῖται, εἴτε ἐν νόμῳ εἴτε καὶ ἐν ταῖς μετὰ τὸν νόμον Γραφαῖς· οὕτω δὲ μήποτε ζύμη οὐ προσφέρεται ἐπὶ τὸ θυσιαστήριον· οὐ γὰρ δεῖ τὰς εὐχὰς τρόπον ἔχειν διδασκαλίας, ἀλλ' εἶναι αὐτὸ μόνον αἰτήσεις ἀγαθῶν ἀπὸ τοῦ θεοῦ. *Comment. in Matth.* Migne P. Gr. t. XIII, 989.

[4] *Epist. 63 ad Caecilium de sacramento dominici calicis* r. XIII: „Sic vero calix Domini non est aqua sola aut vinum solum, nisi utrumque sibi misceatur, quomodo nec corpus Domini potest esse farina sola aut aqua sola, nisi utrumque adunatum fuerit et copulatum et panis unius compage solidatum". Migne P. L. t. IV, 384.

[5] *Ad uxor.* lib. II, c. 5. Migne P. L. I, 657: „Non sciet maritus, quid secreto ante omnem cibum gustes; et si sciverit panem, non illum credit esse qui dicitur".

na zebranie liturgiczne bez darów i wyciągnąć rękę po cząstkę ofiary, czyli po kawałek chleba eucharystycznego, który przyniósł człowiek ubogi [1]. Na podstawie tych tekstów niektórzy dochodzą do wniosku, że na Zachodzie konsekrowano w II. i III. wieku tylko chleb kwaszony, bo był to zwyczajny chleb ludzi biednych, a nawet bogatych, a każdy inny, jako niezwyczajny, byłby musiał narazić na indagacyę chrześcijankę, której ranną komunię spostrzegł mąż poganin. Konkluzya to z pewnością za daleko idąca, bo chociaż z tekstu Cypryana niezbicie wynika, że elementów ofiarnych (προσφοραί, *oblationes)* dostarczali sami wierni [2], to jednak także chleb przaśny nie był nowiną, ani taką nadzwyczajnością w bogatszych domach pogańskich, żeby aż miał razić męża poganina, a z drugiej strony także biedny mógł przynajmniej niekiedy przynieść chleb niekwaszony, tem więcej, że jego przyrządzenie wymagało nawet mniej czasu i zachodu, niż upieczenie kwaszonego. Co najwięcej tedy z Tertuliana i z drugiego ustępu Cypryana można wnosić, że przez lud składane chleby, z których dyakoni wyłączali część potrzebną na komunię, a resztę obracali na utrzymanie kleru i biednych, były prawdopodobnie najczęściej kwaszone.

A może pomniki katakumbowe jaśniejsze złożą świadectwo i rozstrzygną ostatecznie to, co pisarze przedkonstantyńscy zostawili nie rozstrzygniętem.

---

[1] *De opere et eleomosyna* 15. Migne P. L. IV, 636: „Locuples et dives es, et dominicum celebrare te credis, quae corban omnino non respicis, quae in dominicum sine sacrificio venis, quae partem de sacrificio, quod pauper obtulit, sumis".

[2] Praktyka ta wzięła początek razem z agapami i utrzymała się także po zakazaniu tychże przez Pliniusza, zarządcę Bitynii. W V. wieku potwierdza istnienie tego zwyczaju św. Augustyn czy inny autor 215 kazania *de tempore.* Czytamy tam: „Oblationes, quae in altario consecrentur offerte. Erubescere debet homo idoneus, si de aliena oblatione communicaverit". Reminiscencye tej praktyki zachowały się w dzisiejszych modlitwach mszalnych: „Orate fratres, ut meum ac vestrum sacrificium acceptabile fiat apud Deum Patrem omnipotentem", i „Memento Domine... omnium circumstantium... pro quibus tibi offerimus, vel qui tibi offerunt hoc sacrificium laudis". Zob. o tem obszerniej rozprawę kard. Bony: *De fermento et azymo* w Maffettiego *Biblioth. selecta* str. 8 i nast. Zob. także Kraus Franc.: *Lehrbuch der Kirchengeschichte,* IV Aufl. Trier 1896, str. 109.

Na freskach katakumbowych i płaskorzeźbach sarkofagowych spotykamy dość często chleby eucharystyczne, już to w większych kompozycyach, zawierających reminiscencye cudownego nakarmienia ludu na puszczy, które powszechnie w starożytności chrześcijańskiej uważane było za proroctwo, figurę i antycypacyę bankietu eucharystycznego, już też odosobnione na kamieniach grobowych. Ponieważ niestety nigdzie niema dodanego objaśnienia, że są to chleby kwaszone, albo przaśne, więc możemy o tem dowiedzieć się chyba tylko przez ich zestawienie i porównanie z chlebami na pomnikach pogańskich.

Niepodobna opisać mi tutaj wszystkich cmentarnych zabytków eucharystycznych; zwrócę więc uwagę tylko na najważniejsze. Na najstarszym fresku eucharystycznym, znajdującym się w krypcie działu św. Lucyny w katakumbie św. Kaliksta, a przedstawiającym eucharystyczną rybę, Jezusa Chrystusa, przed[1] którą na ziemi stoi[2] kosz z obudwoma elementami sakramentalnemi; chleby, wystające z kosza, przypominają kształtem placki, pieczone w popiele, które Żydzi nazywali *mappala* i składali w ręce kapłanów, jako pierwociny urodzajów polnych. Płaski ten chleb świadczyłby za używaniem do mszy chleba przaśnego niekwaszonego.

Płaskie są też chleby na słynnym obrazie „Mszy świętej“[3] *(Fractio panis)* z pierwszej połowy II. wieku, odkrytym przez Wilperta w kaplicy greckiej u św. Pryscylli[4], dalej na sarkofagu Ewelpisty z połowy II. stulecia, przecięte trzema liniami, krzyżującemi się w środku, na sześć części *(hexablomoi)* i na epitafie Syntrofiona z Modeny[5] z III. wieku, przecięte na cztery

---

[1] Zob. Rossiego, *Roma Sotterranea,* I, tabl. VIII.

[2] Według dawniejszych reprodukcyj tego fresku ryba dźwigała kosz z chlebem i winem na grzbiecie. Dopiero Wilpert sprawdził, że ryba nie pływa po wodzie, ale leży na kawałku darni, a kosz mieści się nie na jej grzbiecie, ale stoi przed nią na ziemi.

[3] Zob. Wilperta, *Fractio Panis.* Freib. im Br. 1895. Tabl. III. i fig. 11. str. 92.

[4] Wilpert, tamże tabl. XV, 2.

[5] Zob. Kraus, *Roma Sotterranea,* II. Aufl. Freib. im Br. 1879, fig. 34, str. 253.

części (ἄρτος τετράτρυφος). Wszystkie te chleby, jakoteż placki z cmentarza św. Lucyny przypominają płaskie chleby na freskn pompejańskim, przedstawiającym sklep prowincyonalny; tylko, że chleby ułożone tu na stole mają po ośm *(oktablomoi)* i więcej karbów [1].

Więcej wypukłe i kształtu wianuszka są chleby, mieszczące się w puharze na epitafie w katakumbie św. Pretekstata [2], sięgającym II. wieku, dalej na pomniku Egriliusza Bottusa Filadespota, znajdującym się dzisiaj w chrześcijańskiem muzeum lateraneńskiem, na starej gemmie, potem dwa chleby z wapna osadzone na cegle grobowej [3], a wreszcie po pięć chlebów na dwóch lampach z Salony [4].

Obok tych chlebów mniej lub więcej płaskich mamy na kilku freskach chleby tak wysokie, że mogą przedstawiać tylko kwaszone. Przedewszystkiem należy tu znany obraz w kaplicy sakramentów u św. Kaliksta, przedstawiający akt konsekracyi albo komunii [5], dalej bankiet siedmiu uczniów nad jeziorem Genezaret [6], zespolony z cudem rozmnożenia chleba i ryb na puszczy, następnie podobna uczta kilku mężczyzn na sarkofagu [7], a wreszcie trójnóg z chlebem i rybą w innej kaplicy sakramentów, obstawiony siedmioma koszami [8]. Chleby te wszystkie są bardzo wypukłe i przypominają całkiem bochenki, mieszczące się w koszach, podobnych do naszych katakumbowych na grobowcu piekarza Eurysacesa [9] z czasów cesarza Augusta, zachowanym jeszcze dzisiaj w Rzymie przed Porta maggiore.

Jak widzimy, pomniki cmentarne są w zgodzie z tradycyą

---

[1] Zob. Baumeister, *Denkmäler des klass. Alterthums* I. fig. 225, str. 246.

[2] Ogłoszę niezadługo ten pomnik jakoteż inne zabytki eucharystyczne w osobnej monografii o „Eucharystyi".

[3] Wilpert, *Fractio panis,* fig. 10, str. 91.

[4] Zob. *Ephemeris Salonitana,* tabl. III.

[5] Zob. Bilczewski, „Archeologia chrześcijańska", tabl. II, w. 2.

[6] Zob. Rossi'ego *R. S.*, II, tabl. XIV, XV, fig. 4; XVIII, fig. 5.

[7] Publikował go de Rossi w *Bullet. di archeol. crist.*

[8] Zob. Rossi, *Roma Sott.,* II, tabl. XV, 2.

[9] Zob. w Baumeistra *Denkm. des klass. Alterth.*, I, fig. 224, a, b, c, str. 245.

literacką i potwierdzają zdanie, że w peryodzie przedkonstantyńskim Kościół używał do mszy chleba kwaszonego i przaśnego. Jeśli się jednak pamięta, że w epoce prześladowania, jak pisze za Waleryana św. Dyonizy, biskup aleksandryjski, „każde miejsce, pole czy puszcza, okręt, stajnia i więzienie, stawały się jakby świątynią do odprawienia najświętszej ofiary", że nieraz nawet pierś kapłana służyła za ołtarz, a za materyę chleb stróża więziennego, to nabiera co najmniej wielkiego prawdopodobieństwa twierdzenie, iż częściej i w Kościele zachodnim w trzech pierwszych wiekach konsekrowano chleb kwaszony.

W wieku IV. napotykamy dwa dokumenty, które na pierwszy rzut oka zdają się świadczyć o wyłącznem używaniu w Kościele rzymskim chleba kwaszonego. O papieżu Milcyadesie powiada *Liber Pontificalis,* iż rozporządził, aby od tego dnia posyłano do kościołów (parafialnych) konsekrowane przy mszy biskupiej elementa, a należy tu rozumieć k w a s [1].

W biografii zaś Syrycyusza czytamy, że „postanowił on, aby żaden kapłan nie odprawiał mszy w tygodniu, jeśli nie otrzymał od miejscowego biskupa partykuły konsekrowanej, która ma nazwę kwasu" [2]. Spokrewniony z tymi dokumentami jest dekret papieża Innocentego I. (402—417) do Decencyusza, biskupa z Eugubium w Umbryi, podlegającej metropolitalnej władzy papieża: „Niepotrzebnie radzicie się nas w sprawie k w a s z o n e g o, które co niedzielę posyłamy do tytułów, boć przecież wszystkie wasze kościoły leżą w obrębie miasta. Kapłani tytułów, nie mogąc w niedzielę brać udziału w naszej mszy

---

[1] „Ab eodem die fecit ut oblationes consecratas per ecclesias ex consecratu episcopi dirigerentur, quod declaratur fermentum". *Liber Pontif.* in Milt. ed. Duch. 168. Duchesne czyni tu uwagę: „Le fermentum était une portion du pain consacré à la messe épiscopale que l'on envoyait le dimanche aux prêtres des titres ou paroisses urbaines, pour être joint à leur propre consécration. C'était un symbole de l'unité de l'église locale et en particulier de son union étroite dans la célébration du mystère eucharistique".

[2] „Hic constituit ut nullus presbyter missas celebraret per omnem hebdomadam nisi consecratum episcopi loci designati susciperet declaratum, quod nominatur fermentum". *Lib. Pont. in Siric.* ed. Duch. str. 216.

dlatego, iż mają przydzieloną sobie pieczę nad własnemi parafiami, otrzymują przez akolitów kwaszone, które sami konsekrowaliśmy, aby w ten sposób w dzień ten święty nie czuli się od nas odłączonymi; to zaś, naszem zdaniem, niema mieć miejsca w parafiach dlatego, że nie trzeba nosić sakramentów daleko, ani my też nie zlecamy tego kapłanom, ustanowionym przy różnych cmentarzach, których kapłani mają prawo i pozwolenie sprawowania ofiary“ [1].

Otóż ze słowa *fermentum* wnioskują niektórzy, że chleb eucharystyczny był istotnie kwaszonym. Tymczasem we wszystkich trzech tekstach *fermentum* może mieć znaczenie symboliczne tak, iż eucharystya zwałaby się w nich kwasem nie dlatego, żeby naprawdę była przyprawiona na chlebie kwaszonym, ale ponieważ dla kościołów parafialnych, które ją od papieża otrzymywały, sprawiała podobne skutki, co kwas w chlebie, łącząc je w jeden organizm, zespolony związką wiary i wspólnej krwi Chrystusa. Za takiem tłumaczeniem naszych tekstów przemawia i ten szczegół, iż ich autor nie mówi, jakoby posyłane partykuły były kwasem, ale że mają znaczenie *(quod declaratur)* i zwią się *(nominatur)* kwasem [2]. Zresztą choćby *fermentum* ozna-

---

[1] „De fermento vero, quod die dominica per titulos mittimus, superflue nos consulere voluistis, cum omnes ecclesiae vestrae intra civitatem sint constitutae. Quarum presbyteri, quia die ipso propter plebem sibi creditam nobiscum convenire non possunt, idcirco fermentum a nobis confectum per acolythos accipiunt, ut se a nostra communione maxima illa die non judicent separatos: quod per parochias fieri debere non puto, quia non longe portanda sunt sacramenta, nec nos per coemeteria diversa constitutis presbyteris destinamus, et presbyteri eorum conficiendorum jus habent atque licentiam“. Zob. w Duchesne'a: *Origines du culte chrét.* str. 169, n. 4. *Lib. Pontif.* str. 169.

[2] Porówn. Markovič, *O evkaristiji* str. 72; Schanz, *Die Lehre von den heil. Sacram.* str. 381. Przeciwnie de Rossi (*Bullett. di archeol. crist.* 1864, str. 89; 1866, 20) bierze wyraz *fermentum* w znaczeniu dosłownem i wnosi stąd, że Kościół rzymski używał do mszy tylko chleba kwaszonego. Kardynał Bona w swej dyssertacyi *De fermento et azymo* pisze: „Nihil vetat, quin utrumque verum sit, et eucharistiam fermentum dictam, quia revera ex fermento erat, et symbolice etiam fermentum nuncupatam, quod signum sit unitatis et vinculum charitatis“. Zob. *Biblioth. sel.* str. 35.

czało tu chleb kwaszony, to nie wynikałoby z tego jeszcze, że przaśny wykluczono wszędzie i zawsze.

Bardzo stanowczo zdają się za używaniem na Zachodzie chleba kwaszonego przemawiać trzy następujące dokumenty, z których jeden jest z końca wieku IV. albo V., drugi z końca VI., trzeci z wieku VII. Autor dzieła „O Sakramentach", przypisywanego św. Ambrożemu, pisze: „Powiesz mi może, sądząc z pozorów, że jest to chleb, który pożywam zwyczajnie; tymczasem chleb ten był chlebem przed wymówieniem słów sakramentalnych, kiedy zaś doń przystąpiła konsekracya, stał się ciałem Chrystusa" [1].

O Grzegorzu W. zaś opowiada Jan Dyakon, że kiedy papież chciał podczas mszy udzielić komunii pewnej niewieście i wymawiał słowa: „Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa niechaj strzeże duszy twojej", ona się roześmiała. Wtenczas Grzegórz położył przeznaczoną dla niej cząstkę na ołtarzu, dokończył mszy, a potem zapytał o powód śmiechu. Niewiasta odpowiedziała: „Ponieważ podałeś jako ciało Pańskie chleb, w którym poznałam mój własny, przezemnie upieczony" [2].

W Hiszpanii zakradło się w niektórych kościołach nadużycie konsekrowania kawałka zwyczajnego chleba domowego. Biskupi bowiem zebrani w r. 693 na synodzie w Toledo opowiadają, „iż doszło do ich wiadomości, że trafiają się duchowni, którzy nie używają do mszy chlebów czystych i osobno wypiekanych *(non panes mundos et ex studio praeparatos)*, ale wykrawają kawał okrągły ze zwyczajnego chleba domowego *(de panibus suis usibus praeparatis)*. Praktyka ta zasługuje na potępienie i odtąd nie wolno używać do mszy innego chleba, jak małych bochenków całych, i to czystych i umyślnie sporządzonych" *(nisi [panis] integer et nitidus, qui ex studio fuerit praeparatus)* [3].

---

[1] Ambrosius, *De sacramentis*, IV, 4.

[2] Joannes Diaconus, *In vita Gregorii*, lib. II, c. 41. Za chleb kwaszony uważa go między innymi Schanz l. c. str. 381.

[3] Zob. Bruns, *Canones Apostolorum et Conciliorum*. Berolini 1839, str 370 i 371: „Ad conventus etenim nostri agnitionem delatum est, quod in

To są trzy niby najjaśniejsze dokumenty, przytaczane często jako dowody na używanie w Kościele zachodnim wyłącznie chleba przaśnego. Tymczasem i one budzą pewne wątpliwości, bo chlebem czystym i przyrządzanym umyślnie, który przepisują biskupi hiszpańscy, może właśnie być chleb przaśny. W każdym razie jest rzeczą chyba pewną, iż obok kwaszonego używano w VI. i VII. wieku na Zachodzie także chleba przaśnego, bo już w wieku następnym, jak dowiadujemy się od Alkuina[1]

---

quibusdam Hispaniarum partibus quidam sacerdotum, partim nescientia impliciti, partim temerario ausu provocitati, non panes mundos et ex studio praeparatos supra mensam domini in sacrificio offerant, sed passim quomodo unumquemque aut necessitas impulerit aut voluntas coegerit, de panibus suis usibus praeparatis crustulam in rotunditate auferant, eam super altare cum vino et aqua pro sacro libamine offerant: quod factum nequaquam in sacrae auctoritatis historia uspiam gestum perpenditur... Ac proinde quia et redemptoris verba testantur, quod panem integrum accipiens non buccellam, quem post benedictionem confringens suis particulatim discipulis dederit, et Paulus apostolus similiter nihilominus narrat, quod panem acceperit et gratias agens confregerit, nec non et illud, quod Christus de quinque panibus confractis turbam refecerit; quid aliud instruit nos, nisi ut panem integrum sumentes super altaris eius mensam benedicendum ponamus, non particulam panis, quod caput nostrum nequaquam fecisse perpendimus?"... Nam si homo suae vitae diligentiam studiosius adhibere procurat, quanto magis sacris Dei cultibus nitorem debitum exhibere summopere debet?

„Unde temeritatis huius aut nescientiae cupientes terminum ponere, id unanimitatis nostrae delegit conventus, ut non aliter panis in altari domini sacerdotali benedictione sanctificandus praeponatur, nisi integer et nitidus, qui ex studio fuerit praeparatus, neque grande aliquid, sed modica tantum oblata secundum quod ecclesiastica consuetudo retentat; cuius reliquiae aut ad conservandum modico loculo absque aliqua iniuria facilius conserventur, aut si ad sumendum fuerit necessarium, non ventrem illius qui sumpserit gravis farciminis onere premat, nec quod in digestionem vadat, sed animam alimonia spirituali reficiat; ita nempe, ut ab his qui eas sumpserint priscorum canonum instituta serventur".

[1] *Epist.* (90) *ad Lugdunenses:* „Audivimus aliquos in illis partibus (Hispaniae) affirmare, salem esse in sacrificium corporis Christi mittendum. Quam consuetudinem nec universalis observat Ecclesia, nec Romana custodit auctoritas. Tria sunt, quae in sacrificio... offerenda sunt: panis, aqua et vinum. Panis, qui in corpus Christi consecratur, absque fermenti illius alterius infectione debet esse mundissimus".

Hoffmann Jakób w swej *Geschichte der Laienkommunion bis zum Tri-*

konsekrowano chleb niekwaszony nietylko w Galii, ale także w Hiszpanii Uczeń Alkuina, Rabanus [1] mówi najwyraźniej, iż należy używać chleba niekwaszonego i powołuje się w celu uzasadnienia tej praktyki na tradycyę apostolską.

Tem samem upada twierdzenie Sirmonda, jakoby Kościół rzymski dłużej niż przez 800 lat był konsekrował tylko chleb kwaszony i począł używać przaśnego dopiero w peryodzie między wystąpieniem Focyusza a schizmą Cerularyusza.

Okoliczność, że Focyusz łacinnikom nie zrobił zarzutu z używania chleba przaśnego i nie domagał się żadnego zreformowania materyi eucharystyi, tłumaczy się tem, iż uważał on mszę odprawioną na chlebie niekwaszonym za odpowiadającą najdokładniej wieczernikowej mszy Chrystusa i wiedział, że łacinnicy obok przaśnego konsekrują także zgodnie z Grekami chleb kwaszony. Gdyby dopiero w X. wieku był powstał w Kościele zachodnim zwyczaj używania chleba przaśnego, to wprost niepojęty i niezgodny z duchem przeszłości byłby fakt, że Kościół łaciński tak liberalny, iż się tak wyrażę, w kwestyach rytualnych i liturgicznych, nie dotyczących dogmatu, zajął od razu wobec Michała Cerularyusza stanowisko tak stanowcze, a nawet ostre i odwołał się dla uzasadnienia i obrony swej praktyki aż do tradycyi apostolskiej. „Około 1020 lat od śmierci Chrystusa — pisze do Cerularyusza Leon IX. — Kościół rzymski święci eucharystyę, pouczony tak od samego Piotra, a teraz od was się ma uczyć, w jaki odprawiać ją sposób. Nie zastanowiliście się, jak zuchwałe jest twierdzenie, jakoby Bóg przed Piotrem był zakrył właściwy sposób odprawiania liturgii eucharystycznej“ [2].

Jednak nie żąda papież wcale, aby Grecy zastosowali się

dentinum. Speyer 1891, str. 70 adnot. 1, podaje Ildefonsa, arcyb. w Toledo (657—667) jako pierwszego, który domaga się chleba przaśnego. Zobacz u Migne'a P. L. 106, 883 i nast.

[1] *De institut. cleric.* 1, 31: „Et istum ordinem ab apostolis apostolicisque viris traditum romana ecclesia et per totum pene occidentem omnes ecclesiae eandem traditionem servant“.

[2] Zob. Hefele, *Conciliengeschichte* IV, 768. Porówn. też Hergenröthera, *Photius* III, 710.

do praktyki łacińskiej, owszem podnosi, że zostawiono nawet greckim klasztorom w obrębie i poza Rzymem zawsze pełną swobodę, ponieważ takie różne zwyczaje nie szkodzą zbawieniu wiernych, byle jedna wiara czynna przez miłość wszystkich jednemu Bogu zalecała. Sądzę tedy, że w VIII. i IX. wieku, kiedy kler i wierni coraz rzadziej przystępowali do Stołu Pańskiego i lud przestał przynosić dary ofiarne w naturze, zamieniwszy je na datki w pieniądzach, chleb przaśny najpierw wziął przewagę nad kwaszonym, aż go w X. wieku całkiem wyrugował dlatego, iż wystarczał teraz chleb malutki dla samego celebransa, który też sporządzali sami duchowni.

Wprowadzenie na całym Zachodzie przaśnego chleba schodzi się więc ze zwyczajem wypiekania we formach hostyj małych *(hostiae formatae)*, które w XII. wieku przybrały kształt naszych dzisiejszych cienkich krążków opłatkowych [1].

Dodam jeszcze, że teologowie naszych czasów podzielili się podobnie jak dawniejsi, którzy pisali o tej kwestyi, na trzy obozy, z których jedni utrzymują z Sirmondem [2], że Kościół łaciński przez ośm wieków używał wyłącznie chleba kwaszonego, drudzy bronią zdania Mabillona [3], według którego Rzym po przez wszystkie wieki konsekrował tylko chleb przaśny, inni [4] wreszcie podtrzymują tezę pośrednią o używaniu na Zachodzie aż do VIII, IX, albo X. wieku chleba kwaszonego i niekwaszonego.

---

[1] Porówn. Corblet, *Histoire... du sacr. de l'Euchar.* I, str. 180, 181. Zob. także Schanza, *Die Lehre von den heil. Sacram.* str. 378.

[2] *Disquisitio de azym.* Parisiis 1696, IV, str. 513 i nast. W jego myśli pisze Kraus w *Lehrbuch der Kirchengeschichte*, IV. Aufl. str. 1888: „Das dargebrachte Brod war im Morgenlande gewöhnliches, gesäuertes, im Abendlande war es Anfangs ebenso bestellt, doch zog man aus symbolischen Rücksichten ungesäuertes Brod vor". To samo zdanie reprezentuje de Waal w Krausa *Real-Encyclop. der christl. Alterthümer*, t. I, artyk. *Brod*, dalej Martigny w swem *Dictionnaire des antiquités chrétienne*, artykuł *Pain eucharistique.*

[3] Tu należy Ferd. Probst, *Sacramente*, str. 203; Katschthaler, *Theologia dogmatica* l. III, p. II, str. 423.

[4] Corblet, *Histoire du sacr. de l'Euchar.* I, str. 165; Hoffmann, *Gesch. der Laienkom.* str. 70; Schmid w Wetzera i Weltego *Kirchenlexikon* wyd. II, art. *Altarssacrament* pisze: „Die Geschichte liefert den Beweis, dass man seit apostolischen Zeiten sowohl ungesäuertes wie gesäuertes Weizenbrod für die heil. Eucharistie verwendete und als gültige Materie betrachtete".

Jak wykazałem, można na podstawie pomników piśmiennych i katakumbowych zdanie ostatnie sprecyzować o tyle, iż przyjmie się, że do VII. wieku używanie chleba kwaszonego było w Kościele zachodnim nawet powszechniejsze [1], niż konsekrowanie przaśnego. Wynik ten nie sprzeciwia się i nie uwłacza słowom Leona IX, bo skonstatował on wobec napaści Cerularyusza tylko fakt, że praktyka rzymska nie jest nowa, lecz sięga czasów św. Piotra, co wcale nie wyklucza możliwości, że św. Piotr, a za nim cały Kościół zachodni konsekrował czasami także chleb kwaszony.

(Dok. nast.)

Ks. J. Bilczewski.

[1] Porówn. Döllingera, *Lehrbuch der Kirchengeschichte.* Regensburg 1843, Bd. 1 str. 265.

O WOJSKOWOŚCI POLSKIEJ ZA PIASTÓW.

(do roku 1410).

(Dokończenie).

Pospolite ruszenie z całej Polski, *congregatam militiam totius Poloniae,* wyprowadził w pole w roku 1329 Łokietek na wojnę przeciwko Krzyżakom [1]. W wyprawie do Wołoch Kazimierza Wielkiego, w r. 1359, uczestniczyło pospolite ruszenie z ziem: krakowskiej, sandomierskiej, lubelskiej i ruskiej, tudzież 9 chorągwi pańskich: Toporczyków, Leliwczyków, Lisowczyków, Remstów, Gryffitów, Szreniawitów, Habdanków, Półkoziców i Strzemieńczyków [2]. Na wojnie zaś króla Ludwika przeciwko Litwinom znajdowały się tylko chorągwie pańskie Toporczyków, w liczbie 7 [3].

Od połowy XIV. wieku do składu pospolitego ruszenia wchodzą sołtysi. Z początku zawierane z nimi umowy, jak to widać z dyplomów, były bardzo rozmaite. Tak, albo obowiązywano ich do stawienia się na wojnę na koniu pewnej wartości i niekiedy tylko na obronę pewnej dzielnicy książęcej, albo do dawania wozu na wyprawę z parą lub z czwórką koni, albo zamiast wychodzenia na wojnę, do opłaty pieniężnej. Jeden nawet sołtys wymówił sobie, że niema być pociągany do noszenia kopii i tarczy za swoim panem. Klasztory, a czasami i panowie świeccy, używali sołtysów tylko na posyłki. Zdarzało się czasami

[1] M. P. H., t. II, p. 851. [2] Długosz, t. IV, p. 258. [3] Ib., p. 346.

jednakże, że na sołtysów nie wkładano żadnych obowiązków. Dopiero przez Statut wiślicki wszyscy sołtysi zostali pociągnięci do powinności wojennej. Dyplomy zaś orzekały, w jakiem uzbrojeniu i na jakiej wartości koniu mieli się stawić na wojnę i czy sami tylko, czy też z pocztem czeladzi zbrojnej.

Co do uzbrojenia, to znajdujemy dwa rodzaje onego, mianowicie: albo *in galeo, in pileo ferreo, in pancerio, in plachis, cum hasta* tj. w zbroi kopijniczej, albo *in armis levibus, in pancerio, in duobus joppis, in slapa, in klobuczek cum arca* lub *cum ballista,* tj. w zbroi strzelczej. I do tego *cum uno* lub też *cum duobus sagittariis,* albo *metsecundus, mettertius.* Tych towarzyszących sołtysom strzelców nazywano famulusami czyli pachołkami. Widoczne to jest z dyplomu K. W. P. T. III. XCII., w którym król Kazimierz W. obowiązuje niejakiego Antoniego, mieszczanina sandomierskiego, do stawienia się na wojnę *cum tribus famulis.* Podobnie w N. 1334 K. D. M. P. Żegota z Birtatowic wkłada na swego sołtysa, niejakiego Mateusza, powinność wychodzenia na wojnę *unum servum habens famulandum.* Zdaje się, że Kazimierz W. pociągnął sołtysów do powinności wojennej, zapatrując się na Krzyżaków, gdzie na nich ciążyły podobne obowiązki.

Kmiecie w dobrach lokowanych na prawie niemieckiem płacili, zdaje się, na wojenne potrzeby pewien podatek, który, jak widać z rewizyi starostwa sieradzkiego z r. 1533, nazywał się „wojcznem“ i wynosił z należącej do tego starostwa wsi Bogumiłowic 28 groszy [1].

Statut wiślicki, oprócz kilku kardynalnych praw dla pospolitego ruszenia, a mianowicie: 1) że każdy szlachcic z pewnym pocztem, podług dostatku swego, imienia i dochodów służyć powinien; 2) że powinność ta ściąga się tylko do służby wewnętrznej i niema obowiązywać do wypraw zagranicznych, chybaby król o to prosił i odpowiednio wynagradzał; 3) że podczas marszu wojsko ma prawo wymagać pastwiska dla koni i strawy dla ludzi „przez którego inako iście nie mogłoby być imiano“. Inne artykuły statutu miały na widoku jedynie ukrócenie nadużyć

[1] Arch. Skar. Od. LVI, ks. $S^2/_1$.

których się podówczas wojsko dopuszczało. Ale i prawa kardynalne grzeszą naprzód nieokreślonością, a potem dogadzają nie tyle potrzebie, ile interesom stanu szlacheckiego. A to w tem mianowicie, że nie oznaczając dokładnie powinności wojennej, ani w stosunku do posiadanej ziemi, ani też do dochodu, miały w następstwie to nadużycie, że częstokroć bogatszy wyprowadzał na wojnę mniejsze poczty, aniżeli uboższy. Na co później skarżył się Tarnowski w swojem *Consilium*. Jednocześnie u Krzyżaków wielkość pocztu stosowała się do ilości nadawanej ziemi. Co do wypraw zagranicznych, to już i wtenczas nietrudno było rozumieć, że broniąc się, korzystniej było prowadzić wojnę na ziemi nieprzyjaciela, aniżeli na swojej. A tymczasem wyprawa za granicę kraju uważana była za łaskę ze strony szlachty, która mogła się na nią zgodzić, albo nie.

Pakta koszyckie dodały jeszcze, że król obowiązany był w razie wyprawy zagranicznej za straty na obcej ziemi przez żołnierzy poniesione wynagradzać. A Władysław Jagiełło zgodził się na wynagrodzenie za straty i niewolę nietylko na wojnę zewnątrz, ale i wewnątrz kraju. Płaca ta za szkody trwała aż do roku 1546, w którym król Zygmunt August, wyprawując wojsko na wojnę moskiewską, podniósł jeździe żołd do 17 złotych na kwartał, ale zarazem skasował płacenie za szkody [1].

Tak więc pospolite ruszenie w odbywaniu wypraw wojennych nie mając żadnych szczegółowych przepisów, rządziło się jedynie prawem zwyczajowem.

Do powinności wojennej należało także wyprawianie podwód pod żywność. Szczególnie za panowania pierwszych Piastów tabory z żywnością były rzeczą niezbędną. Posiadamy też kilka wzmianek w kronikach w tym przedmiocie. Tak za Władysława Hermana zmuszeni byli Polacy zaniechać oblężenia Nakła z powodu braku żywności, szczególnie zaś u Czechów. Z tejże przyczyny Bolesław Krzywousty nie mógł przedsięwziąć napadu na Pragę w r. 1110. Powinność wyprawienia podwód na wojnę uwidocznia się z dyplomu N. 626, K. W. P., t. II.,

[1] Arch. Skarb. Od. II, ks. 22.

w którym Przemysław II., książe wielkopolski, uwalnia niejakiego Arnolda *a curru expeditionis*. Podobnie w dyplomach N. N. 736 i 742 tegoż kodeksu znajdujemy wyraźnie: *Nec aliquem currum ad expeditionem mittere.*

O organizacyi, szyku, taktyce i sposobie wojowania Polaków w czasach piastowskich niewiele da się powiedzieć, wiadomości bowiem o tych rzeczach, zawierające się w kronikach, są bardzo skąpe i urywkowe.

Za panowania pierwszych Piastów wojsko polskie składało się z jazdy i piechoty, wiemy bowiem już z powyższego wykładu, że Mieszko I. i Bolesław Chrobry prowadzili swe wojny z tymi dwoma rodzajami broni.

Pieszych żołnierzy Gall nazywa *clipeati*, tj. pawężnikami. Tak się bowiem tłumaczy wyraz *clipeati* w naszych najstarszych aktach archiwalnych. Było to narzędzie z desek pokrytych skórą, którym okrywał swe ciało broniący się żołnierz pieszy. Rzeczą jest oczywistą, że trzymając w lewem ręku pawęzę, nie mógł władać prawą ręką ani łukiem, ani kuszą. A więc bronią zaczepną tej piechoty mogły być tylko miecze.

Ale oprócz pawężników znajdowali się wśród piechoty, jak to widać z kronik, jeszcze strzelcy, i przytem doskonali. W kraju bowiem pokrytym przeważnie lasami myśliwstwo musiało być ulubionem zajęciem ludu. Lecz, jak pawężnicy nie mogli używać łuku, tak znowu dla strzelców było niemożebnem używanie pawęzu. Musieli więc walczyć z odkrytemi piersiami. Bijąc się wręcz, strzelcy posługiwali się także mieczem.

Dytmar, opisując wojnę Henryka II. z Bolesławem Chrobrym w roku 1004[1], nadmienia, że gdy Niemcy, podczas pochodu do Polski, stanęli obozem nad rzeczką Sprewą, rycerz Thieburnus, dowiedziawszy się, iż Polacy znajdują się niedaleko, wziął z sobą doborowych rycerzy i chciał z nimi podejść nieprzyjaciela. Lecz ten, mając się na baczności, umknął pospiesznie do lasu. A gdy Niemcy zbliżyli się do niego, nieprzyjaciel ob-

[1] M. P. H., t. I, p. 277.

sypał ich „swoim zwyczajem“ strzałami, od których poległ Thieburnus, a z nim wielu innych sławnych rycerzy.

W roku 1015, gdy po przebyciu Odry przez wojsko cesarskie, rycerz Hodo, ścigając Polaków, zapędził się za daleko za nimi i trafiony strzałą w samo oko, życie zakończył [1]. I znowu w tymże roku, gdy Niemcy, po nieudanej wyprawie do Polski, wracając do domu, rozłożyli się obozem w jakiemś ciasnem miejscu, Polacy otoczywszy ich, wypuścili najprzód chmurę strzał, a potem za trzykrotnym okrzykiem uderzyli z wielką furyą i wysiekli wszystkich co do nogi [2].

Kronika węgiersko-polska podaje nam także wiadomość, że gdy Bolesław Śmiały prowadził na tron węgierski synów Stefana, wojsko jego poprzedzała piechota ze strzelcami na czele [3].

Bolesław Krzywousty mniej już używał piechoty. O przytomności jej za jego czasów w wojsku polskiem znajdujemy wzmiankę u Galla, który pisze, że gdy Świętopełk, książe morawski napadł na Polaków, powracających z wyprawy do jego ziemi, łup przez nich zdobyty dlatego tylko ocalał, że był pod strażą piechoty, która już była na przedzie [4].

I w drugiem miejscu tenże Gall pisze, że gdy Henryk V. podczas pochodu do Polski przechodził mimo Bytomia, obrońcy tego grodu, wypadłszy przez otwarte bramy z dobytymi mieczami, nie mając względu na furyę Alemanów, mężnie i śmiało przystępując do rozprawy z czołem nieprzyjacielskiem, potykali się nadzy prawie, tj. zapewnie strzelcy nieokryci pawęzami z niemieckimi pawężnikami, a pawężnicy polscy z rycerzami w żelazo zakutymi [5]. Później jeszcze raz spotykamy piechotę ludową w niewiadomej liczbie, obok 30.000 pospolitego ruszenia, z którem Leszek Czarny ścigał w r. 1280 Rusinów i Tatarów, rozbitych przez Krakowian i Sandomierzan [6]. Ale to było, zdaje się, ostatnie wystąpienie w pole piechoty polskiej ludowej.

Jazda była, zdaje się, już od początku główną bronią Po-

[1] M. P. H., t. I, p. 299. [2] Ib., p. 300. [3] Ib., p. 512. [4] Ib., p. 445. [5] Ib., p. 446. [6] Ib., t. II., p. 847. „Dux Lestko habens secum 30 milia equitum et duo milia peditum“.

laków, głównym zaś jej orężem kopia. Mamy na to kilka dowodów.

Tak, Gall twierdzi, że po przemowie, którą miał Chrobry do swoich wojaków, zachęcając ich do bitwy z Rusią, podczas powrotu z Kijowa, oni zamiast odpowiedzi potrząsnęli kopiami[1]. Tenże Gall, opisując wyprawę Krzywoustego do Kołobrzegi powiada: *emissis lanceis pontem extractis gladiis transierunt*[2]. I znowu, opowiadając o wyprawie do Czech tegoż Krzywoustego, nadmienia: *Tum vero iuventus polonica certatim irruunt, lanceis prius bellum inferrunt, quibus expletis, enses exerunt*, tj. tak jak to bywało po wszystkie czasy: kruszą kopie, a potem biją się na miecze[3]. Prawdopodobnie od początku część jakaś jazdy musiała być uzbrojona w łuki, broń ta bowiem była dogodniejszą do rozpoczynania bitwy, do straży i zwiadów, oraz do ścigania nieprzyjaciela. Wyraźnych atoli wskazówek na dowód używania strzelców konnych za pierwszych Piastów nie mamy i spotykamy się z nimi dopiero z wprowadzeniem do pospolitego ruszenia sołtysów. Bronią strzelców był z początku łuk, a potem kusza czyli samostrzał.

W wojsku Łokietka na wojnie przeciwko Krzyżakom znajdowało się 2.100 kopijników i 20.000 strzelców konnych[4].

Z jakich organizacyjnych jednostek składała się piechota i jazda polska za Piastów, o tem nic pewnego powiedzieć nie możemy. Prawdopodobnie dzieliła się ona na dziesiątki i setki, ale dziesiętnika znaleźliśmy tylko jednego. A był nim niejaki Atanazy, któremu, podług Nestora, polecił Chrobry strzeżenie skarbu zdobytego w Kijowie[5].

Z setnikami spotykamy się częściej. A najprzód u Herborta, który pisze, że Bolesław Krzywousty przydał Ottonowi, udającemu się do Pomorzan, dla nawrócenia ich na wiarę chrześcijańską, 60 ludzi z załogi santockiej z setnikiem niejakim Pa-

[1] Ib., t. I, p. 400. [2] Ib., p. 447. [3] Ib., p. 477.

[4] Ib., t. II, p. 855.. Fertur autem, quod in suo exercitu duo milia et centum galeatos habuerit, aliorum eque armatorum sine galeis prope viginti milia, sagittariorum et aliorum fere triginta milia etc.".

[5] Ib., t. I, p. 692.

wełkiem. Że ci przydani Ottonowi ludzie byli pieszymi, okazuje się ze słów: *Ille vir optimus* (Krzywousty) *vestes nobis mitteret hiemales... tam clericis, quam militibus sive scutiferis omnibus*, tj. pawężnikom [1].

Podaje także o centuryonach wzmiankę i dyplom Przemysława II. z r. 1294, w którym powiedziano: *Chuskowo post unum centurionem et omnes homines ad eum pertinentes...* potem idzie wyliczenie mnóstwa wsi i dalej znowu Radłowo i inne *cum centurione et cum hominibus*. Stąd wypada wnosić, że ci centuryonowie obowiązani byli wybierać z tych wsi ludzi na wojnę, licząc dziesiątego. Trzeba więc było 1000 gospodarzy, ażeby jednę setkę sformować [2].

Mamy i jeszcze jednę wzmiankę w K. M. P. XXXII., o setniku, który miał wymienić przed opatem imiona poddanych, znajdujących się pod jego zarządem.

Wyższego nad setnika stopnia przełożonego nad piechotą nie napotkaliśmy, musimy więc przyjąć, że setki nie łączyły się w większe jednostki organizacyjne. Co jest rzeczą naturalną, gdyż i setkę złożoną z niećwiczonych ludzi ustawić na miejscu i obracać nią niełatwo. Nie możemy też z pewnością twierdzić, jaka była organizacya jazdy polskiej. U Dytmara i Galla spotykamy wyrazy: *legiones, turmae, catervae, acies*. Ale co z tego należy przyjmować za synonimy, a co za większe lub mniejsze jednostki organizacyjne, trudno odgadnąć.

Wyżej już mówiliśmy o organizacyi towarzyskiej jazdy naszej, tj. że cała jazda pierwszych Piastów składała się z towarzystw czyli drużyn, na czele których stali towarzysze, mający rozmaitą liczbę czeladzi. Drużyny więc były podstawową jednostką jazdy i mogły się łączyć w większej lub mniejszej liczbie w pułki. Jest to bowiem jedyna nazwa ogólnie słowiańska dla kupy bojowej jezdnych ludzi..

Ale u Nestora pułk nie ma ścisle określonego znaczenia. Używa on tego wyrazu raz dla oznaczenia całego wojska, jak

---

[1] Ib., t. II, p. 100. [2] K. D. W. P., p. 719.

np. „Włodzimierz chciał uszykować wojsko (płk)“ [1]. W innym razie pułki przyjmuje za część wojska, jak: „przywdziawszy zbroje i pułki uszykowawszy“ [2], a nareszcie za działy wojska bardzo drobne, zaczynając nawet od 50 koni, np. „Boniak uszykował wojsko (woï) swoje. I miał Dawid książe 100, on zaś 300 wojowników. I rozdzielił na 3 pułki. I poszedł przeciw Węgrom. I puścił przodem Atłumpę z 50 człeka (czada). Sam zaś rozdzielił się na 2 pułki, po 50 człeka na skrzydło“ [3]. Wypada z tego wszystkiego, że każda kupa jezdnych ludzi, mająca osobnego przywódcę, nazywała się pułkiem.

Trudno więc oznaczyć liczebną siłę pułków jazdy polskiej tem więcej, że kronikarze, wymieniając liczbę pułków, nie podają ich zawartości liczebnej i naodwrót. Tak np. Dytmar pisze, że Mieszko, syn Bolesława Chrobrego, przebył w r. 1015 Elbę pod Strelą *cum 7 legionibus* [4]. W r. zaś 1017 wtargnął do Czech *cum 10 legionibus* [5].

Podług Galla, Kazimierz Odnowiciel miał tylko 3 *acies* przeciwko 50 *acies* Masława [6]. Tenże Gall podaje, że podczas wojny Krzywoustego z Czechami, ci ostatni pokazywali się *catervatim*, Polacy zaś mieli *acies*, mianowicie *acies Gnesnensis*. W drugim razie znajdujemy liczbę ludzi, bez wskazania, na ile jednostek organizacyjnych byli podzieleni. Tak w wojsku Leszka Czarnego, ścigającego Rusinów w r. 1280, znajdowało się 30.000 jazdy. Przemysławowi, księciu wielkopolskiemu, oblegającemu Nakło, przybyli na pomoc: Bolesław Pudyk, książe krakowski z 1.000, i Ziemowit, ks. mazowiecki z 800 koni [7]. Nareszcie Kazimierz, ks. kujawski i łęczycki najechał ziemię kaliską z 2.000 wojska.

Bolesław Chrobry, mając jazdę zebraną w większych i mniejszych kupach po grodach, mógł ją dzielić dowolnie na pułki. U Dytmara czytamy, że Chrobry, gdy został od Niemców i Czechów zmuszony do porzucenia w r. 1004 Pragi, opuścił ją z pierwszym pułkiem [8]. A więc musiał mieć i dalsze numera pułków.

---

[1] M. P. H., t. I, p. 780. [2] Ib., p. 824. [3] Ib., p. 803. [4] Ib., p. 301.
[5] Ib., p. 307. [6] Ib., p. 418. [7] Ib., t. II, p. 574.
[8] Ib,, t. I, p. 276.

Prowadzi to do przypuszczenia, że organizacya jazdy Bolesława Chrobrego miała pewną regularność i pewną zasadę w podziale na pułki. Nie musiały atoli te pułki być bardzo ludne. Podzieliwszy bowiem jazdę, jaka się znajdowała w Gnieźnie, Poznaniu, Włodzisławiu i Gieczu, tj. 3.600 koni na 10 pułków, jakową ich liczbę miał Mieszko, syn Chrobrego, wkraczając do Czech w r. 1017, otrzymamy 360 koni dla pułku. A przecież jakaś część tej jazdy musiała pozostać w kraju na wszelki wypadek i dla strzeżenia grodów. Moglibyśmy więc położyć jako normę, około 200 koni dla pułku. Co nie będzie za mało, gdyż kierowanie i taką kupą niećwiczonych jeźdźców na polu bitwy nie było rzeczą łatwą.

Za Krzywoustego miały już pułki zupełnie inny charakter. Pułk gnieźnieński, o którym wspomina Gall, opisując wyprawę do Czech Krzywoustego, *Gnesnensis vero acies patrono Polonico dedicata*, był już pułkiem prowincyi gnieźnieńskiej, czyli okręgu do tego grodu przypisanego. Mogły być też pułki, poznański, włodzisławski i inne, należące już do pospolitego ruszenia. Ale i te pułki nie musiały być bardzo ludne, liczba bowiem towarzyszy i innej starszyzny, która otrzymała nadania w jakiejś prowincyi, nie musiała być wielką, a i poczty, wyprowadzane własnym kosztem nie bardzo liczne. W każdym razie, liczebna sił tych pułków, zależąca od wielkości prowincyi musiała być bardzo rozmaitą.

Z czasem pułki przedzierzgnęły się w chorągwie. Ale kiedy to nastąpiło, wiadomości nie mamy. Z dyplomu CXXXIV. K. D. P. z r. 1375, w którym Władysław ks. Opolski, nadając niejakiemu Waszkonowi wsie w powiatach żydaczowskim i kołomyjskim, wkłada na niego obowiązek stawienia się na wojnę z dwoma strzelcami, pod swoją chorągiew: *servire tenebuntur... sub nostra banderia*, widać, że już wtenczas pułki nazywały się chorągwiami.

Za Kazimierza Wielkiego mieliśmy już chorągwie ziemskie i pańskie na wyprawie do Wołoch. Król zaś Ludwik, mając wielkie wojsko, z Węgrów i Polaków złożone, podzielił je na jednostki wyższego rzędu, jakoby pułki nowej kreacyi i jeden

z nich, w składzie dwóch chorągwi, krakowskiej i sandomierskiej, oddał pod komendę Sędziwoja z Szubina, starosty krakowskiego.

Co do szyku, to zdaje się, że za Mieszka I. i Bolesława Chrobrego wojsko polskie szyku regularnego pojedynczych jednostek taktycznych niemiało, a stawało do boju i potykało się nieforemnemi kupami. Przypuszczenie to wypływa ze słów autora kroniki hildesheimskiej, który wygrażając się na Mieszka II. za jego napad na posiadłości niemieckie, mówi: *quodquam tibi sit periculosum tum sero percipies, cum tui imbelles plurima multitudine armati, nostris bella scientibus immo et facientibus, ut digni sunt conterentur*[1]. Jeśli zaś czytamy u Galla, że Polacy z Bolesławem Chrobrym *cum ordinatis aciebus in hostes undique fugientes irruerunt*[2], to słowa te ściągają się prawdopodobnie do ustawienia wojska w szyku, z podziałem onego na skrzydła i środek. Przyczem pułki pojedyncze stawały do boju w nieforemnych kupach.

Rzeczą jest oczywistą, że w wojsku szykującem się w podobny sposób, gdzie żołnierze, nie posiadając żadnych oznak mundurowych, nie trzymali też miejsc stałych, jak się to dzieje w szyku nowoczesnym, musiały mieć wielkie znaczenie chorągwie, około których skupiały się pułki. Chorągwie te nie mogły być zwijającemi się, a musiały być podobne do dzisiejszych sztandarów jazdy, z większą jeszcze tarczą, na której był grubo namalowany jakiś znak widoczny, zrozumiały dla wszystkich żołnierzy. Niezbędne było także i zawołanie, za pomocą którego nietylko w nocy, ale i w dzień w razie zamieszania nieuniknionego w bitwie, zwoływali się wojownicy pod wspólną chorągiew. Można atoli przypuścić, że już w czasie Krzywoustego mieli Polacy szyk regularny nawet dla pojedynczych jednostek taktycznych. A to na zasadzie słów Galla, który mówi, że w bitwie pod Nakłem Pomorzanie nie byli *ad proelium more Christianorum ordinati*[3]. Znajdowali się bowiem wszyscy w jednej kupie, najeżonej ze wszystkich stron kopiami. Wypada stąd wnosić, że Polacy musieli już mieć podówczas szyk chrześci-

[1] Ib., t. II, p. 765. [2] Ib., t. I, p. 407. [3] Ib., p. 464.

jański. Szykiem zaś tym mógł być chyba panujący podówczas powszechnie w Europie szyk klinowy.

Kiedy chorągwie pospolitego ruszenia przybrały szyk szeregowy, tego z pewnością powiedzieć nie możemy. Staje się on atoli widocznym z chwilą wcielenia wszystkich sołtysów do pospolitego ruszenia.

Wiadomo już z powyższego wykładu, że od sołtysów, obowiązanych wyprowadzać na wojnę poczty z kilku ludzi złożone, wymagano, ażeby albo się stawili sami w zbroi strzelczej, albo jeśli i w kopijniczej, by mieli pozostałych ludzi uzbrojonymi w samostrzały. W podobny sposób, jak sołtysi, występowała bez wątpienia na wojnę i szlachta, mając po kilku strzelców na jednę kopię. Rzeczą jest jasną, że poczty te, stojące pod jedną chorągwią, musiały mieć kopijników w pierwszym szeregu, w następnych zaś po nim szeregach strzelców. Wypada to z natury rzeczy. Ponieważ kopie potrzebne były przy pierwszem starciu z nieprzyjacielem, po skruszeniu zaś ich brano się do mieczy i szabel, w które byli uzbrojeni wszyscy żołnierze, to było zupełnie wystarczającem uzbrojenie w kopie tylko pierwszego szeregu, stojący zaś w następnych szeregach strzelcy, mając samostrzały w rękach, mogli razić nieprzyjaciela przed uderzeniem strzałami. Było to zupełnie możebne. Ponieważ największą doniosłość lotu posiada strzała wypuszczona z kuszy, trzymanej pod kątem blizkim do 45°, więc z tylnych szeregów można było strzelać ponad głowami poprzedników, co się u Polaków nazywało „nawija“. Z tego wszystkiego wynika, że Polacy mniej więcej od połowy XIV. wieku mieli już szyk szeregowy. W szyku tym poczty, które bywały większe i mniejsze, kombinowały się i uzupełniały wzajemnie. Ale najczęściej spotykamy kopijników, mających z sobą po dwóch strzelców, co prowadziło do szyku we trzy szeregi.

Liczono też u nas jazdę, podobnie jak w Europie, już podówczas na kopie. Za dowód tego może służyć dyplom 1948 K. W. P., t. III. z r. 1394, w którym Domarat, kasztelan poznański obowiązuje się królowi Władysławowi Jagielle stawić na wojnę 20 kopij, licząc po 5 grzywien na każdą kopię, razem za 400

grzywien. Ale należy tu rozumieć po 5 grzywien na każdego z czterech koni w kopii, gdyż iloczyn 400 grzywien może być otrzymany tylko przez pomnożenie 5 przez 80, tj. ilość koni, którą obowiązany był wystawić Domarat. Z tych 80 koni do boju stawało tylko 60, a z nich 20 kopijników w pierwszym szeregu, a za nimi zaś po 20 strzelców z kuszami w następnych dwóch szeregach. Pozostałe 20 koni były prawdopodobnie pod giermkami czyli pacholętami, po łacinie *laicellus* i *iuvencus (sic)*. Przy każdym kopijniku szlacheckiego rodu znajdowało się takie pacholę, które kopię jego nosiło i miało pod sobą jego konia bojowego. Koń ten stał na rejestrze i był płatny na równi z drugim koniem, którego miał pod sobą kopijnik w pochodzie. Przed rozpoczęciem bitwy pacholikowie oddawali kopie swoim panom i odjeżdżali na miejsce przez wojewodę, a później przez hetmana sobie przeznaczone.

Pacholąt spotykamy przy kopijnikach w naszych rejestrach jazdy od czasów, z jakich nam pozostały, tj. od r. 1471. Byli oni widocznie pozostałością z rycerskich czasów i przyszli do nas prawdopodobnie z Niemiec, gdzie nosili nazwę *Knappe*, może od *Knabe*. Rekrutowali się pacholęta z młodzieży szlacheckiej, chcącej sposobić się na rycerzy. Pozostawanie u nich jakby w terminie trwało od 17—20 roku życia, tj. około 3 lat, w ciągu których ćwiczyli swoje ciało i znajomili się z obyczajami rycerskimi. Po dojściu do lat 20 mogli być pasowani na rycerzy i otrzymać ostrogi.

Na zasadzie tego liczenia na kopie powinniśmy 500 kopij, z któremi Sędziwój Swidwa w r. 1383 ruszył ku Kaliszowi[1], szacować na 1.500 koni. Podobnie i 300 kopij, z któremi Konrad książe śląski w tymże roku odniósł zwycięstwo nad Dzierzkiem z Giewna, zawierały w sobie 900 koni. A nareszcie 100 kopij Wincentego z Sompolna obejmowały 300 koni.

Taktyka i sposób wojowania za pierwszych naszych Piastów, przy pierwotnym charakterze broni, składającej się z łuków i mieczy u piechoty, u jazdy zaś z mieczy i kopij, musiały

[1] Ib., t. II, p. 726.

być elementarne. Stanąwszy na polu bitwy i rozpodzieliwszy wojsko na środek i skrzydła, rozpoczynano walkę od ostrzeliwania się wzajemnego z łuków, a potem wpadano na siebie z kopiami i mieczami w rękach, przyczem zwycięstwo zależało przeważnie od mężnych piersi i silnych dłoni. Używano atoli niekiedy i podstępów, jak to się okazuje z opisu bitwy Mieszka I. z Wichmanem. Podług Witekinda, książe ten rozkazał piechocie swojej udawać ucieczkę, aby tym sposobem odciągnąć wojsko Wichmanowe od obozu, a gdy to nastąpiło, rozkazał jeździe, której dwa hufy otrzymał od szwagra swego, księcia Bolesława Czeskiego, uderzyć na nieprzyjaciela z tyłu. I tym sposobem odniósł zwycięstwo. Widać stąd, że już wtenczas rozumiano słabość tyłu, a zapewne i skrzydeł.

Co do strategii, czyli sposobu prowadzenia wojen, to u Mieszka I., jakoteż u Bolesława Chrobrego i u Krzywoustego dostrzegamy jednakowego jej charakteru. Stosują oni sposób wojowania do siły i właściwości nieprzyjaciela. Unikają wojny i boju z potężnym cesarzem w otwartem polu, uciekając się do partyzantki. Ze słabszymi zaś sąsiadami występują śmiało do walki.

Tak Mieszko I., nie uchylając się od bitew z Wichmanem i Hodonem, względem cesarza jest zupełnie uległy, korzy się przed nim i pomaga mu w wojnach przeciwko Słowianom. Bolesław Chrobry stawia się wprawdzie ostro przeciwko cesarzowi, ale unika otwartej z nim walki w polu. Tak podczas wojny 1005 roku ustępuje przed nim ciągle aż do Poznania, nie występując ani zaczepnie, ani odpornie, dopóki wojsko cesarskie trzymało się w kupie. Ale skoro Niemcy z braku pożywienia zmuszeni byli rozdzielić się dla furażowania, rozpoczął gwałtowne napady na przeciwników. I cesarz zmuszonym się widział wyprawić do Bolesława posłów dla zawarcia jakiegokolwiek pokoju i spokojnego powrotu do domu.

Uchylał się od bitwy Chrobry nawet z mniejszemi siłami ciężko zbrojnych Niemców, u których każdy żołnierz był rycerzem, gdy jego wojsko składało się przeważnie z pospólstwa. Tak, gdy Arnulf i Meinwerk, biskupi, w połączeniu z Jaromirem Czeskim i markgrafami Geronem i Harimanem przedsię-

wzięli w r. 1012 wyprawę do Polski i przechodzili mimo Głogowa, Bolesław, znajdujący się podówczas w tym grodzie, patrzył na nich spokojnie i cierpliwie. I gdy jego żołnierze rwali się do boju i prosili, aby im pozwolił zmierzyć się z Niemcami, on im odpowiedział: „Wojsko, które widzicie przed sobą, jest wprawdzie szczupłe, ale składa się z wyborowych rycerzy. Chociażbym je zwyciężył, nie obejdzie się to bez straty i bez osłabienia sił moich, gdy tymczasem cesarz może z łatwością wystawić nowe wojsko. Lepiej więc cierpliwie wyczekać, aż się nadarzy sposobność, nie narażając się na straty, pomścić się na tych dumnych, z ich szkodą niechybną". I w tych właśnie słowach zawierała się strategia Bolesława Chrobrego względem Niemców. Jakoż tegoż jeszcze roku, gdy się dowiedział o śmierci arcybiskupa Tagina i o wezbraniu Elby, ruszył do Lubuszy. Załoga tego grodu nie przenosiła 1.000 ludzi, gdy do obrony potrzeba było przynajmniej troje tyle, nadto z powodu wezbrania Elby nie mogła twierdza ta liczyć na pomoc z za rzeki, nie była więc w stanie oprzeć się natarczywemu szturmowi Polaków. I Bolesław, siedząc przy uczcie, z radością patrzał, jak wojsko jego wstępowało w bramy zdobytego grodu. Krew niemiecka polała się strumieniem, padło mnóstwo walecznych rycerzy, a Bolesław obciążony łupem wrócił wesoły do domu. Taki to był sposób wojowania Bolesława Chrobrego względem potężniejszego nieprzyjaciela.

Ze słabszymi sąsiadami walczył on śmiało w otwartem polu. Tak np. z Rusią nad Bugiem. Godne tu uwagi, że po odniesionem zwycięstwie i zupełnem rozproszeniu nieprzyjaciela, nie zatrzymuje się on na zdobywaniu grodów, a dąży wprost do stolicy Kijowa. Co też dowodzi trafności jego poglądów strategicznych.

W Bolesławie Krzywoustym odrodził się talent wojenny Bolesława Chrobrego. Taż sama ruchliwość i przedsiębiorczość. Odwaga zaś osobista, sądząc z tego, co nam Gall o niej podaje, prawdziwie lwią nazwana być może.

W wojnie z cesarzem unikał także Krzywousty bitwy stanowczej, a dręczył go partyzantką, wieszając się ciągle nad

Niemcami, podczas ich pochodu do Polski w r. 1109 i urywając na każdym kroku na marszu, jakoteż na odpoczynkach i noclegach. I tym ciągłym niepokojem tak ich zmęczył i znękał, iż radzi byli, choć z wielkiemi stratami, powrócić do domu, nie doprowadziwszy wojny do pożądanego dla siebie końca.

Opisy przez Galla wojen z Czechami i Pomorzanami przez Krzywoustego prowadzonych, podają nam trochę szczegółów, godnych do zanotowania, z taktyki tego monarchy, a mianowicie: jak rozpuściwszy czaty dla niszczenia czeskiego kraju, okrywa je osobnym oddziałem, postępując jednocześnie z całem wojskiem z tyłu, w szyku gotowym do spotkania z nieprzyjacielem; jak już u granicy przy wejściu do lasu, puściwszy po bezdrożach wojsko swoje, zajmuje z częścią onego obronne stanowisko, nakazując najzupełniejszą gotowość na wypadek trwogi. Jak przed napadem na Kołobrzegę pozostawia dwa hufy ukryte w odwodzie; nareszcie, jak podczas szturmu do jakiegoś grodu pomorskiego, gdy jego żołnierze rozproszeni na różnych walczyli punktach, on, podług słów Galla, „nie na jednem miejscu stojąc wypadku boju oczekiwał, ale sam był wszędzie, dokąd go powinność rycerza i przezorność wodza powoływała. Kiedy widział swoich chwiejących się, z pomocą nadbiegał, a kędy cios stanowczy zadać lub z pory stosownej skorzystać można było, tam był przytomny".

Wszystkie te szczegóły dają nam świadectwo, że Krzywousty z lwią odwagą łączył przezorność i ostrożność, oraz wielką zręczność i umiejętność w kierowaniu wojskiem i że był wodzem niepospolitej i wielkiej miary.

Książęta dzielnicowi byli już tylko pigmeuszami w stosunku do swych wielkich przodków. Nie brakowało im na dążności do rozszerzenia swych dzielnic, ale to wychodziło na szkodę ich wspólnej ojczyzny, którą wzajemnymi najazdami i wojnami bezlitośnie trapili i niszczyli.

Władysław Łokietek, lubo potrafił połączyć w jedno dzielnice, nie stał na wysokości zadania jako obrońca kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych. Nie obwiniamy go za to, że wtargnąwszy z wielkiem wojskiem w granice krzyżackie, nie doka-

zał niczego, Krzyżacy bowiem, uchyliwszy się mądrze od bitwy w otwartem polu, pochowali się po swych mocnych, murowanych zamkach, ale niepodobna mu darować, że pozwolił tymże Krzyżakom spustoszyć znaczną przestrzeń swego państwa. Przyczyną zaś tego było najprzód, że dał się zaskoczyć niespodzianie, lubo utrzymując szpiegów mógł się zawczasu dowiedzieć o przygotowaniach rycerzy krzyżowych na wyprawę do Polski. A potem, że mając wiele chwil zręcznych do tępienia nieprzyjaciela, gdyż kręcąc się około niego, musiał widzieć, że wydziela on partye do rozszerzenia zniszczenia na większą przestrzeń kraju, z której Chrobry i Krzywousty skorzystaliby niezawodnie, bijąc nieprzyjaciela częściami. Łokietek raz tylko wyzyskał nieostrożność Krzyżaków i zadał im ciężką klęską pod Płowcami, ale to już było zapóźno.

Epoka ta skończyła się świetnym zwycięstwem pod Grunwaldem, w którem pospolite ruszenie doszło do szczytu rozkwitu swojego i pomściwszy wszystkie poprzednie krzywdy od Krzyżaków doznane, złamało ich potęgę, której powrócić nie byli już w stanie.

Konstanty Górski.

WYCHODŹTWO POLSKIE W BRAZYLII.

Niegdyś, nie tak dawno zresztą temu, w kółkach popowstaniowej emigracyi naszej, omawiano gorąco projekt zakupienia gdzieś na Spokojnym Oceanie małej wysepki, aby na niej pod protektoratem angielskim czy francuskim Nową Polskę założyć... Projekt ten, jak wiele innych pomysłów, zrodzonych w głowach polityków z kawiarni Palais-Royal, pozostał oczywiście w dziedzinie projektów niewykonalnych ze względów „wyższej“ polityki. Tymczasem, jak to się w życiu zdarza, myśl, omawiana przez teoretycznych kolonizatorów, znalazła urzeczywistnienie w sposób całkowicie nieprzewidziany i przez ludzi, którzy ani o projektach paryskich, ani o wysokiej polityce nigdy nie słyszeli.

Gdyby ktoś podówczas powiedział, iż ideę tę urzeczywistni kiedyś emigracya chłopska, idąca bez żadnego planu politycznego w pogoni za chlebem, uznanoby go niewątpliwie za kandydata do Kulparkowa. A jednak tak się stało. Nietylko w Ameryce Północnej żywioł polski zdołał sobie zapewnić swobodny rozwój narodowy, ale i gdzieindziej, w okolicy, o której nikt przed kilkoma laty jeszcze na seryo nie myślał — w Brazylii Południowej. Jako rezultat przeróżnych mniej lub więcej nieudanych projektów kolonizacyjnych brazylijskiego rządu, utworzyło się znaczne dziś już ognisko polskie, a przestrzeń żyznej ziemi, którą polscy włościanie stopniowo zajęli, równa się obszarowi całej Francyi, jakkolwiek liczba mieszkańców jeszcze się tam na dziesiątki tysięcy zaledwie liczy.

Opinia publiczna w całym kraju naszym, która po wystąpieniu Polaków amerykańskich na lwowskiej wystawie krajowej pogodziła się zupełnie z wychodźtwem zarobkowem do Stanów Zjednoczonych, nowy kierunek emigracyi, i to emigracyi osadniczej, przyjęła bardzo sceptycznie, a represyjne środki rządowe, przedsiębrane zarówno w Austryi jak w Rosyi celem stłumienia wychodźczego ruchu, były tej opinii wyrazem. Uważano emigrantów brazylijskich za ludzi bezpowrotnie dla kraju straconych, chociażby nawet pod względem materyalnym. Opinie pesymistyczne, dotychczas przez całą niemal prasę szerzone, miały się okazać nieuzasadnionemi.

Pozwolę sobie zadać jednak łaskawemu czytelnikowi jedno zasadnicze pytanie: Jeżeli wychodźtwo polskie, rzucone wśród wysoce cywilizowanego i potężnego liczebnie i kulturnie społeczeństwa północno-amerykańskiego nie uległo wynarodowieniu pod wpływem wyższej kultury anglo-saskiej, i zdołało obronić skutecznie swoją narodową odrębność, tworząc zaledwie 2% całkowitej ludności, a w najbardziej nawet skupionych ogniskach polskości, jak Chicago, nie więcej nad 10% tejże, jeżeli polski włościanin nietylko nie uległ wynarodowieniu, ale przeciwnie, w Ameryce nieraz nauczył się czcić i kochać narodowe ideały, lekceważone lub ignorowane całkowicie w kraju, jeżeli chłop polski, zaledwie piśmienny, zamiast przejąć się obcą a wyższą kulturą, zdołał w sercu obcego społeczeństwa wytworzyć własne szkolnictwo, prasę, literaturę, organizacyę polityczną. Jeżeli, powtarzam, to wszystko stało się w Stanach Zjednoczonych, jakim tedy sposobem staćby się mogło, iż ten chłop czy rzemieślnik, dostawszy się do kraju niemal całkowicie pustego, jakim są Stany Parana lub północna część Rio Grande do Sul, do kraju, w którym ludność miejscowa, o ile istnieje, składa się z pół dzikich, leniwych i niedołężnych pasterzy lub strzelców, wobec których najciemniejszy z naszych wychodźców staje się krzewicielem kultury wyższej; do kraju, w którym stanowią dzisiaj co najmniej 30%, a w okolicach i okręgach przez siebie zajętych 80—90% ludności osiadłej; do kraju, w którym nie zagraża mu ani kultura wyższa, ani środki przymusowe, do których prze-

prowadzenia bezsilny i niedołężny rząd miejscowy nie posiada ani władzy ani siły, jakim sposobem, zapytuję, stałby się mogło, że Polacy o narodowości swojej zapomnieliby mieli. Stać się to może istotnie, jeżeli zawczasu sprawy tej nie weźmiemy do serca, lecz bynajmniej nie na korzyść Brazylianów, ale... przybywających razem z Polakami wychodźców niemieckich, którzy, pomimo liczebnej swej słabości (w Paranie jest ich zaledwie około 10.000) germanizują Polaków wyższością swojej organizacyi narodowej, przewagą kulturalną i majątkową. Gdybyśmy dopuścili do tego, aby garstka Niemców na wolnej obcej ziemi wynarodowiła zwartą masę polskich osadników, byłoby to z naszej strony zbrodnią nie do darowania.

A obronić kolonistów od zalewu Niemców łatwo; nie potrzeba na to funduszów stumilionowych, nie potrzeba walki orężnej, potrzeba tylko kilku ludzi dobrej woli, potrzeba organizacyi narodowej na wzór Polonii północno-amerykańskiej, potrzeba wspierać zarodki polskich szkółek, towarzystw, przedsiębiorstw kolonizacyjnych; na to wiele dobrej woli, wiele konsekwentnej agitacyi, wiele osobistego potrzeba poświęcenia, ale sprawa ma przyszłość przed sobą, i jeżeli ją teraz z rąk wypuścimy, za lat kilkanaście może być za późno: możemy spotkać się z nieistniejącą dotychczas konkurencyą włoską lub francuską, że już nie mówię o Niemcach, i bardzo ładne początki samodzielnej kolonizacyi polskiej dobrowolnie zmarnujemy.

Emigracya ze wszystkich dzielnic Polski istnieje od lat trzydziestu, a rozmiary jej poważne, bo do 30.000 ludzi rocznie liczy. Jakiżby to był tryumf dla nas, gdybyśmy przynajmniej znaczną część tego wychodźtwa, rozpraszającego się po całym świecie, i rozpływającego w morzu obcych narodowości zdołali skupić w jedno miejsce, gdzieby warunki klimatu, gleby i stosunki ekonomiczne dawały rodakom naszym rękojmię pomyślnego w przyszłości rozwoju.

A krajem takim niewątpliwie jest Brazylia Południowa, ta sama kraina bogata niegdyś, o którą toczyły stuletnią przeszło wojnę nasamprzód Hiszpania z Portugalią, następnie Portugalia z Missyami paragwajskich Jezuitów, potem Brazylia z Argen-

tyną, aż wreszcie skończono walkę, obróciwszy w perzynę niegdyś kwitnące osady, i wytępiwszy ludność tubylczą tak skutecznie, że dotychczas, gdyby nie liczna immigracya europejska, kraj ten bogaty i piękny stałby pustkami.

Rząd brazylijski w różnych czasach faworyzował immigracyę europejską do Stanów Południowych, w mniemaniu, iż pomięszawszy ze sobą kilkanaście narodowości, i uczyniwszy w koloniach istną wieżę Babel, zdoła kolonistów na Brazylianów wkrótce przerobić. Rezultaty zawiodły oczekiwania, powtórzyła się bowiem znana historya o kozaku, co złapał Tatarzyna... Immigranci europejscy, zamiast stworzyć nową kategoryę białych murzynów, wypierają coraz bardziej rodowitych Brazylianów z ich własnego kraju, i niedługo już czekać przyjdzie na to, że wbrew pierwotnej intencyi kolonizatorów rządowych, olbrzymie obszary południowej Brazylii rozdzielą się stopniowo na odrębne okręgi narodowe; walka o stan posiadania toczy się obecnie przeważnie na południu, w stanie Rio Grande do Sul, pomiędzy Niemcami i Włochami; w Paranie, na razie zaniedbanej, element polski wzrósł tak silnie, że wyparcie go z zajętych stanowisk nie kusi nikogo. Od kolonistów samych, a po części i od nas, od opinii publicznej w kraju zależy, czy te piękne początki zmarnowane nie będą, i czy dzisiejsze okręgi „Nova Polonia“, „Nova Galicia“ i t. p., nie przetworzą się z czasem w Nową Germanię lub Nowe Palermo; o przetworzeniu ich w Nową Brazylię niema obawy.

Zanim przejdę do krótkiego obrazu dziejów wychodźtwa naszego w Brazylii, zmuszony jestem zrobić małą wycieczkę w dziedzinę geografii, przekonałem się bowiem niejednokrotnie, iż pomimo, że przedmiot ten wykłada się w szkołach naszych, pojęcia o Ameryce nawet u wykształconego ogółu są bardzo niewyraźne, i więcej wiemy np. o kraju Niam-Niamów i Mpungwasów lub o okolicach podbiegunowych, aniżeli o kraju, w którym tysiące naszych rodaków szukają chleba. Proszę zatem szanownego czytelnika o otwarcie atlasu, a jeszcze lepiej wziąć do ręki globus, dla uniknięcia wynikających ze stożkowego rzutu mapy defiguracyj, i przekonać z cyrklem w ręku, iż najbliższa

droga z Nowego Yorku do Rio Janeiro prowadzi przez Liwerpool. Mam nadzieję, iż manipulacya ta uwolni autora od bardzo nieraz drażliwych rozmów z osobami, posiadającemi patenta akademickie, w rodzaju następującej np.:

— Pan dobrodziej był w Brazylii?

— Tak trochę; mały kawałeczek...

— A to musiał się pan tam spotkać z Iksem, właśnie niedawno tam wyjechał.

— A gdzież pan Iks przebywa, bom go dotychczas nie spotkał?

— W Chicago...

Globus przekona, iż do Rio Janeiro znacznie bliżej ze Lwowa aniżeli z nad brzegów Michiganu.

Brazylia zajmuje obszar tak olbrzymi po obu stronach równika, iż wydanie jakiegokolwiek ogólnego sądu o tym kraju na podstawie częściowej tylko jego znajomości miałoby taką samą racyę, jak gdyby np. ktoś zwiedziwszy Neapol, twierdził, że w całej Europie rosną na wolnem powietrzu palmy, lub po bytności w Sztokholmie, dowodził, że w Europie nigdzie się kukurudza nie rodzi. Przesłanki podobnego rozumowania byłyby matematycznie te same, na jakich opiera się u nas opinia publiczna w sądzie swoim o Brazylii: „Ponieważ, powiadają, w Rio Janeiro panują nieznośne upały, w Santos grasuje żółta febra, a w Pernambuco sadzą bawełnę i kakao, więc... w całej Brazylii panuje klimat gorący i zabójcze febry, a uprawa zbóż europejskich jest niemożliwą". Albo np.: „ponieważ w stanie Espiritu Santo wychodźcy używani są wyłącznie jako robotnicy do plantacyj i źle się z nimi tam obchodzą, *ergo*... nieprawdą jest, aby gdziekolwiek w Brazylii emigrantom europejskim nadawano grunta na własność i dobrze im się wiodło". Te i tym podobne rozumowania służą niewątpliwie za podstawę opinii szerszego ogółu naszego o Brazylii i jej koloniach. Ile w tem słuszności, zobaczymy dalej.

Rzeczpospolita brazylijska zajmuje przestrzeń 8,337.218 km. kwadratowych, czyli, że jest o milion kilometrów kwadr. tylko mniejszą od Stanów Zjednoczonych, a półtora miliona kwadra-

towych kilometrów mniejszą od całej Europy razem z Rosyą. Trzy największe stany (Amazonas, Matto Grosso i Pará) liczą razem 4,425.383 km. kw., czyli są blizko dwa razy większe od Argentyny, o jedną piątą mniejsze od Rosyi Europejskiej, 8 razy większe od Austro-Węgier... a na całym obszarze tych olbrzymich prowincyj mieszka podług ostatnich wykazów urzędowych zaledwie 567.754 ludzi, z czego połowa zamieszkuje handlowe miasto Para.

Na całym obszarze rzeczypospolitej ludność wynosi 15 milionów, a gęstość zaludnienia przeciętna 1.8 na kilometr kwadratowy. Największa gęstość zaludnienia, z wyjątkiem jedynie stolicy, nie przewyższa 9 ludzi na kilometr kwadratowy, a na południu, które dla nas ma specyalne znaczenie, wynosi około 5 na km. kw., w Paranie zaledwie 1 na km. kw. Miejsca przeto tam nie brak, nawet gdy odrzucimy całkowicie, niezdrowe i puste okolice dorzecza Amazonki. Zobaczmy teraz, o ile miejsce to wymaganiom naszego emigranta odpowiedzieć może.

Brazylia geograficznie przedstawia się jako połączenie dwu olbrzymich dorzeczy, stykających się ze sobą pod kątem prostym: Amazonki i Parany (La Plata). Dorzecze Amazonki, obejmujące stany: Amazonas, Maranhao, Para, przedstawia się jako jedno olbrzymie bagno, porosłe dziewiczym lasem, o zabójczym dla Europejczyka klimacie. Rzeka Amazonka płynąca w pobliżu równika, posiada spadek nadzwyczaj mały zaledwie 300 metrów, a jedynie górna jej część, położona jednak już w granicach Peruwii, posiada klimat zdrowy, jakkolwiek gorący, gdzie uprawiają kakao i kawę. Od granicy peruwiańskiej, na całym obszarze Brazylii, Amazonka i jej dopływy przedstawiają, jak wspomniałem, teren niedostępny dla europejskiej kolonizacyi, zajęty dotychczas przez mniej lub więcej spokojne szczepy indyjskie i brazylijskich metysów.

Od ujścia Amazonki na południe cała wschodnia część brazylijskiego lądu przedstawia się jako płaskowyż o falistej powierzchni, spadający bardzo łagodnie ku zachodowi w stronę dorzecza Madeiry i Parany, przeciętych wielką ilością pasm górskich, dochodzących miejscami do 3.000 metrów wysokości. Prze-

ciętna wysokość płaskowyżu wynosi 800—1.000 metrów. Im dalej posuwamy się na południe od równika, tem oczywiście klimat płaskowyżu staje się łagodniejszym, zmienia się stopniowo charakter flory leśnej i roślin uprawnych, aż wreszcie, posuwając się ku południowi, miniemy południową granicę stanu Sao Paulo a z nią wkraczamy w terytoryum dawnych misyj jezuickich, obejmujące trzy stany południowe, Parana, S-ta Catharina i Rio Grande do Sul, wrzynające się klinem pomiędzy brzegi Atlantyku, Paragwaj, Argentynę i Urugwaj.

Terytoryum to, stanowiące odrębną całość klimatyczną i geograficzną, jest tą właśnie okolicą, do której wychodźtwo europejskie w ostatnich latach przeważnie się kieruje, są to też zarazem jedyne trzy stany, gdzie zamiast wielkich obszarów plantacyjnych, spotykamy niemal wyłącznie drobną własność ziemską fermerów europejskich: Niemców, Włochów i Polaków.

Całkowity obszar trzech stanów południowych przedstawia się, jak następuje:

Parana	221.319	km. kw.	Ludność	250.000
S-ta Catharina	74.156	„ „	„	236.246
Rio Grande do Sul . .	236.553	„ „	„	968.231

Płaskowyż południowo-brazylijski wznosi się stromo od brzegu Atlantyku do wysokości około 1.000 metrów, skąd spada łagodnie ku granicy paragwajskiej, wskutek czego, z wyjątkiem kilku krótkich strumyków w stanie S-ta Catharina, wszystkie rzeki płaskowyżu mają spadek nie ku morzu, ale w głąb kraju, płynąc od wschodu ku zachodowi do rzeki Parana i Urugwaju. Płaskowyż ten, z wyjątkiem gorącej doliny Paranapanemy, tworzącej granicę stanów Parana i Sao Paulo, oraz wązkiej smugi gorącego wybrzeża morskiego, gdzie sadzą kawę i trzcinę cukrową, posiada na całym swoim obszarze klimat łagodny i zdrowy, odpowiadający w zupełności klimatowi Włoch i nadaje się wszędzie do uprawy zbóż europejskich, natomiast nigdzie tutaj nie udaje się kawa z powodu częstych, ostrych przymrozków, a nawet śniegu, leżącego niekiedy po dni kilka. Granice tego regionu umiarkowanego (geografowie brazylijscy nazywają go „zimnym“), tworzy od północy dolina Paranapanemy, od

wschodu grzbiet gór nadmorskich Serra do mar, od zachodu rzeka Parana, poza którą jeszcze ciągnie się ten sam region w granicach republiki paragwajskiej aż do równin okolic Villa Rica i Concepcion; od południa stanowi ją linia prosta, ciągnąca się od wschodu na zachód, od szerokości Porto Allegre do Uruguayana, skąd zaczyna się odmienny już region geograficzny, stepy urugwajskie, gdzie się dotychczas jeszcze tylko wśród górskich i lesistych oaz osiedlili koloniści polscy, podczas gdy cały obszar stepowy dotąd jedynie do chowu bydła służy. Klimat tej najbardziej południowej części Brazylii, pomimo odległości od równika, jest znacznie gorętszym, aniżeli na płaskowyżu Parany. W Porto Allegre np. upały dochodzą 37° C. w cieniu, tj. tyleż, co w Rio Janeiro, a wino z powodu zbytniego gorąca uprawiać się nie daje, natomiast uprawiają tutaj ryż z powodzeniem.

Obszar płaskowyżu przedstawia falistą okolicę w części porosłą dziewiczym lasem araukaryj, mahoniu, palisandru i t. d., w części zaś na miejscach, gdzie grunta są lichsze, obszary stepowe, o wiele jednak ustępujące dobrocią paszy bujnym pampasom Argentyny, natomiast obfitujące wszędzie w dobrą wodę zdrojową. Kolonie rolnicze dotychczasowe leżą wszystkie w obrębie plam leśnych, w dolinach rzek ważniejszych, które jednak są spławnemi tylko na połowie swego biegu, dolny bieg ich bowiem kończy się wszędzie bystrzynami, progami i wreszcie wielkimi wodospadami, uniemożliwiającymi żeglugę do ujścia, tak, iż posiadają te rzeki znaczenie jedynie dróg wodnych dojazdowych, o ile pozostają w zetknięciu z rosnącą szybko wraz z postępem kolonizacyi siecią kolejową.

Jakim to się stało sposobem, iż na widowni brazylijskiej, dokąd rok rocznie setki tysięcy emigrantów z całej Europy napływa, pojawiła się samoistna emigracya polsko-litewska z całego obszaru ziem dawnej rzeczypospolitej, od Gdańska po Odesę i od Poznania po Dniepr, to już należy do historyi. Stało się to tak niespodzianie, iż jeszcze w r. 1894 urzędowe sprawozdanie referenta brazylijskiego na kongresie emigracyjnym w Genui wspom-

mniało o nim jako o epizodzie bez znaczenia, który w praktyce dał rezultaty ujemne (w znaczeniu interesów brazylijskiego rządu), a w parę lat później już tenże rząd widział się zmuszonym wydać obostrzenia i zakazy przeciwko napływowi emigracyi polskiej.

Kilku sztucznie wywołanych przez potrzebujących robotnika plantatorów dało impuls ruchowi, który dzisiaj już bez sztucznej zachęty, lecz nawet wbrew wyraźnym zakazom rządu brazylijskiego, krzywo patrzącego na koncentracyę jednoplemiennego żywiołu, a na ograniczonym obszarze płynie spokojnie, uwagi naszej nie zwracając, zarówno z Galicyi, jak z Litwy, Ślązka, Kaszubów, Mazowsza i Żmudzi. Przyczyny składały się na to różne: nędza i brak zarobku z jednej, gorączka złota i chęć łatwego zysku z drugiej strony, gdzieindziej ucisk religijny i narodowy, jak na Podlasiu i Litwie, to znów nienawiści partyjne, jak w Galicyi wschodniej, dość, że na ziemiach dawnej Polski ajenci brazylijscy łatwe znaleźli pole. Kiedy jednak kilkadziesiąt tysięcy Polaków, zamiast iść do plantacyj, dokąd ich werbowano, wszyscy powoli ściągnęli do jednej okolicy, zwartą masą biorąc w posiadanie obszary niezmierzone, naówczas powtórzyła się historya z p. Jowialskim: „Sam chciałeś“. —„No chciałem, chciałem, ale już nie chcę!“. Rząd brazylijski wydaje zakaz po zakazie przywozu immigrantów polskich; nasamprzód skasowano dla polskich wychodźców bilety bezpłatnej jazdy, potem rząd odmówił wysyłania ich ze stolicy na miejsce obrane przez nich na mieszkanie, wbrew wyraźnemu brzmieniu ustawy immigracyjnej, wreszcie zakazał wogóle przyjmowania na pokład okrętów emigranckich pasażerów trzeciej klasy narodowości polskiej. Wszystkie te zakazy pozostały jednak martwą literą. Dopóki wogóle istniały bilety bezpłatne, korzystali z takowych Polacy, podając się za Niemców, Rosyan, Austryaków, a w razie potrzeby nawet w Anglików się przerabiając i podając fałszywe nazwiska. Brazylianie tymczasem w etnografii nie bardzo biegli uważali, iż ustawie stało się zadość, gdy na jednej kolonii pomięszali ze sobą Polaków (z Kongresówki), Rosyan (Litwinów i Łotyszów), Niemców (Polaków z Prus, Kaszubów i Ślązaków)

wreszcie Austryaków i Galicyan, podając w wykazie urzędowym, jako tyleż odrębnych narodowości. Z czasem nawet tam, gdzie naprawdę pomiędzy polskich wychodźców zabłąkał się jakiś Włoch, Niemiec lub Hiszpan, sąsiedzi odkupili od niego grunta i obce żywioły nikły z kolonij, na których dotąd na szczęście antagonizmy rusko-litewsko-słowackie nigdzie nie dały się uczuć.

Głównem ogniskiem kolonizacyi polsko-litewsko-ruskiej stała się Parana; w dwóch innych stanach istnieją wprawdzie liczne kolonie polskie, nie tworzą jednak zwartej masy, lecz są wyspami rozsianemi wśród kolonij innoplemiennych.

Obraz kolonizacyi polskiej w tych stanach odkładam do następującego szkicu.

Dr. Józef Siemiradzki.

RELIGIA PRZY EGZAMINIE DOJRZAŁOŚCI.

(Dokończenie).

III.

Przeciw przywróceniu religii jako przedmiotu obowiązkowego przy egzaminie dojrzałości podnoszą się u nas z różnych stron zarzuty różnej natury i wartości.

Ważność i aktualność sprawy, o którą nam chodzi, wymaga, aby te zarzuty bliżej rozpatrzeć — te przynajmniej, które pochodzą ze sfer fachowych i które podniesiono w głosach publicznych.

Między innemi, omawiano tę sprawę na posiedzeniu koła krakowskiego Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, dnia 13 października 1894 r.[1], gdzie tłem głównem obaw i zarzutów, odnoszących się do ponownego wprowadzenia religii przy egzaminie dojrzałości, był rzekomy brak odpowiednich podręczników, możliwość większego jeszcze obarczenia młodzieży, tudzież obawa o przesadne wymagania katechetów przy tym egzaminie. W zeszycie czerwcowym *Muzeum* z r. 1896 poświęcił temu przedmiotowi krótką uwagę dr. Franciszek Majchrowicz w artykule p. t.: „W sprawie egzaminów dojrzałości w naszych szkołach średnich“[2]. „Między przedmiotami — pisze on — których brak w rzędzie przedmiotów egzaminu dojrzałości dotkliwie uczuwa

[1] P. *Muzeum* z r. 1895. zeszyt styczniowy, str. 48 i n.

[2] P. *Muzeum*, 1896, str. 355 i n.

każdy, komu nie jest obojętna sprawa religijno-moralnego wychowania młodzieży naszej, pierwsze niewątpliwie miejsce zajmuje nauka religii. W czasach zwłaszcza dzisiejszych, w których życie religijne młodzieńca, opuszczającego progi szkolne, narażone jest na tyle nieprzewidzianych niebezpieczeństw, pewien zasób wiadomości etyczno-religijnych mógłby niewątpliwie służyć mu za broń, przeciw rozlicznym atakom jedynie skuteczną". Po tym wstępie, zgodnym zresztą w całej osnowie z poglądami na tę sprawę wszystkich prawie pedagogów, a pozwalającym oczekiwać wcale odmiennego wniosku, uznał autor za stosowne podać następujące zastrzeżenia: „Z drugiej jednak strony prawdą jest, nie dającą się zaprzeczyć, że wiadomości pozytywne z różnych dziedzin nauki religijnej mają dla edukacyi religijno-moralnej znaczenie tylko drugorzędne, że bez porównania więcej waży tu dla religijno-moralnego życia ucznia wpływ ze strony katechety, profesorów i całego otoczenia szkolnego, waży więcej zdrowa atmosfera religijno-moralna, wśród której uczeń przez lat ośm przebywa. Prawdą jest także, że poszczególne działy nauki religii, podawane w szkole średniej, obejmujące zakres stosunkowo bardzo znaczny, przytem nie dające się ze sobą organicznie powiązać (?!), nie nastręczające sposobności do uproszczenia i koncentracyi (!) przy jeneralnem powtarzaniu, muszą uczniowi nawet zdolnemu przedstawić poważne trudności do pokonania. Jeżeli do tego dodamy fakt, że nawet przy najściślejszem przeprowadzeniu egzaminu z religii ani katecheta, ani komisya egzaminacyjna nie może mieć gwarancyi, że zbadała to, co w nauce tej jest najważniejszem (!?) — dojrzałości etyczno-religijnej abituryenta — to nie widzimy słusznego powodu, dla którego należałoby domagać się przywrócenia nauki religii, jako przedmiotu obowiązkowego przy ustnym egzaminie dojrzałości".

Wyrazem powyższych zapatrywań na tę sprawę było także publiczne oświadczenie d-ra Bolesława Mańkowskiego, złożone wbrew wszystkim innym głosom w przebiegu dyskusyi nad tym przedmiotem w sekcyi szkolnej II. wiecu katolickiego we Lwo-

wie, a zachowane w zapiskach stenograficznych obrad wiecowych dla wydać się mającej księgi pamiątkowej.

W odpowiedzi na niektóre z powyższych zarzutów wyprzedził mnie już i wyręczył częściowo ks. M. Jeż[1]. Pozostaje mi przeto, po zregestrowaniu poprzednich, zająć się przeważnie tymi, których jeszcze dotąd nie odparto. Aby czytelnikowi ułatwić pogląd, a do rozprawy wprowadzić pewien porządek i przejrzystość, różnorodne i nieraz dość skomplikowane, opinie oponentów sprowadzam do kilku punktów i każdy z nich rozbieram osobno. Pierwszeństwo daję zarzutom osnutym na tle pedagogicznem lub psychologicznem, bo chociaż z natury swej teoretyczne, wnikają jednak bardziej w istotę rzeczy. Następnie zajmę się tymi, które podniesiono ze względów utylitarnych i praktycznych.

„Religia — powiadają jedni — nie jest przedmiotem potrzebnym przy egzaminie dojrzałości. Aby wszczepić miłość do religii, aby się przekonać o kierunku religijno-moralnym ucznia, miał katecheta całych lat ośm. Po cóż więc ten egzamin? Czy on zapewni cel nauki religii? Czy uczyni młodzieńca bardziej religijnym? Jeżeli mu w ciągu lat nauki szkolnej wlano ducha religijnego, to z pewnością nie straci go w dalszem życiu mimo udałego lub nieudałego egzaminu. Jeżeli tego nie dokonano, przez szereg lat całych, to egzamin z religii przy maturze wcale tego nie osiągnie".

Na ten zarzut odpowiadam, że przedewszystkiem należy ustalić pojęcie religii, inaczej z pogmatwania tego pojęcia wynikać będzie w tej kwestyi zawsze niejasność i nieporozumienie. Religia jest i cnotą i wiedzą zarazem. Jako cnotę określa się ją mianem religijności, i przyznaję otwarcie, że gdy chodzi o wyrobienie w młodzieńcu tej cnoty, tego — jak mówią oponenci — „kierunku religijno-moralnego", to nie wystarczy zapewne sam egzamin dojrzałości. Do osiągnienia tego celu dążyć należy w istocie pracą powolną, ciągłem oddziaływaniem przez pobudki i przykłady, wpajaniem zasad religijnych, ustawicznym wpływem duchowym katechety i całego grona nauczycieli, a nade-

[1] Patrz *Dwutygodnik katechetyczny* r. 1897, str. 17 i 33.

wszystko ogniska domowego. W tym względzie korzystać tu muszą wszystkie czynniki wychowawcze z rozlicznych środków, wskazanych przez etykę chrześcijańską i zdrową pedagogię, których tu chyba wyliczać niepodobna. Dodam tylko, że chociaż żaden katecheta od tej pracy nad pielęgnowaniem w młodzieży prawdziwej religijności się nie usuwa, i żaden wyłącznie w egzaminie dojrzałości zdobycia tego celu ani zbawienia poruczonej sobie młodzieży nie upatruje, to jednak każdy czuje dobrze, że ten egzamin stanowi jeden ze środków do tego celu bardzo pomocnych.

Ale znacznie większej nabiera ten egzamin doniosłości, jeśli religię weźmiemy na uwagę pod innym względem tj. jako wiedzę. Że ona w rzeczywistości jest wiedzą, a zatem przedmiotem nauki, owszem umiejętnością najszczytniejszą i najdoskonalszą, królową wszystkich nauk, tego przywileju i godności odmówić jej nie zdołają, ani też nie odmawiają w istocie, najzaciętsi nawet wrogowie. A skoro jest wiedzą, przedmiotem rozumu, to musi być zarazem przedmiotem nauczania i egzaminowania. Jak każdą inną wiedzę, wszczepiać ją można tylko przez nauczanie systematyczne, gruntowne i ścisłe. Lecz jak jedyną drogą do nabycia wiedzy jest nauka, tak znowu jedynym sposobem przekonania się o poziomie wiedzy jest badanie, odpytywanie, egzamin.

Tak było zawsze, jak świat światem, a nauka nauką.

Jeśli tedy egzamin maturyczny w tym celu powołano do życia, aby grono nauczycielskie i naczelna władza edukacyjna miała możność zbadania ogólnego wykształcenia i umysłowej dojrzałości młodzieży gimnazyalnej, jeśli dalej uznano za właściwe każdy dział wiedzy, każdą główniejszą gałąź nauki, poddać przy tym egzaminie osobnemu badaniu — to doprawdy niepodobna dopatrzeć się logicznego powodu, dla któregoby właśnie religia, najważniejszy dział wiedzy i pierwszy, nawet w świadectwie dojrzałości, przedmiot nauki, miała być od tego egzaminu wykluczoną? Wszak nie wchodząc już nawet w porównawcze studya co do jej wartości i godności w stosunku do innych przedmiotów, objętych planem nauki gimnazyalnej, zaprzeczyć się nie da, że ściślej nierównie, niż każda inna gałąź

nauki szkolnej, spojoną jest ona z przyszłemi zadaniami młodzieńca w szerszem życiu, na widowni publicznej. Bo i któraż z kwestyj politycznych, które z zagadnień ekonomicznych i społecznych, obchodzących dziś świat cały i wstrząsających nim ustawicznie, da się pomyślnie rozwiązać bez znajomości i zastosowania zasad religijnych? Któryż nawet dział umiejętności jest tak niezależny, tak w sobie zamknięty i skończony, by mógł ignorować te odwieczne prawdy, jakie głosi religia? I czyż słuszna, młodzieńca, który wchodzi właśnie w to szersze życie, który odtąd na każdym niemal kroku stykać się będzie z badaniami, związanemi swą treścią i ostateczną przyczyną jak najmocniej z religią, puszczać w to życie bez należytego zbadania jego wykształcenia religijnego, bez przekonania się, czy zebrał potrzebny do życia zasób wiadomości religijnych, czy je należycie przetrawił i sobie przyswoił?

Nie, — słusznem to nie jest!

„Ale — twierdzą drudzy — młodzieży szkolnej nie brak wiedzy, lecz brak jej uczuć religijnych i silnej, żywej wiary. A skoro ani tych uczuć, ani tej wiary nie ożywi, ani niezbitego o ich istnieniu świadectwa nie poda egzamin dojrzałości, to lepiej zaniechać przy nim egzaminu z religii".

Trzeba być w najlepszym razie bardzo wielkim optymistą, aby módz twierdzić, że młodzież nasza wynosi ze szkoły dostateczną wiedzę religijną. Nie mój to sąd osobisty albo odosobniony, ale przekonanie powszechne ludzi, patrzących trzeźwo a bystro na nasze stosunki społeczne, że młodzież szkolna, więc ta właśnie, która dostarcza głównego zastępu sferom inteligencyi, opuszcza zakłady szkolne z bardzo powierzchownem, słabem i niedostatecznem, religijnem wykształceniem. Często też, dopiero po wielu latach i po ciężkich przejściach, uzupełniać je musi bądź przez specyalne studya, bądź przez czytanie odpowiednich książek. Wieluż to ludzi, dobrze nam znanych, spotykanych w życiu co krok, dopiero po twardych doświadczeniach życia, po całej drodze krzyżowej dochodzi bądź pracą własną, bądź przez wpływy otoczenia lub ogniska domowego, niekiedy za wskazówką doświadczonego kapłana, a nie rzadko nawet przez

nadzwyczajne wypadki, do głębszego i trwałego poznania prawd wiary katolickiej. Czy w podobnych warunkach poradną jest rzeczą usuwać sposobność jedyną do powtórzenia i ujęcia w całość organiczną materyału naukowego z zakresu religii i w ten sposób uniemożliwiać zaokrąglenie i ugruntowanie samej wiedzy religijnej — na to odpowiedziałem już w poprzedniej części. Tam też wykazałem, że egzamin z religii odpowiada najzupełniej i celom nauki samej i karności szkolnej. Gdyby się przez ten egzamin niczego więcej nie osiągnęło, jak tylko to, że dałoby się uczniowi sposobność do powtórzenia przedmiotu nauki, a tem samem do pogłębienia wiedzy religijnej, jużby i cel egzaminu i zarazem główny cel nauki szkolnej był osiągnięty. Wszak i tu jak w innych przedmiotach, ma swe pełne znaczenie i zastosowanie złota reguła dydaktyki: *Repetitio est mater studiorum,* a tu tem więcej jeszcze, że, jak to również miałem już sposobność wykazać, szczupły w poszczególnych klasach wymiar czasu na ten dział nauki utrudnia wielce w zwykłych warunkach wykonanie powyższej reguły.

Ale przypuśćmy, jak chcą oponenci, że całem złem, jakie spostrzegać się daje u młodzieży, jest wyłącznie brak uczuć religijnych i żywej wiary. Autorowie tego zarzutu nie spostrzegli że stawiając to twierdzenie, ukuli broń sami przeciwko sobie. Niedostatek pod względem uczuć religijnych świadczy przecież wymownie o niedostatku pod względem religijnej wiedzy, a dla podniesienia poziomu wiedzy religijnej niezbędnym jest, jak już mówiliśmy, egzamin z religii przy maturze. Stary aksyom: *Ignoti nulla cupido* i w tym przedmiocie znajduje pełne zastosowanie. Jeżeli, jak to zarzut opiewa, młodzieży naszej brak uczuć religijnych, to chyba tylko dlatego, że nie zna dostatecznie samych prawd religijnych, ich piękności i szczytności. Przecież wiedza pozostaje zawsze w tym stosunku do uczuć, jak przyczyna do skutku. Czego się dobrze nie zna, tego też ukochać nie podobna. Miłość do religii, żywe uczucia religijne, muszą być przygotowane, pielęgnowane i zachowane przez nauczanie. To też myli się p. dr. Majchrowicz i staje poniekąd w sprzeczności z zasadami pedagogicznemi, którym zresztą wierny hołd składa, gdy

w przytoczonem poprzednio studyum o egzaminie dojrzałości wypowiada zdanie, nazwane przez się „prawdą, nie dającą się zaprzeczyć“, że „wiadomości pozytywne z różnych dziedzin nauki religii mają dla edukacyi religijno-moralnej znaczenie tylko drugorzędne“. Wszak sam szanowny autor uznaje i podkreśla wszędzie „prawdę“ pedagogiki Herbarta, że „nauczanie, nie mające na celu wychowania, nie ma dla zakładów wychowawczych żadnego znaczenia, i odwrotnie, wychowanie, które ma tworzyć charaktery, nie da się pojąć bez nauki“ [1]. Jakiemże prawem chce ograniczać znaczenie nauki religii dla wychowania religijno-moralnego i skąd bierze asumpt do twierdzenia, że „wiadomości pozytywne“ z nauki religii mają znaczenie „tylko drugorzędne“ dla wychowania religijno-moralnego? Więc dla każdego wychowania wiadomości pozytywne z każdego działu nauki szkolnej mogą mieć pierwszorzędne znaczenie, a tylko wychowanie religijno-moralne nie potrzebuje tego warunku uwzględniać, ono samo miałoby się obywać bez wiadomości pozytywnych? Tak nie jest! Owszem, prawdziwie religijne wychowanie w ścisłym zawsze zostaje związku z nauczaniem religijnem, z zasadami wiary i moralności, i to pierwszorzędnie i tak dalece, że bez tego fundamentu ani marzyć nie można o wzniesieniu trwałej budowy wychowawczej. Wszystkie piękne zdania o edukacyi „religijno-moralnej“, czy „etyczno-religijnej“ będą zawsze czcze i wiotkie bez znajomości odnośnych zasad wiary i obyczajów; etyka bez dogmatyki, wychowanie religijne bez ścisłych podstaw, bez prawd religijnych, będzie zawsze czemś luźnem i nieuchwytnem, gdzieś w powietrzu wiszącem pobożnem życzeniem. Dopóki pedagogia nasza nie przejmie się tem przekonaniem, że zasady moralne oprzeć się muszą i w parze iść zawsze z zasadami wiary, dopóty zwroty o wychowaniu religijno-moralnem zapisywać będzie się musiało w poczet pięknie brzmiących frazesów, niezdolnych stworzyć bezpiecznego kierunku wychowawczego. Właśnie owe „wiadomości pozytywne“

[1] Patrz *Muzeum*, 1896, str. 112 i cytowane tamże dzieła Herbarta, wyd. Hartensteina. T. XII. p. 241, jak również *Allg. Paed. Einleitung.*

z nauki religii są warunkiem nieodzownym, rękojmią najpewniejszą rzetelnej edukacyi religijno-moralnej; muszą więc mieć znaczenie pierwszorzędne, a po nich i obok nich dopiero oddziaływać może nie bez powodzenia, ale drugorzędnie, owa „zdrowa atmosfera religijno-moralna“ dokoła ucznia, ów wpływ otoczenia domowego i szkolnego i tak pożądane „współdziałanie harmonijne w kierunku religijno-moralnym dyrektora zakładu i grona nauczycielskiego z katechetą“ [1].

Chcecie panowie, aby młodzież nasza przejęła się do głębi uczuciami religijnemi, to dajcież nam katechetom możność wpojenia w nią zasad religijnych, wszechstronnego ich pogłębienia, trwałego ugruntowania; więc nie ograniczajcie nas na dwie godziny tygodniowo, w których, niewiedzieć doprawdy, co pierwej podjąć wypada, czy materyał planem zakreślony wyczerpywać w najskromniejszych choćby rozmiarach, czy wyjaśniać go i pogłębiać, czy odpytywać i umacniać, czy rozwiązywać i wyjaśniać nastręczające się młodzieży zawiłości i pozorne sprzeczności, czy uwzględniać przeważnie kierunek religijno-moralny, dawać wskazówki, rady i upomnienia, dopilnowywać spełniania sumiennego praktyk religijnych i t. p.

Na to wszystko nie dadzą nam z pewnością oponenci nasi potrzebnego czasu, nie zgodzą się, aby pomnożono liczbę godzin na naukę religii.

Niechże przynajmniej nie ujmują nam tej sposobności, jaką daje maturyczny egzamin do odświeżenia, lepszego zapamiętania i zachowania na dalsze życie prawd, zdobytych w powolnej nauce szkolnej a powtórzonych i ujętych w całość do egzaminu. Niech nam nie mówią, że lepiej zaniechać tego egzaminu przy maturze, że on nie ożywi ani nie wytworzy uczuć religijnych, że nawet przy najściślejszem przeprowadzeniu tego egzaminu ani katecheta, ani komisya egzaminacyjna nie może mieć gwarancyi, iż zbadała to, co w tej nauce jest najważniejszem — „dojrzałości etyczno-religijnej abituryenta“. Wszak żaden egzamin nie sięga w sferę uczuć kandydata, ale tylko w dzie-

[1] *Muzeum*, 1896, str. 113.

dzinę jego umysłową, przecież *de internis non iudicat praetor*, więc i katecheta badać będzie przy egzaminie nie uczucia, ale wiedzę ucznia. A jak w innych działach nauki z oderwanych odpowiedzi przy egzaminie nie podobna ocenić apodyktycznie zakresu dojrzałości umysłowej młodzieńca i zadowolnić się trzeba tylko rękojmią, że kandydat posiada pewien stopień ogólnego wykształcenia, który mu ułatwi samodzielne i skuteczne studyum fachowe w uniwersytecie i w dalszem życiu; tak podobnie i egzamin z religii, jak jest dla katechety, tak powinien być i dla komisyi egzaminacyjnej niekoniecznie już dowodem „dojrzałości etyczno-religijnej młodzieńca“, miarą jego uczuć religijnych, probierzem jego teraźniejszej i przyszłej religijności, bo też nie to jest „najważniejszem w nauce religii“ (jak twierdzą oponenci), ale zbadaniem znajomości głównych prawd religijnych, ich doniosłości i potrzeby w zastosowaniu praktycznem, aby na tej podstawie uzyskać rękojmię, że młodzieniec nietylko zna te prawdy, ale też praktykując je dotąd wyrobił w sobie charakter religijny i przez to potrafi oprzeć się na nich bezpiecznie w dalszem życiu tak, by mimo przeciwieństwa i pokusy życie to miało cechę prawdziwego chrześcijanina-katolika. Czy w każdym wypadku rękojmie te będą dostateczne, czy gwarancya, tą drogą zdobyta, zupełną, czy kandydat nigdy nie zawiedzie nadziei w nim pokładanych, napróżno byłoby odgadywać, daremna wyrokować. Egzamin jest tylko skutecznym środkiem do pożądanego celu; zasób wiadomości religijnych, sposób ich zastosowania i samodzielnego korzystania z nich pozostaną zawsze wobec nieudolności i słabości ludzkiej, wobec wolnej woli człowieka, problematyczne, jednak przeciw znaczeniu, wartości i potrzebie egzaminu samego objawy nieudałe wcale przemawiać nie mogą. Wszak to samo powtarza się w innych działach i przedmiotach nauki szkolnej i czyż dlatego odsądza się je dla braku „gwarancyi“ od egzaminu dojrzałości?

„Jednak — przypominają przeciwnicy egzaminu — wiary potrzeba przedewszystkiem młodzieży, wiary silnej i żywej, a tej nie zabezpieczy egzamin. Owszem, albo wytworzy hipokrytów którzy co innego wyznawać będą usty, niż mają w sercu, albo

znowu ufni w pobłażliwość katechety, że przecież doprowadziwszy ich do egzaminu, u brzegu im utonąć nie da, zrobią sobie uczniowie zabawkę z rzeczy poważnej i nie przygotowani przystąpią do egzaminu. Tak czy siak, lepiej młodzieży na pokusę nie narażać".

W zarzucie tym przyjmuję założenie, ale odrzucam wnioski i przypuszczenia, gdyż powstały bez uzasadnionych przesłanek i sprowadziły skok w dowodzeniu. Przyznaję, że w istocie potrzeba młodzieży naszej więcej wiary, i silnej i żywej, ale dodam zaraz, nie jakiejś ślepej, luźnie stojącej, oderwanej od nauki prawd objawionych, nie jakiejś uczuciowej tylko, ale rozumnej, a zatem i drogą rozumową, przez wykształcenie religijne nabytej w nauce szkolnej. Wiara katolicka wymaga wprawdzie przylgnięcia najzupełniejszego, wykluczającego wszelkie wahanie, ale przecież żąda od swych wyznawców, by szli za nią nie ślepo, nie samem tylko uczuciem wiedzeni, nie bez racyi. Apostoł narodów domaga się, aby „rozumną była służba nasza", inny nazywa wiarę „rozumnym" pokarmem duszy. Jak wierzyć może tylko ten, co do używania rozumu przyszedł, tak znowu, kto już rozumem włada, musi wierzyć rozumnie. Stąd obowiązek dla każdego katolika, by według wykształcenia wiarę swą opierał świadomie na fundamentach rozumu. Ale to uskutecznić się da jedynie przez wykształcenie religijne. Kto więc szczerze pragnie spotęgowania wiary u młodzieży, ten logicznie pragnąć powinien należytego do niej przysposobienia przez wykształcenie w rzeczach wiary, ten się nie może i nie powinien strachać i cofać przed egzaminem, który jest miarą tego wykształcenia i probierzem nabytego przekonania rozumnego. Wprawdzie egzamin sam nie zabezpieczy, nie da pewności wewnętrznego przekonania, ale to samo, że on staje się jakby jawnem wyznaniem wiary, że wymagać musi odpowiedniego przygotowania, daje zarazem ocenę jego użyteczności, a poniekąd i potrzeby.

Nie wątpię, że sam fakt umieszczenia religii w szeregu przedmiotów egzaminu dojrzałości przyczyniłby się znacznie do wzmocnienia w uczniu wiary, skoroby ujrzał, że religia, która

mu podaje treść i źródła tej wiary, nie jest tam upośledzoną i lekceważoną.

A nie trzeba — więcej powiem — nie wolno nawet bez wyraźnej podstawy obawiać się ze strony uczniów jakiejś hipokryzyi przy tym egzaminie. Tego rodzaju przypuszczenie jest bądź co bądź zbyt dowolną i śmiałą hipotezą, by ją można z jednej strony lekkiem sercem stawiać, a z drugiej na seryo z nią się liczyć. Znajdzie się może dużo w naszej młodzieży ułomności, ale tego rodzaju wstrętnej hipokryzyi, świadczącej o bardzo zepsutem sercu, jeszcze się Bogu dzięki nie spotyka; a jeśliby się nawet gdzie spotkało, będą to wypadki sporadyczne, całkiem wyjątkowe, nie dające podstawy do wysnuwania ogólnych wniosków i oddawania się choćby jakkolwiek uzasadnionym obawom.

Co do obawy o pobłażliwość po stronie katechety, a stąd dalszej, by uczniowie nie uczynili sobie zabawki z rzeczy, jak egzamin, poważnej i nie przystępowali do niego nie przygotowani, odpowiem tyle tylko, że szerszą już chyba furtkę i to dla urzędowej pobłażliwości otwierają zarządzenia, usuwające religię od egzaminu, niżby to najtkliwszy egzaminator-katecheta uczynić zdołał, i więcej nierównie pobłażania jest w tem, gdy młodzież wie, że wcale z religii nie będzie pytana, niż gdyby katecheta obniżyć chciał zakres wymagań i zadowolnił się mierną odpowiedzią ucznia. Zauważyć zresztą się godzi, że przecież katecheci ubijają się o przywrócenie egzaminu z religii przy maturze nie dla jakiejś własnej ambicyi, chimery lub zaszczytu, bo tych chyba nie przysporzy im sam egzamin, ani dla korzyści jakiejkolwiek osobistej, bo dla siebie chyba tylko nakład czasu i żmudny współudział przy komisyi, nieraz tygodnie całe trwającej, osiągnąć przez to mogą; czynią to jedynie dla wyższych celów, dla wywalczenia stanowiska należącego się religii w murach szkolnych, dla umocnienia młodzieży w prawdach wiary i obyczajów, dla rzetelnego i trwałego na dalszą nawet przyszłość dobra tejże młodzieży — a to mając na względzie, nie będą przecież własnej sprawy podkopywać i wbrew wszelkim zasadom pedagogicznym przez zbytnie pobłażanie demoralizować pilność i uczniów w swoim własnym przedmiocie. Cóżby stąd odnieśli

za korzyść i jakby to się pogodzić mogło z ich powinnością świętą, z ich stanowiskiem odpowiedzialnem, poniekąd nawet z ich własnym interesem, aby samochcąc przyczyniać się mieli do osłabienia wobec uczniów i grona nauczycielskiego powagi, o którą dziś tak usilnie walczą?

Jak rozliczne są wszystkie te zarzuty, zwłaszcza gdy, opuszczając dziedzinę teoryi, przerzucają się na względy praktyczne, wystarczy chyba wyraz obawy, wprost przeciwny poprzedniemu, a streszczający się mniej więcej w następującem określeniu: „Religia jest trudnym przedmiotem nauki, więc gdy się ponownie zaprowadzi z niej egzamin przy maturze, będą katecheci stawiali uczniom trudne wymagania; sprowadzi to za sobą jeszcze większe, niż jest obecnie, przeciążenie młodzieży, a tak wytworzy jedno więcej u niej źródło niezadowolenia".

Aby religia była przedmiotem tak trudnym, by go uczeń nie mógł należycie opanować i nie podołał mu sprostać przy egzaminie dojrzałości, temu wprost przeczę. Cóż jest bowiem materyałem nauki religii w gimnazyum wyższem, który w danym razie stanowićby powinien przedmiot egzaminu dojrzałości? Oto nic więcej, jak tylko katechizm rozszerzony przez wyjaśnienie i uzasadnienie zwykłych tez w nim zawartych. Tożby miało przechodzić pojętność i siły średnio rozwiniętego młodzieńca? Dość porównać zakres wiadomości, podawanych w przedmiocie religii, tok nauki i treść jej całą z którymkolwiek z przedmiotów szkolnych, wchodzących w skład matury, np. z matematyką, fizyką lub historyą, by się przekonać, że i treść tych nauk, i zakres, w jakim one są przedmiotem egzaminu dojrzałości, przewyższa bezmiernie treść i zakres materyału, któryby wejść musiał w skład maturycznego egzaminu z religii. Wszak codzienne prawie doświadczenie szkolne poucza wymownie, że bardzo często uczeń nadzwyczaj słaby w tamtych przedmiotach, czyni przy średniej pilności wcale zadawalniające postępy w religii. Zresztą religia była w austryackiem szkolnictwie średniem przeszło ćwierć wieku stałym przedmiotem egzaminu dojrzałości, a jakoś nikt wówczas, nawet w pierwszych czasach istnienia tego egzaminu, nie zrobił podobnego spostrzeżenia, ani nie miał powodu czynić w tym

względzie poważnego a uzasadnionego zarzutu; skąd przeto ta obawa obecnie przy tylu ulepszeniach dydaktycznych i metodycznych, przy ciągłym postępie pedagogii?

To niech będzie zarazem w odpowiedzi d-rowi M. na jego zarzut, że „poszczególne działy nauki religii, podawane w szkole średniej, obejmujące zakres stosunkowo bardzo znaczny, przytem nie dające się ze sobą organicznie powiązać (!), nie nastręczające sposobności do uproszczenia i koncentracyi (!) przy jeneralnem powtarzaniu, muszą uczniowi nawet zdolnemu przedstawić poważne (?) trudności do pokonania“ [1]. Jeżeli takie tylko trudności udało się wyszukać szanownemu oponentowi, to nie mam potrzeby zapuszczać się w dalszą walkę. Wszak każdemu, kto nie pobieżnie, ale z blizka przypatrzył się planowi nauki religii w szkołach średnich, jasną musi być rzeczą, że właśnie nauka religii to ma przed innymi przedmiotami szkolnymi pierwszeństwo, iż wszystkie jej działy wiążą się ze sobą jak najbardziej organicznie, prawdy wiary i obyczajów czyli dogmatyka i etyka w klasach wyższych, jak katechizm i historya biblijna w niższych uzupełniają się wzajemnie. Pomijam już, co przyznają nawet najzagorzalsi przeciwnicy religii katolickiej, że co do treści swej jest ona najdoskonalszą, bo zawiera Boskie objawienie, zaczem nigdy nie uległa jakiejkolwiek poprawce, przez żaden inny system religijny nie została nigdy przewyższoną, ani też w ogólności niemożliwem jest, by w czemkolwiek mogła być udoskonaloną; lecz nawet pod względem formalnym przedstawia religia katolicka system konsekwentnie przeprowadzony, w którym wszystkie części składowe jak najbardziej organicznie są związane, i to tak ściśle, że jak to dobrze rozumieją akatolicy, usunięcie czy zeszpecenie choćby jednej prawdy, jednego dogmatu, prowadzi nieodwołalnie do zaprzeczenia wielu innych zasad lub nawet całego systemu. I czyż wobec tego faktu, historyą 19 wieków stwierdzonego, można dowolnie twierdzić, że „poszczególne działy nauki religii... nie dają się ze sobą organicznie powiązać!!“ Proszęż mi wskazać jakikolwiek inny dział

[1] *Muzeum*, r. 1896. str. 355.

przedmiotów szkolnych, któryby przedstawiał ściślejszy organizm? A właśnie dlatego, że w całej nauce religii, a więc i w tym zakresie, w jakim podawana jest w szkole średniej, widoczny jest ścisły system i organiczna całość, możliwa jest w niej również nierównie łatwiej, niż w innych przedmiotach szkolnych, owa pożądana dydaktyczna koncentracya i uproszczenie, pozwalające przy jeneralnem powtarzaniu, choćby do egzaminu dojrzałości, „zjednoczyć razem siły i wiadomości, wytworzone przez rozmaite rodzaje i działy nauki". Zresztą koncentracya formalna istnieje w niej choćby już dlatego, że faktycznie udziela się nauki religii w szkołach średnich w koncentrycznych kręgach.

Więc inna wstępuje w to miejsce obawa: „Jeśli nawet sam przedmiot nie jest trudny, to natomiast obawiać się trzeba, by katecheci nie zrobili go trudnym i przy egzaminie zbyt trudnych nie stawiali wymagań". W odpowiedzi na obawę tak wyrażoną wyręczył mnie ks. M. Jeż: „Znaczy to po prostu — pisze on[1] — że katecheci nie umieją ani uczyć ani egzaminować i nie dorośli do tego, aby brali czynny udział w rzeczy tak poważnej, jaką jest egzamin dojrzałości. Nie trudno jednak wykazać, że ten zarzut wart pierwszego. Bo naprzód, czy on da się zastosować do ogółu katechetów? Żadną miarą! Jeżeli zaś trafić ma w jednostki, to śmiem zapytać: Czy błędy w nauczaniu i egzaminowaniu uczniów, a stąd rzekome przeciążenie uczniów, są tylko przywilejem niektórych katechetów". Czy nie zdarzają się, w pierwszych zwłaszcza latach urzędowania, także u nauczycieli świeckich, głównie wskutek fachowego systemu nauk szkolnych? Czy jednak takie sporadyczne wypadki biorą się w rachubę?

Czy uczyniono kiedykolwiek wniosek, by języki klasyczne, rodzime lub którykolwiek z przedmiotów wyłączyć z egzaminu dojrzałości dlatego tylko, że ten lub ów egzaminator z zamiłowania do swego przedmiotu fachowego lub z nadmiernej dla niego estymy przesadza nieco w żądaniach? Bądźcież pp. oponenci względniejszymi nieco, nie czyńcie z tych biednych katechetów jakichś wyjątkowych niedołęgów, którzy ani pytać,

[1] *Dwutygodnik katechetyczny*, r. 1897, str. 18.

ani uczyć nie umieją, którzy nie potrafią rozróżnić nawet w swym fachowym przedmiocie rzeczy ważniejszej od mniej ważnej. Tak źle znowu nie jest!

„Ależ — wołają — powszechną jest skarga na przeciążenie uczniów w szkołach średnich; wprowadzając religię jako obowiązujący przedmiot przy egzaminie dojrzałości, przyda się materyału obarczającego młodzież szkolną, a tak wytworzy się niezadowolenie i rozczarowanie w tym właśnie dziale nauki, który nigdy niezadowolenia wywoływać nie powinien".

Przyznam się szczerze, że modna dziś i rozgłośna deklamacya o rzekomem przeciążeniu uczniów w szkołach średnich, a w szczególności przy egzaminie dojrzałości, nigdy jakoś dotąd nie wywarła na mnie głębszego wrażenia, nawet wtedy, gdy ją słyszałem z ust samych nauczycieli i pedagogów.

Gdzie szukać źródła tego ruchu nowszego w pedagogii, który w pewnych warunkach zakrawa już nawet na agitacyę fanatyczną, nie miejsce tu dociekać. Wielka część winy spada tu, bez wątpienia, na ów niezdrowy sentymentalizm i przesadną pieściwość, jakie znamionują przeważnie dzisiejsze wychowanie domowe. Niemała jednak odpowiedzialność spada także na fachowych pedagogów, którzy schlebiając królowej-opinii bądź biernie, bądź nawet czynnie, prąd ten popierają. Jest to, mojem zdaniem, wygodny dzisiaj konik, na którego się wsiada, jeżeli nie dla zyskania popularności i względów u rodziców i uczniów, lub dla zwrócenia na siebie uwagi u szerszej publiczności, to w każdym razie dla dostrojenia się do ulubionego dziś powszechnie tonu pesymistycznego w negatywnych aspiracyach i reformach społecznych. Stało to się już przyjętym zwyczajem, może nawet nałogiem i jakby manią. Dlaczegóżby gwoli tego miłego akordu nie uderzyć w struny tak wdzięczne i tkliwe, jak: przeciążenie młodzieży naszej w szkołach, obarczenie jej nad miarę nieracyonalnym systemem szkolnym, podkopywanie warunków jej rozwoju fizycznego, osłabianie władz umysłowych, energii i bystrości rozumu i t. p. Groźne, ale urojone kataklizmy! Może się mylę, może patrzę zbyt jednostronnie, ale otwarcie wyznaję, że jakoś wszystkie te narzekania nie mogą przemówić dość wy-

mownie do mego przekonania. Radbym usłyszeć racye, ocenić ich doniosłość, zmierzyć ich siłę dowodową, ale dotychczas prócz gołosłownych utyskiwań, powierzchownych zarzutów, nie udało mi się w szpaltach gazet codziennych (tam bowiem otworzył się główny teren dla tych zapasów pedagogicznych, nie zaś, jak przystało, w pismach fachowych) spotkać z rzeczowem, treściwem a przekonywującem przedstawieniem rzeczy. Niemieckie pisma obfitują wprawdzie w artykuły na ten temat opracowane, ale Niemcy mogą sobie chyba bez obawy o szkodę na te eksperymenta pozwalać. Czy jednak nam jest lub będzie z tem wszystkiem zdrowo, co u Niemców uchodzi, wątpię bardzo. Czy nie znaczy to osłabiać korzenie zasobów naszych narodowych i to wtedy, gdy hartowanie młodzieży fizyczne i duchowe stało się hasłem i programem wychowania publicznego i prywatnego. Sięgam pamięcią w przeszłość, by ją porównać z obecnym w tym względzie stanem rzeczy, i znowu nie mogę się dopatrzeć owej rzekomo rażącej różnicy w wymaganiach szkolnych, owego przeciążania i obarczania młodzieży. Niegdyś nie było przy egzaminie dojrzałości żadnych zwolnień i ograniczeń, ani nawet, jak teraz, dla celujących uczniów; począwszy od religii składało się egzamin ze wszystkich przedmiotów, a nikomu jakoś nie przyszło na myśl skarzyć się na to, obwiniać wadliwy system szkolny, wołać o reformę, poruszać dla niej i w niefachowych pismach publicznych i na zgromadzeniach politycznych powołane i nie powołane czynniki. Bez wątpienia, że zakres wiadomości pamięciowych dziś, wobec wszechstronnego postępu umiejętności, nowych odkryć i wynalazków i idących ich śladem wymagań nauki szkolnej, rozszerzył się w planie nauk szkolnych, ale by się przez to wzmogła objętość materyału samego egzaminu dojrzałości lub podniosły się przy nim wymagania jakieś przesadne i niemożliwe, tego chyba twierdzić nie może, kto brał kiedykolwiek w nim udział. Owszem śmiałbym utrzymywać, że dziś nierównie większe są, wraz z zastosowaniem nowych zdobyczy naukowych, ułatwienia i w samej nauce szkolnej i w końcowym z niej egzaminie; strona dydaktyczna i metodyczna udoskonalona jest znacznie, a liczne środki uzmysławiające przed-

miot nauki, znakomite przyrządy, modele i wzory, nadto przeróżne zwolnienia od poszczególnych przedmiotów nauki, ograniczenia i skrócenia podanego w nich materyału dla usunięcia zbędnego balastu, obciążającego niegdyś ten egzamin, są ustawicznie na porządku dziennym, i to w myśl zarządzeń naczelnych władz szkolnych. Mam za sobą 17 lat praktyki szkolnej w samem gimnazyum, przez kilka lat z rzędu przypatrywałem się z blizka, jako prefekt, pracy, pilności i zajęciom młodzieży gimnazyalnej w zakładzie wychowawczym, małem seminaryum, i sumiennie mogę stwierdzić, że przeładowania młodzieży ponad jej siły i możność wcale nie dojrzałem. Rozumie się, że zbyt łatwą nauka w ogólności nigdy nie była i nie jest, jednak większych trudności doznają chyba ci tylko uczniowie, którzy nie mają i nie mieli nigdy odpowiednich zdolności i potrzebnych warunków do nauk gimnazyalnych, albo też ci, którzy niedostatecznie przysposobieni w szkole ludowej, dostali się do szkół średnich, lub którzy, zaniedbawszy się w gimnazyum niższem, przeszli nie należycie przygotowani do wyższego; zaczem nie mogą podołać podwójnemu zadaniu, bo i wyuczeniu się bieżących przedmiotów naukowych i uzupełnieniu dawnych niedostatków. Tacy też chyba nie powinni się znajdować w klasach wyższych. Zwykły jednak uczeń, obdarzony średniemi choćby zdolnościami a odznaczający się sumienną pilnością, czyni w naukach postępy zwykle zadowalniające. O zdolnych i wybitnie utalentowanych już nawet nie mówię, gdyż tym stworzyć mogą trudność chyba tylko niezwykłe jakieś okoliczności; w zwykłych warunkach, w codziennym toku nauki szkolnej, a nawet przy samym egzaminie dojrzałości, tacy uczniowie nie czują nawet żadnego ciężaru. Do owych niezwykłych okoliczności zaliczam wyznaczenie na ten sam dzień kilku naraz wypracowań pisemnych, co się jeszcze mimo bardzo ścisłego zastrzeżenia władz szkolnych zdarza w niektórych zakładach naukowych; co prawda wyjątkowo tylko i zawsze jedynie wskutek nieprzewidzianych przeszkód, dla których termin wypracowania, dany poprzednio, przenosi się na najbliższy dzień, gdzie się łatwo spotkać może z innymi. Również system obecny fachowych nauczycieli spro-

wadza za sobą często tę ewentualność, że w jednym i tym samym dniu przypaść mogą większe lekcye w poszczególnych przedmiotach, których wyuczeniu się słaby uczeń sprostać nie zdoła. Jest to jednak szkopuł prawie nieuknikniony w obecnych warunkach, kiedy każdy nauczyciel fachowy, zapatrzony wyłącznie w doniosłe znaczenie swego przedmiotu naukowego, niełatwo zdobyć się może na należytą ocenę równorzędności i niezbędnych wymagań każdego innego. Zaradzićby na to mógł może jakiś plan lekcyjny, z góry ułożony a ściśle wykonywany, np. przez zaznaczenie w dzienniku klasowym, podobnie jak się to praktykuje w szkołach ludowych, przynajmniej *pro foro externo*. Obawiałbym się jednak, by z takiej formalistyki biórokratycznej nie wyłoniła się nowa kwestya: przeciążania nauczycieli...

Na coby jednak większą uwagę zwrócić można i należało, to na sposób uczenia się pozaszkolny. Mimo najlepiej udoskonalonej metody w wykładzie i nauczaniu szkolnem, znaczna ilość uczniów nie może sobie dać rady z niektórymi przedmiotami, po prostu dlatego, że nie umieją się uczyć, nie potrafią zwłaszcza zabrać się należycie do nauki i przyswoić sobie materyału szkolnego, bo ich w to nie włożono odpowiednio od początku nauk, bo nie wskazano im sposobu ułatwienia sobie nauki rozlicznych gałęzi, z któremi się spotykają w gimnazyum. Doświadczyłem nieraz, że uczeń bardzo mierny, skoro dostał domowego instruktora rutynowanego, co to zęby zjadł na wdrażaniu pupilów w arkana wiedzy szkolnej, wyrobił się w niedługim czasie nadspodziewanie na tęgiego ucznia, i następnie sam się obchodził bez obcej pomocy. Toby wskazywało może, gdzie leży niejednokrotnie przyczyna niepowodzeń szkolnych, w pierwszych zwłaszcza latach u takich uczniów, którzy ani roztrzepaniem w szkole nie grzeszą ani nie są bez zdolności. Zaradzenie tym niedostatkom przypada w części zarządom zakładów naukowych, jednak przeważnie nadzorowi domowemu. Nauczyciel w szkole, mając zazwyczaj nadmierną liczbę uczniów w klasie, nie może uwzględniać należycie indywidualności każdego z nich, by go mógł w tym względzie skutecznie pokierować; co najwyżej mógłby się zdobyć na udzielenie ogólnych wskazówek, wedle których

może uczeń zdobyć sobie większą obrotność w jego przedmiocie fachowym. Pod tym względem mogliby wielką przynieść pomoc zarządowi domowemu dyrektorowie szkół, gdyby do nauczania poszczególnych przedmiotów w klasach niższych, a więc na pierwsze lata pobytu ucznia w szkole średniej, przeznaczali z reguły rutynowanych i starszych w pracy zawodowej nauczycieli, którzyby poruczoną sobie młodzież prowadzili następnie do klas wyższych. Zwyczaj przeciwny, zachowany w liczniejszych gimnazyach, o kilku klasach równorzędnych, tłumaczę sobie jedynie nieuniknioną koniecznością, a jednak od początkowego wdrożenia ucznia zależy częstokroć cała jego przyszłość szkolna i z tego powodu powstają często utyskiwania publiczności a nawet późniejszych nauczycieli. Tyle pod adresem zarządu szkolnego. Reszta należy już do opieki domowej, a ta mogłaby tem zwłaszcza przyczynić się znacznie do postępów ucznia, gdyby rozciągnęła należytą kontrolę nad jego pilnością i gdyby mianowicie nadzór domowy chciał i umiał uregulować tę pilność, podzielić należycie czas wolny od zajęć szkolnych między rozrywkę a naukę, i ściśle przestrzegał dobrego użycia czasu na naukę przeznaczonego. Mam przekonanie, że gdyby te tylko spostrzeżenia były praktycznie zastosowane, a zwłaszcza gdyby praca domowa uczniów nie była, jak po większej części się zdarza, tak luźna, nie uregulowana, pozostawiona jedynie ochocie ucznia, gdzieś na ostatek dnia, na szarym końcu wszelakich zajęć i rozrywek, z pewnością musiałyby się zmniejszyć owe utyskiwania na obarczanie młodzieży szkolnej. A pozwalam sobie pochlebiać, że podobne moim zapatrywania na sprawę przeciążenia podziela przeważna większość sfer nauczycielskich, świadomych rzeczy i nie unoszących się w stosunku do młodzieży niezdrowym sentymentalizmem.

Po tej nadprogramowej ekskursyi, wywołanej niestety głosami, przedzierającymi się już nawet do wnętrza szkoły średniej, pozostaje mi sformułować jeszcze wniosek. Skoro narzekania na obarczenie młodzieży pochodzą, bądź z nieznajomości stosunków szkolnych, bądź z przesadnego generalizowania odosobnionych wypadków, przeto liczyć się na seryo z niemi, jako

pozbawionemi realnej podstawy, w rzeczy tak poważnej, jak nią jest egzamin dojrzałości, niema dostatecznego powodu. Tem mniej, że właśnie przy egzaminie dojrzałości, o który tu głównie chodzi, zwłaszcza gdy go się porówna z niedawnymi czasy, niepodobna dopatrzeć się obarczenia, w tem przynajmniej znaczeniu, w jakiem ten lotny wyraz powszechnie jest przyjęty. A jeśli prawdziwego obarczenia stwierdzić nie można, to z pewnością nie wywoła go religia, jako obowiązkowy przedmiot tego egzaminu w zakresie mniejszym nawet od tego, jaki przypada na poszczególne klasy. Wszak i analogia z innymi przedmiotami i zwykła roztropność wskaże katechecie, ile materyału wydzielić wypadnie do egzaminu dojrzałości, by nadmiar nie przeszedł sił ucznia i nie sprowadził niepotrzebnego obarczenia. Tak bywało przed dwudziestu laty, gdy jeszcze religia była przedmiotem egzaminu, tak niewątpliwie będzie i w przyszłości, gdy wróci do należnego sobie stanowiska wobec innych gałęzi nauk. Niechże oponenci nasi raczą nie zapominać, że i w katechetach tkwi pewien zasób roztropności pedagogicznej, sprawiedliwości i miłości tak przedmiotu swego, jak uczniów, którym go wpoić usiłują. Niechby przeto te przyrodzone już przymioty katechetów były dostateczną rękojmią, że jak z jednej strony w imię poczucia sprawiedliwości będą się starali wyrugować niepochlebne mniemanie o swej zbytniej pobłażliwości dla uczniów, a tem samem rozproszą obawę o poniżeniu swego przedmiotu w ich umysłach i jego nieproduktywności przy egzaminie, tak znowu z drugiej w interesie samej religii i własnego urzędu kapłańskiego, tchnącego miłością, postarają się o to niechybnie, by przez zbytnią surowość w ocenianiu odpowiedzi uczniów lub przez przesadne wymagania nie spowodowali przeciążenia młodzieży, nie odstręczyli jej niebacznie od uczenia się sumiennego i nie zniszczyli w niej przedwcześnie miłości do religii samej. Mnie się zdaje, że kto zna naszych katechetów, kto potrafił przejąć się duchem, jaki ich w tej sprawie ożywia, kto umiał wniknąć w ich szczere zamiary co do religii przy egzaminie dojrzałości, ten niema podstawy do obaw o jakiekolwiek obarczenie. Sami też katecheci wyprzedzili możliwe w tym względzie życzenia czy obawy sfer

nauczycielskich, skoro już na I. zjeździe swoim uchwalili rezolucyę, by każdy Ordynaryat biskupi wysadził *ad hoc* komisyę, któraby zajęła się szematycznem zestawieniem materyału, jaki z zakresu religii ma być przedmiotem egzaminu dojrzałości. A ja dodam, że sami biskupi austryaccy, niezbyt zresztą pochopni do wprowadzania zmian i niełatwi do zbiorowych enuncyacyj, gdy po dłuższych, wszechstronnych naradach i po dojrzałej rozwadze komitetu dla spraw szkolnych, zwrócić się mieli w *Memorandum* do ministerstwa wyznań i oświaty o ponowne wprowadzenie religii do egzaminu dojrzałości, zakreślili zgodnie z rezolucyami powziętemi na konferencyi we Wiedniu dn. 11 marca 1891 r. obok innych postulatów odnoszących się do egzaminu z religii przy maturze, także zakres wymagań w tym przedmiocie, jakich się ma żądać od uczniów.

Wiem jednak dobrze, że jakkolwiekby się ograniczyło zakres wiadomości, potrzebnych z religii przy egzaminie dojrzałości, „nie zadowolni się nigdy w zupełności uczniów". To daremna. Każdy egzamin, a już w szczególności pierwszy w życiu publiczny, jakim jest egzamin dojrzałości, przejmuje kandydata obawą niepokonalną. To uczucie wrodzone jest przy słabości ludzkiej każdemu, kto się poddaje jakiemukolwiek egzaminowi, i wyjątkowo chyba tylko bywa ktoś od niego wolny. Tego jednak nie wywoła z pewnością sama religia. Aby tego rodzaju niezadowolenie radykalnie uchylić, trzebaby chyba usunąć cały egzamin, co więcej: zamknąć wszystkie zakłady naukowe i ogłosić trwałe wakacye. Z takim chyba zarzutem na seryo rozprawiać się niepodobna, by nie doprowadzać rzeczy do absurdu. Gdyby mi jednak ktoś ograniczył ten zarzut i powiedział, że dodanie religii do egzaminu dojrzałości wywoła rozczarowanie i niezadowolenie, które się zwróci przeciw samej religii, to musiałbym mu odpowiedzieć, że podobna obawa jest tak samo płonną, jak inne, tej sprawy dotyczące, i podobnie jak tamtym, niedostaje i jej realnych podstaw. O ile mi wiadomo, sama młodzież katolicka rozpytuje się o to, oczekuje i spodziewa się tego, bo nie umie sobie jakoś zdać sprawy, dlaczego właśnie taki ostracyzm dotknąć miał religię, i skoro już objekcye dochodzą

tak daleko, że jest mowa o jej w tym względzie uczuciach, to raczej powiedziećby należało, iż ona sumienniej niż inne sfery odczuwa tę krzywdę wyrządzoną religii, a wiedziona nietajonym popędem słuszności nie rzadko pyta, zwłaszcza gdy nadchodzi czas egzaminu, dlaczego religia z niego jest wykluczona; a nawet na swój sposób wyraża katechecie z tego powodu swe poglądy. Nie zajmowałem się nigdy na seryo takimi sądami, więc nie umiałbym powiedzieć, ile w nich szczerości, a ile studenckiego sprytu czy finezyi. To jednak wiem, że nie większe z pewnością byłoby jej rozczarowanie przy ponownem wprowadzeniu religii, jak było niegdyś przed laty przy jej usunięciu od matury. Czy nowy ten przedmiot przy maturze nie przyniesie, niektórym przynajmniej, niezadowolenia, nie chcę przeczyć, ale sądzę, że będzie ono w każdym razie mniejsze od tej obawy, jaką dziś żywią zbyt czuli opiekunowie młodzieży w tym względzie i że nie żywioł religijny, z któregoby niechęć na samą religię przechodzić miała, ale poprostu ten w ogólności nowy dodatek byłby chyba przyczyną niezadowolenia w tym wypadku. To samo byłoby z każdym innym przedmiotem, dodanym do matury, i pewnie w wyższym nierównie stopniu, niżby rzecz się mogła mieć z religią. Zapytam jednak, odkąd to nastała era, aby religia stawać musiała przed areopagiem młodzieży, by mogła być dopuszczona do egzaminu dojrzałości? Czemuż z żadnym innym przedmiotem nauki nie odbywa się tych korowodów? czemuż ktoś nie spróbował kiedyś poddać innych gałęzi nauk pod taki sąd skorupkowy? Kto zresztą kiedy słyszał, aby jakakolwiek władza, którykolwiek przełożony wydając polecenie, zwłaszcza mające na względzie dobro podwładnych, liczył się z ich uprzedzeniem czy zadowoleniem? I do czegoby się w końcu doszło, gdyby przy każdem nowem zarządzeniu żądał jakiś pedagog, by wpierw doświadczyć miary zadowolenia młodzieży i liczyć się z niem poważnie. Przyznam się, że ze wszystkich zarzutów, jakie się dały słyszeć w przedmiocie religii przy maturze, ten sformułowany w sposób tak drastyczny, tchnący jakąś pieszczotliwością i czułostkowością dla młodzieży naszej, którą przecież przedewszystkiem hartować trzeba na przyszłe życia koleje, a głównie pod-

trzymywać w niej ducha religijnego i środki do tego celu zmierzające, wydaje mi się najmniej racyonalnym, i aby nie wyciągać z niego dalej przykrych konsekwencyj, przejdę chyba nad nim wprost do porządku.

Przypuśćmy zresztą, że religia dodana do matury przymnoży obarczenia i wywoła przeciw sobie niezadowolenie, ale wtedy należałoby zapytać chyba o powody istniejącego obarczenia i te przedewszystkiem usunąć, aby religii należne jej miejsce zrobić, bo i dlaczegóż, jeśli jest w istocie jakieś obarczenie, właśnie religia ma być tym kozłem ofiarnym na ołtarzu ulepszonego egzaminu? dlaczego ona pierwsza, jak „biblijny Jonasz, ma być wrzucona w morze, aby ulżyć przeładowanej nawie szkolnej?“ Jest przecież dość innych przedmiotów, które bez mniejszej szkody można obciąć gwoli ułatwienia, rzekomo pożądanego dla młodzieży przy tym egzaminie; niechby to przecież nie dotykało religii, choćby właśnie dlatego, by, jak jest podwaliną dobra i szczęścia państw i jednostek, tak się stała rękojmią rzetelnego dobra młodzieży szkolnej.

„Ale jakże dopuścić religię do egzaminu dojrzałości, skoro niema nawet odpowiednich do tej nauki podręczników“.

Twierdzenie to jest przesadne, niesłuszne, i zdradza nieznajomość istotnego stanu rzeczy. Skarzyli się wprawdzie katecheci przed laty na brak odpowiednich podręczników, wszelako obecnie stało się już ich życzeniom w znacznej części zadość. Z każdym rokiem przybywają bądź nowe podręczniki, bądź dawne ulepszone w nowych wydaniach. Z tych, które wymagają bądź zmiany bądź ulepszenia, pozostały tylko katechizm dla klas niższych i nauka prawd wiary czyli dogmatyka dla klas wyższych. Właściwie zatem z pośród podręczników potrzebnych do egzaminu dojrzałości brakuje tylko jednego, a i ten, podobnie jak i katechizm, jest już gotowy, i skoro tylko odnośna komisya katechetyczna ukończy swą pracę, będzie oddany do druku, by już w następnym roku szkolnym znalazł się w rękach młodzieży. Zresztą przypuściwszy, że nawet świeżo wydane podręczniki nie są jeszcze dość odpowiednie, to czyż dlatego należałoby już usuwać religię od egzaminu dojrzałości?

A jakież to były podręczniki dla innych gałęzi nauk jeszcze przed niedawnym czasem? Wszak wiadomo, że wielu podręczników wprost niedostawało, inne ledwie w części odpowiadały wymaganiom książki szkolnej. A czyż ten wzgląd przerwał kiedy bieg egzaminów dojrzałości? czy usunięto od tego egzaminu który z przedmiotów, posługujących się wadliwymi podręcznikami? Alboż i dzisiaj, czyż wszystkie podręczniki są już tak doskonałe, by nie zostawiały nic do życzenia? a przecież obchodzi się nimi młodzież i jakoś zdaje ów egzamin. Od kogoż zresztą, pisze jeden z katechetów, zależy, w znacznej przynajmniej części, dobór odpowiednich podręczników, jeśli nie od władzy szkolnej? Ordynaryaty biskupie nie mają na ten cel wyznaczonych funduszów. Jeśli więc ona nie wesprze znaczniejszymi funduszami wydawnictw, jeśli nie przyjdzie z pomocą komisyi duchownej, utworzonej z ramienia wszystkich Ordynaryatów, by członkowie tejże mieli odpowiednie wynagrodzenie za swój trud i nakład czasu, spędzonego na posiedzeniach komisyi nad cenzurą rękopisów, jeśli nie zachęci sama i nie zawezwie rutynowanych a zajmujących się pracą pisemną katechetów do żmudnego przysposobienia potrzebnych jeszcze podręczników lub poprawienia istniejących, to nie rychło przyjdzie komu z księży ochota do pisania, bo każdy będzie się obawiał, czy jego trud na co się przyda. W tym względzie byłaby pożądana zachęta do przysporzenia nowych podręczników drogą konkursu, jak się indziej z pożytkiem praktykuje, aby komisya miała przed sobą możliwy wybór i mogła dać nie z konieczności, ale z uznania pierwszeństwo rękopisowi najlepszemu, a równocześnie, by i ci autorowie, których praca nie otrzyma polecenia dla użytku szkolnego, mieli choćby w rozpisanych nagrodach konkursowych niejakie wynagrodzenie za czas spędzony na pisaniu podręcznika.

W ostatnich czasach powstał jeden jeszcze zarzut przeciw przywróceniu religii przy egzaminie dojrzałości, cięższego nieco kalibru, bo z domieszką pedagogicznych względów i fachowych spostrzeżeń. „Cała matura wedle dzisiejszych wymagań szkolnych i przyjętego w niej systemu chybia swego celu, nie od-

nosi pożądanych rezultatów, więc nie potrzeba obciążać jej jeszcze egzaminem z religii".

Czy maturą odpowiada dziś swemu celowi, czy nie; czy zakres wymagań przy niej jest słuszny i racyonalny, czy nie, to są kwestye, których ani lekko poruszać, ani czemkolwiek zbyć nie można, gdyż wymagają głębokich studyów i gruntownego uzasadnienia. Wątpię też bardzo, czy wielu profesorów mogłoby solidaryzować się z podobnym sądem. Każde dzieło ludzkie jest niedoskonałe, więc i matura może mieć swoje ujemne strony. Wynikałby z tego chyba ten jedynie wniosek, że alboby należało usunąć z niej niedostatki i zreformować ją, albo jeśli żadną miarą wadliwości w niej dowiedzione naprawić się nie dadzą, usunąć ją jako niepotrzebną. Taki wniosek byłby przynajmniej prosty i logiczny. Ale twierdzić, że nie można przywrócić religii przy maturze dla tego samego, iż matura nie odpowiada dziś swemu celowi, znaczy tyle, co posługiwać się w dowodzeniu jakiemś *salto mortale*, przesadzać rzecz całą, a tem samem niczego ściśle nie dowodzić. „Może przecież mieć ktoś mieszkanie lub ubranie nie bardzo wygodne, ale czyż mu nie należy łatać dziur w starem, póki nie sprawi sobie lepszego?" Faktem jest, że matura się odbywa, a skoro się odbywa, to nie wchodząc już w pytanie, jak się odbywa i z jakim rezultatem, niema powodu dostatecznego wykluczać z niej egzaminu z religii. Wszakże oglądamy ustawicznie w każdym kierunku widoczne postępy w szkolnictwie, nie mamy przeto podstawy ani na chwilę wątpić, że i pod względem egzaminu dojrzałości władze szkolne, do których to w pierwszym rzędzie należy, postarają się czyto o wprowadzenie zmian ulepszających, czy o usunięcie balastu zbędnego a niewiodącego do oczekiwanych wyników. Dla piszącego te słowa pozostanie żywo w pamięci zwrot jednego z mowców na II. wiecu katolickim, który w sprawie tej wyraził przekonanie, że gdyby nawet kiedy do tego doszło, iżby wszystkie przedmioty z egzaminu dojrzałości wykluczono, to religia sama jedna jeszcze powinnaby być przedmiotem tego egzaminu.

Zregestrowałem z umysłu wszelkie zarzuty, jakie się kiedykolwiek podniosły przeciw przywróceniu religii przy egzaminie dojrzałości, aby łaskawy czytelnik przez szczegółowe ich zestawienie mógł tem łatwiej ocenić ich wartość i siłę przekonywującą, a tak zechciał wyrobić sobie sąd o tym przedmiocie. Mam zresztą ufność, że silniej, niż bezzasadne zarzuty, przemówią do przekonania czytelników usilne starania, podjęte w ostatnich czasach celem zapewnienia religii należnych jej praw przy egzaminie dojrzałości, niemniej jak i doniosłe motywa, które tych usiłowań były przyczyną. O jednych i drugich była mowa w części I. i II. tej rozprawki.

Dla katolików jedna jest zawsze miara oceniania spraw żywotnych dla Kościoła; to głos episkopatu. Za religią przy egzaminie dojrzałości głos ten przemówił. Obyż nie długo musiał czekać na odpowiedź! Niechby powszechne życzenia katolików ziściły się rychło choćby w tej rzeczy! O ten akt restytucyi należnej, o usunięcie jednostronnego zarządzenia i wyrządzonej przez nie krzywdy dotkliwej wołają chrześcijańscy rodzice i wychowawcy, wiece katolickie, poważne korporacye i zgromadzenia. Spodziewają się tego na podstawie powziętych wniosków nawet grona nauczycielskie; kołatać o to nigdy nie ustaną katecheci i w przywróceniu religii do należnych jej praw dopatrywać się oni będą w pierwszym rzędzie dowodów dobrej woli i życzliwości władz szkolnych. Przy tych żądaniach stać każe im i posłannictwo kapłańskie i urząd nauczycielski; nie dla siebie oni o to kołatają, ale dla podniesienia powszechnego szacunku dla religii, dla chwały Kościoła Chrystusowego, dla idei słuszności, dla postulatów i celów samej nauki i karności szkolnej, dla większego ugruntowania wiary w sercach młodzieży i utrwalenia dóbr najwyższych, narażonych w obecnych czasach na niepowetowane klęski. W tym duchu niechaj przyjmą władze szkolne ich wołanie i niechaj spełnią, co w ich mocy leży. *Videant consules!*

Ks. dr. Alojzy Jougan.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

(Dokończenie).

Wiek XVIII.

Ostatni wiek istnienia Rzpltej - to puszcza najmniej przez historyków przetrzebiona. A ileż tu zasadniczych zagadnień oczekuje na rozwiązanie! Po śmierci Sobieskiego zaraz (1696) ciemnem jest dla nas i niezrozumiałem bezkrólewie, owo „jedno z najfatalniejszych, najniemoralniejszych“, jak wyraził się Szujski; nie wiemy dokładniej, dlaczego ród Sobieskich odpadł od korony, nie pojawiło się ani słówko o wyprawie gdańskiej ks. Conti'ego, francuskiego kandydata; o machinacyach, które Augusta II. Sasa wprowadziły na tron Jagiellonów, wiemy dziś w sam raz tyle, ile przed 20 laty. Jeden chyba drobny szczegół wzbogaca naszą wiedzę: kiedy dotychczas sądzono, że elektor przeszedł na katolicyzm dopiero w drodze po koronę, w Piekarach na Ślązku Górnym, na samej granicy państwa polskiego, obecnie wiemy, że tam przed cudownym obrazem N. M. P. w Piekarach uczynił tylko publiczny akt wyznania wiary wobec pełnomocników polskich, ale samo odwołanie błędów protestanckich odbyło się po cichu już przedtem w zamku drezdeńskim. Nie dużo historyi w tej drobnostce! O pokoju karłowickim i odzyskaniu Kamieńca Podolskiego, o wojnie północnej, o przybraniu przez Brandenburczyka tytułu króla „Prus“, o pierwszej elekcyi Leszczyńskiego, o sejmie niemym 1717 r., słowem o wszystkich donioślejszych sprawach tego panowania nie mamy nic a nic

nowego. Trudno więc orzec, czy upatrywać w Auguście II. polityka, który z pomocą wojsk saskich dąży do *absolutum dominium*, i ma na oku jakieś głębsze plany, czy też uważać go za zwykłego chwytacza koron, któremu obojętnem było, jakiem łożyskiem potoczą się dzieje północno-wschodniej Europy, byle w niej dom jego miał dla siebie tron? Szujski wyraził się o nim, że „był jakby stworzony, aby pokarać naród za zmarnowanie własnego, znakomitego króla w osobie Jana III.“; sąd ten wisi też ciągle nad tą postacią.

Do czasów Augusta II. mamy jednę tylko nową monografię: Ks. St. Kujota, „Sprawa toruńska z r. 1724“ (Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, tom XX, 1894). Sprawa ta poruszyła swego czasu całą Europę. Ze zwady żaków toruńskich powstały bójki uliczne, które urosły w wielki tumult; ludność Torunia splądrowała kościół i kolegium jezuickie. Magistrat lekko traktował tę sprawę; ale zajął się nią sam król. Sąd nadworny wydał szereg surowych wyroków, nawet kilka wyroków śmierci, o co były ciężkie przejścia u ościennych dworów dyssydenckich; wypadek ten wyzyskiwano i wyzyskuje się do dziś dnia w literaturze zagranicznej do oczerniania Polski.

Ksiądz Kujot pierwszy z Polaków zbadał tę rzecz gruntownie, wszechstronnie a sumiennie. Bada przedewszystkiem stosunki wewnętrzne w Toruniu przed tem zajściem. „Toruń był jakby państwem osobnem w Polsce z religią państwową protestancką, a nawet do cechów rzemieślniczych i do giełdy zwyczajnych kupców dozwalano Polakom i katolikom tylko ograniczonego przystępu, zachowując wszystkie te korporacye sztucznie przy języku niemieckim i wyznaniu luterskiem. Rada zabroniła w r. 1586 udzielać nauk polskim dzieciom po szkołach prywatnych, r. 1608 zakazała w cechu krawieckim więcej nad sześciu polskich majstrów cierpieć, a r. 1616 zezwoliła tylko na pięciu; od r. 1611 nie było kapelusznikom wolno przyjmować na terminatorów chłopców, którzyby nie byli niemieckiego pochodzenia. Podobnego ucisku pozwalano sobie też wobec wyznania katolickiego. Doszło do tego, że księża od św. Jana nie ważyli się już wyjść z procesyą na cmentarz kościół otaczający“.

Nadto w r. 1601 zabroniła rada drukarzom miejskim drukować cokolwiek dla papieżników i Jezuitów. A zatem nie może chyba być mowy o uciskaniu w Toruniu żywiołu niemieckiego i protestanckiego. Rozruch r. 1724 uważać należy raczej za akt buty ze strony niemieckich Toruńczyków, dążących do zupełnej zagłady imienia polskiego w obrębie miasta. Inna rzecz, czy sądy assesorskie, komisarskie i wreszcie sam sejm walny sądziły sprawę *sine ira et studio?* czy wyprawiona potem komisya egzekucyjna nie miała skrytych od króla instrukcyj? Zaznaczmy, że Jezuici nie życzyli sobie wykonania surowych wyroków, a nuncyusz papieski wprost żądał zupełnego uwolnienia od kary dwóch głównych winowajców. Król jednak na te instancye „wzdrygał ramionami“ i starał się sam o jak najsurowsze wykonanie dekretu. Miał w tem swoje cele. August II. pragnął, ażeby protestanckie państwa ujęły się za Toruniem, a zwłaszcza Prusy i zawczasu wszystko ukartował. Prusy miały mieć pozór do wkroczenia w granice Rzeczypospolitej. Noszono się też rzeczywiście w Berlinie chwilami z tą myślą pod koniec r. 1725 i z początkiem następnego. Oficerowie pruscy głośno powtarzali, że w 60.000 wojska dojdzie się linią Noteci do Torunia, który tymczasem zająć wypadnie, żeby coś mieć do przyspieszenia pokoju i wytargowania warunków. Poseł angielski, Finch, udawał też, że Anglia do wojny gotowa i sam od siebie prawił Polakom największe impertynencye, tak, że ministrowie polscy wcale go w Warszawie posłem uznać nie chcieli; tajemnie zaś miał u króla posłuchanie. Ostatecznie jednak namyślono się inaczej w Berlinie, a Anglia wojny nie chciała. August II. tuszył, że gdy wywoła wojnę i wyda Prusom i Rosyi niektóre prowincye, zapewni sobie pomoc tych państw do osiągnięcia dziedzicznego tronu w reszcie Polski. Autor podaje też ślady dyplomatycznych zabiegów w tej mierze.

Tak tedy okazuje się ten król zdrajcą stanu; i z tej, pozornie drugorzędną sprawę traktującej monografii, wynika, że należałby mu się w dziejach naszych słusznie przydomek „kary boskiej“ w myśl sądu Szujskiego.

Po śmierci Augusta II. nastąpiła znowu podwójna elekcya;

olbrzymia większość narodu była za Stanisławem Leszczyńskim, garstka tylko wyniosła na tron elektora saskiego, Augusta III., który utrzymał się przy tronie dzięki interwencyi zagranicznej. Oburzenie na jego stronników było tak wielkie, że ci nie śmieli się przejeżdżać po kraju inaczej, jak tylko pod osłoną wojska saskiego. Ogół zjednoczył bowiem sprawę odrodzenia ojczyzny z wyborem króla Stanisława; opinia ta, niemal jednomyślna, przeszła do potomnych i udzieliła się historyografii, w której panowała też niepodzielnie aż do r. 1887. Jeszcze w r. 1886 oświadczył Szujski, że po stronie Augustowców nie widzi nic innego, jak tylko „zawiść, podłość i gwałt". Wtem w r. 1887 zabrał w tej sprawie głos prof. Wojciechowski. Ilekroć ten uczony głos zabierze, słucha całe polskie bractwo historyczne wytężywszy uwagę. Otóż Wojciechowski miał na dorocznem, publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności w r. 1887 odczyt „O powtórnej elekcyi Stanisława", w którym doszedł do przekonania, że Augustowcy „uratowali Ojczyznę", sytuacya bowiem europejska była wówczas taką, że usunięcie saskiego kandydata groziło odrazu ruiną państwa polskiego; wywody te popierał autor nowemi źródłami. Sprawa cała przeszła odtąd z jasnych do ciemnych, z pewnych do wątpliwych; stały przeciw sobie dwa wręcz przeciwne zdania; widocznem jednak było, że zapas źródeł nie wystarcza na rozstrzygnięcie sporu. Dopiero w r. 1895 poruszył tę rzecz na nowo Szymon Askenazy w rozprawce: „Materyały i notatki z przedostatniego bezkrólewia" (*Biblioteka Warszawska*, 1895, styczeń). Są to wyjątki z korespondencyi Ożarowskiego, posła Stanisława Leszczyńskiego w Wersalu, i Ossolińskiego, który bawił natenczas przy Leszczyńskim w Królewcu. Opierając się na tych nieznanych materyałach, tudzież licznych innych, już drukiem poprzednio ogłoszonych, lecz nie wyzyskanych, daje nam Askenazy krótką rozprawę o układach pomiędzy Austryą, Saksonią, Prusami, a zawiązaną przy królu Stanisławie konfederacyą dzikowską. Nie można uważać za rozwiązane zagadnienia, która elekcya była politycznie rozumniejszą. Augusta II. uważa autor także wprost za zdrajcę na tronie, Augusta III. za szalbierza politycznego. Obok tego

atoli okazuje się, że stronnicy Leszczyńskiego nie byli również bez „ale“ i pamiętali o sobie nie gorzej od Augustowców, łowiąc ryby w zmąconej przez siebie wodzie i wyzyskując kapitalnie sytuacyę do sobkowskiej prywaty. O rozumie ich politycznym niewiele też dobrego da się powiedzieć; okazuje się niewątpliwie zupełna ich nieudolność, nieporadność, a nawet ignorancya w sprawach publicznych. Legenda historyczna o stronnictwie Leszczyńskiego przepadła i o tyle wygrał koniec końców Wojciechowski. Cierpkie to, ale cóż począć, skoro prawdziwe; nie było l u d z i ani po tej, ani po tamtej stronie.

Bardzo ciekawy jest ustęp o misyi królewicza pruskiego, późniejszego Fryderyka II., u Leszczyńskiego; Fryderyk bawił w tym celu w Królewcu w październiku 1735 r. Czem bliżej przypatrujemy się pierwszej połowie XVIII. w., tem widoczniejsza, że nie było ani jednego Polaka, znającego się jako tako na polityce. Leszczyński politykiem, niestety, też nie był.

Osobiście, jako charakter, stoi on wyżej od Augusta III.; pod tym względem niema najmniejszych wątpliwości; dobrego wspomnienia i szacunku nie odmawia mu postęp historyografii, ale wyraża powątpiewanie, czy zdołałby na tronie co zdziałać, czy dorósł do tak trudnych warunków? To jednak nie ulega wątpliwości, że byłby przynajmniej świadomie państwu nie szkodził.

Za Augusta III. mieliśmy znowu sprawę toruńską. Opisał ją A. Kraushar: „Zatarg IMCi Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. Kartka archiwalna 1742—1756“. (Kraków, 1895). Komendant artyleryi koronnej, Łukasz Konopka pozwał niesłusznie dwóch Toruńczyków przed kratki sądowe o pretensyą pieniężną, a że ci dwaj byli konsulami, rozszerzył tedy pozew na — cały magistrat i wniósł skargę do trybunału piotrkowskiego, jakkolwiek było to *forum* niewłaściwe, bo rozprawa należała przed sądy zadworne. Sprawa ciągnęła się długo, a trybunał wydał dekret, skazujący całe miasto Toruń na infamię i wygnanie. Poruszył ten proces całą Rzpltą. Na nic się nie zdało, że sam król wdał się w to, że wydał uniwersał i na swych rokach skasował wyrok niesłuszny. Konopka zbrojną ręką zabrał się do

egzekucyi trybunalskiego wyroku, napadł na posiadłości miejskie i zwiódł nawet krwawą potyczkę. Powstały o to nowe pozwy i procesy, ale ostatecznie — Konopka wygrał! Smutnej to pamięci sprawa; o ile poprzednia „sprawa toruńska“ niczego więcej nie dowodzi, jak tylko złej woli Augusta II., o tyle ta odkrywa straszne rany Rzpltej w całej nagości: warcholstwo, panowanie bezprawia, niecność sądownictwa, zupełną zatratę zmysłu porządku i ładu, wyuzdanie i zupełny rozstrój wszystkich czynników, stanowiących o istnieniu państwa.

Do spraw lat 1744—1746 mamy bardzo cenny przyczynek w rozprawce S. Askenazego: „Materyały i notatki z dwóch sejmów“ (*Biblioteka Warszawska*, 1895, październik). Na podstawie kilku nowych źródeł do sejmów 1744 i 1746 r. (także wyjątki z dyaryusza) dowiadujemy się, że wówczas Francya i Prusy sprzymierzyły się z partyą republikańską przeciw monarchistom, którzy pragnęli zwiększyć siłę zbrojną Rzpltej i dążyli do zapewnienia następstwa tronu jednemu z królewiczów, a zarazem mieli na celu przymierze z Austryą, a w dalszym planie z Rosyą i Anglią. Odbywa się tedy walka stronnictw na tle zawikłań dyplomacyi ogólno-europejskiej. Dotychczas mniemano, że tylko mocarstwa rozbiorowe sprzeciwiały się reformie ustawy państwowej w Polsce; tu mamy charakterystyczną wiadomość, że także Francya uważała słabość Rzpltej za pożądaną dla siebie. Oto r. 1746 król zbliża się do Francyi; ale Francya nie życzyła sobie reformy, a poseł francuski otrzymał instrukcyę, żeby szedł ręka w rękę z posłem pruskim i przeszkadzał wszelkiej poprawie ustroju państwowego.

Do spraw wewnętrznych obydwóch ostatnich panowań mamy dwie nader ciekawe prace: Z. L. Sulimy: „Historya Franka i Frankistów“ (Kraków, 1893) i Aleksandra Kraushara: „Frank i Frankiści polscy“ (Kraków 1895).

Frank był założycielem żydowskiej sekty Edomitów, której członkowie chętnie się chrzcili; pochodzi też od Frankistów cały szereg szlacheckich rodzin polskich. Jakób, Józef, a właściwie Jankif, z ojca zwany Lejbowicz (gdyż wtedy jeszcze Żydzi nazwisk rodowych nie mieli), później zwany Frankiem lub Fren-

kiem, urodził się w zapadłym kącie Podola w pobliżu granicy tureckiej; data urodzenia wątpliwa, najprawdopodobniej 1726 r. Młodość spędził w Czerniowcach i Bukareszcie, dokąd powołano jego ojca na rabina Potem w Smyrnie poznał zasady sekty Sabatystów, powstałej w XVII. wieku, która twierdziła, że podstawą wiary są jedynie księgi Starego Zakonu, a Talmud zawiera mnóstwo błędów; sekta ta miała też wyznawców w ukrainnych prowincyach Polski. Frank trudnił się następnie handlem w Turcyi; tam bawiąc pozyskał sławę mędrca między swymi współwyznawcami. Przeszedł na islam (pozornie), a potem podróżując po Węgrzech i Rumunii namawiał Żydów do przyjmowania chrześcijaństwa. W roku 1755 przybył na Podole i podawał się za Mesyasza; doczekał się wyklęcia swej sekty przez rabinów i namiętnego prześladowania. Pozyskał sobie jednak Frank biskupa kamienieckiego Dębowskiego oświadczeniem, że on i jego poplecznicy wierzą w Trójcę świętą. Był to podstęp. Frankiści za przykładem dawnych Sabatystów wierzyli rzeczywiście, że jest „Bóg we trzech osobach", tylko że trzecia z osób boskich, Szechina, miała być — płci żeńskiej! O tej różnicy zamilczano a wyprowadzono biskupa w pole do reszty obietnicą przyjęcia chrztu św. Frankiści zaczęli się podawać za męczenników chrześcijaństwa, tłumacząc nienawiść ścigających ich talmudystów tem, że oni chcą przejść na katolicką wiarę. Na dyspucie publicznej, urządzonej z talmudystami, wystąpili nadto z tezami o wcieleniu Boga w czasie, że Mesyasz już był i że Jerozolima nigdy odbudowaną nie będzie. Zaczęło się teraz prześladowanie talmudystów na Podolu przez konsystorz biskupi; egzemplarze Talmudu, skazane na zagładę, palono setkami; pościg ten rozszerzył się niebawem na dyecezyę lwowską. Wtem nagle umiera biskup Dębowski i sytuacya zaraz się zmienia; Frankiści rozproszeni rozchodzą się po kraju, wyjęci z pod praw, aż dopiero w r. 1758 udało im się uzyskać od Augusta III. list żelazny. Sam Frank siedział przez ten czas w Turcyi i wrócił dopiero w r. 1759 na żądanie swych czcicieli. Po naradzie odbytej w Iwaniu wysłano suplikę do arcybiskupa lwowskiego, w której nazywają Chrystusa Pana Mesyaszem, pra-

wdziwym Bogiem i człowiekiem. Frank zmierzał już jawnie do przyjmowania chrztu. Ale arcybiskupowi Łubieńskiemu (właśnie miał zostać prymasem) sprawa wydała się podejrzaną: i na królewskim dworze nie ufano Frankistom. Gdy administrator lwowski, ks. Mikulski, okazał się powolniejszym względem nich, nuncyusz Serra okazał wyraźnie swe niezadowolenie, twierdząc, że nauka Franka jest ciemną, a przyjęcie jego wyznawców na łono Kościoła może tylko szkodę przynieść prawdziwym chrześcijanom. Ale Frank nie dał się zrazić; przybywszy do Lwowa (z wielką pompą), domagał się chrztu. Trzeba było przystąpić do katechizacyi jego czcicieli: około dwu tysięcy osób utrzymywał Mikulski swoim przeważnie kosztem we Lwowie, przygotowując ich do przyjęcia chrztu św. Sam Frank ochrzcił się we Lwowie tylko z wody, po ceremonie chrztu pojechał do Warszawy na dwór królewski. Występował tam, jakby udzielny książe, w czem dopomagało mu ślepe posłuszeństwo wyznaniowców, którzy uważali go za swego pana i władcę. Zbytkowny tryb życia, obfitość widoczna środków materyalnych i ta oryentalna niemal niewolniczość zwolenników poczęły zwracać uwagę. Spostrzeżono się, że większość tych, którzy się chrzcili we Lwowie i w Warszawie, pochodziła z krajów chrześcijańskich, z Węgier, Moraw, Wołoszczyzny; czemuż się tam nie chrzcili? Frank radby był otrzymać dla siebie i swej sekty osobne jakie terytoryum; wybierał sobie krainę pomiędzy Buskiem a Glinianami; ale to się nie udało. Niespodzianie sześciu głównych uczniów Franka wyznało, że on każe się im uważać za Chrystusa, powtórnie wcielonego! Wkrótce posypał się szereg rozmaitych innych doniesień, a każde z nich groziło procesem o herezyę; wydało się też, że Frank w Turcyi był wyznawcą Proroka. Sąd duchowny wykluczył go tedy ze społeczeństwa Kościoła i skazano go na areszt bez terminu w Częstochowie.

Ale tu dopiero połowa powieści. Z więzienia podał ofertę do posła rosyjskiego w Warszawie, że przejdzie ze swymi zwolennikami na schizmę, byle mu wyjednano uwolnienie; umizgi do konfederacyi radomskiej na nic się nie zdały. Po 13-letniem internowaniu odzyskał wolność dopiero w r. 1772, gdy Moskwa

Częstochowę zajęła. Wyjechał najpierw do Berna na Morawach, gdzie jeszcze w czasie więzienia swego, przy pomocy wysłanników, rozpoczął był propagandę i zyskał zwolenników. Z Moraw wysyłał odezwy do swych zwolenników w Polsce, wzywając ich, żeby się chrzcili. W r. 1776 zjawił się na krótki czas w Wiedniu z liczną drużyną, ubraną po huzarsku; żył tu nader zbytkownie, ciesząc się protekcyą dworu. Cesarz Józef począł stroić umizgi do córki Franka, Ewy, co też Frank wyzyskał należycie. Do Berna odbywały się formalne pielgrzymki Frankistów. On sam żył jak udzielny książe, miał gwardyę z 70 konnych, wyjeżdżał w złoconej oszklonej karocy, otoczonej dwunastu huzarami z długiemi pikami, na których ostrzach osadzone były orły złote, jelenie (symbol sabbatejski), słońca i księżyce. Gdy Józef II. wstąpił na tron, powrócił znowu z córką do Wiednia; ale się zawiódł, jeżeli liczył znowu na wdzięki swej córki.

Roku 1788 osiadł w miasteczku Offenbach w pobliżu Frankfurtu nad Menem. Żył po monarszemu, udawał nawet księcia królewskiego rodu, wyzyskując przygodne zbliżenie się do głów koronowanych podczas wojen napoleońskich; urządził mistyfikacyę na wielką skalę; stały jego orszak wzrósł do tysiąca osób, a bankierzy frankfurccy kredytowali na poczet monarszego pochodzenia Franka. Przysyłano mu dużo pieniędzy, ale to nie starczyło; zwolennicy jego w Niemczech, Morawach, w Polsce i Turcyi nie skąpili mu składek, od polskiej granicy nadchodziły baryłki złota, ale wobec niesłychanego przepychu jego dworu było tych dochodów za mało, więc długi rosły. Wśród różnych pogłosek, które o sobie rozpuszczał, była i ta, że jest jakimś księciem królewskiego rodu, przygotowującym się do odzyskania niepodległości Polski; zwano go coraz bardziej *der Polakenfürst;* gwardya jego ćwiczyła się też w robieniu bronią. Na zewnątrz zachowywano przytem formy katolickie, a w rzeczywistości wiódł Frank ze swą sektą rozpasane haremowe życie, w którem nie brakło sodomickich obrządków. Zmarł 10 grudnia 1791 r., ale humbug prowadziła dalej córka, Ewa, którą ojciec ogłosił inkarnacyą wiary. Tajemnicze źródło przesyłek pieniężnych w beczułkach wyschło dopiero w r. 1796. W kabałę tę wplątał się

awanturnik, ks. Marcin Lubomirski, zaślubiwszy nawet jednę ze zwolenniczek Franka, Zaleską; po śmierci jednak Franka wycofał się. W r. 1799 długi Ewy doszły do miliona guldenów. Wydano odezwę do wyznawców, ale miliona nie zebrano; brat jej, Roch, pojechał do Petersburga, ale wrócił z próżnemi rękoma. Obaj jej bracia umarli w Offenbachu. W r. 1816 gubernator Moguncyi, arcyksiąże Karol, nałożył areszt na pannę Ewę i jej dwór, na żądanie wierzycieli. Gdy miano przystąpić do opieczętowania jej dobytku, w nocy rozeszła się wieść, że panna Ewa nagle umarła; pogrzeb odbył się pospiesznie, nocą i nader skromnie. Sulima uważa tę nagłą śmierć za komedyę celem umorzenia długów i mniema, że Ewa umarła dopiero następnego roku w Warszawie [1].

Ciekawy ten epizod nie był w pracy Sulimy jeszcze wcale należycie wyjaśniony i wymagał dalszych poszukiwań. Dokonał tego Kraushar, zebrał archiwalne źródła, wyzyskał je krytycznie i sprostował wiele pomyłek poprzednika. Dokładny spis Frankistów i wyjaśnienie sprawy ich nobilitacyi w Polsce, mamy w książce Kraushara.

Do dziejów ostatniego bezkrólewia, a zarazem do charakterystyki osoby Stanisława Augusta mamy cenny przyczynek Szymona Askenazego: *Die letzte polnische Königswahl.* (Göttingen, 1894). Nie rozpatrzył się jeszcze nikt wszechstronie w sprawie stosunków Polski do zagranicy podczas siedmioletniej wojny; dotkliwa to luka, bo sprawa ta należy do pierwszorzędnych zagadnień z historyi polskiej; wszak łączy się z nią pytanie, czy nie byłoby się ocaliło państwa polskiego, gdyby nie ta bierność w polityce europejskiej. Z cytowanej pracy Askenazego dowiadujemy się, że tegoż samego dnia, kiedy zawarto kończący siedmioletnią wojnę pokój w Huberstburgu, dnia 15 lutego 1763, pisał Fryderyk II. do Katarzyny II. z propozycyą wspólnej akcyi na wypadek bezkrólewia. Właśnie wówczas Czartoryscy zażądali

[1] Z praktycznych rad Franka pozostawionych swym zwolennikom, zapamiętać warto, że zalecał im, ażeby się starali wszelkimi sposobami o bogactwa, a zwłaszcza żeby się oddawali prawnictwu, warzeniu piwa i trzymaniu szynków.

z Petersburga czynnej pomocy do zawiązania w Polsce konfederacyi; w lutym też postanowioną już była w Petersburgu kandydatura Adama Czartoryskiego lub Stanisława Poniatowskiego. Czartoryscy myśleli o detronizacyi Augusta III., a Poniatowski umawiał się o to z carową; plan ten jednak odrzuciła Katarzyna, a to na wniosek Panina[1]. Równocześnie zamyślali kandydować wszyscy trzej synowie Augusta III. i Klemens Branicki. W ośm miesięcy potem, 5 października 1763 r. umarł August III.

O panowanie Poniatowskiego był do niedawna spór, jak zapatrywać się na osobę samego króla. Znakomity Kalinka upatrywał w nim dobrego polityka i przyznawał mu niemal we wszystkiem racyę. Wielkie jego dzieło o sejmie czteroletnim przyniosłoby zaszczyt każdej literaturze, a w naszej należy do arcydzieł historyografii. Publiczność jest zaślepiona, gdy w książce tej upatruje tylko rehabilitacyę Poniatowskiego; to tylko drobna część dzieła, a jest to znakiem wielkiej niedojrzałości społeczeństwa, że sprawa osobista, o osobę króla, zajęła je niemal wyłącznie. Podpisany od samego początku nie przypuszczał możności rehabilitowania Poniatowskiego, ale to rzecz drugorzędna wobec szeregu doniosłych zagadnień, poruszonych przez Kalinkę!

Mamy z ostatnich lat dwa przyczynki do wydania sądu o osobie królewskiej; w jednym przedstawia się nam jako polityk, w drugim jako człowiek.

Publikacya: „Ostatni poseł Polski do Porty Ottomańskiej. Akta legacyi stambulskiej Franciszka Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego. Z archiwum roskiego zebrał i wydał K. Waliszewski. Tom I. 1789—1790, tom II. 1791—1792". (Paryż, 1894). zawiera dobre, porządne i staranne wydanie obszernych a szczegółowych źródeł do tej sprawy; poprzedzona zaś jest wstępem wydawcy o znaczeniu tego poselstwa. Kalinka wychwalał Poniatowskiego za to, że nie dopuścił do przymierza zaczepnego z Turcyą przeciw Rosyi i potępia Piotra Potockiego za jego

[1] Szujski mniemał, że się to stało za wpływem Fryderyka II.; zresztą wszystkie te fakty były mu już znane.

starania czynione w Stambule w tym kierunku. Waliszewski zwraca najpierw uwagę, że ks. Kalinka dopuścił się kilku błędów w charakterystyce Potockiego i udowadnia, że nie można występować z zarzutem o kosztowność tej legacyi; Potocki (pensyi nie brał zgoła), kosztował Rzpltę mniej, niż najskromniejszy jakikolwiek ajent dyplomatyczny. Co do głównej sprawy, stoi Waliszewski również na wręcz odmiennem stanowisku od ks. Kalinki nie przypuszcza, jakoby zupełne poddanie się woli Katarzyny II. i bezwarunkowe wypełnianie jej wskazówek było mogło ocalić państwo polskie; argument, że poselstwo stambulskie drażniło Katarzynę, odpiera argumentem, że lepiej było bić się z Rosyą w przymierzu z Turcyą, niż bez Turcyi samemu, bez jakiegokolwiek wogóle przymierza. Król przeciwny był legacyi Potockiego i przeszkadzał, jak mógł, posłowi Rzpltej. Ks. Kalinka twierdził, że tej pokątnej działalności Stanisława Augusta należy zawdzięczyć, iż szkodliwy sojusz z Turcyą nie doszedł do skutku; Waliszewski nawet pod względem prowadzenia intrygi nie przypisuje zdolności królowi i wykazuje, że sojusz nie doszedł dlatego, że po ugodzie reichenbachskiej (1790) był obojętnym dla Porty. Przesadza jednak autor, upatrując w Piotrze Potockim wybitniejsze zdolności dyplomatyczne.

Jako człowieka poznajemy z nowych szczegółów Stanisława Augusta z dzieła: „Ostatnia wojewodzina wileńska“ przez X. M. R. (Lwów, 1892). Jest to obszerna monografia poświęcona Helenie z Przezdzieckich Radziwiłłowej, pełna rozmaitych szczegółów do historyi współczesnej; o ostatnich latach tego króla-gacha dowiadujemy się ciekawych rzeczy. Gdyby po upadku państwa jakikolwiek pisarek grodzki był się zachowywał w Petersburgu tak, jak ten piastun korony polskiej, musielibyśmy powiedzieć: podły; o każdym starcu, spędzającym ostatnie lata życia w sposób podobny do Stanisława Augusta, musielibyśmy powiedzieć, że to natura zgniła na wskróś; król, pod którego berłem państwo byt utraciło, śpiewał sobie szubrawe piosnki na ucztach i szukał wrażeń w wstrętnych widowiskach. Rehabilitacya jego nie da się też niczem ze źródeł poprzeć, a fatyga i rwetes o to były

niepotrzebne, bo do pozyskania kryteryów naukowych w sądzie o przeszłości Polski osoba ostatniego króla cóż może stanowić?

Większe dzieło K. Waliszewskiego: „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII. wieku. Wstęp do historyi ruchu politycznego w tej epoce“. (Kraków, 1890) jest zupełnie chybionem przedsięwzięciem naukowem. Autor stara się wykazać, że postęp społeczeństwa polskiego opierał się na filozoficznych doktrynach Zachodu. Książka grzeszy brakiem systematyczności i jakiejkolwiek wogóle metody krytycznej.

Jubileusz stuletni Konstytucyi Trzeciego Maja wywołał szereg mniej lub więcej udatnych rozpraw; ani jedna atoli nie stanęła w zupełności na wyżynie zadania i temat ten czeka jeszcze na autora.

Gruntownej biografii doczekał się natomiast uwielbiany naczelnik narodu, a to w dziele: „Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty przez K“. Kraków. 1894.

Autor, znany ze sumienności w swych badaniach, podaje rodowód Kościuszków od XVI. wieku, poznawszy każdego z osobna z członków tego niezwykle rozgałęzionego rodu. Źródeł dostarczyło mu przeważnie muzeum polskie w Rapperswylu, obok tego muzeum Czartoryskich w Krakowie, publiczna biblioteka cesarska w Petersburgu (powstała z biblioteki Załuskich) i kilka innych mniejszych archiwów; literaturę przedmiotu wyzyskano jak najstaranniej. Jest to dokładny, szczegółowy życiorys, który śledzi każdy krok Kościuszki, prostuje dużo mylnych przypuszczeń i podaje mnóstwo nowych wiadomości. Wszystkie okresy życia bohatera opracowane są z jednakową dokładnością; mamy tu wreszcie zrąb faktów, ustalony krytycznie, mamy zupełny materyał do biografii Kościuszki. Charakter jego nic nie stracił na szczegółowej analizie; pozostaje nadal wobec całego świata czystym, jak kryształ.

Twórcą nazwiska Kościuszków był Konstanty, syn Teodora (Fedora), sędzia i horodniczy w Kamieńcu litewskim, zwany po rusku „pan Kostiuszko Fedorowicz“, a wymieniony w dwóch aktach wielkoksiążęcych z lat 1509 i 1546; od Zygmunta I. otrzymał dobra Siechnowicze, od których przybrał nazwisko Siechno-

wickiego. Prawnuk jego w XVII. wieku podpisuje się już po polsku: Jan, porzuca schizmę i przyjmuje wyznanie ewangielickie; potomstwo jego przechodzi na katolicyzm. Ojciec Tadeusza, Ludwik, był miecznikiem brzeskim; w smutnych czasach owoczesnego sejmikowania nie przylgnęło do jego imienia żadne brudne wspomnienie. Miał zamiłowanie do zawodu wojskowego i został następnie pułkownikiem wojsk koronnych. Podanie, jakoby zginął zabity przez swych włościan, jest bajką. Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko Siechnowicki, przyszły naczelnik narodu, urodził się 4 lutego 1746 w Maraczowszczyźnie (nie w Siechnowicach). Do szkół uczęszczał prawdopodobnie do Jezuitów w Brześciu; ulubionym jego bohaterem z historyi był Tymoleon Korynckí. Do szkoły kadeckiej dostał się za poparciem Józefa Sosnowskiego, pisarza polnego Księstwa Litewskiego, zaprzyjaźnionego z domem Kościuszków. Zaraz po ukończeniu szkoły został kapitanem przy tymże korpusie kadeckim, następnie zaś przez radę korpusu zalecony królowi do wyjazdu za granicę. Wyjechał z końcem 1769 lub z początkiem 1770 r. Bawił we Francyi, ale nie wiadomo w której szkole; wrócił dopiero w drugiej połowie r. 1774. Wyzuty przez nierządnego brata z ojcowizny, nie miał za co kupić sobie szarży w wojsku. Przebywał w rozmaitych domach; bywał też u Sosnowskiego i zakochał się w córce Ludwice; nie dostał jej ręki, bo nie miał wówczas własnego dachu nad głową, a z wojska tylko tytuł, ale nie posadę. Bajką jest, jakoby tam udzielał lekcyj, jakoby urodzenie dzieliło go od „magnata“ Sosnowskiego — a wierutną bajką wszelkie podania o dokonanem lub choćby zamierzonem wykradzeniu panny. Nie mogąc dostać posady w kraju, postanawia szukać chleba i pola do działania gdzieindziej; wyjazd za granicę nie był też wcale „nagłym“, lecz dobrze przygotowanym i niema najmniejszego związku ze Sosnowskimi. Wyjechał przez Gdańsk do Francyi, a stąd w połowie r. 1776 do Ameryki; chleba szukał, ale chciał zarazem służyć idei. Gdyby o sam chleb chodziło, o karyerę wojskową, byłby ją znalazł w Anglii lub Niemczech. Kościuszko był pierwszym Polakiem, przybyłym do Stanów Zjednoczonych: do Waszyngtona wcale

się nie udawał, pojechał do Filadelfii i zajął się fortyfikacyą Billingsportu, za co otrzymał od Kongresu nominacyę na inżyniera z rangą pułkownika; służył następnie pod jenerałem Gatesem i wsławił się obwarowaniem Saratogi. Teraz dopiero dowiedział się o nim Waszyngton, ale osobistej znajomości między nimi nie było. Potem nastąpiła słynna fortyfikacya West-Point i kilka jeszcze innych robót inżynierskich. Miał sławę i uznanie, ale w ciągu całych 8 lat on jeden, a przynajmniej jeden z niewielu wyższych oficerów, nie otrzymał żadnego awansu, i miał poprzestać na posunięciu o jeden stopień, przyznanym wszystkim oficerom po wojnie. Napisał wtedy do Waszyngtona, a ten polecił go Kongresowi; w ten sposób dostał Kościuszko szarżę generała-brygadyera w awansie nie zbiorowym lecz osobistym. Było to tylko proste uznanie zasług; żadnego jednak zażyłego stosunku z Waszyngtonem nie było. Koledzy jednak wojskowi zamieścili go w liczbie trzech cudzoziemców dopuszczonych do „towarzystwa Cyncynatów“ (orderu żadnego nie było!). Kościuszko po rozwiązaniu armii dostał — jak wszyscy inni — pięcioletni żołd i spory kawał ziemi; miał z czego żyć wygodnie w Ameryce, ale pragnął spróbować znowu, czyby mu się nie udało tym razem wstąpić do wojska polskiego. Odpłynął z Nowego Yorku w lipcu 1784 — ale dopiero z końcem 1789 r. znalazł się w wojsku polskiem, dzięki aukcyi wojska i pomnożeniu szarż. Przez ten czas trudnił się gospodarką w Siechnowicach, których interesa począł porządkować; wyjeżdżał często, był też w Warszawie starając się o przyjęcie do wojska.

Jako generał-major miał kwaterę we Włocławku. Bardzo mu się tu nie podobało, szlachtę tutejszą nazywał Gaskonami i wołami; starał się o przeniesienie do litewskiego korpusu, ale napróżno; potem był w Lublinie i w Międzybożu. Kończył 45 rok życia i pragnął się ożenić; wybór padł na 18-letnią Teklę Żurowską; panna rada była konkurentowi, ale pan Żurowski uważał Kościuszkę za zbyt małą figurę na swego zięcia!

Wodzem naczelnym był ks. Józef Poniatowski, 28-letni oficer-subaltern ze służby austryackiej; przez pewien czas zdał on na Kościuszkę komendę dwóch dywizyj, ale Kościuszko nie

był wzywany do układania ogólnego planu działań i nie wiedział, co się działo na litewskim teatrze wojny. Przedstawiał księciu na początku wojny w raporcie, że trzebaby wprzód zbić jednę kolumnę nieprzyjacielską, nim się wszystkie złączą, ale nie znalazł posłuchu. Ganił bardzo całą administracyę wojskową w tej wojnie. Po bitwie nad Dubienką awansował król Kościuszkę na generał-lejtnanta, razem zresztą z trzema innymi, najlichszemi swemi kreaturami. „Dla ubogiego, zadłużonego dziedzica Siechnowicz epokowym był dzień 6 sierpnia 1792 r., kiedy mu wypłacono od razu płacę generał-lejtnanta, pieniądze stołowe i furażowe na 26 koni, gażę szefowską i kapitańską za kwartał czerwcowy, razem 13.796 złp. Atoli jednę tylko tę ratę pobrał Kościuszko, bo następnych wyrzekł się dobrowolnie pod wrażeniem bolesnych dla serca patryotycznego wypadków". W tymże roku francuskie Zgromadzenie prawodawcze obdarzyło go obywatelstwem francuskiem; co wkrótce miało mieć dlań wartość praktyczną. Gdy król przystał do Targowicy, podał się Kościuszko do dymisyi, wraz ze stukilkudziesięciu oficerami. Miał audyencyę u Stanisława Augusta. Oto własne jego słowa: „Król na mnie mocno nalegał, perswadował, przekonywał, nareszcie nasłał damy wiadome w związkach jego, abyśmy nie opuszczali go i nie nalegali o dymisye. Ja zawsze jednostajnie mu odpowiadałem, zbijając wszystkie argumenta, że czasem ambarasowany był odpowiedzieć mi. Nareszcie ze łzami powiedziałem mu, żeśmy zasłużyli na wzgląd, bijąc się za kraj, za rząd, za Waszą Kr. Mość i że nigdy nie uczynimy przeciwnie naszemu przekonaniu i honorowi... Jeszcze się nie obrał żaden, aby mógł głośno infamisami i zdrajcami nazwać tych łotrów; ja tylko wyraźnie powiedziałem w przytomności króla, na co odpowiedział: Zostawić im tę hańbę!" Kasztelanowa kamieniecka, Kossakowska z Potockich, ofiarowała Kościuszce dobra dające intraty 20.000 złp., dowiedziawszy się o tem później Kościuszko, odmówił przyjęcia daru. Nie posiadając funduszów na uregulowanie swych interesów zrzekł się Siechnowicz na rzecz swej siostry Estkowej i jej dzieci, z warunkiem, żeby gospodarze w całej wsi nie robili jak tylko dwa dni męskiej pańszczyzny, zaś kobiecej wcale

nie. „Żeby w inszym kraju, gdzieby mógł rząd zabezpieczyć wolę moją, zapewnebym wolnymi ich uczynił". Z początku października wyjechał do Galicyi, bawił w Sieniawie, we Lwowie i Zamościu. Dnia 5 grudnia kazano mu we 12 godzin opuścić kordon cesarski. Wyjechał przez Wrocław do Lipska; tu dowiedział się o nadanem sobie obywatelstwie francuskiem. Grono patryotów obradujące w Lipsku pod przewodem Kołłątaja i Ignacego Potockiego wyznaczyło mu misyę polityczną do Francyi, Anglii i Szwecyi. Był tylko we Francyi. W Paryżu trafił na ścięcie Ludwika XVI.; u Dantona nie żądał posłuchania, widział się tylko z ministrem spraw zagranicznych Lebrun'em i otrzymał od niego obietnicę zasiłku pieniężnego na cele wojenne; ale Lebrun wkrótce stracił władzę. Nastał okres Robespierra i Kościuszko zaniechał całkiem swojej misyi dyplomatycznej. Król pruski pragnął go mieć w swojem wojsku, ale o tem nie mogło oczywiście być mowy. Z końcem lata 1793 wrócił do Lipska i stanął na czele związku przygotowującego powstanie narodowe. Po manifeście połanieckim i bitwie pod Racławicami napisał Stanisław August do Kościuszki list, którego treść równała się abdykacyi. Wiemy o tem z zachowanej odpowiedzi Kościuszki: „Wyczytawszy (w liście królewskim), iż W. Kr. Mość władnym i znaczącym inaczej być nie pragniesz, tylko wtedy i tyle, jak ja z narodem osądzę"... Kościuszko zabezpieczył natenczas osobę królewską i cześć winną tronowi.

Po Racławicach nosił rzeczywiście sukmanę chłopską, ponieważ zapowiedział, że będzie nosić z kolei mundur tego oddziału, który się najbardziej odznaczy. Pod Szczekocinami był źle obsłużony przez wyprawy wywiadowcze i przez sztab swój; miał tylko oficerów polowych i trzech artylerzystów z załogi krakowskiej, a nikogo z korpusu inżynierów, który w XVIII. w. wystarczał jako tako na kwatermistrzowstwo; obowiązkom i wodza i subalterna podołać sam nie mógł i tem się tłumaczy, że niespodzianie dał się zaskoczyć Prusakom. Po przegranej przejeżdżał się przed wsią Hebdzie, nie dobywszy wcale pałasza, gdy huzarzy nieprzyjacielscy harcowali na polu. Tak spotkał go Sanguszko, a na zapytanie odparł Kościuszko: chcę być ubitym;

gwałtem musiał go Sanguszko zabrać do wsi. Wtedy też kula armatnia raniła wodza w nogę. Pod Maciejowicami plan bitwy był wyborny i wszelkie szanse świetnej wygranej; wina klęski spada na Ponińskiego, i sam Kościuszko jeszcze w 1816 roku tę winę stwierdził; Poniński nie dopuścił się może zdrady, ale bądź co bądź wielkiej lekkomyślności i nieudolności. Pojmanie Kościuszki nastąpiło widocznie wśród kilku ludzi niewykształconych i niedomyślających się dziejowego znaczenia chwili, bo niema o tem ani jednej relacyi wiarogodnej. Tem widoczniejszą jest niemożebność, żeby tacy powtórzyć mogli łacińskie słowa: *finis Poloniae,* a którym on sam zaprzeczył zresztą w liście do hr. Ségura z 31 października 1803 r., jako „niekonsekwentnym i zbrodniczym w ustach każdego Polaka, a jeszcze bardziej moich". Pierś Kościuszki była pokrytą bliznami, noga poszarpana od ostrza bagnetu, a głowa poraniona trzema krzyżującemi się z sobą cięciami; oznacza to walkę z nieprzyjacielem oko w oko.

Wieziono Kościuszkę do Petersburga przez Wołyń na Kijów. Zaraz w pierwszych dniach mijał 2.000 pędzonych pieszo jeńców i musiał słuchać ich wyrzekań: „A gdzież te grunta i domy, gdzież to szczęśliwe życie, któreście nam obiecywali? Znajdziemy je na Sybirze!" Za te zniewagi, miotane z ust małodusznych, odpłacił z właściwą sobie wspaniałomyślnością: gdy stanąwszy w Korytnicy otrzymał od Rady Najwyższej Narodowej 4.000 dukatów, zaraz oddał połowę tej sumy na oficerów i żołnierzy swoich. Rada wysłała doń adres kondolencyjny a Fersenowi ofiarowano w zamian za osobę Kościuszki wszystkich jeńców rosyjskich z górą 2.000. Pod Kijowem przeprawiano się na lewy brzeg Dniepru; stąd jechano na Czernichów, Mohylew i Witebsk. W tem ostatniem mieście grupa włościan, wziętych świeżo w rekruty, zdjęła z uszanowaniem czapki. Przez Wielkie Łuki i Psków dotarto do Petersburga dopiero 10 grudnia 1794 r. W śledztwie dawał odpowiedzi krótkie, ale bezwarunkowo prawdziwe; Kościuszko wogóle albo milczał, albo mówił prawdę. Wśród zeznań znajdujemy ten nader ważny ustęp: „Ponieważ był oznaczony czas, w którym miałem otrzymać doniesienie ze wszystkich wo-

jewództw, a Madaliński rozpoczął przed tym terminem, więc sądziłem, że zaczął rzecz zawcześnie; co do mnie — nie rozpocząłbym wojny przed otrzymaniem niezbędnych wiadomości i, gdyby takowe nie nadeszły, odłożyłbym powstanie do późniejszego czasu, a być może doczekałbym się wojny z Turcyą, o której tyle mówiono".

Jak oddziałało nań dwuletnie więzienie, najlepiej wyrazić słowy zacnego lekarza Rogersona (Anglika): „Siły fizyczne i moralne tego poczciwego człowieka są prawie wyczerpane skutkiem długich cierpień... Tracę nadzieję uleczenia go: tyle wycierpiał na ciele i duszy, że organizm jego jest zrujnowany zupełnie i energia nerwów, czego się obawiam, zniszczona niepowrotnie. Wszystko to wróży bardzo bolesną przyszłość temu człowiekowi tak szanownemu i tak zajmującemu dla swych cnót i cierpień, a co jest najbardziej do pożałowania, to, że pozostanie mu, jak się obawiam, rozdrażnienie umysłu i nastroju" *(la lésion d'âme et d'humeur)*.

Uwolniony przez Pawła I. musiał jednak złożyć przysięgę poddańczą. Cesarz ofiarował mu 12.000 rubli i 1.000 dusz, które Kościuszko prosił zamienić na sumę pieniężną (60.000 rubli); zapewne jednak nie pobrał jej, gdyż później nie było o niej mowy, również jak o pensyi rocznej. Kościuszko wyjechał z Petersburga przez Finlandyę, na Abo i przez Zatokę Botnicką do Sztokholmu, stąd zaś do Götheborga, gdzie półtrzecia miesiąca musiał czekać na statek sposobny do podróży do Anglii. W Londynie zabawił 2 tygodnie, poczem w Bristolu siadł na okręt płynący do Ameryki. Cała ta podróż była wielkim pochodem tryumfalnym: przyjmowano Kościuszkę wszędzie z hołdami i zapałem. Podróż przez Ocean trwała prawie dwa miesiące. W Filadelfii nowe honory; wyprzężono nawet konie z karety. Potem przebywał Kościuszko krótko w N. Yorku w Elisabethtown, w Nowym Brunświku; podczas obrad kongresu powrócił do Filadelfii, ażeby wydostać swoją należytość: żołd skapitalizowany i procent, nie pobierany od czasu powrotu do kraju. Kongres przyznał mu 18.940 dolarów; posiadał nadto grunt, wydzielony mu, jako oficerowi, przy rozwiązaniu armii w r. 1783. Ściślejszą

przyjaźń zawarł z Jeffersonem; z Washingtonem wymienił tylko listy, a chociaż przezeń zaproszony, nie pojechał do niego; wogóle ci dwaj mężowie nie znali się całkiem osobiście. Dnia 5 maja 1798 r. sporządził Kościuszko testament, którym własność swą w Stanach Zjednoczonych zapisał na wykup Murzynów i wychowanie murzyńskich dzieci; z funduszu tego założono potem w r. 1826 w Newark murzyńską szkołę „Kosciusko-School". Powodem do spisania testamentu był niespodziany wyjazd z Ameryki.

„Na wiosnę 1798 r., około 26 marca, otrzymał plik listów z Europy. Doznał tak silnego wzruszenia, że zeskoczył ze swego łoża aż na środek pokoju, on, który nie mógł się ruszać bez podtrzymywania; musiał też zawołać służącego, aby pomógł mu wrócić. Nie wymieniając powodów, powiedział krótko generałowi White: Muszę zaraz wracać do Europy. Jakoż znikł w pierwszych dniach, może 5 albo 6 maja, nie uprzedzając Niemcewicza, nie wziąwszy służącego Stanisława, zostawiwszy tylko dla nich w szufladce 100 dolarów, porzuciwszy sprzęty kuchenne, szachy i futro kosztowne. Wyjechał za paszportem, wyrobionym przez Jeffersona na nazwisko Tomasza Kanberga u posła francuskiego".

Wieścią, która wstrząsnęła tak bohaterem, była wiadomość o układzie zawartym przez Dąbrowskiego, wodza legionów, z rzecząpospolitą Cisalpińską. Wylądowawszy w Bayonnie odrzucił Kościuszko przybrane nazwisko; przed 14 lipca stanął w Paryżu i występował tu w charakterze politycznym. Dnia 4 sierpnia 1798 r. odesłał carowi otrzymane niegdyś 12.000 rubli i napisał list z wypowiedzeniem poddaństwa, mówiąc, że przysięgę poddańczą ministrowie Pawła wymusili na nim „gwałtem i przewrotnością"; list ten ogłosił sam w gazetach. Trzy mocarstwa rozbiorowe urządziły formalną obławę na Kościuszkę w swych państwach; w Borunach znaleziono wtenczas jakiegoś chłopa podobnego do Kościuszki i wieziono go aż do Petersburga. Zwrotu pieniędzy Paweł oczywiście nie przyjął; kapitał ten złożono na rachunek Kościuszki w banku Baringów w Londynie; nie tknął tych pieniędzy Kościuszko aż do chwili spisania ostatniego testamentu.

Naczelnik narodu spostrzegł wkrótce, że legiony — to złudzenie. Krzątał się około tej sprawy, ale oficyalnie i publicznie nie mógł wystąpić, pókiby walka nie odbywała się pod polskim sztandarem. Po odrzuceniu przez pierwszego konsula planu Dąbrowskiego wyprawy do Galicyi w r. 1800, zachowywał się już Kościuszko biernie. Stosunki się zmieniły, a wkrótce minister policyi Fouché ostrzegał go przyjaźnie, że śledzą go osoby znakomite, których nigdyby nie posądził, że są szpiegami. W r. 1801 przeprowadził się Kościuszko do Zeltnerów; wyjeżdżał razem z nimi na lato do ich posiadłości Berville w pobliżu Fontainebleau, w departamencie Sekwany i Marny, w gminie Genevraye. W listopadzie 1806 posłał Napoleon ministra Fouché do Berville z poleceniem, żeby skłonił Kościuszkę do udziału w wyprawie przeciw Rosyi. Naczelnik zażądał rękojmi, co do zamiarów Napoleona względem Polski, a gdy Fouché zażądał ślepego posłuszeństwa woli cesarskiej, odmówił wszelkiego udziału. Niestety, już kilka tygodni przedtem Dąbrowski i Wybicki oddali sprawę polską Napoleonowi na łaskę i niełaskę; w proklamacyi swej zapewniali lekkomyślnie, a nie bardzo z godnością: „Wkrótce Kościuszko, wezwany przez Wielkiego Napoleona, przemówi do Was z Jego woli“, ale Kościuszce ani się śniło być Napoleona komparsem i bić się za jego karyerę. Nadużyto też imienia Kościuszki, nie zapytawszy go wprzód o zdanie; skoro tak zrobili Dąbrowski i Wybicki, czegóż się dziwić, że Fouché sfabrykował wprost i wydrukował w *Publiciste,* całą odezwę Kościuszki? W styczniu 1807 podał Naczelnik wyraźnie swoje warunki: 1) że forma rządu będzie w Polsce taką, jak w Anglii, 2) że chłopi będą wolni i otrzymają na własność swoją posiadłość teraźniejszą, 3) że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odessy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony z zamianą za Galicyę. Napoleon odpowiedział, że mu już na Kościuszce nie zależy.

Przebywał więc Kościuszko w zaciszu w Berville, pod ustawicznym dozorem policyjnym; paszportu do Szwajcaryi odmówiono mu. W r. 1814 sprzymierzone armie weszły do Paryża. Aleksander I. sam przypomniał sobie Kościuszkę i kazał ofice-

rom polskim złożyć mu uszanowanie. Dnia 9 kwietnia 1814 r. wzywał Kościuszko Aleksandra listownie, żeby się ogłosił konstytucyjnym królem Polski, ogłosił generalną amnestyę i zniósł do lat dziesięciu poddaństwo ludu. Przyjechał też ze wsi do Paryża i zażądał audyencyi; przyjęty jak najzaszczytniej i najserdeczniej. Później powoływał się Kościuszko wyraźnie na „przyrzeczenia cesarza mnie i wielu drugim wiadome, powrócenia kraju naszego do Dźwiny i Dniepru, dawnych granic Królestwa Polskiego". Na żądanie Aleksandra wybrał się Kościuszko do Braunau w Bawaryi, gdzie car miał główną kwaterę. Rozmowa sprawiła niezadowalniające wrażenie; pojechał jednak na dalsze żądanie carskie do Czartoryskiego w Wiedniu. Tutaj jednak konferencya była tak przykrą, że niekorzystnie odbiła się na zdrowiu Kościuszki. Napisał list do Aleksandra, lecz długo nie miał żadnej odpowiedzi; nareszcie nadeszła (pod adresem Czartoryskiego), a taki wywarła skutek, że Kościuszko nagle zmienił się w całem postępowaniu i tegoż jeszcze dnia wyjechał przez Tyrol do Solury. Żądał ciągle Polski w granicach z 1772 r., i uważał, że inaczej „nie może zdatnie usłużyć ojczyźnie". Osobiście jednak cenił Aleksandra. „Jemu ja aż do śmierci mieć będę wdzięczność za wznowienie imienia polskiego: chociaż w szczupłych obrębach uczyni się dobrze Polakom". W następnym roku dowiedziawszy się, że w Warszawie ma być wystawiona brama tryumfalna na pamiątkę wjazdu Aleksandra I., przesłał tysiąc franków na składkę. Na zlecenie cesarza przesłał bank londyński już 1814 r. Kościuszce obrachunek z owej kwoty, odesłanej niegdyś Pawłowi; kapitał wzrósł do stu tysięcy franków, a stosunki obecne nie pozwalały już na powtórzenie obrażającego zwrotu, jak w r. 1798.

Jesienią 1815 r. osiadł Kościuszko na stałe w Solurze. Poświęcił się dobroczynności na wielką skalę, a opowiadane w tej mierze o nim charakterystyczne zdarzenia, są najzupełniej prawdziwe. Zajmował się też sprawami oświaty powszechnej i zwiedził szkołę Pestalozziego. Doznawał wielu dowodów czci od cudzoziemców; przez Polaków był niemal całkowi-

cie zapomniany. Skonał samotny, opuszczony, dnia 15 października 1817 r. Korespondencyę polską kazał zniszczyć.

Z gruntownego dzieła K. wynika niewątpliwie, że Kościuszko był nietylko wielkim patryotą, ale też wielkim człowiekiem i bystrym politykiem; był też bohaterem cnót wielkich, poświęcenia, skromności, zaparcia się siebie i bezgranicznej miłości bliźniego; słusznie autor zwraca uwagę, że w życiu Kościuszki są takie przykłady miłości chrześcijańskiej, iż podobnych szukać trzebaby chyba w żywotach świętych.

Od Piasta doszliśmy do Kościuszki. Nie pójdziemy dalej, jakkolwiek teraz właśnie przybyłoby materyału do przejrzenia; ale materyał ten wymaga skrupulatnej krytyki i trzebaby zwracać uwagę czytelnika na tyle różnych okoliczności, że przegląd literatury do dziejów porozbiorowych musiałby być nieproporcyonalnie długim. Nadto zaś, musiałby być przykrym i pisanym po większej części w ostrym tonie, bo cytowani autorowie i wydawcy tworzyliby po większej części galeryę tendencyjnych pisarzów — a pierwszym obowiązkiem historyka jest: wypleniać z historyografii polityczną tendencyjność. Trzebaby długich nieraz wywodów, żeby dopomóc czytelnikowi do zoryentowania się w bałamuctwie tej literatury, której przegląd musiałby być zarazem niejako przeglądem politycznych prądów u nas w XIX. wieku. Tego nie zrobi się w szeregu artykułów; na to trzebaby całej książki.

Dr. Feliks Koneczny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Lechici w świetle historycznej krytyki. *Antoni Małecki.* Lwów 1897. (W 8-ce, str. 264).

W pomroce tajemniczej osłonięte prastosunki czy to aryjskie, czy greckie, celtyckie, germańskie czy słowiańskie zaciekawiały zawsze umysły ludzkie, zwłaszcza odkąd studya historyczne tak bardzo się rozwinęły, a wyjaśnienie prapoczątków narodu obiecywało objaśnić jego rozwój dziejowy.

I u nas jest taka prakwestya na porządku dziennym od 150 lat i wcale nie zanosi się na rychłe jej załatwienie w obecnej chwili, kiedy dwóch najgłośniejszych badaczy wstąpiło w szranki, każdy z dyametralnie różnymi wynikami, opartymi na bardzo gruntownych studyach. Jak poważne są badania profesorów Piekosińskiego i Małeckiego, najlepszym dowodem sąd Akademii Umiejętności, która jednemu i drugiemu za prace: „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu“ i „Studya heraldyczne“ przyznała najwyższą nagrodę. W przeszłym i bieżącym roku obaj szermierze wystąpili znowu do walki z nowymi wynikami badań. Profesor Piekosiński publikował zeszłego roku wydanie drugie poprawione swego dzieła: „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu“ oraz „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej“; prof. Małecki wyżej wymienione w nagłówku studyum krytyczne.

Przedmiotem głównym tego sporu naukowego są dwie kwestye: 1) Naród nasz składał się już w zaraniu swego istnienia historycznego z dwóch głównych warstw: uprzywilejowanej szlachty i upośledzonego

ludu. Skąd powstał taki podział? Jestże on wytworem samego społeczeństwa pierwotnego w jego prawidłowym rozwoju, czyli też skutkiem zewnętrznej przyczyny, a mianowicie najazdu? 2) Od niepamiętnych czasów nosimy nazwę polskiego i lechickiego narodu. Sądzono powszechnie, że ludność włościańska to żywioł tubylczy polski. Jestże nim także szlachta? Łącząc etymologicznie wyraz szlachta z Lechitami, przeważna część naszych dawniejszych badaczy mniemała, że szlachta to przybysze szczepowo czy rasowo odrębni od tubylców; niewielu tylko utrzymywało, że ta lechicko-szlachecka warstwa z powodu kulturalnej różności na wierzch społeczeństwa wypłynęła.

Prof. Małecki jest stanowczym przeciwnikiem obcego najazdu, którego głównym przedstawicielom jest obecnie prof. Piekosiński. W dwóch głównie pracach p. t. „Wewnętrzny ustrój w pierwotnej Polsce“ (1875 r.) i wyż wymienionych „Studyach heraldycznych“ występuje historyk lwowski przeciw hipotezie najazdu; w najnowszem studyum „Lechici“ przedsięwziął zbadać genezę tej nazwy, a wykazawszy następnie, w jaki sposób dzięki nieporozumieniom i fałszerstwom wykłóły się wszystkie nasze pralechickie poglądy od stu lat, chce tem samem obalić podstawy hipotezy najazdu.

Pierwszy raz naród nasz występuje na widownię dziejową pod zagadkową, prawdopodobnie zepsutą przez przepisywaczy nazwą *Licicavici* czy *Licicanici*. Współczesny wypadkom mnich korbejski Widukind donosi w kronice swej o dwukrotnem pobiciu Mieszka *cuius potestatis erant Slavi, qui dicuntur Licicavici*. Że podobieństwa między *Licicanici* a Lechitami niema więcej, jak chyba tyle, że się obydwa te słowa od litery L zaczynają, trafnie podnosi autor. Wyraz ten w każdym razie przekręcony oznacza najprawdopodobniej Łęczycan. Skąd ta nazwa jednak może się odnosić do poddanych Mieszka? Autor mniema, że Mieczysław mógł w owych latach panować nad pewną częścią kraju z centralnym punktem w Łęczycy. Miał bowiem braci, zabitego bezimiennego w bitwie z Wichmanem i Czcibora. Ci posiadali wedle obyczaju tamtoczesnego pod panującym monarchą pewne powierzone sobie dzielnice. Zresztą mogło być i tak, zdaniem autora, że nie Mieszko, ale który z tych jego braci panował wtedy w Łęczycy, a Widukind to mylnie odniósł do najstarszego. Na powyższą interpretacyę, zbyt sztuczną, niepodobna się zgodzić. Zbyt szczupła jest ziemia łęczycka, aby od niej mogli potężnego króla poddani wziąć nazwę. Widukind Wichmana awanturnicze życie, wyprawy i zgon opisuje tak szczegółowo i dokładnie, iż niepodobna inaczej przypuścić, jak tylko, że co o nim na-

pisał, spisał wedle opowiadania jakiegoś towarzysza Wichmanowego. Wiemy, że Wichman głównie ze Słowianami nadmorskimi, jak Wolinianami, przeciw Mieszkowi walczył. Nazwę, jaką na podstawie relacyi druha Wichmanowego mianuje poddanych barbarzyńskiego króla Mieszka, a później przyjaciela cesarskiego saski kronikarz, była to nazwa zbiorowa, jaką oznaczali słowiańscy sprzymierzeńcy Wichmana sąsiednie ludy, mieszkające między bagniskami Noteci, Warty i Odry, a będące pod panowaniem Mieszka. Nazwy zaś dawane przez sąsiadów nie koniecznie są identyczne z nazwami, jakie sam naród nosi. Być może, że pod zagadkowem brzmieniem ukrywają się Łęczyczanie, zgodne to to jest z przyrodą kraju; tylko w takim razie nie może nazwa ta odnosić się do nielicznych mieszkańców drobnej ziemi łęczyckiej w późniejszem znaczeniu, lecz do mieszkańców nad Wartą w ogólności.

Po Widukindzie najstarsze źródła dziejowe czy niemieckie, czy czeskie, czy polskie aż do Kadłubka nie znają narodu polskiego pod inną nazwą, jak Poloni. Jest to nazwa szczepu podbójczego, który wraz z panowaniem narzucił wszystkim podbitym plemionom i nazwę własną. Jak Frankowie narzucili czy Galii, czy Germanii, nazwę Frankonii, tak Polanie ziemiom nad Wartą i Wisłą nazwę Polski. Jest to nazwa urzędowa naszego państwa, nie dziw, że źródła obce, zachodnie, tą tylko się posługują. Nazwa ta jest swojska; mieliśmy jednak i drugą nazwę, obcą, nadaną przez ludy wschodnio-słowiańskie, z których się naród ruski wytworzył. Najstarszy ruski kronikarz, Nestor, podaje pierwszy nazwę „Lęch", która później zamieniona w Lach, do dziś dnia stała się w ustach Rusina synonimem Polaka. We wstępie biblijno-geograficznym swej kroniki, zawierającym niejako etnografię Europy, podaje Nestor o Lęchach co następuje (M. P. H. I, 553): „Gdy bowiem Wołchy naszli Słowian dunajskich i usadowiwszy się między nimi ciemiężyli ich, Słowianie owi przyszedłszy siedli nad Wisłą i przezwali się Lęchami, a od Lęchów przezwali się jedni Polanami, drudzy Lęchowie Łutyczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami".

Autor wysnuwa następujące wnioski z tego ustępu i wogóle z relacyi Nestora. Lęchowie występują u niego jako nazwa całości i jest synonimem słowa „Poloni". Polanie są mianem mieszkańców pewnej tylko prowincyi, t. zw. później Wielkopolski. Nestora wiadomości pochodzą z czasów, kiedy Polanie jeszcze nie podbili plemion, w skład późniejszej Polski wchodzących.

Łuticze nie są Lutykami, lecz Łętyczami lub Łęczycanami, a to z powodu, że forma u Nestora zawarta daleko więcej zbliżona jest do Łę-

tyczów, niż do Lutyków, a powtóre, że umieszczenie Łętyczów między Polanami a Mazowszanami odpowiada typograficznemu porządkowi w rozmieszczeniu tych ludów; Lutyków za Lachów Nestor nie poczytywał; poplątanie Nestorowych Łuticzów z Lutykami było głównym i jedynym może powodem urojenia i w historyi, i w lingwistyce, że Słowiańszczyzna zaodrzańska była właściwym matecznikiem lechizmu, że Polacy, jako także Lechici, zostawali w tak ścisłych związkach z zaodrzańskimi Lechitami, iż panujące dynastye tu i tam pochodziły z jednego gniazda.

Niedość na tem, autor wysnuwa z wyżej przytoczonego ustępu Nestora dalsze jeszcze wnioski. Rozróżnia: 1) Lechów o różnych nazwach i 2) Lechów na Wiśle, którzy tylko tę, a nie inną nosili nazwę. Są to mieszkańcy nad górną Wisłą w Sandomierskiem i Krakowskiem. Na podstawie zaś dalszych ustępów z kroniki Nestora, mianowicie ustępu o zdobyciu na Lechach grodów czerwieńskich przez Włodzimierza W. w r. 981 i przez Jarosława w r. 1031, rozszerza autor siedziby właściwych Lechów i na Ruś Czerwoną. Potwierdza to zdaniem autora nazwa Lachy lub Lechy używana raz przez górali tatrzańskich i Słowaków węgierskich na oznaczenie t. zw. Mazurów galicyjskich, powtóre przez Morawian i Czechów na oznaczenie polskiej ludności w powiatach opawskim i cieszyńskim w celu odróżnienia jej od t. zw. wołoskich osad.

Madziarowie znają Polaków pod nazwą Lengiel (wymawia się Lendjel).

Pisarz bizantyjski Kinnanos, żyjący w XII. wieku, opisując drugą wyprawę krzyżową, wspomina o władcy Lechów znajdującym się w otoczeniu Konrada III. Co do Lechów zaś poucza bizantyński autor swych czytelników w tymże miejscu, że jest to naród scytyjski na pograniczu z Hunami, przez co rozumiał Węgrów. Rzeczony władca, jak to niezawodnie wykazuje prof. Małecki, był nie kto inny, tylko Władysław II., najstarszy syn Krzywoustego, wypędzony przez braci i szukający pomocy u swego szwagra, cesarza Konrada III. Skąd Kinnanosowi przyszło do głowy nazwać księcia śląsko-małopolskiego władcą Lechów. Czyż nazwa Polski obcą była w Byzancium? Nie pozostaje nic innego, zdaniem autora, jak przyjąć, że Kinnanos przyjął tę nazwę od Słowian serbskiej narodowości. Serbowie nazywali Polaków także Lechami, obok tej nazwy była w użyciu także nazwa Ledianin w pieśniach serbskich i kronikach z XV. wieku. Długo nazwa ta była dla Serbów nowoczesnych zagadkową, aż wreszcie profesor a późniejszy minister, Stojan Novakowić, znalazł w jednym z roczników serbskich

ustęp: *Anno 1440 constitutus est in Ungaria rex Wladislaus Ledianin* Jest to nasz Władysław Warneńczyk. Ledianin znaczy wedle prof. Małeckiego oczywiście Polak. Sądzi więc, że jeszcze w XV. wieku Ledianinami zwali Serbowie Polaków, a Ledianem Kraków.

Nazwa ruska Lach, a dawniejsza Lęch nie może być pierwotną; dowodem tego jest przymiotnik ladьski, nie, jakby przypuszczać należało, laszьski. Że w ruskiem pierwotnie słowo to Lęch brzmiało, dowodem tego jest słowo litewskie Lenkas, niewątpliwie z ruskiego wzięte, gdzie nazalizm jest widoczny, ale i to słowo Lęch musiało być otrzaskiem czegoś dłuższego, skoro przymiotnik urabia nie od swego tematu. Tą pierwotną formą była nazwa Lędjanin, pochodząca od słowa aryjskiego *leda, lenda, land, lędina, lęda,* oznaczającego nizinę w stanie pierwotnej natury, pole leżące ugorem. Lędjanin znaczy „mieszkaniec pól nieuprawnych", a przechowała się ta nazwa najdłużej u Serbów bałkańskich we formie wyżej wymienionej, Ledjanin. W duchu polskiej pisowni wyraz ten brzmiećby musiał Lędzianin. Otóż bizantyński pisarz z X. wieku, Konstantyn Porfyrogenita wymienia na pograniczu pd. Rusi, w obrębie dzisiejszego Wołynia naród: Λενζανῆνοι lub Λενζανῖνοι. Niewątpliwie były to najdalej na wschód wysunięte osady owych Lachów, których w r. 981 aż po Przemyśl zagarnął Włodzimierz W. Ponieważ nazwa *Lendzaninoi* odpowiada samej tylko polskiej głosowni, zatem polskiej byli oni narodowości.

Jakiż związek jednak między Lędzianem, Ledjaninem a Lechem i Lachem? Języki słowiańskie posiadają pewną odrębną formę skróconych rzeczowników na wyrażenie poufałej i rubasznej konfidencyi; za miast Stanisław mówimy Stach, zamiast Katarzyna Kachna, zamiast swat swacha. W czeskim języku Žich używa się zamiast Zygmunt, Mich zamiast Michał. Podobne przykłady znajdują się wedle zapewnień znawców i w języku ruskim, jakkolwiek autor przykładów tych nie przytoczył, a szkoda, bo one tu najważniejszą odgrywają rolę. W ten sposób tłumaczy autor za prof. Nehringiem słoworód ruskiej nazwy Polaków.

Przyznajemy, że wykład ten w wielu punktach jest zgodny z prawdą i trafia do przekonania. Zbyt jednak kwestya lechicka jest odległa, zamglona i wskutek tego zaciemniona, aby ją kto mógł definitywnie wyświetlić. Następujące wątpliwości nasunęła nam argumentacya prof. Małeckiego.

Czy rzeczywiście Nestora wiadomości co do składowych plemion narodu polskiego pochodzą z tych czasów, kiedy Polanie jeszcze nie

podbili Mazurów, Pomorzan i t. d.? Autor stawia to twierdzenie na podstawie, że Nestor ogranicza miano Polan tylko do jednej prowincyi, nie odnosi go zaś, jak czescy i niemieccy pisarze, do całego obszaru późniejszej Polski. Na to odpowiemy, że żaden z niemieckich i czeskich kronikarzy nie pisał etnografii słowiańskiej, jak to czyni Nestor. Nadto dla Nestora „polską ziemią“ jest tylko kraj jego rodzinny, to jest ziemia kijowska (M. P. H. I, 565). Z tych powodów posługuje się nazwą odrębną, ruską: Lęchy na oznaczenie Polski i Polaków.

Przypuśćmy jednak, że Nestor posiadał jakie stare źródła o Słowianach północno-zachodnich; mógł je mieć w takim razie tylko ze źródeł morawskich. W państwie wielko-morawskiem początki piśmiennictwa słowiańskiego się rozwinęły, stąd przeszły do innych Słowian południowych i wschodnich. Że Nestor rzeczywiście posiadał jakieś źródła morawskie, dowodem tego nietylko dokładniejsze wieści o losach Słowiańszczyzny w Panonii, nietylko znajomość żywotu św. Metodego, ale także fakt, że spis plemion słowiańskich rozpoczyna od Morawian i Czechów. Czy Morawianie z IX. wieku posiadali wiadomości dokładne o szczepach, w obrębie Polski późniejszej się znajdujących? Nie możemy tego stwierdzić. Jedyny raz jednak wspomniany w żywocie św. Metodego książe, panujący nad górną Wisłą, nie nazywa się księciem Lechów, lecz księciem ВЪ ВИСЛѢХЪ, to znaczy Wiślan. Potwierdza to geograf bawarski z IX. w., wspominając między Węgrami a Ślązakami Wiślan (M. P. H. I, 11) i Opis Germanii króla Alfreda, podając, że na wschód od Moraw jest kraj Wiślan (M. P. H. I, 13). Jeżeli tedy nazywali się Wiślanami, błędnem jest twierdzenie prof. Małeckiego, że mieszkańcy nad Wisłą poprzestawali na jednem nazwisku Lachów (str. 19). Wiadomości Nestora o szczepach Słowian północno zachodnich pochodzą niewątpliwie z polskiego źródła. Naprowadza nas ta okoliczność, że prócz szczepów polskich, jak Lęchów na Wiśle, Polan, Mazurów i Łęczycan, z innych Słowian północno-zachodnich tylko wymienia Pomorzan, tj. to plemię, które właśnie około 1113 r., tj. czasu pisania kroniki przez Nestora, stały się głośne przez walkę z Polską. Że Nestor miał wiadomości z Polski w tych czasach, tego dowodem jego wiadomość pod r. 1102 (6610) *wedena byst dszczy Światopołcza Zbysławu w Lachy za Bolesława.* Panujący wtedy w Kijowie Świętopełk niejednokrotnie przysyłał posiłki ruskie swemu zięciowi w Polsce przeciw Zbigniewowi i w innych potrzebach w r. 1107—1109 (Gall, M. P. H. I, 452, 453, 455, 467). Ponieważ zaś Wielkopolska, Mazowsze, Łęczyca były terenem tych walk ze Zbigniewem, w któ-

rych brała Ruś udział, nie dziw, że te plemiona wymienia głównie Nestor, inne, jak Kujawian, Ślęzan, Sieradzan pomijając milczeniem.

Co do nazwy Łutyczów wspomnianych przez Nestora, to jakkolwiek interpretacya Lutycy jest nader tentująca, mimo to zgodzić się należy z autorem, a to tem więcej, że właśnie przy grodzie łęczyckim, zwanym u Galla *Lucic*, połączyły się pierwszy raz posiłki ruskie i węgierskie z wojskiem Bolesława i dopiero po tem połączeniu Zbigniew został pokonany (Gall, M. P. H. I, 453). Nestor, piszący pod świeżem wrażeniem tych wypadków, miał dokładne informacye od wojowników ruskich. Co do dalszych plemion północno-zachodnich nic o nich nie wie. Wie tylko z opowiadań Waręgów niezawodnie, że do morza waregskiego, tj. Bałtyku przytykają Lęchy, Prusy i Czudowie od południa; od wschodu i zachodu Waręgowie (M. P. H. I, 551).

Prof. Małecki mniema, że u Nestora Lęchowie występują jako nazwa całości i są synonimem Polaków. Twierdzenie to tylko częściowo jest zgodne z prawdą. Kogo nazywa Nestor Lęchem? Najpierw Słowian nad Bałtykiem, nazw ich nie zna z wyjątkiem Pomorzan, to jednak nie ulega kwestyi, że wymieniając wszystkie ludy, zamieszkujące Bałtyku wybrzeża, nietylko Pomorzan obejmuje nazwą Lęchów, ale inne ludy słowiańskie nad tem morzem mieszkające. Lęchami są dalej u niego wszystkie plemiona polskie, dalej mieszkańcy dzisiejszej wschodniej Galicyi (M. P. H. I, 624). Lęchami wreszcie Radymicze nad Sożą i Wętycze nad Oką. O tych ostatnich mówi co następuje: Było dwóch braci w Lęsiech, jeden Radym, a drugi Wętko i przyszedłszy osiedli Radym nad Sożą, od niego przezwali się Radymiczami, a Wętko osiadł z rodem swoim nad Oką i od niego przezwali się Wętyczami. Widocznie mówi Nestor o przesiedleniu się 2 plemion na wschód z ziemi Lęchów.

Pytamy się teraz, czy można wszystkie te plemiona identyfikować z polskiemi? Czy tacy Radymicze lub Lęchowie z ziemi czerwieńskiej lub wreszcie Pomorzanie są szczepowo tak pokrewni Polanom, np. jak Mazowszanie lub Wiślanie. Prof. Małecki zdaje się być tego zdania i uważa Lechów nad Dniestrem za takich Polaków, jak nad Wisłą lub Wartą.

Bardzo spokrewnionym szczepem z Polakami byli np. Pomorzanie, a jednak nie tym samym. Dowodem tego jest akcent ruchomy u dzisiejszych Kaszubów, potomków dawnych Pomorzan, w przeciwieństwie do Polaków, którzy tę właściwość pierwotną słowiańskich języków utracili i posiadają akcent nieruchomy na przedostatniej zgłosce wyrazów,

Pod wpływem jakich czynników ten fakt się dokonał, tego nie wiemy; fakt jest, że musiał zajść w czasach przedhistorycznych, bo w historycznych czasach te same wpływy oddziałują na Polaków, co i na Pomorzan. Powołuję się w tej mierze na powagę tej miary, co prof. Baudouin de Courtenay. Ważniejszy argument, że Lęchy to nie zawsze Polacy, dostarczą nam mieszkańcy wschodniej Galicyi, dalej Radymicze i Wiatycze. Jeżeli Lęchy, których podbił Włodzimierz W. w r. 981 byli polskiem plemieniem, to naprawdę dziwić się wypada, jak szybko i gruntownie ta polska ludność uległa zruszczeniu, tak że śladu polskości w niej nie pozostało. Zdaniem naszem, ludność wschodniej Galicyi lubo zwana Lęchami, nigdy polską, lecz zawsze ruską była. Dowodu na to dostarcza nam kronika węgiersko-polska, powstała przed r. 1200 wedle najnowszych badań d-ra Keindla (*Studien zu den ungarischen Geschichtsquellen*, str. 10). Opisując kronikarz zjazd Bolesława Chrobrego ze Stefanem, węgierskim królem, w Strzygoniu około 1000 r., podaje granice Polski: *Nam termini Polonorum ad litus Danubii ad civitatem Strigonensem* (Gran) *terminabantur, dein in Agriensem* (Erlau) *civitatem ibant, demum in fluvium qui Tizia* (Cisa) *nominatur, cedentes, regyrabant iuxta fluvium qui Cepla* (Topla) *nuncupatur, usque ad castrum Salis* (Saros około Preszowa, Eperies), *ibique inter Ungaros, Ruthenos et Polonos finem dabant.*

Zatem w tych samych miejscach, gdzie i dziś stykają się żywioły polski, ruski i węgierski, stykały się one ze sobą za czasów Chrobrego. Na tej to podstawie twierdzi całkiem słusznie p. Kętrzyński w swej pracy „Granice Polski w X. wieku“ (Rozpr. Akad. Umiej., wydz. hist. filoz. serya II, tom V, str. 19), że przed przybyciem Węgrów, a nawet przed wtargnięciem Awarów mieszkali we Węgrzech, w północno-zachodniej części Słowacy, obok nich na wschód Rusini, na południe od nich Rumuni i Serbowie, a na zachód od Serbów Chorwaci. Jak się więc dostali do Węgier Rusini, jeżeli między nimi a Rusią właściwą mieszkali polscy Lęchowie? Chyba ci Lęchowie nie byli Polakami, lecz tak samo Rusinami, jak mieszkańcy północno-wschodnich Węgier. Zatem Lęchy nie oznaczają koniecznie Polaków; pojęcie to pierwotnie było znacznie szersze i obejmowało wszystkie plemiona, mieszkające na północny zachód od Słowian w okolicach Dniepru mieszkających. W tych okolicach musiała powstać ta nazwa; jest bowiem nazwą ruską. Niezawodnie oznaczała ona zrazu jakieś sąsiednie plemię Polan naddnieprzańskich; być może Λενζανῆνοι, Lendzianie Konstantego Porfyrogenity, siedzący gdzieś w okolicach Wołynia, byli

owymi pierwszymi Lęchami, od nich zaś ta nazwa przeszła na inne plemiona, za niemi na zachód i północny zachód mieszkające, tak samo jak nazwa illyrskich Γραικοί około Dodony stała się u Rzymian synonimem Helenów, lub nazwa plemienia nadgranicznego Alemanów u Francuzów synonimem Niemców, lub nazwa Franków na Wschodzie synonimem Europejczyka. Później dopiero, gdy powstało państwo polskie, nazwa Lęchy, Lachy ograniczyła się tylko do Polaków i po dziś dzień jest u Rusinów w użyciu.

Przeciw twierdzeniu, że nazwa Lęchy, Lachy jest ruskiego pochodzenia, a nie rodzimego, zdawałaby się przemawiać ta okoliczność, że ludy zupełnie różne, jak Litwini, Węgrzy, Serbowie, Bizantyńcy, ba nawet górale tatrzańscy, Czesi i Morawianie na Ślązku austryackim posługują się nazwą: Lenkas, Lengiel, Lechy, Lachy na oznaczenie Polaków. Co do litewskiego Lenkas to nie potrzebujemy się rozwodzić, prof. Małecki sam stwierdza, że nazwa ta jest ruskiego pochodzenia. I węgierskie Lengiel, jakkolwiek się dziś wymawia Lendiel, niewątpliwie stoi z ruskim Lęchem w genetycznym związku. Temat „Leng" jest tak zbliżony do „Lęch", że niepodobna wątpić, aby to były różne wyrazy. Że zaś Węgrzy od Rusinów wzięli tę nazwę, na to naprowadza nas ta okoliczność, że oni przed przybyciem do Węgier sąsiadowali z plemionami naddnieprzańskiemi, wszakże Nestor wyraźnie wspomina o pochodzie Węgrów około Kijowa za Olega (M. P. H. I, 558), że wreszcie w samych Węgrzech Rusinów zastali. Od Rusinów kijowskich przeszła ta nazwa przy ustawicznych stosunkach handlowych, kościelnych tychże z Bizantyńczykami do Carogrodu. Ponieważ zaś, jak wiadomo, ścisłe były związki Rusi z Bułgaryą, skąd misyonarze słowiańscy i pismo przyszło na Ruś, nie dziw, że nazwa Lęch dostała się do Słowian naddunajskich, Bułgarów i Serbów. Skąd się jednak wzięła zagadkowa nazwa Ledjanin u Serbów? Miałżeby się ten zagadkowy źródłosłów Lęcha tylko w Serbii zachować do XV. wieku? Uderza najpierw, że nazwa Ledjanin, Ledjan, Ledjański znajduje się tylko w pieśniach ludowych i w kronice Jerzego Brankowicza, pisanej w XV. wieku. Tam znajdujemy owo *Vladislaus Ledianin constitutus est in Ungaria rex, anno 1440.* Czy to Ledianin znaczy bezwarunkowo Polak? Przyznajemy, że serbscy śpiewacy niewątpliwie identyfikowali tę nazwę z Polakami i że Ledjan oznaczało u nich Polskę. Z tem wszystkiem Ledianin nie oznaczało zrazu Polaka, lecz to samo, co dziś jeszcze oznacza w serbskim języku, tj. Litwina (Ob. „Słownik serbsko-niemiecki" Jerzego Popowicza z r. 1881).

Czyż Władysław Warneńczyk nie był Litwinem? Ponieważ zaś ten Litwin był zarazem królem Polski i stał się sławnym wśród Słowian naddunajskich, ba nawet bohaterem narodowej poezyi serbskiej, nie dziw, że nazwa Litwin stała się w ustach śpiewaków i kronikarzy serbskich synonimem Polaka. Nazwa Ledjanin nie zachowała jeszcze do końca XV. wieku, jak chce prof. Małecki w Serbii, lecz dopiero w tym wieku tamże powstała, być może także pod wpływem węgierskich Lendiel. Co zaś do faktu, że górale tatrzańscy, Słowacy węgierscy i Czesi i Morawianie na Ślązku nazywają Polaków Lachami, to rozsadnikami tej nazwy byli niewątpliwie Wołosi, plemię zmieszane znacznie z żywiołem ruskim, które w całych Karpatach zajmowało się pasterstwem i do dziś dnia przechowało się na Ślązku i Morawach. Oni to zwali za Rusinami Polaków Lachami, po nich to tę nazwę przyjęli i ich spolszczeni dziś potomkowie w Tatrach, od nich przyjęli tę nazwę także i Czesi i Morawianie na Ślązku.

Reasumując nasze wywody w kwestyi Lęchów musimy stwierdzić, żeśmy poszli dalej od autora w przeczeniu swojskości nazwy „Lęchów". Twierdzimy: 1) że żadne plemię w skład późniejszej Polski piastowskiej wchodzące, nie zwało się same Lęchami; 2) że nazwa ta jest obca zwłaszcza ruska i powstała gdzieś na wschód od dzisiejszej wschodniej Galicyi prawdopodobnie u Polan naddnieprzańskich; 3) że zrazu odnosząc się do jakiegoś sąsiedniego plemionka Słowian naddnieprzańskich, być może Lendzianów mieszkających na Wołyniu, stała się nazwą zbiorową wszystkich Słowian północno-zachodnich z wyjątkiem Czechów i Morawian, o których pierwsi kronikarze ruscy mieli dokładniejsze wiadomości z ksiąg starosłowiańskich na Morawach i Bułgaryi powstałych; 4) że z chwilą powstania państwa polskiego i zetknięciem się go z państwem ruskiem, nazwa ta służy na Rusi na oznaczenie Polski i Polaków, a to tem więcej, że dla Rusinów Polanami byli mieszkańcy Naddnieprza, a okolice Kijowa polską ziemię.

Tyle w kwestyi zasadniczej. Co do drobnych szczegółów zaznaczymy, że niepodobna się zgodzić z autorem, jakoby druh pochodził od drugi i „drużka" należałoby pisać „druszka". Powołuję się w tej mierze na powagi filologiczne, jak prof. Malinowski i dr. Leciejewski. Również nieuzasadnione i bezpodstawne jest twierdzenie prof. Małeckiego, jakoby tytuł Leszka Białego lub Grzymisława *Dux Poloniae* i *Ducissa Poloniae* miał oznaczać narodowość (str. 17). Niezrozumiałym bowiem byłby fakt, że księżna w nadaniu dla klasztoru sulejowskiego polskiego uważa za potrzebne zaznaczyć swoją narodowość i to w XIII.

wieku. Zresztą o tem miałem sposobność obszerniej pisać na innem miejscu.

Pierwszy raz w polskiej literaturze użytą została nazwa ruska Lęchy lub Lachy jako synonim Polaków przez Mistrza Wincentego, tylko nie w czystej formie *Lachi* albo *Lachitae* lecz przerobionej *Lechitae*, kto wie, czy nie pod wpływem formy podobnie brzmiącej np. *Lychnitae*, znalezionej w podrobionych listach Aleksandra W., dziś zaginionych, lecz znanych w średnich wiekach, a cytowanych przez Mistrza Wincentego w swej Kronice. Przecież opisuje nie na innej podstawie wojnę Aleksandra W. z Polakami i w tej to partyi użył pierwszy raz i *Lechitae* i *Carantae* na oznaczenie Krakowa. (M. P. H. II, 261). Widocznie znalazł on w tych listach wyraz brzmiący podobnie do nazwy ruskiej Lęchy lub Lachy i osięgnął w ten sposób przez drobną zmianę pożądaną dla siebie styczność dziejów Aleksandra W. z dziejami Polski. Tą bramką dostali się Lechici do naszej historyi, weszli do niej nie z życia, z życia choćby poza granicami kraju naszego. Zrodziła ją koszlawa erudycya, a zapłodnił jakiś obcy włóczęga, fabrykat z pod ciemnej gwiazdy.

Nie dziw, że taki płód był brzemienny w cały szereg bałamuctw w czasach następnych. Na razie tylko przeróbki kronikarskie dzieła Kadłubkowego, jak Kronika Baszki, Mierzwy, Kronika polska i książąt polskich używają tej nazwy, ale tylko w tych partyach, w których Mistrz Wincenty jej użył i tylko jako synonim Polaków. Do XIV. w. pozostali Lechici w świadomości powszechnej narodu takim samym martwym wyrazem, jakim się narodzili. Czytający ogół przyjmował bez krytyki obie nazwy za równie dawne, równie prawowite. Dopiero w XIV. wieku zaczęto się pytać, dlaczego my jesteśmy „Lechitami". Pochop do tych dociekań wyszedł prawdopodobnie z Czech i dała go rymowana kronika t. zw. Dalemila około r. 1314, opiewająca pierwotne dzieje Czech. Otóż opisując założyciela państwa czeskiego, powiada rymotwórca czeski, że w ziemi chorwackiej, jednej z dzielnic ziemi serbskiej, był pewien lech, który się zwał Czech. Miał 6 braci, którzy się nawzajem wspierali, ponieważ jednak dopuścił się mężobójstwa musiał uciekać z kraju wraz z rodziną i dotarł do dzisiejszych Czech. Zagadkowem jest owe imię pospolite „lech" i pozostanie zapewne niem mimo różnych interpretacyj nowszych uczonych czeskich. I współcześni Czesi niezrozumiawszy go urobili z lecha, imienia pospolitego, „Lecha", imię własne i zrobili Lecha bratem Czecha. Tenże poszedł dalej do Polski i założył sobie tutaj królestwo. Ta wersya pierwszy raz poja-

wia się w kronice czeskiej Pulkawy, napisanej w 1374—1378. W Polsce w wieku XIV. dalemilowskiemu lechowi dano znaczenie inne: przebiegłego człowieka, a to w ten sposób: słowo Lech łączono z Lestkiem bajecznym królem przed Popielem, wspominanym u Kadłubka. Wyraz Lestko pochodzi od wyrazu staropolskiego leść = zdrada, od którego mamy przymiotnik lściwy = chytry. Dlatego też w dopisku do sławnej kroniki śląskiej, pochodzącym z przed r. 1359 czytamy: *Lechi dicti fuerunt Poloni quod magis deceptionibus et calliditate in bellis utebantur quam viribus* (M. P. H. III. str. 604). Powtarza to samo autor młodszej kroniki ślązkiej, pisanej między 1380—1385, mimo to powtarza za Pulkawą o braciach Czechu i Lechu, dodając od siebie jeszcze i to, że wtedy to dopiero przyjęli Polacy nazwę Lechitów i Lechów. Brak jeszcze trzeciego braciszka Rusa, tego też Kronika Wielkopolska z końca XIV. wieku dodała. Wszystkie sporadyczne dotąd domysły lechickie połączył w jednę całość dopiero Długosz; skonstruowany przez niego zrąb wierzeń lechickich będzie przez trzy wieki za dogmat uchodził. Około samej nazwy Lechitów o tyle Długosz się zasłużył, że Lestków robi imieniem zdrobniałem od Lecha; mimo to trzymając się swych źródeł zawsze jeszcze podaje pierwotne brzmienie „Lestko". Dopiero w drukach jego Historyi, od Dobromilskiej edycyi 1615 r. począwszy, wedle jego interpretacyi występuje zepsuta nazwa Leschko lub Lesko tj. Leszek. Tyle o nazwie Lechici.

Zajmującym jest również ustęp o genezie naszej historyi bajecznej: stworzyły ją i rzeczywiste podania o Krakusie i Wandzie, o Piaście i t. d., lecz te w najmniejszej części; dalej przepowiastki ludowe o mądrym chłopku, co na króla awansował, o awanturze z myszami, a przedewszystkiem etymologiczne fantazye kronikarzy, z których każdy coś dodaje, często wskutek niezrozumienia źródła swego, z którego odpisywał. Ilustracyę wyborną takich przekręceń widzimy, porównując Kadłubka z Gallem. Jeden szczególnie ustęp ma w genezie naszej bajecznej historyi wielkie znaczenie. Pisze Gall o Ziemowicie, synie Piasta, że wyszedłszy z lat dziecięcych, z wiekiem podrastał w siły i dzień za dniem coraz większej dzielności składał dowody do tego stopnia, że król królów i książe książąt dozwolił mu za zgodą powszechną zostać książęciem Polski, a Popiela razem z potomstwem wymiótł z królestwa. (M. P. H. I., 397). Królem królów jest u Galla oczywiście Bóg, Kadłubek za króla królów bierze Popiela, który wynosi Ziemowita na dowódcę wojsk. Ponieważ był Popiel królem królów więc panował nad całą zachodnią Słowiańszczyzną i innymi krajami. Założył

tę monarchię dziadek Popiela Leszek III., który pobił Juliusza Cezara, a spłodził 20 synów, którym różne państwa nadał. Pompilius I., najstarszy syn, był naczelnym królem królów i przekazał te władze Pompiliusowi II., który stryjów wytruł. Po cóż ten dziadek Leszek III. i ci Pompiliusze? Chodziło o połączenie Kadłubkowi podań małopolskich z wielkopolskiemi, o połączenie podań o Krakusie i Leszku, który przez spryt królem został, i podań o Popielu i Piaście. Dlatego w wyobraźni mistrza wytworzyło się najpierw wielkie państwo słowiańskie i tak łączność między Krakowem i Gnieznem dokonaną została. Kadłubek mówi tylko o 20 stryjach Popiela; w XIV. wieku nietylko wynaleziono imiona, ale i państwa tych stryjów w komentarzu do Kadłubka napisanym r. 1434. Oczywiście nie omieszkał z niego skorzystać nasz Długosz i tak powstała baśń o państwie lechickiem, baśń średniowieczna, z której dopiero końcowe wnioski miała nauka XVIII. i XIX. wieku po r. 1870 ostatecznie wysnuć. I wysnuła je też do ostatniej niteczki; zestawia te wyniki w drugiej części autor bez krytyki, a przegląd tych poglądów zbyt wymownie mówi o ich wartości. Brali w tej fantazyi lechickiej udział i uczeni badacze i dyletanci, powieściopisarze („Stara Baśń“) i poeci: Mickiewicz i Słowacki („Lilla Weneda“). Wyprowadzano Lechitów z Kaukazu, z Celtów z nad Dunaju i Skandynawii. Co jednak sprawiło, że baśń średniowieczna tak długo czarowała umysły i udaremniła wyklucie się prawdy dziejowej? Na to złożyły się dwa umyślne fałszerstwa, fałszerstwa niesłychanie wpływowe wobec braku dobrych edycyj naszych średniowiecznych pomników dziejowych. Pierwszym fałszerzem był historyk ślązki Hancke, popełnił fałszerstwo w celach patryotycznych, chcąc wykazać, że pierwotna ludność ślązka należała do szczepów germańskich, opisanych przez Tacyta. W tym celu w rękopisie wrocławskim Kroniki Baszka, w ustępie opisującym wybór Piasta, porobił odpowiednie zmiany. Ustęp ten brzmi: *Decreverunt itaque quem infimae et modicae cognationis eligere, quem ingenuum tamen et ex Lechitarum propagine procreatum (nossent).* Ostatni ten wyraz został przez niektórych kopistów opuszczony, także i przez kopistę wrocławskiego rękopisu, przez co zdanie traci na jasności. Hancke pierwszy wystąpił w swych dziełach, a to na podstawie kroniki starożytnej niewiadomego Polaka ze zdaniem, że Piast nie był Polakiem, lecz rodzimym Ślązakiem niemieckim w przeciwieństwie do Popiela, który był Lechitą, to jest Polakiem. Był Hancke biblioteka rzem, miał wstęp do dawnych źródeł. Nie dziw więc, że uważając tekst znaleziony w rękopisie wrocławskim Kroniki Baszka za niezro-

zumiały i zepsuty, poprawił go w duchu swej doktryny. Zrobił z *quem ingenuum, quamvi ingenuum* brakło mu bowiem miejsca do dopisania „s“ a z *tamen et ex Lechitarum*, zrobił *tamen non ex Lechitarum*. Dwie razury świadczą wymownie o dokonanem fałszerstwie. Rękopis tak poprawiony służył pierwszemu wydawcy kroniki Baszka Sommersbergowi w r. 1730 za podstawę do druku, a ustęp rzeczony brzmi w nim: *Decreverunt... eligere quam ingenuum, tamen non ex Lechitarum propagine procreatum.* Ponieważ wydanie Sommersberga było jedynem przez lat 90 aż do pojawienia się nowej edycyi Kroniki Baszka, wedle niesfałszowanego rękopisu wilanowskiego przez Kownackiego sporządzonej, nie dziw, że badacze nasi w błąd wprowadzeni byli zwolennikami lechityzmu.

Że i po tem wydaniu z r. 1822 w tym błędzie pozostali, przyczyniło się drugie fałszerstwo, głośne bardzo i ważne w historyi cze skiej, tj. fałszerstwo Hancki w r. 1818 t. zw. rękopisu zielonogórskiego z poematem staroczeskim „Libuszyn Sąd“. Ustęp w tym poemacie zawarty: *Moje kmety, lechy i władyki* oczywiście utwierdził lechistyczne poglądy naszych uczonych, ba nawet po wykryciu fałszerstwa jeszcze Wilhelm Bogusławski, autor „Dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniej“ w r. 1889 hołduje tym zapatrywaniom. Prof. Małecki mniema, że dzieło to kończy szereg utworów, dawnym sposobem poświęconych kwestyi lechickiej.

A jednak te bałamuctwa dziś jeszcze, zdaniem autora nie utraciły swej siły. Gdyby ich nie było, czyżby przyszło i do tych wszystkich pomysłów, na których się rozpościera najnowsza niejednego olśniewająca hipoteza najazdu i dynastyczności szlachty? Oświadcza wprawdzie autor, że nie ma zamiaru w niniejszej publikacyi podejmowania sporu z hipotezą najazdu, lecz jedynie i wyłącznie o wykazanie powodów tej hipotezy i ich genezę mu chodziło. Czy je autor całkiem jednak wyczerpał? Z lechityzmem, przyznajemy, uporał się radykalnie, czy jednak mimo to hipoteza najazdu w innej formie, oczywiście nie lechickiej, nie powróci? *Vederemo.* Czy rzeczywiście samorodne ukształtowanie państwa polskiego tak jest pewne, że niema od niego żadnej apelacyi? W żadnym jednak razie rozstrzygającym dowodem w tej kwestyi nie może być postawiona przez prof. Piekosińskiego, a zwalczona na końcu niniejszej pracy przez prof. Małeckiego teza o dwóch klasach społecznych, szlacheckiej i włościańskiej, zupełnie zamkniętych, tworzących osobne społeczności. Nie może być dlatego, że ostatecznie tak samo prof. Małecki, jak i prof. Piekosiński, uznają

najazd i podbój co do większej części dzierżaw polskich za fakt, nie ulegający żadnej kwestyi. Różnica w zapatrywaniach polega w tem, że podczas gdy wedle prof. Małeckiego impuls do podboju Kujawian, Mazurów, Sieradzan, Łęczycan, Ślęzan i Wiślan wyszedł od tubylczego plemienia Polan, mieszkających około Gniezna, a anneksya dokonała się „czysto narodowymi środkami“, ale bądź co bądź „nieraz przymusem i gwałtem“ („Z przeszłości dziejowej“, I, str. 17 i 20), to wedle prof. Piekosińskiego podbój wyszedł od plemienia słowiańskiego wprawdzie, ale obcego, przybyłego z nad Łaby, i dokonał się najpierw w okolicach Warty, a stąd ogarnął resztę plemion polskich („Rycerstwo polskie wieków średnich“, t. II, str. 14—15). Wobec tego tylko znajomość pierwotnego ustroju społecznego we właściwym kraju Polan, tj. w Wielkopolsce mógłby kwestyę sporną rozstrzygnąć. Może takie zbadanie miejscowości wielkopolskich, jakie uskutecznił na małopolskich prof. Wojciechowski, mogłoby rzucić światło pewne na genezę naszego społeczeństwa. Chociaż i te badania, jak i nasze najstarsze nawet pomniki źródłowe, nie mogą być kryteryum stanowczem w tej sprawie, gdyż pochodząc z czasów o 2 lub 3 wieki odległych od pierwszych zawiązków państwa polskiego, noszą ślady już dwuwiekowego rozwoju, który w młodocianych społeczeństwach dokonywa się szybko i łatwo.

Przyznajemy, że hipoteza najazdu prof. Piekosińskiego zawiera tyle luk, tyle fantastyczności nawet, że uznać jej w całej rozciągłości niepodobna. Z tem wszystkiem i samorodną genezę społeczeństwa polskiego, wyznawaną przez prof. Małeckiego, nie możemy uznać za fakt, lecz co najwięcej za hipotezę i to hipotezę wątpliwą. Przecież sam czcigodny autor „Lechitów“ dał temu wyraz w swej „Rewizyi dziejów polskich“, mówiąc: „Dziwić się trzeba, że ten kompleks różnych dzielnic tak rozległych dał się jeszcze w przedhistorycznych stosunkach, a więc jakby wnosić należało, środkami czysto narodowymi połączyć pod jednem berłem książęcem w rodzinie Piastów. Jeśli bowiem przejdziemy cały aż po owe czasy szereg znaczniejszych państw słowiańskich, ile ich tylko było, od Bułgaryi w wieku VII. powstającej począwszy, aż do Rusi Rurykowej, to się przekonamy, że te wszystkie bez wyjątku narody zawdzięczały przejścia swoje z mnóstwa małych społeczeństw w jedno, jakiemuś naciskowi z góry i z zewnątrz, jakiejś kościstej dłoni obcej, najezdniczej, jakiejś woli wydającej swoje rozkazy innym, jak słowiański, językiem i wbrew ich woli stawiającej te społeczeństwa na nogi. Sama jedna tylko Polska przeobraże-

nie takowe zawdzięczała sobie samej jedynie. („Z przeszłości dziejowej". T. I, str. 17. Kraków, 1897).

Na początku naszego stulecia wierzyć nam kazano w wyjątkowe wśród narodów Polski posłannictwo, czyż na końcu stulecia mamy uwierzyć i w wyjątkowe jej powstanie?

Jedynie zatem naukowym pewnikiem w tej kwestyi zdaje się być ten, że badania dotychczasowe genezy społeczeństwa polskiego nie wyświetliły.

Dr. K. Krotoski.

Książka adresowa handlu i przemysłu polskiego w obrębie niemieckiego państwa. Opracował i wydał *J. Jaworski.* Rocznik I. 1896—1897. Berlin. (W 8ce, str. XIV, 242, 46).

Każde niemal znaczniejsze zagraniczne miasto posiada swoją książkę adresową, która ułatwia tak miejscowym jak i obcym wyszukanie każdego prawie mieszkańca, zajmującego wybitniejsze, lub choćby tylko samoistne stanowisko w jakiejkolwiek dziedzinie. Tego rodzaju wydawnictwa, przyczyniają się znakomicie do rozszerzenia stosunków handlowych, mają doniosłe znaczenie dla wszystkich sfer przemysłowo-handlowych, których najżywotniejszy interes polega na zdobywaniu i zwiększaniu swej klienteli. U nas, pomijając nieliczne, przeważnie nieudałe próby, księgi adresowe należą jeszcze do wielkich rzadkości, gdyż każde wydawnictwo tego rodzaju musi walczyć z nieufnością ogółu, z niedbalstwem lub co najmniej obojętnością warstw interesowanych. Z tem większą radością należy powitać dzieło, które mamy przed sobą, gdyż nigdzie może książka adresowa nie jest tak potrzebną, jak pod zaborem pruskim, gdzie napór materyalnie i politycznie potężniejszego żywiołu niemieckiego, nakłada na każdego obowiązek popierania narodowej pracy, ku czemu w pierwszej linii konieczną jest znajomość kierunków i dróg, po których kroczy nasz gospodarczy rozwój.

Książka adresowa p. Jaworskiego pragnęła objąć wszystkie firmy polskie państwa niemieckiego. Smutno, bardzo smutno przedstawiałby się nasz przemysł i handel, gdyby rzeczywiście zestawienie było wyczerpujące — jak nieliczne byłyby koła naszych przemysłowców! Na szczęście tej pierwszej, i jak wyraźnie podnosimy, pomyślnej próbie, daleko jeszcze do dokładności; sam wydawca zaznacza w przedmowie, że druk opóźnił się znacznie wskutek opieszałości w nadsyłaniu adresów, a liczni przemysłowcy nie zgłosili się wcale. Pobieżne nawet

przeglądnięcie całego dzieła potwierdza najzupełniej te słowa; w niejednem małem miasteczku znajdujemy więcej adresów, niż w mieście znacznie większem o równych warunkach narodowych i gospodarczych, z czego wynika, że różnice te należy położyć na karb większej lub mniejszej skwapliwości w nadsyłaniu adresów.

Całe dzieło rozpada się na dwie części; w pierwszej ugrupowano kupców i przemysłowców według miejscowości, w nich zaś w alfabetycznym porządku nazwisk; drugą podzielono według grup zawodowych, trzymając się w ich obrębie równie alfabetycznego porządku tak co do miejscowości, jak i co do przedsiębiorców. Wobec tego, że na początku znajdujemy jeszcze alfabetyczny spis miejscowości i zawodów, a każdą z dawniejszych dzielnic Polski (W. Ks. Poznańskie, Prusy, Ślązk) jakoteż całą resztę niemieckiego państwa zawarto w osobnym rozdziale, cały układ jest bardzo przejrzysty a wyszukiwanie adresów nader łatwe.

Dalej idących wniosków o sile polskiego przemysłu i handlu robić niepodobna na podstawie książki adresowej p. Jaworskiego wskutek braków zaznaczonych powyżej, należy tylko podnieść z uznaniem staranność wydawców o utrzymanie prawdziwych polskich nazw miejscowości, co jak wiadomo na wielkie napotyka trudności. Jednem słowem, śmiało można życzyć powodzenia i pomyślnego rozwoju temu wydawnictwu; chyba to tylko możnaby wyrazić pragnienie, aby księga adresowa z każdym rokiem zyskiwała na dokładności i aby z niej usunięto niektóre wyrazy niekiedy żywcem z niemieckiego przyjęte jak np. „restaurant“ (str. 5), „towary krótkie“ (str. 133, 134 i t. d.), podmistrz (str. 137), malownictwo (str. 138), dewocyonalia (str. 134 i t. d.) i t. p.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiej. z lat 1893—1896.

Proszony przez redakcyę *Przeglądu* o zaznajomienie szerszego koła czytelników z odkryciami w dziedzinie mineralogii i geologii, botaniki i zoologii, które zamieszczone są w wydawnictwach Akademii Umiejętności, obejmuję niniejszem, możliwie zwięzłem sprawozdaniem prace z ostatniego trzechlecia.

I.

Mineralogia z geologią najmniej stosunkowo dostarczyły prac w tym okresie czasu, ale za to wiele z nich jest niepospolitej wartości. Przyjrzemy się im kolejno.

Chemicy i mineralogowie ciągle biedzili sobie głowy nad przyczynami błękitnego czy fiołkowego zabarwienia soli kamiennej, jaką spotyka się wśród bezbarwnej soli w Stassfurcie, Hallstadzie, w Hallein, u nas wcale licznie w Kałuszu wpośród soli potasowej, sylwinu. Przypisywali też zabarwienie owo różnym przymieszkom, jak małej ilości tlenków miedzi, kobaltu lub manganezu, to znowu siarki, siarczku sodu lub żelaza, albo chlorku dwusodowego, a wreszcie przymieszce jakichś węglowodorów. Kiedy jednak Wittjen i Precht, na podstawie nader starannie i ściśle przeprowadzonych badań, wykluczyli w r. 1883 możliwość domieszki jakiegokolwiek barwiącego ciała i niebieską barwę soli uznali za szczególniejsze zjawisko optyczne, a twierdzenie to w 3 lata później nowemi poszukiwaniami zostało ustalone, przyjęto je powszechnie. A więc, zabarwienie niebieskie soli jest zjawiskiem optycznem, zawisłem od drobinowej budowy! Tak mniemano aż do początków ostatniego lat dziesiątka bieżącego stulecia. Mniemano, lecz niestrudzony w dociekaniach naukowych umysł ludzki nie spoczął na laurach pod tym względem. Podjęte zostały przez prof. Kreutza na nowo badania nad tą pozornie załatwioną sprawą [1]. Po licznych fizykalnych i chemicznych doświadczeniach stwierdził autor w błękitnej soli ślady żelaza, którego barwne połączenie w małych ilościach nawet wydzielić zdołał. Z badań tych okazało się, że sól niebieska, odbarwiona w ogniu utleniającym, odzyskuje pod działaniem pary sodu w płomieniach pierwotną barwę, co usuwa w zupełności możliwość tłumaczenia, że zabarwienie rzeczonej soli jest zjawiskiem optycznem, a zarazem dowodzi, że tylko obecności barwnego związku żelaza w soli barwę jej niebieską przypisać można.

Geologia rozróżnia 12 formacyi, tj. zbiorów czy szeregów warstw, składających skorupę naszej ziemi, które, licząc od jej powierzchni, tak po sobie następują: 1) Alluwium, 2) Dyluwium, 3) Trzeciorzęd, 4) Kreda, 5) Jura, 6) Tryas, 7) Perm (Dyas), 8) Karbon (formacya węglowa), 9) Dewon, 10) Sylur, 11) Hurońska i 12) Laurentyńska

[1] F. Kreutz, „O przyczynie błękitnego zabarwienia soli kuchennej". Rozprawy Wydz. mat.-przyr. Akad. t. XXIV, str. 193—205. Kraków 1893.

formacya. Formacye łączy w okresy: I. Kenozoiczny (1—3); II. Mezozoiczny (4—6); III. Paleozoiczny (7—10); IV. Archaiczny (11 i 12), a w każdej formacyi wyróżnia nadto poszczególne piętra i ogniwa, noszące osobne nazwy, nadane przez rozmaitych badaczów. Przypomnieć sobie to wypada, przystępując do zaznaczenia nowych trzech odkryć, ważnych dla geologii Karpat, w której mimo znacznego nakładu naukowej pracy wiele jeszcze stosunków nie zostało wyświeconych. Prof. J. Niedźwiedzki stwierdził [1] mianowicie: 1) Że pokłady tworzące grzbiet Mietniowa i Chorągwicy w przedłużeniu aż po Sułów należą pod względem wieku do średniego piętra dolnej kredy; 2) że piaskowce z żelazistymi zlepieńcami, jakie znajdują się na stoku Karpat przy Tomaszkowicach na wschód od Wieliczki, na zachód za Wilgą koło Lusiny i na południu od Bochni koło Pogwizdowa należy złączyć z warstwami Garbatek w jedno ogniwo wyższoneokomskie, które odpowiada warstwom w Karpatach ślązkich, omówionych przez Hoheneggera pod nazwą *Grodischter Sandstein*. Przez to więc uzyskuje się łączność w mowie będących pokładów z pokładami pod Okocimem przez Uhliga skonstatowanymi; 3) że ił w Gaju, na południowym zachodzie od Lusiny, wchodzący między starsze utwory karpackie, a z drugiej strony łączący się z utworami miocenicznymi Swoszowic należy do neogenu. Wyniki te są niewątpliwe, gdyż opierają się nietylko na porównaniach petrograficznych, ale i na charakterystycznych skamielinach, jakich dostarczyły wspomniane warstwy. Przez te odkrycia autor nietylko usuwa wszelkie wątpliwości, podniesione przez wiedeńskich geologów przeciw swemu [2] dawniejszemu oznaczeniu wieku warstw, składających stoki karpackiego wału koło Wieliczki i dokładniej określa kredowy wiek tychże, lecz także rozjaśnia w pewnej części wątpliwości i kwestye sporne, jakie nastręczają tak stosunki ułożenia, jak i wiek utworów w tej części obszaru karpackiego.

Skamieliny, tj. zwierzęce i roślinne szczątki, jakie przechowały się w pokładach ziemi, są — od czasu, kiedy W. Smith (1817) stwierdził, że w warstwach tego samego wieku występują te same gatunki skamielin, a różne w warstwach różnego wieku, — najważniejszem kryteryum w rozpoznaniu względnego wieku warstw skamieliny zawie-

[1] Jul. Niedźwiedzki, „Przyczynek do geologii pobrzeża karpackiego w Galicyi zachodniej". Rozpr. Wydz. mat.-przyr. T. XXIX, str. 158—170. Kraków 1895. R. Zuber w Sprawozd. z literat. przyrod. *Kosmos* 1894, str. 332.

[2] J. Niedźwiedzki, „Stosunki geologiczne formacyi solonośnej Wieliczki i Bochni". Lwów 1883—1886.

rających. To kryteryum szczególnie ważnem jest wtenczas, kiedy wzajemne położenie warstw — które przy późniejszem kurczeniu się skorupy ziemskiej jużto zapadły się, jużto zostały wydźwignięte albo tak przerzucone, że pierwotnie górne, a więc młodsze warstwy znachodzą się obecnie pod starszemi, pierwotnie dolnemi — o wieku ich pewnych wniosków nie daje. Nie dziwna więc, iż badanie tych jedynych świadków życia w dawnych epokach geologicznych zajmuje ciągle paleontologów. W ostatniem trzechleciu mamy do zaznaczenia:

a) Dokładne rozpoznanie przez M. Raciborskiego [1] anatomicznej budowy skamieniałego pnia sagowca, pochodzącego z Karpat, jak się zdaje, z dolnych warstw formacyi kredowej karpackiego brzegu. Pień ten znajduje się w muzeum komisyi fizyograficznej Akad. Umiej. Biały to kruk wśród skamielin wogóle, a drugi dopiero okaz znaleziony w Galicyi [2]. Ciekawy naprzód jako nowy, nieznany dotąd gatunek, następnie jako okaz posiadający budowę wewnętrzną (nawet miazgę) najlepiej zachowaną ze wszystkich dotychczas poznanych sagowców, a wreszcie, co najważniejsza, jako cenna wskazówka, że kiedyś odkrytą zostanie w pokładach karpackich rogowców warstwa zawierająca pnie sagowcowe. Wniosek taki nasuwa się bowiem sam przez się, gdy się zważy, iż oba pnie galicyjskie mają powierzchnię niewygładzoną, co byłoby nieuniknionem (wobec wielkiego ich ciężaru), gdyby nie były miejscowego pochodzenia, ale przeniesione zostały do nas jako egzotyczne głazy.

b) Faunę wapnistego piaskowca, z miejscowości „na Foluszu", na południe od Dukli położonej, zawierającego ledwo 30% kwarcu i małą tylko ilość iłu, opisał dokładnie i oznaczył pan J. Grzybowski [3]. Faunę tę składają otwornice *(Foraminifera)*, a nadto kolce i tabliczki jeżowców *(Echinoidea)*, mszywioły *(Bryozoa)*, ramionopławy *(Brachiopoda)*, odłamki skorup małżów *(Lamellibranchiata)* i małżoraczki *(Ostracoda)*, a także gatunki glonu *Lithothamnion*, z których 4 dały się dokładnie oznaczyć a 5-ty rozpoznać jako odmienny. Przez to stwierdził autor identyczność tych piaskowców (zlepieńców kwarcowo-wapiennych) z opisanymi jeszcze w r. 1886 przez Uhliga z Woli

[1] M. Raciborski, *Cycadoidea Niedźwiedzkii*. Rozpr. Akad. Wydz. mat.-przyr. T. XXVI, str. 301—310. Kraków 1893.

[2] Okaz z Lednicy koło Wieliczki przesłany w 1753 do królewskiego muzeum w Dreźnie, opisany został pod nazwą *Raumeria Reichenbachiana* przez Goepperta w 1853.

[3] J. Grzybowski, „Mikrofauna karpackiego piaskowca z pod Dukli". Rozpr. Akad. Wydz. mat.-przyr. T. XXIX, str. 181—214. Kraków 1895.

Łużańskiej, Cieklina i innych miejscowości, z którymi piaskowce „na Foluszu“ leżą najdokładniej w jednym pasie dalej na południowy wschód, a co najważniejsze, wykrył związek między tą fauną a fauną karpacką Morawii i Austryi dolnej, którą opisał Rzechak.

c) Tenże sam autor [1] opracował faunę czerwonych iłów z Wadowic, jakie otrzymano przy kopaniu szybu celem poszukiwania węgla, w głębokości 64 *m* do 70 *m*, i faunę marglów i iłów zielonych znajdujących się tamże w iłach sinych, które nad nimi leżą w głębokości 26 *m* — 64 *m*. Fauna otwornic opracowana w 112 gatunkach pochodzi w 77 gatunkach z iłów czerwonych, w 44 gatunkach z margli i iłów zielonych, a 7 tylko gatunków okazało się wspólnymi obu tym poziomom. Na tej podstawie uwidacznia się pokrewieństwo czerwonych iłów Wadowic z piętrem pierwszem (najmłodszem) dolnego trzeciorzędu nazwanem tongryjskiem [Tongrien, (d'Orbigny 1852)], co stwierdza i ułożenie warstw, bo leżą one tutaj na menilitowych łupkach zawierających skamielinę *(Melelta renata)*, która znajduje się w warstwach odpowiadających w prowincyi alpejskiej temuż właśnie piętru.

d) Dr. W. Teisseyre [2] wykazał w Miodoborach szaro-brunatny zbity, niewarstwowy — i biławy, dziurkowaty, okazujący budowę mszywiołową, zorganizowany wapień. Pierwszy zwie się serpulowym czyli tarnopolskim, drugi nazwał autor bohóckim od wioski Bohót. Ostatni tworzy wśród tarnopolskiego słupy. Skałki odosobnione od głównego grzbietu Miodoborów, zwane Toutrami złożone są tylko z wapienia tarnopolskiego. Fauna tych warstw miodoborskich nie była dotąd szczegółowo rozpatrywana, a obecne jej przez tegoż autora zbadanie okazało, iż zawiera gatunki z rodzajów dziś jeszcze na rafach żyjących. Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że wapienie miodoborskie mają pochodzenie rafowe i należą pod tym względem do typu raf morza Czerwonego.

Opracowano też i wydano zeszyt III. [3], V. [4] i VII. [5] Atlasu geo-

[1] Tenże, „Otwornice czerwonych iłów z Wadowic“. Ibidem t. XXX, str. 261—308. Kraków 1896 i Sprawozd. z posiedzeń Akad. d. 4, XI, 1895. W. Siczyński w „Sprawozd. z liter. przyrodn.“ *Kosmos* 1895, str. 557 i rok 1896, str. 354.

[2] W. Teisseyre, „O charakterze fauny kopalnej Miodoborów“. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. T. XXX, str. 82—92. Kraków 1896.

[3] St. Zaręczny, „Atlas geologiczny Galicyi“. Tekst do zesz. III (z 7 litogr. tablicami). Kraków 1894.

[4] W. Szajnocha, „Atlas geol. Gal.“. Tekst do zesz. V. Kraków 1895.

[5] M. Łomnicki, „Atlas geol. Gal.“ Tekst do zesz. VII. Kraków 1895.

logicznego Galicyi. Trzeci zeszyt obejmuje W. Ks. Krakowskie w dwóch arkuszach mapy generalnego sztabu i w dwóch egzemplarzach, tj. szczegółowym i poglądowym, opracowanym przez prof. S. Zaręcznego z niezwykłą w takich wydawnictwach ścisłością. Szczegółowy opis wszystkich warstw odsłoniętych, zamieszczony w objaśniającym tekście na 280 stronicach, zawiera liczne sprostowania dotychczasowych zapatrywań i podaje wiele nieznanych dotąd odsłonięć [1]. Piąty zeszyt prof. W. Szajnochy składa się z map: okolic Białej, Żywca, Ujsołów, Makowa i Rabki—Tymbarku, objaśnionych tekstem o 80 stronicach druku [2]. Siódmy wreszcie zeszyt zawiera mapy wykonane przez prof. M. Łomnickiego: Busk-Krasne, Złoczów, Kamionka Strumiłowa, Radziechów, Steniatyn, Brody, Szczurowice-Beresteczko, do których objaśniający tekst obejmuje 128 stronic druku. Na nich opisał autor geologiczne utwory składające tę część sarmackiego niżu i płaskowyżu podolsko-wołyńskiego najpierw ogólnie. Omówiwszy zaś szczegółowo stosunki budowy geologicznej każdej z miejscowości wyżej wymienionych, roztrząsa w końcu przyczyny dzisiejszego ukształtowania tych okolic. W wielu punktach zmienia prof. Łomnicki zaznaczenia kartograficzne Uhliga i Hilbera odnoszące się do tego terenu, w niejednem też miejscu dochodzi do całkiem innych poglądów ugruntowanych szczegółowemi badaniami.

Roman Gutwiński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Geschichte der christlichen Kunst. Von *Franz Xaver Kraus.* Erster Band. Die Hellenistisch-Römische Kunst der alten Christen. Die Byzantinische Kunst. Anfänge der Kunst bei den Völkern des Nordens. Mit Titelbild in Farbendruck und 484 Abbildungen im Texte. Freiburg im Br. Herder 1896. (Str. XIX. i 621. Lex. 8.) Cena 16 m. oprawn. 21 m.

Nikt chyba bardziej nie był powołany do napisania historyi sztuki chrześcijańskiej, jak znany i zasłużony profesor fryburgski, który Niem-

[1] Porównaj prof. dr. J. Siemiradzki, w „Sprawozdaniach z literatury przyrodniczej". *Kosmos* 1896, str. 346—349.

[2] Porównaj R. Zuber, w „Sprawozd. z liter. przyrodn." *Kosmos* 1896, str. 571—573.

com przyswoił zdobycze Rzymu podziemnego, wydał znakomitą encyklopedyę realną starożytności chrześcijańskich, zebrał starochrześcijańskie napisy okolic nadreńskich i ogłosił niezliczone prawie mnóstwo rozpraw, monografij, recenzyj z zakresu sztuki kościelnej.

Nie brakowało dotychczas dzieł, zajmujących się historyą sztuki; autor nie chce im też robić konkurencyi. Jego praca różni się od wszystkich dotychczasowych odmiennem założeniem i opracowaniem przedmiotu. Podczas gdy bowiem liczne dawniejsze podręczniki zajmowały się całą historyą sztuki, przyczem zwłaszcza starochrześcijańską traktowały po macoszemu i sądziły nieraz niesprawiedliwie, on ma na oku tylko sztukę ludów chrześcijańskich i to nawet nie całą, jeno tychże ludów sztukę religijną. Dalej kładli dawniejsi badacze sztuki główny nacisk na wyrobienie i zrozumienie jej formy; Kraus zaś bardziej niż inni uwzględnia treść utworów. Najwięcej jednak autorowi chodziło o zbadanie stosunku religii chrześcijańskiej do sztuki, o uwydatnienie prawa egzystencyi sztuki kościelnej, o uchwycenie jej związku ze starożytną, o wykazanie wreszcie, iż spotęgowanie i upadek artystycznej siły twórczej zostawały stale w związku z rozrostem i upadkiem ducha religijnego. Nie potrzeba chyba przypominać, że taki plan mógł zakreślić i umiejętnie przeprowadzić jedynie teolog, posiadający równocześnie głębsze wykształcenie historyczne i estetyczne.

Cel autora jest tedy przedewszystkiem naukowy. Niemniej pragnie on swą pracą zainteresować także szersze koła, przedewszystkiem teologiczne. W tej myśli nie zapomina o praktycznych potrzebach duchowieństwa i szeroko uwzględnia specyficznie liturgiczno-kościelną stronę sztuki. Wszak kapłan stróżem jest chrześcijańskiego sanktuaryum; jeśli tedy kto, to on przedewszystkiem jest powołany do zaznajomienia się z duchem sztuki i tego wszystkiego, co duch chrześcijański w ciągu wieków stworzył ku ozdobie domu Bożego. Pragnieniem więc autora, aby przywrócić znowu ów ścisły związek między klerem a sztuką, jaki istniał w dawnych wiekach i bez którego ani sztuka religijna nie może żyć i piętrzyć się ku najwyższym swym ideałom, ani także idea chrześcijańska nie zdolna dojść do pełnego swego rozwoju i uplastycznienia się na zewnątrz.

Tom pierwszy, obejmujący 40 arkuszy druku, rozpada się na 10 ksiąg. Pierwsza zajmuje się pojęciem historyi sztuki, podziałem, źródłami, znaczeniem chrześcijańskiej archeologii dla historyi sztuki i jej głównymi przedstawicielami.

Księga druga kreśli opis, historyę i warunki, w jakich powstały

katakumby rzymskie, ta kolebka najdawniejszej sztuki chrześcijańskiej. Mieści się tu także krótka wzmianka o katakumbach żydowskich i chrześcijańskich pozarzymskich.

Trafnie autor w księdze III. uchwycił i przedstawił zasadnicze stanowisko Kościoła wobec sztuki wogóle, a w szczególności jego stosunek do rodzącej się sztuki chrześcijańskiej w wieku I. i II. Stanowisko to przyjazne jest wynikiem podstawowego dogmatu chrześcijańskiego, że grzech pierworodny przyćmił tylko, a nie zniszczył w człowieku podobieństwa Bożego.

Co tedy z natury mieści się w sercu człowieka dobrego i szlachetnego, co Stwórca w jego ducha włożył idealnego, tego Kościół w imię zakonu chrześcijańskiego nie może przytłumiać, osłabiać, zgnębić. Zdanie św. Tomasza: *gratia non destruit naturam, sed elevat et perficit* — łaska nie niszczy nigdzie przyrodzonych talentów człowieka, ale je podnosi i udoskonala, było po wszystkie czasy przekonaniem całego Kościoła. To też było głównym powodem, dla którego chrześcijaństwo od początku przygarnęło i miłością otoczyło sztukę jako wnuczkę Bożą *(sì che vostr'arte a Dio quasi è nipote;* Dante, *Infer.* XI, 105) i potężną aliantkę w ucywilizowaniu i umoralnieniu ludzkości. Następnie autor opisuje wszystkie główniejsze utwory starochrześcijańskiej sztuki, a więc pomniki ideograficzne, sceny biblijne, liturgiczne, historyczne, ikonografię Chrystusa, Madonny i świętych, różne personifikacye, kreacye mitologiczne, a wreszcie omawia jej technikę i wartość pod względem formy.

Księga IV. poświęcona jest starochrześcijańskiej rzeźbie.

Piąta zajmuje się początkami chrześcijańskiej architektury, szuka pierwowzoru bazylik, opisuje urządzenie domów Bożych.

Księga VI. zajmuje się cyklem ikonograficznym wieku IV, V, VI., bada początki i rozwój chrześcijańskiej mozaiki, jakoteż malowidła książkowego czyli dekoracyę rękopisów. Dział ostatni, zbadany lepiej dopiero w czasach najnowszych, rozwinął się bardzo w epoce Karolingów i kwitł aż do renesansu, tworząc przez wieki bogate źródło instrukcyi i zabawy.

W księdze VII. autor omawia sztukę drobną, a więc tak zwane szkła złote *(vetri d'oro)*, lampy, monety, medaliony, pierścienie, rzeźby w drzewie i w kości słoniowej, relikwiarze i t. d.

Księga VIII. zajmuje się sprzętami i strojem liturgicznym.

Do najlepszych i najciekawszych należy księga IX.: „O sztuce bizantyńskiej". Temat ten obejmuje dwa problemy: pytanie o właści-

wej istocie, wnętrznej wartości i historycznym rozwoju sztuki państwa wschodnio-rzymskiego, i drugie o wpływie, jaki ta sztuka wywarła na państwo i ludy zachodnie. Autor roztrząsa w tomie I. tylko pierwszą kwestyę. Od czasów Vasariego sądy o istocie i wartości sztuki bizantyńskiej były skrajnie przeciwne. Dla jednych przedstawiała ona obraz kompletnego skostnienia i stagnacyi; mówią oni tylko o jednostajności, zamarciu ruchu i życia i zesztywnieniu typów, ubóstwie inwencyi, które raz stworzony model powtarza potem bezmyślnie przez całe wieki. Dla nich Byzancyum od Justyniana aż do ostatecznego upadku monarchii wschodniej jest tylko smutnym cmentarzem, przez który nie przeszedł żaden powiew życia i nad którym nie stało inne światło, jak tylko blada lampka trupia konającego w własnej niemocy despotyzmu. Przeciwnie uważają inni epokę justyniańską jako wyżynę i szczyt całej chrześcijańskiej sztuki, a jej pomniki za skarby największe wśród całej spuścizny artystycznego dorobku kościelnej starożytności kościelnej. Otóż oba poglądy grzeszą przesadą i można dziś powiedzieć, że tak jednostronni nieprzyjaciele, jakoteż stronniczy wielbiciele bizantynizmu starają się bombastem frazesów tylko pokryć własną ignorancyę (ks. IX., str. 538). Słusznie podnosi Kraus (str. 548), po omówieniu najnowszych teoryj Kondakoffa, Bayeta, Müntza, Springera, Wickhoffa, Strzygowskiego, iż urągałaby wszystkim prawidłom historyi hipoteza, chcąca sztukę Konstantynopola, która rozwinęła się od czasów Konstantyna aż do Justyniana, wyrwać z ram rzymsko-starochrześcijańskiej, aby ją wprowadzić w organiczno-ścisły związek ze specyficznie bizantyńską wieków późniejszych. Nawet pobieżny rzut oka na obie grupy powinien, jak się zdaje, wystarczyć, aby objąć leżącą między niemi przepaść. Aż do Justyniana sztuka Konstantynopola zachowuje wielki i swobodny charakter sztuki starożytnej, który nie zatracił się nigdy całkowicie w przeróbce chrześcijańskiej. Specyficznie zaś bizantyńskiej brak jasnego, metodycznego wyrobienia formy, idea i forma nie przenikają się w niej wzajemnie, nigdzie nie spotkasz tu dobrze odczutych i przeprowadzonych zasad stylistycznych, które tworzą podstawę sztuki klasycznej. Należy jednak równocześnie baczyć, aby nie dopuścić się przesady przy tej obronie klasycznego pnia i podwaliny sztuki carogrodzkiej. Innemi słowy, na jej rozwój wpłynęły bezprzecznie także odrębne stosunki polityczne i socyalne całego organizmu państwowego. Niemniej jest rzeczą pewną, że, jak Krumbacher przyznaje, o właściwem państwie wschodnio-rzymskiem czyli bizantyńskiem można ściśle mówić dopiero od r. 800.

Księga X. zajmuje się początkami sztuki u ludów północnych, i kończy się wspaniałem elogium ku czci zakonu Benedyktynów, którzy przez pięć wieków dźwigali na swych barkach całą kulturę Europy.

Budowa więc dzieła jest logiczna i przejrzysta, przedstawienie rzeczy wszędzie jasne, język piękny, polemika przeprowadzona w tonie szlachetnym i umiarkowanym. Trudno jednak, aby przy takiem nagromadzeniu materyału różnorodnego obeszło się bez pewnych usterek i błędów.

Najpierw musi czytelnika uderzyć nierównomierność w rozkładzie przedmiotu. Za wiele mianowicie autor poświęcił miejsca i za wiele stosunkowo nagromadził szczegółów ze sztuki katakumbowej. Literaturę wogóle przytoczono obficie, choć nie brak w niej cytatów niedokładnych, mylnych dat historycznych. Daremnieby się także nieraz szukało fresków w miejscach, gdzie je nasze kompendyum umieszcza. Nieprawdą jest dalej, jakoby obok fresków mieściły się w katakumbach także utwory *à tempera*, enkastyczne albo malowane przy pomocy jakiegoś wosku punickiego. Uważam także za pewniejszą i lepiej uzasadnioną hipotezę Wilperta o znaczeniu tak zwanych Orantek, niż tłumaczenie dawniejsze, które Kraus przyjmuje bez zastrzeżenia. Mylnie podaje także (str. 149) scenę z podziemia św. Domitylli, która jest ilustracyą życia piekarskiego, jako obraz, „odnoszący się do konstrukcyi katakumby". Fresk z cmentarza św. Hermesa, który autor (str. 166) objaśnia jako „ordynacyę przez wkładanie rąk", jest w rzeczywistości przedstawieniem sądu szczegółowego. Nie godziło się też na str. 104, fig. 34 dać jeszcze starą reprodukcyę tak zwanego eucharystycznego baranka z nimbowanem naczyniem mlecznem na grzbiecie, odkąd Wilpert (*Die Katakombengemälde und ihre alten Copien*, tabl. XXVI., 2) ogłosił kopię dokładną, na której niema śladu baranka. Reprodukcya na str. 152, fig 98, przedstawiająca adoracyę trzech magów, nie jest zdjęciem z sarkofagu, ale z fresku katakumbowego. Przy fresku z cmentarza Ostryańskiego, fig. 157, str. 193 autor powinien był przynajmniej wyrazić wątpliwość, czy istotnie przedstawia Madonnę z dziecięciem.

Pomimo tych przytoczonych i innych niedokładności, mimo, że wiele rzeczy ledwie dotknięto, dzieło wogóle jest znakomite, ilustracye liczne i trafnie dobrane, wyposażenie całe wprost wspaniałe.

Ks. J. Bilczewski.

Album Svatovojtěšské. Památky úcty vzdávané svatým patronům národa československého. Svazek II. K 900-leté památce smrti sv. Vojtěcha sestavili a vydali *dr. A. Podlaha* a *Ed. Šittler*. V Praze, 1897. Nákladem vlastním. Textu str. 52 in 4^0, listů 50, vyobrazení v textu 52 a 2 přílohy. Cena 12 zl. Vydáno jen 300 exemplářův. (Album św. Wojciecha. Pomniki czci oddawanej świętym patronom narodu czesko-słowiańskiego. Zeszyt II. Na 900-letnią pamiątkę śmierci św. Wojciecha ułożyli i wydali *dr. A. Podlaha* i *Ed. Szyttler*. W Pradze, 1897. Nakładem własnym. Str. tekstu 52 w 4ce, obrazów 52, rycin w tekscie 52 a 2 w dodatku. Cena 12 złr. Wydano tylko w 300 egzemplarzach).

Już w przeszłym roku, nadmieniając w tem czasopiśmie[1] o albumie św. Jana, mówiliśmy, że panowie wydawcy zamierzają na ten rok wydać „Album św. Wojciecha". I obietnicę swoją rzeczywiście spełnili, wydawszy „Album" prawie w przeddzień dziewięćsetnej rocznicy śmierci świętego. Album to drugie przewyższa pod wielu względami wydawnictwo poprzednie; najpierw dlatego, że mieści przed obrazami obszerny tekst, a po drugie, że przy wyborze obrazów mieli panowie wydawcy szczęśliwą rękę.

O całem dziele można się po krótce wyrazić, że jest to w samej rzeczy jubileuszowy dar, godny wielkiego świętego i męczennika Pańskiego. Jest urządzone z wielkiem smakiem, jak na to zasługuje całe wydawnictwo z powodu swojej cennej treści. Istotnie panowie wydawcy nie żałowali sobie ani pracy, ani nakładu, aby wykonać dzieło doskonałe i, o ile można, aby wykończyć zupełny obraz czci św. Wojciecha nietylko w Czechach, ale także w Polsce, Prusach i na Węgrzech. Z tej też przyczyny zawiązali stosunki z wielu osobami we wszystkich tych krajach. Na Węgrzech wyświadczył im wielką przysługę bibliotekarz dyecezalnego księgozbioru w Ostrzykoniu, Ludwik Némethy, a w Polsce i w Prusiech byli to panowie: ks. Juliusz Pohl, kanonik frauenburski, ks. dr. Jan Fiałek we Lwowie, ks. regens Jedziek w Poznaniu, dr. Ludwig w Marienburgu, W. Łuszczkiewicz w Piatku, proboszcz Szadowski w Królewcu i t. d. Prócz tych pomocników, sami wydawcy rozpatrzyli się w piśmiennictwie polskiem, poświęconem świętemu Wojciechowi, szczodrą ręką czerpiąc z tych źródeł do swojego dzieła.

I tu już, jeżeli mamy zdać sprawę najprzód z tekstu, podnieść w niej możemy treść następną. Na wstępie jest podany żywot świętego Wojciecha, zestawiony podług starych legend i dziejopisów Świę-

[1] *Przegląd Powszechny*, r. 1896. Tom XLI, str. 129.

tego: tok języka legendowego jest zachowany w tym dziele i czytelnik może mieć wrażenie, że wraca gdzieś w zamierzchłe doby, kiedy owe legendy były pisane; tak pisarzom udało się ułożyć te mozaikę bardzo ładną i tchnącą świętością poezyi. Po rozprawie dziejopisarskiej następują znów dwie rozprawy, z których pierwsza dotyczy grobu i szczątków ciała św. Wojciecha, zarówno jak i wszystkich pamiątek, które po tym świętym przechowują się w Czechach: w Pradze, w Brzewnowie, w Starym Bolesławiu i gdzieindziej; dalej idą opisy szczątków pięciu świętych braci. Potem są wprowadzone miejsca, uświęcone pobytem św. Wojciecha i jego pracą, przyczem osobna rozprawa dotyczy męczeństwa świętego. Następują pisemne pomniki, odnośne do Świętego i zestawione o nim czeskie piśmiennictwo, tak dawne jak nowsze; podana także statystyka świątyń i kaplic, wystawionych na cześć Świętego w ziemiach czeskich, tudzież opis kościoła św. Wojciecha w Rzymie, dalej liczne kościoły w Polsce, na Węgrzech i w Prusiech, a na końcu idzie czeska ikonografia świętego Wojciecha.

Cały ten tekst jest urozmaicony słynnemi i znakomicie wykonanemi rycinami, które wyjaśniają stosowne ustępy. I między temi rycinami wiele miejsca zajmuje Polska i Prusy. Jest tam mianowicie kościołek św. Wojciecha na rynku krakowskim, drewniany krzyż, który stał na miejscu męczeństwa świętego Wojciecha w latach 1822—1834, srebrny pomnik św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej, wystawiony r. 1662 przez Piotra Reimena w Gdańsku, katedralny kościół św. Wojciecha w Gnieźnie, pamiątkowa tablica z obrazem św. Wojciecha w katedrze krakowskiej, kościół i kazalnica św. Wojciecha na Zwierzyńcu pod Krakowem, pieczęć kapituły gnieźnieńskiej i t. d.

Drugą część całego wydawnictwa tworzy 50 obrazów. Z nich dziewięć przedstawia pamiątki po świętym Wojciechu w Czechach (mitrę, ornat, relikwiarze i t. d. i t. d.), potem relikwiarze świętych pięciu braci (obr. 10); następują cztery obrazy (11—14) z pamiątkami z Polski. Są to: 1) bronzowe drzwi katedry gnieźnieńskiej z pierwszej połowy XII. stulecia, na których pracą rzeźbiarską w cyklu z 18 obrazów wyrażone różne przygody z żywota św. Wojciecha; 2) podobizny z mszału św. Wojciecha, przechowywanego w katedralnem archiwum gnieźnieńskiem, a zawierającego mianowicie perykopy z ewangelij na niedziele i święta; pisany jest złotem na pargaminie i ozdobiony prześlicznemi miniaturami; 3) kielich św. Wojciecha w Trzemesznie pod Gnieznem, gdzie pierwotnie spoczywało ciało Świętego; 4) posąg świętego Wojciecha, wykonany przez polskiego rzeźbiarza Stwosza do krakowskiego

kościoła parafialnego Panny Maryi w r. 1480. Po tem idą czeskie denary z wizerunkami św. biskupa, miniaturowe jego obrazy z XIV. i XV. stulecia, dalej kopie z olejnych obrazów, pendzla czeskich malarzy, jako to: Szkreta, Brandla, Manesa, Maixnera, Kadlíka, Sequensa, Lhota, Jeneweina i t. d. Na końcu zaś przychodzą dzieła snycerskie i rzeźbiarskie.

Jest to więc rzeczywiste bogactwo dzieł sztuki, zebrane w tem Albumie, które zasługuje, aby zostało rozpowszechnione także w Polsce. Posłuży zaiste i tam, jak u nas, do podniesienia ducha, a nawet na prawdziwą i piękną ozdobę katolickich salonów. A także to wiem, że panowie wydawcy byliby wdzięczni za każdą uwagę, któraby dotyczyła potrzebnych poprawek do doskonałości tego dzieła. Wystarczy tylko zgłosić się pisemnie bądź do d-ra A. Podlahy, który jest prefektem akademii hrabiego Straky w Pradze, albo do Edwarda Szyttlera, zarządcy ekonomii w arcybiskupiem seminaryum praskiem, a obaj bardzo chętnie każdą radę przyjmą [1].

Ks. dr. J. Tumpach.

[1] Prócz Albumu św. Wojciecha wyszły u nas na cześć tego Świętego także mniejsze broszurki i pisemka, przeznaczone do rozpowszechniania między ludem. Dlatego i cena ich ustanowiona została jak najniższa, ledwo po kilka centów. Najlepsze z nich wyszły z drukarni arcybiskupiej w Pradze i z biskupiej drukarni w Hradcu Królowéj. Prof. Ježek zebrał znów różne opowiadania o św. Wojciechu i wydał je w osobnem pisemku.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

LEON XIII I FRANCYA.

Nawet wróg papiestwa mógłby w ostatnich tygodniach dostrzedz w Leonie XIII. męża, bardzo dalekiego w swoich postępkach od tych ludzkich pobudek, które nieraz zaślepiają władców ze szkodą poddanych. Najwyższy dostojnik na ziemi, gdyby po ludzku spoglądał na swoje stanowisko, dawałby posłuch podszeptom miłości własnej, którą u niego dotkliwie obrazić mogą niektórzy katolicy we Francyi. Od długich lat upominani, żeby przyłożyli rękę do pługa obowiązków uchwytnych a przestali, jak sam papież mówi: *s'agiter dans le vide,* przez ten cały czas jawnie toczą rozprawy nad pytaniem, o ile w sprawach politycznych mają obowiązek ulegać wskazówkom papieskim. Tak źle przyjęty ze swojemi radami Ojciec Chrześcijaństwa, gdyby po ludzku chciał działać, mógłby już dawno odwrócić oczy od tych synów nie bardzo karnych i zająć całą uwagę sprawami innych narodów, bez troski o to, jak nizko upadną niektórzy katolicy we Francyi, niebaczni na wzór tylu innych współwyznawców, których wiarę wyjawiają niezliczone dowody. Ale namiestnik Chrystusowy nie wyczerpuje skarbów ojcowskiego serca, i znowu najcierpliwiej, po raz nie wiedzieć który, odpowiada arcybiskupowi z Tuluzy na jego pytania, czy

dobrze pojął myśl papieską. Aby uniknąć słówka mniej zrozumiałego dla Francuza, już papież nie po łacinie odpowiedział, jak żądały zwyczaje prastare, ale po francusku pisze, aby znowu zapewnić, że w żadnych radach swoich nie zamierzał nic nowego ogłaszać, ani nic dodawać do odwiecznej nauki Kościoła o różnych odmianach rządu i o posłuszeństwie należnem świeckim władzom prawowitym. Dalej mówi: „Zastosowując do obecnych stosunków te zasady, uświęcone wiekowem podaniem, dalecy byliśmy od zamiaru, aby mieszać się do spraw doczesnych, o których między sobą rozprawiacie: za chlubę sobie poczytywaliśmy i poczytujemy przyczynić się do dobra moralnego i do szczęścia Francyi, zawsze pierworodnej córy Kościoła, i zapraszać mężów każdego stronnictwa, czy to poważnych liczbą, czy sławnych nazwiskiem, czy obdarzonych wyższym umysłem, czy nakoniec wpływowych, dzięki majątkowi: tych wszystkich poczytujemy sobie za chlubę zapraszać do koła wspólnego i pracy pożytecznej na zasadzie ustaw obecnych".

Jeżeli ten list papieski zwiększy zastęp obrońców Kościoła na podstawie obecnego ustroju Francyi, w takim razie można oczekiwać w Izbie paryskiej nowych rozpraw z powodu szkoły, bo bezbożny duch, który w niej panuje, zaczyna tracić swój urok w oczach nawet niedowiarków francuskich, więc wniosek o zmianę ustawy szkolnej byłby zupełnie na czasie. Śledztwo, prowadzone nad Artonem, dotkliwie zawstydziło zwolenników szkoły bezwyznaniowej: wykryło w jednym z ich przewódców człowieka lichego, jeżeli tylko za liche, a nie wprost za podłe uważać można postępki męża stanu, który w brudnej sprawie panamskiej zmaczał ręce po łokcie. Burdeau, były minister, były prezydent Izby poselskiej, uczczony po śmierci, za uchwałą całego kraju, pogrzebem iście królewskim, przy którym szły oba ciała prawodawcze i najwyższe urzędy rzeczypospolitej, z samym jej prezydentem na czele wbrew wszelkim zwyczajom, bezwyznaniowiec słynny między innemi także z wniosku, z którym wystąpił, żeby rząd do szkół wyższych nie pozwalał przyjmować wychowańców szkoły wyznaniowej, za ten i podobne czyny sławiony nad grobem głosami pierwszych krasomowców kraju

i stawiany przez ministrów za przykład dla młodzieży, owszem opiewany jako wzór przyszłych bohatyrów, słowem: ta chluba Francyi wolnomyślnej, Burdeau, po pogrzebie cywilnym, wystąpił, dzięki sądowemu śledztwu, w postaci głównego sprawcy przekupstw panamskich, jako nędzarz moralny, zaprzedany gromadzie oszustów i ich najchytrzejszy doradca, kiedy ci szukali dostępu do sprzedajnych sumień. Przecie wyszło na jaw, co znaczyły owe namiętne słowa o nieskalanej moralności bez Boga, za które Burdeau zbierał oklaski za życia, a po śmierci wawrzyny. Niejeden z jego dotychczasowych zwolenników oburzony teraz woła, że ów rzekomy wzór dla bohatyrów przyszłych, haniebnie zawiódł świetne nadzieje i dał przeciw sobie broń do ręki przeciwnikom, którzy nie wierzą w moralność bez bojaźni Bożej, pielęgnowanej w wyznaniowych szkołach.

Oburzone głosy zawiedzionych znajdują posłuch. Liczba niezadowolonych z teraźniejszej szkoły rośnie, szczególnie pośród powag naukowych, które wzywają rząd i ciała prawodawcze do zmian, a przedewszystkiem do baczniejszej pieczy nad obyczajami młodzieży, i do uchwał, któreby ją chroniły przed wpływem złych czytelni, widowisk i obrazów. Społeczeństwo słucha tych skarg uważnie, rząd zajął niewyraźną postawę, obliczoną na bieg wypadków, które ze sprawy szkolnej zdołałyby odwrócić uwagę posłów na Kretę i zjazdy cesarskie. Ale posłowie nie lekceważą przestróg, dawanych w pismach najpoczytniejszych przez zdolnych pisarzy. Wielu już posłów i senatorów postępuje tak, jakby w obu Izbach wiał duch nadziei, że Méline z rószczką oliwy podejdzie do Leona XIII. Inni stoją jakby na rozdrożu: raz szukają już chluby w zgodzie z Kościołem, drugi raz stawiają jeszcze krok na drodze napaści przeciw duchowieństwu całemu z papieżem na czele. Pan de Lamarzelle zadał sobie pracę porównać sprawozdania z posiedzeń obu Izb, aby wykazać, jak ten sam poseł czy senator występuje nieraz z mowami, w których sam zbija własne poglądy, bo muszą iść chwiejnym krokiem, odkąd już odrzucili zasadę, że koniecznie, i wszędzie, i zawsze, trzeba prześladować Kościół, a jeszcze nie powiedzieli sobie, że wrócą stanowczo do Boga.

Tak np. pan Józef Fabre nie pomijał stosownej chwili w rozmowach towarzyskich, aby zapewniać, że żywi dla Kościoła cześć gorącą. Zjednał sobie przez to sławę dobrą u katolików, którzy z zapałem poparli jego wybory na członka senatu i skłonili nawet biskupa z Verdun, żeby do niego napisał przychylny list w sprawie jego wyboru. Nowo obrany senator zaraz w dziennikach przed całą Francyą ogłosił pismo biskupie, w najwdzięczniejszych słowach wyrażał, jak ceni sobie ten zaszczyt i wymownie przedstawiał, jak stosownie duchowieństwo poczyna sobie, kiedy zabiera głos w sprawie wyborów. Aż nagle wystąpił w senacie z hasłem, że Kościół nie przykłada ręki do wyborów, póki rząd o najświętszych obowiązkach swoich nie zapomina w sposób karygodny. Na tle tej zasady wysnuł naganę dla rządu, jakoby pobłażliwego na zamachy Kościoła przeciw rzeczypospolitej, szczególnie w sprawie szkół. Zarzut tak strasznie haniebny do żywego dotknął ministra Darlana; ten mąż stanu postępowy uważa za ciężką obrazę usłyszeć, że sprzyja Kościołowi Chrystusowemu, i jako minister oświaty na zacofane duchowieństwo katolickie nie spogląda z góry, a za godnych przyjaźnego uścisku dłoni uważa oczywiście ledwo rabinów: więc uprzejmie przyjął ich zaprosiny do bóżnicy i pospieszył na żałobne nabożeństwo żydowskie za dusze zmarłych w bazarze dobroczynnym, ale posądzony o przychylne względy dla Kościoła nie zwlekał z obroną, zaraz wyliczył dziewięć kaplic, które zamknął na dowód, że trzyma Kościół w ryzach.

Uspokoił Fabre'a, ale wpadł z deszczu pod rynnę. Słowa o Kościele trzymanym w ryzach przez pana Darlana oburzyły dwóch najmłodszych członków prawicy w senacie: hrabiego de Blois i pana de Lamarzelle. Obaj sprawili niespodziankę ministrowi i senatorom z lewicy: dowiedli, że zasiadają w senacie, jako nowi obrońcy Kościoła, którzy z głębokim rozsądkiem i niezwykłym darem wymowy, podejmują walkę przeciw nieprzyjaciołom wiary. Minister nieprzygotowany na walkę z nimi, szukał drogi do odwrotu; aby nie cofać poprzednich słów, jednak nie drażnić niemi przeciwników, oświadczył, iż za chlubę dla rządu

ani dla siebie nie poczytuje wcale kaplic pozamykanych, owszem, szanuje Kościół i ceni duchowieństwo, które zasługuje na cześć.

Taka odpowiedź dwuznaczna i obrona wykrętna wywołała jeszcze żywszą wymianę myśli. Rozprawa sprawiła skutek pożądany dla katolików: pozwoliła im przytoczyć słowa Leona XIII. i rzucić jasne światło na jego zamiary, przerwała wątek plotkom, rozsiewanym o ukrytych sprężynach, za pomocą których Leon XIII. pragnie sam rządzić rzecząpospolitą francuską, i zatwierdziła obowiązek katolicki posłuszeństwa dla świeckiej władzy i ustaw.

Aby poprzeć katolickich senatorów wobec Izby poselskiej ks. Gayraud przyznał, że nigdy nie był kandydatem papieskim i że niesumienni zapaleńcy oszukiwali wyborców, kiedy taką wieść rozgłaszali przed nimi. Po ks. Gayraud sekretarz stanu zabrał uroczyście głos i powiedział: „Jestem upoważniony stwierdzić, że nuncyusz papieski do naszego ministra spraw zewnętrznych wystosował list, w którym z własnego popędu zakłada w imieniu Ojca świętego protest przeciw pogłosce, jakoby Stolica święta pracowała w jakibądź sposób przy wyborach z trzeciego okręgu w Brest“, gdzie przeszedł ks. Gayraud.

Burzliwą rozprawę w senacie o stanowisku Kościoła do państwa zakończył pan Bernard Lavergne, przeciwnik „uroszczonych“ praw Kościoła, godnemi uwagi słowami: „Dziwi was ta odwaga, z jaką Kościół u schyłku dziewiętnastego stulecia śmie sięgać po ster nowożytnego społeczeństwa? Eziwi to was bardzo? Mnie to nie dziwi zupełnie. Wiecie, skąd Kościół czerpie taką odwagę? Z tego sceptycyzmu, który panuje powszechnie, z tej nędzy opłakanej, w którą popadają umysły, z tej próżni, która pochłania każdą duszę, a którą wywołały poglądy filozoficzne, słusznie nazywane zuchwalstwem, bo bez dowodów burzą wszystko, a nic nie budują... Ach uważajcie bacznie! Jeżeli mniemacie, że bez prawd nadzmysłowych ród ludzki spokojnie przejdzie swoją drogę, mami was błąd niebezpieczny! Mówcie, że prawda na Rzymie oparta jest błędem; mówić tak macie prawo, jeżeli na usta wam kładzie rozum te słowa. Ale w każdym razie Rzym przemawia jako nauczyciel prawdy stanowczej; i w tem leży jego moc niewyczerpana“.

Słowa te padły z ust człowieka, nie posądzonego o ultramontanizm; przecie stanowczo oddają cześć zasadom wyznanym odważnie i inaczej brzmią, niż słowa krętaczy, którzy godzą pochwały Kościoła z obelgami, szczodrze szafowanemi.

Niestety, widać teraz we Francyi dość szeroko rozpostarty popęd do dróg krętych a lęk przed krokiem stanowczym; jasnych pojęć mało przeziera w postępkach osób najlepszej woli i nieraz zasłużonych istotnie. Wśród duchowieństwa nawet spostrzedz można mniej wytrawne sądy i niedokładnie zdawaną sprawę z dróg, któremi Francya ma wracać do Boga. Do takich jednostek przemówił biskup Turinez słowami bardzo dobitnemi: „Przy wyborze dróg nowych i nowych środków wypada unikać nowości niebezpiecznych, do których nie zmusza nagła potrzeba. Wypada wytrwale działać w duchu nadprzyrodzonym, wedle wzniosłych zasad, podanych przez apostołów i świętych, i pamiętać o szczytnem posłannictwie żywota kapłańskiego i kapłańskiej posługi. Ciężki to i smutny błąd mniemać, że pociągnie duszę do wiary, kto poniża własne stanowisko, że ksiądz nie straci wpływu w tym samym stopniu, w jakim przestaje być księdzem; że może nawracać ludzi, kto pali kadzidło przed ich zachciankami i popędami zdrożnymi“.

Słowa tego biskupa okazują, jak czujnie duch Kościoła uważa, żeby duchowieństwo przepowiadało prawdę „nie w przyłudzających mądrości ludzkiej słowach, ale w okazaniu ducha i mocy“.

Z JUBILEJUSZU ŚW. WOJCIECHA.

Pątnicy ze wszystkich dzielnic dawnego królestwa naszego przeżyli niezapomniane chwile między Wielkopolanami w świątyni gnieźnieńskiej. Pełni wysokiego nastroju ducha wracają teraz opowiadać rodakom, jak ich krzepił widok uroczystych obchodów. I każdy ma co opowiadać. Ci najsilniej wrazili sobie w pamięć przykład gorliwej modlitwy, która u Wielkopolan ich zachęcała. Tamci powtarzali, co czuli przy dźwiękach starodawnej pieśni „Boga-rodzica“, którą przodkowie nasi póki przed bitwą śpiewali, póty gromili najeźdźców. Inni wspominali o grobowym kamieniu Dąbrówki albo o innych po-

mnikach minionej chwały; ale prawie wszyscy żywo przejęci przemowami arcybiskupa Stablewskiego, powtarzali z nich ustępy, które kazały innym niecierpliwie oczekiwać, kiedy pisma podadzą te przecudne mowy dosłownie. Pospieszyły też pisma różne podać całemu narodowi te drogocenne pomniki wymowy kaznodziejskiej.

Najdostojniejszy legat apostolski połączył z jubileuszem misyę, którą sam zagaił. Przy tem najprzód mówił o pokoju świętym, za którym stęsknione są serca wszędzie, dokąd zalatuje ryk burzy niedalekiej, dokąd wdziera się już szczelinami fala zniszczenia. I z góry, i z dołu pragnęliby zaślepieńcy oderwać pozornemi i złudnemi hasłami naród od źródła jego życia, jego błogosławieństw. Jak skołatane na morzu okręty i znużone daleką drogą ptaki do stałego lądu dobić pragną, aby tam znaleść odpoczynek i ulgę, tak oby i serca nasze nie szukały gdzieindziej „pokoju", tylko u Tego, który go ludziom przyniósł na ziemię, a potem słał proroki i męczenniki między plemiona ludzkie, aby dobrą nowinę nieśli o pokoju nadziemskim.

Z tych posłów bożych pierwszy utwierdził nas w świetle wiary, Wojciech święty, biskup i męczennik. Jak święty przemówił i rozniecił światło tak potężnie, że przez dziewięć wieków nie zdołały go zagasić ni tatarskie, ni tureckie hordy, ni własnej braci odszczepieństwo, ni zimne serca, ni wichry i próby wszystkie dziejowe. Przemówił jak biskup, który został wzorem owczarni z całej duszy i przykładem swoim pogańskich przodków naszych pouczył, że nad żądzę używania i rozkoszy jest coś godniejszego naszej miłości; zażegł tak żywy ogień miłości do Boga, że jej żar przetrwał w równej sile przez tyle wieków tak samo, jak pieśń do Boga-rodzicy, przez niego narodowi w darze zostawiona. A ta pieśń na cześć Maryi, pieśń, która zarazem w sobie niemal całej wiary wyznanie zawiera, pieśń, która nic nie ma w sobie wojennego, stała się jednak pieśnią bojową naszych ojców, tajemniczą wskazówką, symbolem wyznawstwa wiary, treści dziejów i posłannictwa narodu. Ale święty biskup Wojciech męczeństwem dokonał dzieła swego, posiew krwi jego wzrósł na plon sług bożych... tak z gnieźnieńskich

szkół, niby macierzystego ula, coraz nowe wylatują roje pszczółek bożych na całą polską krainę.

Z wyżyn Piotrowych płynie po dziewięciu wiekach głos Leona XIII. z tą samą miłością ojcowską, jak za dni św. Wojciecha i Chrobrego, do dzieci swoich i z tą samą pełnią prawdy i światła.

Tu rosły w potęgę jakby natchnione słowa arcypasterza; streszczać je znaczyłoby psuć te prześliczne ustępy, którym równych szukać trzebaby w złotej dobie polskiego kaznodziejstwa. Przemową arcypasterską zagajone nauki misyjne przyniosły owoc nadspodziewany: parę kroć sto tysięcy wiernych przystąpiło do tajemnic Ołtarza. Wtedy wymowny następca Karnkowskich, Skotnickich i Łubieńskich drugi raz wstąpił na kazalnicę, aby powiedzieć, że nie może milczeć na widok dzieła łaski, którego Bóg dokonał w jego owczarni. Wyznał, że innowiercy zdumieni tłumami, które z przedziwną powagą krążyły około świątyni przez dwa tygodnie, podziwiali potęgę wiary w polskim narodzie. Wyznał, że widok ten w sercu samego arcypasterza budził otuchę w Bogu, który nas, choć bardzo grzesznych i bardzo biednych, nie opuszcza. Więc dalej porywał dostojny mowca zachętą, aby Polska rosła duchem tej wiary, którą św. męczennik głosił słowem a żywotem uczył, jak ją wyznawać. Niech nas rozpali miłość boska tak szeroka, jak ziemia nasza. Więc chociaż coraz biedniej między nami, przecie dojrzeje i na smutnych sercach naszych i na łanach słońca i urodzaju spragnionej ziemi naszej żniwo obfite błogosławieństw i pociech bożych. Tuszyć można, że nie przelotna chwila uroczysta łzami skrapiała oczy słuchaczy arcybiskupa, że po całej dziedzinie Chrobrego odrodzą naród słowa godne męża, w którym nietylko swoi, ale nawet obcy upatrują jakby prymasa polskiego.

Ks. K. Czaykowski.

Niektóre nowsze zdobycze chemii.

Związki nieorganiczne i organiczne. — Reakcye chemiczne w wysokich temperaturach. — Sztuczne dyamenty. — Topienie i destylacya ciał trudnotopliwych. — Węgleki metaliczne. — Węglek wapniowy. — Acetylen jako środek oświetlający. — Sztuczny alkohol.

Żadna może gałąź wiedzy nie robi tak szybkich postępów jak chemia; rok rocznie przybywają nowe odkrycia, które pozwalają coraz lepiej poznawać prawa rządzące zjawiskami chemicznemi, dają nowe sposoby otrzymania rozmaitych ciał znanych lub też zupełnie nowych, posiadających nieraz pierwszorzędne znaczenie, i przyczyniają się coraz bardziej do wyjaśniania rozmaitych zjawisk, nieposiadających nawet na pozór z chemią żadnej styczności. Największymi postępami w ostatnich kilku latach może się przedewszystkiem poczczycić chemia organiczna i chemia fizykalna. Dziś zamierzamy przedstawić główne nowsze zdobycze chemii organicznej [1].

Jeszcze do trzydziestego roku obecnego stulecia istniało przekonanie, że ciała organiczne mogą powstawać wyłącznie w organizmach roślinnych i zwierzęcych, że w organizmach tych istnieje — jak przypuszczał Berzelius — odrębna siła, tak zwana „siła życiowa“ *(vis vitalis)*, która przyczynia się do wytwarzania z ciał nieorganicznych zawierających węgiel, przedewszystkiem z dwutlenku węglowego, ciał organicznych. Przypuszczano, że z ciał organicznych powstałych w organizmach, można wprawdzie otrzymywać inne ciała organiczne, ale że otrzymanie ciała organicznego, choćby najprostszego, z ciała mineralnego lub wprost z pierwiastków, jest rzeczą niemożliwą. Dziś — z wyjątkiem ciał białkowatych — można otrzymywać syntetycznie z ciał mineralnych, względnie z pierwiastków, wszystkie substancye organiczne, posiadające nawet najbardziej złożoną budowę, jak np. barwniki, cukry itd.

Pierwszem ciałem organicznem, sztucznie otrzymanem, był mocznik, typowy produkt życiowych czynności człowieka i zwierząt. Otrzymali go

[1] Chemia organiczna zajmuje się badaniem związków organicznych, tj. tych związków chemicznych, których drobiny składają się z węgla połączonego z rozmaitymi innymi pierwiastkami; wyjątek stanowi tu tylko tlenek (CO) i dwutlenek węglowy (CO_2), jak również pochodne ostatniego czyli węglany, które zalicza się do ciał nieorganicznych, mineralnych.

w r. 1828 prawie równocześnie Wöhler i Natanson, profesor warszawskiej szkoły głównej, z substancyi nieorganicznej, zwanej sinkiem amonowym. Przekonanie, że otrzymanie ciał organicznych ze związków mineralnych lub z pierwiastkow jest rzeczą niemożliwą, było jednak tak silne, że większość chemików zdecydowała się raczej zaliczyć mocznik do ciał nieorganicznych, niż wyrzec się „siły życiowej". Wkrótce potem powiodło się jednak Berthelot'owi otrzymać z minerału witerytu, chemicznie węglanu barowego ($Ba\,CO_3$), cały szereg połączeń organicznych, z których każde mogło znów służyć do otrzymania innych związków organicznych. Przekonano się wtedy ostatecznie, że powstawanie zarówno ciał organicznych jak i mineralnych, jest skutkiem jednej i tej samej siły, siły łączącej atomy w drobiny, zwanej powinowactwem chemicznem.

Najważniejszą syntezą ciała organicznego jest jednak otrzymanie połączenia, zwanego acetylenem bezpośrednio z pierwiastków: węgla i wodoru, przez Berthelot'a w r. 1859. Ta synteza jest tak ważna nietylko dlatego, że buduje organiczny związek bezpośrednio z pierwiastków, ale i dlatego, że otrzymane połączenie, acetylen, jest najprostszym związkiem organicznym, drobina jego bowiem składa się z dwóch atomów węgla i dwóch atomów wodoru, i że może ono służyć, jako punkt wyjścia do otrzymania wszystkich innych połączeń organicznych. Po raz pierwszy otrzymał acetylen w r. 1839. E. Davy wypadkowo, prażąc w celu przygotowania metalu potasu kwaśny winian potasowy z proszkiem węglowym; produktem tego prażenia była szarobrązowa masa, która wrzucona do wody ulegała szybkiemu rozkładowi, wydzielając gaz bezbarwny o charakterystycznym zapachu, palący się jasnym płomieniem — był to acetylen. Następnie otrzymało acetylen jeszcze wielu innych chemików; wszystkie jednak te syntezy — nie wyłączając syntezy Berthelot'a — posiadały tylko znaczenie teoretyczne: były one kosztowne i pozwalały otrzymywać acetylen tylko w bardzo małych ilościach.

Ponieważ wytwarzanie innych ciał organicznych z ciał mineralnych było również połączone ze znacznemi trudnościami, przeto otrzymywanie związków organicznych z ciał mineralnych miało wogóle tylko znaczenie teoretyczne, wprawdzie bardzo ważne, ale służyć nie mogło do praktycznego ich wytwarzania. Dopiero w ostatnich czasach, głównie dzięki badaniom H. Moissan'a nad chemicznemi reakcyami zachodzącemi w wysokich temperaturach, znaleziono metodę,

która umożliwiła otrzymywanie acetylenu, a zatem i innych ciał organicznych, w wielkich ilościach i bardzo tanio.

Do ostatnich czasów zajmowano się w chemii prawie wyłącznie zjawiskami chemicznemi, zachodzącemi w zwyczajnej temperaturze, lub też w temperaturach stosunkowo niewysokich; przed kilku laty, mianowicie od chwili zastosowania łuku elektrycznego do otrzymywania wysokich temperatur, zaczęto zajmować się reakcyami chemicznemi zachodzącemi w temperaturach kilku tysięcy stopni. Największe zasługi posiada w tych badaniach — jak już wspomniano — Moissan; zaledwie w przeciągu kilku lat, gdyż od r. 1892 wykonał on mnóstwo doświadczeń, których rezultatem jest otrzymanie sztucznych dyamentów, stopienie, a nawet przedystylowanie ciał dotychczas nieznanych ani w stanie płynnym, ani gazowym, jak np. węgla, krzemu, platyny, krzemionki, wapna itd., otrzymanie połączeń krzemu i boru z rozmaitymi metalami t. zw. krzemków i borków metalicznych, i ostatecznie, otrzymanie całego szeregu ciał, zwanych węglekami metalicznymi, które ulegają pod wpływem wody rozkładowi i wydzielają acetylen i inne połączenia organiczne.

W badaniach swych używał Moissan dwa rodzaje pieców elektrycznych. Główną częścią składową jednego jest tygiel zrobiony z mieszaniny sproszkowanego węgla retortowego [1] i smoły; tygiel ten jest umieszczony na podstawce magnezyowej w wyżłobieniu bloku wapiennego, nakrytego przykrywką również wapienną. Blok wapienny i tygiel posiadają po dwa naprzeciwległe otwory, w których mieszczą się dwie ruchome elektrody, połączone przewodnikami z maszyną dynamo-elektryczną. W tygielku umieszcza się badane substancye, nakrywa tygiel i piec przykrywkami, zbliża do siebie elektrody i otwiera prąd; gdy elektrody rozżarzą się dostatecznie, to oddala je następnie, aby otrzymać łuk elektryczny o odpowiedniej długości. Drugi rodzaj pieca, jeszcze bardziej wytrzymały na wysokie temperatury, jest zbudowany również z wapienia; wyżłobienie jego jest wyłożone płytami węglowemi i magnezyowemi, które służą do zmniejszania wpływu ciepła na ściany wapienne; zamiast tygla, posiada ten piec rurę węglową, umieszczoną w nim poprzecznie. Elektrody znajdują się w piecu również w kie-

[1] Węgiel retortowy otrzymuje się przy fabrykacyi gazu świetlnego; powstaje on z części lotnych, wydobywających się z węgla kamiennego podczas jego suchej destylacyi, które stykając się z gorącemi ścianami retort, ulegają rozkładowi i wydzielają węgiel w postaci czarnej połyskującej masy, przewodzącej dobrze elektryczność.

runku poprzecznym, ale prostopadle do rury i 1 centymetr po nad nią; takie umieszczenie rury z substancyą i elektrod zapobiega bezpośredniemu działaniu łuku elektrycznego na substancyę, a wystawia ją tylko na działanie jego temperatury.

Do wywoływania prądów elektrycznych używał Moissan maszyn dynamo-elektrycznych o sile kilku do trzechset koni parowych. Temperatury otrzymywane w tych piecach nie były jeszcze dokładnie mierzone; brak nawet danych co do tego, czy temperatura łuku elektrycznego jest stała, a tylko ilość ciepła zmienna, czy też i temperatura jest zależna od wielkości prądu. Moissan przypuszcza, że zarówno temperatura, jak i ilość ciepła jest zmienna, Rosetti przeciwnie utrzymuje, że temperatura jest od prądu niezależna, i że wynosi zawsze stale 4800^0. Zwolennikami stałej temperatury łuku elektrycznego są również Violle, Wilson i Gray, którzy robili bezpośrednie termiczne pomiary i znaleźli temperaturę 3500^0—3600^0. Według nich dowodem stałej temperatury jest niezmieniające się natężenie światła łuku elektrycznego, które jest wywołane — według nich — przez wrzenie węgla, z którego są zrobione elektrody. Ponieważ — jak wiadomo — każde ciało posiada przy tem samem ciśnieniu zawsze stałą temperaturę wrzenia, np. woda wrze pod ciśnieniem 1 atmosfery przy 100^0, ołów około 1700^0 itd., przeto i węgiel musi wrzeć zawsze przy tej samej temperaturze, mianowicie, jak przypuszczają wymienieni uczeni, przy 3500^0—3600^0, i ta temperatura jest właśnie temperaturą łuku elektrycznego.

Otóż w tych wysokich temperaturach wykonywał Moissan swe doświadczenia i doszedł w swych badaniach do nadzwyczaj ważnych wyników, pomiędzy którymi jednym z ostatnich i najważniejszych jest znalezienie metody łatwego otrzymywania najprostszego połączenia organicznego, acetylenu.

Zanim przejdziemy do opisu tej metody, wspomnimy w kilku słowach o innych, poprzednio zrobionych, doświadczeniach Moissan'a.

Jednemi z pierwszych były doświadczenia nad otrzymaniem sztucznych dyamentów. Wiadomo, że węgiel występuje na ziemi w trzech odmianach, dwóch krystalicznych: dyament i grafit, i jednej bezkształtnej, której najlepszym przykładem jest sadza. Powstawanie dyamentów było dotychczas — mimo licznych badań — niewyjaśnione. Rozmaite metale, przedewszystkiem żelazo i srebro, posiadają w stanie stopionym własność rozpuszczania w sobie dość znacznych ilości węgla, które następnie podczas ochładzania się, znów wydzielają częściowo w po-

staci bezkształtnej lub jako grafit. To zjawisko posiada pewne podobieństwo z rozpuszczaniem się w wodzie rozmaitych ciał, które następnie wskutek obniżenia się temperatury wody wydzielają się z niej, zazwyczaj w postaci krystalicznej. Moissan przedsięwziął poznać dokładnie wydzielanie się węgla z zestalającego się stopionego żelaza, w nadziei, że może uda mu się znaleść warunki, w których węgiel będzie się wydzielał w postaci dyamentów. Wszystkie doświadczenia, w których żelazo nasycano węglem w rozmaitych temperaturach, od 1100° do 3000° i następnie powoli ochładzano, dawały wyniki ujemne: żelazo nasycone węglem w temperaturze 1100° — 1200° wydzielało podczas ochładzania węgiel bezkształtny i grafit, nasycone w temperaturze od 1200° do 3000° — wyłącznie grafit, — dyamentów nie znaleziono ani śladu. W następnych doświadczeniach przedsięwziął Moissan spowodować wydzielanie się z żelaza węgla pod silnem ciśnieniem; do wywołania tego ciśnienia postanowił on zużytkować własność jaką ma żelazo, że powiększa swoją objętość w chwili zestalania się [1]. W tym celu stapiał Moissan w piecu elektrycznym, w tyglu węglowym, paręset gramów żelaza i umieszczał w stopionem mały cylinder z miękkiego żelaza, w którym był silnie ubity i zaszrubowany proszek węglowy, otrzymany z cukru. Cylinder z węglem ulegał szybkiemu stopieniu i przesycał się zawartym w nim węglu. Po chwili wyjmowano tygiel z pieca i wrzucano go do zimnej wody, wskutek czego stopione żelazo ochładzało się raptownie i wytwarzało na powierzchni skorupę, która nie pozwala się rozszerzać zestalającej się wewnątrz masie i wywoływała w ten sposób silne ciśnienie. Po ostudzeniu zawartości tygla i rozpuszczeniu żelaza w kwasach, znaleziono obok znacznej ilości grafitu mikroskopowe kryształki węgla, czarne i bezbarwne, przeźroczyste, posiadające ciężar gatunkowy i twardość dyamentów. W następnych doświadczeniach zwracał Moissan wskutek tego przedewszystkiem uwagę na wywoływanie silnego ciśnienia podczas zestalenia się nawęglonego żelaza przez możliwie najszybsze ochładzanie go; w tym celu wrzucał on stopione żelazo w opiłki żelazne, które — jak wiadomo — pochłania ciepło o wiele prędzej niż woda, lub do rtęci. W miarę szybszego ochładzania się stopionego żelaza, a zatem w miarę wywo-

[1] Żelazo i srebro w przeciwieństwie do innych ciał, odznaczają się własnością powiększania swej objętości w chwili przechodzenia ze stanu płynnego w stały; pod tym względem przypominają one wodę, która zamarzając powiększa również swą objętość.

ływania wewnątrz zestalającej się masy większego ciśnienia, otrzymywano więcej dyamentów, odznaczających się większymi rozmiarami i wyraźniejszą budową krystaliczną. Największy dyament, otrzymany w ten sposób posiadał średnicę 5 milimetrów, był wyraźnie krystalicznym i zupełnie bezbarwnym i przeźroczystym. Stopione srebro zachowuje się względem węgla tak samo jak żelazo: podczas ochładzania się pod silnem ciśnieniem wydziela ono rozpuszczony węgiel również w postaci dyamentów. Otrzymane wyniki wykazują zatem, że węgiel rozpuszczony w stopionym żelazie lub srebrze, a prawdopodobnie i w innych ciałach, wydziela się podczas zestalania się rozczynnika pod silnem ciśnieniem w postaci dyamentów. Staje się zatem prawdopodobnem, że i w przyrodzie powstały dyamenty w ten sam sposób, że mianowicie węgiel uległ rozpuszczeniu w stopionych materyałach ziemi, i że następnie, podczas ich zestalania się i pod wpływem ciśnienia skał wyżej leżących, wykrystalizował w formie dyamentów.

Bardzo interesującemi są również doświadczenia Moissana nad topliwością i zamienianiem się w parę rozmaitych ciał w temperaturach pieca elektrycznego. Najtrudniej topliwe metale, jak platyna, złoto, srebro i inne, już po paru minutach ulegają pod wpływem prądu elektrycznego stopieniu, a następnie zaczynają wrzeć i destylują się; z pieca wydobywają się początkowo przez szczeliny oślepiające płomienie, długie na kilka centymetrów, i gęste kłęby dymów, powstających z częściowego spalenia się par metalicznym tlenem zawartym w piecu. Pary wrzących metali skraplają się w chłodniejszych miejscach pieca i na ściankach metalowej chłodnicy, przez którą przepływa zimna woda, umyślnie umieszczonej w piecu. Również i niemetale, dotychczas nieznane w stanie płynnym, jak np. węgiel, krzem, bor, topią się i destylują w piecu elektrycznym. Skroplone i zestalone pary węgla tworzą grafit i cieniutkie lekkie blaszki, posiadające pod światło brązową barwę. Bor nie topi się wcale, a przechodzi odrazu ze stanu stałego w stan gazowy, czyli sublimuje się. Z taką samą łatwością, jak rozmaite pierwiastki, topią się w piecu elektrycznym rozmaite trudno topliwe związki chemiczne, jak np. wapno, krzemionka i inne, tak że obecnie wszystkie ciała można otrzymywać w stanie gazowym, płynnym i stałym: Dzięki badaniom Pictet'a, Cailletet'a, Olszewskiego i Wróblewskiego, można ciała gazowe, jak tlen, azot itd., uważane za nieskraplalne, zamienić na płyny i ciała stałe, a dzięki badaniom Moissan'a można ciała takie, jak wapno, krzemionka, węgiel,

platyna, dotychczas nieznane w stanie gazowym, a nawet i płynnym, stopić i zamienić na ciała gazowe.

Podczas wykonywania doświadczeń nad topliwością ciał, otrzymał Moissan również kilka metali, które mogą mieć w przyszłości ważne zastosowanie w przemyśle; zauważył on, że rozmaite tlenki metaliczne, którym można było zabrać tlen przez prażenie ich z węglem tylko z wielką trudnością, tracą go z łatwością[1] i zamieniają się na metale w temperaturze pieca elektrycznego. Jednym z cenniejszych takich metali — ze względu na swe własności — był chrom; metal ten posiada bardzo szerokie zastosowanie w przemyśle, lecz tylko w postaci swych połączeń; w stanie wolnym, jako metal, nie posiadał on żadnego zastosowania, pomimo wskazówek, że stopy chromowe mają ważne zalety, — powodem tego była prawie niemożność odtlenienia jego tlenowych połączeń za pomocą węgla. W temperaturze pieca elektrycznego odbywa się odtlenienie tlenku chromowego pomieszanego z węglem bardzo szybko i zupełnie — w jednem doświadczeniu otrzymał Moissan 20 kilogramów czystego chromu. Oprócz chromu otrzymał Moissan w piecu elektrycznym i inne metale, dotychczas otrzymywane tylko w bardzo małych ilościach, np. molibden, wolfran, uran itd.

Przystępujemy obecnie do najbardziej interesujących wyników badań Moissana, mianowicie do otrzymanych przez niego połączeń boru, krzemu i węgla z rozmaitymi metalami, czyli do tak zwanych borków, krzemków i węgleków metalicznych.

Od bardzo dawna wiedziano, że rozmaite metale, jak żelazo, srebro itd. posiadają w stanie stopionym własności rozpuszczania w sobie znacznych ilości węgla. Szczegóły tego zjawiska, jak również produkty tu powstające, były bardzo mało znane, gdyż odtworzenie ich w pracowniach chemicznych było niemożliwe wskutek niemożności otrzymania w używanych piecach dostatecznie wysokiej temperatury. W doświadczeniach nad odtwarzaniem dyamentów i topliwością rozmaitych ciał zauważył Moissan, że w razie stykania się elektrod wę-

[1] Większość metali otrzymuje się w praktyce z połączeń tlenowych, czyli z tlenków, istniejących w przyrodzie w znacznych ilościach; w tym celu ogrzewa się tlenki metaliczne z węglem, który zabiera w wysokich temperaturach pieców hutniczych tlen tlenkom metalicznym, czyli odtlenia je i zamienia na metale, a sam uchodzi w postaci gazowego tlenku lub dwutlenku węglowego. Niektóre tlenki metaliczne dawały się tylko odtleniać w ten sposób z wielką trudnością wskutek zbyt nizkich temperatur pieców hutniczych.

głowych z wapiennemi ścianami pieca elektrycznego, powstaje podczas przepuszczania prądu elektrycznego jakaś masa ciemna o przełomie krystalicznym, składająca się — jak wykazał rozbiór chemiczny — z węgla i wapnia; masa ta ulegała po wrzuceniu do wody gwałtownemu rozkładowi i wydzielała najprostszy, wyżej wymieniony związek organiczny — acetylen. Moissan zaczął bliżej badać warunki powstawania tego ciała i przekonał się, że w temperaturze łuku elektrycznego łączy się węgiel elektrod z wapniem zawartym w wapieniach lub tlenku wapniowym i wytwarza z nim związek o stałej budowie, mianowicie zawierającym w swych drobinach dwa atomy węgla i jeden atom wapnia, co można wyrazić wzorem C_2 Ca. Następne doświadczenia wykazały, że nietylko wapień, ale i inne metale wytwarzają z węglem połączenia o stałej budowie chemicznej i że własność rozmaitych metali rozpuszczania w stanie stopionym węgla polega bardzo często na wytwarzaniu z nimi rzeczywistych związków chemicznych. Analogiczne połączenia powstają jednak nietylko z węglem, lecz również i z innymi niemetalami, mianowicie z krzemem i borem. Wszystkie te ciała posiadają budowę krystaliczną i odznaczają się pod względem chemicznym bardzo prostą budową.

Krzemki i borki są ciałami nadzwyczaj trwałemi i odznaczają się wielką twardością i ciężarem, posiadają jednak o wiele mniejsze znaczenie niż węgleki.

Z badań Moissan'a nad węglekami wynika, że wszystkie metale można ze względu na ich zachowanie się podczas stapiania z węglem podzielić na trzy rodzaje. Jedne z nich, jak złoto, bizmut, cyna itd. nie rozpuszczają w sobie wcale węgla i nie wytwarzają z nim żadnych związków; inne, jak np. żelazo, miedź, srebro, platyna, rozpuszczają w stanie stopionym węgiel, zmieniając przytem znacznie swe własności, nie wytwarzają z nim jednak żadnych związków chemicznych; ostatnia grupa, najliczniejsza, obejmuje metale, które rozpuszczają węgiel i wytwarzają z nim związki o stałej chemicznej budowie, nazwane węglekami.

Najcharakterystyczniejszą cechą wielu węgleków jest zachowanie się ich względem wody, która je rozkłada już w zwyczajnej temperaturze; podczas tego rozkładu łączy się węgiel węgleka z wodorem wody i wytwarza rozmaite połączenia organiczne, węglo-wodorowe, a metal łączy się z tlenem wody, zamieniając się na tlenek metaliczny. Jedne z węgleków, np. węgleki wapnia, baru, litu i inne wydzielają podczas tego rozkładu acetylen, inne, np. węglek manganu gaz błotny czyli metan, jeszcze inne, jak np. węglek chromu, lantanu i t. d. mie-

szaninę rozmaitych węglowodorów gazowych, płynnych i stałych, podobnych do ropy ziemnej.

Sposób powstawania węgleków metalicznych w wysokich temperaturach nasuwa myśl, że mogły one powstawać również i w przyrodzie podczas zestalania się ognisto-płynnej kuli ziemskiej. Według Moissana jest prawdopodobnem, że wszystek węgiel, który obecnie wchodzi w skład organizmów zwierząt i roślin, względnie był dawniej ich składnikiem, a obecnie znajduje się w pokładach węgla kamiennego, brunatniaka itd., jak również węgiel atmosferycznego dwutlenku węglowego i węgiel węglanów, był w najdawniejszych epokach geologicznych ziemi w połączeniu z rozmaitymi metalami i tworzył węgleki zawarte w pokładach skorupy ziemskiej. Węgleki te ulegały następnie przy zetknięciu się z wodą rozkładowi, wydzielały węglowodory gazowe, płynne i stałe; te węglowodory, szczególnie gazowe, ulegały następnie w atmosferze utlenieniu i zamieniały się na wodę i dwutlenek węglowy; dwutlenek węglowy mógł również powstawać z węgleków bezpośrednio przy zetknięciu się ostatnich w wysokich temperaturach głębokich warstw ziemi z tlenem, gdyż skonstatowano, że znaczna ilość węgleków ulega takiemu utlenianiu pod wpływem powietrza w temperaturze ciemnego żaru. Jeszcze dziś istnieją zapewne — według Moissan'a — w głębszych formacyach pokłady rozmaitych węgleków. Na poparcie tego przypuszczenia przytacza Moissan ciężar gatunkowy ziemi, który jest — jak wiadomo — o wiele większy niż ciężar gatunkowy skał, stanowiących dostępną część skorupy ziemskiej; ta różnica każe przypuszczać istnienie w głębokich warstwach bardzo ciężkich materyałów, a takimi są właśnie węgleki. Istnienie węgleków w pokładach ziemi pozwoliłoby również — przypuszcza Moissan — zrozumieć niektóre zjawiska geologiczne, dotychczas niewyjaśnione, jak np. wydobywanie się rozmaitych węglowodorów i dwutlenku węglowego z wulkanów i z rozmaitych skał niewulkanicznych. Wiadomo, że z wulkanów wydobywają się najrozmaitsze połączenia węglowe, od asfaltu i nafty aż do dwutlenku węglowego: węglowodory (asfalt, nafta i produkty gazowe) mogą pochodzić z rozkładu węgleków metalicznych pod wpływem wody, dwutlenek węglowy — z rozkładu węgleków pod wpływem powietrza w wysokich temperaturach. Moissan przypuszcza również, że i niektóre oleje skalne i wosk ziemny, mogą zawdzięczać swe powstanie rozkładowi węgleków metalicznych pod wpływem wody. Obecnie przyjmuje się powszechnie, że ropa ziemna powstała z rozkładu materyi organicznych, roślinnych i — głównie — zwierzęcych;

teorya ta znalazła silne poparcie nietylko od geologów, ale i od chemików, głównie wskutek doświadczeń Englera, który poddające tłuszcze zwierzęce destylacyi pod silnem ciśnieniem, otrzymał produkty posiadające wszystkie cechy ropy ziemnej. Jeszcze przed postawieniem tej teoryi — przed trzydziestu laty — Berthelot, który otrzymał pierwszy węgleki potasowców i zauważył ich rozkład pod wpływem wody, zrobił, przypuszczenie, że węglowodory istniejące w przyrodzie, jak ropa ziemna, asfalt itd., powstają prawdopodobnie przez rozkład tych węgleków. Następnie postawił Mendelejew znaną powszechnie teoryę rozkładania się węgleków metalicznych — głównie połączeń węgla z żelazem — pod wpływem wody i wytwarzania w ten sposób nafty. Obecnie Moissan — opierając się na sposobie powstawania węgleków, ich trwałości i rozkładzie pod wpływem wody — robi znów przypuszczenie, że oleje skalne są prawdopodobnie rozmaitego pochodzenia: że jedne z nich pochodzą z rozkładu materyj organicznych, a inne, mianowicie te, które znajdują się wśród skał niezawierających szczątków zwierzęcych i których powstanie z rozkładu tych szczątków jest geologicznie trudno zrozumieć — z rozkładu węgleków.

Nie będziemy zajmowali się dłużej tą kwestyą i argumentami Moissan'a na poparcie tej teoryi, a przystąpimy do bardziej szczegółowego omówienia jednego jeszcze węgleka metalicznego, który już obecnie posiada bardzo ważne znaczenie przemysłowe, mianowicie węgleka wapniowego.

O otrzymaniu węgleka wapniowego przez stapianie wapna z węglem i o jego własnościach, ogłosił Moissan w grudniu 1892 roku; w roku następnym w lutym, wziął inżynier amerykański Wilson patent na otrzymywanie bronzów glinowych i wspomina w tym patencie o otrzymaniu krystalicznego połączenia węgla z wapniem, czyli węgleka wapniowego. Wilson otrzymał podobno węglek wapniowy przypadkowo już w r. 1888 i zauważył już wtedy, że pod wpływem wody wydziela on acetylen. Pomimo tego jednak, że o odkryciu tem nic nie ogłosił, i że pierwszeństwo odkrycia wymaga dla siebie Moissan, posiada jednak Wilson zasługę wprowadzenia węgleka wapniowego do przemysłu; obecnie istnieją w Niemczech, Anglii i — przedewszystkiem — w Ameryce już liczne fabryki, które wyrabiają węglek wapniowy w wielkich ilościach.

Węglek wapniowy jest to szara masa krystaliczna bardzo twarda, która ogrzana na powietrzu lub w atmosferze tlenu do ciemnego żaru, spala się na dwutlenek węglowy i wapno, a przy zetknięciu się z wodą

ulega gwałtownemu rozkładowi, zamieniając się na wapno gaszone i wydzielając acetylen.

Węglek wapniowy powstaje podczas ogrzewania w piecu elektrycznym mieszaniny wapna palonego lub wapieni z jakimkolwiek węglem: antracytem, węglem kamiennym, koksem itd. Już po paru minutach mieszanina taka topi się, wydziela dwutlenek węglowy, a następnie — przy ochładzaniu — zestala się krystalicznie.

Znaczenie swe zawdzięcza węglek wapniowy acetylenowi, który wydziela pod wpływem wody. Acetylen jest gazem bezbarwnym o nieprzyjemnym właściwym zapachu, przypominającym czosnek; przy 0^0 i pod ciśnieniem 21·5 atmosfer skrapla się on na bezbarwną ciecz, która w zwyczajnej temperaturze i pod zwyczajnem ciśnieniem paruje tak szybko i pochłania wskutek tego tyle ciepła, że część płynnego acetylenu zestala się na białą śnieżystą masę. Acetylen zapala się bardzo łatwo i spala się jasnym, silnie kopcącym płomieniem; również łatwo spala się acetylen płynny i acetylen stały, bez poprzedniego topienia się.

Obecnie posiada acetylen jako środek oświetlający. Już od dawna wiedziano — dzięki badaniom Lewes'a, że rozżarzony węgiel, który powoduje świecenie każdego palącego się ciała (nafty, świec, gazu świetlnego i t. d.), pochodzi z rozpadania się acetylenu na węgiel i wodór, wszystkie bowiem połączenia organiczne, wchodzące w skład materyałów oświetlających, rozpadają się w temperaturze płomieni i wytwarzają acelen. Im więcej acetylenu wydziela się w palących się gazach, tem silniejsze powstaje światło; nic więc dziwnego, że z chwilą znalezienia taniego sposobu otrzymywania acetylenu zwrócono przedewszystkiem uwagę na zastosowanie go do oświetlania. Próby nad świetlnemi własnościami acetylenu wykonywał głównie Violle: Acetylen wydobywający się z szerokich otworów spala się płomieniem jasnym, silnie kopcącym, wychodząc z palników o bardzo wąskich otworach daje przeciwnie płomień zupełnie niekopcący i nie posiadający wewnętrznego ciemnego jądra. Najjaśniejszy płomień daje acetylen wydobywający się pod ciśnieniem 30 centymetrów wody i zmieszany z $^2/_3$ objętości powietrza. Siła światła acetylenu była mierzona wielokrotnie; wyniki otrzymano następujące: 0.6 litrów acetylenu daje taką samą ilość światła co 11.5 litrów gazu świetlnego, spalonego w palniku Argand'a, 3.7 litrów w palniku Siemens'a i 2.7 litrów w palniku Auer'a. Bezpośrednią korzyścią tych małych ilości spalonego gazu jest znacznie mniejsze zanieczyszczanie się powietrza produktami spalnemi, mianowicie dwutlenkiem węglowym. Inną korzyścią acetylenu, jako środka oświetlającego, jest jego łatwe

otrzymywanie z węgleka wapniowego i jego łatwe skraplanie i zestalanie się. Lampy mogą posiadać zapas węgleka wapniowego, do którego powoli dopływa woda, wskutek czego wydziela się acetylen, lub też mogą mieć zbiornik z płynnym acetylenem; nie potrzeba tu zatem ani żadnej centralnej fabryki gazowego acetylenu, ani rur do rozprowadzadzania go po mieście. Ważne znaczenie może mieć acetylen również i przy fabrykacyi gazu świetlnego, jako środek karboryzacyjny, tj. jako środek wzbogacający gaz świetlny w produkt wydzielający dużo węgla świecącego w płomieniu.

Czy acetylen znajdzie w przyszłości zastosowanie do wyrobu rozmaitych innych połączeń organicznych — dziś trudno przewidzieć. Teoretycznie — jak wspomniano wyżej — jest możliwem otrzymywanie wszystkich połączeń organicznych z acetylenu. Robiono już próby otrzymywania z acetylenu alkoholu i — przyznać należy — dotychczasowe rezultaty są bardzo obiecujące. Alkohol czyli wyskok otrzymuje się dziś — jak wiadomo — w gorzelniach za pomocą fermentacyi alkoholowej produktów cukrowych, otrzymywanych z krochmalu rozmaitych zbóż, ziemniaków itd. Drobina alkoholu zawiera tak samo, jak acetylen dwa atomy węglowe, które jednak są połączone nie z dwoma atomami wodoru, ale z sześcioma i z jednym atomem tlenu; ponieważ drobina wody składa się z dwóch atomów wodoru i z jednego atomu tlenu, przeto można również powiedzieć, że drobina alkoholu różni się od drobiny acetylenu o 2 atomy wodoru i jednę drobinę wody. Połączenie acetylenu z wodorem i wodą daje się rzeczywiście wykonać; uskutecznił je po raz pierwszy Berthelot; miało ono jednak znaczenie tylko teoretyczne, gdyż acetylen był produktem zbyt drogim. W ostatnich czasach zaczęto się znów zajmować wytwarzaniem alkoholu z acetylenu i znaleziono metodę, która pozwala otrzymywać litr zupełnie czystego alkoholu podobno za $17^1/_2$ centów, a przy zastosowaniu siły wodnej do wytwarzania prądu elektrycznego, potrzebnego do fabrykacyi węgleka wapniowego i wodoru — za 15 centów. To wytwarzanie alkoholu polega na działaniu acetylenu najpierw wodorem w chwili jego powstawania, otrzymywanym bądź z wody pod wpływem prądu elektrycznego, bądź też z kwasu solnego i cynku; acetylen łączy się w tych warunkach z dwoma atomami wodoru i zamienia się na ciało również gazowe, etylen (C_2 H_4); wydzielający się etylen chwyta się w kwasie siarkowym, następnie rozcieńcza wodą i ogrzewa — z rozczynu destyluje alkohol wraz z wodą, od której

go następnie oddziela się za pomocą zwyczajnych aparatów destylacyjnych, używanych w gorzelniach.

Czy ta metoda otrzymywania alkoholu z acetylenu wyruguje otrzymywanie alkoholu z ziemniaków i zboża, czy gorzelnie ustąpią przed fabrykami używającemi za materyały surowe — węgiel i wapno, dziś trudno powiedzieć. Być może, że w przyszłości stanie się acetylen punktem wyjścia do otrzymywania wielu innych ciał organicznych, obecnie otrzymywanych z rozmaitych produktów roślinnych.

F. E. Polzeniusz.

Czy niedziela, czy szabas?

Z powodu pożałowania godnego rozporządzenia Namiestnictwa galicyjskiego względem „niedzielnego spoczynku“ dopiero od południa, to znaczy wyraźnie: po skończonem nabożeństwie, — może przyda się nam dowiedzieć się o tem, że w Ameryce rabini myślą o przeniesieniu szabasu na niedzielę.

Widzą oczywiście chrześcijan silnie przywiązanych do swojego dnia świętego; uznają, że nie zdoła tam żaden mocarz giełdowy wpłynąć na zmianę ustawy niedzielnej, korzystną dla kupców żydowskich; wiedzą, że żadna władza nie patrzałaby się przez palce w święto chrześcijańskie na sklep na wpół otwarty; ale biegli w Talmudzie nie przestają obmyśliwać, jakby mogli wybawić współwyznawców od strat, ponoszonych przy kupiectwie przez dwa dni święte w tygodniu.

Jaką uchwałę ostatecznie powezmą, to jeszcze nie wiadomo; ale już jeden z nich towarzyszom obrad podał myśl, żeby przenieść szabas na niedzielę i razem z chrześcijanami przestrzegać wspólnej ustawy Boskiej o dniu siódmym, pobłogosławionym i poświęconym na odpoczynek po sześciu dniach pracy.

Ale nie w całej Europie każdy naród tak ściśle przestrzega trzeciego przykazania boskiego, żeby mógł uchodzić za przywiązany do swoich świąt w równej mierze, jak Żydzi. Za mało niektórym mieszkańcom Europy sześciu dni pracy w tygodniu; jeszcze większą część siódmego dnia urzędują i kupczą, i ledwo przez pięć godzin w niedzielę każą zamykać sklepy, i to nie bardzo szczelnie. Więc chyba można o nich przypuszczać, że łatwiejby odstąpili od swojego zwyczaju, o który dbają mało, i że chętniej przenieśliby dzień święty na

szabas, niż Żydzi odstąpiliby od praw mojżeszowych, których przestrzegają mimo straty zarobku.

Cóż to za naród w Europie mniej ceni swój dzień święty, niż Żydzi szabas?

Chyba to jaki kraj czysto kupiecki, albo w wysokim stopniu przemysłowy, zajęty wyłączną pogonią za zyskiem, narusza przykazania Boskie tak otwarcie, że aż mógłby gorszyć Żydów sumiennych?

Anglia... społeczeństwo czysto kupieckie, niedostępne na żadne podszepty, oprócz hasła: *business*, do szpiku kości przejęte zasadą: *time is gold*... ta Anglia jak obchodzi święta? Na jaki odpoczynek niedzielny pozwala?

Poczta zamknięta... pisma, korespondencya normalna leży po biurach... sklepy szczelnie pozamykane... wszyscy urzędnicy Office'ów wolni od pracy idą do kościołów i zborów, a piechotą idą, bo dorożek prawie nie widać na ulicy, tramwaye odpoczywają... ledwo że nie wszelka praca służebna i płatna przerwana... ruch za pogonią zysku ustaje!

Belgia... kraj zasiany zakładami przemysłowymi, pełen ruchu kupieckiego... ta Belgia pokazać może światu katolików, którzy nie ustają w skrzętnych zabiegach, aby w dzień święty wstrzymać pracę i ruch w sklepach i po urzędach. Jeszcze nim zdobyli sobie przeważny wpływ na ster państwa, już w sejmie żądali np. żeby rząd zawiesił pracę niedzielną po biurach pocztowych. Odnośny minister odpowiedział, że przychylnie spełniłby prośbę katolików, gdyby mógł na pewne liczyć, że ogół społeczeństwa zgodnie tego wymaga, a nie zacznie utyskiwać, jeżeli w niedzielę poczta przestanie przychodzić. Tę odpowiedź ministra katoliccy posłowie donieśli swoim wyborcom. Z miast, wsi i ostatnich kącików kraju dostali listy z prośbą: żądajcie od ministra, żeby przy każdym znaczku pocztowym wisiał dodatek z napisem: nie wydawać w niedzielę! Katolicy, gotowi sobie odmówić nowin z poczty w niedzielę, aby uwolnić urzędników od pracy w dzień święty, przylepimy na liście znaczek z owym dodatkiem. Kto woli w niedzielę dostawać ciekawe nowiny, niż wybawić urzędników z niewoli, niech sobie oderwie dodatek i przylepi list ze znaczkiem zwyczajnym. Setki tysięcy takich listów ułatwiło sprawę posłom: przedstawili rządowi, że za pomocą owych dodatków przy znaczku pocztowym łatwo można namacalnie poznać, jaką część mieszkańców tworzą zwolennicy niedzielnego odpoczynku dla urzędników pocztowych. Rząd uznał tę myśl za stosowną: odbija przy markach pocztowych dodatek z napisami po

francusku: NE PAS LIVRER LE DIMANCHE i po flamandzku: NIET BESTELLEN OP ZONDAG i dziś rzadko z Belgii wychodzą listy ze znaczkiem bez takiego dodatku. Społeczeństwo przemysłowe ale katolickie dopięło swoich zamiarów. Podobnie, w szczególności w prowincyach flamandzkich, towarzystwo kolejowe postanowiło wprowadzić niedzielny odpoczynek w całym zarządzie, aby wszyscy urzędnicy i cała służba mogła pełnić obowiązki religijne.

Przykład Anglii i Belgii podziałał na Niemców. Poseł dr. Singens od początku obecnej kadencyi sejmowej kołatał do rządu za urzędnikami poczty, zmuszonymi do pracy w dzień święty. Były sekretarz stanu, dr. Stephan, okazał dobre chęci i przystał na częściowe ulgi w dzień święty dla urzędników. Izba jednak żądała daleko więcej i grozi nową utarczką z następcą d-ra Stephana.

I mają prawo natrzeć na rząd niemiecki o większe ulgi dla chrześcijan, zmuszonych do pracy przez ustawę, przeciwną przykazaniu boskiemu; i słusznie grożą, że dalej zajdą, niż zaszły dobre chęci d-ra Stephana, który nie umiał przełamać przeszkody, wiecznie jednej i tej samej: chrześcijańska uchwała Izby mniej znaczy u rządu berlińskiego, niż żydowska trwoga, co będzie, gdyby ustał ruch na poczcie i wywołał zastój w kupiectwie? Tej trwogi nie podziela jednak społeczeństwo niemieckie i pokazuje na Anglię, gdzie kupieckie względy pewno mniej nie znaczą, niż mogą zaważyć na szali w Niemczech; katolicy niemieccy pokazują swojemu rządowi na rząd belgijski, zmuszony przez katolicką Izbę posłów do ustaw, zgodnych z trzeciem przykazaniem boskiem; grożą walką, aby także wymódz na rządzie sumienniejsze przepisy dla chrześcijan, i ogłaszają w *Germanii* odezwę, która nawołuje głównie duchowieństwo i ojców rodziny do związku dla obrony trzeciego przykazania przed księgą ustaw, pisaną w duchu wolnomyślnym.

To też przed takim naciskiem chrześcijańskiego ducha w społeczeństwie amerykańskiem i zachodnio-europejskiem Żydzi ponoszą straty dotkliwe. Świeżo mocno także ucierpieli w Rumunii, gdzie rząd obostrzył ustawę o niedzieli: kazał na cały dzień zamykać wszystkie bez wyjątku urzędy i sklepy, groźnie polecił władzom wykonawczym przestrzegać ustawy i zabronił nawet wyrobnikom przyjmować robotę w dzień święty. Między tymi wyrobnikami wielu tak zwanych „nosiwodów“ żyło tylko z zapłaty, jaką pobierali w miastach, gdzie brakuje dobrych studzien z wodą do picia, więc trzeba ją roznosić po domach. Żydzi zatrudnieni tą pracą w szabas nie odpoczywają, więc musieliby w piątek od razu na trzy doby nanieść wody, którejby nikt

nie pił; stąd stracili cały zarobek, wołali miłosierdzia, ale za krzyki i hałasy tylko karę ponieśli, a rząd na swojem postawił. Jeżeli za takimi przykładami pójdą inne rządy, to rabini mają nad czem suszyć głowę, aby rozwiązać pytanie, czy mogą przenieść szabas na niedzielę.

Ale istnieje jeszcze kraj w Europie, w którym większą różnicę stanowiłoby dla Żydów przełożyć szabas na niedzielę, niż dla krajowców przenieść na szabas licho obchodzony dzień święty.

Czy chrześcijański to kraj, co mniej od Żydów ceni sobie dzień święty?

Kraj to katolicki, i pisma w tym kraju katolickie wogóle obstają przy świątecznym odpoczynku w niedzielę. Rozumieją i duchową i doczesną potrzebę świąt dla biednych urzędników, kupców i robotników których nieraz słychać, jak ze łzą w oku wyrzekają: przed oknami biura przechodzi procesya Bożego Ciała, a mnie ustawa zmusza siedzieć nad sprawami i Żydom liczyć pieniądze. Takich żalów słychać wiele, ale nie słychać ich głośno, bo biedni poddani truchleją, żeby wyższe władze nie wytoczyły im „dyscyplinarki“ za podobne skargi.

Więc do społeczeństwa katolickiego należałoby popierać myśl o podobnej uldze dla swoich urzędników i kupców, jaką zdobywają inne narody chrześcijańskie! Czegóż na rządzie nie wymogła katolicka prasa w Belgii albo i w Niemczech?

Ale czyż można nie wiedzieć, że nie każdy kraj katolicki żyje jak Belgia i Niemcy, szczerze podług zasad wiary, i nie każdy wie sam, do czego dąży i czego chce? Czyż ten kraj bierze sobie głęboko do serca zasady chrześcijańskie, gdzie np. jedno z najpoczytniejszych pism katolickich wywiesza nad sobą chorągiew chrześcijańską, ale umieściło niedawno list z Anglii, w którym przekpiwa sobie, że święta tamtejsze „to rzecz śmiertelnie nudna — w Londynie zwłaszcza“ z tego właśnie powodu, że ustaje ruch w urzędach i publicznych zakładach! Nadto nietylko nudna, ale i bardzo niemiła, ponieważ ktoś, nieobeznany ze zwyczajem, liczył, że dostanie w święto dorożkę na kolej, a nie znalazł, więc musiał odjazd aż na kilkanaście godzin odłożyć! Oburzony sprawozdawca katolickiego pisma dodaje: „pytam się teraz, w którem to wielkiem mieście europejskiem, że już nie powiem stolicy, taki fakt byłby możliwym?“

Na takie pytania nawet dziecko umiałoby odpowiedzieć, że w każdem mieście, którędy kolej żelazna przechodzi, można spóźnić się na pociąg, nietylko w Londynie. Wszędzie także, nietylko w Anglii, trzeba znać obyczaje krajowe i do nich stosować swoje potrzeby osobiste.

A chociaż sprawozdawca tego pisma coś stracił, to strata jednego znacznie mniejszą jest od spoczynku dla ogółu. W piśmie, które zamierza bronić katolicyzmu przeciw Żydom, taki przytyk do spoczynku niedzielnego nie był na miejscu.

Jeżeli rzeczy pójdą tak dalej, to wobec przewagi interesów żydowskich, a słabości katolików, chyba zaproponujemy, żebyśmy już wszyscy obchodzili szabas i będzie spokój. *Quieta non movere.*

Ks. K. C.

Druk ukończony 31 maja 1897 r.

PODPIERACZ KATOLICYZMU.

Kiedy aerolit jakiś pada na ziemię, powstaje blask i huk — nie koniecznie dlatego, żeby materya tego przybysza była wyższego gatunku, ale po prostu dlatego, że powstaje tarcie między aerolitem a naszą atmosferą.

Podobna do tego aerolitu jest rozprawa, a raczej szereg rozpraw drukowanych w *Słowie Polskiem* pod tytułem: „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych“, a podpisanych nazwą „Piasta“. Zaraz po pojawieniu się pierwszych numerów wzburzyła się opinia, posypały się repliki w *Gazecie Narodowej*, w *Ruchu Katolickim*, w *Gazecie Kościelnej*, w *Kraju*, w *Przeglądzie* lwowskim; nawet w samem *Słowie Polskiem* wychodziły „Listy otwarte do Piasta“ przez J. N. S. — *Przegląd Powszechny* zrazu chciał czekać końca, żeby módz potem dać pogląd na całość; ale ponieważ Piast, po pewnej przerwie, znowu się wziął do pióra i wynurzył się, że jeszcze dużo ma do powiedzenia, dla odmłodzenia katolicyzmu w naszym partykularzu i dla podniesienia poziomu naszych pojęć religijnych, sądzimy, że wypada nam już teraz zabrać się do rzeczy i z siedmiu dotąd ogłoszonych artykułów zdać jaką taką sprawę.

Co właściwie jest w tej rozprawie? Czytając ją, odnosi się wrażenie sympatyczne, bo wieje z niej pewna szczerość i dobra wola. Lecz obok tego wrażenia powstają niebawem różne inne. Autor zaczepia wszelkie możliwe kwestye: historyczne, literackie,

estetyczne, filozoficzne, ale głównie, najbliższe serca, religijne. A o wszystkich, zwłaszcza o tych ostatnich, pisze jakoś tak chaotycznie, tak mglisto, z taką dziwną nieścisłością, z takiemi pozornemi przynajmniej sprzecznościami, że w zamęt wprawia umysł, który usiłuje go uchwycić. Raz ci się zdaje, że już zadekretował skasowanie kleru, ale w następnym artykule zobaczysz, że on go tylko chce poprawić. Dalej zdaje ci się jasnem, że on żąda Kościoła narodowego — jeden z oponentów mu to nawet zarzucił — ale nieco niżej przekonasz się, że on Kościoła narodowego nie chce i t. p. Wreszcie obok tej chaotyczności jest ogromna pewność siebie i wszystko przed sobą roztrącająca dezinwoltura. A to jest niemiłem.

Piast nie zdaje sobie sprawy z tego, co go od społeczeństwa dzieli. Dziwi się szczerze, że pisma katolickie krzyki podnoszą, kiedy on chce tylko katolicyzm podpierać. Ale on ma taki sposób podpierania, że uchowaj Boże od niego katolicyzm![1] Irytuje się, że mu zarzucają nieuctwo, kiedy on świadomy jest, że się dużo uczył. Ale on właściwie uczył się czego innego; o religii (niech to sobie pozwoli powiedzieć bez najmniejszej chęci urazy) ma wyobrażenia tak nieokreślone, jak przeciętni ludzie o rzeczach estetyki; i dlatego ani spostrzega, kiedy i gdzie obraża wiarę i uczucia katolickie. Kiedy go widzę obracającego się zamaszyście wśród tych kwestyj religijnych, w które go nieszczęśliwy los zapędził, i mimowoli roztrącającego co chwilę najdroższe rzeczy, to przychodzi mi uporczywie na myśl francuskie porównanie o byku, który się dostał do sklepu porcelany. Już stąd widzę, jak mi się Piast odwinie: Ot widzicie, jak ten

---

[1] Sam sposób mówienia Pissta o religii i o Kościele katolickim musi niemile dotykać publiczność polską. Gdyby Piastowi wśród jego podróży po Anglii ktoś z tamtejszych obywateli, dowiedziawszy się o jego narodowości, powiedział: „Serce się ściska na myśl, że do narodu polskiego należycie i należeć musicie“ — to nie wiem, jakby się ta awantura skończyła. Niechże więc Piast wyrozumie, że ten sam frazes, napisany przez niego o katolicyzmie, boleśnie dotyka ludzi, którzy się naprawdę czują katolikami. Wierzę, że ten i podobne frazesy powiedziane są nie w zamiarze obrażenia, lecz w zamiarze naprawienia katolicyzmu; jednak niech autor baczy, że one mogą być powodem niechęci i urazy publiczności.

scholastyk, Jezuita pojmuje religię, kiedy ją przyrównuje do porcelanowych figurek!! — Otóż zastrzegam się, że nie przyrównuję religii do porcelany, ani też zdolnego pisarza do byka, tylko między dwiema sytuacyami widzę pewne podobieństwo.

Wobec tego, gdybym chciał wglądać w szczegóły i krytykować pojedyncze błędy historyczne, katechizmowe i inne, jakich w tej rozprawie jest sporo, i jakich mu niemało wytknęły wspomniane gazety, to rozwlekłbym się bez miary i o całości nie dałbym pojęcia. Zostawiam więc owe błędy na boku (z wyjątkiem tych, które mi koniecznie w drogę wejdą), a szukam tylko głównych myśli autora. I to, proszę mi wierzyć, nie jest łatwą rzeczą.

Zaczyna Piast od ogólnego i nie podlegającego krytyce zdania, że narody, wobec wielkich światowych prądów myśli, nie powinne się w sobie zasklepiać, ale przyswajać sobie siły tych prądów, nie zatracając przytem swej narodowej indywidualności.

Do takich prądów, zdaniem Piasta, należy dziś odradzający się chrystyanizm. Piast w nim widzi jakiś pęd ku jakiemuś wydoskonaleniu, ku jakiejś wyższej formie. Ale jakaż ma być ta wyższa forma chrystyanizmu? W jaki sposób następnie naród nasz ma sobie tę ewolucyę chrystyanizmu adaptować? Tego szukajmy w rozprawie Piasta cierpliwie, i nie spodziewajmy się, że nam wszystko od razu powie.

Najprzód, twierdzi Piast, Polska ma być katolicka. To jest forma chrystyanizmu dla niej nieodzowna. Bardzo pięknie; ale pytam: dlaczego? Czy dlatego, że katolicyzm jest absolutną prawdą? Nie, ani śladu tego pojęcia rzeczy w rozprawie Piasta nie znalazłem. Czy dlatego, że katolicyzm jest pożyteczny dla narodów? Ani to nawet. Przeciwnie, Piast (bojąc się chyba, żebyśmy nie byli katolikami z utylitarnych względów) dowodzi na zabój, że od trzech wieków wszystkie narody katolickie są „upośledzone, wydziedziczone od wszelkich nabytków postępu i cywilizacyi“, podczas gdy narody innowiercze prosperują, a jeśli coś kiedyś postępu do katolickich narodów się dostaje, „to stoi w prostym

stosunku do wzrostu niedowiarstwa w tych krajach“ *(sic!)*.—Rozumie się, że dowodzenie tak szerokiej tezy nie rachuje się bynajmniej z nieskończonem skomplikowaniem przedmiotu. Zależy ono po prostu na podzieleniu *grosso modo* narodów na dwie poły: po jednej stronie Niemcy, Anglia, Ameryka, po drugiej Francya, Hiszpania, Włochy i najnędzniejsza Polska. Nie zwraca się na to wcale uwagi, że i w łonie tych rozmaitych narodów i w ich trzechwiekowiej historyi są przecież różnice; że np. z krajów niemieckich niemal połowa jest katolicką, jak Bawarya, Westfalia z krajem Nadreńskim, Hanowerya, Wirtembergia, Tyrol, Górna i Dolna Austrya, Styrya i t. d. i te dobrobytem i kulturą raczej przewyższają protestanckie kraje, niż im ustępują. Znowu Francya w XVII. i XVIII. w., choć katolicka, nie była przecież z wszelkiej kultury wyzutą, ani najbardziej upośledzoną z narodów; w drugiej zaś połowie naszego wieku, szerokie rozgałęzienie niedowiarstwa po Francyi nie koincyduje z największą jej świetnością. O każdym niemal z pomienionych narodów podobne nasuwają się uwagi; — ale po cóż ja wdaję się w tę polemikę? Ja trzymam się zdania, które wyłożył Don Pardoval w VI. „Wieczorze nad Lemanem“, że nie sama religia, dobra czy zła, ale też wiele innych warunków wpływa na pomyślność narodów i rozstrzyga w ich walce o byt. Tu chciałem tylko zaznaczyć, że Piast, każąc Polsce być katolicką, dalekim jest od obiecywania jej stąd jakichkolwiek pożytków.

Więc dlaczegóż wreszcie Polska ma się trzymać katolicyzmu, jeżeli ani prawda bezwzględna, ani utylitaryzm do tego nie skłania?

Przyczyny nie wypowiada Piast nigdzie wyraźnie, wolno przypuścić, że i wyraźnego pojęcia o niej nie ma; z rozmaitych jednak jego powiedzeń może nam się uda przybliżenie odgadnąć, skąd powstaje w jego myśli ten mus, żeby Polska była katolicką. Otóż Piast twierdzi z naciskiem, że „Polska była i jest narodem katolickim“, że „będzie katolicką w przyszłości“, że „jest to oczywistem dla każdego, który ma oczy, żeby widział“; wspomina także o „głębokich przyczynach psychologicznych, które nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI.

wieku". Wreszcie w ostatnim numerze, z okazyi jakiejś polemiki, rzuca to dziwne określenie religii: „Dla mnie religią — mówi — są wszystkie najgłębsze i najskrytsze sprężyny, które wytwarzają czyny ludzkie, całość tych niewysłowionych pragnień i aspiracyj, które nas wynoszą nad przyrodę organiczną i t. d". Z tego wszystkiego zdaje mi się wynikać, że Piast pojmuje religię katolicką, jako jakiś instynkt ślepy, tak głęboko wkorzeniony w psychologiczny ustrój danego konaru ludzkości, że go żadną miarą pozbyć się nie można. W ten sposób się rozumie, że Polska katolicką być musi, dlatego po prostu, że jest i była katolicką.

Gdyby tu była mowa o wrodzonej człowiekowi ogólnej religijności, toby jeszcze ten pogląd dał się przy dobrej woli wytłumaczyć; ale tu wszędzie, nawet w wspomnianej definicyi, mowa o określonej formie religii, w przeciwstawieniu do innych form, mianowicie o katolicyzmie. A to już przy najlepszej woli niemożliwe jest do wyrozumienia. Autor, który — jeżeli nie treść, to przynajmniej zewnętrzne koleje religii mógł w historyi obserwować, wiedzieć przecie musi, że zdarza się niekiedy na świecie fakt, iż narody religie zmieniają. Zjawia się chrystyanizm i nawraca świat grecko-rzymski, i nawraca barbarzyńców, jakkolwiek „głębie psychologicznego ustroju" tych dwóch światów są bardzo różne. Przychodzą w średnich wiekach misyonarze do naszych przodków i nawracają ich na katolicyzm, mimo ich pogańskich instynktów. Nauka przy boskiej pomocy rodzi wiarę, a wiara przeobraża z czasem i wrzekome instynkta. Przychodzi w nowożytnych czasach reformacya; w jednych krajach zwycięża i ruguje katolicyzm, w drugich nie. Czy jedynie „głębokie psychologiczne przyczyny" o tej różnicy decydują? To tak ładnie, po naukowemu, wygląda takie orzeczenie! Na nieszczęście ta nauka, która ma w tej sprawie głos decydujący, historya, uśmiecha się na ten frazes. W samej Hiszpanii, czy oprócz psychologicznych przyczyn, żelazna ręka Filipa II. nie miała żadnego wpływu na uchronienie kraju od wciskającego się protestantyzmu? czemuż sami Filipa o to obwiniacie? A w Anglii, czy konfiskaty Henryka VIII., tortury Elżbiety i Kromwela nie wpły-

nęły na ustalenie się narodowego Kościoła? A we Francyi, czy los bitew w wojnie religijnej, a później absolutyzm Ludwika XIV., nic nie przyczyniły się do dominującego stanowiska katolicyzmu w narodzie? W Niemczech, gdy rzucimy okiem na szczegółową mapę religijną, znajdziemy całą szachownicę dwubarwnych plam i plamek, czasem bardzo małych, osobliwie w pobliżu Renu; czemu tu lud katolicki, a tuż obok protestancki, i znowu parę mil dalej katolicki — na to żadnej psychologicznej przyczyny nie znajdziemy; ale gdy weźmiemy do ręki mapę polityczną z czasów reformacyi, uderzeni będziemy kongruencyą dzisiejszych granic religijnych z ówczesnemi politycznemi. W miejscach, gdzie się utrzymał katolicyzm, panowali tacy książęta lub biskupi, którzy nie przyjęli reformacyi; w miejscach sąsiednich, gdzie dziś protestantyzm panuje, władali tacy margrafowie, kurfirsztowie, którzy przeszli na protestantyzm i narzucali go z góry swoim podwładnym[1]. A straszliwy Jansen z dokumentami w ręku wykazuje nam, że przyczyny, które o tych zmianach religii książąt niemieckich decydowały, nie były wcale głębokie, ani religijne, ale materyalne, nizkie, w najlepszych razach polityczne. Do Polski nowinkarstwo wtargnęło z taką siłą, że już za Zygmunta Augusta większą część narodu owładnęło. W senacie ledwo dwóch katolików świeckich zasiadało; w sejmie nuncyusz Caligari ledwo 25 posłów katolików znalazł. Każdy z panów i panków polskich, który porzucał wiarę ojców, wyganiał, jak im Skarga zarzuca, ze swoich włości proboszczów, osadzał pastorów. I gdyby Skarga i inni dzielni kapłani nie byli wnet zaczęli nawracać tychże panów: Mikołaja Radziwiłła, Paców, Firlejów i t. p., to bardzo być może, że mimo „głębokich psychologicznych przyczyn“, ci pastorowie siedzieliby dotąd po owych włościach Litwy i Korony — tak jak siedzą dotąd po wielu prowincyach niemieckich — jak siedzą do dziś dnia w paru powiatach Wielkopolski, gdzie nawet lud wiejski, jakby na przekorę teoryi psychologicznej, pozostał od trzech wieków kalwińskim.

[1] *La carte religieuse de l'Allemagne*, par M. Goyau. *Revue des deux mondes*. 15 Juin 1896.

Czy wogóle Polska będzie zawsze katolicką? — zazdroszczę Piastowi jego bezwzględnej o tem pewności — ja mam tylko mocną nadzieję.

Zwróciłem uwagę Piasta wyłącznie na te objawy zewnętrzne przy zmianach religii, aby się namacalnie przekonał, że religia, a w szczególności katolicyzm, jest czemś innem, niż tym głuchym instynktem, jaki on sobie wyobraża. Pominąłem zaś z umysłu daleko ważniejsze w sprawie nawracania czynniki, jak siłę prawdy i łaskę boską — bo wytłumaczenie tych rzeczy byłoby tu za długiem i za trudnem. — Swoją drogą to pojęcie Piasta o religii katolickiej jest ciekawe i charakterystyczne; warto w niem zauważyć zupełne pominięcie w religii elementu umysłowego, a wyłączne uwzględnienie strony uczuciowej i nieokreślonych w świadomości podrywów. To nam tłumaczy tę niepokonalną niejasność autora w rzeczach religii, którąśmy zauważyli; przytem to da jaką taką nić przewodnią do oryentowania się w jego dalszych pomysłach.

Piast oczywiście nie poprzestaje na stwierdzeniu, że Polska jest katolicką, ale chce żeby ten katolicyzm jakoś postępował, odmładniał się, ewoluował. Bardzo dobrze; ale na czem ten postęp ma zależeć? czego katolicyzm powinien się wyzbyć, a co ma zdobyć? To są pytania, które widocznie prześladują myśl Piasta; czuje on, że jeśli na nie nie odpowie, to cała jego robota traci sens. Szuka więc odpowiedzi, biedzi się...; najchętniej jeszcze daje odpowiedzi negatywne. Trzeba nam, powiada, katolicyzmu i n n e g o niż jezuicki! „Jeżeli ludzie tej miary, jak Erazm. Morus, Montaigne i Zamojski, pozostali katolikami, to z pewnością ich pojęcie katolicyzmu musiało być inne, jak pojęcia Jezuitów, którzy od końca XVI. wieku opanowali, a raczej opętali wszystkie społeczeństwa katolickie“ [1].

[1] Trzeba wiedzieć, że Jezuici są w oczach Piasta przyczyną wszystkiego najgorszego na świecie, są zakałą Kościoła katolickiego i zgubą każdego narodu, który ich przyjmuje. Na czem się ten przytwardy sąd Piasta opiera? Pilnie szukałem we wszystkich jego siedmiu artykułach, i jedną tylko znalazłem racyę (może inne chowa w zanadrzu na potem). „Przepis Lojoli — mówi — że Jezuita ma słuchać swego generała tak, j a k b y b y ł t r u p e m, w praktyce aż nadto spełnionym został: całe narody, słuchające

Myślę, pocieram czoło, szukam w całej rozprawie, coby to mogły być za nowe pojęcia, które Jezuici wprowadzili do katolicyzmu. Nic doprawdy znaleść nie mogę! W końcu przypuszczam, że i Piast dobrze nie wie, co to było, tylko wnioskuje, że coś takiego być musiało, a to na mocy argumentu: że Erazm Morus, Montaigne i Zamojski pewnie przestaliby być katolikami, gdyby dzisiejszy, przez Jezuitów zwichnięty, katolicyzm przed oczyma mieli. Z argumentem tym darmo wojować!

Dobrze więc, uprzątnijmy na razie katolicyzm jezuicki; ale co na to miejsce postawić? Czy doprawdy nic pozytywnego w programie Piasta niema? Otóż, roztrząsnąwszy wszystko, znajduję trzy projekta, trzy myśli o sposobie odmłodzenia katolicyzmu, które można jako tako za pozytywną część programu uważać.

Jezuitów, zamieniły się w trupy". Rozumiem, że wyraz „trup" nastraszyć może nerwową osóbkę, ale poważny mąż, jak Piast, nie powinienby się tem emocyonować; powinienby raczej pamiętać, że żołnierz, postawiony przez wodza na niebezpiecznym posterunku, nie dyskutuje, ale stoi nieruchomo jak trup, mimo znoju i kul. Ten ideał zakreślił św. Ignacy podwładnym, ale przełożonym zupełnie co innego zalecił, niż traktowanie podwładnych jak trupy; owszem przykładem własnych rządów nauczył ich zestawiać szerokie pole inicyatywie podwładnych. A sądzę, że ta inicyatywa w historyi i działaniu zakonu się zaznaczyła.

To powiedziawszy o zaczepionym punkcie posłuszeństwa, zastanawiam się nad tem, jakim sposobem niektórzy ludzie mają jeszcze takie o Jezuicie wyobrażenie, jak o wilkołaku? Otóż, rzecz szerzej biorąc, jest to zapewne uproszczenie dla wielu umysłów wygodne: mieć sobie jakąś przyczynę, zwłaszcza napół tajemniczą, na której karb kładzie się wszystko złe i za pomocą której wszystko, co się złego dzieje na świecie, łatwo się tłumaczy. Są poczciwi ludzie, którzy wszędzie widzą masonów, jak zmorę, i wszystko złe, które się gdziekolwiek dzieje, im przypisują. Znałem nie mało Francuzów, dla których ogólnik „Rewolucya" jest uosobieniem, oraz wytłumaczeniem wszelkiego zła na całej kuli ziemskiej; dla tychże samych zwykle „Król" bywa uosobieniem wszelkiego dobra w ludzkości. W pewnych wsiach naszych, dzisiaj jak ongi, niech krowa mleko straci, niech pożar wybuchnie, niech dziecko dostanie konwulsyi, wszystkiemu winna — czarownica. Podobną czarownicą dla niektórych ludzi są Jezuici. — Wyobrażenie to u nas jest już rzadkie, indziej jeszcze rzadsze, w jednej Rosyi jest jeszcze dość rozpowszechnione.

Najprzód Piast wzywa katolicyzm, żeby porzucił, albo schował w zanadrze „dogmata teologiczne, działające litylko na umysł“, a zajął się wyłącznie „dogmatami życiowymi, to jest takimi, które wpływają na wolę i pobudzają do czynów“. Do tej ulubionej myśli autor często powraca, raz po raz afirmuje płonność „teologicznej spekulacyi“ i „całej teoretycznej strony religii“, a „wyższość prawdy życiowej“ i potrzebę „sprężyn działania“. Cóż o tem powiedzieć? Jest to poczciwie odczuta i naiwnie wypowiedziana potrzeba religijnych sprężyn działania, ale (darmo! muszę to powtórzyć), z nieznajomością natury i budowy tych sprężyn. Pomysł ten nie jest żadną nowością. Od czasów Saint-Simona powtarzał on się raz po raz w pismach ludzi, którzy szukali lekarstwa dla chorej ludzkości, a chrystyanizm znali tylko zewnętrznie. Najwięcej zaś rozpowszechnił go za dni naszych Lew Tołstoj. Początkowo, gdy się nawracał (na tołstoizm, rozumie się) i pisał dzieła „Moja spowiedź“, „Moja religia“, tak jakoś czytał ewangelię, iż samą tylko znajdował naukę moralną, która go zachwycała, a żadnych dogmatów, żadnej nauki teoretycznej. Ta ostatnia wydała mu się próżnym wytworem teologów i Kościoła urzędowego. Na tej podstawie założył Tołstoizm, religię czystej moralności, bez wiary. Później jednak spostrzedz się musiał, że ewangelia zawiera jeszcze coś innego, oprócz moralnych nauk, bo wziął się do oczyszczenia jej z tekstów dogmatycznych (nie pasujących do tołstoizmu, więc pewnie podrobionych) i wydał przed rokiem „Ewanielię“ poprawną, komentarzem w tymże samym duchu opatrzoną[1].

Piastowi nie to zarzucam, że idzie bezwiednie za Tołstojem, ale to, że stawia projekt oddzielenia praktycznej strony religii od teoretycznej, oparty, jak powiedziałem, na nieznajomości natury tej religii i podcinający zarówno praktyczną, jak teoretyczną jej stronę. Nic więc dziwnego, że mimo najlepszych chęci Piasta, z katolickich piersi wyrywają się krzyki. Wystawmy sobie, że dziewczynka jakaś, dostawszy się do ogrodu, jedną rączką pieści kwiatuszki, w których ma upodobanie, a drugą

[1] *Les Evangiles.* Par L. Tolstoï. Paris. 1896.

wyrywa pod niemi korzonki dlatego, że się jej zdają brzydkie i do niczego. Naturalnie, że ogrodnik nadbiegnie z krzykiem: Co też panienka robi? Bez korzeni przecież kwiatki nie będą rosły!

Niewątpliwie potrzeba nam sprężyn czynów, ale korzeniami tych sprężyn są dogmata, które Piast nazywa teologicznymi, teoretyczną religii stroną. Gdzież jest, proszę mi powiedzieć, granica między teologicznymi, teoretycznymi dogmatami, a życiowymi? Dajmy na to, że poświęcam się dla bliźnich z miłości Chrystusa. Piast to pochwali, jako powodowanie się dogmatem życiowym. Ale ja nie sądzę, żebym tak samo miłował Chrystusa, gdybym go miał za filozofa, jak teraz, gdy wierzę, że jest Bogiem. Tymczasem bóstwo Chrystusa już jest trudnym spekulatywnym dogmatem. Ale znowu ta wiara w bóstwo Chrystusa, jakby się mogła pomieścić w mojej głowie, bez jakiegoś pojęcia o Trójcy św., tego wcale nie widzę. I tak od razu trzema krokami przeszliśmy, bez przerwy ciągłości, od dogmatu życiowego, w całem znaczeniu tego słowa, do najbardziej spekulatywnego i najwyżej teologicznego dogmatu, jakim jest tajemnica Trójcy. Każdy dogmat jest zarazem spekulatywnym, o ile jest przedmiotem wiary, i życiowym, o ile do miłości prowadzi. A moralne nauki Chrystusa, które Piast za jedynie życiowe poczytuje, nigdy w nauczaniu samego Chrystusa nie dzieliły się od nauki wiary; oddzielone zaś od niej, byłyby bez korzenia, bez życiowego soku, bez siły, bez sensu.

Jeżeli ten wewnętrzny, organiczny związek między teoretyczną a praktyczną stroną religii jest dla Piasta niezrozumiały, to niech zwróci uwagę na eksperymenta. Już przecie nieraz spróbowano zakładać gminy na podstawie ewangelicznej moralności bez dogmatu ewangelicznego. Spróbowali coś podobnego Saint-Simoniści we Francyi — i skończyło się rozpasaniem obyczajów, które zaprowadziło przed kratki sądowe; spróbowały pewne sekty w Ameryce z nielepszem powodzeniem; próbują dotąd Tołstoiści w Rosyi, z ogromnym nakładem dobrej woli, a łatwo się przekonać, do czego to prowadzi: po niedługim czasie ci ludzie spostrzegają, że nie mają właściwie dobrej racyi

żyć podług przepisów Tołstója w pracy i zaparciu się — i gmina rozłazi się.

W końcu dodam, że to całe wystąpienie przeciwko subtelnościom teologicznym jest strzałem w powietrze, nie stosuje się ani do naszego kraju, ani do czasu. Było może o tem mówić onego czasu, kiedy to „mnisi bizantyjscy jeszcze zapamiętale rozprawiali o literze *i* w *homousios* lub *homoiusios*, podczas gdy Mahomed II. już wkraczał do miasta przez zdobytą bramę“ [1]. Ale dzisiaj, i to w naszej Galicyi, co tu mówić o bizantyjskich dysputach?! Kto się tu w nich lubuje? Gdzież jest przesada w kierunku dogmatycznych spekulacyi? czy na ambonach, czy w szkołach, czy w literaturze? Z ambon tak mało się mówi kazań dogmatycznych, że przydałoby się ich więcej; literatury w tym dziale nie mamy żadnej; w szkołach może ktoś życzyć pewnych ulepszeń co do sposobu uczenia religii, ale nikt nie może twierdzić, że sam wykład nauki wiary, katechizmu, czy tak zwanej dogmatyki, jest za obszerny i szczegółowy, bo daleko od tego. Lepsze poznanie i zrozumienie nauki wiary jest normalnie, zwłaszcza u ludzi wykształconych, warunkiem głębszego

[1] Spór o *homoiusios*, a zdobycie Stambułu przez Turków, nie były to fakta całkiem spółczesne; było między nimi coś jak jedenaście wieków. Jabym nie był o taki drobiazg Piasta zaczepiał; ale *Ruch Katolicki* to uczynił. Na to Piast, z powrotu ze swojej podróży informacyjnej, o której pisze w nr. VII., w której i Schella przedmowę czytał, i dwóch nowych apologetów poznał — przywiózł sobie odpowiedź, ułożoną, przypuszczam, bez pomocy owych trzech teologów, ale chyba z pomocą jakiejś encyklopedyi. Odpowiedź zasadza się na tem, że pochodzenie Ducha od Syna, o którem dysputowano i w XV. w., zależne jest od współistotności Syna *(homousios)*.—W tem jest pewien pozór finezyi, ale tylko pozór. Co innego objekty dogmatów i objektywna ich zależność między sobą, a co innego uświadomienie tych dogmatów w historycznym rozwoju Kościoła; objektywnie między współistotnością Syna z Ojcem, a pochodzeniem Ducha od obu, jak i między wszystkimi szczegółami tajemnicy Trójcy, jest istotna wewnętrzna zależność; jednakże kwestya o pierwszy dogmat była już w IV. w. wyczerpana, skończona, opieczętowana formułą *homousios;* a gdy później toczył się spór o drugi dogmat, nigdy pierwszy nie był zakwestyonowany; tylko jedna strona afirmowała konsekwentnie związek między nim a dogmatem spornym, druga temu związkowi przeczyła. Więc w żaden sposób nie spierano się. w czasie zdobycia Stambułu przez Turków, o to, czy *homousios* lub *homoiusios*.

jej rozkorzeniania się w duszy, większej odporności przeciwko sceptycyzmowi i silniejszego jej wpływu na życie.

Druga pozytywna myśl Piasta jest jeszcze mniej szczęśliwa, niż pierwsza. Zaprojektowawszy znany nam już podział dogmatów, próbuje on dalej wyłożyć, jakieby to dogmata powinien przybrać katolicyzm, ażeby się odmłodzić. Orzeka on najprzód że katolicyzm jest zdolny ewolucyi, i zarzuca teologom, że temu przeczą. Teolodzy, nawiasowo mówiąc, temu nie przeczą, tylko twierdzą, że ewolucya katolicyzmu, podobnie jak ewolucya każdego żywego organizmu, ma pewne immanentne prawa, których naruszenie byłoby zwichnięciem całego rozwoju. Piast, który rzucił raz okiem na pierwszy numer *Przeglądu Powszechnego,* mógł spostrzedz, że i w tem ciasnem, jezuickiem piśmie znajdowało się zaraz na początku studyum o tym właśnie przedmiocie: „Rozwój wiary“ przez ks. A. Langera T. J. Ale mniejsza o teologów; patrzmy, jakie dogmata rozwijają się w myśli Piasta; to będzie ciekawsze.

Przedewszystkiem zrezygnujmy z góry z właściwego użycia słowa: dogmat. Przez dogmat rozumieją od wieków chrześcijanie prawdę od Boga objawioną, a przez Kościół do wierzenia podaną; Piast tymczasem pod nazwą dogmatów będzie nam mówił o rozmaitych rzeczach, które, jakkolwiek bardzo cenne, jednak nic wspólnego z wiarą, ani z bożem objawieniem nie mają. Ale darmo! kto religię katolicką jako instynkt określił, ten już ma przywilej i dogmata pojmować po swojemu.

Pierwszym więc dogmatem, który się z czasem rozwinął w Kościele, jest według Piasta „dogmat piękności“ *(sic).* Ojcowie potępiali piękno; św. Augustyn „w arcydziełach sztuki klasycznej widział inkarnacyę szatańską“; a dopiero Chateaubrianda po tylu wiekach trzeba było czekać, ażeby dojrzał dogmat o zgodności ideału piękna z ideałem etycznym. On dopiero „opromienił religię urokiem piękności“. — Na Boga! To już za wiele! Aż cierpnie coś w człowieku, gdy się takie rzeczy czyta! Ojcowie Kościoła uważali posągi kultowi pogańskiemu poświęcone za narzędzia niewoli szatańskiej — i to bardzo słusznie — ale ci sami Ojcowie określali wzniośle stosunek idei chrześci-

jańskiej do wszystkiego co piękne; uczyli, że chrystyanizm nie tłumi żadnego piękna, które Bóg w naturze złożył, ale je owszem uszlachetnia, oczyszcza z pyłu grzechu i do Ideału wieczystego zbliża [1]. Św. Grzegorz z Nazianzy pisze religijne poezye; św. Bazyli, ojciec wschodniego monachizmu, broni w sławnej mowie używania pogańskich klasyków w szkołach chrześcijańskich dla kształcenia młodzieży, i przy tej sposobności po mistrzowsku ten stosunek sztuki do chrystyanizmu omawia. Św. Augustyn, najidealniejsza, najwrażliwsza na piękno dusza, z jaką się spotkać można — a na którą pada właśnie takie oskarżenie — tak niezrównanie pisze o pięknie, tak szuka (w dziele np. *De Musica*) jego istoty, definicyi, tak po platońsku, ale lepiej niż Plato, określa stosunek piękna, z jednej strony do wiecznych idei w Bogu, z drugiej do duszy mistrza i jego dzieła — że doprawdy źle trafił Piast, gdy na niego rzucił kamieniem. Słuchajmy choć paru słów Augustyna: „Ona sztuka najwyższa wszechmocnego Boga, przez którą wszystkie istoty z nicości powstały, która się też mądrością boską nazywa, ona też działa przez artystów, aby czynili rzeczy piękne i zgodne... Nie cała harmonijność (*numerositas*, piękność stosunków) ciała ludziego odnajduje się w posągu, jednak ile się jej w posągu znajduje, tyle przechodzi przez rękę artysty, od tejże samej mądrości, która w naturze ciało ludzkie kształtuje“ [2].

Ale jeszcze wymowniejsze od słów są dzieła, jest życie sztuki chrześcijańskiej. Gdyby starzy chrześcijanie nie byli rozumieli zgodność swej idei religijnej z pięknością i sztuką, to jakimże sposobem byliby przełamali, zaraz od I. wieku, tradycyę swych poprzedników, Żydów, i zaczęli w samych katakumbach pendzlem i dłutem myśl chrześcijanską w prawdziwie artystyczną ubierać formę? Jeżeli wielcy doktorowie IV-go i następnych wieków krzywo patrzeli na sztukę, to czemuż ona żyła dalej w Kościele? Skądże się wzięła ta spółczesna plejada chrześcijańskich poetów, jak Juvencus, Prudencyusz, Avitus, Fortuna-

[1] Patrz świeże dzieło Krausa *Geschichte der christlichen Kunst*. Tom I, ks. III. 1896. Recenzyę tego dzieła podajemy właśnie w tym nrze *Przeglądu*.

[2] *De div. quaest.* 83, *qu.* 78.

tus...? Jeżeli w wiekach średnich katolicyzm i sztuka nie czuły swej łączności, to skądże trysło pod nieba natchnienie mistrzów romańskiej i gotyckiej architektury? A Dante, czy nie wiedział nic o harmonii sztuki i religii, on, który właśnie tę harmonię w swojem dziele wyśpiewał, a sztukę nazwał przecudnie „wnuką Stwórcy“:

Si che nostr' arte a Dio quasi è nipote.

A ci malarze quatrocentyści, włoscy, flamandzcy, którzy bawili się łączeniem nieba ze ziemią na swoich płótnach, którzy, nie zdążywszy jeszcze opanować formy, już potrafili całą skalę najdelikatniejszych nastrojów duszy wyrazić, czy wcale o zgodzie sztuki z religią nie wiedzieli? A czy nie wiedzieli o niej ci najwięksi mistrzowie odrodzenia, którzy właśnie ten uniwersalny synkretyzm chrystyanizmu, przejęty z nauki Tomasza i z pieśni Danta, obrazowali na sklepieniu Sykstyńskiej i w Stancach watykańskich?... Ale co tu mówić dłużej? Cała historya sztuki w erze chrześcijańskiej jest właśnie historyą tej żywej jedności piękna i chrystyanizmu, realizującej się z zupełną świadomością siebie. Jeżeli zaś, w początkach naszego wieku, tak słaba książka, jak „Geniusz chrystyanizmu“ Chateaubrianda, mogła mieć powodzenie i wpływ, to tylko pokazuje, jak dalece pewne sfery umysłowe, po Wolterze i po rewolucyi, były radykalnie zapomniały o chrystyanizmie. Lecz w całości dziejów Kościoła, zapewnić o tem mogę Piasta, Chateaubriand nie będzie figurował jako objawiciel dogmatu piękna.

Drugi dogmat życiowy, który Kościół, według Piasta, dopiero w średnich wiekach zdobył, jest to „dogmat bohaterstwa“. Zależy on wrzekomo na połączeniu w zakonach rycerskich idei bohaterstwa z ideą religijną. Nad takiem pomieszaniem pojęć niema co się dłużej zastanawiać. Czy św. Jan byłby się tak bardzo zadziwił, jak sądzi Piast, gdyby był ujrzał owieczkę ewangeliczną w zbroi kawalera maltańskiego, tego nie wiem; ale przypuszczam, że nie bardzoby się temu zdziwił którykolwiek z wiarusów *legionis fulminantis*, albo który z towarzyszów broni św. Maurycego. — W każdym wieku chrystyanizm uczył łączyć z re-

ligią, czyli pełnić dla Boga z poświęceniem, wszystkie obowiązki ludzkie; w wieku zaś na to odpowiednim to chrześcijańskie poświęcenie wydało instytucye rycerskie. I tyle.

Trzeci z takich dogmatów, ma być „dogmat patryotyzmu“ I tu znowu, najprzód błędne przypuszczenie, że dawny chrystyanizm wrogi był ojczyźnie[1]; a potem fantazyjne wprowadzenie jakiegoś objawienia dogmatu o ojczyźnie. „Objawienie narodowe polskie, pisze Piast, objawienie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Cieszkowskiego wniosło do Kościoła powszechnego ideę ojczyzny, jako świętości na równi ze świętościami dawniej uznanemi“.— Już nas aż nadto otrzaskała nasza romantyczna literatura z nadużywaniem wyrazów o poetach; ciągle słyszymy, że prorokowali, że mieli boże natchnienia, objawienia i t. p.... Jednak zwykle czuć u literatów, że nie przywięzują do tych słów jakiegoś znaczenia tajemniczego, lecz używają ich tylko przenośnie. Ale w rozprawie Piasta brzmi co innego. Jest tu mowa o religii, o katolicyzmie, o którego naprawie się myśli — i tu, obok objawienia Chrystusa i Apostołów, wstawia się „objawienie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Cieszkowskiego“ — i tak wychodzi się rzecz przewracającą: że to objawienie wniosło do Kościoła powszechnego ideę ojczyzny, jako świętości na równi z świętościami dawniej uznanemi *(sic)*. Pomijam, że twierdzenie faktu, że nasza literatura z epoki romantycznej wpływ wywarła na Kościół powszechny, tylko uśmiech wzbudzić może; ale zaznaczam, że jest w tej całej tezie Piasta albo nieznajomość religii przechodząca wszelkie granice, którą trudno darować, albo pewien rodzaj profanacyi, którą naród katolicki odpycha. Kościół szanował zawsze narodowości, jako twory boskie, bronił ich praw, [illegible] ich języki; łącząc w swym łonie rozmaite narody, nic [illegible] tego co było w ka-

[1] Opiera Piast to twierdzenie na po[illegible] Grzegorza z Nazianzy z Julianem Apostatą. Ależ tam zupełnie o [illegible] chodzi. Grzegórz nie mówi o ojczyźnie, w naszem znaczeniu, ale [illegible] wie wszechświatowem, gnębiącem religię, w przeciwstawieniu do [illegible] niebieskiej. A czy nie należy może potępiać gnębienia sumień prz[illegible] choćby się samemu do tego państwa należało?

żdym z nich znamiennem, ale uchylał to, co było ekskluzywnem i nienawistnem, tworzył jedność w rozmaitości [1]. Ale nigdy Kościół nie stawiał i stawiać nie pozwoli narodowości na ołtarzu na równi z świętościami religii. I poeci nasi i myśliciele tak rzeczy

---

[1] Pisałem o tem w artykule: „Chrystyanizm i narodowość“ (*Przegląd Powszechny* r. 1886, t. IX. Dodatek) i świeżo w siódmym Wieczorze nad Lemanem. Zamiast na nowo tę kwestyę omawiać, pozwalam sobie z pierwszego artykułu przytoczyć ustęp.

„W starożytności pogańskiej, narodowość, oprócz znamienia właściwej odrębności, nacechowana była duchem ekskluzywizmu: obowiązki ludzkości ograniczały się jedynie na ziomkach, obcy, *barbarus*, był z tytułu tej obcej narodowości przedmiotem zawiści lub pogardy, wyjętym z pod wrodzonego prawa miłości ludzkiej. — Było to skażenie, jakiemu i inne przyrodzone uczucia, pod wpływem namiętności ludzkich w pogańskim świecie uległy.

„Żydzi, choć także przejęci tym partykularyzmem, mieli jednak w swoim zakonie od Boga podanym, przestrogi łagodzące tę wyłączność, i nakazujące, nawet względem obcych w granicach Izraela przebywających, sprawiedliwość i miłosierdzie: Tak czytamy w Lewityku (XIX, 33). *Będzieli przychodzień mieszkał w ziemi waszej a będzie przebywał między wami, nie urągajcie mu; ale niech będzie między wami jako obywatel; i będziecie go miłować jako sami siebie.* I nieco dalej (XXIV, 22): *Jednaki sąd niechaj będzie między wami, bądźby przychodzień, bądź obywatel zgrzeszył.* Podobne znajdujemy przepisy w Egzodzie, w Księdze Liczb, w Deuteronomium, najwięcej u Proroków.

„Chrystyanizm przyszedł dopełnić, co w zakonie Mojżeszowym było dopiero zaczętem, poprawić, co w pogańskim świecie było skrzywionem: prawem powszechnej miłości złączyć wszystkie narody — złączyć je, nie przez zatarcie tego, co w narodowościach jest typowem, rozmaitem i charakterystycznem — bo to, jak widzieliśmy, jest dziełem natury, myślą tegoż Boga, od którego chrystyanizm pochodzi — ale przez zniesienie tego, co w pogańskiem pojęciu narodowości było ekskluzywnem i nienawistnem, przez równouprawnienie wszelkich narodowości, na podstawie synowstwa bożego i braterstwa w Chrystusie. Hasło powstającego chrystyanizmu: ‚Nie masz więcej Żydowina ni Greka‘. *Non est Judaeus neque Graecus... omnes enim vos unum estis in Christo Jesu* (Gal. III, 28), nie znaczyło oczywiście, że niema być nadal właściwości Żyda i Greka, żydowskiego i greckiego języka, żydowskich i greckich obyczajów i znamion narodowych... ale że odtąd wszystkie ludy mają jednaką godność, jednakie prawo do poszanowania: że więc nikogo z tytułu narodowości nienawidzić, prześladować, nikim pogardzać nie wolno. Jak jednostki tak i narody były dziełami rąk Bożych, a stały się w chrześcijaństwie dziećmi Bożemi.

„Pierwszym objawem tego objęcia wszech narodowości w łonie Kościoła było udzielenie Apostołom daru języków. Nie obdarzył Bóg w onej

nie rozumieli—z wyjątkiem chyba niektórych chwil zaćmienia—; i naród nasz katolicki tego bałwochwalstwa nie chce.

Piast, winszując Kościołowi zdobycia tych postępowych dogmatów: piękności, bohaterstwa i patryotyzmu, radzi mu jeszcze

---

chwili słuchaczów darem rozumienia jednej urzędowej mowy, rzymskiej albo żydowskiej, ale dał wysłannikom swoim dar mówienia wszystkimi językami ludów, do których ich posyłał. A to pier wsze kazanie, jak uważają Ojcowie śś., było przedobrażeniem misyi, jaką Kościół miał po całym świecie w przeciągu wieków spełniać.

„Wkrótce potem, gdy nienawiści narodowe głowę podnosić zaczęły, gdy Żydzi ochrzczeni chcieli narzucać Grekom swoje narodowe zwyczaje i obrzędy, a w Grekach nawróconych budziła się dawna dla Żydów pogarda, św. Paweł gromił te zapędy, nie zważając na osoby: *Czemuż pogany przymuszasz żyć po żydowsku?* (Galat. II, 14) — rozkazywał uszanować zwyczaje i właściwości każdego, o ile nie były bożemu i przyrodzonemu zakonowi przeciwne, i stawiał wielokrotnie, bezwarunkowo zasadę równouprawnienia narodowości wobec Boga i wobec chrześcijaństwa: *Albowiem nie masz różnicy Żyda i Greczyna: bo tenże Pan wszystkich* (Rom. X, 12).

„W dalszym pochodzie dziejów, chrystyanizm pozostał wierny temu hasłu. Kościół przemawiał do wszech ludów ich językami; wszędzie ,skoro tylko było możebnem, pasterzy z ich łona wybierał; wszędzie jednaki wiarą i moralną nauką — postać zewnętrzną przybierał rozmaitą, przyjmując wpływ ducha ludów i społeczeństw, których był mistrzem; wszędzie niemal i najskuteczniej bronił narodowych znamion, tradycyi, nawet literatur, przeciw niesprawiedliwym obcych napaściom. Kościół Chrystusów zespalał ludy jednością w rozmaitości: jednością miłości i wiary, w rozmaitości narodowych znamion.

„Ale nie koniec na tem. Chrystyanizm nietylko sprostował pojęcia narodowości, lecz wszystkie prawa człowieka wyjaśnił i uświęcił: sumienie ludzkie, wiekami niewoli zgnębione, ocucił, wszelkim władzom: rodzicielskiej, małżeńskiej, pańskiej, a nadewszystko państwowej, właściwe zadanie i granice przyrodzone określił. Chrystyanizm powiedział zwierzchnikom państw to samo, co zakon przyrodzony rozumowi dyktował, ale z tą niezrównaną mocą i powagą, jaką tylko słowo Boże posiada — powiedział im, że nie są panami, ale tylko narzędziami Boga na usługę społeczeństw: *ministri enim Dei sunt in hoc ipsum servientes* (Rom. XIII, 6) — że miecz, czyli władzę materyalnego przymusu, piastują nie dla dowolnego użytku, ale jedynie dla ochrony sprawiedliwości i wzbraniania występku: *non sunt timori boni operis sed mali* (Rom. XIII, 3) — że wreszcie z tej ‚służby Boga ku dobru społeczeństwa' ścisły kiedyś Bogu zdadzą rachunek.

„Stąd w państwach chrześcijańskich, ledwo wychylających się z barbaryi, wcześnie wyrobiła się prawdziwa wolność i godność człowieka, otoczona sferą praw osobistych, których nawet władza absolutnych monarchów naruszać nie śmiała; wcześnie, nawet wśród wojen i podbojów, narodowości zwalczone znalazły u zwycięscy sprawiedliwość i tolerancyę..."

„dołączyć dogmat o wolności ducha, o świętości prawdy i wiedzy, o naczelnym obowiązku poszukiwania jej, na przekór wszelkim tyraniom". Piękny istotnie dogmat! tylko trochę mglisto określony. Wystawiam sobie, że sobór ekumeniczny, któryby chciał go, za radą Piasta, zawyrokować, w niemałym byłby kłopocie, co się ma przez to katolikom nakazać? a co zabronić? Ale — żarty na bok — to życzenie Piasta, jakkolwiek mgliste, zawiera coś prawdziwego i podniosłego, a przytem coś banalnego mieści. Lecz — o czem właśnie Piast nie wie — pierwsze już jest w Kościele, a o drugiem mowy być nie może. — Co to znaczy: „świętość prawdy?" o jakiej tu prawdzie mowa? Że wino burgundzkie lepsze jest od mozelskiego, to jest także prawda, ale za tę prawdę — uważa William Mallock[1] — nie warto się dać ukrzyżować. Badać chemiczną strukturę etylenu, jest to, pracować dla prawdy o wiele donioślejszej, godnej wielkich wysileń człowieka, ale jeszcze nie „świętej". Te tylko prawdy są właściwie i bez metafory ś w i ę t e, które dotyczą stosunku człowieka do Boga, więc: o pochodzeniu człowieka, o jego końcu, o jego zadaniu moralnem w życiu — słowem, prawdy religijne. Te jedne mają absolutną wartość, i jako takie godne są absolutnego poświęcenia. Te jedne przez Chrystusa powierzone zostały Kościołowi. I podobno Kościół katolicki, od rzymskich katakumb aż do sybirskich kaźni, nie żałował ani znojów ani krwi swych członków, dla obrony tych prawd. Nikt mu nie zarzuci braku poświęcenia dla nich.

Podobnie i w tej „wolności ducha", którą Piast przyczepia do dogmatu świętości prawdy, jest element prawdziwy — i tego nie potrzeba dopiero Kościołowi życzyć, — a jest przytem, a przynajmniej być może, element fałszu, którego mimo życzeń Piasta, Kościół nie przyjmie. Kościół Chrystusowy, jak wiadomo, od samego początku swego istnienia, zastawiał się murem za wolność duchową człowieka, przeciwko tyraniom wszelkiego rodzaju, które sumienia ludzkie gnębiły, i przeciw kacerstwom i filozofiom, które tej wolności zaprzeczały. Ale Kościół uczył

[1] *Is live worth living?*

zarazem, że ta wolność ma swoje istotne prawa, któremi się kierować winna — i nie zapierał się nigdy swego posłannictwa od Boga: aby był stróżem prawd religijnych, którym każdy umysł, wedle Apostoła poddawać się winien [1].

Zostaje nam jeszcze do rozpatrzenia trzeci projekt Piasta względem naprawy katolicyzmu, czyli trzecia jego myśl pozytywna; a tą jest: idea „wyższości pierwiastku świeckiego nad pierwiastkiem kościelnym, w najżywotniejszych sprawach katolicyzmu". Każdy widzi związek tej myśli z poprzedniemi, o oddzieleniu spekulatywnej części religii od praktycznej i o wprowadzeniu dogmatów postępowych.

Piast, trzeba mu przyznać, nie ma słabości do pierwiastku kościelnego czyli kleru; zarzuca on „Kościołowi urzędowemu" „martwotę", „nieporadność", „ospałość" tradycyjną; naukę teologii nie wyróżnia od „szwargotu bizantyjskich mnichów", spierających się o literę. Szczególnie teologię naszego kraju (zbadawszy zapewnie najdokładniej jej stan) jako wsteczną piętnuje i bierze na siebie zadanie „pracowania nad uzupełnieniem teologicznego wykształcenia zacofanych teologów naszego partykularza". Z drugiej zaś strony, wszystko, co się dodatniego w Kościele zrobiło, całą jego żywotność, przypisuje Piast ludziom świeckim; wysoko podnosi Chateaubrianda i de Maistra, wymienia także Cobetta, Görresa, Montalamberta, de Mun.

My księża nie patrzymy wcale tak wrogo na udział i nawet na inicyatywę świeckich w żywotnych sprawach katolicyzmu. Ile razy w dziejach Kościoła laicy porywają się do zbożnego dzieła, tyle razy widać, że duchowieństwo podaje im rękę. Kościół urzędowy czuwa z obowiązku nad kierunkiem takich ruchów, ale nie widać, żeby się im sprzeciwiał zasadniczo dlatego, że od laików pochodzą. Reformę, którą przynosi kupczyk z Assyżu, laik, Kościół oburącz do łona przyciska, a reformę Lutra, choć księdza, Kościół odpycha, dlatego, że pierwsza idzie z duchem synowskim, niczego nie chce, tylko doskonałości, a druga idzie z buntem i podstawy katolicyzmu burzy.—W naszym też wieku

[1] II, Do Korint. x, 5.

świeccy we wszystkich niemal krajach katolickich z wielkiem powodzeniem brali udział i nieraz inicyatywę w żywotnych sprawach katolicyzmu, a duchowieństwo ich zawsze popierało. Kiedy świecki Ozanam ocucał miłosierdzie katolickie, zakładając Towarzystwo św. Wincentego, które cały świat ogarnąć miało, Kościół mu błogosławił. Kiedy uboga mieszczanka Lyonu inicyowała „Dzieło rozkrzewiania wiary", które dotąd tak potężnie zasila misye katolickie po całej kuli ziemskiej, i kiedy zastrzegała, że zarząd tego dzieła ma zostać w rękach świeckich, Kościół dzieło jej aprobował. Kiedy świecki, Nicolas, wziął się nawet do pisania wiekopomnego dzieła dogmatyczno-apologetycznego, o którem powiedziano, że więcej niedowiarków we Francyi nawróciło, niż liter zawiera, to urzędowi teologowie bez zazdrości mu przyklaskiwali. W Niemczech udział świeckich w życiu katolicyzmu — tak w sferze czynu, w akcyi politycznej i społecznej, jak w sferze nauki i spekulacyi, począwszy od Görresa i Stolbergów, aż do dzisiejszych pisarzy, których wyliczyć niepodobna — udział ten, mówię, jest tak wielki, a przytem tak dobrze zharmonizowany z niemniejszem działaniem kleru, że Niemcy katolickie za okaz i wzór w tym względzie służyć mogą.

Piast, pisząc o tej działalności świeckich w Kościele, myli się w szczegółach; pominąwszy daleko wybitniejszych, Chateaubrianda przecenia ogromnie; De Maistra też przecenia i błędnie charakteryzuje jego pracę, przypisując mu „postawienie dogmatyki społecznej" [1]. Myli się Piast jeszcze więcej, ignorując ogromną rolę, jaką bądź pojedynczy ludzie z kleru, bądź kościelni zwierzchnicy w rozwoju postępowym Kościoła odegrali. Nie wiem, jakiemi oczyma trzeba historyę Kościoła czytać, aby to prześlepić. Ale najwięcej myli się Piast, przeciwstawiając działalność świeckich katolików działalności ludzi kościelnych, czyniąc z nich dwa obozy. Tak nigdy nie było w dziejach Kościoła i, da Bóg, nie będzie. Kościół nie jest rzeczą księży,

[1] Właściwie owoc pracy De Maistra nie jest (mimo książki o papieżu) ani dogmatycznym, ani społecznym, ale jest raczej systemem politycznym, opartym (mniej lub więcej szczęśliwie) na katolickich zasadach

(i księża go za taką nie uważają) ale jest rzeczą wspólną wszystkich katolików. A raczej wszyscy katolicy są członkami wielkiego organizmu Kościoła, wszyscy są z nim najściślej solidarni. — W tym organizmie różne członki mają, wedle św. Pawła, różne funkcye. Kler, przez charakter kapłaństwa, jest w wielkiej części powołany do pracy kierowniczej; a ta z natury rzeczy ma w sobie zawsze coś konserwatywnego, w szerszem znaczeniu tego słowa. Do inicyatywy do rzucania się naprzód, otwierania nowych dróg dla myśli i czynów, bądź kapłanów, bądź świeckich, Pan Bóg powołuje, w niejednym zakresie nawet więcej świeckich. Tylko tego trzeba, żeby te wszystkie inicyatywy i działania ludzi świeckich i duchownych zostawały pod kierunkiem władzy kościelnej: bo tego wymaga boża harmonia. I trzeba, żeby wszyscy, świeccy i duchowni, poczuwali się do tej solidarności z Kościołem, kochali go, jako rzecz swoją, która do nich należy i do której należą — i żyli dla niego.

Z tego też stanowiska omawiałem rzecz Piasta. Nie to mu zarzuciłem, że będąc świeckim wziął się do pisania o religii i Kościele, ale to, że bez dostatecznej znajomości katolicyzmu o nim pisze i radzi, i to, że przystępuje do dzieła z zamachem nie budującego, lecz burzącego budowlę Chrystusową. Ten ostatni zwłaszcza wzgląd zmusił mię nieraz do wypowiedzenia swego zdania twardo; ale każdy, kto przeczytał Piasta, przyzna, że to jeszcze było miękko w porównaniu do jego bezwzględności. Mimo wszystko, mam za dobre Piastowi, że choć nie rozumie katolicyzmu, jednak wierzy w jego przyszłość. Mam mu za dobre, że choć dziwne i trudne do pogodzenia rzeczy mówi o Polsce, przesadnie ją poniża i wynosi ponad wszelką miarę, jednak rozumie, że w narodowości naszej mieści się jakiś pierwiastek idealny, który stanowił jej siłę atrakcyjną i asymilacyjną w przeszłości i który na przyszłość jest pewnym zadatkiem żywotności. Mam mu za dobre, że choć różne złe i szkodliwe rady nam daje, to jednak wielką prawdę rozumie i wypowiada, że do naprawienia narodu nie mamy innej drogi, jak naprawienie siebie: „Polska — mówi on słusznie — upadła anarchią, bo anarchia pa-

nowała w duszy pojedynczego Polaka. Wszelkie kombinacye polityczne, nawet pomoc zagraniczna, są daremne, dopóki Polak nie wyleczy swojej duszy i nie zrobi jej wizerunkiem tej ojczyzny, która ma zmartwychwstać! Od tej chwili zbawienie ojczyzny stało się niezależnem od polityki i dyplomacyi, stało się zależnem jedynie od nas samych. Jaki przymus, jaka niewoła, jakie więzienia i bagnety mogą nam przeszkodzić do opanowania i wyleczenia własnej duszy. Dlatego *Sursum corda!*“ Na to zgoda zupełna.

Ks. Maryan Morawski.

P. S. Po wydrukowaniu tej rzeczy, okazał się w *Słowie Polskiem* z dnia 30 maja ósmy artykuł o „Idei polskiej“. Nic jednak takiego nie zawiera, coby wymagało zmiany w powyższych uwagach.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica

Obrazki z krakowskiej nędzy. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 24

Z ruchu o szkołę wyznaniową. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 52

Religia przy egzaminie dojrzałości. Przez *ks. d-ra Alojzego Jougana* 165 370

Sprawa Ghenadiego. Kartka z najnowszych dziejów rumuńskiej cerkwi. Przez *Wiktora Wieckiego T. J.* 203

Artykuły naukowe i literackie.

Założenie misyi ks. Zmartwychwstańców w Adryanopolu. Przez *ks. Pawła Smolikowskiego* 1

Sądownictwo na Żmudzi. Przez *Jana Syrokomlę* . . . 37

Nowiny z historyografii polskiej. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 73 396

O wojskowości polskiej za Piastów (do roku 1410). Przez *Konstantego Górskiego* 187 344

Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej (1893—1896). Przez *Antoniego Mazanowskiego*. 218

Kolegium Jezuitów w Nieświeżu. 1582—1608. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.* 239

O chlebie i winie do Eucharystyi używanem. (Studyum historyczno-archeologiczne). Przez *ks. Józefa Bilczewskiego* 325

Wychodźtwo polskie w Brazylii. Przez *d-ra Józefa Siemiradzkiego* 360

Podpieracz katolicyzmu. (Dodatek). Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . I—XXII

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ ZASADĘ. T. I. i II. Napisał ks. Karol Niedziałkowski — MIRAŻE MĄDROŚCI. Napisał Tenże. *(Ks. dr. Leon Wałęga).* 94

KSIĘGA RZECZY POLSKICH. Opracował G. Wydawnictwo Macierzy Polskiej. *(Aloizy Szarłowski)* 110

LINIE I DŹWIĘKI. Marya Konopnicka. *(Antoni Mazanowski)* . . . 112

ŚWIAT NAPOWIETRZNY. Dwanaście pogadanek z notatek St. Kluczyckiego. *(Roman Gutwiński)* 117

OBRAZKI WENECKIE. Przez Wiktora Gomulickiego. *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 118

Z LITERATURY KAZNODZIEJSKIEJ: HOMILIE NA NIEDZIELE CAŁEGO ROKU. Napisał ks. Wawrzyniec Puchalski. — KRÓTKIE SZKICE DO NAUK MAJOWYCH. Na podstawie dzieła: „O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci“ ks. prałata W. Chotkowskiego, ułożył ks. Jakób Jordan Rozwadowski. — KONFERENCYE. Podał dla użytku na zebraniach matek chrześcijańskich ks. A. Jaskulski. *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.)* . 119

SZKICE LITERACKIE. Serya 1. Dr. Józef Tretiak, prof. Uniw. Jagiell. *(Dr. Józef Kallenbach)* 253

HISTORYA POLSKA DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY. Przez Teresę z Potockich Wodzicką. Część II. *(Dr. Aleksander Czuczyński)* 256

HISTORYA UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO. Napisali dr. Ludwik Finkel i dr. Stanisław Starzyński. *(Dr. Antoni Kurpiel)* . 260

POGADANKA O NOWYCH KSIĄŻKACH DLA DZIECI: (S. Sempołowskiej i J. Unszlichtówny, „Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń“. — Maryi Weryho, „Opowiadania prawdziwe“. — W. Gomulickiego, „Niedziele Romcia“. — A. Dygasińskiego, „Cudowne bajki“. W. Umińskiego, „Od Warszawy do Ojcowa“. — S. Gębarskiego, „Zaginiony w grotach Ojcowa“. — W. Przyborowskiego, „Na Oceanie Spokojnym“. — Teresy Jadwigi, „Nowe opowiadania ciotki Ludmiły“. — H. Strażyńskiej, „Sieciech i królewicze“). *(T. W.)*. 270

LECHICI W ŚWIETLE HISTORYCZNEJ KRYTYKI. Antoni Małecki. *(Dr. K. Krotoski)* 419

KSIĄŻKA ADRESOWA HANDLU I PRZEMYSŁU POLSKIEGO W OBRĘBIE NIEMIECKIEGO PAŃSTWA. Opracował i wydał J. Jaworski. Rocznik I. *(Dr. Włodzimierz Czerkawski)* 434

WYNIKI BADAŃ PRZYRODNICZYCH, OGŁOSZONYCH W WYDAWNICTWACH AKADEMII UMIEJ. Z LAT 1893—1896. *(Roman Gutwiński)* 435

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

NIRWANA. Eine Studie zur Vorgeschichte des Buddhismus von Joseph Dahlmann S. I. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 124

DES VOCATIONS SACERDOTALES ET RELIGIEUSES dans les colléges ecclésiastiques. Par le P. J. Delbrel S. I. *(Ks. Wł. Ledóchowski T. J.)* 132

THE TIME MACHINE, an Invention, by H. G. Wells. *(M.)* 133

MÉMOIRES DE LA COMTESSE POTOCKA 1794—1820. Publiés par Casimir Stryjeński. *(M***)* 284

DAS EIGENTHUM nach der Lehre des hl. Thomas von Aquin und des Socialismus. Von Franz Walter. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 290

DER LICHTSINN AUGENLOSER TIERE. Eine biologische Studie. Von Dr. Wilibald A. Nagel. *(Jan Nuckowski T. J.)* 291

Z CZESKIEJ LITERATURY KATOLICKIEJ. I. *(Ks. dr. Józef Tumpach)* 293

GESCHICHTE DER CHRISTLICHEN KUNST. Von Franz Xaver Kraus. Erster Band. Die Hellenistisch-Römische Kunst der alten Christen. Die Byzantinische Kunst. Anfänge der Kunst bei den Völkern des Nordens. Mit Titelbild in Farbendruck und 484 Abbildungen im Texte. *(Ks. J. Bilczewski).* 440

ALBUM SVATOVOJTĚŠSKÉ Památky úcty vzdávané svatým patronům národa československého. Svazek II. K 900-leté památce smrti sv. Vojtěcha sestavili a vydali dr. A. Podlaha a Ed. Šittler. (Album św. Wojciecha. Pomniki czci oddawanej świętym patronom narodu czesko-słowiańskiego. Na 900-letnią pamiątkę śmierci św. Wojciecha ułożyli i wydali dr. A. Podlaha i E. Szyttler. *(Ks. dr. J. Tumpach)* 445

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Leon XIII. i Wschód. — Odpowiedź anglikańska Leonowi XIII. — Z Węgier. — Z Szwajcaryi. — Obchód św. Wojciecha w Ks. Poznańskiem. — Katolicka porażka przy wyborach. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 137

ORGANIZACYA OPIEKI NAD PRACUJĄCEMI DZIEWCZĘTAMI. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* 148

ELEKTRO-DYNAMICZNY SYSTEM ŚWIATA. Przez *K. C.* 157

WOJSKOWE OBOWIĄZKI DUCHOWIEŃSTWA W AUSTRYI. 159

SPRAWOZDANIE KASOWE ZWIĄZKU AFRYKAŃSKIEGO WE WIEDNIU . 163

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁU O MIRONIE COSTINIE. Przez *Wiktora Wieckiego T. J.* 164

Stronica

M A J.

Sprawy Kościoła: Leon XIII. i Kanada. — Z Belgii. — Stan nawróconych pastorów w Danii. — Następcy Garcii Moreny w Ekwadorze. — Z Francyi. — Biskup z Viviers. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 300

Stosunki polskie w Stanach Zjednoczonych. Przez *d-ra Kazimierza Krotoskiego* 308

Teozofowie w Berlinie. Przez *K. C.* 317

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Leon XIII. i Francya. — Z jubileuszu św. Wojciecha. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 448

Niektóre nowsze zdobycze chemii: Związki nieorganiczne i organiczne. — Reakcye chemiczne w wysokich temperaturach. — Sztuczne dyamenty. — Topienie i destylacya ciał trudno-topliwych. — Węgleki metaliczne. — Węglek wapniowy. — Acetylen jako środek oświetlający. — Sztuczny alkohol. Przez *F. E. Polzeniusza* 456

Czy niedziela, czy szabas? Przez *ks. K. C.* 468

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.